

Najnowszy bestseller
Stephena Freya –
kolejne przysięgi
Christiana Grey

Stephen

FREY



Sukcesorka

Świat Książki

Stephen Frey

Sukcesorka

Prolog

Styczeń

Doktor Nelson Padilla, especialista de 2ndo grado, po dwudziestu latach praktyki i kilku cenionych specjalistycznych publikacjach był wziętym chirurgiem. Prace, za które otrzymał liczne nagrody na Kubie i w Toronto, gdzie jako uzdolniony młodzieniec studiował, dedykował pamięci zmarłego ojca, który zachęcał go, żeby zmieniał świat. Należało więc uznać za niezwykle, że taka sława pełni dyżur w sobotnią noc w izbie przyjęć szpitala Hermanos Ameijeiras w centrum Hawany niczym pierwszy lepszy złotodziób po skończeniu interny. Ale to była Kuba, kraj pełen sprzeczności i niekonsekwencji.

Poprzedniego dnia koło południa odebrał rozpaczliwe wezwanie od jednego z członków szpitalnej administracji. Niespodziewanie partia kazała wybrać wśród szpitalnego personelu dużą ekipę sanitarną na wyjazd do Wenezueli. Jak na złość, inna grupa, która miała tego dnia wrócić z Salwadoru, nie przyleciała z powodu bardzo złej pogody w górach Ameryki Środkowej, gdzie wykonywała swoje obowiązki. Oznaczało to, że w szpitalu zabrakło nagle dyżurujących chirurgów, toteż Padilla musiał wziąć na siebie dyżur w izbie przyjęć od ósmej wieczorem w sobotę do szóstej rano w niedzielę. Żona i dzieci prosiły go, by się na to nie godził, świetnie wiedziały, jaki będzie wykończony po powrocie do domu, on jednak czuł się w obowiązku czynić swe powinności i w każdych okolicznościach słu

żyć pomocą potrzebującym. Tyle że czynił to z potrzeby serca, a nie na rozkaz Partii.

Tego wieczoru zdołał już uratować życie dwójce małych dzieci -

siedmioletniemu chłopczykowi i jego pięcioletniej siostrzyczce - które wypadły ze skrzyni pikapu podczas groźnego wypadku we wschodniej części Hawany. Świadomość dobrze spełnionego obowiązku podnosiła go na duchu i napawała myślą, że jednak warto było na tę noc zostawić rodzinę.

Jak na nieszczęście, nie był w stanie uratować ich matki, której zwłoki spoczywały teraz przed nim na stole operacyjnym. Ładna młoda kobieta tkwiła między kierownicą a oparciem fotela zmiążdżonego auta długie piętnaście minut, zanim ostatecznie ratunkowe służby drogowe zdołały ją uwolnić. Mimo wszystko pewnie mógłby jeszcze uratować jej życie, gdyby natychmiast przystąpił do operacji. Ale musiał się wcześniej zająć dziećmi, które także były w stanie krytycznym. Tymczasem na dyżurze nie było innego chirurga, który zdołałby mu pomóc w tej sytuacji.

Padilla zsunął z twarzy maseczkę, powoli ściągnął zakrwawione gumowe rękawiczki i ze złością cisnął je do kosza pod ścianą. Miał za sobą najbardziej niewdzięczne zadanie związane z pracą lekarza: konieczność zabawy w Boga. Pewnie nawet by to lubił, gdyby nie musiał przy tym podejmować aż tak trudnych decyzji.

- Odeszła z tego świata - rzekł filozoficznie do młodego stażysty i pielęgniarki, którzy pomagali mu przy wszystkich trzech operacjach. Nigdy nie używał słowa „zmarła”, ponieważ wierzył w istnienie nieba. - Nic więcej nie możemy już zrobić.

Wyszedł z sali i skierował się na oddział intensywnej opieki, by się upewnić, że operowane niedawno dzieci mają się dobrze. Zaledwie jednak wyszedł na korytarz wyłożony ciemnoszarymi kafelkami, ujrzał biegnącą ku niemu pielęgniarkę.

- Doktorze! Doktorze!

- Co się stało? - zapytał półgłosem, niemal szeptem, ogarnięty traumą wywołaną trzema szybkimi operacjami, w których ważyło się życie pacjentów. - Proszę się uspokoić - rzucił nieco ostrzej, gdy pielęgniarka zatrzymała się przed nim. - Wszystkim się zajmę. Proszę mnie tylko zaprowadzić do chorego.

- Tu nie chodzi o chorego, tylko o człowieka czekającego przy telefonie. - Wskazała przez ramię stanowisko rejestracyjne izby przyjęć. - Twierdzi stanowczo, że musi natychmiast rozmawiać z panem osobiście. Próbowałam mu tłumaczyć, że jest pan na sali operacyjnej, ale odparł, że nic go to nie obchodzi. Groził, że jeśli natychmiast nie zawołam pana do telefonu, słono za to zapłacę. - Uniosła ręce do twarzy, a w jej oczach pojawiły się błyski

strachu. - On wie, gdzie pracuje mój mąż. Wymienił imiona moich dzieci.

Padilla położył jej dłoń na ramieniu i lekko zacisnął palce.

- Wszystko będzie w porządku. Na której linii czeka ten człowiek? - zapytał, ruszając energicznym krokiem w stronę jej stanowiska.

Pielęgniarka podbiegła, podniosła oburącz słuchawkę leżącą na książce wpisów zupełnie jakby trzymała odbezpieczony granat i podała Padilli.

Wziął ją ostrożnie, zakrył dłonią mikrofon i ruchem głowy nakazał pielęgniarce wyjść do poczekalni. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, rzekł:

- Słucham. Tu doktor Padilla.

- Mam nagły przypadek w moim domu - rzucił ostro rozmówca. - Jedno z moich dzieci zachorowało. Musi pan tu przyjechać. Przed wejściem do izby przyjąć na pewno już czeka na pana dżip z kierowcą.

Padilla aż zazgrzytał zębami. Doskonale rozumiał wzburzenie rodzica, ale nie widział żadnego powodu, żeby reagować na takie wezwanie.

- Proszę posłuchać. Przede wszystkim nie ma pan pra

wa grozić naszym pielęgniarkom. Pod żadnym pozorem. Po drugie nie wolno panu...

- Doktorze! - syknął miękko rozmówca lodowatym tonem, który zdawał się zagłębiać w mózg niczym ostrze sztyletu. - Przed izbą przyjęć czeka na pana dżip prowadzony przez mojego adiutanta. Jeśli w ciągu pięciu minut nie odbiorę od niego telefonu z wiadomością, że jedzie pan razem z nim, każe zabić pańską żonę. Czy wyrażam się jasno?

- Posłuchaj, ty sukin...

- Pańska żona ma czterdzieści trzy lata i drobny pieprzyk po lewej stronie szyi. Na imię ma Rose i jest dość ładna.

Kiedy dwie godziny później adiutant skierował hałaśliwego dżipa z powrotem w stronę szpitala, Padilla uzmysłowił sobie, że życzenie jego ojca, aby zawsze próbował zmieniać świat, mogło się właśnie spełnić. Nigdy nie przypuszczał jednak, że w tym celu będzie musiał ryzykować życie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Marzec

Christian Gillette sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął ulubiony długopis - jednorazowy, z białego plastiku, z dużym czarnym napisem „Paper Mate” i niebieską końcówką - jaki za pół dolara można kupić niemal w każdym sklepie na Manhattanie. Używał wyłącznie takich długopisów już od dwudziestu lat, od początku studiów w Stanford Business School. Bardzo je lubił za to, że pisały miękko, nie łały tuszem i nigdy się nie zacinały, a on przede wszystkim cenił niezawodność. Tak długopisów, jak i ludzi.

Jeden z licznej grupy prawników zajmujących miejsca po drugiej stronie stołu konferencyjnego skrzywił się na ten widok i rzekł:

- Kazaliśmy wyprodukować długopisy specjalnie na tę okazję. - Siwowłoso wspólnik zarządu firmy siedzący u szczytu stołu obrzucił młodego podwładnego piorunującym spojrzeniem. - Na pamiątkę - dodał ten pospiesznie, wskazując kartonowe pudełko przed sobą. - To długopisy marki Nice Cross. - Wyróżniał się tym, że był co najmniej o dziesięć lat młodszy od każdego z pozostałych uczestników spotkania. Pracował nad tą transakcją przez dziewięć miesięcy, a więc od pewnie chwili objęcia stanowiska zaraz po uzyskaniu dyplomu Columbia Law School. Tylko tyle zabrało mu uzyskanie wszelkich koniecznych pozwoleń władz Stanów Zjednoczonych i Kanady, bez których niemożliwe byłoby zamknięcie negocjacji. - Są na nich napisy wytłoczone złotą farbą, upamiętniające tę konferencję - do-

dał, jakby nie mógł się już opanować. - „ExxonMobil przejmuje Laurel Energy”. No i data. Są super.

Christian spojrzał na prowadzącego obrady członka zarządu, który nagle poczerwieniał jak burak. Słowo „super” było absolutnie „niesuper” tutaj, w sali konferencyjnej na pięćdziesiątym siódmym piętrze, której okna o przyciemnionych szybach wychodziły na Wall Street. Tamten wyglądał tak, jakby lada chwila miał wybuchnąć niepokonanym gniewem.

- Przepraszam... chciałem tylko... - wybąkał chłopak, po czym ugryzł się w język, zrozumiałwszy ostatecznie, że ta jama, którą sam wykopał sobie pod stopami, tylko się pogłębia z każdym następnym słowem, niezależnie od jego znaczenia. Zaangażowanie w tak poważne negocjacje dotyczące olbrzymiej transakcji w połączeniu z brakiem doświadczenia u samego zarania kariery zawodowej sprawiało, że jego nastroje w ciągu ułamka sekundy przechodziły od euforii do istnego koszmaru, toteż teraz ujrzał zapewne w wyobraźni niespodziewany koniec tejże kariery, do tego spowodowany niewinnymi uwagami na temat długopisów jednorazowych. - Chciałem tylko, żeby miał

pan pamiątkowy długopis z okazji tej konferencji, panie Gillette. Bo pan przede wszystkim powinien dostać taki długopis... - Umilkł nagle i powiódł ręką wokół stołu, po czym dodał, jakby już za nic nie mógł się powstrzymać: - Przepraszam, jeśli...

- Dość tego! - warknął wspólnik zarządu. - Na miłość boską, skąd się teraz biorą ludzie, których zatrudniamy...

- Cenię twoje wysiłki - odezwał się Christian, a w duchu pomyślał, że chłopak pewnie zrobił znacznie więcej w tej sprawie niż pozostali uczestnicy narady razem wzięci, co nie zmieniało faktu, że nadal chciał naciągnąć Exxon na dodatkowe dwadzieścia milionów dolarów. I wydawało mu się niewiarygodne, że firma była chyba gotowa wyłożyć te pieniądze. - Czy mogę wobec tego dostać taki pamiątkowy długopis?

- Oczywiście. - Chłopak sięgnął do pudełka, wyjął jeden długopis, po czym wstał z krzesła, pochylił się nad stołem i podał go Christianowi. - Bardzo proszę, sir.

Gillette skrzywił się z niesmakiem. Nie znosił, kiedy ludzie tytułowali go „sir”, bo czuł się przez to jak ich dziadek. A przecież nie był jeszcze stary, miał dopiero czterdzieści trzy lata. Wiedział jednak, że chłopak chciał jedynie okazać mu szacunek. Wziął od niego długopis, obejrzał go i rzekł: - Ładny. Bardzo dziękuję.

- Myślę, że jednak ważniejsze od tych długopisów są podpisane nimi ustalenia - wtrącił oficjalnym tonem wspólnik zarządu, chcąc najwyraźniej dać do zrozumienia, jak bardzo lekceważy tego rodzaju tanie gadżety.

Christian w milczeniu przyglądał mu się przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na chłopaka, który wciąż stał przy swoim krześle.

- Domyślam się, że tylko dzięki twoim działaniom mamy tak szybko z głowy kontrole Departamentu Sprawiedliwości i Departamentu Energii, które równie dobrze mogłyby się ciągnąć przez kolejne dziewięć miesięcy. Świetna robota. - Uśmiechnął się. - Któregoś dnia powinniśmy wybrać się razem na lunch.

- Jasne - rzucił odruchowo chłopak i dopiero po chwili uświadomił sobie, że oto w ułamku sekundy co najmniej odzyskał całą wcześniejszą wiarygodność, jeśli wręcz nie zdobył jej więcej. Christian Gillette, prezes Everest Capital, jednej z najbogatszych prywatnych spółek kapitałowych na świecie, był na Wall Street żywą legendą. Co prawda, łączył ich na razie tylko ten pierwszy impuls sympatii, ale i on zapewniał mu już ochronę. - Z wielką przyjemnością.

- Doskonale. - Christian zawsze lubił wiedzieć, kto wzorowo odwalił całą brudną robotę papierkową. Przed laty sam stał bardzo nisko w hierarchii tych, co zasiadają do negocjacji, toteż świetnie wiedział, ile czasami zależy od takich ludzi. - Skontaktuj się w przyszłym tygodniu

z moją asystentką Debbie i ustal z nią termin. - Mimo surowej miny wspólnika zarządu, Christian wiedział, że chłopak jest bardzo dobry. Już o niego rozpytywał. - Uprzedzę ją, że będziesz dzwonił. Kto wie? Może któregoś dnia zaczniesz pracować dla mnie. - Ta uwaga wywołała stłumione chichoty przy stole konferencyjnym, toteż Gillette z poważną miną skinął chłopakowi głową, żeby dać mu do zrozumienia, że wcale nie żartuje. Wychylił się nieco do przodu i zapytał niecierpliwie, postukując palcem w zegarek: - Jesteśmy gotowi? Robi się późno.

Wspólnik zarządu ruchem głowy dał znak młodszemu współpracownikowi, który poderwał się z miejsca i po- truchtał do stolika na kółkach stojącego w drugim końcu sali. Leżało na nim dziesięć egzemplarzy porozumienia mającego grubość dobrych pięciu centymetrów, obejmującego zasady i warunki transakcji nabycia Laurel Energy od Everest Capital przez ExxonMobil's za 4,8 miliarda dolarów. Kilka lat wcześniej Christian kupił Laurel, kanadyjską spółkę eksploracji i przerobu ropy naftowej, za 300 milionów dolarów. Niedługo później poszukiwacze firmy odkryli nowe pola naftowe na terenach kontrolowanych opcjonalnie przez Laurel Energy, przez co wartość firmy gwałtownie zwiększyła się wielokrotnie. I oto teraz miał zarobić aż 4,5 miliarda dolarów na jej sprzedaży.

Kiedy pracownik skończył układać przed nim egzemplarze umowy w dwóch równych kolumnach, towarzysząca Christianowi prawniczka sięgnęła po pierwszą kopię z góry i otworzyła ją prawie na samym końcu. Odszukała stronę, na której pod grubą czarną kreską widniało imię i nazwisko Gillete'a wypisane wielkimi drukowanymi literami.

- Prezesi ExxonMobil już podpisali umowę, Christianie - powiedziała. - Kolej na ciebie.

- Nie masz zastrzeżeń? - spytał jeszcze. Końcową umowę uzupełniało mnóstwo innych dokumentów, ich sporządzenie kosztowało łącznie 25 milionów dolarów,

a honorarium kancelarii nadzorującej transakcję następne 5 milionów. Jego podpis był potrzebny tylko na tej jednej stronie. - Wszystko w porządku?

- Tak.

Christian przekreślił końcówkę długopisu, otwierając go w ten sposób, po czym podpisał umowę nad czarną kreską. Takie same podpisy złożył na dziewięciu pozostałych egzemplarzach. Sprawa została załatwiona.

Kiedy zamknął ostatnią umowę, uśmiechnął się szeroko. Sprzedał wiele firm w ciągu ostatnich dziesięciu lat, zarówno takim olbrzymim kompaniom jak ExxonMobil, jak też zwykłym ciułaczom, przekształcając je w spółki akcyjne i wprowadzając na giełdę. Dreszcz podniecenia, jaki wywoływała świadomość dużego zysku, nie był dla niego niczym nowym, ale jeszcze nigdy dotąd nie zarobił na jednej transakcji aż 4,5 miliarda dolarów. Dlatego też poczuł się nagle tak, jakby trafił szóstkę w totka.

A jeszcze bardziej podniecała go świadomość tego, że Everest będzie mógł zatrzymać dla siebie aż 20 procent z tego zysku, czyli 900 milionów dolarów. Wyraźnie ustalał to jeden z głównych punktów standardowej umowy, jaką musieli podpisać wszyscy inwestorzy. Jego firmie należało się 20 procent niezależnie od wielkości zysku. Zatem miał okazję uszczęśliwić tymi pieniędzmi mnóstwo ludzi pracujących w Everest Capital. I to w wszystkich, poczynając od starszych wspólników zarządu, którzy odpowiadali tylko przed nim, aż do recepcjonistek. A z upływem lat możliwość uszczęśliwiania podwładnych sprawiała mu coraz większą satysfakcję.

Spojrzał na zegarek, dochodziła dziewiąta. Miał za sobą bardzo długi i wyczerpujący dzień, musiał jednak poświęcić jeszcze kwadrans, nim wszelkim formalnościom stanie się zadość i będzie mógł wreszcie opuścić ten budynek. Chciał jak najszybciej wracać do domu, bo liczył, że zdąży jeszcze obejrzeć chociaż końcówkę transmisji z uroczystości wręczenia Oscarów, ale było to coraz mniej realne. Tuż po zakończeniu posiedzenia musiał jeszcze odpowiedzieć na ten niezwykle ważny telefon, a nie umiał ocenić, ile czasu mu to zajmie.

Melissa Hart czekała niemal całą wieczność właśnie na ten wieczór, który miał jej przynieść zwycięstwo. W końcu pozbyła się jakichkolwiek wątpliwości. Musiała wygrać. A przecież to zwycięstwo w żadnej mierze nie było jeszcze zwieńczeniem jej kariery.

Odnosiła wrażenie, że było jej ono pisane. Uświadomiła to sobie wyraźnie podczas wczorajszej półgodzinnej wieczornej sesji próbnej. Wyobraźnia podsuwała jej sekwencję wzrastającego napięcia, ogłoszenia wyniku i wreszcie gromkich owacji. Teraz pozostała już tylko jedna wątpliwość: czy podoła wyzwaniu? Owo pytanie dręczyło ją tym bardziej, że wyobraźnia podsuwała wyraźne obrazy tylko do tego momentu, do wybuchu

gromkich owacji, nic więcej. Jej dalsza przyszłość stanowiła nadal wielką niewiadomą.

Taka sekwencja zdarzeń po raz pierwszy przyśniła jej się przed ośmioma laty, w noc po czternastych urodzinach, zaledwie kilka godzin po tym, jak matka ostatecznie przegrała długą i pełną wyrzeczeń walkę z rakiem piersi. Ujrzała ją pod zaciśniętymi powiekami, które miały powstrzymać potok łez i zapewnić jej odrobinę wypoczynku po dwóch dobach czuwania przy łóżku konającej. Przez te trzy dni, gdy matka kolejno odzyskiwała i traciła świadomość, powoli od niej odchodząc, Melissa żyła w całkiem innym świecie. I kiedy wreszcie nadeszła ta chwila, gdy w zapadniętych oczach chorej pojawił się wyraz bezkresnej desperacji, gdy lekki ucisk lodowato zimnych palców zgrał się z ostatnim głośniejszym tchnieniem, na długo wryła jej się w pamięć, jak gdyby każdego dnia zmuszając od nowa do przeżywania tamtych dramatycznych chwil. Sen o zwycięstwie powracał uparcie przez kilka nocy

zaraz po śmierci matki i pewnie całkiem odszedłby w zapomnienie, gdyby przed miesiącem Melissa nie otrzymała wiadomości od swojego agenta, że faktycznie została nominowana do nagrody. Od tamtej pory zniknął na dobre, pozwalając jej wreszcie spać spokojnie. Z pamięci przestały nawet wypływać natrętne wspomnienia z ostatnich chwil życia matki.

Barek w limuzynie był bogato zaopatrzony, toteż Melissa z ochotą wykorzystwała ten fakt w drodze ze swojego trypokojowego mieszkania w Santa Monica do Hollywood. W ciągu niecałych trzydziestu minut wychyliła trzy duże lampki szampana, usiłując w ten sposób zebrać w sobie resztki odwagi. Dom Perignon był wyśmienity i faktycznie podbudował jej pewność siebie, tyle że chyba nie na długo.

Ale kiedy ujrzała wewnątrz Kodak Theatre, poczuła wdzięczność, że instynkt kazał jej sięgnąć po płynne wsparcie. Zatłoczona widownia mogła przypisać o frustrację nawet tych, którzy od wczesnego dzieciństwa byli oswajani z publicznymi wystąpieniami. Schodząc powoli w stronę zarezerwowanego dla niej miejsca w drugim rzędzie, uznała, że w tylnej części widowni nie byłoby gdzie szpilki wetknąć. Prawie trzy i pół tysiąca miejsc bez resz- ty zajmowali mężczyźni we frakach i kobiety w długich balowych sukniach, nie licząc zwykłych gapiów stłoczonych w przejściach pod ścianami. Może nawet poczułaby się nieco swobodniej, gdyby nie wyzywające spojrzenia, jakimi odprowadzali ją mijani ludzie.

Na szczęście nie musiała długo czekać na ostateczne rostrzygnięcie, nie musiała zaciskać kciuków przez niekończące się nudne rozdawanie mniej

znaczących Oscarów, gdyż tego by zapewne nie wytrzymała psychicznie. Nagroda, do której została nominowana, miała zostać wręczona jako jedna z pierwszych tego wieczoru. Oscar dla najlepszej aktorki drugoplanowej za rolę siostry upośledzonego

psychicznie mężczyzny oskarżonego o zabój-

stwo, którego nie popełnił. Co prawda w tej dziedzinie rywalizacja była dość ostra, Melissa występowała w gronie starszych i uznanych gwiazd Hollywood, które do tej pory jeszcze nigdy nie zdobyły Oscara. Poza tym była bardzo młoda, skończyła dopiero dwadzieścia dwa lata.

W normalnych okolicznościach nie miałyby co liczyć na zwycięstwo w tym roku. Ale była córką Richarda Harta zwanego w środowisku filmowców Ryszardem „Lwie Serce”, któremu swoje kariery zawdzięczało wielu spośród członków Akademii Filmowej. Na listach najważniejszych producentów hollywoodzkich nazwisko jej ojca nie pojawiała się tylko dlatego, że był prawdziwym zawodowcem wśród rzeszy amatorów. To on rozdawał karty w całym tym Pstrykowie Dolnym. Przyznanie Oscara córce było równoznaczne z ucałowaniem jego pierścienia przez członków Akademii, co miało zapewnić im dalsze sukcesy w branży filmowej tak długo, jak długo on będzie miał na nią wpływ.

W ciągu minionych lat niewielu było aktorów i reżyserów, którzy w swym zadufaniu uznali, że dadzą sobie radę bez pomocy Ryszarda „Lwie Serce”. Wszyscy szybko pożałowali, że nie stać ich było na oddanie mu należnego hołdu. Musieli bez wyjątku albo zająć się produkcją filmów klasy B, albo całkiem zniknąć z horyzontu, „Lwie Serce” był bowiem równie mściwy, jak wpływowy. Ale też nigdy dotąd nie miał do czynienia z tak młodą zdobywczynią Oscara, o czym Melissa po prostu nie mogła zapomnieć. Nigdy też nie miał do czynienia w takim gremium z żadnym członkiem własnej rodziny.

Wychyliła się teraz z fotela i spojrzała na lewo, wypatrując właśnie jego. Od razu spostrzegła go pośrodku pierwszego rzędu. Spoglądał na otaczających go ludzi z tym samym tajemniczym uśmiechem, jaki błąkał się na jego wargach, ilekroć w dzieciństwie próbowała zwrócić na siebie jego uwagę. Jutro rano miał odlecieć do Waszyngtonu, jak zapowiedział jej wczorajszego wieczoru przez telefon.

Do tego służbowym odrzutowcem prezydenta, który Jesse Wood przysyłał specjalnie dla niego, jak twierdził. Zatem Richard Hart był nie tylko jedną z głównych postaci Hollywood, ale również wschodzącą gwiazdą

politycznych elit Waszyngtonu.

Pospiesznie odchyliła się na oparcie fotela, gdy ojciec zaczął się rozglądać po widowni. Nie miała ochoty spojrzeć mu w oczy, przynajmniej na razie, dopóki jeszcze nie miała Oscara w rękach. Spuściła głowę i zaczęła wygładzać czerwoną satynową suknię bez pleców, a następnie rozczesywać palcami długie blond włosy, żeby dobrze się układały na ramionach. Pochwyciła zaciekawione spojrzenie siedzącego nieopodal młodego przystojnego mężczyzny i choć była już przyzwyczajona do tego typu spojrzeń, uśmiechnęła się do niego. Była w pełni świadoma własnej urody. I nie wahała się wykorzystywać tego atutu, ilekroć uznawała to za celowe.

Wreszcie światła przygasły i ucichł szum rozmów, operatorzy włączyli kamery i zaczęło się przedstawienie. Zaledwie po siedmiu minutach nadszedł czas na ogłoszenie, kto został nominowany do nagrody w kategorii najlepsza aktorka drugoplanowa. Uśmiechnęła się do obiektywu kamery, gdy jej nazwisko zostało wymienione jako trzecie, i szybko zerknęła po raz kolejny na przygotowaną wcześniej listę podziękowań. Kiedy prowadzący wyczytał piątą i ostatnią nominowaną aktorkę, na widowni zapadła pełna napięcia cisza, w czasie której nazwiska wypisane na kartce rozmyły się przed oczami Melissy. Odniosła wrażenie, że jedynym dźwiękiem wypełniającym olbrzymią salę jest trzask otwieranej koperty i stłumiony chichot prowadzącego, który miał kłopoty z wyjęciem ze środka kartki, żeby odczytać, kto zwyciężył w tej kategorii.

Wreszcie Melissa, jak należało się spodziewać, usłyszała własne imię i nazwisko i na kilka minut jej świat wypełnił się ogłuszającą muzyką, donośnym aplauzem, widokiem uśmiechniętych twarzy, dotykiem czyichś dłoni na

ramionach, a przede wszystkim uczuciem, że oto frunie po schodach w kierunku wejścia na scenę. Kiedy w końcu zapadła cisza, a ludzie zajęli z powrotem swoje miejsca, uniosła wysoko nad głowę statuetkę, zimną i wilgotną od kondensującej się na niej pary z nawiewu klimatyzacji. Wpatrywała się w nią przez kilka sekund, zanim opuściła i popatrzyła przed siebie, unikając spojrzenia ojca. Potrafił wszystko wyczytać z jej twarzy, jakby miał przed sobą któryś ze scenariuszy swoich wysokobudżetowych hitów. Wiedziała, że gdyby nieopatrznie zerknęła w jego stronę, choćby tylko na chwilę, mógłby się domyślić, co ona planuje, i nawet jeszcze teraz ją powstrzymać. Stać go było na to.

- Jestem... głęboko wzruszona - zaczęła cicho, usiłując sobie przypomnieć

listę wszystkich ludzi, którym chciała podziękować. Ale w głowie miała kompletną pustkę, nie potrafiła się skupić na niczym innym poza głównym punktem swojego planu. Powiodła wzrokiem po twarzach tysięcy wpatrujących się w nią ludzi i po raz kolejny zadała sobie w duchu pytanie, czy na pewno jest gotowa to uczynić. Ryzyko było ogromne. Ale w odpowiedzi wewnętrzny głos odezwał się stanowczo: Tak.

Delikatnie musnęła palcami bezcenną statuetkę i przeniosła wzrok na ojca. Uśmiechał się szeroko, przepełniony dumą, chociaż jego uśmiech ginął w obfitym szpakowatym zaroście, a oczy jak zwykle świdrowały ją na wylot. Wskazała go i także się uśmiechnęła.

- Mój ojciec, Richard, siedzi tam, w pierwszym rzędzie.

Rozległy się gromkie brawa ludzi będących w jego sąsiedztwie, zapewne mających nadzieję, że zwróci uwagę na ich reakcję.

- Nie wątpię, że oczekuje, iż podziękuję mu za tę nagrodę. - Ponownie uniosła Oscara, wyczuwając już narastające napięcie. - Zapewne się spodziewa, że jest pierwszy na mojej liście.

Ludzie zaczęli poruszać się nerwowo w fotelach i spoglądać na siebie z wysoko uniesionymi brwiami.

- Ale ja nie zamierzam tego robić.

Jej uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi skrajnej determinacji. Trzy tysiące trzysta osób przyglądało jej się z takimi minami, jakby uroczystość w mgnieniu oka została przeniesiona na księżyc. W olbrzymiej sali zapadła martwa cisza. Z mocno bijącym sercem Melissa uświadomiła sobie, że oto nadeszła ta chwila, która miała przejść do historii Hollywood. Wszystkie stacje telewizyjne będą na okrągło odtwarzać to jej wystąpienie. I to nie tylko jutro, ale pewnie jeszcze przez lata.

- Szczerze mówiąc, chcę mu powiedzieć wobec całego świata, jakim jest żalonym śmieciem, skoro odszedł ode mnie i od mojej matki osiem i pół roku temu. - Stopniowo podnosiła głos, gdyż na widowni wszczęło się poruszenie, narastał szmer głosów, ludzie unosili ręce do ust. Znowu popatrzyła na wykrzywioną wściekłością twarz ojca. - Zaraz po tym, jak moja matka zachorowała! - krzyknęła do mikrofonu pośród narastającego tumultu. - Zostawił nas dla innej kobiety! Zwyczajnie porzucił, żeby...

Jak grom z jasnego nieba huknęła orkiestra, podniosłymi tonami całkowicie zagłuszając Melisę. Uśmiechnęła się więc, spoglądając na ojca. Był rozjuszony, stał przed swoim fotelem i wymachiwał szeroko rękami, wskazując na nią i wykrzykując coś, czego w żaden sposób nie mogła

usłyszeć, chociaż dzieliło ich zaledwie kilkanaście metrów. Bez wątplenia usiłował jeszcze ratować swój wizerunek, ale nic już nie mógł zrobić. To ona była zdobywczynią Oscara, do tego jedną z najmłodszych w historii, a więc jedną z najbardziej rozchwytywanych obecnie gwiazd Hollywood. Czowała się nietykalna.

Kobieta w długiej czarnej sukni, która wręczała jej Oscara, chwyciła ją pod rękę i zaczęła ciągnąć gdzieś w prawo. Melissa początkowo próbowała się opierać, ale zaraz

uległa. Zrobiła już to, co zamierzała. Jej występ dobiegł końca. Po raz ostatni uniosła statuetkę nad głowę, drugą ręką pomachała widowni i zeszła ze sceny. Dręczący ją sen wreszcie się spełnił. Matka w końcu mogła spoczywać w pokoju.

Rozdział 2

Dawno temu, jeszcze przed rewolucją, kiedy Gustavo Cruz był małym chłopcem, to wielkie gospodarstwo hodowli bydła, jedno z największych na Kubie, należało do jego dziadka oraz czterech jego braci. Było ich prawowitą własnością. Ale potem Castro doszedł do władzy i zlikwidował własność prywatną. Od tamtej pory rodzina Cruzów była tylko współdzierzawcą ziemi należącej do niej od wieków. Oczywiście po tym, jak jego dalecy przodkowie wymordowali tubylczych Indian Taino prawie do nogi, co Cruz uświadomił sobie boleśnie, przekradając się w ciemnościach w kierunku chylącej się ku ruinie drewnianej obory. Może przez to wisiała nad nimi jakaś klątwa?

W roku 1958, kiedy rewolucja osiągnęła apogeum, wybór był oczywisty. Można było uciekać z kraju z pustymi rękoma i pewnie wpaść w ręce żołdaków w drodze do Miami albo zostać i podjąć współpracę z nowymi władzami. Dziadek Cruza wybrał to drugie, mając nadzieję, że reżim komunistyczny nie utrzyma się zbyt długo, ale czterej jego bracia zdecydowali się na ucieczkę. Zostali schwytani kilkaset metrów od plaży Cardenas w małej łodzi wiosłowej razem z trzema innymi uciekinierami. Krążyły plotki, że jednego z nich widziano niedawno żywego na dziedzińcu więzienia Quivican jako doszczętnie złamanego starca, Cruz podejrzewał jednak, że są to tylko plotki, zapewne rozsiewane przez kogoś z partyjnych wyżyn, być może kogoś z Ministerstwa Rolnictwa, kto pałał głęboką

nienawiścią do „potomków obszarników” i pewnie chciał ich dobić złudną nadzieją, że ktoś z dawnej linii dziedziców rodzinnej fortuny może jeszcze żyć.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego i utracie miliardowych dopłat na rozwój kubańskiego rolnictwa Cruz został zmuszony do sprzedaży nadmiarowej ilości mleka na wolnym rynku dolarowym, która ostatnio osiągnęła aż 40 procent całego udoju. Chcąc jednak zachować pozory normalności w zakresie obowiązkowych kontyngentów dla państwa, musiał coraz bardziej fałszować dane dotyczące całkowitej produkcji mleka. Teraz nie tylko znacznie zaniżał rzeczywistą wartość produkcji, ale w dodatku podawał mniejszy stan trzody od rzeczywistego, co narażało go na poważne niebezpieczeństwo. Gdyby w gospodarstwie pojawiła się kontrola z Ministerstwa Rolnictwa, zapewne na wiele lat trafiłby do więzienia. Nie miał jednak wyboru. Musiał jakoś wykarmić pięcioro dzieci oraz jedenaścioro wnucząt, co stanowiło dość liczną gromadkę. Dlatego bez sprzeciwu płacił co miesiąc sowitą łapówkę okręgowemu przedstawicielowi służb bezpieczeństwa, który obiecywał zatroszczyć się o to, by inspekcja z Ministerstwa Rolnictwa nigdy nie dotarła na jego podwórko.

W zamyśleniu jeszcze przez jakiś czas drapał po karku kościstą, czarnobiałą krowę przewodzącą stadu, podczas gdy ta bez zainteresowania przeżuwała siano w swoim boksie w oborze. Cieszył się, że zwierzęta przebywały bezpiecznie pod dachem. Intensywny odór gnojówki wiszący w ciepłym wilgotnym powietrzu należał zapewne do tych zapachów, którymi większość mężczyzn pogardzała, on jednak go lubił. Przypominał mu bowiem czasy, kiedy pomagał ojcu odbierać cielęta, czyścić całe obejście i doić krowy. Zresztą nie miał żadnych zastrzeżeń, że w jego wspomnieniach dominuje coś tak trywialnego, jak dojenie krów. Wymamrotał teraz do krowiego ucha parę hiszpańskich słów, po czym odwiązał zwierzę i wyprowadził je z obory. Od dłuższego czasu traktował tę krowę jak serdeczną przyjaciółkę, ale nie mógł zaakceptować tego,

że nie daje już mleka. Jego rodzinie bardzo była potrzebna żywność, nie starczało im pieniędzy, by trzymać zwierzęta dla samej przyjemności. Życie hodowcy bydła nie było łatwe, podobnie jak w każdej innej dziedzinie na tej wyspie.

Wyciągnął rygiel z zardzewiałego kółka w ścianie przegrody, odchylił furtkę, skręcił do wyjścia i skierował się długą wyboistą polną drogą ku wąskiej lokalnej szosie.

O tak późnej porze jeździły nią tylko dostawcze ciężarówki, można więc było zakładać, że któryś samochód potrafi starą wycieńczoną krowę, zwłaszcza jeśli zostawi ją w słabo widocznym miejscu na zakręcie. Oczywiście byłoby znacznie łatwiej i bardziej humanitarnie wpakować staruszcze kulkę w łeb, ale to byłoby na Kubie poważnym przestępstwem graniczącym ze zdradą ojczyzny. Gdyby ktoś z Partii się dowiedział, że nagle w jego lodówce pojawiły się nadmierne ilości wołowiny, mógłby znaleźć się za kratkami na wiele miesięcy, a może nawet i lat.

Gdyby jednak krowa zginęła w wypadku na drodze, nawet milicjanci skłonni byliby przyznać, że nie warto marnować takiej ilości świeżego mięsa. A jeśli w dodatku napełniłby im kieszenie banknotami dziesięciodolarowymi - równającymi się tutaj co najmniej kilku setkom - nawet by nie zgłosili wypadku. Wówczas razem z chłopcami zaraz po odjeździe milicji wciągnąłby zabita krowę za starą przyczepkę do przewozu koni, a z samego rana ją oprawił. Brzydził się tą robotą, gdyż potracona krowa z połamanymi nogami mogła cierpieć przez wiele godzin, zanim milicjanci pozwoliliby mu ją zastrzelić, ale nie miał innego wyjścia.

Objął ją przez kark, jakby chciał w ten sposób zmusić do przyspieszenia kroku. On w ubiegłym tygodniu boleśni stłukł sobie kolano, gdy spadł z konia spłoszonego przez węża na końcu pastwiska, a ona ledwie już przebierała nogami ze starości. Cicho zaryczała, jakby w proteście,

i potrząsnęła łbem, próbując się uwolnić od jego uścisku.

Zwolnił więc, gdyż i tak przed nimi zamajaczył wyjazd na szosę.

Kiedy wyprowadził krowę na szosę, pociągnął ją w lewo. Jej kopyta głośno zastukały po bruku, rozbijając rytm donośnego kumkania żab i mieszając się z bzydze- niem owadów nad ich głowami. Wbijał wzrok w nisko zwieszające się gałęzie drzew, zmierzając ku odległemu

o sto metrów ostremu zakrętowi. Między listowiem widoczny był rozmyty blask księżycy, który co rusz przecinały latające stworzenia żerujące nocą. Westchnął ciężko, wciągając głęboko w nozdrza powietrze przesycone zapachem polnych kwiatów. Niczego nienawidził bardziej od zabijania. To był jego największy problem.

Na początku krzywizny zakrętu Cruz wyprowadził krowę na środek drogi, rozwiązał linę omotaną wokół jej szyi

i pogładził dłonią zwisające nisko podgardle. Jego krowy miały dziwny zwyczaj - zastygały bez ruchu, kiedy zostawiał je same w obcym otoczeniu. Były gotowe stać jak wmurowane w jednym miejscu, czekając, aż po nie

wróci.

Skrzywił się i szybko cmoknął krowę w czubek nosa, gdy zza zakrętu doleciał zbliżający się warkot silnika, po czym w kilku susach dał nura w pobliskie krzaki. Nie był w stanie nawet patrzeć na to, co ma się wydarzyć.

Steven Sanchez w czasie swojej kariery pracował dla wielu osób. Zdarzało mu się stawać po różnych stronach barykady, ale zawsze sumiennie wywiązywał się z obowiązków, o czym mogło świadczyć chociażby to, że wciąż żył. I wciąż miał w Paryżu żonę i dwójkę dzieci. Rzadko się z nimi widywał, ale gdy nadarzała się okazja, czynił z niej prawdziwe święto. Żona i dzieci nigdy nie były narażone na niebezpieczeństwo. Pod tym względem ściśle przestrzegał zasad obowiązujących w tym biznesie: zawsze dokładnie sprawdzał tożsamość zleceniodawcy i koncentrował się wyłącznie na wyznaczonym celu. Nie

mógł zapomnieć, jak wielu jego konkurentów przechwalało się swoimi wyczynami, wyliczało swoje największe osiągnięcia, i większość z nich już nie żyła.

„Zawsze poniżej pułapu działania radarów” - tak brzmiała jego mantra, którą powtórzył w myślach także teraz, spoglądając na jaskrawe światła miasta przesuwane się za oknem obok jego fotela 21F w kabine boeinga 737 skręcającego w lewo przed końcowym podejściem do lądowania. Nauczył się tej mantry od swego mentora przed wielu laty, jeszcze przed pierwszym zleceniem na terenie Iranu. „Zawsze sprawiać wrażenie człowieka niegroźnego, a nawet słabeusza, chociaż nie za słabego, żeby nie przyciągać niepotrzebnie uwagi”. Dlatego niezmiennie starał się przemykać niepostrzeżenie czy też prawie niepostrzeżenie, bo tylko to dawało mu szansę powodzenia. A w tym biznesie znakiem powodzenia było przede wszystkim utrzymanie się przy życiu, gdyż pieniądze wcale nie grały tak wielkiej roli. Jeśli ktoś był gotów wykonać takie zlecenie, mógł w ciemno liczyć na sowitą zapłatę, toteż podstawowym wyzwaniem było utrzymanie się przy życiu.

Sanchez docisnął mocniej pas, kiedy wysunęło się podwozie i samolotem zatrzęsło. Zaczerpnął głęboko powietrza. Nie znosił latać, a im bardziej przybywało mu lat, tym gorzej znosił takie podróże. A najbardziej nienawidził latania nocą, kiedy za oknem panowały ciemności.

- Hej, nawet mi nie powiedziałaś, jak się nazywasz.

Obejrzał się na chłopaka zajmującego środkowy fotel, który lekko szturchnął go łokciem. Hałaśliwy dwudziestolatek z Manhattanu jeszcze podczas kołowania na lotnisku La Guardia dał mu wyraźnie do zrozumienia,

że nie leci pierwszą klasą tylko dlatego, że ktoś mu źle zarezerwował miejsce i zaraz po jego powrocie wyleci na zbity pysk z roboty. Sanchez był zresztą świadkiem kłótni przy stanowisku odpraw, kiedy wszyscy czekali w długiej kolejce na wejście do samolotu. Tamten wrzeszczał na całe gardło, szeroko wymachując rękoma, i domagał się ujawnienia nazwisk pracowników prowadzących odprawę i przydzielających miejsca. A potem przez całą drogę z Nowego Jorku gadał tylko o tym, jak bogata jest jego rodzina.

- Emilio - rzucił Sanchez, podając swój ulubiony pseudonim i zmuszając się do uśmiechu. Pomyślał, że cudownie byłoby zabić gnojka. Co prawda, musiałby w tym celu pojawić się w polu widzenia radarów, ale przecież nie mógł całe życie postępować jak robot. No i zyskałby nowe doświadczenie. Nie wykończył nikogo już od roku. A przecież w każdym fachu nowe doświadczenie było bezcenne, nawet dla takiego weterana jak on. - Mam na imię Emilio.

- Aha. Więc posłuchaj, Emilio. Wiem, tacy, jak ty myślą, że wszystko im się od życia należy, ale jak powiedziałem, mieszkamy w najpotężniejszym kraju świata. Masz już swoje lata, więc pewnie trudno ci będzie cokolwiek w życiu odmienić. Ale wspominałeś, że masz syna, zgadza się? On jeszcze może coś zrobić ze swoim życiem. Może zacząć zarabiać duże pieniądze. - Gnojek wymachiwał przy tym palcem, jakby prowadził lekcję w pierwszej klasie podstawówki. - Przede wszystkim należy zdobyć wykształcenie, no i być gotowym do bardzo ciężkiej pracy. Spotykam mnóstwo ludzi, którzy są leniwi i uważają, że wiele im się od życia po prostu należy. Zawsze trzeba ciężką pracą wywalczyć to, czego się pragnie.

Sanchez zerknął na szpanerskiego roleksa na jego przegubie, po czym przeniósł wzrok na uśmiech szczeniaka. Wystarczyłoby jedno chłaśnięcie ostrym nożem po miękkim gardle. Czy to by mu przyniosło choć trochę satysfakcji?

- Powtórz to swojemu dzieciakowi - ciągnął tamten podniosłym tonem. - Przekaż mu moje słowa. To najlepsza życiowa rada, jakiej mógłby oczekiwać.

Opony samolotu z głośnym piskiem zetknęły się z asfaltem pasa startowego, a chwilę później silniki odrzutowe zawyły ze zdwojoną mocą na wstecznym ciągu. Kiedy

Sanchez wstał z fotela, wspierając się o jego oparcie, zwrócił uwagę na zdjęcie w otwartym egzemplarzu magazynu „Forbes” leżącym na kolanach sąsiada. Zdjęcie dokładnie tej samej osoby tkwiło w bocznej kieszeni jego

torby podróżnej leżącej w schowku nad fotelami. Przedstawiało jego kolejny cel: Christiana Gilette'a.

Melissa siedziała z lampką szampana w ręku w półkolistym boksie głównej sali „Elaine's”, nowego lokalu, bardzo modnego w Hollywood, zwłaszcza wśród aktorów, którzy mieli kaca po pobycie na manhattańskim Upper East Side. Towarzyszyły jej cztery dziewczyny, wszystkie zaledwie dwudziestoletnie, z których dwie zdążyły już stworzyć charakterystyczne postaci w nadawanych nocą serialach telewizyjnych, a pozostałe dwie jeszcze się do dobijały do bram aktorskiego biznesu. Tego wieczoru jednak wszystkie doskonale się bawiły, nie mogąc się napatrzeć na statuetkę Oscara stojącą pośrodku stolika.

Jedna z nich uniosła w górę lampkę szampana i zaproponowała:

- Wypijmy jeszcze raz za Melissę. I za...

- Och, dajże wreszcie spokój - ofuknęła ją przyjaciółka. - Nie musisz mówić o rzeczach oczywistych.

- O co wam chodzi?

- To już trzeci toast za Melissę ciągu ostatnich dziesięciu minut. Przyhamuj trochę.

Melissa zaśmiała się głośno.

- Wszystko przez kokę. - Rzeczywiście, dziewczyna, która proponowała toast, tego dnia bez umiaru dawkowała sobie biały proszek. - Kelner! - Melissa, przekrzykując zgiełk panujący na sali, zawołała do przechodzącego nieopodal chłopaka w białym fraku z czarną muszką. - Potrzebne nam dwie następne. - Wskazała stojące na stoliku puste butelki po szampanie.

Kelner zerknął na stojącego przy nich Oscara i błyska

wicznie ruszył w stronę baru, lekceważąc przyjęte chwilę wcześniej zamówienie obiadowe.

Melissa uśmiechnęła się triumfalnie, zupełnie tak samo, jak do rozwścieczonego ojca w Kodak Theatre. Świadomość, że miała u kelnera absolutne pierwszeństwo, mile połechtala jej dumę.

- To wymagało bardzo dużo odwagi - odezwała się dziewczyna siedząca po lewej stronie, sącząc resztkę szampana ze swojego kieliszka. - Żeby powiedzieć ojcu coś takiego prosto w oczy, i to przed kamerami telewizyjnymi...

Melissa lekceważąco machnęła ręką.

- W pełni sobie na to zasłużył.

- Ależ oczywiście, nie wątpię. Tyle że jest w tym środowisku kimś

bardzo ważnym. Nie martwisz się, co może cię teraz spotkać z jego strony?

- A co mnie może spotkać? - zapytała, ruchem głowy wskazując Oscara. - Nie sądzisz, że jestem teraz jak gdyby kuloodporna?

Przyjaciółka także spojrzała na statuetkę i pokiwała głową.

- Chyba masz rację. Jeśli się dobrze zastanowić, to co mógłby... - Urwała nagle i oczy jej się rozszerzyły. - O Jezu... - szepnęła.

Melissa obejrzała się szybko na lewo i omal nie upuściła kieliszka z szampanem. Przed ich stolikiem zatrzymał się ojciec.

- Witaj, Mel - odezwał się miękko Richard Hart, używając zdrobnienia z jej dzieciństwa. - Dobrze się bawisz?

Zapatrzyła się na niego, świadoma, jak stopniowo cichnie na sali gwar rozmów. Wydawało jej się, że wszyscy patrzą w tę stronę, nie wyłączając kelnerów. Poczula się znowu jak przed zatłoczoną widownią sali Kodaka.

- Szczerze mówiąc, doskonale - odparła z chytrym uśmieszkiem, błyskawicznie odzyskując panowanie nad sobą. - Jak jeszcze nigdy dotąd.

Hart powiódł surowym wzrokiem po twarzach towarzyszących jej dziewcząt, jakby chciał się upewnić, że i one świetnie wiedzą, kim jest.

- Na pewno nie chcesz mi nic więcej powiedzieć, Mel? - zapytał, ponownie koncentrując na niej świdrujące spojrzenie.

- Już powiedziałam przed kamerami wszystko, co miałam do powiedzenia.

- Ja jednak dam ci jeszcze jedną szansę, skarbie - rzekł, podnosząc nieco głos. - Niestety, ostatnią.

- Na co szansę? - zdziwiła się.

- Na przeprosiny.

Przez chwilę spoglądała na niego w milczeniu, po czym wolno podniosła się z miejsca.

- Nigdy ich ode mnie nie usłyszysz - syknęła, wskazując palcem drzwi. - A teraz wynoś się stąd! Słyszałeś?! - krzyknęła mu prosto w twarz. - Wynocha!

Zawahał się jeszcze na krótko, po raz kolejny zaszczycając spojrzeniem dziewczęta przy stoliku. Wreszcie skinął im uprzejmie głową i zawrócił do wyjścia.

Kiedy zniknął im z oczu, Melissa powoli usiadła z powrotem, dygocząc z wściekłości. Po chwili chwyciła pierwszy z brzegu kieliszek, w którym był jeszcze szampan, i wychyliła go duszkiem.

- Widzicie? - zapytała, odstawiając go na stół. - Wcale nie jest taki

twardy, jak mu się wydaje.

- Podobnie jak ty - odezwała się półgłosem któraś z dziewcząt.

Rozdział 3

Padilla był wykończony. Jego dzień pracy zaczął się już

o szóstej rano od trudnego zabiegu chirurgicznego, usunięcia wrzodu żołądka starszemu pacjentowi, który dostał na stole zawału serca, przez co operacja wydłużyła się do czterech godzin. Na szczęście wykonany przez niego masaż serca okazał się skuteczny, gdy zabytkowa aparatura odmówiła posłuszeństwa i zaraz po ataku przez kilka minut nie było prądu. Wyłączenia zdarzały się regularnie po kilka razy dziennie, gdyż władze kubańskie nie umiały znaleźć innego sposobu na niedobory prądu, stosowały więc takie same metody, jak w wypadku innych produktów. Przerwy w zasilaniu stały się więc rzeczą tak powszednią, jak jedzenie czy oddychanie. Fatalnym zbiegiem okoliczności tym razem do wyłączenia doszło w krytycznym momencie, a równie zabytkowy generator awaryjny szpitala potrzebował aż pięciu minut na osiągnięcie pełnej mocy. W efekcie nie zdołał wyciąć pacjentowi całego nowotworu, będzie musiał więc po raz drugi przystępować do tej samej operacji, gdy tylko stan zdrowia mężczyzny ulegnie poprawie, prawdopodobnie za kilka tygodni.

Po zabiegu zdążył jedynie coś przekąsić w pośpiechu

i już musiał iść na obchód, żeby zobaczyć się z dwoma innymi pacjentami, których operował w tym tygodniu. Wyszedł ze szpitala o siedemnastej, wsiadł do swojego jasno- różowego chryslera windsor newport i pojechał na lotnisko José Martí na obrzeżu Hawany, żeby złapać pierwszy kurs tego dnia. Jego pasażerami okazała się młoda para z Londynu spędzająca na Karaibach miesiąc miodowy, która

przez całą czterdziestopięciominutową podróż tylko się całowała i podszczypywała na tylnym siedzeniu auta. Musiał zbierać w sobie całą siłę woli, żeby nie gapić się bez przerwy we wsteczne lustro, ponieważ blondynka była bardzo ładna i miała na sobie tylko krótką bluzeczkę. Pozwolił więc sobie kilka razy zerknąć na jej odbicie w lusterku, poczuł się jednak skrajnie zakłopotany, kiedy za którymś razem napotkał jej badawcze spojrzenie, gdy odchyliła głowę, pozwalając mężowi całować się po szyi. Padilla bardzo kochał swoją Rose i trójkę ich dzieci, ale miał już czterdzieści

pięć lat i niemal z każdym dniem wbrew woli coraz bardziej odczuwał podświadome tęsknoty wieku średniego.

Kiedy zajechali pod hotel Nacional, mężczyzna wręczył mu pięć euro. Padilla świetnie wiedział, że żaden taksówkarz londyński nie przyjąłby takiej zapłaty, zwłaszcza za tak długi kurs, tu jednak, wzięwszy nawet pod uwagę wysokie koszty benzyny, stanowiło to około dziesięciu procent państwowej pensji doświadczonego chirurga. Jakie to żałosne, pomyślał, kręcąc głową do swoich myśli, chociaż młodą parę pożegnał energicznym machaniem ręką, wyciągnąwszy z bagażnika ciężkie walizy. Nacional był jednym z najbardziej wystawnych hoteli na świecie, tyle że dokoła rozciągały się aż nadto uderzające widoki powszechnej tu biedy. Odsetek analfabetów na wyspie był chyba najniższy w całej Ameryce Łacińskiej, a mimo to rzadko można było kupić jakąś książkę, na co dzień zaś ukazywała się tylko jednak gazeta. Poza tym lekarze zarabiali znacznie lepiej, wożąc ludzi, niż ich lecząc. W końcowym rozrachunku Padilla zarobił tego dnia równowartość dwudziestu dolarów amerykańskich, wliczając w to otrzymany od jednego z pacjentów banknot dwudolarowy, ceniony na wyspie o wiele bardziej od dwóch banknotów jednodolarowych. Teraz, gdy dochodziła już jedenasta wieczorem, jechał wreszcie do domu, ledwie panując nad opadającymi samoistnie powiekami. Jutro z samego

rana czekała go kolejna poważna operacja usunięcia migdałków, chociaż na szczęście pacjent był w pełni zdrowia. Niemniej warto było złapać przed nią choćby parę godzin snu. Czuł się zobowiązany wobec chłopca i jego rodziców, gdyż świetnie wiedział, że nawet taki prosty zabieg może się skończyć źle przez jego nieuwagę bądź roztargnienie.

Przypomniał sobie nagle o trójce własnych dzieci, które ostatnio widywał coraz rzadziej, zwłaszcza od czasu, gdy jedno popołudnie tygodniowo zaczął poświęcać na podwożenie ludzi, żeby zarobić trochę dodatkowych pieniędzy. Teraz wcielał się w rolę taksówkarza cztery, a nawet pięć dni w tygodniu. Trójkę dzieci nie tak łatwo wykarmić, jeszcze trudniej było zrezygnować z dodatkowego niezłego zarobku. Zaczynało to działać na niego jak narkotyk, tym bardziej więc brzydził się myślą o własnym uzależnieniu. Ale w żaden sposób nie mógł temu przeciwdziałać, a już na pewno nie w najbliższym czasie. Na szczęście miał w zanadrzu rozwiązanie długofalowe. Tyle że próba wprowadzenia go w życie oznaczała dla całej jego rodziny śmiertelne zagrożenie.

Ostatnim kursem tego wieczoru wioził wysoko postawionego członka

Partido Comunista Cubano, czyli Komunistycznej Partii Kuby, zwanej na wyspie po prostu Partią. Zatem jednego z tych, którzy rządili tym krajem. Co prawda, mężczyzna opowiadał, że jest tylko przedstawicielem dyrekcji rafinerii narodowej wracającym z podróży służbowej do Europy, ale Padilla i tak wiedział swoje. Od razu rozpoznał tego człowieka na podstawie zdjęć, jakie przed paroma tygodniami widział w biuletynie wypuszczonym przez machinę partyjnej propagandy, a dotyczącym postępów gospodarki w ostatnim półroczu. Jej tekst był w całości wyssany z palca, gdyż w ostatnim półroczu sprawy się jeszcze pogorszyły, i to bardzo, co było publiczną tajemnicą, głównie z powodu strat wywołanych przejściem huraganu Rhonda, który ostatniej jesieni uderzył na

wyspę z południa i zniszczył około trzydziestu procent upraw trzciny cukrowej.

Możliwe, że pasażer był rzeczywiście szeregowym członkiem dyrekcji rafinerii narodowej, ale przede wszystkim partyjnym aparaczką. W dodatku musiał być zasłużonym członkiem komitetu centralnego, gdyż tylko tacy mieszkali w willach poza miastem, pod jaką Padilla go podwiózł. Musiał być aparaczką, gdyż posługiwał się telefonem satelitarnym, a choć na Kubie istniała już telefonia komórkowa, była ona dostępna wyłącznie dla wybranych mieszkańców dużych miast. I tylko członek komitetu centralnego mógł kilkakrotnie wymieniać swoje osiągnięcia, aby dać mu do zrozumienia, że wcale nie jest tępotnym skorumpowanym aparaczką. W tym zakresie odwoływał się do klasycznej techniki dezinformacji. Padilla doskonale zdawał sobie z tego sprawę, gdyż od pewnego czasu uważnie badał zachowania najwyższych urzędników partyjnych. Wszystkie elementy jego planu długofalowego przemawiały za tym, że nie będzie musiał dłużej wcielać się wieczorami w taksówkarza. Co ważniejsze, realizacja jego skrytych marzeń oznaczała zarazem, że dla jego dzieci Kuba stanie się znacznie lepszą ojczyzną, niż była dla niego.

Podczas godzinnej podróży z lotniska Padilla zachowywał się tak, jakby nie słyszał telefonicznej rozmowy swego pasażera, tylko wpatrywał się w mijane po ciemku wiejskie krajobrazy, gdy tymczasem łowił uważnie każde słowo. Zdołał rozszyfrować zaskakującą wymianę haseł, z której wynikało, że ktoś bardzo ważny albo nie żyje, albo jest bliski śmierci. Czyżby chodziło o „El Jefe”? - zachodził w głowę. Plotki o poważnych niedomaganiach naczelnego wodza rozeszły się lotem błyskawicy jakiś miesiąc wcześniej. Chcąc ukrócić spekulacje, starzec wygłosił publicznie jedno ze swoich

płomiennych przemówień, w którym jak zwykle odsądzał od czci i wiary Stany Zjednoczone oraz ich sprzymierzeńców. Bez wątpienia był świadom krą-

żących plotek, a to za sprawą niezliczonej rzeszy swoich „oficerów DGSE”, czyli zwykłych kapusiów, którzy bez przerwy analizowali codzienne życie jedenastomilionowego narodu.

Kiedy zajechali przed fronton pięknej wiejskiej rezydencji, Padilla odmówił przyjęcia hojnego napiwku, wietrząc w tym zabójczy podstęp. Gdyby przyjął pieniądze, mógłby natychmiast wylądować za kratkami pod zarzutem łapownictwa, gdyż nie miał prawa w ogóle przyjmować pieniędzy od ludzi podwożonych na łebka, skoro nie miał licencji taksówkarza. Co prawda nie bał się poważniejszych kłopotów ze względu na swój zawód oraz doskonałą reputację, bo przecież władzom kubańskim zależało na nieskalanym wizerunku państwa dbającego o bezpłatne wykształcenie i zdrowie obywateli, chociaż brutalna prawda wyglądała zdecydowanie inaczej. Niemniej nawet jego pozycja nie chroniła go przed oskarżeniem, mógł więc się obawiać na przykład tygodniowego pobytu w więzieniu jako formy ostrzeżenia. Zdecydowanie nie było to warte ryzyka przyjęcia nawet drobnej zapłaty. Dlatego uśmiechnął się tylko, kręcąc głową, po czym odjechał, zadowolony ze zwrotu kosztów paliwa i z tego, że może wreszcie jechać do domu.

Kiedy oczy zaczęły mu się same zamykać na ciemnej bocznej drodze, opuścił do końca szybę i wystawił głowę za okno, a potem zaczął się boleśnie szczypać po udach i skubać wargi, byle tylko nie zasnąć za kierownicą. Mimo wszystko stopniowo przegrywał walkę z samym sobą. Wyprowadzał właśnie chryslera z ostrego zakrętu, gdy niespodziewanie w snopach światła reflektorów zamajaczył na środku wyboistej drogi wielki cień. Zamrugał szybko i wytrzeszczył oczy, minęła jednak dłuższa chwila, nim rozpoznał stojącą na drodze krowę.

Krzyknął z przerażenia i gwałtownie wdepnął pedał hamulca, błyskawicznie obracając kierownicą w lewo, ale zahaczył prawym końcem zderzaka o przednie nogi

zwierzęcia. Rogaty łeb walnął o maskę auta z przerażającym hukiem, przednią szybę upstrzyły rozbryzgi krwi, on zaś ujrzał przed sobą metrowej głębokości rów biegnący wzdłuż drogi, dodatkowo rozmyty przez tropikalne ulewy, które tego lata nawiedzały wyspę niemal każdego popołudnia. Lewy koniec zderzaka zarył się w skarpe za rowem przy wtórze przeraźliwego

zgrzytu, aż w powietrze strzeliła szeroka struga ziemi, po czym samochód zsunął się bokiem do rowu.

Przez kilka sekund Padilla leżał bez ruchu, oparty ramieniem o drzwi, w duszy dziękując Bogu za to, że zapiął pas bezpieczeństwa, co czynił raczej rzadko. Stopniowo wracała mu pełna świadomość. Najpierw doleciał go smród palonej gumy i gorącego oleju silnikowego, potem usłyszał wycie silnika wciąż pracującego na wysokich obrotach i donośne żałosne ryczenie krowy leżącej zapewne w rowie po drugiej stronie drogi. Dopiero później poczuł pulsujący ból w lewej skroni, którą musiał sobie stłuc

o szybę drzwi, wreszcie uświadomił sobie, że po policzku spływa mu cienka strużka krwi.

Prawe drzwi auta otworzyły się gwałtownie.

- Nic się panu nie stało? - zapytał ostro jakiś człowiek, sięgając przez fotel do jego ramienia. - Halo! Wszystko w porządku?

Padilla skrzywił się, unosząc obie ręce.

- Tak, nic mi nie jest - mruknął, dając znaki, żeby tamten przestał nim potrząsać. - Nic mi się nie stało.

- Ta krowa... uciekła mi z pastwiska. Musiała znaleźć jakąś dziurę w płocie. - Obcy trajkotał jak nakręcony. - Przykro mi z powodu pańskiego samochodu. Obawiam się, że przód trochę się uszkodził.

Padilla przekręcił kluczyk, wyłączając silnik - podobnie jak drugie źródło utrzymania rodziny, pomyślał z goryczą -

i z coraz dotkliwszym bólem głowy zaczął się gramolić do wyjścia.

- Nazywam się Gustavo Cruz - powiedział obcy, wyciągając rękę, gdy Padilla wyszedł z wraku na drogę. - Prowadzę gospodarstwo rolne niedaleko stąd. A kim pan jest?

- Nelson Padilla - jęknął i przyklęknął na jedno kolano, gdyż dostał nagłe silnych zawrotów głowy.

- Muszę teraz pojechać do miasta i zawiadomić milicję. - Cruz skrzywił się z niesmakiem, dostrzegłszy krew na jego twarzy. - Pan jest lekarzem?

- Tak, jestem lekarzem. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby dojść do siebie. - Przypomniał sobie, że zaledwie co dwunaste gospodarstwo na Kubie dysponowało telefonem. Najwyraźniej Cruz nie zaliczał się do wybrańców. - Niech pan jedzie do miasta. Dam sobie radę.

- To tylko pięć kilometrów stąd. Niedługo wrócę.

Padilla obejrzał się na potraconą krowę, która leżała

w rowie, co kilka sekund konwulsyjnie kopiąc pobliskie krzaki.

- Ma pan coś, co pomogłoby mi wyciągnąć samochód z rowu? - Ruchem głowy wskazał przez ramię swojego chryslera. Łudził się, że poza wgnieceniami wóz nie doznał poważniejszych uszkodzeń. W końcu silnik cały czas pracował. - Na przykład traktor? - Uniósł dłoń do rozciętej skroni. Wyczuł pod palcami, że rana nie jest duża, lecz wąska, kilkucentymetrowej długości. Chyba nawet nie było czego zszywać. Wybrał kilka stosunkowo czystych liści z trawy wokół siebie i przytknął je do krwawiącej skroni. - Coś, czym można by wyholować moje auto z rowu.

- Mam w obejściu traktor, ale pas transmisyjny ledwie się trzyma. Czekam na nowy już od kilku tygodni.

Padilla westchnął ciężko. Normalka, pomyślał. Na wyspie chyba nic nie było w pełni sprawne. Cruz byłby szczęściarzem, gdyby dostał nowy pas transmisyjny po kilku miesiącach oczekiwania, a co tu mówić o tygodniach.

- Najpierw muszę wrócić do gospodarstwa, żeby wziąć swój samochód - wyjaśnił wieśniak. - Niech pan tu zostanie. Postaram się wrócić jak najszybciej.

- W porządku.

Padilla odprowadził wzrokiem oddalającego się truchtem Cruza. Zaraz jednak doleciał go zbliżający się warkot ciężarówki i zza zakrętu wyłonił się sunący wolno pojazd.

- Hej! - zawołał Cruz do kierowcy. - Zaczekaj!

Samochód z głośnym piskiem hamulców zatrzymał się trzydzieści metrów za miejscem wypadku i siedzącym na poboczu Padillą. Cruz podbiegł, stanął w otwartych drzwiach na prawym stopniu szoferki i z podnieceniem wymienił parę zdań z kierowcą, po czym zeskoczył i zatrzasnął drzwi, a wóz z donośnym rykiem silnika ruszył dalej.

- Nie jest źle - zakomunikował wieśniak, klękając obok rannego, który stęsknionym wzrokiem odprowadził tylne światła ciężarówki znikające za zakrętem. - Kierowca powiedział, że zna człowieka, który prowadzi nieco dalej warsztat naprawy samochodów, i obiecał, że powiadomi go, jak tylko złoży meldunek na komisariacie milicji. Mówi, że tamten na pewno przyjedzie na pomoc, tym bardziej że jest pan lekarzem.

Oznaczało to, że właściciel warsztatu pewnie chciał skorzystać z pomocy lekarza w zamian za wyciągnięcie samochodu z rowu, prawdopodobnie dla dziecka czy kogoś z rodziny. To nic dziwnego, wiele spraw załatwiała się na Kubie właśnie systemem barterowym. Poza tym Padilla zawsze chętnie pomagał chorym dzieciom, nawet jeśli nie mógł liczyć na żadną zapłatę ze

strony rodziców.

Ledwie ucichł warkot rozklekotanej ciężarówki, za zakrętem pojawiły się światła reflektorów innego samochodu. Padilla zmrużył oczy i dostrzegł, że są to dwa pojazdy poruszające się jeden za drugim. Dopiero gdy pierwszy z nich zatrzymał się na jego wysokości, uzmysłowił sobie, że jest to wojskowy dżip należący do Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kuby.

Wyskoczyło z niego dwóch ludzi w mundurach, którzy zbliżyli się do niego energicznym krokiem.

- Co tu się dzieje? - rzucił ostro kierowca łazika.

Padilla dźwignął się chwiejnie na nogi, dostrzegłszy, że ma przed sobą dwóch młodocianych podporuczników, zapewne prosto po szkole oficerskiej, o czym mogły świadczyć błyszczące gwiazdki na ich granatowych pagonach z dwoma czerwonymi paskami. Było to dość niezwykle w tym odludnym terenie o tak późnej porze.

- Krowa uciekła mi z pastwiska - zaczął nerwowo wyjaśniać Cruz, wskazując ranne zwierzę leżące w rowie po drugiej stronie drogi. - Tak się nieszczęśliwie złożyło, że ten pan ją potrącił...

- Nic wam nie jest? - zapytał oficer.

- Nie - odparł Padilla, spoglądając na mężczyznę wysiadającego z drugiego dżipa. Jego sprężysty krok wydał mu się znajomy, a zwłaszcza charakterystyczne stawianie stóp w jednej linii. - Nic mi nie jest. Potrzebuję tylko pomocy do wyciągnięcia samochodu z rowu. Może mają panowie łańcuch albo kawałek mocnej liny i pomogą wyholować dżipem mojego auta na drogę?

- Zobaczymy - odparł zagadkowo młody podporucznik. - Najpierw powiedzcie, co tutaj robicie.

Oficer, który wysiadł z drugiego łazika, podszedł bliżej i spojrzał ciekawie ponad ramieniem swego podwładnego. Padilla zerknął na niego i odruchowo uniósł rękę, zakrywając przedramieniem oczy. Wcale nie z tego powodu, że bał się, iż zostanie rozpoznany, ale dlatego, by ukryć przed Cruzem i dwoma podporucznikami wyraz zaskoczenia, jaki musiał się odmalować na jego twarzy. Człowiekiem, który wysiadł z drugiego dżipa, był bowiem generał Jorge Delgado, naczelny dowódca zachodniego i centralnego okręgu wojskowego Kuby mający pod sobą łącznie około 40 000 żołnierzy, a on nie tak dawno miał okazję poznać się z nim bliżej. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy spotykali się potajemnie aż trzy razy. Co on tutaj robi, do cholery? - przemknęło przez myśl Padilli.

- Poruczniku.

Młodzik, który go wypytywał, sprężyste wykonał zwrot w tył i zasalutował.

- Na rozkaz, towarzyszu generale.

- Co tu się dzieje?

Młody oficer pokrótce zrelacjonował to, czego się dowiedział.

Delgado wskazał ryczącą krowę.

- Zastrzelcie to biedne zwierzę, poruczniku.

- Tak jest.

Chłopak przeszedł na drugą stronę drogi, trzaskając obcasami o bruk, wyjął z kabury wielki i ciężki rosyjski pistolet, po czym szybko wpakował dwie kulki w łeb krowy, która natychmiast znieruchomiła i przestała kopać krzaki.

Ledwie przebrzmiało echo wystrzałów, Padilla dostrzegł jeszcze jedną postać zbliżającą się drogą do miejsca wypadku, tyle że z przeciwnego kierunku, od strony gospodarstwa Cruza.

- Więc to była wasza krowa? - zwrócił się Delgado do wieśniaka.

Generał odznaczał się bardzo ostrym głosem, który zdawał się rozcinać powietrze niczym ostrze szabli. Na samo brzmienie tego gardłowego, głębokiego głosu człowiek w jednej chwili zapominał o wszystkim innym, koncentrując się wyłącznie na nim. Dokładnie takie samo wrażenie Padilla odniósł podczas pierwszego spotkania i od tamtej pory nie mógł o nim zapomnieć. Prawdę powiedziawszy, ten głos go wręcz prześladował. Ciarki przechodziły mu po plecach, ilekroć sobie uświadomił, że jeśli powiedzie się plan długofalowy, w niedługiej przyszłości będzie musiał znacznie częściej słuchać tego głosu.

- Tak jest - odparł uniżenie Cruz- To krowa z gospodarstwa, które nadzoruję - dodał z wyraźnym ociąganiem, jakby uświadomił sobie nagle, że formalnie to nie jest ani jego gospodarstwo, ani jego krowa. Na wyspie w ogóle nie istniała własność prywatna, nawet samo wspomnienie

o posiadaniu czegokolwiek mogło stać się dla niego przyczyną poważnych kłopotów.

Padilla odważył się zerknąć na Delgada stojącego w smudze blasku reflektorów. Wysoki, barczysty i postawny generał zdawał się przytłaczać wszystkich samą swoją obecnością. Cieszył się wielką charyzmą z powodu nienagannej postawy, wzorowego sposobu bycia, no i tego przenikliwego głosu. Z takim człowiekiem każdy instynktownie chciał się utożsamiać.

Zdecydowanie wyrastał ponad przeciętność, niczym gwiazdor filmowy. Był już po pięćdziesiątce, ale wyglądał na młodszego o dziesięć lat. Otaczała go niezwykła aura bezgranicznej pewności siebie, która musiała robić wrażenie w każdej sytuacji, niezależnie od stopnia wojskowego.

-I to gospodarstwo, które nadzorujecie, znajduje się przy tej drodze?

- Tak jest.

- Macie tam kogoś do pomocy?

- Tak jest. Pracuje na nim większość mojej rodziny i jeszcze dziesięciu ludzi ze wsi. Czasem pomagają też ich żony.

Delgado obejrzał się na zabita krowę.

- Poćwiartujcie to zwierzę i wykorzystajcie na pożywienie. Szkoda byłoby zmarnować tyle mięsa.

- Bardzo dziękuję, panie generale. Zaraz je załaduję na wóz i zabiorę...

- Chwileczkę!

Wszyscy zwrócili się w stronę, z której doleciał ten okrzyk. W kręgu światła pojawił się człowiek, którego Padilla zauważył wcześniej idącego poboczem od strony gospodarstwa Cruza. Był chudy i żylasty, a na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, o wiele na niego za duży.

- Mogę wyjaśnić całą tę sytuację - rzekł, podchodząc bliżej.

Padilla zerknął na Cruza, który niespokojnie przestąpił z nogi na nogę, przeciągnął palcem wzdłuż kołnierzyka

koszuli, jakby ten go uwierał, i zaczął nerwowo ocierać spocone czoło granatową chustką. A pocił się niewspółmiernie do panującej temperatury.

- Kim jesteście? - zapytał ostro Delgado, wyjmując z kieszonki na piersi cygaro. Odgryzł jego czubek, wypluł go do rowu i wetknął cygaro między zęby.

- Hector Rodriguez. Nadzoruję sąsiednie gospodarstwo - wyjaśnił wieśniak, wskazując ręką za siebie.

- Hector, co ty...

- Ja tu jestem od zadawania pytań - warknął generał, uciszając Cruza. Przypalił cygaro, pyknął kilka razy i zapytał: - Co możecie wyjaśnić, Rodriguez?

Padilla dostrzegł wyraźny uśmiezek satysfakcji na ustach nowo przybyłego, jakby wreszcie spełniło się jego wielkie marzenie.

- Widziałem na własne oczy, jak ten człowiek wyprowadził krowę na środek drogi i tu ją zostawił - wycedził wieśniak, oskarżycielsko mierząc palcem w Cruza. - Zrobił to celowo. Sam przeskoczył rów i schował się w

zaroślach. Jemu zależało na tym, by jakiś samochód potrafił krowę, żeby mógł bezkarnie wykorzystać mięso.

- Nieprawda! Nigdy bym...

- Cisza! - warknął generał.

Cruz oddychał ciężko, najwyraźniej mając przed oczyma pełen zestaw kar, jakie grożą za jego postępek. Nie ulegało wątpliwości, że był winny tego, co mu zarzucał Rodriguez. Padilla uzmysłowił sobie nagle, że Cruz przecież w bardzo krótkim czasie, zaledwie parę sekund po zderzeniu, znalazł się przy jego samochodzie, co byłoby raczej mało prawdopodobne, gdyby rzeczywiście krowa sama uciekła z pastwiska. Nawet najbardziej troskliwy nadzorca gospodarstwa zauważyłby brak jednego zwierzęcia dopiero nazajutrz rano.

Delgado zbliżył się o krok do Cruza i popatrzył na niego z góry.

- Czy to prawda?

Ten kilka razy głośno przełknął ślinę, przestępując z nogi na nogę, zanim w końcu wsunął ręce do kieszeni spodni i odparł cicho:

- Tak, generale, ale bardzo potrzebowałem mięsa dla moich...

- Poruczniku! - rzucił głośno Delgado.

- Na rozkaz, generale.

- Aresztujcie Cruza. Odprowadźcie go do jego domu i tam zaczekajcie na mnie. Ani na chwilę nie spuszczajcie go z oczu, dopóki nie wrócę.

- Tak jest.

Generał odwrócił się do chudego obdartusa w za dużym kapeluszu.

- A wy chodźcie ze mną. - Spojrzał jeszcze na Padillę. - Pan także niech zaczeka na mój powrót w gospodarstwie Cruza.

Padilla omal nie rozdziawił ust ze zdumienia. Był niemal pewien, że generał nawet nie zaszczycił go dłuższym spojrzeniem od samego początku. Teraz jednak nie ulegało wątpliwości, że już od pierwszej chwili doskonale wiedział, kim on jest. Dostrzegł wyraźny błysk zrozumienia w oczach generała.

- Tak jest - odparł.

- Chodźcie ze mną, Rodriguez - rozkazał Delgado.

Padilla odprowadził wzrokiem wieśniaka drepczącego

za generałem jak cielę za krową, po czym przeniósł wzrok na Cruza, który wyglądał jak skazany na karę śmierci, jeszcze zanim młody podporucznik zakuł go w kajdanki i pociągnął do dżipa. Problem polegał na tym, że był to doskonały materiał na głośną propagandową sprawę. Cruzowi

groziła nawet kara śmierci za to, co zrobił. A co najmniej kilka lat pobyt w więzieniu Quivican, co byłoby zapewne jeszcze gorsze od wyroku śmierci.

Tego wieczora Steven Sanchez miał szczęście. Odrażający zuchwały nowojorczyk, który został zmuszony do zajęcia miejsca obok niego w kabinie pasażerskiej w drodze do Miami, nie doczekał się na limuzynę, mającej jakoby na niego czekać przed wyjściem z hali. Musiał stanąć w długiej kolejce po taksówkę, jak cała reszta pasażerów, co dało Sanchezowi okazję do tego, by zostać w pobliżu. Podróż zwykłą taksówką mogła oznaczać, że szczeniak wcale nie jest tak bogaty, jak to przedstawiał w samolocie, ale nawet to nie było w takiej chwili najważniejsze. Zamożność nie miała tu nic do rzeczy.

- Chce pan, żebym nie spuszczał tego gościa z oczu? - zdziwił się taksówkarz.

- Zgadza się - odparł Sanchez, grzebiąc w swojej torbie podróźnej w poszukiwaniu zdjęcia Christiana Gillette'a. Złapał taksówkę przed terminalem zaraz po tym, jak tamten odjechał z postoju. - Tylko nie strać go z oczu, trzymaj się tuż za nim.

- Mogę zapytać, dlaczego pan śledzi tego gościa?

- Możesz pytać o wszystko, co nie znaczy, że uzyskasz odpowiedź - rzucił ostro Sanchez. - Chyba że zechcesz kupić odpowiedź za cenę kursu.

- Nie - odparł szybko taksówkarz. - Nie zechcę.

- Więc prowadź i nie gadaj.

- Tak jest.

Sanchez zerknął na zdjęcie trzymane na kolanach. Gillette był przystojnym czterdziestolatkiem, według doniesień prasowych wartym wiele miliardów dolarów. Jednakże nie przekładało się to na rzeczywiste pieniądze, przynajmniej do tej pory, jak zauważył z dumą. Bo przecież mimo tak ogromnego bogactwa Gillette nie mógł się czuć bezpieczny. Zwłaszcza że jego tropem podążał ktoś taki jak on, pomyślał z dumą Sanchez. Był przekonany, że zdoła się dobrać do każdego, nawet do samego prezydenta, jeśli

tylko będzie miał wystarczająco dużo czasu.

Uśmiechnął się szeroko, spoglądając przez szybę skręcającej taksówki. Ilekroć organizacja kierowała swojego człowieka do najętej zawczasu bezpiecznej kwatery, okazywało się nieodmiennie, że dom stoi na samym krańcu biednej dzielnicy miasta. Ale w końcu taki dom najłatwiej było wynająć.

Rozdział 4

Delgado sam usiadł za kierownicą łazika, odesławszy kierującego dotąd porucznika razem z dwoma młodszymi oficerami drugim samochodem do gospodarstwa Cruza i nakazując im tam poczekać na niego. Jak tylko wieśniak w za dużym kapeluszu zajął miejsce obok niego, generał uruchomił silnik, zawrócił na wąskiej drodze i ruszył w kierunku, z którego przyjechały oba wojskowe pojazdy. Przyspieszył i po chwili znaleźli się za ostrym zakrętem.

- Dziękuję, że wykazaliście się tak daleko posuniętą lojalnością wobec władz, Rodriguez - rzekł po dłuższym milczeniu. Był przeświadczony, że tamten nie jest tajnym agentem Wydziału VI Kontrwywiadu. Wydawało mu się, że prosty wieśniak w za dużym kapeluszu po prostu zwietrzył okazję, żeby stać się bohaterem tego wieczoru. - Partia nadzwyczaj ceni takie postawy, jak wasza, towarzyszu.

- Dziękuję, generale. Jestem sercem i duszą oddany Partii. - Rodriguez zawahał się na chwilę. - Gdyby Partia uznała to za... celowe, chętnie przejąłbym nadzór nad gospodarstwem Cruza, który nie jest tak lojalny jak ja. W sprawozdaniach stale zaniża zyski i ma chyba ze dwa razy więcej krów w gospodarstwie, niż wykazuje w raportach. Ja nigdy bym tak nie postąpił.

Nie, na pewno nie był agentem D-VI, utwierdził się w myślach Delgado. Gdyby nim był, powiedziałałby teraz coś zupełnie innego. Poza tym ten łotr prawdopodobnie sprzedawał na czarnym rynku tyle samo mleka, co Cruz, i pewnie też miał w gospodarstwie dwa razy więcej zwie

rząt, niż wykazywał w raportach. Zwietrzył dla siebie wyjątkową okazję i postanowił ją wykorzystać.

- Tak, rozumiem. Jestem pewien, że wy byście tak nie postąpili. - Generał zjechał na pobocze przed mostkiem przerzuconym nad wąskim strumykiem i zahamował.

- Co robicie? - zaniepokoił się Rodriguez, jeszcze zanim wóz zatrzymał się dość gwałtownie.

- Chciałem was zapytać o pewną wiejską posiadłość, której szukam od kilku tygodni - wyjaśnił Delgado. Nie było nic niezwykłego w tym, że zasłużeni członkowie Partii, a zwłaszcza wysocy rangą oficerowie, w ramach nagrody dostawali ziemskie majątki. Oczywiście nie otrzymywali ich na

własność, gdyż na Kubie istniała wyłącznie własność państwowa, mogli jednak zagospodarowywać te ziemie według własnego życzenia. - Jest położona na szczycie wzniesienia za tym strumieniem. Zakładam, że dobrze znacie tę okolicę, prawda?

- Bardzo dobrze - przyznał pospiesznie Rodriguez, wyskakując z łazika.

Delgado także wysiadł i powoli obszedł maskę, rozglądając się uważnie, jakby chciał zyskać pewność, że nie pomylił miejsca.

- To gdzieś tam - rzekł, wskazując przed siebie lewą ręką ponad ramieniem wieśniaka.

Rodriguez zmrużył oczy, wpatrując się w zarysy hełmiastych wzgórz na horyzoncie, mimo ciemności dobrze widocznych w blasku księżyca w pełni.

- Gdzie?

Tymczasem Delgado prawą ręką powoli wyciągnął pistolet z kabury, przytknął go od tyłu do głowy wieśniaka i pociągnął za spust. Kowbojski kapelusz wyleciał w powietrze, a jego właściciel zwałił się martwy na ziemię i stoczył do strumienia płynącego dnem głębokiego rowu.

Generał westchnął ciężko, chowając broń do kabury. Dogłębnie brzydził się kapusiami, nawet takimi, którzy donosili na innych wyłącznie z egoistycznych pobudek.

Niewiele byli lepsi od znienawidzonych tajniaków z D-VI. Ten system społeczny, oparty na wzajemnym szpiegowaniu się sąsiadów, musiał definitywnie przejść do historii, jeśli Kuba miała znów stać się krajem, w którym ludzie będą chcieli żyć i pracować. Zerknął jeszcze pobieżnie w głąb rowu, żeby sprawdzić, czy z brzegu mostu widać spoczywające na dnie strumienia zwłoki, ale były niewidoczne, zawrócił więc i zajął z powrotem miejsce za kierownicą dżipa.

Po przyjeździe do gospodarstwa zamierzał odesłać trzech swoich poruczników do samochodów, a następnie poinformować Cruza, że Rodriguezowi przydarzył się tragiczny wypadek i nie będzie mógł dalej zarządzać sąsiednim gospodarstwem, więc to Cruz będzie musiał przejąć nad nim kontrolę. Przyszło mu na myśl, że tego wieczora wygrał drobną bitwę z samym sobą, może nawet tylko potyczkę, ale w końcu od czegoś należało rozpocząć tę wojnę. Przez lata służby w wojsku nauczył się, że nie da się zdobyć Rzymu w ciągu jednego dnia. To samo dotyczyło Hawany.

Zwolnił, zbliżywszy się ponownie do miejsca wypadku, po czym zatrzymał łazika przy leżącej na poboczu zabitej krowie, słabo widocznej w zaroślach i wysokiej trawie. Wyskoczył z auta, podbiegł do zwierzęcia i

klęknał przy nim, wyciągając nóż. Jednym ruchem przeciął rzemień zawiązany na szyi krowy i popatrzył na małą metalową tabliczkę z wybitym numerem inwentarzowym, po czym schował ją do kieszeni. Uznał, że będzie to dla niego ważna pamiątka.

Melissa Hart siedziała na kolanach chłopaka, który wpadł jej w oko jakiś czas temu, jeszcze zanim zdobyła Oscara. Był postawny i bardzo przystojny. Poznali się na przyjęciu w Beverly Hills, gdzie pojechała po wyjściu z baru „U Elaine”. Nie wróciła już na swoje miejsce na widowni po szokującym wystąpieniu w Kodak Theatre, toteż

przed zajęciem miejsca w limuzynie, która miała ją zabrać na spotkanie z czterema przyjaciółkami, wysłała mu przez gońca karteczkę. Minęło już pół do dziesiątej wieczorem, uroczystość wręczania Oscarów dobiegła końca. Melissa wstała tego dnia wcześniej rano, przejęta i podenerwowana planowanym wystąpieniem, nie czuła się jednak zmęczona, jakby wciąż nie mogła się nacieszyć z nagrody. Nie pamiętała też, ile lampek szampana w sumie wypijała, ale i tym się nie przejmowała, skoro to była jej noc. Bo przecież równocześnie odniosła zwycięstwo i wzięła odwet.

Boże, jakie to cudowne, powtarzała w myślach. Najpierw odebrała Oscara, a chwilę później na oczach całego świata rzuciła ojcu prosto w twarz, co o nim myśli. Teraz już nikt nie mógł mieć wątpliwości, jaka z niego parszywa gnida. Miała nadzieję, że przyczyni się to do jego zdetronizowania w Hollywood, że ludzie nie będą już tak bardzo się go bali, skoro prasa ma wreszcie coś konkretnego, w co może wbić zęby. A przecież nie powiedziała wszystkiego, nie chodziło wyłącznie o to, jak postąpił z jej matką. I szczerze zamierzała ujawnić dziennikarzom całą prawdę o ojcu.

Odwróciła się ponownie do chłopaka i już miała coś powiedzieć, kiedy nagle ktoś delikatnie postukał ją w ramię. Podniosła głowę. Za nią stał Bo Martin, jeden z najważniejszych hollywoodzkich reżyserów, który także nie należał do fanów jej ojca, chociaż dobrze wiedziała, że i on całował jego pierścionki, kiedy musiał.

- Cześć, Bo - rzuciła swobodnie, czekając na jego gratulacje.

- Witaj, Melisso. - Martin uśmiechnął się skąpo. - Dałaś dziś niezłe przedstawienie. Ośmielę się twierdzić, że była to w twoim wykonaniu o wiele lepsza rola od tej, za którą dostałaś Oscara.

- Dziękuję.

Martin rozejrzał się na boki i nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

- O co chodzi? - zapytała szybko.

- No więc... wynikła pewna sprawa. Muszę cię prosić o odesłanie tego scenariusza, który ci przekazałem w ubiegłym tygodniu.

Melissa wyprostowała się tak gwałtownie, że zakręciło jej się w głowie, co skłoniło ją do wniosku, że musiała naprawdę dużo wypić. Aż zaparła się oburącz o nogi chłopaka, żeby nie stracić równowagi.

- Co takiego? Czemu? - Scenariusz bardzo jej się podobał, choć przede wszystkim dlatego, że miała zagrać w filmie główną rolę. Liczyła na to, że będzie to dla niej oznaczało definitywny koniec ról drugoplanowych czy występowanie jedynie w kilkuminutowych epizodach.

- Dobrze wiesz dlaczego. Nie można wprawiać w zakłopotanie króla na oczach wszystkich dworzan oraz przed kamerami telewizyjnymi i jeszcze się łudzić, że życie nadal się będzie toczyło dotychczasowym torem - nawet jeśli jest się jego córką. - Martin odwrócił się szybko, żeby odejść, ale przystanął jeszcze i obejrzał się na chłopaka, któremu Melissa siedziała na kolanach. - Synu, jeśli marzysz o tym, żeby pracować w Hollywood, to lepiej trzymaj się od tej pannicy jak najdalej. I to już od tej chwili.

- Bardzo proszę, Victorio.

Victoria Graham wzięła szklaneczkę ze szkocką whisky z wodą sodową od Lloyda Dorsey'a, który usiadł obok niej na kanapie. Usiadł tak blisko, że nieomal stykali się biodrami. Zdecydowanie za blisko jak na przyjaciela.

- Dziękuję.

Odpoczywali w saloniku na pierwszym piętrze imponującego czterokondygnacyjnego dworku w Georgetown, odległego zaledwie o parę kilometrów od Kapitolu. Był cudownie urządzone uroczymi antykami i bardzo drogimi dziełami sztuki, przez co doskonale pełnił funkcję jego drugiego domu. Senator pochodził bowiem z Teksasu,

był przywódcą mniejszości republikańskiej i najstarszym członkiem senackiej Komisji Sił Zbrojnych.

- Świetnie wyglądasz.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś dzisiaj w wyjątkowym nastroju do komplementów, czyż nie tak, Lloyd? - Był świetnie wychowany, miły, przyciągający, no i diabelnie przystojny. Marzyła o takim mężczyźnie u swego boku od dawna, jeszcze od czasów college'u. Obrzuciła go uważnym spojrzeniem, po czym wstydliwie odwróciła głowę i zamknęła oczy. Był po prostu idealny. Ale miał już żonę. - Chyba rzeczywiście nieźle się trzymam jak na swoje pięćdziesiąt siedem lat.

- Nieźle? Jesteś zachwycająca. Prezentowałaś się dzisiaj najlepiej z

całego towarzystwa. Wyróżniałaś się na jego tle.

- Co sądzisz o przemówieniu prezydenta Wooda wygłoszonym po deserze? - zapytała, chcąc zmienić temat rozmowy. Uwielbiała komplementy Dorsey'a, ale zarazem się nimi brzydziła. Uwielbiała, gdyż dzięki nim czuła się cudownie. A brzydziła, ponieważ słyszała je tak rzadko. - Moim zdaniem było bardzo interesujące.

Oboje uczestniczyli tego wieczoru w uroczystym obiedzie wydanym przez Departament Stanu na cześć goszczącego z wizytą nowego prezydenta Brazylii. Graham po południu przyjechała z Nowego Jorku, bez wahania odpowiadając na wczorajsze telefoniczne zaproszenie Dorsey'a, którego żona musiała wrócić do Dallas - gdzie ostatnio przebywała coraz częściej po wielu latach spędzonych wraz z mężem w stolicy - toteż zwoleńnię się obok niego miejsce przy stole. Do Białego Domu przyjechali oddzielnie i przez cały wieczór starali się wyglądać na parę niewinnych przyjaciół, których jedynie przypadek zetknął podczas obiadu. Tylko parę razy wymienili pod stołem czułe uściski dłoni. Gdy orkiestra zaczęła grać, ruszyli do tańca z innymi partnerami i przez cały czas pilnie dbali o to, żeby wdawać się w dłuższe wymiany zdań co naj

mniej z dziesięcioma osobami siedzącymi przy dużym okrągłym stole. Wyszli z przyjęcia także oddzielnie. Teraz jednak byli ze sobą sam na sam i nie musieli już dłużej troszczyć się o pozory.

- Ach, nie znoszę tego człowieka - mruknął Dorsey. - Dobrze o tym wiesz. Przy każdej okazji musi nas raczyć tymi swoimi liberalnymi bzdurami. - Lekceważąco wzruszył ramionami. - Zresztą, czego można się spodziewać po pierwszym czarnym prezydencie w historii Stanów Zjednoczonych? W końcu nie ma specjalnego wyboru co do publicznych wystąpień. Może się zwracać wyłącznie do swoich wyborców. - Senator zaszepczał się nagle. - Ale zajmiemy się nim przy najbliższej okazji. A w każdym razie ja się nim zajmę. Nie będzie najmniejszych szans na drugą kadencję dla Jesse'a Wooda.

- Aż tak bardzo jesteś pewny siebie?

- Jestem.

- Nadal cieszy się bardzo wysokim poparciem.

- Już niedługo.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Po prostu wiem i już.

Pociągnęła drobny łyżeczek słodowej whisky. Trunek był bardzo delikatny, w każdym razie wystarczająco delikatny, żeby przyćmić jej wyrzuty

sumienia.

- Zaczynam się trochę gubić, Lloyd. W dzisiejszym przemówieniu prezydenta padło bardzo dużo słów poparcia dla naszej armii. Moim zdaniem, to dość niezwykle ze strony liberała...

- Dobrze wie, że wojsko nim pogardza. Gardzą nim wszystkie służby związane z bezpieczeństwem narodowym. Wojsko, CIA, NSA, absolutnie wszyscy. Dlatego tak bardzo się stara wkupić w ich łaski, tyle że nic mu to nie da. Nikt z tych służb nie przejdzie do jego obozu. Wszyscy będą tylko udawali lojalność, czekając na jego potknięcie. Oni należą do establishmentu, tak samo jak my. A on jest z wrogiego obozu.

- Sądziłam jednak...

- Kocham cię, Vicky - rzucił niespodziewanie Dorsey łagodnym tonem, biorąc ją za rękę. - Kocham cię od dawna.

Przez kilka sekund spoglądała mu głęboko w oczy, po czym znów odwróciła głowę, cofając jednocześnie rękę. Nie mogła tego znieść. Wiedziała, że zamierza ją prosić, by została z nim na noc. Wiedziała też, czym się to skończy. Dokładnie taki sam przebieg miało ich poprzednie spotkanie, kiedy też specjalnie przyjechała do Waszyngtonu i też rozmawiali, siedząc na tej kanapie. Za każdym razem wyglądało to bardzo podobnie. Z łatwością dało się przewidzieć z góry, tyle że ona nie mogła mu się oprzeć. Ani razu nie powiedziała tego jeszcze wprost, ale i ona go kochała.

- Wiem, co teraz myślisz - dodał.

- Czyżby?

- Oczywiście. Boisz się, że nigdy nie odejdę od żony. - Ponownie wziął ją za rękę. - Sądzisz, że tylko gadam, co mi ślina na język przyniesie. Ale to nieprawda - rzucił szybko, nie chcąc dać jej dojść do głosu. - Naprawdę zamierzam to wcielić w życie.

Pragnęła tego. Nie potrafiła nawet wyrazić, jak bardzo. I gotowa była zrobić wszystko, by tak się stało. No, może prawie wszystko.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - rzekł Dorsey, podnosząc ze stolika szklaneczkę z bourbonem. Musiał oddzielnie przynosić do saloniku kolejne porcje trunku z baru w sąsiednim pokoju, gdyż chodził o lasce. - Co sądzisz o Christianie Gillette?

Nie musiała się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

- To jeden z najbardziej wpływowych ludzi, jakich znam. Cały szum wokół jego osoby w rzeczywistości wcale nie jest szumem. Gillette naprawdę jest bardzo dobry. - Od pewnego czasu spodziewała się tego pytania ze strony

Dorsey. - Jestem pełna uznania dla jego dokonań.

- Wydawało mi się, że kilka lat temu zostawił cię na lodzie. Chodzi mi o ten interes w Ohio. Słyszałem, że omal nie podkopał twojej reputacji przed całym zarządem firmy. Zgadza się?

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek, lekko przygryzając górną wargę.

- Możliwe.

- Więc z jakiego powodu nadal tak bardzo go lubisz?

Zmarszczyła brwi.

- Nie powiedziałam, że go lubię, tylko że jestem pełna uznania dla niego, a to dwie różne sprawy. Zupełnie różne.

Dorsey w zamyśleniu pokiwał głową.

- Świetnie. Cieszę się, że tak mówisz.

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego znad krawędzi szklaneczki, którą uniosła do ust. - Dlaczego?

Pociągnął jeszcze jeden łyk Jacka Daniela.

- Bo chcę cię prosić o pomoc w pewnej sprawie. Bardzo ważnej sprawie. Oczywiście dotyczącej Gillette'a.

Christian nerwowo zabębnił palcami o blat, czekając, aż jego rozmówca podejdzie do telefonu. Miał zwyczaj samemu dzwonić do wszystkich ludzi, nie prosząc sekretarki o połączenie, dlatego z własnej woli skazywał się na takie oczekiwanie. Niemniej on nikogo nie narażał na dłuższe czekanie, toteż nie lubił, kiedy jego na to skazywano. Obecna sytuacja wymagała jednak cierpliwości.

- Halo.

Christian wyprostował się na krześle.

- Słucham.

- To ty, Chris?

Zawahał się.

- Tak, to ja, panie prezydencie.

- Jak się miewasz.

- Dziękuję, doskonale.

- Miło mi to słyszeć. - Nastąpiła dłuższa przerwa. - Po trzebna mi twoja odpowiedź w tej sprawie, o której rozmawialiśmy w ubiegłym tygodniu. Wybacz, że tak naciskam, ale jestem w trakcie rozmowy z prezydentem Brazylii, który czeka na dole. Po raz pierwszy dzisiejszego wieczoru nadarzyła się nam okazja, żeby zamienić prywatnie kilka zdań. -

Znów na parę sekund zapadła cisza. - Więc jak? Mogę liczyć na twoją pomoc?

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 5

Maj

Christian zapatrzył się na pasmo gór Catocin doskonale widocznych z ocienionej werandy głównego budynku w Camp David. Powietrze tego ciepłego późnowiosennego popołudnia było kryształowo czyste, a drzewa rosnące na płaskich wzgórzach zachodniego Marylandu jeszcze się pokrywały kwiatami i młodymi liśćmi, o kilka tonów jaśniejszymi od tej zieleni, jaką się będą odznaczały w pełni sezonu.

- Mogę zaproponować ci coś do picia? Może piwo? Chętnie bym się z tobą napił, chociaż w moim wypadku to nie najlepszy pomysł.

- Chodzi o tę przeklętą kontrolę nad arsenałem nuklearnym? - zapytał Christian.

Prezydent Jesse Wood wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Owszem. Też byś się tym przejmował, gdybyś do dzisiaj był członkiem mojej ekipy. Masz przynajmniej jeden dobry powód, by się cieszyć, że nie jesteś wiceprezydentem.

- No cóż, ja też mam swoje wyzwania.

- Świetnie to wiem. - Wood ruchem ręki przywołał agenta Secret Service, który stał przed drzwiami w przepisowej pozie, na lekko rozstawionych nogach i z rękoma splecionymi za plecami. - Proszę przynieść panu Gillette'owi wodę mineralną. Dość dawno się nie widzieliśmy i zapomniałem, że on w ogóle nie bierze alkoholu do ust.

- Tak jest. - Agent odwrócił się na pięcie i wszedł do budynku.

Wood popatrzył znowu na Christiana.

- Wiem, że jesteś bardzo zajęty, Chris. Prawie tak samo zajęty, jak ja.

Christian rzeczywiście miał sporo obowiązków jako prezes spółki Everest Capital. Mająca siedzibę na Manhattanie firma inwestycyjna była właścicielem trzydziestu ośmiu przedsiębiorstw z różnych gałęzi, od firm

zajmujących się najnowszymi technologiami poprzez zakłady farmaceutyczne aż po kolosy przemysłu ciężkiego. W sumie owe przedsiębiorstwa były warte ponad 80 miliardów dolarów, dzięki czemu Everest plasował się wśród pierwszych dwudziestu pięciu spółek z listy Fortune 500 pod względem wartości zainwestowanego majątku. Niezależnie od kierowania Everestem Christian był także prezesem dwunastu z należących do spółki przedsiębiorstw, a przed sześcioma miesiącami skończył gromadzić najnowszy z będących do dyspozycji Everestu prywatny fundusz inwestycyjny wynoszący aż 25 miliardów dolarów i budzący swą wielkością podziw wśród wszystkich inwestorów z Wall Street.

- To był właśnie jeden z powodów, dla których zrezygnowałem z twojej kandydatury - ciągnął Wood. - Dobrze wiem, ile masz na głowie.

Jesse Wood zwyciężył w wyborach prezydenckich dwa i pół roku wcześniej i był pierwszym w historii ciemnoskórym Amerykaninem zasiadającym w Gabinetcie Ovalnym. Pierwsze półtora roku jego kadencji w roli głównodowodzącego upłynęło w napiętej atmosferze za sprawą grupy zdradliwych konserwatystów, którzy próbowali wszelkich możliwych sposobów, żeby wysadzić go z siodła, odwołując się albo do zasad moralnych i etyki, albo nawet sięgając po zarzuty natury kryminalnej. Teraz jednak - gdy doprowadził do podpisania traktatu pokojowego na Bliskim Wschodzie, który mimo pesymistycznych pro

gnoz jak dotąd był przestrzegany, za co otrzymał wiele słów uznania, i to zarówno ze strony waszyngtońskich oficjeli, jak i prasy pomstującej wcześniej na stagnację w gospodarce - niosła go fala nadzwyczaj wysokiej popularności. Zaraz po elekcji wybrał właśnie Christiana na swego partnera w Białym Domu, ale już po kilku tygodniach, tuż przed konwentem Partii Demokratycznej, zrezygnował z tego pomysłu.

- Wciąż masz do mnie o to żal? - zapytał półgłosem. - Gniewasz się, że wybrałem cię na wiceprezydenta, a zaraz potem zmieniłem zdanie?

W miesiącach poprzedzających konwent mnóstwo czasu spędzali razem. Teraz jednak spotkali się po raz pierwszy od chwili wygranych przez Wooda wyborów. Prawie przez trzy lata nie zamienili ze sobą nawet słowa - i to nie z powodu jakichś animozji, przynajmniej ze strony Christiana. Dlatego tak bardzo zaskoczył go telefon od Wooda. Nawet do głowy mu nie przyszło, by zmienić swe polityczne sympatie, choć nie ukrywał, że nie był zadowolony z zaskakującej decyzji prezydenta.

- Dlaczego miałbym mieć jakiekolwiek pretensje, panie prezydencie?

Wood uniósł wzrok do nieba.

- Naprawdę nie możesz mi mówić po imieniu, Jesse, jak poprzednio? Nie stać cię na to nawet wtedy, gdy rozmawiamy w cztery oczy? W końcu jestem twoim dłużnikiem. Przecież to ty otworzyłeś mi oczy na tych oszustów.

Tak było. Christian rzeczywiście ocalił Woodowi tyłek, ale tylko po to, żeby zaraz dostać od niego cios między oczy.

- W porządku. Od tej pory będę się do ciebie zwracał po imieniu.

Wrócił agent Secret Service z butelką wody mineralnej.

- Dziękuję. - Gillette otworzył ją i upił łyk.

Prezydent wymierzył w niego palec.

Świetnie wyglądasz Christianie. Chyba w ogóle się nie zestarzałeś od naszego ostatniego spotkania. Wciąż wyglądasz tak, jakbyś był zaraz po trzydziestce, a nie po czterdziestce.

Christian miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu i niezmiennie ważył osiemdziesiąt sześć kilogramów, a doskonałą formę utrzymywał dzięki codziennym ćwiczeniom, o których nie zapominał nawet podczas podróży służbowych. Miał proste ciemne włosy, które zaczesywał za uszy, tylko delikatnie przetykane siwizną na skroniach, do tego żywe szare oczy i dość ostre rysy twarzy, wystające kości policzkowe, spiczastą brodę i długi cienki nos, nieco przekrzywiony w bok z powodu poważnego zderzenia, którego był uczestnikiem w czasie meczu rugby w czasach college'u.

- Dzięki. - Bardzo chciał się odwzajemnić tym samym, ale nie mógł. Jesse bowiem wyglądał tak, jakby się postarzał o dziesięć lat od czasu ich ostatniego spotkania. Na jego twarzy pojawiły się dziesiątki niewidocznych wcześniej zmarszczek i głębokich bruzd, a lekko szpakowate wcześniej włosy były teraz całkiem siwe. Przez cały czas musiał pozostawać w ogromnym napięciu psychicznym, nie tylko jako przywódca wolnego świata, ale także jako pierwszy czarny mąż stanu na tym stanowisku. Christianowi stały przed oczami słynne portrety Abrahama Lincolna przed objęciem stanowiska, wobec perspektywy jednoczenia podzielonego narodu, i po zakończeniu tego dzieła, tuż przed zamachem. W roku 1861 był pełnym energii i zapału mężczyzną, natomiast w roku 1865 zniszczonym i wycieńczonym politykiem. Podobny los czekał Jesse'a, zwłaszcza gdyby został wybrany na drugą kadencję. - Ty też chyba nieźle sobie radzisz ze stresem piastowania stanowiska pierwszego...

- Tylko się nie przymilaj, dobrze? - przerwał mu prezydent. - Już nie

mogę patrzeć na swoje odbicie w lustrze. Wyglądam jak typowy starzec. Podejrzewam jednak, że to efekt stresu. - Rozpogodził się szybko. - Hej, zapomnia

łem ci pogratulować z powodu sprzedaży Laurel Energy Exxonowi. Kilka miesięcy temu widziałem ogłoszenia w gazecie.

- Dzięki.

- Ile zarobiłeś na tej transakcji?

- Dużo. Była dla nas niezwykle opłacalna. Dlaczego poprosiłeś mnie o przyjazd do Camp David, Jesse? - Christian nie tylko nie był skory rozmawiać o kwotach, ale w ogóle nie lubił mówić o swojej sytuacji majątkowej. Czuł się nieswojo, gdy rozmowa schodziła na temat jego sukcesów, co było niemalże regułą. Poza tym chciał jak najszybciej nawiązać do spraw, które go naprawdę interesowały, a więc przede wszystkim powodu tego dziwnego wezwania. - Sprawdzałem wszystkie dostępne mi źródła. - Wolał już nie dodawać, że poświęcił na to mnóstwo cennego czasu. - Czego możesz ode mnie chcieć?

Wood ruchem ręki odprawił agenta ochrony. Kiedy tamten zniknął i zamknął za sobą drzwi, pochylił się w swoim fotelu na biegunach i rzekł cicho:

- Sprawa dotyczy Kuby.

To tylko nasiliło ciekawość Christiana.

- A dokładniej?

Prezydent przez jakiś czas w zamyśleniu skubał dolną wargę.

- Zacznę od tego, że nasi ludzie na wyspie są prawie pewni, że El Jefe nie żyje.

Christian zmarszczył brwi.

- Od kilku miesięcy nie pokazuje się publicznie - ciągnął Wood. - A mamy podejrzenia, że człowiek spotykający się z różnymi ludźmi w jego gabinecie to sobowtór. - Zachichotał krótko. - CIA przez te wszystkie lata wykończyła aż trzech sobowtórów Fidela, ufam więc, że nasi agenci naprawdę potrafią rozpoznać następnego.

- Jezu...

- W każdym razie tak mi przedstawiają obecny stan rzeczy.

Zdumiewające, pomyślał Christian. Przecież o tak wielu rzeczach Amerykanie po prostu nie wiedzieli, bo wiedzieć nie mogli.

- Nie było żadnych komunikatów o śmierci Castro.

- Tak, wiem. Naszym zdaniem już jakiś czas temu Fidel przekazał stery

władzy swojemu bratu. Przed śmiercią zdążył jeszcze mianować go dożywotnio nowym kubańskim prezydentem. Kłopot polega na tym, że brat Fidela zapewne chce skonsolidować wszystkie siły partyjne, zanim oficjalnie poinformuje o śmierci El Jefe, dlatego zapewne trzyma jego zwłoki w chłodni. Ale jak dotąd ma znacznie większe problemy, niż się spodziewał. Przede wszystkim nie jest w stanie utrzymać w ryzach całego kraju, jak czynił to brat. Sytuacja gospodarcza Kuby jest bardzo zła. Brakuje żywności, nie starcza energii, szerzy się bieda. Ludzie z utęsknieniem wypatrują zmian i pewnie dlatego nie cieszy się u nich taką charyzmą jak brat, co tym bardziej utrudnia mu formalne przejęcie władzy. Zwłaszcza że w armii kubańskiej działa silny odłam przeciwny dalszym rządóm dyktatorskim. - Zamilkł na chwilę i ciężko westchnął. - Dla nas może to być albo doskonała okazja, albo... śmiertelne zagrożenie.

- Do jakiego stopnia agenci CIA są przekonani, że El Jefe nie żyje? - zapytał Christian, bo chociaż Wood nie sprecyzował, kogo ma na myśli, mówiąc o „naszych ludziach na Kubie”, to zakładał, że chodzi o agentów wywiadu.

- Na dziewięćdziesiąt osiem procent - odparł prezydent z uśmiechem. - Zadałem dokładnie to samo pytanie jako pierwszy. - Błyskawicznie spoważniał. - W ostatnich tygodniach kilku wysokich rangą kubańskich oficjeli potajemnie uciekło z wyspy. Minister turystyki, minister górnictwa... Kilku innych złapano podczas próby ucieczki z całymi rodzinami i natychmiast stracono. Ludzie są coraz bardziej przestraszeni, nawet bardziej niż do tej pory, ponieważ wyraźnie nasiliła się działalność tajnej policji szpiegującej obywateli. Naszym zdaniem to kolejny do

wód na to, że El Jefe nie żyje. Poziom paranoi osiągnął niespotykany dotąd poziom i jak przegrzany reaktor atomowy grozi katastrofą. - Wood zawiesił na chwilę głos. - Jeszcze kilka lat temu twierdziłbym stanowczo, że nie mamy najmniejszych szans, by wciągnąć Kubę na drogę demokratycznych przemian, ale teraz wiele wskazuje na to, że otwiera się ku temu pewna szansa. Niewykluczone, że zdołamy odzyskać nasze wpływy na wyspie i nawiązać bliską współpracę z przedstawicielami nowego rządu, jeśli ci zrozumieją, jak dużo mogą na tym skorzystać.

- Jak moglibyśmy to osiągnąć?

- Nasi ludzie w terenie twierdzą, że walka o władzę przybrała niebywale rozmiary. Kilka różnych ugrupowań w rządzie próbuje przejąć kontrolę nad państwem, a są wśród nich takie, które pragną odsunąć komunistów od

władzy. Każda z tych grup jest potajemnie wspierana przez różne wpływowe organizacje i osobistości. Zatem normalne, że są wśród nich także ludzie, którzy pragnęliby uwolnić Kubę od komunistycznego reżimu i wprowadzić ją w dwudziesty pierwszy wiek, i którzy w dodatku mogą coś zrobić w tym kierunku. Tym ludziom zależałoby na otwarciu granic dla wolnego handlu, gdyż wierzą, że kapitalizm jest jedyną drogą rozwoju. Może nie chodzi dokładnie o taki kapitalizm jak nasz, tylko bardziej wzorowany na modelu argentyńskim lub brazylijskim, ale kierunek zmian byłby taki sam. Cały problem polega na tym, że nasza pomoc dla tych ludzi musi pozostać ściśle tajemnicą, ponieważ wszyscy się obawiają, że mogą zostać wywleczeni z domów w środku nocy i nikt już więcej o nich nie usłyszy. Krótko mówiąc, nie możemy liczyć na to, że zmiany nastąpią tak szybko, jakbyśmy tego pragnęli. - Prezydent pokręcił głową, jak gdyby sam nie mógł w to uwierzyć. - Uważamy, że największe szanse w kręgach rządowych na przejęcie władzy z rąk komunistów ma grupa skupiona wokół idei niejakiego Alberto Ochoi.

Christian ponownie zmarszczył brwi.

- Wybacz, Jesse, ale chyba nie jestem tak na bieżąco ze sprawami kubańskimi, jak powinienem być. Kim jest Alberto Ochoa?

Prezydent zaśmiał się krótko.

- Chcesz powiedzieć, że poza prowadzeniem Everest Capital, kierowaniem podległymi mu przedsiębiorstwami i jakimś szczątkowym życiem osobistym nie masz już kompletnie czasu, żeby śledzić na bieżąco wydarzenia na Kubie.

- Pewnie miałbym i na to czas, gdyby część moich obowiązków przejął cały Departament Stanu - bąknął Christian.

Zabrzmiało to ironicznie, chociaż krył się za tym całkiem poważny podtekst. Po ukończeniu czterdziestego roku życia zauważył u siebie gwałtowny wzrost głodu wiedzy. Z każdym dniem uświadamiał sobie coraz bardziej, jak mało wie o współczesnym świecie i jak dużo chciałby o nim wiedzieć. Starał się każdego tygodnia sięgać po nową lekturę, czyjaś biografię albo ciekawe opracowanie historyczne, ale przy jego trybie życia i ilości dokumentów, które musiał czytać w pracy, często nie potrafił się wciągnąć w tę lekturę.

- To rzeczywiście trochę ułatwia niektóre sprawy - przyznał Wood i obejrzał się na drzwi, żeby sprawdzić, czy nadal są zamknięte. - Mówiąc w olbrzymim skrócie, Ochoa razem z Raulem i Che Guevarą organizował powrót Fidela na wyspę pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy szala

zwycięstwa przechylała się już wyraźnie na stronę kubańskiej rewolucji. I kiedy wszystko zostało poukładane, Ochoa w podzięcie dostał stanowisko jednego z najwyższych rangą generałów w Rewolucyjnych Siłach Zbrojnych. Jego kariera toczyła się bez przeszkód aż do końca lat osiemdziesiątych, kiedy to całkiem niespodziewanie popadł w niełaskę Fidela. Nie wiadomo dokładnie, co się stało, ale zdaniem analityków miało to związek z jego poparciem dla rosyjskiej odmiany komunizmu, któ

ra ostatecznie nie zdołała się obronić przed inwazją McDo- nalda i MTV. Tymczasem w latach osiemdziesiątych Fidel wymagał od całej swojej świty ślepego poparcia dla jego twardogłowej postawy. Ochoa prawdopodobnie postanowił mu się przeciwstawić i tym samym kupił sobie bilet na tamten świat.

- Do diabła...

- W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym przywiązali go do słupa przed czteroosobowym plutonem egzekucyjnym, wcześniej sąd kapturowy skazał go na śmierć za zdradę. Rozważano także oskarżenia o udział w przemyśle narkotyków i łapownictwo, ale były za bardzo naciągane. Z tego, co się dowiedziałem od analityków znad Potomacu, w rzeczywistości Alberto Ochoa był winien tylko odstępstwa od skostniałych idei Fidela.

Nawet coś takiego mogło być śmiertelnie groźne, zwłaszcza gdy miało się do czynienia z ogarniętym paranoją schizofrenikiem. Historia wielokrotnie już to udowadniała.

- Pierwsza zasada życiowa w kraju rządzonym przez reżim: za nic nie wkurzać dyktatora.

Wood smętnie pokiwał głową.

- Wielka szkoda, że Ochoa nie mógł skorzystać z twoich rad, Chris. Może żyłby do dzisiaj. I może osobiście zechciałby pokierować przemianami.

- Zatem są ludzie w kubańskim rządzie, którzy nadal nie mogą darować tego, co spotkało generała Ochoę?

- Zgadza się. Najwyraźniej Ochoa był tam postacią powszechnie szanowaną. Troszczył się o swoich podwładnych, a ci odwdzięczali mu się lojalnością. Nie mieli żadnych szans, żeby pomścić jego śmierć, gdyż byli po prostu bezradni i bezbronni, niewiele mogli zrobić. W dodatku Castro bardzo skutecznie odizolował najważniejszych zwolenników generała. Zatem paranoja ma też swoje pozytywne strony. - Puścił do niego oko. - Okazało się bowiem, że Ochoa to twardziel. Pewnie jak większość wysokich rangą oficerów armii kubańskiej, ale to nie zmienia

postaci rzeczy. Otóż przed egzekucją zażądał dwóch rzeczy. Po pierwsze, żeby nie zawiązywano mu oczu. A po drugie, by sam mógł wydać rozkaz otwarcia ognia. Fidel zgodził się na oba te warunki.

- Niech to diabli... - syknął Christian, usiłując sobie wyobrazić, że to on wydaje plutonowi egzekucyjnemu rozkaz strzelania do siebie. Wyglądało to na akt skrajnej odwagi, która objawiała się wyłącznie w tego typu ekstremalnych sytuacjach. - To niesamowite.

- Zdumiewające, prawda? Pochowali go w nieoznakowanym grobie gdzieś wśród wzgórz otaczających Hawanę. Nie poinformowali o tym nawet jego żony. - Wood zawiesił na chwilę głos, zbierając myśli. - W każdym razie sytuacja wygląda następująco. Teraz, gdy objawiły się największe słabości reżimu, dali o sobie znać ludzie wierni pamięci o generale Ochoi, którzy byliby gotowi przejąć władzę w wojsku. Okazuje się, że nie zapomnieli o ideach demokracji, a w dodatku zawarli sojusz z ugrupowaniem cywili o nastawieniu prokapitalistycznym. A może raczej tylko antykomunistycznym, żeby być ścisłym. W każdym razie, jakkolwiek by na to patrzeć, Chris, na Kubie trzeba mieć poparcie wojska, żeby myśleć o zwycięstwie. Co więcej, wojsko wydaje się niezbędnym sojusznikiem po przejęciu władzy. Dlatego uznaliśmy, że właśnie taka kombinacja jest naszym najlepszym sprzymierzeńcem na drodze do obalenia komunizmu i wprowadzenia Kuby na drogę, gdzie przyda jej się zarówno silna pozycja wojska, jak i silny prywatny sektor w gospodarce. W dodatku, zdaniem analityków, właśnie ta grupa stwarza największe perspektywy zachowania lojalności wobec nas, co wydaje się jednym z najważniejszych czynników w tych kalkulacjach. Nie zmienia to jednak faktu, że należy działać bardzo szybko. Ci ludzie muszą sobie uzmysłwić, że na sto procent mogą liczyć na wszelkie możliwe poparcie z naszej strony. Już teraz ich przekonujemy o tym, ale musimy mieć gwarancje w jeszcze jednym sektorze, zanim bez zastrzeżeń poprę ich działania.

- Dlaczego konieczny jest pośpiech? - zdziwił się Christian.

- Otóż problem, a raczej nasze główne zmartwienie polega na tym, że ludzie, którzy jeszcze kurczowo trzymają się u władzy na Kubie, mogą zacząć błyskawicznie szukać pomocy z zewnątrz, gdy tylko uznają, że grunt im się usuwa spod nóg. Wystarczy, by jedynie zwietrzyli istnienie jakiegokolwiek spisku skierowanego przeciwko nim i mającego realne szanse na zwycięstwo.

- Myślisz o pomocy ze strony któregoś z państw terrorystycznych? -

wtrącił Christian, domyślając się charakteru obaw prezydenta. - Takich jak Iran, Syria czy nawet Chiny?

Wood wymierzył w niego palec.

- Dokładnie tak. Chodzi zwłaszcza o Chiny. Przecież nie mogę dopuścić, żeby teraz z kolei Chińczycy rozmieścili swoje rakiety strategiczne w odległości stu pięćdziesięciu kilometrów od Miami. W takiej sytuacji mógłbym od razu przestawić się na trunki zdecydowanie mocniejsze od piwa.

- Uśmiechnął się kwaśno. - Tymczasem nasz wywiad informuje, że trwają już poufne rozmowy w tym zakresie. Prawdopodobnie słyszałeś o tym kontrakcie na poszukiwania złóż ropy naftowej, jaki Kuba zawarła z Chińczykami.

- Wiem tylko tyle, ile pisano w gazetach - odparł Christian. Nie było to do końca prawdą. Wiedział zdecydowanie więcej, niż podawała prasa, ale zdawał sobie też sprawę, że najlepszym sposobem na uzyskanie dodatkowych informacji jest udawanie ignorancji. Zwłaszcza w sytuacji, gdy rozmówca wyraźnie bardzo czegoś pragnie. - To znaczy niewiele.

Prezydent z politowaniem pokiwał głową, jakby się spodziewał, że Christian nie będzie znał żadnych szczegółów ze względu na potajemny charakter pertraktacji.

- Chiny i Kuba podpisały oficjalne porozumienie co do wspólnej eksploatacji ewentualnych pól naftowych u wybrzeży kubańskich. A są tam bardzo duże pola, znacznie większe od tych,

o których donosiła prasa. Prawe skrzydło w Waszyngtonie zaczyna już odchodzić od zmysłów z tego powodu, ale nawet wśród moich przyjaciół z lewej strony sceny politycznej zapanowała nerwowa atmosfera.

O tym akurat Christian doskonale wiedział.

- Natomiast nie mówiło się głośno o tym - ciągnął Wood - że wiele wskazuje na to, iż prowadzone są potajemne rozmowy mające ustawić Chińczyków w roli, jaką odgrywał wcześniej Związek Radziecki. Olbrzymie pożyczki i dopłaty miałyby iść głównie na wojsko i rolnictwo. - Prezydent przekrzywił głowę na bok i dodał: - Wszyscy wiemy jednak, że żaden kraj nie udziela drugiemu wielomilionowych pożyczek po to, by zamrozić własny kapitał. Kryją się za tym oczywiste intencje.

- Chodzi o te rakiety, o których wcześniej wspominałeś?

- Zgadza się, o broń taktyczną małego i średniego zasięgu. Nawet dziś, po tylu latach, jest to arsenał zapewniający znaczną przewagę.

- Jezu...

- W gruncie rzeczy mówimy więc o istotnym elemencie nowego planu obronnego. Nie zmienia to faktu, że naprawdę chciałbym pomóc Kubańczykom. Cierpią od dawna. Ale przede wszystkim nie mogę dopuścić, żeby Chińczycy zajęli tak ważny strategicznie przyczółek blisko naszych granic. Ewentualne konsekwencje pierwszego uderzenia raketowego spędzają mi sen z powiek.

- To zrozumiałe. - Teraz, znając wreszcie szerszy kontekst obaw prezydenta, Christian poczuł narastające podniecenie, gdyż zaczął się w końcu domyślać, czego przyjaciel od niego oczekuje. - Dlaczego opowiadasz mi o tym wszystkim, Jesse? Czemu poprosiłeś mnie, żebym tu przyjechał?

Wood przez kilka sekund patrzył mu prosto w oczy.

- Potrzebuję twojej pomocy. Chcę, żebyś nawiązał kontakt ze wspomnianym ugrupowaniem, złożonym głównie z wyższych rangą urzędników kilku ministerstw pozostających w bliskich stosunkach z grupą oficerów armii kubańskiej uważających się za spadkobierców idei generała Ochoi. Zanim bowiem Stany Zjednoczone udzielą oficjalnie poparcia tym ludziom, chciałbym wiedzieć, czy możemy na nich liczyć. Pragnę usłyszeć od ciebie, czy ci urzędnicy będą w stanie przeforsować wolnorynkowe przemiany na Kubie, podczas gdy ich sprzymierzeńcy spod znaku Ochoi zajmą się siłami zbrojnymi. Jeśli uznasz, że to ugrupowanie jest zdolne do dokonania przewrotu, powinieneś ich zachęcić do wzmożenia wysiłków. Zatem przez jakiś czas będziesz musiał przebywać na wyspie, nawet do chwili, kiedy dokona się ten przewrót. Będziesz pełnił rolę doradcy w niektórych sprawach.

- Czy to oznacza...

- Dosłownie to, co powiedziałem. Chciałbym, żebyś pozostał na Kubie do czasu, aż sytuacja się odmieni, kiedy generałowie wydadzą rozkaz unieszkodliwienia dotychczasowych przywódców partyjnych i kiedy rozpęta się prawdziwe piekło. - Wood wymierzył w niego palec wskazujący. - Według mnie jesteś najlepszym kandydatem do wypełnienia tej misji. W pełni polegam na twojej intuicji. - Prezydent wyjął z wazonu jedną różę i powąchał ją. - Na pewno już się domyślasz, że ta rola będzie się dla ciebie wiązała z kilkoma poważnymi wyzwaniem.

Christian pomyślał, że stres związany z pełnieniem obowiązków prezydenta Stanów Zjednoczonych zbiera u Wooda obfite żniwo. Świadczył o tym chociażby sposób na znalezienie chwilowego oderwania od spraw przyziemnych, jakim miał być ulotny zapach ściętej róży.

- Masz na myśli jeszcze inne wyzwania poza wystawianiem się na śmiertelne zagrożenie?

Prezydent szybko wsunął różę z powrotem do wazonu.

- Jak już powiedziałem, na tym etapie nasze zaangażowanie musi pozostać ścisłą tajemnicą. Gdyby misja, o którą

cię proszę, została ujawniona przez dziennikarzy bądź kogoś z mojej administracji, nie mógłbym się otwarcie przyznać, że nasza dzisiejsza rozmowa w ogóle się odbyła. Nie mógłbym potwierdzić, że twoje działania na Kubie mają poparcie władz Stanów Zjednoczonych. Do diabła, chyba nawet nie mógłbym się przyznać do utrzymywania znajomości z tobą od czasu objęcia urzędu. Gdyby opinia światowa zyskała jakiś dowód na to, że popieramy nowy reżim kubański, że mieliśmy cokolwiek wspólnego z przezwrotem, znalazłbym się w szczególnie trudnej sytuacji dyplomatycznej. Nawet nasi najwierniejsi sprzymierzeńcy mogliby się wtedy obrócić przeciwko nam.

Christian odchylił się na oparcie krzesła i zamyślił nad tym, co usłyszał od prezydenta.

- No cóż, na tym etapie mam tylko jeden poważny powód do zmartwienia.

Wood energicznie pokiwał zgiętymi palcami.

- Słucham. Jaki?

- Obywatele Stanów Zjednoczonych nie mają prawa nawiązywać bliższych stosunków z obywatelami kubańskimi. Jeśli dobrze pamiętam, nawet rozmowy z Kubańczykami są nielegalne. - Przypomniał sobie, jak przed paroma tygodniami czytał w prasie o grupie biznesmenów z Oklahomy, którzy zostali aresztowani za udział w pertraktacjach z przedstawicielami kubańskiej państwowej rafinerii naftowej, zorganizowanych w Meksyku. Przedstawiciele agencji federalnych aresztowali ich już na płycie lotniska w Tulsa, gdy wracali z tych negocjacji. Na oczach gromady dziennikarzy oraz ich żon i dzieci zostali zakuci w kajdanki. - Przystępstwem jest nawet udział w spotkaniu z kubańskimi oficjalami na neutralnym terenie. - Zawiesił na chwilę głos. - Jak na nieszczęście, narobiłem sobie trochę wrogów, pełniąc funkcję prezesa Everest Capital. Obawiam się, że teraz zechcą się mścić, jeśli tylko wyjdzie na jaw moje zaangażowanie w jakiegokolwiek rozmowy.

Wood lekceważąco machnął ręką.

- Każda działalność pociąga za sobą niebezpieczeństwo powiększenia

liczby wrogów.

- To prawda, ale mój problem polega na tym...

- Twój problem - wpadł mu w słowo Wood - polega tylko na tym, że będziesz miał kłopoty, jeśli o twojej misji dowie się któryś z twoich wrogów i powiadomi o niej władze. Rzeczywiście może to być poważny problem, gdy napotkasz formalne zarzuty, gdyż jako prezes Everest Capital powinieneś być wolny nawet od jakichkolwiek podejrzeń, chcąc zachować swą wiarygodność wobec inwestorów spółki.

- Same zarzuty to jeszcze nic, ale wyrok skazujący w jakiegokolwiek sprawie byłby dla mnie nie do przyjęcia.

- Już się nad tym zastanawiałem - zapewnił go Wood. - Załatwimy ci prawomocną licencję na prowadzenie pertraktacji z Kubańczykami. Sprawdzalem to już w naszym Biurze Kontroli Partnerów Zagranicznych. Dostaniesz tę licencję w ramach działalności charytatywnej i pomocy społecznej dla ludności kubańskiej. Podobno nie jest to nic nadzwyczajnego. Ponadto zapewnimy ci odpowiednie alibi osłonowe, oczywiście niemające nic wspólnego z prawdziwym celem twojego pobytu na wyspie. Dostaniesz laminowaną plaketkę do noszenia na szyi, więc w tym zakresie nie powinno być żadnych kłopotów. Zakładam też, że podejmiesz właściwe kroki, aby mieć pewność, że nikt nie będzie cię śledził i nie zdoła przed czasem zidentyfikować ludzi, z którymi zamierzasz się spotkać - dodał prezydent patrycjuszowskim tonem. - Zatem o tego typu kłopotach możemy od razu zapomnieć.

- I tak będzie mi potrzebna pomoc - wtrącił szybko Christian. - Przede wszystkim będę musiał wprowadzić we wszystko Quentina Stilesa. - Miał nadzieję, że z okresu rozważania jego kandydatury na stanowisko wiceprezydenta przyjacielowi utkwiła w pamięci postać Quentina, jednego z pięciu wiceprezesów Everestu, a więc człowieka podległego tylko jemu, specjalisty od spraw bezpieczeństwa

stwa i ochrony osobistej, a zarazem jego najlepszego przyjaciela. - Chyba go jeszcze pamiętasz, prawda?

- Oczywiście, że pamiętam. To bardzo rzetelny człowiek. - Wood uśmiechnął się szeroko. - Pamiętam też Allison Wallace - rzekł, wymieniając kolejnego członka ścisłego zarządu spółki. Allison dołączyła do tego grona po tym, jak jej rodzina zobowiązała się wnieść olbrzymi udział finansowy do gromadzonego właśnie ostatniego funduszu inwestycyjnego firmy. - Nadal jesteście ze sobą w tak bliskich i zażyłych stosunkach?

- Nigdy nie łączyły nas bliskie i zażyłe stosunki.
- Moi ludzie z Secret Service mówią coś innego.
- Posłuchaj, Jesse, nie sądzę...
- W porządku, nie ma sprawy - odparł szybko Wood, unosząc obie ręce. -
Więc na pewnym etapie chyba będę musiał wyrazić zgodę na wtajemniczenie
Quentina w szczegóły twojej misji, ale na razie o niczym mu nie mów.
- Nic z tego. Quentin powinien wiedzieć o wszystkim od samego
początku.

Prezydent zamyślił na chwilę.

- W porządku, tobie zostawiam decyzję co do właściwego momentu, aby
go wprowadzić w sprawę. Tylko, do diabła, wołałbym, żeby Stiles...

- Nikomu innemu na świecie nie ufam tak jak jemu. Wszystko będzie w
porządku - zapewnił pospiesznie Christian.

- Ale i jego będziemy musieli dokładnie sprawdzić.

- Nie ma sprawy. - Przemknęło mu przez myśl, że Quentin pewnie narobi
rabanu z tego powodu, ale na razie wołał się tym nie przejmować. -
Zakładam, znając jego przeszłość, że będzie to proces szybki i bezbolesny.

Wood pokiwał głową.

- Na pewno będzie szybki.

- Mówiłeś o kilku poważnych wyzwaniach - podjął Gillette. -
Rozpatrzyliśmy już stronę prawną misji. Jakie inne wyzwania miałeś na
myśli?

Prezydent zrobił kwaśną minę.

- Sam zauważyłeś, Chris, że misja może się wiązać ze śmiertelnym
niebezpieczeństwem. Trudno nawet przewidzieć, co się stanie, jeśli dowiedzą
się o niej ludzie z komitetu kubańskiej partii. Głównie z tego powodu
będziesz musiał się udać na Kubę incognito. Już rozmawiałem z do-
wództwem oddziałów specjalnych, żeby zorganizowali przerzucenie ciebie
na wyspę. Zatem w grę wchodzi przelot śmigłowcem i nocny skok na
spadochronie. A kiedy już będziesz na miejscu, staniesz się idealnym celem
dla wszystkich, którzy zwietrzą twoje prawdziwe pochodzenie, chociażby dla
ewentualnych szpiegów działających w wybranym przez nas ugrupowaniu.

Christian pociągnął łyk wody mineralnej.

- To mnie mało martwi - odparł, mimo że nigdy nie służył w wojsku i
miał z tego powodu drobne wyrzuty sumienia. Znacznie większe wrażenie
robiła na nim możliwość uczestnictwa w tajnej misji oddziałów specjalnych,
nawet gdyby chodziło o zwykły mecz piłki nożnej. Miał nadzieję, że

zaspokoi to jego skrywaną chęć zrobienia czegoś więcej, uczestnictwa w czymś ważniejszym od zarządzania Everestem. Z upływem lat owo pragnienie coraz mocniej dawało znać o sobie. - Może powinienem wyrazić się inaczej - dodał w zamyśleniu. - Na pewno nie zlekceważę tych zagrożeń, tyle że nie powstrzymają mnie one przed wypełnieniem misji. - Przemknęło mu przez głowę, że w ciągu minionych lat zarobił mnóstwo pieniędzy tylko dlatego, że Stany Zjednoczone były najbezpieczniejszym krajem świata do prowadzenia tego typu działalności, nie miał jednak żadnego udziału w tym, żeby nadal były równie bezpiecznym miejscem. - Mnóstwo młodych ludzi uczestniczy w naszej misji wojskowej w Iraku i nie powstrzymuje ich od wyjazdu świadomość różnych zagrożeń.

- Owszem, to prawda - przyznał Wood. - Ale ty na wyspie będziesz pod naszą ochroną, o twoje bezpieczeństwo zadba pluton zwiadu wojskowego. Poza tym przygotowuje

my wszystko, żeby ewakuować cię błyskawicznie na wypadek, gdyby rewolta poszła w niezbyt odpowiednim kierunku bądź wygasły szanse jej powodzenia. Gdyby na przykład generał, z którym pozostajemy w kontakcie, nie uzyskał aż tak wielkiego wpływu na swoich podwładnych, jak zakładamy. Wzdłuż wybrzeży Kuby będzie czekała cała eskadra jednostek gotowych zabrać cię z wyspy.

- Jeśli tylko nie przeszkodzą im w tym jednostki marynarki chińskiej.

Prezydent przeciągnął dłonią po włosach.

- Takiej ewentualności nawet nie chcę brać od uwagi.

Christian uzmysłowił sobie, że nadeszła pora, by zadać to najważniejsze pytanie.

- Czy wesprzemy militarnie kubański przewrót?

Wood otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, ale chyba ugryzł się w język.

- Tego nie mogę powiedzieć, Chris.

Gillette pokiwał głową, chcąc dać mu znak, że rozumie i nie zamierza dalej drążyć tematu. W każdym razie nie teraz.

- W porządku - odrzekł, mając nadzieję, że małomówność prezydenta znaczy tylko tyle, że oprócz bezpośredniej ochrony wojskowych zwiadowców będzie mógł liczyć na zaangażowanie innych formacji armii amerykańskiej. - To wszystko?

Wood wzruszył ramionami.

- Nie mam tylko pojęcia, jak ci się odwdzięczyć. Naprawdę trudno mi...

- Nie oczekuję niczego w zamian, Jesse - przerwał mu Christian. - Jeśli zdecyduję się na udział w tej misji, zrobię to tylko dlatego, żeby wspomóc ojczyznę.

Prezydent w zamyśleniu pokiwał głową.

- Dzięki, Chris - zawahał się. - Gdybym mógł jednak coś dla ciebie zrobić, chętnie to uczynię.

- Nie wątpię.

Na dłużej zapadło milczenie.

- Możesz mi coś wyjaśnić? - odezwał się w końcu Gillette. - Kilka minut temu powiedziałeś, że jeszcze parę lat temu do głowy by ci to nie przyszło, ale teraz rysuje się okazja do odwdzięczenia się Kubańczykom. Czyżby nasze embargo przyniosło aż tak druzgocący skutek?

- Owszem - odparł Wood - ale korzenie naszych zatargów z Kubańczykami sięgają o wiele głębiej. Na dobrą sprawę wynikły jeszcze w końcu dziewiętnastego wieku, kiedy wygraliśmy wojnę z Hiszpanami.

- Wydawało mi się, że zaraz po tym oficjalnie uznaliśmy niepodległość Kuby.

- Uznaliśmy, ale nie obyło się to bez wielu zabiegów politycznych. I tu właśnie tkwi problem - ciągnął prezydent.

- W związku z niepodległością Kuby zaznacza się istnienie czegoś takiego, jak Rezolucja Platta, w myśl której mamy prawo interweniować w sprawy kubańskie według własnego uznania. Wykorzystywano ją jako carte blanche, ilekroć chodziło o zabezpieczenie naszych interesów. I to jest zasadniczy powód, dla którego do dzisiaj Kubańczycy mogą być nam nieprzychylni.

- Panie prezydencie? - zameldował agent Secret Service, który wyjrzał na werandę. - Przybył już pański następny gość.

- Proszę mu przekazać, że przyjmę go za kilka minut.

- Wood obejrzał się z powrotem na Christiana. - Naprawdę potrzebuję twojej pomocy, Chris. Daję ci kilka dni do namysłu, ale pospiesz się. Jak już mówiłem, musimy pilnie podjąć w tej sprawie decyzję. Jeśli nie zgodzisz się na udział w misji, będę musiał wybrać kogoś innego.

Christian chciał jeszcze zadać kilka pytań, ale na werandę wyszedł właśnie starszy mężczyzna z siwą brodą, któremu agent ochrony niemal dosłownie deptał po piętach.

- Witaj, Jesse! - zawołał z daleka.

Wood dźwignął się na nogi.

- Witaj, Richardzie. Jeszcze nie jestem gotów, żeby...
- Nie szkodzi, nie szkodzi. Tylko załatw to szybko...
- Oczywiście. - Wood się zawahał. - W każdym razie...
- Christian Gillette - przedstawił się Gillette, wyciągając rękę na powitanie. - Miło mi pana poznać.

- Richard Hart.

Christian od razu skojarzył nazwisko kolejnego gościa. Hart był żywą legendą w światku filmowym.

- Przez lata podziwiałem pańskie filmy, panie Hart.

- Jak wielu Amerykanów - odparł tamten lekceważącym tonem. - A pan czym się zajmuje, Gillette?

- Inwestowaniem pieniędzy.

- Aha. Nic dziwnego, że pańskie nazwisko jest mi obce. Nie przywiązuję większej wagi do spraw finansowych. - Hart obejrzał się na Wooda, ale zaraz z powrotem popatrzył na Christiana. - Ile czasu potrzebujecie na dokończenie rozmowy?

To była najpoważniejsza lekcja w dorosłym życiu Melissy: Nie można zadzierać z królem, nawet jeśli się jest jego córką.

Tego wieczoru, kiedy odebrała statuetkę, na stole w jadalni jej mieszkania leżało ponad pięćdziesiąt scenariuszy do wyboru. Kilkoma była szczególnie zainteresowana, ponieważ główne role w tych filmach mogły jej przynieść najcenniejszego Oscara dla najlepszej aktorki. Ale już następnego ranka zaczął raz za razem wydzwaniać jej agent, przekazując informacje, że kolejni reżyserzy zażądali zwrotu scenariusza. Później, pod koniec dnia, odezwał się po raz ostatni i telefonicznie wycofał się z wiążącej ich umowy. Tak oto wyglądał zmasowany atak Richarda Harta.

Miesiąc później skończyły jej się pieniądze, straciła więc także przyjaciół. Nawet te dziewczęta, z którymi bywała w lokalu „U Elaine”, nie odpowiadały na jej telefony. Podjęła zatem pracę kelnerki i ostatecznie, co było dla niej największym koszmarem, została zmuszona do sprzedaży swojej statuetki na aukcji internetowej.

Właśnie wtedy, kiedy jej upokorzenie sięgnęło zenitu, otrzymała propozycję zarobienia dużych pieniędzy - takich, które jeszcze miesiąc wcześniej potraktowałaby jak drobną sumę, ale teraz uznała za dar losu - a tym samym okazję do rewanzu. W tej sytuacji, na granicy nędzy, perspektywa zdobycia kolejnego przyczółka w wojnie z ojcem wydała jej się nie mniej kusząca od sowitego zarobku. Fakt, że publicznie nazwała go kiepskim

mężem i ojcem, traktowała teraz jak drobny i mało satysfakcjonujący szczegół. Pragnęła na dobre strącić go z piedestału. A była jeszcze za młoda na to, by rozumieć, że żadna zemsta nie smakuje tak cudownie, jak można by tego wcześniej oczekiwać.

Spojrzała teraz we wsteczne lustro sportowego auta. Nie była już urzekającą blondynką o długich włosach i błękitnych oczach. Teraz nosiła ciemne włosy, krótko ostrzyżone, a jej oczy miały zielony odcień. Nie chciała być rozpoznawana jako tamta młoda aktorka, która zdobyła Oscara, by zaraz potem zostać skazana na banicję przez całe Hollywood.

I rzeczywiście nie była rozpoznawana. Jej zleceniodawcy postawili to jasno jako jeden z podstawowych warunków. Z takim naciskiem żądali, by wtopiła się w tłum, że naszły ją obawy, że gdyby mimo to ktokolwiek ją rozpoznał, a tamci się o tym dowiedzieli, to i w tej roli nie zagrzałaby długo miejsca.

Pokręciła głową głęboko zamyślona. Kilka miesięcy temu sądziła, że znalazła się na samym szczycie świata. Do tej pory nie mogła się nadziwić, jak szybko życie potrafi przynieść diametralną odmianę.

Rozdział 6

Allison Wallace rozejrzała się ciekawie dookoła. Pomieszczenie w niczym nie przypominało typowego gabinetu, wyglądało raczej jak pawilon gadów w ogrodzie zoologicznym. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że pracuje tu jeden z bardziej znanych na Manhattanie menedżerów. Pod dwiema ścianami ciągnęły się regały zastawione akwariami i klatkami pełnymi węży i jaszczurek, chyba we wszystkich możliwych ubarwieniach i wielkościach. A w wielkim zbiorniku w przeciwległym rogu leżał aligator prawie metrowej długości.

- Wszystko w porządku?

Obejrzała się na przysadzistą kobietę w średnim wieku noszącą duże okrągłe okulary, która przyprowadziła ją z recepcji do tego pokoju. Czuła się tak rozkojarzona, że ledwie usłyszała pytanie. W tym otoczeniu chyba w ogóle nie można było się skupić.

- Czy to...

- Jest pani tu po raz pierwszy, prawda?

- Owszem.

- Proszę się nie martwić, one zazwyczaj nie wychodzą z klatek.

- Zazwyczaj?

Sekretarka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Napije się pani czegoś w oczekiwaniu na panią Graham?

- Ma pani kwas borny? Na wypadek, gdybym musiała czymś chlusnąć na jakieś obrzydlistwo wpełzające na mnie.

- Przykro mi. Chłopak, który był tu przed panią, zużył ostatnią porcję. Niezłe sobie poradził, gdyby nie ten kwas, tamta kobra na pewno by się do niego dobrała.

Niewielkim pocieszeniem było to, że kobieta odznacza się poczuciem humoru.

- W takim razie byłabym wdzięczna za pepsi. - Allison zerknęła trwoźliwie w kierunku wskazanym przez sekretarkę, gdy mówiła o kobrze. Dwa ciemne okręgi na szerokim kapturze pod głową węża nie zostawiały żadnych wątpliwości, że to faktycznie jadowity okularnik. Był nieduży, ale co z tego? Czy u węży nie jest przypadkiem tak, że młode sztuki są dużo bardziej jadowite od starych? - Dzięki - dodała po chwili.

Kiedy kobieta wyszła, Allison zaczęła się bliżej przyglądać niektórym stworzeniom, pozostając w bezpiecznej odległości, zwłaszcza od aligatora. Nie był zbyt duży, ale zęby miał imponujące, a jego zbiornik nie wyglądał na szczególnie solidny. Można było odnieść wrażenie, że się uśmiecha, rozsyłając po całym pokoju perłowe odblaski kłów, zatem nie był to uśmiech przyjacielski, lecz grymas głodnego drapieżnika na widok łakomego kaska obiadowego.

- Podoba się pani?

Allison odwróciła się błyskawicznie. W przeciwległym końcu pokoju stała Victoria Graham, która weszła bocznymi drzwiami z sąsiedniego pomieszczenia. Nie było nawet słyhać, jak otwierała drzwi.

- Nazwałam go „Tricky Dick” - dodała gospodyni, ruszając w jej stronę - bo przypomina mi prezydenta Nixo- na. Jest bardzo groźny i przebiegły. Ten chytry uśmieszek ani na chwilę nie znika z jego pyska. Nie wiadomo nawet, czego się można po nim spodziewać. - Wyciągnęła rękę na powitanie i przedstawiła się: - Victoria Graham.

- Allison Wallace. Bardzo mi miło.

- Jest pani raczej za młoda, żeby pamiętać Nixona z kontaktów osobistych. - Graham westchnęła ciężko. - Pewnie

kojarzy się pani wyłącznie ze zdjęciem w podręczniku historii,

ukazującym go w otwartych drzwiach helikoptera przed ostatnim startem z trawnika Białego Domu, z uniesionymi w górę rękoma i palcami ułożonymi na kształt litery V. - Pospiesznie uniosła obie ręce i rozcapierzyła palce, małpując charakterystyczny pożegnalny gest byłego prezydenta. - Chociaż, jeśli się dobrze zastanowić, ma pani prawo nie znać nawet tego zdjęcia.

- Rzeczywiście, nie pamiętam Nixona - przyznała Allison - ale dużo o nim czytałam w związku z aferą Watergate i nagraniami z urządzeń podsłuchowych.

Graham - wysoka, szczupła i zgrabna, z gęstymi siwymi włosami zaczesanymi po bokach do tyłu - robiła imponujące wrażenie. Miała pięćdziesiąt siedem lat i na tyle też wyglądała, ale była bardzo ładna, a nawet pociągająca jak na starszą kobietę. Odznaczała się wysokim czołem, lekko spiczastym podbródkiem i ustami naturalnie ułożonymi jak gdyby w delikatnym tajemniczym uśmiechu. Mówiła lekko zachrypniętym głosem Katharine Hepburn z arystokratycznym zaśpiewem, szeroko przy tym gestykulując. Allison z samego rana przejrzała w internecie informacje na jej temat i natknęła się na kilka fotografii przedstawiających bardzo ładną kobietę, teraz jednak przyznała w duchu, że przy bezpośrednim spotkaniu gospodini wyglądała znacznie lepiej.

W trakcie tych sieciowych poszukiwań natknęła się też na masę pochwał przedstawiających Graham jako liderkę światowej społeczności finansistów oraz rzeczniczkę spraw kobiet. Faktycznie, była pierwszą kobietą na stanowisku prezesa wielkiego amerykańskiego towarzystwa ubezpieczeniowego, pierwszą, która jednocześnie zasiadała aż w pięciu radach nadzorczych spółek z listy Fortune 500, jak też pierwszą właścicielką zawodowej drużyny sportowej. W wypadku Victorii Graham można było jeszcze mnożyć rozmaite rodzaje pierwszeństwa, choć Allison

zwróciła także uwagę, że można jej było również przyznać palmę pierwszeństwa w ekscentrycznym sposobie dobierania współpracowników.

Gospodini wskazała zbiornik z aligatorem.

- Pewnie chciałaby pani usłyszeć jakieś wyjaśnienia co do jego miejsca w moim gabinecie.

Rzeczywiście Allison rozpieierała ciekawość, chociaż bynajmniej nie dotyczyła ona samego aligatora.

- No cóż...

- Mam letnią posiadłość na wyspie Marco na Florydzie i ostatniej zimy ten malec zaczął regularnie wychodzić z kanału na mój trawnik za domem,

co śmiertelnie przerażało wszystkich domowników. Podejrzewamy, że upatrzył sobie moje koty, gdyż kilka zniknęło bez śladu. Pewnego popołudnia mało nie odgryzł nogi chłopakowi czyszczącemu basen kąpielowy. A ponieważ jest bardzo sprytny, postanowiłam go umieścić w klatce. I kazałam przetransportować do mojego biura. Niestety, już nie zbyt długo będę mogła go tu trzymać, bo za szybko rośnie, karmiony hodowlanymi królikami. Szykuję mu więc specjalne wydzielone miejsce przy moim domu w Connecticut. Oczywiście klimatyzowane. Na pewno mu się tam spodoba.

Allison wybałuszyła na nią oczy.

- Karmi go pani tutaj, w tym pokoju?!

Ta kobieta miała naprawdę twardy charakter. Nie znalazła nic na ten temat w internecie. Nie wspominał o tym również Christian. Ale u niego to było normalne. Zawsze wolał, żeby ludzie we własnym zakresie wyrabiali sobie opinię o rozmówcach.

- Tak, oczywiście. A gdzie miałabym to robić? - zdziwiła się Graham. - Chce pani popatrzeć?

- Nie, skądże. - Allison w jednej chwili pożałowała, że tak szybko odrzuciła tę propozycję. Po chwili uznała bowiem, że ciekawe byłoby zobaczyć łowy tego krwiożerczego stworzenia. Obawiała się jednak, że z wielkim

smutkiem przyjąłaby śmierć niewinnego królika, mimo że aligator i tak miał dostać swój posiłek, niezależnie od jej obecności w tym pomieszczeniu.

- Niemniej dziękuję za propozycję.

- Oczywiście, rozumiem. - Graham ruszyła w stronę przepaścistego skózanego fotela stojącego za biurkiem. - Może w takim razie zechce pani być świadkiem karmienia któregoś z węży po zakończeniu naszej rozmowy. Proszę mi wierzyć, że łowy tamtego boa są zwykle bardzo zabawne, chociaż niekiedy dość długo zajmuje mu upolowanie zwinnego szczura, którego wpuszczamy do klatki.

Allison obejrzała się na grubego, zwiniętego w kłębek gada, gdy do pokoju wszedł pracownik biura, niosąc na tacy pepsi.

- Niewykluczone - odparła szybko.

- Zawsze lubiłam gady - wyjaśniła gospodyni, rozsiadając się w fotelu. - Prawdę mówiąc, marzyłam o tym, żeby zostać biologiem czy zoologiem, kiedy zaczynałam naukę w college'u. - Zmarszczyła brwi, wyduła lekko wargi i zapatrzyła się w okno.

Musi tęsknić za tamtymi czasami, pomyślała Allison. Wydało jej się to trochę dziwne, że mimo olbrzymiego sukcesu finansowego gospodyni wciąż jeszcze się zastanawia, czy inne, znacznie prostsze życie, które spełniłoby jej marzenia, nie dałoby jej większej satysfakcji. Mogło to wskazywać, że jednak odczuwa pewien żal, iż jej życie potoczyło się takim torem.

- Skończyłam jednak w sektorze ubezpieczeniowym - podsumowała po chwili Graham.

- W jaki sposób?

- Mój ojciec kierował maklerską firmą ubezpieczeniową w Filadelfii. Zmarł nagle na atak serca, kiedy byłam na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Stanowym Florydy, toteż musiałam wracać do domu, żeby przejąć jego interesy, bo wszyscy moi krewni byli na to za młodzi. I już nie wróciłam na studia - dodała z żalem w głosie. - Czte

ry lata później sprzedałam firmę ojca wielkiej korporacji, a sama podjęłam pracę w towarzystwie Mutual w Pensylwanii. - Machnęła lekceważąco ręką i uniosła wzrok do nieba. - Cała reszta, jak to się mówi, jest już historią.

- Niemniej odniosła pani olbrzymi sukces.

- Pewnie tak.

- Co sprawia, że aż tak bardzo lubi pani gady? - Allison lubiła grzebać w zakamarkach psychiki innych ludzi, szczególnie starszych kobiet, jakby wciąż szukała dla siebie wzoru do naśladowania na następne lata.

- Głównie to, że tak mało się zmieniły przez miliony lat. Zawsze imponowała mi konsekwencja, ponieważ uważam, że to właśnie dzięki konsekwencji powstawały długowieczne dynastie. Tymczasem gady najwyraźniej osiągnęły perfekcję w jej stosowaniu. - Uśmiechnęła się. - Jest pani bardzo piękną kobietą, moja droga.

Victoria Graham była po prostu fascynująca, ani trochę nie taka sztywna i pełna rezerwy, jak Allison się obawiała. Cieszyła się reputacją finansisty nadzwyczaj twardego, ale przecież musiała taka być, żeby odnieść sukces w tym świecie niemal całkowicie zdominowanym przez mężczyzn. Jednocześnie wykazywała się delikatnością. Wyglądało na to, że z godną podziwu precyzją mówi dokładnie to, co ma na myśli. Większość ludzi mogła jedynie marzyć o tak bezcennej umiejętności.

- Miło mi to słyszeć z pani ust.

- I ma pani szczęście. - Graham pokręciła głową, wskazując drzwi. - Uczyniłam dla Marcii wszystko, co było w mojej mocy. Biedactwo. Operacje

plastyczne, ciągle wyjazdy do ośrodków specjalizujących się w odchudzaniu, wizyty u fachowców od makijażu. I niewiele z tego wszystkiego wynika. To najlepsza sekretarka, z jaką kiedykolwiek pracowałam, i kocham ją jak własną córkę. Ale któregoś dnia umrze jako stara panna, jeśli nie będzie się bardziej pilnowała. Bardzo jej zależy na znalezieniu męża, ale zdecydowanie musi poszerzyć kryteria wyboru, jeśli

marzy choćby o tym, żeby ktoś ją przynajmniej uszczypnął. - Ponownie się uśmiechnęła. - Pani jest jej przeciwieństwem, więc pewnie musi się kijem oganiać od adoratorów.

Allison, która była jeszcze dużo przed czterdziestką, rzeczywiście uchodziła za piękność. Wspaniale zbudowana blondynka wywoływała gromkie gwizdy robotników na każdej budowie, obok której przechodziła. Doskonale zdawała sobie sprawę z daru, jaki otrzymała. W ciągu dnia starała się nie świecić urodą w oczy innym kobietom, toteż ubierała się do pracy bardzo klasycznie. Ale gdy w czasie weekendów pojawiała się w jakichś lokalach, zawsze była ubrana prowokacyjnie. Powłóczyście spojrzenia mężczyzn sprawiały jej ogromną radość i doskonale się nimi bawiła. Wychodziła z założenia, że będzie się czym martwić, dopiero kiedy mężczyźni przestaną się za nią oglądać.

- Są naturalne? - zapytała Graham, ruchem głowy wskazując jej biust.

Allison przytknęła dłoń do piersi i uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Słucham? - zapytała z udawanym zdziwieniem. Co prawda, Christian niewiele jej mówił na temat Victorii Graham, uprzedził jednak, że nie ma takiego pytania, którego nie odważyłaby się zadać. Allison podświadomie przyjęła, że chodzi mu o skrajną szczerłość w sprawach dotyczących wspólnych interesów.

- Wydają mi się aż nazbyt idealne.

Allison zaśmiała się trochę nerwowo.

- Jezu...

- Tak, wiem, że jestem zbyt bezpośrednia.

- Łagodnie rzecz ujmując.

- Ale to świetna zabawa.

- Może dla pani, bo...

- Nie ma się pani czym przejmować, nie jestem lesbijką. Nie dlatego zapytałam o piersi.

- Mój Boże...

Graham zachichotała.

- Wiem, że czasami zachowuję się dość osobliwie.
- Cóż, nie znam się...
- Christian powinien był panią uprzedzić.

Allison się zawahała. Nie chciała być przyczyną czyichkolwiek kłopotów.

- Nie powiedział jednak ani słowa na ten temat. Poinformował mnie tylko, że od dawna jest pani jednym z najpoważniejszych inwestorów Everest Capital. - Ona sama stosunkowo niedługo była współnikiem zarządu Everestu i po raz pierwszy miała okazję spotkać się z Victorią Graham. Z najważniejszymi inwestorami spółki Christian kontaktował się tylko osobiście. - Żywi dla pani olbrzymi szacunek - podjęła po chwili. Rzeczywiście twierdził, że tylko dzięki niej Mutual z Pensylwanii, czyli MuPenn, jak mawiano na Wall Street, osiągnął tę pozycję na rynku, którą dzisiaj zajmował, czyli największego i najbardziej dochodowego towarzystwa w całym kraju. Graham była jednocześnie prezesem zarządu i dyrektorem naczelnym nieprzerwanie od dziewiętnastu lat. Kierowała firmą żelazną ręką i do tej pory musiała mieć swój udział w podejmowaniu decyzji co do rozdziału gigantycznych zysków każdego dnia zasilających konto firmy. - Powtarza, że wnosi pani wkład do kolejnych funduszy Everestu od samego początku działalności spółki.

- To prawda - potwierdziła gospodyni. - Dawno temu, jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych, zainwestowałam miliony dolarów w fundusze gromadzone jeszcze przez szefa i mentora Christiana, Billa Donovana, kiedy ten dopiero budował od podstaw potęgę Everestu. Wtedy nie byłam nawet jeszcze wiceprezesem MuPenn, lecz jedynie dyrektorem działu inwestycji. - Pokręciła głową. - Pierwszy fundusz zgromadzony przez Billa wynosił zaledwie dwadzieścia pięć milionów dolarów. - Uniosła wzrok na Allison. - A jak wielki jest ostatni fundusz zgromadzony przez Christiana? Nie pamiętam dokładnie.

- Dwadzieścia pięć miliardów.

- Mój Boże... To niewiarygodne.

- MuPenn włożyła do niego siedemset pięćdziesiąt milionów - przypomniała jej Allison. - Jesteście jednym z naszych największych inwestorów.

Graham przytaknęła ruchem głowy.

- Tę sumę pamiętam. Osobiście podpisywałam umowę inwestycyjną. Rada nadzorcza już rzadko mnie prosi o takie formalne gesty, ale tu chodziło

o największą inwestycję w historii towarzystwa, dlatego zarząd wolał się upewnić, że osobiście zatwierdzą jej wielkość.

- Oczywiście na wypadek, gdyby coś poszło nie tak - wtrąciła ironicznie Allison.

- To jasne - przyznała Graham. - Ale nic złego się nie stanie. Christian ma fantastyczne wyniki. To absolutnie najlepszy człowiek w tej branży. - Zawahała się. - Jak rozumiem, z tego samego powodu pani rodzina zainwestowała tak olbrzymi kapitał w fundusz Everestu.

Wallace'owie zaliczali się do najbogatszych rodzin w Stanach Zjednoczonych. Pochodzący z Chicago inwestorzy zbili początkowy majątek w dziewiętnastym wieku na rozbudowie kolei żelaznej. Potem poszerzyli zainteresowania o majątki ziemskie, parcelując i sprzedając pod zabudowę ziemię pozyskaną wcześniej w trakcie budowy linii kolejowych. W drugiej połowie dwudziestego wieku kolejną fortunę przyniosła im trafna inwestycja w rozwój telefonii komórkowej. Zarówno „Forbes”, jak i „Fortune”, oceniały rodzinny majątek na 40 miliardów dolarów, ale w rzeczywistości był on większy. Przed kilkoma laty Wallace'owie przeznaczyli aż 5 miliardów dolarów na zasilenie funduszu gromadzonego właśnie przez Everest - co pozwoliło Christianowi podnieść jego ostateczną wielkość do 25 miliardów dolarów - a tym samym wnieśli największy wkład finansowy w historii zasilający fundusz inwestycyjny jakiegokolwiek prywatnej spółki kapitałowej. W dodatku rodzina wysłała Allison na Manhattan, żeby

uczestnicząc w posiedzeniach zarządu spółki, nadzorowała ten olbrzymi wkład, a zarazem uczyła się trudnej sztuki pomnażania pieniędzy.

- Wydawało mi się, że wróci pani do Chicago po zakończeniu inwestowania pieniędzy z tego ostatniego funduszu spółki - powiedziała Graham. - Choćby po to, żeby rozwijać własną działalność opartą na finansach swojej rodziny. Przypominam sobie, że Christian wspominał o takiej ewentualności, gdy jeszcze się zastanawiał, czy włączyć pani rodzinę do grona inwestorów Everestu. Wyrażał wtedy poważne obawy, że może pani stworzyć dla niego groźną konkurencję.

Allison spuściła wzrok.

- Zdecydowałam się jednak pozostać w zarządzie spółki.

- Dlaczego?

- Bo podoba mi się na Manhattanie. - Przede wszystkim jednak podobał jej się Christian, i to bardzo. Zadurzyła się w nim od pierwszego wejrzenia. Co więcej, była prawie pewna, że on czuje to samo do niej. Nadarzyło się już

kilka okazji, żeby ich znajomość przenieść na wyższy stopień zażyłości, a tym samym rozpalic ją żarem gorącego uczucia. Wydawało się jednak, że obojgu przeszkadza to, iż razem pracują. - Ponadto chciałam się troszeczkę usamodzielnić, wymknąć spod opiekuńczych skrzydeł rodziny.

Graham uniosła w górę jedną brew.

- Może mi pani o tym opowiedzieć?

Victoria Graham mogła zadawać wszystkie pytania, jakie przychodziły jej do głowy, co jeszcze nie oznaczało, że uzyska na nie odpowiedź, a szczególnie wtedy, gdy chodziło o życie osobiste Allison. Ale nie chciała też zaostrić stosunków z największym inwestorem Everestu. Christian na pewno nie byłby z tego zadowolony.

- No cóż, jak pani sama wie, różnie w życiu bywa.

- Czyżby pokłóciła się pani z Gordonem Meade?

Jeszcze kilka lat temu Gordon był głównym zarządcą Funduszu Powierniczego rodziny Wallace'ów, a więc

motorem napędowym wszystkich rodzinnych inwestycji. Allison przyjmowała za pewnik, że jest on człowiekiem najętym do prowadzenia interesów, ponieważ nikt z jej krewnych nie czuł się na siłach wziąć sprawy w swoje ręce. Ale w końcu odkryła ściśle skrywaną tajemnicę, która wyjaśniała charakter jego rzeczywistych powiązań z rodziną.

- Nie, jesteśmy zgodni. Przynajmniej w najważniejszych sprawach.

- Spotykałam się z Gordonem kilkakrotnie w czasach, gdy niepodzielnie władał pieniędzmi rodziny. Jaki ten świat mały. Zrobił na mnie wrażenie dość przyjemnego człowieka. Ale niedawno zmarł, prawda?

Allison pokiwała głową.

- Co się stało?

To pytanie było podchwytliwe. Istniała przecież oficjalna wersja przyczyny śmierci Gordona.

- Miał udar mózgu - wyjaśniła, nie spuszczać wzroku z twarzy gospodyni, choć przychodziło jej to z niemałym trudem.

- I kto teraz zarządza pieniędzmi rodziny?

- Mój brat.

- Czyżby to był powód, dla którego odsunęła się pani nieco od reszty rodziny? Dlatego, że wybrali jego, a nie panią?

Allison pokręciła głową.

- Nie. - Było oczywiste, że Graham spodziewa się dalszego ciągu, ale ona nie zamierzała wnikać w szczegóły tej sprawy.

Gospodyni popatrzyła na węża owiniętego wokół grubej gałęzi umieszczonej w jego klatce i zapytała:

- Ilu pracowników liczy obecnie Everest Capital?

To był dobry znak. Graham postanowiła w końcu zejść z tematu jej rodziny.

- Prawie osiemdziesięciu.

- A ilu jest wspólników zarządu? Ilu finansistów odpowiada bezpośrednio przed Christianem?

- Pięciu.

- Pani jest jedyną kobietą w tym gronie?

- Tak. Była jeszcze jedna, ale odeszła w ubiegłym roku, gdyż zaszła w ciążę. Jej mąż jest bankierem inwestycyjnym w firmie Morgana Stanleya, mogli więc śmiało zrezygnować z jednego źródła dochodów. Dlatego nie wróciła do pracy po urodzeniu dziecka i wątpię, czy kiedykolwiek wróci. Christian trzyma dla niej miejsce, ale coś mi się zdaje, że ona znów zaszła w ciążę.

- To nasze przekleństwo, prawda? - rzuciła retorycznie Graham. - Musimy rodzić dzieci, a bardzo trudno jest pełnić dwie role naraz, to znaczy łączyć macierzyństwo z karierą zawodową. W każdy razie trudno jest to robić efektywnie. - Zabębniła palcami o biurko, jakby wspomniany konflikt był tematem wielu jej przemyśleń, które jednak nie prowadziły do żadnych wniosków. - Jak układają się pani stosunki z Christianem?

Allison podniosła głowę. Ona sama miała już ochotę na dziecko. W ostatnim okresie coraz częściej o tym rozmyślała.

- Doskonale. Świetnie się uzupełniamy.

- I ani trochę między wami nie iskrzy?

Znów to samo. Graham rzeczywiście miała brzydki zwyczaj pytać o to, co jej właśnie przyjdzie do głowy. Allison skrzywiła się, jakby chciała jej dać do zrozumienia, że coś takiego w ogóle nie wchodzi w rachubę.

- Wcale.

- Dlaczego? Oboje jesteście samotni i pociągający, w dodatku zapewne spędzacie mnóstwo czasu ze sobą. To wręcz idealna recepta na romans. - Zaśmiała się krótko. - O co chodzi? Czyżby Christian wciąż nie umiał korzystać z życia? Tyle razy mu tłumaczyłam, że powinien wreszcie choć trochę wyluzować.

Allison uśmiechnęła się skąpo.

- Owszem, zdarza mu się, chociaż niezbyt często. - Nawet sama przed

sobą musiała szczerze przyznać, że Gil-

lette po prostu nie ma czasu na rozrywki. Wiecznie ktoś czegoś od niego chciał, a on musiał bez przerwy podejmować trudne decyzje. Z czasem coraz lepiej to rozumiała, ponieważ i ją różni ludzie zaczynali ciągnąć w przeciwnych kierunkach. - Wychodzę z założenia, że bardzo źle wpłynęłoby to na naszą pracę, gdybyśmy nawiązali romans. A gdyby nasz związek okazał się nieudany? Jak mielibyśmy wtedy dalej postępować?

Kilkakrotnie usiłowała przekonać Christiana, że mogą mieć romans, który w żaden sposób nie wpłynie na ich codzienne kontakty w biurze Everestu. Niemniej w rozmowie z Graham wolała się ograniczyć do wersji oficjalnej, tym bardziej że Gillette raz o mało jej nie uległ, lecz natychmiast wycofał się na bezpieczny dystans. Rozumiała jego racje. Chyba faktycznie inwestorzy nie spojrzeliby na nich przychylnym okiem, gdyby doszły ich plotki, że prezesa łączy biurowy romans z kobietą będącą współnikiem zarządu spółki. Gdyby kiedykolwiek do czegoś między nimi doszło, musiało to pozostać ścisłą tajemnicą. Zresztą ona sama nie umiała odpowiedzieć na pytania, które ciągle jej zadawał. Co będzie, jeśli spróbują i nic z tego nie wyjdzie? Albo jeśli nie będzie już możliwe całkowite zerwanie? Czy nadal potrafią wówczas ze sobą pracować?

- W dodatku natychmiast pojawiłyby się plotki - dodała - gdybyśmy zaczęli się spotykać poza biurem Everestu.

- A niech gadają. Przecież tu chodzi o wasze życie, a nie innych. - Graham odchyliła głowę do tyłu i znowu zaśmiała się głośno. - Oczywiście dużo łatwiej mówi się coś takiego, gdy ma się pięćdziesiąt siedem lat.

- Pani nigdy nie była mężatką, prawda? - Allison zapytała niemal odruchowo, tak niespodziewanie, że zaskoczyło ją to nie mniej niż gospodynię. Ale bardzo chciała zadać to pytanie, myślała o tym od samego rana, jak tylko wyczytała, że Graham jest bezdzietną starą panną. Ją samą nachodziły obawy, że może się spodziewać podobnego losu. Ostatnie dziesięć lat jej życia upłynęło bardzo szyb

ko. Zdawała sobie sprawę, że już niedługo zajście w ciążę stanie się niemożliwe albo przynajmniej będzie się wiązało z dużym ryzykiem. - Dlaczego? - Uśmiechnęła się lekko, skojarzywszy, że ma wreszcie okazję odpłacić się bezpośrednim i kłopotliwym pytaniem.

- Bo nie trafiłam na odpowiedniego mężczyznę - odparła Graham, ale zaraz pokręciła energicznie głową i uniosła rękę. - To niezupełnie prawda - dodała ciszej. - Raczej nigdy nie znalazłam czasu. Życie upływa tak szybko,

kiedy człowiek angażuje się w codzienną walkę w okopach na pierwszej linii frontu. - Urwała i zamyśliła się na krótko. - Oczywiście można to również traktować w ten sposób, że nigdy mi nie zależało, aby znaleźć czas. Może byłam aż tak zajęta codzienną walką z mężczyznami, że już nie miałam ochoty widzieć ich przy sobie w nocy. Może właśnie dlatego trzymam w gabinecie aż tyle węży. - Szerokim gestem wskazała regały z klatkami i akwariami. - Żeby mi przypominały te wszystkie ludzkie gady, z którymi musiałam się tak zmagać przez całą swoją karierę, że zrezygnowałam z wyboru któregoś z nich na życiowego partnera. W każdym razie stałego partnera. - Posmutniała nagle. - Tak więc obudziłam się któregoś dnia we własnym łóżku i stwierdziłam, że wciąż jestem samotna, a mam już pięćdziesiątkę. - Po krótkiej przerwie wymierzyła w Allison palec wskazujący i dodała: - Nie dopuść, moja droga, żeby i tobie się to przytrafiło. Jak to się mówi, pod koniec życie upływa w mgnieniu oka.

- Jeszcze daleko pani do końca życia - odparła stanowczo Allison.

- Lecz jeszcze dalej od jego początku. - Graham klasnęła w dłonie, chcąc rozproszyć smutną atmosferę. - Jaki jest pani ulubiony film, Allison?

Allison odwróciła głowę i na parę sekund zapatrzyła się na zbiornik z aligatorem.

- No cóż... Jest ich tak dużo...

Jej rozmówczyni huknęła pięścią w biurko.

- Tylko nie próbuj mnie zwieść - powiedziała ostro. - Powiedz szczerze, jaki film lubisz najbardziej. Mam na myśli taki, który byś wybrała, gdybyś szła do więzienia na resztę życia i za jedyną rozrywkę miała telewizor z odtwarzaczem DVD oraz tę jedną płytę. No, słucham.

- Taki film jeszcze nie powstał. Zresztą wątpię, aby groziło mi zamknięcie w więzieniu do końca życia.

Graham otworzyła już usta, żeby coś powiedzieć, lecz tylko uśmiechnęła się szeroko.

- Jeszcze nigdy nie słyszałam takiej odpowiedzi na to pytanie. Ale pomijając twoją oryginalność, i tak chciałabym wiedzieć...

- Golfiarze.

Graham wybałuszyła oczy ze zdumienia.

- Niemożliwe... Chyba nie...

- Żartowałam. - Allison zaśmiała się krótko. Poczuli się nagle tak, jakby z Victorią Graham łączyła ją długoletnia serdeczna przyjaźń. - Wybrałabym raczej Pożegnanie z Afryką z Meryl Streep i Robertem Redfordem.

- Ja też bardzo lubię ten film.

- Streep jest cudowna w każdej roli, ale w tym filmie gra kobietę bardzo silną psychicznie. No a Redford... jest po prostu bardzo seksowny, chociaż gra starszego mężczyznę. - Poczula się nieco zażenowana, gdy pomyślała, że gospodyni ta uwaga może się wydać niestosowna, i dodała szybko: - No, ale w końcu nie tak starego.

- Daj spokój, Allison. Jestem w pełni świadoma swojego wieku i nie mam na tym punkcie żadnych kompleksów. Prawdę mówiąc, czuję się chyba szczęśliwsza, niż kiedykolwiek wcześniej. A raczej bardziej pogodzona z samą sobą, żeby być precyzyjnym. - Machnęła lekceważąco ręką. - Ale dość o mnie. To wspaniałe pytanie, prawda? Chodzi mi o ulubiony film. Nawet krótka odpowiedź pozwala sporo dowiedzieć się o rozmówcy. A co najbardziej interesujące, mężczyźni przeważnie boją się udzielić odpowiedzi. Wydaje się, że traktują to jak rodzaj osobistego

ataku, jakby ich odpowiedź mogła odgrywać wielką rolę w jakiejś rozprawie przed sądem czy też stanowiła głęboko skrywaną tajemnicę.

- To rzeczywiście dobre pytanie - przyznała Allison, myśląc przy tym, że powinna je zadać Christianowi przy najbliższym spotkaniu. Jego odpowiedź byłaby tym bardziej interesująca, że znali się już dość długo. - Co pani wywnioskowała na podstawie mojej odpowiedzi?

- O tym porozmawiamy przy następnej okazji. Na razie przejdźmy do prawdziwego powodu, dla którego poprosiłam cię o to spotkanie.

- Oczywiście. - Graham zadzwoniła niespodziewanie przed tygodniem i Allison natychmiast zawiadomiła o tym Christiana. Wyglądał na lekko zaskoczonego, przyznał jednak, że skoro starsza pani prosi o spotkanie, trzeba do niej pojechać. - O czym chciała pani ze mną rozmawiać?

Gospodyni podniosła wzrok.

- O pani.

- O mnie?

- Jeszcze przed wyrażeniem zgody na inwestycję Mu- Penn w ostatnim funduszu Everestu powiedziałam wyraźnie Christianowi, że musi opracować ścisły plan sukcesji.

- Dlaczego? - zdziwiła się Allison. - Przecież skończył dopiero czterdzieści jeden lat i ma przed sobą jeszcze wiele lat pracy.

- Znam Christiana od dawna i mam uzasadnione obawy, że szybko się wypali przy kierowaniu Everestu czy też w ogóle przy tak wielkim zaangażowaniu w obracanie finansami. Coś mi się zdaje, że potrzebne mu

zupełnie nowe wyzwanie.

Allison przemknęło przez myśl, że Graham może coś wiedzieć na temat zbliżenia Christiana z prezydentem Jessem Woodem, przez co o mało nie został wiceprezydentem. Nie ulegało wątpliwości, że ciągnęło go do polityki właśnie dlatego, że czuł się już zmęczony ciągłym stresem związanym z prowadzeniem Everestu. Chciał więc znaleźć sobie inną przyczynę bólu głowy. Ostatecznie osiągnął już chyba wszystko, co można było osiągnąć w świecie finansjery. A tacy ludzie jak Christian bez przerwy szukali dla siebie nowych wyzwań, wciąż musieli odkrywać nowe lądy. Obawiała się, że niedługo i ona znajdzie się w podobnej sytuacji.

- A nawet jeśli się nie wypali - ciągnęła Graham - to gdy się kieruje firmą tak potężną i ważną jak Everest Capital, po prostu trzeba mieć zawczasu przygotowany plan sukcesji na wypadek jakichś nieprzewidzianych zdarzeń.

- Chce pani powiedzieć...

- Na przykład gdyby Christian wpadł pod autobus na Park Avenue.

Allison uśmiechnęła się szeroko.

- Jest na to zanadto ostrożny. Wątpię, by kiedykolwiek groziła mu śmierć pod kołami autobusu.

Graham spoważniała jeszcze bardziej.

- Kiedy jest się człowiekiem tak ważnym i bogatym jak Christian Gillette, można zginąć pod kołami autobusu niekoniecznie przypadkowo.

Allison próbowała zrobić zdziwioną minę, ale dobrze wiedziała, że Graham ma rację. Bogactwo i wpływowa pozycja człowieka były wręcz synonimem tarczy strzeleckiej wymalowanej na plecach człowieka, i to z wielu różnych powodów. Tego typu prawdę wpajano jej od dzieciństwa.

Graham pochyliła się w fotelu i oparła łokcie na brzegu biurka.

- Kiedy powiedziałam Christianowi, że powinien przygotować plan sukcesji, dodałam także, iż powinien się skoncentrować na tobie. Obserwuję twoje postępy już od pierwszej chwili objęcia stanowiska w Everest Capital. Doskonale się spisujesz. Zawarłaś więcej umów niż ktokolwiek inny z zarządu, poza samym Christianem, a dzięki powiązaniom rodzinnym dysponujesz wieloma odpowiednimi znajomościami.

Powiedziałam Christianowi wprost, że powinien cię mianować wiceprezesem spółki.

Allison przeszył dreszcz podniecenia. Christian już parę lat temu wspomniał jej o podobnej możliwości, kiedy jeszcze realna była perspektywa mianowania go przez Wooda na stanowisko wiceprezydenta. Kiedy zaś

Wood wycofał się z tego pomysłu, Christian ponownie skoncentrował się na sprawach Everestu i obrał sobie za cel zgromadzenie nowego funduszu inwestycyjnego. Najwyraźniej przymusowy rozbrat z polityką odwrócił także jego myśli od ewentualnego planu sukcesji w spółce.

- Czy chciałabyś tego? - zapytała wprost Graham.

- Oczywiście - odparła Allison szybko i stanowczo. - Z przyjemnością na pewnym etapie przejąłabym stery Everestu. Jest kilka rzeczy, które natychmiast bym zmieniła. Nie chodzi o to, że moim zdaniem Christian robi coś źle...

- Szkoda, że jest tak mało kobiet, które byłyby gotowe zająć się poważnymi interesami w dziedzinie inwestycji - zauważyła gospodyni. - To nadal jest bractwo męskiego kolesiostwa w tej dziedzinie. Optylizmem napawa jedynie to, że Christian wydaje się znacznie bardziej otwarty na charakter swoich rywali w innych dużych firmach. - W jej oczach pojawiły się intensywne błyski. - Wydaje mi się, że zdoła wreszcie przełamać obowiązujące schematy i mianuje cię wiceprezesem spółki.

- Bardzo bym się cieszyła. - Allison skoncentrowała uwagę na regale stojącym na prawo od biurka. Dostrzegła na nim niezbyt duże zdjęcie przedstawiające Graham siedzącą przy stole w towarzystwie mężczyzny w smokingu, pochyloną w jego stronę tak, że nieomal stykali się policzkami. W całym pokoju nie było innego zdjęcia przedstawiającego Graham. A i to stało do połowy schowane za niewielką rośliną doniczkową. - Bardzo bym tego pragnęła - dodała, podnosząc się z miejsca.

- Pozwolę sobie na jeszcze jedno pytanie - wtrąciła

szybko Graham, uważnie obserwując Allison, sięgającą po oprawioną fotografię z regału. - Chodzi mi o pani rozbrat z rodziną. Czy to oznacza, że nie zostanie pani uwzględniona w testamencie?

Allison nie miała pojęcia, jaka odpowiedź zadowoliłaby gospodynię, uznała jednak, że nie ma sensu ukrywać niczego, co Graham mogłaby wyczytać w internecie. Nie wątpiła bowiem, że gospodyni sprawdzi wpisy zaraz po jej wyjściu z tego gabinetu. Ludzie pokroju Victorii Graham mieli koneksje niemal wszędzie.

- Owszem, jestem wykluczona z grona spadkobierców od dwóch lat - powiedziała oschle, wbijając wzrok w mężczyznę na zdjęciu. Wydawał jej się znajomy, tyle że nie mogła go od razu zidentyfikować. - Więc tym bardziej potrzebuję tej pracy.

Graham klasnęła w dłonie.

- Doskonale. - Spoglądała na nią z bardzo poważną miną, prawie tak samo poważną jak wtedy, gdy mówiły

o konieczności opracowania planu sukcesji dla Everestu. - Teraz możemy wreszcie przejść do rzeczywistego powodu, dla którego poprosiłam cię o to spotkanie.

- To znaczy? - spytała zaskoczona Allison, nie spuszczać oczu ze zdjęcia.

Graham uśmiechnęła się nieco wymuszenie.

- Chodzi mi o pani przyjaciela.

Nie ulegało wątpliwości, że za tym stwierdzeniem kryje się znacznie więcej, niż wynikałoby tylko ze słów. Allison nie знаła jeszcze za dobrze Victorii Graham, ale i tak była przeświadczona, że za tym jej wymuszonym uśmiechem kryją się całe pokłady doznań.

- Domyślam się, o kogo chodzi - odparła nieco za głośno. - O Lloyda Dorseya, senatora z Teksasu.

Graham przytaknęła ruchem głowy.

- Tak, to prawda.

Allison zawahała się, zachodząc w głowę, czy w tej sytuacji może sobie pozwolić na niedyskretne pytanie. Zda-

wała sobie sprawę z ryzyka, pamiętała jednak, że niekiedy o wiele szybciej buduje się mosty, właśnie podejmując ryzyko. A Victoria Graham robiła wrażenie kobiety, która oczekuje wyłącznie otwartości i bezpośredniości.

- Czyżby to senator Dorsey był prawdziwą przyczyną, dla której nigdy nie wyszła pani za mąż?

Rozdział 7

Nazywali siebie Los Secretos Seis, czyli Sekretną Szóstką.

Jeśli którykolwiek z członków Partii dowiadywał się

o ich istnieniu i odkrywał przyświecające im cele, był tracony. Oczywiście wcześniej poddawali go torturom, żeby się dowiedzieć, co ludzie o nich wiedzą i kto może zasilać szeregi ich przeciwników. Najczęściej wieszali swoich wrogów w jakiejś odległej celi któregoś z położonych na odludziu więzień - wykastrowawszy ich wcześniej tępym scyzorykiem - po czym grzebali w zbiorczym nieoznakowanym grobie gdzieś w głębi dżungli

w górach wschodniej części wyspy. Ich szczątki mogą odnaleźć ewentualnie po tysiącach lat jacyś archeolodzy z przyszłej cywilizacji, którzy będą jedynie snuć mętne przypuszczenia co do losu, jaki spotkał tych ludzi.

Najgorszym elementem takiej polityki była konieczność uprowadzenia i poddania torturom także najbliższych rodzin straconych zdrajców. Sześciu mężczyzn w pełni zdawało sobie sprawę z zagrożenia, jakie się z tym wiąże. Ich przeciwnicy polityczni byli pogodzeni z ryzykiem utraty życia, gdyby spotkało ich to, co najgorsze, ale ich żony

i dzieci nie miały pojęcia, co im grozi. Nie było nawet żadnych plotek na temat interesów łączących tę szóstkę, nikt nie miał pojęcia o jej istnieniu. Tymczasem z punktu widzenia władz wyglądało to zupełnie inaczej. Zakładali, że najbliższe rodziny, a przynajmniej żony, muszą coś wiedzieć. Stąd też poddawali torturom dzieci na oczach matek dla uzyskania maksymalnego efektu, by wydrzeć każ

dy skrawek informacji, albo każdy możliwy wymysł, do którego uciekały się kobiety, błagając o litość dla dzieci.

Mimo wszystko tym sześciu ludziom przyświecał nadrzędny cel, jakim była wolność dla Kuby i jej mieszkańców. Uważali, że kraj za długo pozostawał w mrokach ucisku i nadszedł najwyższy czas wyjścia na światło dnia. Dla tego celu gotowi byli na wszelkie poświęcenia. Gdyby zaś sprawy przybrały tragiczny obrót, byli przygotowani na to, żeby przynajmniej własnym rodzinom otworzyć drogę ucieczki. Ich dobroczyńcy ze Stanów Zjednoczonych zapewniali wielokrotnie, że szybko i sprawnie zorganizują im ucieczkę przez granicę, że po odebraniu umówionego sygnału alarmowego śmigłowce najpóźniej w ciągu godziny dotrą do wyznaczonych zawczasu punktów ewakuacyjnych, że na wodach zatoki czekać będą statki mające dopomóc im w ucieczce.

Nie zmieniało to jednak faktu, że wszyscy byli śmiertelnie przerażeni i podejmowali wszelkie dostępne kroki, by zamaskować swą wywrotową działalność. Zachowywali tak daleko posuniętą ostrożność, że na przykład umawiali się na spotkania, zostawiając informacje na zmiętych brudnych papierowych serwetkach przy koszach w parkach rozrzuconych po całej Hawanie. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak zwykłe śmieci, ale zostawione przy wybranej kępie krzaków albo pod którymś drzewem były sygnałem, że jest na nich zaszyfrowana informacja dla odbiorcy dotycząca terminu i miejsca spotkania. Nigdy nie pokazywali się razem w miejscach publicznych, chyba że wymagały tego od nich pełnione funkcje społeczne, zwłaszcza wte-

dy, gdy nieobecność któregoś z nich wydawałaby się podejrzana. Pilnie dbali również o to, by ich żony i dzieci nie miały najmniejszych szans się ze sobą zaprzyjaźnić. Mogli tolerować jedynie grzecznościową wymianę zdań między nimi podczas jakiejś oficjalnej uroczystości.

Teraz cała szóstka siedziała przy rozchwianym stole z surowych desek w zagraconej piwnicy chylącego się

ku ruinie domku w starej dzielnicy miasta, porozumiewając się półgłosem w mętnym blasku samotnej świecy. W domu nie było ani prądu, ani bieżącej wody, niemniej mieszkająca tu rodzina i tak uważała się za szczęściarzy. Jeden z członków grupy, cieszący się wielkim uznaniem prawnik z Ministerstwa Sprawiedliwości, miał znajomości w miejskim wydziale kwaterunkowym i przed rokiem zdołał załatwić przydział tego pustostanu dla ubogiej rodziny mieszkającej na ulicy. Wcześniej upewnił się jeszcze, że ów znajomy z wydziału kwaterunkowego na pewno nie ma żadnych powiązań z instytucjami kontrwywiadowczymi rządzącego Kubą reżimu, czyli z Generalnym Dyrektoriatem Bezpieczeństwa Państwowego oraz z wydziałem D-VI Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kuby. Wystarczyła łapówka w wysokości pięciu dolarów - potraktowana zapewne jak wyraz niezwyklej hojności ze strony znanego adwokata - by młodzi bezdomni znaleźli się nagle na pierwszym miejscu długiej kolejki oczekujących na przydział mieszkania. Na szczęście urzędnik kwaterunku nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, z jakiego powodu jego szanowany znajomy okazał się aż tak hojny.

Sekretna Szóstka potrzebowała ustronnego miejsca, żeby się spotykać, i ten dom poszerzył listę dostępnych kryjówek. To był bowiem główny powód, dla którego adwokat załatwił przydział domu wybranej rodzinie. Rzecz jasna, cieszył się z możliwości zrobienia dobrego uczynku, ale w zasadzie chodziło mu tylko o znalezienie bezpiecznego miejsca spotkań. Było bardzo mało prawdopodobne, żeby władze nabrały podejrzeń co do prowadzenia działalności wywrotowej w tej dzielnicy. A nawet gdyby do drzwi zapukała milicja, wdzięczna gospodyni z pewnością nie wydałaby grupy spiskującej w piwnicy.

- Jakie są najświeższe dane, señor? - zapytał teraz prawnik, który załatwił im tę kryjówkę. Zawsze zwracali się do siebie per „señor”, obawiając się, że ktoś może ich podsłuchiwać. - Co przekazał nasz kontakt?

Nelson Padilla zaciągnął się głęboko dymem z cygara, strząsnął popiół na zaśmieconą betonową posadzkę, po czym odchylił się na oparcie krzesła, splótł dłonie za głową i wydmuchnął w kierunku sufitu kłęb słodkawo

pachnącego dymu. Wciąż rozmyślał o tamtym wieczorze sprzed trzech miesięcy, kiedy to uderzył swoim chryslerem w krowę Gustavo Cruza. Bardzo wiele się nauczył od tamtej pory, a i Sekretna Szóstka zaszła bardzo daleko.

Czekał wtedy godzinę w gospodarstwie na powrót generała Delgado. Siedział na starej wygniecionej kanapie w dużym pokoju, naprzeciwko Cruza przygarbionego na drewnianym krześle, skutego kajdankami i obserwowanego uważnie przez trzech oficerów, z których jeden trzymał w ręku gotowy do strzału pistolet. Na zawsze w jego pamięć wryła się mina Cruza, doszczętnie załamane, przybitego, ze łzami cisnącymi się do oczu, jak gdyby czekającego już tylko na egzekucję. Pamiętał też wyraz śmiertelnego przerażenia, jaki się na niej odmalował, kiedy Delgado wrócił i rozkazał porucznikom oraz Padilli wyjść z pokoju. Podwładnym kazał wyciągnąć samochód Padilli z rowu i odprawić go w dalszą drogę, po czym zaczekać na niego na miejscu wypadku.

Dwadzieścia minut później Padilla ponownie ruszył w drogę do domu, wytarłszy ręcznikiem z przedniej szyby krew potrąconej krowy. Musiał jechać bardzo powoli, gdyż skrzynia biegów zablokowała się na jedyńce. Dlatego też znalazł się w domu dopiero po dwóch godzinach, ale jeszcze nigdy wcześniej widok żony nie sprawił mu aż takiej radości. Tamtej nocy kochali się namiętnie aż do trzeciej nad ranem, mimo że z samego rana czekało go przeprowadzenie zabiegu usunięcia migdałków. Kochali się z wielkim zapamiętaniem, niczym zauroczeni sobą nastoletni kochankowie, jakby nie robili tego od lat.

A już o piątej rano zapukał do jego drzwi sierżant w polowym mundurze, który odholował chryslera do warsztatu, zostawiając mu na czas naprawy wielkiego starego

forda kombi. Stąd też dotarł do szpitala akurat na wyznaczoną operację i przeprowadził ją bez kłopotów, chociaż przespał jedynie dwie godziny. Sierżant wrócił już po trzech dniach, przyprowadzając mu samochód w jeszcze lepszym stanie niż przed wypadkiem.

Tydzień później generał Delgado nawiązał z nim kontakt w sprawie kolejnego spotkania i po dwóch dniach spotkali się po zmroku na odludnym kawałku plaży na wschód od Hawany. Właśnie wtedy Padilla się dowiedział, jaki los spotkał Cruza i Rodrigueza. Ten pierwszy zarządzał obecnie dwoma gospodarstwami, ponieważ Rodriguez, ten odrażający kapuś w za dużym kowbojskim kapeluszu, stracił życie, dostał kulkę w tył głowy i jego zwłoki

leżały w strumyku na dnie wąwozu kilka kilometrów od gospodarstwa Cruza.

Delgado powiedział mi o wszystkim ze szczegółami, chłodno i spokojnie, jakby powtarzał mało wiarygodną plotkę. Najwyraźniej wcale się nie obawiał, że Padilla może przekazać władzom te informacje, by zasłużyć sobie na wdzięczność partyjnych aparatczyków. A przecież szczegóły dotyczące pospolitego zabójstwa popełnionego przez jednego z najwyższych rangą generałów mogłyby mi się bardzo opłacić, gdyby tylko zdołał udowodnić, że nie są to bezpodstawne pomówienia. Dlatego też Padilla z wdzięcznością przyjął ten dowód pełnego zaufania ze strony Delgada. Uczestniczyli w spisku mającym na celu nadrzędne dobro Kuby, toteż musieli polegać na sobie nawzajem bez jakichkolwiek zastrzeżeń, jeśli marzyli, by ich misja przyniosła jakiegokolwiek rezultaty.

Ale Padilla rozumiał także przyczyny, dla których generał z własnej woli wyjawiał mi prawdę o tamtych zdarzeniach. Gdyby przyszło mu do głowy podjąć ryzyko i ujawnić szczegóły zabójstwa, Delgado bez większego trudu mógłby obrócić tę sytuację przeciwko Padilli i to jego oskarżyć o zastrzelenie wieśniaka. Delgado dowo

dził czterdziestotysięczną jednostką armii i był zaufanym członkiem komitetu Partii, Padilla natomiast był tylko szeregowym lekarzem i w dodatku dziewięć miesięcy wcześniej stał się obiektem drobiazgowego śledztwa z powodu odmowy udziału w jednej z brygad sanitarnych, czyli sformowanej przez partię grupy zaufanych lekarzy mających w którymś z krajów Ameryki Środkowej lub Południowej szerzyć idee sprawiedliwości społecznej zaprowadzonej przez rewolucję kubańską. Padilla wymigał się od uczestnictwa w wyjeździe pod pozorem poważnej choroby najmłodszego dziecka, która zresztą była dobrze udokumentowana, oraz tym, że na polecenie władz wystarczająco dużo podróżuje po całym kraju, gdzie jest stale potrzebny. Ostatecznie jego odmowa została przyjęta, wiedział jednak, że nie spotkała się z dobrym przyjęciem. Nie wróżyło mu to najlepiej. Zdawał sobie jednak sprawę, że kilkumiesięczny pobyt za granicą znacznie opóźniłby postępy Sekretnej Szóstki, dla której był nie tylko jedynym łącznikiem z generałem Delgado, ale także jedynym z ugrupowaniami emigracyjnymi w Stanach Zjednoczonych.

Wiadomość o zabójstwie Rodrigueza w pierwszej chwili wstrząsnęła nim do głębi, gdyż z całą mocą zdał sobie sprawę z bezwzględności człowieka, z którym ma do czynienia. Ale po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że Delgado musiał tak postępować. Był to jedyny sposób

głównodowodzącego zachodniego i centralnego okręgu wojskowego na to, żeby pozostać przy życiu i utrzymać się na stanowisku. Bo przecież nie mógł postępować bez skrupułów tylko w wybranych sytuacjach. Stąd też dla lekarza, którego nadrzędny życiowy cel stanowiło ratowanie ludzkiego życia, jeszcze trudniejsze stały się kontakty z oficerem zdolnym bez zmrżenia oka odbierać to życie, niemniej doskonale rozumiał, że Sekretna Szóstka niczego nie zdziała bez poparcia w wojsku, a tym samym, bez pomocy Delgada. Z tą brutalną prawdą musieli się pogodzić

zarówno wszyscy członkowie spisku, jak też ich sprzymierzeńcy ze Stanów Zjednoczonych. Bez pomocy wojska nie mieli co marzyć o odzyskaniu niepodległości.

Padilla zamknął oczy i po raz drugi głęboko zaciągnął się dymem. Nie był jeszcze gotów, aby odpowiedzieć na pytanie prawnika, choć świetnie zdawał sobie sprawę z napiętej atmosfery panującej przy stole. Potrzebował nie tylko czasu do namysłu, ale również nikotyny. W ogóle nie palił, dopóki na bocznej drodze nie wpadł na krowę Gustavo Cruza, teraz zaś sięgał po cygara kilka razy w tygodniu. Palił te same, co Delgado, dominikańskie, ponieważ nikt rozmówiony w dawnych czasach, przed epoką Castro, nie sięgał po cygara kubańskie, jak wyjaśnił mu generał. Jako lekarz doskonale wiedział o tragicznych skutkach palenia, zwłaszcza dla płuc, wielokrotnie widział jego efekt na zdjęciach rentgenowskich w szpitalu. Niemniej było w Delgado coś nadzwyczaj pociągającego, co kazało mu naśladować generała pod każdym względem - coś w sposobie jego noszenia się, w bezgranicznym spokoju nawet wobec konieczności podejmowania trudnych decyzji, w łatwości panowania nad każdą sytuacją, w zupełnym braku litości i współczucia dla takich jak Rodriguez. Ten pozorny brak jakichkolwiek emocji stał w jawnej sprzeczności z zasadami wyznawanymi przez Padillę, według których starał się do tej pory żyć. Uświadomił sobie jednak, że troskliwość i delikatność nie mają większych szans w walce o wyzwolenie całego narodu. Uzmysłował sobie także, że może należeć do czołówki tego właśnie ruchu, który przyniesie nowe, znacznie lepsze życie pogrążonym w marazmie milionom ludzi. Nie miał złudzeń, że osiągnięcie tak szczytnych celów prawdopodobnie będzie wymagało zastosowania odrażająco brutalnych metod w okresie przejściowym.

Przez ostatnie trzy miesiące Padilla godził się z tą brutalną prawdą, jak też ze świadomością, że już niedługo może zostać zmuszony do zastosowania tych brutalnych metod. Zaliczył semestr psychologii podczas studiów na

akade

mii medycznej w Toronto i doskonale wiedział, że okresowa zmiana podejścia do życia na wiele sposobów rzutuje na jego codzienne nawyki, objawia się właśnie paleniem cygar, skłonnością do potraw smacznych, lecz niezdrowych, ostrzejszym traktowaniem pielęgniarek oraz dzieci w domu, skierowaną do Delgada prośbą o dostarczenie mu broni przy najbliższym spotkaniu, wreszcie zwiększonym apetytem na seks, do którego ostatnio nawet zmuszał żonę, kiedy nie miała ochoty.

Spod przymrużonych powiek popatrzył na sufit, myśląc o intensywności doznań, jakie przyniosła mu ta przemiana - o tym, że musiał się wręcz osłaniać przed ciosami żony, kiedy przyciskał ją swoim ciężarem do łóżka i zrywał z niej ubranie, co zdarzyło się po raz pierwszy w siedemnastoletniej historii ich małżeństwa; i o tym, jak wyznała mu później szczerze, gdy już odpoczywali przytuleni do siebie, że jeszcze nigdy w życiu nie była aż tak podniecona.

- Doktorze, czy mógłby pan...

- Przepraszam za tę zwłokę, panowie - przerwał pospiesznie adwokatowi, wyjmując cygaro z ust. - Potrzebowałem paru chwil na zebranie myśli. - Wyprostował się, pochylił na krześle i powiódł wzrokiem po twarzach wszystkich zgromadzonych. Jako pierwszy od lewej siedział wiceminister inwestycji zagranicznych i rozwoju gospodarczego, dalej czwarty w kolejności człowiek z Ministerstwa Nauki i Techniki, w drugim końcu stołu adwokat pracujący od dwudziestu lat w Ministerstwie Sprawiedliwości, następnie wiceminister rolnictwa i wreszcie na prawo od Padilli trzeci wicedyrektor Banku Centralnego Kuby i zarazem były dyrektor Krajowego Przedsiębiorstwa Kartograficznego, firmy podległej wojsku, co miało zapewnić, że nigdy żadne instalacje armii kubańskiej nie zostaną ukazane na powszechnie dostępnych mapach. - Wybaczcie więc, gdyż mam wam wiele do powiedzenia na temat mojej ostatniej podróży.

Reszta spiskowców wyrozumiale pokiwała głowami.

Padilla poprzedniego dnia wrócił z tygodniowej podróży do Stanów Zjednoczonych, gdzie występował w roli gościnnie zaproszonego obserwatora jedenastu skomplikowanych operacji w szpitalu Lennoksa na Manhattanie. Zabiegi obejmowały bardzo szeroki zakres chirurgiczny, od równoczesnego wszczepienia trzech bypassów po złożoną operację na otwartym mózgu. Program szkolenia był bardzo napięty, a mimo to udało mu się dwukrotnie spotkać z łącznikami. Podstawową przyczyną, dla której

wciągnięto go do Sekretnej Szóstki, była właśnie jego profesja - i to wcale nie dlatego, że mógł dokonać czegoś ważnego w swojej specjalności po Ingerencji, jak sami nazywali przewrót, ale z powodu względnej swobody w podróżowaniu do Stanów Zjednoczonych. Na tym etapie spisku był dla nich kimś nieocenionym ze względu na możliwość utrzymywania stałego kontaktu z wywiadem amerykańskim bez konieczności korzystania z łączności telefonicznej bądź mejlowej, gdyż tę łatwo dało się śledzić.

Mimo obowiązywania oficjalnego embarga na handel towarami i usługami między obydwojoma krajami, Stany Zjednoczone wciąż dążyły do demonstracyjnego wykazania społeczności międzynarodowej, że jako światowe supermocarstwo nie uchylają się przed obowiązkiem bezpłatnego udostępniania słabiej rozwiniętym krajom najnowszych osiągnięć i zdobyczy medycyny. Właśnie na tej podstawie Padilla, w większym gronie kubańskich lekarzy, mógł dość często podróżować do Stanów Zjednoczonych. Ponadto Kuba, mimo licznych poważnych trudności nękających ten kraj, nadal cieszyła się pozycją jednego z najbardziej zaawansowanych w dziedzinie medycyny państw Ameryki Łacińskiej, toteż Castro z wyrozumiałością patrzył na podróże kubańskich lekarzy na drugi brzeg Zatoki Meksykańskiej.

- W czasie tego pobytu w Stanach Zjednoczonych doszło do bardzo owocnego spotkania z naszymi stronni

kami. Naprawdę możemy tam liczyć na bardzo silne poparcie.

- A cóż to „bardzo silne poparcie” dokładnie oznacza? - zapytał szybko wiceminister rolnictwa. - Ja wciąż nie ufam tym ludziom. - Powiódł spojrzeniem dookoła stołu. - I sądzę, że mam ku temu ważny powód. Prześledźcie tylko uważnie historię.

- Oznacza dokładnie tyle - odparł błyskawicznie Padilla ostrzejszym tonem - że nasze wysiłki nie pozostały niezauważone w najwyższych kręgach władzy w Waszyngtonie.

- To pewna informacja? - zapytał tamten z naciskiem. - Muszę mieć pewność, że wzdłuż naszego wybrzeża będą kotwiczyły okręty wojenne z helikopterami na pokładzie i któryś z nich zabierze z wyspy moją żonę i dzieci, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Rząd amerykański wybrał nas i tylko nas - odparł Padilla. - Nie będą wspierać żadnego innego ugrupowania działającego w mieście. - Jeszcze raz potoczył wzrokiem po twarzach zgromadzonych mężczyzn i uśmiechnął się szeroko. Nagle ryzyko wydało mu się znikome w porównaniu z możliwymi zdobyczami. Przecież mieli pomóc zarówno całej Kubie, jak i samym sobie.

W postkomunistycznej rzeczywistości na wyspie, przy poparciu administracji prezydenta Wooda, musieli zyskać status najwyższych elit i zdobyć znaczące ekonomicznie przywileje ze strony amerykańskich dobroczyńców. - W każdym razie to przekazał mi łącznik podczas mojej ostatniej podróży zagranicznej, señor.

- To bardzo dobra wiadomość - podsumował szybko człowiek z Ministerstwa Nauki i Techniki. Jego brat był członkiem dyrekcji kubańskiego państwowego koncernu naftowego i miał olbrzymie szanse zostać jego prezesem po Ingerencji. Rodzina zapewne już liczyła krociowe zyski, jakie staną się jej udziałem po prywatyzacji przedsiębiorstwa. - Ale i ona każe myśleć o dodatkowym niebez

pieczeństwie. Oczywiście całe świat będą zwrócone na nas, zatem więcej mieszkańców Stanów Zjednoczonych zyska świadomość naszego istnienia. To z kolei znacznie zwiększa niebezpieczeństwo ujawnienia naszego spisku w Waszyngtonie... jak również tutaj. Musimy zachować jeszcze bardziej wzmożoną czujność.

Padilla pokręcił głową.

- Nie twierdzą, że nie należy zachowywać wzmożonej czujności, nie wierzę jednak, by ktokolwiek z waszyngtońskiej administracji ujawnił fakt istnienia naszej organizacji tak szerokiej opinii publicznej, jak pan to sugeruje.

- Dlaczego?

- Bo mój kontakt twierdzi, że prezydent Wood co najmniej tak samo jak my obawia się zdemaskowania. I to z różnych powodów, oczywiście. Ze względu na nas, gdyż ryzykujemy głowy. - Padilla uniósł dłoń, w której trzymał cygaro, i przeciągnął wyprostowanym palcem po gardle. - I na siebie, z powodu jego politycznych uwarunkowań. Najwyraźniej uważa, że gdy wyjdzie na jaw jego poparcie dla naszych starań, i to jakiegokolwiek, ekonomiczne, militarne czy choćby doradcze, cały świat sprzymierzy się przeciwko niemu. Dlatego ludzie z jego otoczenia mają nakaz zachowania całkowitej dyskrecji, nawet wtedy, gdy już dokonamy Ingerencji.

- Czy to nie oznacza, że pomoc amerykańska może się okazać niewystarczająca? - zapytał wiceminister inwestycji zagranicznych, marszcząc czoło.

- Będzie wystarczająca, jeśli tylko się upewnią, że my... - Padilla szerokim gestem powiódł wokół stołu - dysponujemy właściwymi środkami - dodał z uśmiechem, cytując dokładnie określenie, którego użył jego łącznik,

bożyszczycy obywateli amerykańskich z czasów wczesnego etapu podboju kosmosu, z epoki Johna Glenna. Podczas pobytu w Stanach zdążył odrobić lekcję na jego temat. - W najbliższym czasie mam się spotkać z którymś z najważniejszych doradców Białego Domu. Jeśli wszystko

pójdzie dobrze, ten człowiek przybędzie na Kubę, żeby poznać nas wszystkich. Oczywiście w najściślejszej tajemnicy. A będąc tu, na miejscu, niewątpliwie bardzo nam pomoże.

- Na pewno nikt pana nie śledził, senor, podczas tego spotkania z łącznikiem w Nowym Jorku? - zaintrygował się adwokat.

Ilekcjo Padilla podróżował po Stanach Zjednoczonych, czy też gdziekolwiek poza granicami Kuby, zwracał szczególną uwagę na to, czy nie jest śledzony, ale nadzór był sporadyczny i bardzo łatwy do namierzenia. Od tak dawna miał do czynienia z nachalną inwigilacją, że z łatwością potrafił zniknąć agentom z oczu, niemalże bez śladu, nie wzbudzając przy tym żadnych podejrzeń.

- Na pewno.

- Czy pańscy łącznicy z Waszyngtonu w pełni zdają sobie sprawę, kim są nasi sprzymierzeńcy z grona armii? - zapytał trzeci wicedyrektor Banku Centralnego Kuby.

- Oczywiście.

- I nie ma pan żadnych zastrzeżeń co do tego, że jest on właściwą osobą? - dorzucił wiceminister rolnictwa.

Zdaniem Padilli trudno było znaleźć w szeregach Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kuby lepszego sprzymierzeńca od generała Delgado. Jego łącznicy w Stanach Zjednoczonych w pełni popierali tę opinię. W ciągu kilku ostatnich miesięcy przedstawiciele strony amerykańskiej kilka razy spotykali się z generałem, a jeden z amerykańskich informatorów przekazał nawet szczegóły wydarzeń w gospodarstwie na obrzeżach Hawany, oczywiście z tego wieczoru, kiedy zjawił się tam Delgado po tym, jak Padilla na bocznej drodze potrafił krowę. Miał jednak wrażenie, że jego partnerzy zasiadający teraz wokół stołu w piwnicy mogą być innego zdania co do bliskiej współpracy z generałem, gdyż nie znają osobiście Delgado.

Nagle Padilla z pełną mocą uświadomił sobie wagę swojej pozycji. Był jedynym łącznikiem w obie strony, zapew

niał grupie zarówno łączność ze Stanami Zjednoczonymi, jak i z wojskiem. Gdyby cokolwiek stało się jemu bądź generałowi Delgado, nie doszłoby do Ingerencji, a ruch wyzwolenia poniósłby tak wielką stratę, że

zostałyby cofnięty o wiele lat. Zatem na obecnym etapie to właśnie on był kluczem do sukcesu.

- Nie mogliśmy trafić na lepszego sprzymierzeńca - odparł z przekonaniem.

- Dlaczego?

- Dowodzi prawie czterdziestoma tysiącami żołnierzy, jak również lotnictwem, w tym także eskadrą śmigłowców Mi-8. Kiedy przejmie kontrolę nad dwoma podległymi sobie okręgami wojskowymi, Amerykanie nabiorą pewności, że sześć tysięcy żołnierzy z trzeciego okręgu także przyłączy się do naszego ruchu.

- A jaką mamy gwarancję, że nie zachłystnie się władzą, kiedy przejmie dowództwo całej armii? - zapytał poirytowany pracownik banku. - Wiadomo, że wojskowi mają skłonności do takich zachowań.

- On się nie zachłystnie władzą.

- Skąd może pan być tego pewien?

- Jestem pewien i tyle.

- Może jednak powinniśmy się wszyscy z nim spotkać? - podsunął adwokat.

Padilla pokręcił głową.

- Nie sądzę, aby się na to zgodził.

- Więc może powinniśmy poszukać kogoś innego, kto...

- Zaraz przybliżę panom punkt spojrzenia generała na naszą sprawę - rzucił ostro Padilla, chcąc jak najszybciej zakończyć dyskusję na ten temat. Obawiał się, że wytworzona w tej grupie delikatna równowaga może się teraz wymknąć spod kontroli. - A w zasadzie jego spojrzenie na życie. - Po raz kolejny zaciągnął się dymem z cygara. - Otóż jego zdaniem trzech ludzi może dochować tajemnicy tylko w tej sytuacji, gdy dwóch z nich zabierze ją do grobu. - To była jed

na z pierwszych rzeczy, jakie usłyszał od generała w trakcie ich początkowych spotkań, i głośny szmer, który rozległ się teraz wokół stołu, przekonał go, że owa maksyma wywarła taki sam efekt na członków grupy, jak i na niego, gdy tylko ją usłyszał. Przez chwilę jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w piwnicy, był stłumiony odgłos płaczu dziecka dobiegający gdzieś z góry. - A mówił to całkiem poważnie. Czy teraz chcecie jeszcze spotkać się z nim wszyscy?

- Jak pan poznał tego oficera? - zapytał prawnik.

- Cztery miesiące temu w środku nocy, kiedy pełniłem dyżur na izbie

przyjęć, odebraliśmy wezwanie telefoniczne. Telefon odebrała pielęgniarka i przekazała mi, że jakiś mężczyzna domaga się natychmiastowej rozmowy ze mną. Podobno gdy mu powiedziała, że jestem zajęty na sali operacyjnej, zażądał oderwania mnie od zabiegu. Zagroził, że spotkają ją olbrzymie kłopoty, jeśli natychmiast nie przywoła mnie do aparatu. Wymienił przy tym, gdzie pracuje jej mąż i jakie imiona noszą ich dzieci. Kobieta, co zrozumiałe, wpadła w panikę. - Jeszcze do niedawna podejrzewał, że nietypowy początek jego znajomości z generałem był wynikiem czystego przypadku. Ale teraz wcale nie był tego pewien. Mimo wszystko był to już ostatni element budzący jego podejrzliwość wobec Delgada. - Wziąłem więc od niej słuchawkę. Usłyszałem, że dziecko generała jest poważnie chore, a przed wejściem do izby przyjęć czeka kierowca w łaziku, który mnie zabierze do jego domu pod miastem. Następnie i ja usłyszałem kilka gróźb. Tylko dlatego postanowiłem ulec temu ewidentnemu szantażowi, tym bardziej że szybko zdałem sobie sprawę, iż mój rozmówca jest wysokim rangą oficerem armii.

Ludzie przy stole wyrozumiale pokiwali głowami. Wszyscy pracowali na eksponowanych stanowiskach administracji państwowej, lecz nawet oni byli bezbronni wobec wszechwładzy Rewolucyjnych Sił Zbrojnych. A przecież strach był podstawowym czynnikiem zachowania ładu i porządku na Kubie.

- Byłem wtedy jedynym lekarzem dyżurującym na izbie przyjęć - dodał Padilla - ale wiedziałem, że niedługo powinien się zjawić mój zmiennik. Dlatego wsiadłem do dżipa i pojechałem z porucznikiem. Okazało się, że telefonującym mężczyzną był ten właśnie generał, z którym do dzisiaj pozostaję w kontakcie.

- Ciekawy zbieg okoliczności - wtrącił w zamyśleniu adwokat. - Nie sądzi pan?

- Być może, ale synek generała naprawdę był poważnie chory.

- Czy już tamtego wieczoru usłyszał pan z ust generała cokolwiek na nasz temat?

- Nie. Usłyszałem o grupie dopiero tydzień później, podczas naszego drugiego spotkania.

- Czy generał wyjaśnił wtedy prawdziwe powody, dla których skontaktował się właśnie z panem?

Padilla zmierzył prawnika ostrym spojrzeniem. Był to niski mężczyzna, pokroju Rodrigueza, tego zabitego wieśniaka, z gładko zaczesanymi do tyłu siwymi włosami. Padilla od samego początku był zdania, że jeśli któryś z

członków grupy okaże się kiedyś zdrajcą, najprędzej będzie nim właśnie ten adwokat. Nie umiał zdecydować, czy jego opinia wynika stąd, że prawnik zadaje mnóstwo pytań, czy też z awersji do niewysokiego wzrostem mężczyzny, jaką poczuł już podczas pierwszego spotkania. Adwokata do grupy spiskowców wciągnął wiceminister rolnictwa, który niemalże przysięgał na Boga, że jego przyjaciel jest godzien zaufania, dlatego pozostali, będąc bez wyjątku katolikami, uwierzyli na słowo. Mimo to Padilla mu nie ufał. Prawnikiem był bardzo przebiegły i jak nic zagarnąłby dla siebie jedno z najważniejszych stanowisk w państwie, gdyby Ingerencja zakończyła się powodzeniem, a więc najpewniej zostałby ministrem sprawiedliwości czy też jego odpowiednikiem w nowym rządzie. Padilla był jednak przeświadczony, że nawet wtedy nie ufałby temu człowiekowi. Oczywiście było zdecydowanie za późno,

żeby pozbyć się prawnika z grupy, tym bardziej że reszta spiskowców najwyraźniej czuła do niego sympatię, głównie z powodu liczby zadawanych przez niego pytań.

- Nie.

- I nie pytał pan o nie?

- Nie. - Padilla poczuł, że krew uderza mu do twarzy, gdy tamten uniósł ręce i zadarł głowę do sufitu, jakby chciał wykrzyknąć: „Dlaczego?!”. - Kiedy jeszcze badałem jego synka, zapytał mnie, czy często podróżuję do Stanów Zjednoczonych. Kiedy potwierdziłem, zapytał, czy nigdy nie zaczepił mnie żaden przedstawiciel rządu amerykańskiego. - Ponownie zaciągnął się dymem z cygara. - Jeśli jest pan ciekaw mojego zdania, to uważam, że ów kontakt ze mną wymusili na generale ludzie z gabinetu prezydenta Wooda. Sądzę, że generał wcześniej rozmawiał na mój temat ze swoimi kolegami z armii amerykańskiej. Podejrzewam, że to właśnie Amerykanie zetknęli nas ze sobą. - Urwał na chwilę. - Ale pewien nie jestem.

Pracownik banku wymierzył w niego palec.

- Czy zna pan nazwisko tego starszego doradcy, z którym ma się pan spotkać w Stanach Zjednoczonych?

- Tak, znam.

- Czy jest to człowiek ważny w swoim kraju?

Padilla przytaknął ruchem głowy.

-Tak.

W jego pamięci odżyło zdanie łącznika, który oznajmił krótko, że w sektorze prywatnym amerykańskiego biznesu nie ma człowieka ważniejszego

niż Christian Gillette.

Rozdział 8

- Trzeba było wziąć helikopter - mruknął Quentin Stiles. - Bylibyśmy już z powrotem w Waszyngtonie, może nawet na pokładzie samolotu. A już z pewnością uniknęlibyśmy kłopotów podróży samochodem. Prawdopodobnie zdołałbym namówić pilota, żeby w drodze na lotnisko przeleciał pod mostem Key Bridge. Dopiero byłaby zabawa...

Christian wychylił się z tylnego siedzenia i popatrzył na Stilesa siedzącego za kierownicą hondy integrity, którą wypożyczyli na międzynarodowym lotnisku Reagana po krótkim rannym przelocie z Nowego Jorku.

- Pod mostem? - zapytał zdziwiony. Key Bridge łączył brzegi Potomacu między Waszyngtonem a miastem Ross-lyn w Wirginii, niemal na wprost Georgetown. Był dość wysoki, ale i tak przelot śmigłowcem pod jednym z jego sześciu przęsł musiał się wiązać z poważnym ryzykiem. Oczywiście Quentina to nie obchodziło. Uwielbiał ekstremalne przygody. Skakanie na bungee w głębokich wąwozach Nowej Zelandii, wspinaczkę bez asekuracji w Górach Skalistych, nurkowanie wśród rekinów. Można było odnieść wrażenie, że wręcz szuka śmierci. Firma ubezpieczająca pracowników Everestu nie zgodziła się wystawić mu polisy na życie, kiedy zatrudniali go na pełny etat. Był jedynym członkiem zarządu spółki niemającym pełnego ubezpieczenia. - Mówisz poważnie?

Quentin skinął głową.

- Oczywiście. Już to robiłem. Nakłoniłem do zanurkowania pod mostem jednego z pilotów, kiedy jeszcze służyłem w zwiadzie. O mało nie wyleciał za to ze służby, ale

przyznał otwarcie, że sam od dawna o tym marzył. Istnieje bardzo wąska grupa ludzi, którzy tego dokonali. Wśród pilotów taki przelot jest traktowany jak zdobycie specjalnej odznaki honorowej. A sam przelot przysparza cholernie dużo emocji, możesz mi wierzyć. Do samego końca nie możesz się oprzeć wrażeniu, że roztrzaskasz maszynę o ten przeklęty most, nawet wtedy, gdy powinienes już być pewien swego. Do tego wszyscy na moście zaczynają panikować, zwłaszcza piesi i rowerzyści. - Zaśmiał się krótko. - Warto zobaczyć przerażenie malujące się na twarzach ludzi, kiedy maszyna jest

zaledwie o kilkadziesiąt metrów od mostu.

- Żaden zawodowy pilot śmigłowca by się na to nie odważył.

Quentin obrzucił go ironicznym spojrzeniem.

- Przecież spotkałeś się z samym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jestem pewien, że podstawiliby nam helikopter wojskowy, gdybyś go tylko o to poprosił. I mógłby nam użyzyć którejś ze swoich limuzyn... - dodał ciszej.

- Mylisz się. Już ci tłumaczyłem, że Jesse chce zachować w ścisłej tajemnicy naszą wizytę w Camp David. - Nie miał wątpliwości, że w innych warunkach dostaliby rządową limuzynę z kierowcą. - Wyraźnie postawił taki warunek.

- No cóż, jeśli o mnie chodzi, nie puściłbym pary z ust. Pozostaje więc liczyć tylko na to, że nie zabijemy się w tym przeklętym sportowym wozie z wypożyczalni. Cały jego układ napędowy przyprawia mnie o ból zębów. Kierownica jest tak twarda, że na zakrętach ledwie mogę utrzymać wóz na szosie. Czuję się, jakbym prowadził traktor z ubiegłego wieku.

- Za bardzo się przyzwyczaiłeś do luksusowych aut. Wiele osób popełnia ten sam błąd.

- Jeżeli to jest błąd, który popełnia większość kierowców, to już się nie dziwię, dlaczego jest tak dużo wypadków.

Christian rozsiadł się wygodnie na tylnej kanapie.

- Może i tak, ale podróżując takim samochodem, mamy niepowtarzalną okazję nacieszyć oczy krajobrazem. - Camp David jest położone sto trzydzieści kilometrów na północny zachód od centrum Waszyngtonu i lotniska Reagana. Kręta droga powrotna do stolicy biegła wśród pofałdowanych pól i gęstych lasów. - Jest piękny dzień, słoneczny, śpiewają ptaki. - Szyby w aucie były opuszczone, toteż Christian zaczerpnął głęboko rześkiego wiosennego powietrza wpadającego do środka. Poczul się zrelaksowany, wystawiając twarz na uderzenia wiatru, szybko zdjął krawat i rozsiadł się jeszcze wygodniej na tylnej kanapie auta. - Gdybyśmy wracali z Camp David helikopterem, to wszystko by nas ominęło - rzekł, szerokim gestem wskazując kępy drzew i pola uprawne za oknem. - Umknęłyby nam te wszystkie widoki - dodał, wskazując najbliższy zagajnik na zboczu wzgórza górującego nad szosą. - Kątem oka dostrzegł zagadkowe spojrzenie i wysoko uniesione brwi Quentina, pomyślał więc, że tego typu argumenty muszą do niego trafiać. - Ucz się cenić każdy przejaw życia, przyjacielu.

- Przestań mnie raczyć tymi bzdurami - syknął Stiles. - Twoje nastawienie

wynika jedynie ze strachu przed łątaniem, a nie z umiłowania natury. - Spojrzał na zegarek i rzucił głośniej, chcąc przekrzyczeć donośny szum klimatyzatora, który się właśnie włączył: - Już trzecia. Dotrzemy do Waszyngtonu dokładnie w godzinie popołudniowego szczytu, a tutaj korki są o wiele gorsze niż w Nowym Jorku. Dobrze wiem, bo tu mieszkałem. Tylko patrzeć, jak na obwodnicy utkniemy co najmniej na godzinę wśród tych, którzy usiłują wydostać się z miasta po pracy.

- Nie ma sprawy. Będziemy mieć więcej czasu na rozmowę. Bo wygląda na to, że zaczyna nas dzielić coraz większy dystans.

- Jezu, co się stało z facetem, który nigdy nie bierze jeńców? Co zrobiłeś z Christianem Gillette'em?!

- Niedługo skończę czterdzieści cztery lata, rzeżymiesz

ku - odparł Christian, który dopiero niedawno zaczął w ten sposób nazywać Quentina, chociaż znali się już od lat. Podobało mu się to archaiczne określenie. Na szczęście Stiles ani razu nie zaoponował. - Dlatego staram się jeszcze znaleźć radość życia. Dlatego próbuję dostrzec to, co mnie naprawdę otacza, bo nie chcę już wypatrywać oczu na to, co się czai za kolejnym zakrętem.

Quentin na chwilę zacisnął silnie powieki, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Daję twej nowej osobowości najwyżej parę dni życia... Nie więcej, Chris. Jesteś uzależniony od rozgrywki. Masz ją we krwi.

Przed laty ojciec Christiana założył przynoszący niezłe zyski bank inwestycyjny na Zachodnim Wybrzeżu. On zaś pracował od czasu ukończenia studiów albo na Wall Street, albo w Everest Capital. Dobijanie targów było jego ulubioną domeną przez dobre dwadzieścia lat.

- Masz rację, staram się nieco przyhamować.

- Tyle że nie masz pojęcia, jak. A gdybyś się tego dowiedział, pewnie natychmiast by ci odbiło.

- Uważaj, bo cię zaskoczę. Wiele się nad tym ostatnio zastanawiałem i...

-I co? - przerwał mu ostro Quentin. - Przeczytałeś na ten temat jakiś artykuł podczas ранnej podróży samolotem i dotarło do ciebie, że w ostatecznym rozrachunku wszystko i tak musi przyspieszyć i odbić się na tobie? Gdzie to wyczytałeś? W „Psychology Today!” czy może w „Woman's Journal”?

- Masz coś przeciwko „Woman's Journal”?

- Nie, dopóki sięgają po to inni, a nie ty. Wyświadcz mi przysługę i

ogranicz się do „BusinessWeek” i „Sports Illustrated”, dobrze? - Stiles z kwaśną miną popatrzył we wsteczne lusterko. - Nie podobają mi się takie twoje gadki, gdy jesteśmy tylko we dwóch. Nie czuję się bezpiecznie. Powinien nam w takich sytuacjach towarzyszyć przynajmniej jeden z moich ludzi.

Christian lekceważąco machnął ręką.

- Nic nam nie grozi. Nie musisz się martwić o wszystko i wszystkich. Powinieneś we własnym zakresie zakosztować trochę życia.

Quentin walnął otwartą dłonią o kierownicę auta.

- Co ci się stało, do cholery? Czyżbyś zaczynał odczuwać kryzys wieku średniego? Chcesz zrezygnować z moich usług, bo sądzisz, że lepiej ci będzie z jakimś dwudziestolatkiem u boku?

Stiles miał charakter drapieżnego wilka. Jeżeli tylko udawało mu się zagłębić kły w świeżym mięsie, za żadne skarby nie chciał puścić zdobyczy. Niemniej była to jedna z tych cech, które Christian wysoko u niego cenił. Quentin był jego najwierniejszym, najbardziej zaufanym przyjacielem.

- Chcesz się założyć, że biłbym rekordy obrotów, gdybym się zajął sprzedażą prasy brukowej?

Stiles odchylił głowę do tyłu i ryknął gromkim śmiechem.

- Może i tak.

Christian poklepał go po ramieniu.

- Dobry z ciebie człowiek, przyjacielu. Niewielu już takich zostało na tym świecie.

Stiles był atletycznie zbudowanym Afroamerykaninem, który dzięki wytrwałości i ciężkiej pracy doszedł aż do stanowiska wspólnika zarządu Everest Capital. Nie miał dyplomu żadnej uczelni z Ivy League i nigdy nie spędzał wakacji na Cape Cod. Dorastał w Harlemie, wychowywany przez babkę, gdyż nie znał ojca, a matka zmarła z przedawkowania, kiedy był mały. Gdy skończył osiemnaście lat i omal nie zginął od kuli w wojnie ulicznych gangów, babka zmusiła go, żeby się zaciągnął do wojska. Podobno krzyczał i wierzgał przez całą drogę do biura rekrutacyjnego przy Times Square, ale w końcu jej uległ. I teraz zbierał owoce tamtej decyzji, jak też uporu babki, która prawdopodobnie uratowała mu w ten sposób życie.

Szybko stał się gwiazdą w swojej jednostce zwiadowczej, brał udział w kilku ściśle tajnych operacjach Agencji Wywiadu Wojskowego, w końcu został agentem Secret Service. Po kilku latach służby w Białym Domu pożegnał się z państwową posadą, przeszedł do sektora prywatnego i założył

własną firmę, „QS Security”, która błyskawicznie zdobyła sobie najcenniejszą klientelę, złożoną z gwiazd sportu, aktorów i przedstawicieli finansjery. W pewnym momencie i Christian został zmuszony do skorzystania z usług „QS Security”, przez co poznał Quentina, a ostatecznie wykupił jego spółkę, będąc pod wrażeniem jej doskonałych wyników finansowych, i włączył do licznego grona przedsiębiorstw będących własnością Everest Capital, natomiast Stilesa mianował współnikiem zarządu.

- Możesz się nie obawiać o swój los - rzekł patrycjuszowskim tonem, spoglądając na kryształowo czysty górski potok, który przepływał pod mostkiem. Kilkaset metrów od drogi na brzegu stał wędkarz zasadzający się na pstrągi. Christian od dawna miał ochotę spróbować trudnej sztuki łowienia na muchę. - Wątpię, czy znalazłbym wspólny język z jakimkolwiek dwudziestolatkiem. - Zanotował w pamięci, żeby zacząć sporządzać listę rzeczy, których najbardziej chciał popробować. Coraz częściej uświadamiał sobie, jak wiele ich jest. - To pewnie byłaby kompletna kłapa.

- Ale zastanawiałeś się już nad tym?

- O co ci chodzi? Oczywiście, że się nie zastanawiałem.

- Wielu facetów w twoim wieku o tym myśli.

Christian ponownie spojrzął na Quentina.

- Ty też?

- Może. W moim wypadku to byłoby zabawne, nie sądzisz? I myślę, że skończyłoby się to kompletnym rozczarowaniem. I to dla nas obu. - Po krótkiej chwili zapytał: - A co z Allison? Oboje od dłuższego czasu trzymacie wobec siebie dystans niczym Ziemia i Księżyc. Ostatnio chyba coraz mniej z nią rozmawiasz.

- To dlatego, że nie potrafię ocenić, które z nas jest Księżycem, a które Ziemią.

- Jak mam to...

- No, przecież sam mi powtarzasz, że są rejony, w które lepiej się nie zagłębiać - wytknął mu Christian. - I że nie zdołam przez dłuższy czas zachować w tajemnicy, że potajemnie się spotykamy.

- Tak, wiem, pamiętam. - Quentin zacisnął mocniej dłonie na kierownicy, pokonując ostry zakręt. Po obu stronach drogi ciągnęły się laski przetykane gęstymi zaroślami. Od dłuższego czasu nie minęli żadnego samochodu jadącego z naprzeciwka. - Mam jednak wrażenie, że nie jesteś jej obojętny.

- Do czego zmierzasz?

- Do niczego. Twierdzą tylko, że moim zdaniem nie jesteś jej obojętny. W każdym razie nie traktuje cię jak przyjaciela.

Quentin i Allison znali się już od dnia, gdy ona została członkiem zarządu Everestu, i dla nikogo nie było wielką tajemnicą, że chciałyby bardziej pogłębić znajomość z Christianem. Dlatego dziwnie zabrzmiało to, co powiedział, może właśnie dlatego, że był to sekret poliszynela.

- Czemu mi to mówisz?

Stiles zawahał się na moment.

- W ubiegłym tygodniu, gdy zakończyła swoje pertraktacje na Zachodnim Wybrzeżu, wybrałem się z nią na drinka. Ty byłeś wtedy w Europie.

- Tak, wiem. Powiedziała mi o tym. - Nie było w tym nic niezwykłego. Przez kilka ostatnich lat między Quentinem i Allison nawiązała się nic przyjaźni. - I co z tego?

- Ona wzięła dla siebie całą butelkę szampana, a potem wypła jeszcze kilka porcji martini.

O tym już nie mówiła Christianowi.

- I co?

- Ta kobieta jest w tobie zakochana, przyjacielu. Zaczęła mi się zwierzać, jak tylko opróżniła butelkę szampana.

Jeszcze przed paroma laty była wręcz pewna, że jesteście sobie przeznaczeni, zwłaszcza że wszystko wtedy wskazywało, iż zostaniesz wiceprezydentem u boku Jesse'a Wooda. Bardzo chciała tego stanowiska dla ciebie, głównie z tego powodu, że wiele razy jej powtarzałeś, iż przeszkodą na drodze do waszego związku jest to, że razem pracujecie w zarządzie Everestu. Nawet nie masz pojęcia, jaka była rozczarowana, kiedy prezydent wycofał się ze swojej propozycji, a ty poświęciłeś się bez reszty gromadzeniu kolejnego funduszu inwestycyjnego. Uznała wtedy, że z konieczności musi zrodzić się między wami dystans. Powiedziała z żalem, że nie byliście nigdy razem od dłuższego czasu. W każdym razie tylko we dwoje.

Nie kłamała, chociaż ów rosnący dystans nie był zamierzony. Christian ani nie unikał Allison, ani nie spotykał się z inną kobietą. Po prostu był bardzo zajęty, bez przerwy podróżował i pertraktował z inwestorami wnoszącymi swój udział do rekordowego, dwudziestopięciomiliardowego prywatnego funduszu inwestycyjnego.

- Opowiadała mi, że macie podobne doświadczenia w kontaktach z rodziną - podjął Quentin. - Bo chyba wiesz, że jej rodzina prawie całkowicie zerwała z nią kontakty. Allison miała nadzieję, że to jeszcze bardziej zbliży

was ku sobie.

Przed laty ojciec Christiana sprzedał swój bank inwestycyjny nowojorskiej firmie za 100 milionów dolarów, a sam zaangażował się w politykę. Ostatecznie został senatorem i był nawet wymieniany wśród kandydatów do wyścigu o fotel prezydencki, zanim zginął w katastrofie samolotowej podczas startu z małego okręgowego lotniska Orange County. Zaraz po wypadku żona Claytona, Lana, całkowicie odizolowała Christiana od rodziny, gdyż był nieślubnym dzieckiem, owocem romansu ojca z inną kobietą już po zawarciu małżeństwa z Laną. Dowiedział się o tym dopiero w okresie dorastania, kiedy to macocha wypłała trochę za dużo i w przypiływie złości powiedziała mu prawdę.

Clayton zginął krótko po ukończeniu przez Christiana college'u, ten zaś, pozbawiony środków do życia, musiał jechać do Kalifornii na pogrzeb ojca pociągami towarowymi. Lana zamknęła jego konto studenckie i unieważniła karty kredytowe tuż po katastrofie, nie zgodziła się też na jego telefoniczną prośbę, by przesłała mu choć kilka dolarów. W dodatku nikt inny z dalszej rodziny w ogóle nie chciał z nim rozmawiać.

Christian przez lata nie utrzymywał więc kontaktów z rodziną. I oto teraz Allison znalazła się w podobnej sytuacji.

- Dziś rano spotkała się z Victorią Graham - powiedział Gillette.

Quentin zmarszczył brwi, najwyraźniej zaskoczony tą wiadomością.

- Z tą starą sroką z MuPenn?

- Zgadza się.

- Wydawało mi się, że chcesz we własnym zakresie dysponować jej udziałem w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu milionów dolarów.

- Ona sama poprosiła Allison o to spotkanie. Nawet mnie nie uprzedziła, że zamierza z nią porozmawiać. Allison przybiegła do mnie z niespodziewaną wiadomością zaraz po zakończeniu rozmowy telefonicznej z panną Graham.

- I nie wiesz, o czym Graham chciała rozmawiać z Allison?

Z każdym innym współnikiem zarządu Everestu Christian w ogóle by nie poruszał tego tematu, przynajmniej na tym etapie, ale Quentina traktował wyjątkowo. Dobrze wiedział, że jeśli każe mu coś zachować w tajemnicy, pozostanie to ich wspólną tajemnicą na zawsze. Rzadko ma się do czynienia w życiu z takimi ludźmi, nawet w gronie najbliższych przyjaciół. Większość osób musi natychmiast podzielić się z kimś choćby informacją o świeżo poznanym sekrecie, co samo w sobie bywa zwykle pierwszym krokiem do

ujawnienia samego sekretu.

- Kiedy rozmawiałem z panną Graham na temat udziału MuPenn w naszym funduszu, powiedziała mi stanowczo, że muszę zacząć myśleć o planie sukcesji Everestu. Nie uzależniła inwestycji swojego towarzystwa ubezpieczeniowego od powstania takiego planu, ale wymusiła na mnie obietnicę, że opracuję go w najbliższym czasie.

-I co?

- I uznała, że powinienem uwzględnić w tym planie Allison. Prawdę mówiąc, oznajmiła wprost, że powinienem mianować Allison wiceprezesem zarządu Everestu, choćby tylko po to, by mogła w pełni przejąć obowiązki prezesa podczas mojej nieobecności czy też na wypadek, gdyby coś mi się stało. Dodała, że uważnie obserwowała karierę Allison od chwili dołączenia jej do zarządu Everestu, i jej zdaniem byłby to najlepszy wybór pod kątem sukcesji. Pewnie dlatego poprosiła Allison o tę dzisiejszą wizytę, chciała jej to powiedzieć prosto w oczy. - Uśmiechnął się szeroko, wyobraziwszy sobie reakcję współpracownicy na widok akwariów i klatek z gadami w gabinecie Graham. Dobrze znał jej stosunek do węży.

Quentin skrzywił się, jak gdyby z irytacją.

- Czy panna Graham nie powinna tobie zostawić decyzji w sprawie awansowania Allison na stanowisko wiceprezesa? I nie powinna tobie zostawić obowiązków powiadomienia o tym samej zainteresowanej?

- Pewnie powinna - przyznał Christian. - Lecz gdybyś jeszcze nie wiedział, informuję, że Victoria Graham już taka jest. Nigdy nie przypada jej to miejsce, które by jej się należało, gdyby czekała z innymi w kolejce.

Jeszcze parę lat temu zapewne miały Allison za złe to spotkanie z Graham, gdyż bały się o swoją pozycję prezesa Everestu. Ale przez lata zyskał pewność siebie, nauczył się, jak wygrywać w tej wojnie nawet najmniej znaczące bitwy, a to przecież była zaledwie potyczka. Problem polegał na tym, że wcześniej już sam myślał o mianowaniu Allison wiceprezesem zarządu spółki, tyle że skoncentrował

się na gromadzeniu nowego funduszu inwestycyjnego po tym, jak Jesse wycofał się ze swojej propozycji mianowania go wiceprezydentem kraju.

- Panna Graham jest gorącą zwolenniczką naszej firmy. Poza tym i tak nosiłem się z zamiarem awansowania Allison na stanowisko wiceprezesa zarządu.

Quentin strzelił palcami.

- Tak przypuszczałem. Wiedziałem, że chodzi ci to po głowie. Czuję się,

jakbym potrafił czytać w twoich myślach.

- Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Skądże znowu - rzucił głośno Stiles. - Może to przeszkadzać kilku innym osobom z zarządu spółki, ale ja nie mam ambicji, żeby kierować Everestem. Nie mam takich powiązań jak Allison, a to wydaje mi się niezbędne do prowadzenia firmy. - Zawahał się na chwilę. - Zresztą i tak zaszedłem już znacznie wyżej, niż mógłbym kiedykolwiek marzyć. Nawet nie wiesz, jak olbrzymi dystans dzieli mnie od czasów ulicznego gangu z Harlemu. Jestem ci za to winien dozgonną wdzięczność.

Quentin zaliczał się do ludzi poczciwych i dobroduszych, cudowna była świadomość, oddziałująca na Christiana wręcz terapeutycznie, że można z nim porozmawiać o wszystkich sprawach Everestu i o pracownikach biura, z absolutną pewnością, że nikt nigdy nie dowie się o tej rozmowie.

- Twoja babcia ma w tym znacznie więcej zasług ode mnie - odparł Gillette. - Mam wrażenie, że gdyby nie ona, nasze drogi nigdy by się nie zeszły. Nawiasem mówiąc, mam zamiar jutro ogłosić podział zysków ze sprzedaży Laurel Energy. - Udział każdego pracownika Everestu w zyskach ze sprzedaży firm należących do spółki zależał tylko i wyłącznie od niego. Było wyraźnie zapisane w statucie, że nie musi się z nikim naradzać ani zasięgać niczyjej opinii.

- Słyszałem już o tym - powiedział Quentin, spoglądając, któryś już raz we wsteczne lusterko. Jego zainteresowanie

budził czerwony sportowy samochód jadący od pewnego czasu za nimi.

- Dziewięćset milionów dolarów to spora suma do podziału - bąknął Christian, rozmyślając o tym, że do jutra będzie musiał jeszcze podjąć kilka trudnych decyzji w sprawie osób, które z pewnością nie będą zadowolone z podziału zysków.

- Nawet trudno mi ją sobie wyobrazić.

Teraz powinno paść oczywiste pytanie: „Ile z tego przypadnie dla mnie?”, ale takie, rzecz jasna, nie padło. Inni zadaliby je bez wahania, ale nie Stiles.

- Sto milionów zamierzam przeznaczyć na cele charytatywne - dodał Christian. Zasiadał w radzie nadzorczej jednego z największych szpitali na Manhattanie i chciał przekazać na jego rzecz większą część tej sumy. - Dodatkowo chcę zamrozić dwieście milionów jako roboczy kapitał rezerwowy. - Twarde warunki obowiązujące w świecie finansjery nauczyły go, aby zawsze mieć jakąś kwotę w rezerwie. Znowu popatrzył z ukosa na

Stilesa. Strasznie był ciekaw jego reakcji na to, co za chwilę usłyszy. - Dostaniesz czterdzieści milionów dolarów.

Quentin przez dłuższą chwilę wpatrywał się w drogę przed nimi, wreszcie wzruszył ramionami.

- Matko Boska... - szepnął i z trudem przełknął ślinę. - Ja... nie... - Głos uwiązł mu w gardle.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby zabrakło ci języka w gębie - rzucił z szerokim uśmiechem Gillette, gdy obserwowany przez niego czerwony sportowy austin-healey wyprzedził ich z rykiem silnika na prostym odcinku szosy. Składany dach był opuszczony, lecz mimo to Quentin nie zdołał dojrzeć twarzy kierowcy. Odniósł tylko wrażenie, że to młody chłopak, w dużych ciemnych okularach, a twarz ocieniał mu daszek czapki baseballowej. - Naprawdę nigdy.

- Masz rację. Nie wiem, co powiedzieć. Oczywiście bardzo dziękuję...

- Zasłużyłeś na to. - Christian także odprowadził wzrokiem sportowe auto, które jeszcze przyspieszyło, jakby chciało poderwać się w powietrze, i błyskawicznie zniknęło za zakrętem. - Oczywiście zatroszczę się, żeby wszyscy szeregowi pracownicy także zostali hojnie nagrodzeni. - Uśmiechnął się szerzej na wspomnienie Debbie, swojej sekretarki, której jutro z samego rana zamierzał wręczyć czek na milion dolarów. Już nie mógł się doczekać tej chwili. Debbie wiernie wykonywała jego polecenia od lat.

- W pełni to popieram - odparł Stiles lekko spiętym głosem.

- To świetnie. A w ogóle co u ciebie ostatnio słyhać? - spytał Christian, wykorzystując kolejną wielką zaletę ich znajomości, gdyż mogli do woli interesować się nawzajem swoim życiem osobistym. - Nie pojawiła się jeszcze na horyzoncie przyszła pani Stiles? Mam wrażenie, że już dość długo nie rozmawialiśmy o twoich kłopotach sercowych.

- Nie ma jej jeszcze nawet na radarze. - Quentin zaśmiał się krótko. - Chyba jestem za bardzo rozrywkowym facetem... - Ostro szarpnął kierownicą w lewo, żeby nie przejechać wieściorki, która niespodziewanie tuż przed maską samochodu wyskoczyła z rowu na skraj drogi i zastygła bez ruchu. - A jak ci poszło spotkanie z Jesse'em? - zapytał, wprowadzając z powrotem auto na środek prawego pasa ruchu. Nie lubił rozmów o kobietach, z którymi się spotykał.

- Dobrze.

- Możesz zdradzić jakieś szczegóły?

- Ale wszystko musi pozostać między nami, przyjacielu. - Christian

wiedział, że nie musi tego mówić, bo Quentin i tak zachowa dyskrecję, ale zrobił to dla spokoju własnego sumienia. - Prezydent Wood poprosił mnie o pomoc w bardzo delikatnej sprawie dotyczącej Kuby.

- Naprawdę? To brzmi strasznie poważnie.

- Później opowiem ci o wszystkim dokładnie, bo będziesz musiał mi pomóc dostać się w parę miejsc niepo

strzeżenie. Zresztą nie tylko mnie. Nie uprzedziłem jeszcze o tym prezydenta, ale zamierzam wciągnąć cię w kilka istotnych zadań w ramach tego projektu. Jeśli Jesse się na to nie zgodzi, będzie musiał zrezygnować z mojej pomocy.

- Zawsze możesz na mnie liczyć, jeśli tylko w czymś mogę się przydać - odparł Quentin z uśmiechem.

Zaraz nie będzie ci tak wesoło, pomyślał Christian.

- Ale musisz przejść gruntowne prześwietlenie - rzekł, spoglądając w dół, toteż tylko się domyślił, że uśmiech w jednej chwili zniknął w twarzy Stilesa.

- Co takiego? Nie ma mowy. Przecież...

- Na specjalne polecenie prezydenta.

- ...służyłem w wywiadzie wojskowym, potem w Secret Service...

- Zatem nie powinno być z tym żadnych problemów. - Christian zdawał sobie jednak sprawę, że na tym się nie skończy. - Zrób to dla mnie, dobrze? Jesse obiecał, że zarządzi dla ciebie superszybki tryb, spędzisz najwyżej jeden dzień w Wirginii, ale bez tego się nie obejdziesz.

- Dobra, w porządku. - Quentin uniósł prawą rękę i z rezygnacją pokiwał głową. - Trudno ci było rozmawiać z nim po przyjacielsku? Chodzi mi o twoją nominację na wiceprezydenta, co do której w ostatniej chwili zmienił zdanie. A przecież, do cholery, gdyby nie to nagranie wideo, które dostałeś od ludzi z Maine, na pewno nie wygrałby wyborów. Uratowałeś mu tyłek, a on cię tak potraktował. Nie jesteś wciąż wściekły na niego?

Na początku lat osiemdziesiątych Jesse Wood był gwiazdorem zawodowego tenisa, jednym z pierwszych, który przełamał bariery rasowe i wdarł się do świata zarezerwowanego wcześniej dla białych, gdy kilka razy zwyciężył w zawodach U.S. Open i na Wimbledonie. Nigdy jednak nie wykorzystywał swoich sukcesów sportowych jako odskoczni do forsowania politycznych zapatrywań i za to był szczególnie ceniony, zwłaszcza gdy któregoś roku, w pełni zimnej wojny, rozgromił w finale Flushing

Meadows faworyzowanego Rosjanina, a jego sukces zgrał się w czasie ze zwycięstwem amerykańskich hokeistów nad reprezentacją Związku

Radzieckiego na olimpiadzie zimowej w Lake Placid. Po zakończeniu kariery tenisowej Jesse został adwokatem, potem senatorem z Nowego Jorku, wreszcie, uzyskawszy poparcie grupy byłych bojowników Czarnych Panter, zwycięsko dotarł do ostatniej fazy walki wyborczej o Biały Dom.

Okazało się jednak, że jego poplecznicy dysponują nagraniem wideo, na którym Jesse uczestniczy w bójkę z przeciwnikami czarnoskórego prezydenta. Ujawnienie tego nagrania opinii publicznej z pewnością by go pogrążyło. Ale Christian zdołał odzyskać kasetę z nagraniem, uwalniając w ten sposób kandydata na prezydenta od szantażu. Niemniej jedną z pierwszych decyzji Wooda po odzyskaniu pełnej swobody działania było wycofanie wcześniejszej desygnacji Gillette'a na stanowisko wiceprezydenta.

Christian doskonale rozumiał, dlaczego Quentin tak uważał. Był jednak w błędzie.

- Nie, nie jestem. Prawdę mówiąc, już dawno zapomniałem o tamtej sprawie.

- Nie żartuj. Przecież...

-Już ci tłumaczę dlaczego. Załóżmy, że nie udało nam się odzyskać tej kasyty i zostałem wiceprezydentem u boku Jesse'a. Przecież tym organizacjom czarnych, które go początkowo wspierały, ani trochę nie zależało na tym, by objął stanowisko. Zatem z pewnością szybko by mnie uwikłały w jakiś bulwersujący skandal, na co zresztą wyraźnie się zanosilo.

- No cóż, nie możesz mieć pewności, czy...

- Ci ludzie chcieli mnie tylko wykorzystać do wypromowania Jesse'a, do przyciągnięcia ku niemu głosów białych wyborców. Na mnie im nie zależało. Woleli nie podejmować ryzyka, że mogę objąć urząd prezydenta po drugiej kadencji Jesse'a. W gruncie rzeczy to nie on mnie

wybrał na swojego zastępcę, zatem nie mogę go winić za wycofanie nominacji. - To wszystko brzmiało nawet przekonująco, ale nie było chyba dnia, żeby Christian nie żałował tamtej decyzji Wooda. Nie chodziło mu o sławę, ani trochę o nią nie dbał. Ale żałował utraconej pozycji, która mogła go zbliżyć do stanowiska przed laty zajmowanego przez ojca, do tego miejsca, w którym polityczną karierę przerwała niespodziewana śmierć. Miałby szansę urzeczywistnić jego marzenia.

Quentin prychnął pogardliwie.

- To wcale nie takie pewne, przyjacielu. Przynajmniej przeprosił cię za tamto?

- Jest prezydentem Stanów Zjednoczonych. Trudno wymagać przeprosin

od prezydenta.

Minęli wiejski sklepik oddalony kilkadziesiąt metrów od drogi, pokonali kolejny ostry zakręt i niespodziewanie ujrzeni na środku szosy mężczyznę w żółtym plastikowym kasku i odblaskowej pomarańczowej kamizelce. Trzymał w ręku znak stopu na tyczce, a drugą wymachiwał szeroko, żeby przyciągnąć ich uwagę.

Quentin przyhamował i opuścił szybę, zbliżywszy się do niego.

- Co się dzieje?

Mężczyzna pochylił się do otwartego okna ich samochodu.

- Przykro mi, panowie, ale za tamtym zakrętem drogę zablokowało powalone drzewo - rzekł, wskazując przez ramię. - Nie mogę was na razie przepuścić. Usuwanie przeszkody potrwa jeszcze pięć, najwyżej dziesięć minut.

Christian położył dłoń na ramieniu Quentina.

- Zawróćmy do tego sklepu, który niedawno mijaliśmy. Kupimy sobie coś do picia.

-Już się robi. - Stiles zakręcił energicznie kierownicą i zawrócił w kierunku, z którego przyjechali. - Cholerne odludzie - mruknął, obrzucając podejrzliwym spojrzeniem pusty, wysypany żwirem parking przed sklepem, który sprawiał wrażenie wciśniętego w ścianę lasu. - Jasna cholera!

- Co się stało?

Quentin wskazał stojącego na uboczu sportowego austriaka, którego kierowca także postanowił spędzić w sklepie przymusową przerwę w podróży.

- Powinienem temu szczeniakowi spuścić tęgie lanie. Napędził mi sporo strachu, zanim ostatecznie nas wyprzedził.

- Lepiej nie szukać kłopotów - odparł łagodnym tonem Christian, otwierając drzwi. W każdym razie jemu żadne kłopoty nie były teraz potrzebne. - Wyluzuj...

- A niech mnie!...

Gillette miał już wysiąść z auta, gdy jego uwagę przykuło niezwykle brzmienie głosu Stilesa, które oznaczało bliską obecność pięknej kobiety. Obejrzał się szybko w kierunku czerwonego sportowego auta. Kierowca właśnie wysiadł i zdjął czapkę baseballową oraz ciemne okulary. Christian wytrzeszczył oczy, jak gdyby zaskoczony widokiem pięknej brunetki stojącej obok auta. Miała krótko ostrzyżone włosy i była ubrana w obcisły pomarańczowy trykot bez ramiączek oraz białą minispódniczkę.

Skończyła właśnie rozmowę, zamknęła telefon komórkowy i rzuciła go na siedzenie samochodu.

- Chyba tym bardziej podejść i zwrócić jej uwagę, jak nie należy wyprzedzać - powiedział Quentin, szczerząc zęby w uśmiechu, po czym błyskawicznie wyskoczył z hondy i ruszył przez żwirowy plac, zanim Christian zdążył go powstrzymać.

- Hej! - zawołał Christian, stanąwszy w otwartych tylnych drzwiach auta.
- Zaczekaj!

Ale było już za późno. Kobieta uśmiechała się szeroko do zbliżającego się Quentina, który przecież robił imponujące wrażenie atletyczną budową ciała. Przy nim trzeba działać błyskawicznie, pomyślał Gillette, zмирzając w stronę wejścia do sklepu.

Gdy po paru minutach wychodził z powrotem na parking, o mało nie zderzył się z kobietą w pomarańczowym trykocie wbiegającą po schodkach.

- Przepraszam - bąknął. Uznał, że z bliska jest jeszcze bardziej pociągająca. Ponadto wydało mu się, że już gdzieś ją widział.

- Nic nie szkodzi - rzuciła, odsuwając się na bok, żeby wypuścić go na staroświecką zadaszoną werandę ciągnącą się przez cały fronton budynku.

- Proszę bardzo - rzekł, odsuwając się na bok i przytrzymując otwarte drzwi.

- Dzięki. - Zaszczyciła go słodkim uśmiechem i musnęła palcami jego ramię, zanim weszła do sklepu.

Powiódł za nią spojrzeniem, gdy szła do lodówki z napojami stojącej na tyłach sklepu, podziwiając rytmiczny wahadłowy ruch białej minispódniczki powyżej długich, zgrabnych i pięknie opalonych ud. Nie umiał powiedzieć, ile może mieć lat, chociaż zapewne była jeszcze przed trzydziestką. Gdyby miał zgadywać, dałby jej znacznie mniej, dwadzieścia dwa, najwyżej dwadzieścia trzy lata, chociaż nie uszły jego uwagi wyraźne kurze łapki w kącikach oczu towarzyszące szerokiemu uśmiechowi. Przemknęło mu przez myśl, że może mieć za sobą jakieś traumatyczne przeżycia rzutujące na jej wygląd.

Wszedł jeszcze za nią do sklepu, ale zaraz zniknęła za wysokim regałem z napojami chłodzącymi na końcu sali. Drewniana podłoga zaskrzypiała pod jego stopami, toteż obejrzał się szybko na starszą kobietę siedzącą za ladą i zerkającą na niego ciekawie zza wielkiej mechanicznej kasy z masywną dźwignią. W jej spojrzeniu kryła się źle skrywana wrogość. Odpowiedział jej skąpym uśmiechem, zawrócił i wyszedł na zalany słońcem plac, jak gdyby

ścigany myślami staruchy, że tamta klientka była dla niego zdecydowanie za młoda, więc nie powinien się nią interesować.

Quentin stał w otwartych na oścież drzwiach od strony kierowcy, z jedną nogą w środku, wsparty łokciem o krawędź drzwi.

- Trzymaj. - Christian rzucił mu oszronioną butelkę lemoniady, po czym szybkim ruchem otworzył dla siebie puszkę mountain dew, zanim sięgnął do klamki tylnych drzwi. - Nie będziesz już mówił, że nigdy ci niczego nie kupiłem.

Quentin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Pewnie, w końcu dzisiaj czterdzieści milionów to nie to, co kiedyś. - Pochylił się i wsunął na miejsce za kierownicą, zatrzasnął za sobą drzwi, otworzył butelkę i wychylił kilka łyków czekoladowego napoju. - Cholera. Dobre to.

Wsiadając do samochodu, Christian obejrzał się jeszcze na drzwi sklepu, zanim uniósł do ust puszkę. Młoda właścicielka sportowego auta właśnie wychodziła z budynku na parking.

- Jak sądzisz, ile może mieć lat?

Quentin wsunął pustą butelkę pod siedzenie.

- Dwadzieścia trzy, może dwadzieścia cztery. Ale teraz ocena wieku na pierwszy rzut oka może być bardzo mylna. Rozpiętość pomyłek jest dosyć znaczna, dlatego... - Urwał nagle, po czym obejrzał się na Christiana i rzucił:

- No jasne!

- O co ci chodzi? Niby co jest jasne?

- Chcesz poszukać dla siebie kogoś znacznie młodszego.

- Przecież to śmieszne. Chciałem tylko sprawdzić, czy twoja ocena jej wieku jest z grubsza zgodna z moją, nic więcej. - Christian popatrzył, jak nieznajoma zbiega po schodkach z werandy i kieruje się w stronę austria-lea. Trzymała w ręku butelkę piwa. - Naprawdę tylko tyle.

- Już w to wierzę - syknął Quentin. - Tym bardziej że nie możesz oderwać od niej oczu.

- I co z tego? Jest bardzo ładna. Ale to, że jej się przyglądam, nie oznacza jeszcze, że chciałbym się z nią umówić na randkę. - Uśmiechnął się szeroko.

- Poza tym jestem

zazdrosny. Jej beztroska jest po prostu godna podziwu. Tylko popatrz, pije piwo, prowadząc sportowy wóz w to piękne wiosenne popołudnie. Nie przejmuje się nikim i niczym.

- Zacznie się przejmować, jak trafi na patrol drogówki, który ją zgarnie za

prowadzenie pod wpływem alkoholu.

- Mimo wszystko to musi być fajne, kiedy człowiek nie przejmuje się takimi drobiazgami. Jak zatrzyma ją patrol, to wyląduje w areszcie, może nawet straci na jakiś czas prawo jazdy, ale w końcu nie to jest najważniejsze. Natomiast ja? Boże, nawet bałbym się pomyśleć, co mnie czeka w podobnej sytuacji.

Quentin wyrozumiale pokiwał głową.

- Rozumiem, że czujesz się staro, Chris. Ale tak to już jest w życiu. Przecież i ty starasz się żyć bieżącą chwilą, nie rozpamiętujesz, że Jesse nie zrobił cię wiceprezydentem, lecz oglądasz się za pięknymi kobietami. Chciałbyś odzyskać swoją młodość. A któż by tego nie chciał? Tylko pomyśl o tej ciągłej presji, której jesteś poddawany. Każdy normalny człowiek już dawno by się pod nią załamał. Ty się nie załamujesz tylko dlatego, że jesteś wyjątkowo odporny psychicznie, ale nawet najtwardsi ludzie czasami szukają ucieczki od codzienności.

Christian po raz kolejny popatrzył na nieznajomą, która stała przy swoim aucie i popijała piwo z puszki.

- Nie przesadzaj - mruknął, chociaż Quentin chyba miał rację. Nagle naszła go ochota, żeby wrócić do sklepu i też kupić sobie puszkę piwa. - Lepiej już jedźmy.

Kobieta pomachała im energicznie ręką, gdy wykręcali w stronę wyjazdu z parkingu, i zaszczyciła Christiana wspaniałym uśmiechem. On także jej pomachał, zasmucony nagle, że stara sprzedawczyni odstraszyła go wrogim spojrzeniem zza kasy, gdy po raz drugi wszedł do sklepu. Może brzmiało to idiotycznie, ale miał wrażenie, że z łatwością nawiązałyby znajomość z właścicielką sportowego auta. Wyłowił w jej spojrzeniu wyraźny magnetyzm, gdy

przesunął się w bok na werandzie, przytrzymując otwarte drzwi. Pożałował nagle, że nie zapytał przynajmniej o imię.

- Jezus, Maria! A to co...

Christian w jednej chwili zapomniał o pięknej brunetce, gdy Quentin gwałtownie wdepnął pedał hamulca. Pas bezpieczeństwa się zaklinował, on jednak instynktownie zapałł się obiema dłońmi o deskę rozdzielczą i tylko odprowadził wściekłym spojrzeniem wielkiego czarnego sedana, który przemknął obok nich o centymetry i w chmurze pyłu zatrzymał się gwałtownie na wprost wejścia do sklepu. Niemal w tej samej chwili wyskoczyło z niego czterech mężczyzn.

Kątem oka Christian złowił w obłoku pyłu pomarań- czowo-białą smugę. Brunetka ze sportowego austina przemknęła obok nich w panicznej ucieczce. Czterej mężczyźni rzucili się za nią w pogoń. Sięgnął do klamki, jednocześnie odpinając pas bezpieczeństwa. Naparł na drzwi ramieniem, wyskoczył z auta i pobiegł za dziewczyną.

- Christian! Stój!

Ten jednak zignorował ostrzeżenie przyjaciela. Obejrzał się przez ramię na uciekającą dziewczynę, która dotarła właśnie do linii drzew i zniknęła w leśnym gąszczu. Dwóch mężczyzn ruszyło za nią, dwóch pozostałych skręciło w stronę integrity i Quentina, który jeszcze gramolił się zza kierownicy.

Christian popędził za dziewczyną w zarośla, uniósłszy obie ręce, żeby osłonić twarz przed uderzeniami długich pędów kolczastych krzaków i nisko zwisających gałęzi. Przystanął tylko na moment, żeby określić kierunek na podstawie trzasków łamanych suchych gałązek i donośnego szelestu pozółkłych liści zaścielających ziemię. Chwilę później przez gąszcz mignęła mu uciekinierka, dostrzegł jej pomarańczowy trykot i białą spódniczkę. Przyspieszył jeszcze, nie zważając na to, że wiotkie gałązki pokryte młodymi zielonymi listkami mocniej chlaszczą go po dło

niach. Mrużąc oczy, starał się przewidzieć, dokąd dziewczyna biegnie.

Z tyłu rozległy się jakieś krzyki, przemknęło mu przez myśl, że wywiązała się walka między Quentinem a tymi dwoma z czarnego sedana, którzy zostali na parkingu. Poczul wyrzuty sumienia, że zostawił przyjaciela na ich łasce, wiedział jednak, że Stiles powinien dać sobie radę nawet z dwoma przeciwnikami.

Był już blisko, zaledwie parę metrów za dziewczyną, pędząc zakosami wśród drzew niczym wytrawny narciarz między tyczkami na trasie slalomu. Słyszał już, jak ona ciężko dyszy, z trudem przebierając nogami po miękkim, elastycznym podłożu usłanym suchymi liśćmi. Przypominało to próbę sprintu po sypkim piasku plaży, który już po kilkudziesięciu metrach może całkowicie pozbawić człowieka energii. Nawet jego.

Dopał ją w końcu. Chwycił za rękę i zatrzymał szarpnięciem, obracając twarzą do siebie. We włosach miała kawałki suchych liści, a twarz podrapaną od przedzierania się przez kolczaste zarośla.

- Dlaczego ci ludzie cię ścigają? - zapytał ostro półgłosem, wsłuchując się w odgłosy pogoni, które chyba cichły, jakby mężczyźni zgubili trop i skręcili w niewłaściwym kierunku.

- Nie wiem - wysapała. - Przysięgam.

- Lepiej mów prawdę.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- No... więc...

- Szybciej - syknął. - Pomogę ci, ale muszę wiedzieć, o co chodzi.

Przyłożyła dłoń do piersi, wielkimi haustami próbując złapać oddech.

- W porządku. Już dobrze. Miałam romans z pewnym facetem z Waszyngtonu. Dziś rano jego żona nakryła mnie z nim w łóżku na ich farmie niedaleko stąd i wysłała za mną tych czterech drabów. - Machnęła ręką w kierunku

wiejskiego sklepu. - Myślałam, że ich zgubiłam, ale jak widać, dogonili mnie.

- Zona tego faceta musi być kimś ważnym, skoro tak szybko znalazła czterech ludzi do tego zadania, a ty aż tak bardzo się ich boisz.

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- To prawda.

- Kim ona jest?

Przez jej twarz przemknął grymas panicznego lęku.

- Nie mogę powiedzieć. Naprawdę nie mogę... - powtórzyła, dostrzegłszy irytację na twarzy Christiana. - Zrozum, że...

- Charlie! Tutaj!

Oboje w jednej chwili obejrżeli się w kierunku, z którego doleciał okrzyk. Ścigający byli blisko.

Gillette chwycił dziewczynę za rękę i warknął:

- Uciekamy!

- Wiesz, że Christian ma jutro rozdzielać premie z zysku ze sprzedaży Laurel Energy?

Allison podniosła wzrok znad klawiatury komputera. Z trudem wystukiwała mejlową odpowiedź na pismo adwokata, na którym jej nie zależało, toteż z wdzięcznością oderwała się od tego zajęcia. Miała zresztą wrażenie, że jej odpowiedź staje się zdecydowanie za ostra, co należało do najpoważniejszych wad korespondencji sieciowej, gdyż często człowiek sięgał po określenia, których nigdy by się nie odważył powiedzieć odbiorcy podczas rozmowy. Dlatego zawsze stosowała się do rady Christiana i z przerwami trzy razy czytała swoje odpowiedzi, zanim je w końcu wysłała.

- Tak, wiem. A od kogo ty się o tym dowiedziałaś?

W rzeczywistości Allison nie miała pojęcia, że już jutro dojdzie do podziału zysków. Pamiętała, że powinno to nastąpić w najbliższym czasie,

ale nie znała żadnych szcze

głów. Oto miała kolejny przykład na to, że z Christianem wcale nie łączyły ich tak bliskie stosunki, jak powinny. Jeszcze nie tak dawno na pewno jako pierwsza w całej firmie wiedziałyby, że właśnie jutro ma nadejść ten wyczekiwany przez wszystkich dzień.

- Ktoś znalazł w koszu na śmieci porwaną kartkę z informacją w tej sprawie - odparła Sherry Demille.

Była asystentką w biurze Everestu pracującą niemal wyłącznie dla Allison, która przed rokiem namówiła ją do przejścia z innej nowojorskiej firmy inwestycyjnej. Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat, lecz zdążyły się już zaprzyjaźnić mimo dzielącej je ośmioletniej różnicy wieku. Sherry odznaczała się grubokościstą budową ciała, ale zręcznie maskowała to umiejętnym makijażem i starannym doborem ubrań podkreślających długie nogi i tonujących szerokie ramiona i wysoką talię. Miała długie ciemne włosy i szeroką okrągłą twarz, której rysy próbowała złamać, nosząc okulary, chociaż wcale ich nie potrzebowała.

- Ktoś? - zapytała Allison wyzywającym tonem.

Sherry uniosła obie ręce.

- Nie ja. Przysięgam.

- Więc kto? - Widać było, jak dziewczyna walczy ze sobą, żeby nie ujawniać źródła plotki, ale też nie zadzierać z przełożoną. - Dobra, nie musisz mi mówić. To przecież i tak nie ma wielkiego znaczenia.

- Kiedy Chris ci powiedział?

Allison nie podobał się jej familiarny stosunek do Gillette'a. Wiedziała, że Sherry uważa go za marzyciela z głową w chmurach, ponieważ już parę razy o tym wspominała, zwłaszcza po paru drinkach, gdy wychodziły gdzieś razem. I wcale nie wynikało to z stąd, że Christian w jakikolwiek sposób próbował flirtować z Sherry, niemniej Allison coraz częściej zwracała uwagę właśnie na takie drobiazgi.

- Parę tygodni temu - odparła, nie chcąc dać dziewczynie do zrozumienia, że z prezesem wcale nie łączy jej już

tak bliskie stosunki, jak kiedyś. Nigdy nie odważyłaby się wyjawić Sherry, jak bardzo zależy jej na Christianie, ponieważ dobrze wiedziała, że ta nie potrafi dotrzymać tajemnicy, ale wciąż sugerowała wszystkim, że z Gillette'em łączy ją prawdziwa zażyłość.

Sherry położyła swój notatnik na skraju biurka i z głośnym kłaśnięciem złączyła dłonie przed sobą.

- Więc ile, według ciebie, dostanie mi się tej premii? Wspominał choć słowem na ten temat?

- Nie. - Allison przemknęło przez myśl, że agresywna postawa Sherry powinna przemawiać na jej korzyść na stanowisku asystentki. Ale czasami ta agresywna postawa wydawała jej się wręcz odrażająca, chociaż i tak wysoko ceniła zalety swojej współpracownicy, która idealnie prowadziła księgowość i wszystkie polecenia wykonywała nadzwyczaj sumiennie. Była szybka i dokładna w operowaniu liczbami, jak też w załatwianiu różnych formalności, do których Allison miała niechętny stosunek. Poza tym po pracy potrafiła być duszą towarzystwa. Dość często ostatnio wychodziły razem wieczorami do różnych lokali na Manhattanie. - Podejmuje decyzje samodzielnie.

- Obawiam się, że nawet nie wie, jak się nazywam - rzuciła ze złością Sherry.

- O to się nie martw, na pewno świetnie wie, kim jesteś.

Sherry westchnęła ciężko.

- Czyżby?

- Zna doskonale wszystkich pracowników firmy - wyjaśniła pospiesznie Allison.

Sherry nadal miała wątpliwości.

- Strasznie go przytłacza świadomość, że jest kimś sławnym i bardzo ważnym, prawda? W ubiegłym tygodniu przytrzymał mi drzwi, gdy wychodziliśmy razem po pracy z budynku, i nawet zapytał, czy nie chcę, żeby mnie dokądś podwiózł. Szłam wtedy na spotkanie ze starymi znajomymi w lokalu przy Park Avenue, lecz niewiele brakowało, bym się zgodziła, żeby skorzystać z okazji i lepiej

go poznać. Nie wątpię, że byłoby wspaniale, gdyby mnie wtedy podwiózł do pubu.

Allison zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

- Naprawdę chciał cię podwieźć?

- Jasne.

- Firmową limuzyną?

- Aha.

Allison przeniosła wzrok na ekran komputera. Człowiek, z którym właśnie korespondowała w sieci, miał czterdzieści siedem lat i był świeżo po rozwodzie. Plotki głosiły, że spotykał się z dwudziestosześcioletnią urzędniczką od zastawów sądowych ze śródmiejskiego banku inwestycyjnego, dorównującą wyglądem Paris Hilton. Co jest z mężczyznami w pewnym

wieku? - przemknęło jej przez myśl.

- I mimo to nie skorzystałaś z zaproszenia?

- Skorzystam następnym razem.

Christian był po prostu uprzejmy, pomyślała Allison. Nic więcej się za tym nie kryło. Na pewno nie próbował podrywać Sherry. To było do niego niepodobne.

- Chodźmy napić się czegoś w barze na dole - zaproponowała, wstając z krzesła, i sięgnęła po klucze do swego pokoju. Obok nich leżał także zapasowy klucz do gabinetu Christiana, zawsze leżący w zagłębieniu futryny nad jego drzwiami. Tylko ona i Debbie o tym wiedziały. Dzisiejszego ranka musiała wziąć z regału Christiana pewne dokumenty i do tej pory jeszcze nie oddała klucza. - Ja stawiam - dodała.

- Więc jak sądzisz, ile mogę dostać tej premii? - zapytała ponownie Sherry, gdy tylko wyszły na korytarz i ruszyły w stronę gabinetu Christiana.

- Nie wiem. - Za rogiem korytarza Allison spostrzegła ze zdumieniem, że nie ma Debbie przy jej biurku w sekretariacie. Nie chciała zostawiać klucza na biurku, dlatego podeszła do drzwi gabinetu, wspięła się na palce i położyła go z powrotem w zagłębieniu na framudze. Odwróciła się,

popatrzyła na Sherry i rzuciła ostrzegawczo: - Tylko nikomu o tym nie mów.

- Oczywiście sprawa - mruknęła dziewczyna, zawracając w stronę recepcji z oczyma wzniesionymi do nieba na znak, że nie wszystko trzeba jej tłumaczyć łopatologicznie. - Ale jednak chciałabym się dowiedzieć, na jaką premię z zysków mogę liczyć. Jezu, Allison, naprawdę nie musisz być tak tajemnicza w tej sprawie.

Allison wyduła wargi. Tak to już jest, gdy się zbratasz z podwładnymi, nie zachowując należytego dystansu, pomyślała. Może w końcu Christian miał rację pod tym względem i dobrze wiedział, co robi, nie chcąc się z nią umawiać, skoro pracowali razem. Westchnęła ciężko. Niestety, było już za późno. To prawda, że czuła coś do niego.

- I tak będziesz musiała poczekać do jutra.

Sherry skrzywiła się z niechęcią, skręcając w stronę wind.

- Wiesz co? Słyszałam, że ktoś widział ostatnio Christiana w pewnej restauracji na Upper West Side w towarzystwie znanej modelki.

Christian z ledwością wyciągnął dziewczynę z gęstwiny zagajnika, w pewnym momencie prawie ją niosąc, gdy potknęła się o zwalony pień i straciła równowagę. Nie miał pojęcia ani gdzie się znajdują, ani dokąd

biegną, ale pobudzony przerażeniem malującym się na twarzy dziewczyny pędził przed siebie. Miał nadzieję, że skoro oboje są młodszy od tamtych, czas będzie działał na ich korzyść. W pierwszej chwili, jeszcze zanim wyskoczył z samochodu, chciał złapać dziewczynę i przekazać ją tym czterem mężczyznom, żeby się przekonali, dlaczego ją ścigają. Był przekonany, że przy nim nie zrobią jej nic złego, zwłaszcza gdy wytłumaczy, kim jest.

Ale śmiertelne przerażenie w jej oczach podpowiedziało mu, że takie udawanie naiwniaka nie ma najmniejszego

sensu. Przez całe życie uczył się wyczytywać różne rzeczy z twarzy ludzi, wychwytywać najdrobniejsze wskazówki co do tego, czy powinien na siłę forsować swoje rozwiązania, czy też raczej łagodzić przebieg negocjacji, a jego sukcesy zawodowe mówiły same za siebie. W końcu dziewczyna nie mogła być aż tak wytrawną aktorką. Teraz zastanawiał się głównie, kto aż tak bardzo mógł ją wystraszyć. Najwyraźniej kobieta, która przyłapała ją w łóżku ze swoim mężem, musiała być bardzo wpływowa. Pomyślał więc, że powinien poprosić Quentina o sprawdzenie, kim ona jest. O ile, rzecz jasna, kiedykolwiek się jeszcze zobaczy z Quentinem.

- Tędy! - syknął, nadstawiając ucha na odgłosy pościgu dwóch mężczyzn przedzierających się za nimi przez las. Wydały mu się tak bliskie, że aż żołądek podszedł mu do gardła. - Szybciej!

- Już nie mogę! - wysapała z trudem.

- Na pewno możesz. Pomyśl o tym, co ci grozi, i wyciągaj nogi.

Nagle wybiegli na krawędź stromego urwiska, wnoszącego się na jakieś sześćdziesiąt metrów nad dno wąwozu. Prawie na całej długości ze skarpy wystawały olbrzymie głazy narzutowe. Gdzieś z dołu dolatywał cichy szmer płynącego strumienia.

- Cholera! - rzucił, podejmując błyskawiczną decyzję. - Musimy zbiec na dół, nie możemy zawrócić. Złapią nas, jeśli cofniemy się do lasu.

- Nie dam rady - odparła przerażona dziewczyna. - Spadnę.

- Jestem w zwykłych pantoflach - wskazał swoje buty kontrastujące z jej tenisówkami. - Poza tym mam chyba dwa razy więcej lat niż ty. Jeśli ja zdołam zbiec z tej skarpy, ty też to zrobisz.

- Mówię, że nie mam już sił...

Nadeszła pora, by okazać stanowczość.

- Nie masz wyboru - powiedział.

Pospiesznie wybrał najlepszą drogę między głazami i pociągnął dziewczynę za krawędź urwiska.

- Za mną.

- Jezu...

Zbiegli na dno wąwozu szybciej, niż przypuszczali, kilkakrotnie tracąc równowagę. Ale nic im się nie stało. Pokonawszy w szaleńczym rozpędzie ostatnich parę metrów przez płytki wąski strumyk na drugi brzeg, przystanął i obejrzał się. Goniący ich mężczyźni dotarli właśnie na skraj urwiska i zaczęli ostrożnie schodzić między głazami. Odniósł wrażenie, że jeden z nich wyciągnął zza pasa pistolet, ale z tej odległości nie widział za dobrze.

Znów pociągnął dziewczynę za rękę.

- Ruszaj się, do diabła.

Równocześnie sięgnął po komórkę. Wskaźnik ciekłokrystaliczny pokazywał tylko jedną kreskę mocy zasięgu przekaźnika, ale mimo to zaryzykował i wybrał numer policji. Szybko uzyskał połączenie. Kiedy skręcali z szosy na parking, wpadła mu w oczy tablica z nazwą sklepu, „Grayson's Market”, toteż wykrzyczał ją do mikrofonu i ponaglił dziewczynę do dalszej ucieczki, w nadziei, że prześladowcy usłyszą jego okrzyk i dojdą do wniosku, że zaalarmował policję. Dodał jeszcze bez zastanowienia, że są w lesie na południowy wschód od sklepu i potrzebują natychmiastowej pomocy, gdyż muszą uciekać przed bandytami, i że jego przyjaciel, który został na parkingu przed sklepem, przypuszczalnie też potrzebuje pomocy. Naszły go obawy, że tamtych dwóch uzna, iż tylko udaje rozmowę przez telefon, ale to także powinno przynieść pożądany skutek. Dopóki prześladowcy nie byli całkiem pewni swego, oni mieli szansę wyjść cało z opresji. A co ważniejsze, pomoc powinna być już w drodze. Pozostawało tylko liczyć, że nie dotrze na miejsca za późno.

- Jak się nazywasz? - zapytał, chowając telefon do kieszeni. Biegli wąską ścieżką ledwie widoczną w leśnym gąszczu, prawdopodobnie wydeptaną przez sarny. Nie

była usłana suchymi liśćmi, toteż nie robili już tyle hałasu. Jednakże Christian zamierzał wkrótce znowu zagłębić się w las.

- Beth Garrison. A ty?

- Christian Gillette. - Wyciągnął rękę ponad jej ramieniem, wskazując kierunek. - Tam.

Znowu musieli się osłaniać rękoma przed nisko wiszącymi gałązkami.

- Wiesz, dokąd prowadzi ta ścieżka?

- A jakie to ma znaczenie, dopóki tamci dwaj są za nami?

Wzruszyła ramionami, nie zwalniając kroku.

- Pewnie żadnego.

Gąszcz stawał się coraz bardziej zbity, gałązki młodych drzewek chlastały ich po rękach, długie pędy kolczastych krzewów czepiały się ubrania. Szmer płynącej wody przybierał na sile i wkrótce między listowiem Christian dostrzegł połyskującą w słońcu taflę wody, a po chwili wybiegli na brzeg szerokiej, płynącej dostojnie rzeki o brzegu usłanym głazami wystającymi z grząskiego błota. Musiał to być Potomac, jeśli Christian dobrze pamiętał topograficzną mapę zachodniego Marylandu, którą oglądał w drodze do Camp David. Rzeka miała kilkaset metrów szerokości, a nurt pośrodku głębokiego koryta poruszał się zdecydowanie szybciej niż przy brzegu. Był pewien, że zdołałby przepłynąć rzekę, martwił się jednak o dziewczynę, która sprawiała wrażenie wycieńczonej. Poza tym jeśli ścigający ich mężczyźni byli uzbrojeni, stanowiliby dla nich łatwy cel, poruszając się wolno w wodzie. Uznał, że odpłynęliby zapewne nie więcej niż trzydzieści albo czterdzieści metrów od brzegu, zanim tamci dotarliby nad rzekę, nie była to więc zbyt duża odległość na oddanie celnego strzału z pistoletu. Nie warto było podejmować ryzyka. Ponadto musiał zakładać, że są strzelcami wyborowymi. Ale przede wszystkim nie mógł narażać Beth na utonięcie.

-I co teraz?

Obejrzał się przez ramię na dziewczynę.

- Wolałabyś być teraz sama?

Energicznie pokręciła głową.

- Nie, absolutnie.

- Bo ja miałbym zdecydowanie lepiej, gdybym był sam. Jak to mówią: dopóki jesteś w stanie biec szybciej od najwolniejszego człowieka w grupie, możesz się nie bać o swoje życie. Nie wątpię, że potrafię biegać szybciej od ciebie, chociaż z wyglądu mógłbym być twoim ojcem.

- Przepraszam. Nie zostawiaj mnie samej.

Christian powiódł wzrokiem po przeciwnym brzegu, wypatrując jakichś oznak cywilizacji, ale niczego nie dostrzegł. Ciągnęła się tam zbity masa zieleni wznoszącej się stopniowo ku szczytom płaskich wzgórz, gdzie stykała się z błękitnym bezchmurnym niebem.

- Musimy biec dalej - powiedział, zwracając do lasu. - Wcześniej czy później na coś trafimy. - Najgorsze było to, że im dalej pobiegną w dół rzeki, tym bardziej oddalą się od punktu orientacyjnego, który podał policji, to znaczy od parkingu przed sklepem. Dlatego dodał ciszej: - Przynajmniej taką mam nadzieję.

Ruszyli znowu biegiem przez leśny gąszcz, ale już nie tak szybko, jak poprzednio, żeby za bardzo nie hałasować, starając się zarazem nie stracić z oczu rzeki. Przystawali co kilkaset metrów i nadstawiali ucha, lecz nie było już słycać odgłosów pogoni. Wyglądało na to, że po dotarciu na brzeg mężczyźni ruszyli w górę biegu rzeki.

- Dlaczego mi pomagasz? - zapytała w pewnym momencie Beth, nisko pochylona, zwolniwszy kroku pod grubym konarem.

Christian uzmysłowił sobie nagle, że las jest przepełniony gamą wspaniałych wiosennych zapachów, z którymi współgra woń perfum dziewczyny.

- Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Pewnie wyłącznie z powodu skazy charakteru. Ilekroć widzę kogoś potrzebującego pomocy, przychodzę mu z pomocą.

- Ile masz lat?

Westchnął ciężko, zachodząc w głowę, dlaczego ludzie zawsze o to pytają.

- Czterdzieści trzy.

- O rety...

Spojrzał jej w oczy.

- Nie rozumiem powodów takiej reakcji...

- Nie wyglądasz na tyle.

Jemu samemu się nie podobało, że ma aż czterdzieści trzy lata, za to spodobało mu się, że jej zdaniem nie wygląda na tyle. Był jednak pewien, że dziewczyna tylko mu kadzi, bo chce, żeby z nią został, dopóki znów nie będzie bezpieczna. I skrzywił się z niesmakiem. Świat wielkiej finansjery zaczynał go nużyć. Coraz częściej musiał szukać w myślach motywów do dalszych starań i coraz rzadziej je znajdował. Niekiedy ludzie mówili mu szczerze, co myślą. Ale nie zdarzało się to za często.

- Naprawdę nie wyglądam na tyle? - zapytał, i pożałował, że nie zdołał się ugryźć w język, gdyż jego zdaniem musiało to zabrzmieć żałośnie. - Więc na ile wyglądam?

- Na czterdzieści dwa.

No tak, powinien był to przewidzieć.

- Wielkie dzięki.

Zaśmiała się, nerwowo spoglądając do tyłu ponad jego ramieniem.

- Żartowałam. Naprawdę wyglądasz na faceta, który najwyżej przekroczył trzydziestkę.

- Mówisz to z czystej uprzejmości.

- Nic podobnego. Mówię całkiem poważnie. - Następne kilkadziesiąt metrów pokonali w milczeniu. - Lubię starszych mężczyzn. Nie umawiam się z gówniarzami. Są zbyt lekkomyślni, no i mają tendencję do odgrywania he-rosów, ciągłego udowadniania, że są lepsi od innych i nigdy się nie mylą. Wolę towarzystwo mężczyzn, którzy już świetnie wiedzą, że są lepsi od innych, i nikomu nie muszą niczego udowadniać.

Była całkiem wygadana.

- A ty ile masz...

- Facet, z którym się teraz spotykam, ma pięćdziesiąt dwa lata - przerwała mu.

- Raczej miał tyle.

- Co przez to rozumiesz?

- Sądząc po tej pogoni, która ruszyła za tobą, jego żona pewnie już dawno go załatwiła.

- Wątpię w to.

- Więc jak, powiesz wreszcie, o kogo chodzi? - zapytał.

Stanęli na skraju wąwozu głębokiego na jakieś sześć metrów. Jego dnem płynął leniwie wąski strumyk uchodzący kilkadziesiąt metrów dalej do Potomacu. Christian pomógł Beth zejść po stromym grząskim zboczu, wciąż jeszcze przemokniętym i śliskim po opadach sprzed kilku dni. W pewnej chwili dziewczyna pośliznęła się i poleciała w jego objęcia, miał więc okazję się przekonać, że jest lekka jak piórko. Mimo woli przyszło mu na myśl, że mogła to zrobić celowo, bo robiła wrażenie dość sprawnej fizycznie. Może nie była w najlepszej kondycji, gdyż faktycznie paniczna ucieczka przez las szybko ją zmęczyła, ale na pewno nie nazwałby jej chucherkiem. No i była całkiem ładna.

- Więc ile masz lat? - powtórzył, gdy zaczęli się wdrapywać na przeciwległy brzeg wąwozu, chwytając się gałęzi i kęp wysokiej trawy.

- No więc... Och, mój Boże...

Christian podniósł wzrok i popatrzył na stojącego przed nimi prześladowcę, jednego z tych, którzy wyskoczyli z czarnego sedana przed sklepem. Nosił wysokie wojskowe buty, dzinsy, granatową nylonową wiatrówkę i duże ciemne okulary. A co gorsza, mierzył do nich z pistoletu.

- Zgrabna ucieczka, panno Garrison - odezwał się, wskazując pistoletem Christiana. - Kim jest pani przyjaciel?

- Nazywam się Christian Gillette.

Mężczyzna wbił w niego nieruchome spojrzenie, świadczące wyraźnie, że to nazwisko nic mu nie mówi.

- Zatem moje gratulacje, panie Gillette. Z własnej i nieprzymuszonej woli wplątał się pan w niezłą kabałę, chociaż nic pana do tego nie zmuszało. - Wyjął z kieszeni na piersi aparat w żółtej obudowie i wcisnął guzik nadawania krótkofalówki. - Jimmy? Chodź tutaj szybko - rzucił głośno do mikrofonu. - Jestem koło kilometra w dół rzeki od miejsca, gdzie się rozdzieliliśmy. Biegli wzdłuż rzeki, dokładnie tak, jak podejrzewałeś.

- Już idę - doleciała z głośnika krótka odpowiedź.

Christian popatrzył, jak mężczyzna chowa aparat do kieszeni na piersi, po czym zaproponował ze stoickim spokojem:

- A może byśmy tak wrócili na parking przed sklepem i tam spróbowali dojść do jakiegoś porozumienia?

- A może lepiej byś się zamknął?

- Jestem przekonany, że gdy tylko się dowiecie, kim jestem, postanowicie działać rozważnie i z namysłem.

- Gównu mnie obchodzi, kim jesteś. Ja tylko wykonuję rozkazy.

Z kierunku, w którym razem z Beth chciał uciekać dalej, doleciał wyraźny szelest liści pod czyimiś krokami, który z każdą sekundą przybierał na sile. Obrzucił uważnym spojrzeniem mierzącego do nich człowieka. Ten także usłyszał hałasy, gdyż zaczął zerkać na nieodległą rzekę i biegnącą wzdłuż niej ścieżkę, okazując wyraźne podenerwowanie. Po kilku sekundach odgłosy stały się na tyle wyraźne, by mogli pozbyć się wszelkich wątpliwości, że ktoś ku nim zmierza.

Mężczyzna zerkający nerwowo przez ramię w leśny gąszcz opuścił nieco lufę pistoletu.

Christian nagle złapał Beth za rękę i pociągnął ją w stronę rzeki.

- Biegiem! - krzyknął, zawracając po śliskim i stromym zboczu na dno wąwozu.

Z tyłu rozległy się wyciszone przez tłumik odgłosy strzałów, kule z pluskiem zaryły się w przemokniętą ziemię przed nimi, ze zwisających nisko gałęzi drzew posypały się skrawki młodych wiosennych liści. Nie zwolnili jednak kroku, tylko zakręcili wzdłuż strumienia i po chwili wypadli z leśnej gęstwiny na brzeg Potomacu. Ślizgając się na błocie, wybiegli na gładką i suchą powierzchnię wielkiego głazu, gdy znad gąszczu kilkaset metrów od nich z łoskotem wirnika wyłonił się sunący nisko helikopter. Na brzuchu maszyny pomalowanej na jasnobrązowo ciągnął się wielki czarny napis:

Policja Stanowa Maryland.

- Nie ruszać się!

Christian i Beth odwrócili się jak na komendę. Ścigający ich mężczyzna wyłonił się właśnie z leśnego gąszczu, wciąż mierząc z pistoletu.

- To też była niezła próba...

Łoskot wirnika śmigłowca, który szybko przycichł w górze rzeki, znów zaczął przybierać na sile, co świadczyło wyraźnie, że maszyna wykonała ciasny nawrót ponad szerokim nurtem Potomacu.

- Cholera! - syknął ich prześladowca, po czym wetknął broń za pasek spodni i w jednej chwili zaniknął między drzewami.

Steven Sanchez po raz czwarty przeglądał akta personalne Christiana Gillette'a, siedząc w foteliku ustawionym w cieniu palmy osłaniającej go przed palącym słońcem Florydy. Klimat Zachodniego Wybrzeża stanu był bardzo przyjemny. Ocean sprawiał wrażenie wielkiej sadzawki, gładkiej jak tafła lodu, dokąd sięgał wzrok, pomijając drobne fale rozbijające się o piaszczystą plażę kilka metrów przed nim. Jeszcze przed paru laty, jako zapalony surfer zaraz po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych, cenił sobie głównie wysokie fale na Wschodnim Wybrzeżu. Ale teraz, po przekroczeniu pięćdziesiątki, czuł się już sta

ro, toteż leżąc na pokładzie jachtu kołysanego delikatnymi falami, preferował niezrównany spokój nad lekturą książki czy sieciowego portalu dyskusyjnego. Do Miami wybierał się coraz rzadziej, tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Kiedy pomarańczowy dysk słońca zaczął się zapadać za horyzont, a lekka bryza jęła wstrząsać palmowymi liśćmi nad jego głową, ułożył na kolanach papiery i zamknął oczy, chcąc się nacieszyć ostatnimi promieniami dogasającego dnia. Przebywał na zachodnim wybrzeżu stanu od dwóch miesięcy, przygotowując się na to, co było nieuniknione.

Kiedy słońce nieomal całkiem zniknęło za horyzontem, zauważył parę młodych ludzi trzymających się za ręce i idących wyludnioną plażą. Serce mocniej zabiło mu w piersi, ponieważ od dawna czekał na tę chwilę. Można by rzec, że przez lata wykazywał anielską cierpliwość oczekiwania na ten właśnie moment. Bo szóstym zmysłem wytrawnego myśliwego odbierał sygnały, że jest to właśnie ta zwierzyna, na którą czekał, zмирzającą na dodatek we właściwym kierunku.

Nie wykluczał, że mężczyzna zawróci na południe, w stronę miasta, coś mu jednak podpowiadało, że obserwowana para pójdzie na północ.

Mężczyźnie towarzyszyła śliczna dziewczyna, którą za dnia poznał na plaży, i obserwujący ich Sanchez nie miał żadnych wątpliwości, że mężczyzna zechce ją wykorzystać tu i teraz. Publiczny charakter tego, co się szykuje, wprawiał go w podniecenie. Inny mężczyzna z pieniędzmi, jakimi dysponował tamten, zaprosiłby dziewczynę do wystawnego hotelowego apartamentu, ale jemu zależało na zrobieniu tego w miejscu publicznym, gdzie każdy mógł go zobaczyć, gdyż to go znacznie bardziej podniecało, podobnie jak ją, na co liczył, choć zapewne dla tego dziedzica rodzinnej fortuny nie miało to większego znaczenia. Rzecz jasna, nie zamierzał uprawiać seksu na oczach turystów, nie o to mu chodziło. Wolał raczej wybrać się dalej na północ, gdzie mógł

by zaciągnąć dziewczynę w gąszcz lasu okalającego dziką plażę. Sanchez dokładnie przeanalizował warunki takiej ewentualności, jak miał w zwyczaju to czynić.

Kiedy para go minęła, wstał ze swego fotelika i rzucił teczkę z aktami na piach, wciąż mając przed oczyma dołączone do nich zdjęcie Gillette'a. Rozejrzał się. Oprócz ich trojga dokoła nikogo nie było. Uznał błyskawicznie, że to lepsze niż seks, zwłaszcza teraz, gdy był już starszy. W każdym razie sprawiało wrażenie czegoś lepszego niż seks.

Kiedy tamci przestali się całować, przekradł się po piasku, dopóki nie znalazł się parę metrów za plecami kobiety. Była nieświadomą niczego ofiarą całej tej awantury, ale nie czuł do niej żalu. Na ziemi mieszkało siedem miliardów ludzi. Nie sądził, by ktoś szczególnie żałował tej jednej osoby.

Elastyczne ostrze długości trzydziestu centymetrów wbite pod najniższe żebro z prawej strony klatki piersiowej bez trudu przekłuło serce kobiety, która w jednej chwili martwa zwała się do przodu.

Przez chwilę mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało, jakby dalej chciał ją całować, nawet gdy zrobiła się już bezwładna w jego objęciach. Dopiero wtedy podniósł głowę, odsunął się i pozwolił, żeby osunęła się na piasek.

- Jasna cholera! - zaklął. - Dlaczego pozwoliłem ci tyle pić... - Nagle ujrzał Sancheza. - Jezu... - zawrócił, próbując rzucić się do ucieczki, ale było za późno.

Wystarczył jeden błyskawiczny ruch ręki, żeby czubek długiego ostrza gładko prześliznął się po jego gardle, wnikając na głębokość pięciu centymetrów i przecinając tchawicę oraz naczynia krwionośne.

Mężczyzna zasapał, uniósł obie dłonie do gardła, a po chwili osunął się

na kolana, niezdolny do wezwania pomocy. Spomiędzy zaciśniętych palców pociekła krew, która spłynęła szybko na przód jego śnieżnobiałej koszuli.

Sanchez złapał go za włosy i szarpnął mu głowę do tyłu, żeby dodatkowo poszerzyć ranę. Po chwili puścił swoją ofiarę i odsunął się na krok, pozwalając człowiekowi upaść twarzą na piasek plaży.

Było już ciemno, kiedy Christian i Beth dotarli w końcu na parking przed sklepem „Graysons Market” radiowozem policji stanowej z Marylandu. Już z daleka w snopach reflektorów Gillette dostrzegł Quentina opartego ramieniem o inny radiowóz, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, rozmawiającego z pełniącym służbę policjantem. Wskoczył z auta, nim jeszcze się zatrzymało, i pobiegł w jego stronę.

- Piekielne popołudnie - syknął Stiles na jego widok. - Dzięki, że zostawiłeś mnie sam na sam z tymi...

- Strasznie mi przykro, ale...

Quentin poklepał Christiana po ramieniu i mocno uściskał, jak rodzzonego brata.

- Lepiej już nic nie mów, przyjacielu. Cieszę się, że nic ci się nie stało. Dziewczyna też jest cała i zdrowa?

Gillette ruchem głowy wskazał radiowóz, z którego właśnie wysiadała.

- Nic jej nie jest. Nawiasem mówiąc, ma na imię Beth. - Złowił dziwne błyski w oczach Quentina, jakby ten chciał się dowiedzieć, czemu imię uciekinierki zrobiło się nagle dla niego tak ważne, toteż zapytał pospiesznie: - Co tu się stało?

Przeniósł wzrok na gliniarza towarzyszącego Stilesowi, gdy ten cofnął się szybko, by zamienić kilka słów na osobności z policjantem, który przywiózł ich na parking po tym, jak zostali zabrani śmigłowcem do najbliższego posterunku na przesłuchanie.

- Dziwna sprawa - mruknął Quentin. - Kiedy pobiegłeś do lasu za tą dziewczyną i tamci dwaj ruszyli za wami, pozostała dwójka podeszła do mnie. Padło kilka ostrych

zdań, ale nic poza tym, jakby chcieli się tylko upewnić, że nie pobiegnę za wami. A po kilku minutach wrócili do wozu i odjechali. Pobiegłem do lasu, ale nie miałem już najmniejszych szans, żeby was odnaleźć. Doszedłem więc do wniosku, że będzie najlepiej, jeżeli wrócę na parking i tu zaczekam. Jeszcze na skraju lasu zadzwoniłem na policję, powiadomiłem ich, kim jesteś, nie omieszkałem przy tym nadmienić, że wracamy właśnie z Camp David, i wyraziłem nadzieję, że jak najprędzej przyślą wam jakąś pomoc.

- Rzeczywiście przyszła szybko.

- Co was tam spotkało?

- Jak sam zauważyłeś, tamtych dwóch pobiegło za nami. Miałem nadzieję, że bez trudu ich zgubimy, ale jeden z nich zastąpił nam drogę nad rzeką. - Christian ruchem ręki wskazał sklep, na którego drzwiach wisiała teraz tabliczka z informacją, że jest zamknięty. - Gdzieś tam, z tamtej strony, za tym budynkiem. Facet miał pistolet i już się obawiałem, że wpadliśmy w poważne tarapaty, gdy niespodziewanie pojawił się helikopter policyjny, który wystraszył faceta i uwolnił nas od groźby śmierci.

- Z jakiego powodu ci ludzie byli aż tak rozwścieczeni? - zdziwił się Stiles. - Czemu ścigali tę dziewczynę aż do rzeki?

Christian obejrzał się w stronę stojącego w głębi parkingu austina-healeya. Beth wyciągała właśnie spod siedzenia swoją torebkę.

- Miała romans z jakimś starszym gościem i jego żona nakryła ich w łóżku - wyjaśnił półgłosem. - No i troszeczkę się wkurzyła. Zdaje się, że zastała ich... in flagranti.

Quentin gwizdnął cicho.

- Chyba się nieźle wkurzyła, skoro wysłała za nią czterech uzbrojonych zbirów. Nie wspomnę już o tym, że musiała ich mieć na skinienie ręki, gotowych do działania.

- Owszem, to zastanawiające - przyznał Christian. - Niestety, Beth nie chciała mi powiedzieć, o kogo chodzi. Była za bardzo przestraszona. Wygląda na to, że zadarła

z nadzwyczaj wpływowymi ludźmi. - Urwał nagle, spostrzegłszy, że dziewczyna zmierza w ich kierunku. Wciąż miała na sobie nylonową policyjną wiatrówkę, którą dostała na komendzie, gdyż po zachodzie słońca szybko zrobiło się zimno. Przedstawił ją Quentinowi, po czym uśmiechnął się szeroko i zapytał: - Gotowa?

- Tak. Naprawdę jestem bardzo wdzięczna...

- O co chodzi? - zaciekał się Stiles.

- Pojedziemy razem do Waszyngtonu. - Gillette wskazał sportowe auto. - To nie jest jej samochód. Poza tym uważam, że nie powinna sama prowadzić w tej sytuacji.

-I jak poszło?

Melissa Hart zdjęła wiatrówkę i powiesiła ją na oparciu krzesła. W środku było ciepło i przytulnie.

- Pewnie i tak już wiesz.

- Owszem, czytałam sprawozdania, ale chcę to usłyszeć od ciebie. Nie rozumiesz, że to mnie najbardziej interesuje?

Melissa usiadła i bez pośpiechu założyła nogę na nogę. Wciąż miała na sobie białą minispódniczkę.

- Wypadło idealnie. Poznaliśmy się bliżej. Christian nawet cmoknął mnie w policzek, gdy się zegnaliśmy przed dworcem kolejowym.

- Świetnie. Nie boisz się, że mógł cię rozpoznać?

Pokręciła głową.

- Nie ma mowy. - Uśmiechnęła się posępnie. - Jeszcze nikt dotąd mnie nie rozpoznał, byłby więc pierwszy. Wygląda na to, że moja twarz wcale nie wryła się ludziom aż tak głęboko w pamięć, jak mogłabym podejrzewać.

- Sława jest ulotna.

Spuściła wzrok na swoje dłonie splecione na brzuchu, zastanawiając się, gdzie teraz jest zdobyty przez nią Oscar. Pewnie stał na gzymsie kominka w domu jakiegoś bogacza, stanowiąc dobry temat do rozmów podczas obiadowych przyjęć.

- To prawda - przyznała cicho. - Nawet bardzo.

- Jak to wytrzymujesz finansowo?

- Nieźle.

- Daj mi znać, gdybyś potrzebowała pieniędzy.

- Dobrze.

- Kiedy znowu zobaczysz się z Christianem?

- Pod koniec tygodnia - odparła Melissa. - Powiedziałam mu, że wybieram się do Nowego Jorku w odwiedziny do starych znajomych. Zjemy razem obiad.

- Doskonale.

Wzruszyła ramionami.

- Dokładnie o to ci chodziło, prawda?

- Zgadza się.

W końcu Christian ryzykował dla niej życie, tak to przynajmniej wyglądało z jego strony. Nawet samą siebie niemal zdołała przekonać, że tamtego popołudnia uciekała przez las w stronę rzeki, żeby uniknąć pewnej śmierci. Wystrzelone kule zaryły się w ziemię za blisko niej, zdecydowanie za blisko. Poza tym wcale jej nie osądzał za romans ze starszym mężczyzną, bo choć i ta bajeczka została wyssana z palca, nie mógł o tym przecież wiedzieć. Teraz musiała się do niego zbliżyć, żeby jej zleceniodawcy mogli go łatwo szpiegować, skoro chcieli znać każdy jego ruch.

- Mogę już iść?
- Co się stało?
- A co się miało stać? - zdziwiła się, wstając z krzesła.
- Sprawiasz wrażenie... rozkojarzonej.
- To tylko zmęczenie.
- Tylko nie próbuj się w nim zakochać. Rozumiesz?

Melissa spojrzała na nią ostro spod przymrużonych powiek.

- W nikim nie umiałabym się zakochać.

Gulfstream wystartował z lotniska Reagana i skierował się na wschód, w stronę zatoki Chesapeake. Christian, któ

ry siedział w przepaścistym, obitym skórą fotelu po lewej stronie przedziału pasażerskiego, wyglądał przez okno na oddalające się światła miasta.

- O czym myślisz? - zapytał Quentin z równie głębokiego fotela po przeciwnej stronie kabiny.

- Właściwie o niczym.

- O Beth?

Gillette odwrócił się od okna, gdyż samolot zanurkował w gęstą powłokę chmur. Zaledwie w ciągu paru godzin, nim dojechali spod sklepu na lotnisko, nadciągnął front atmosferyczny i zaczęło padać. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zaprzeczyć, ale w końcu mruknął:

- Może.

Quentin pogroził mu palcem.

- Lepiej o niej zapomnij. To dziewczyna, która przynosi kłopoty. Wiem, że miło ci się z nią rozmawiało w drodze do miasta, ale możesz mi wierzyć, że to same kłopoty. Niektórzy ludzie mają szczególne zdolności do ich przyciągania, a ona właśnie do nich należy.

Problem polegał na tym, że Quentin miał rację. Niektórzy ludzie rzeczywiście mieli skłonności do przyciągania kłopotów. Ale w Beth było coś takiego, co nie pozwalało mu o niej zapomnieć. W dodatku nie mógł się pozbyć wrażenia, że skądś ją zna.

- Umówiłem się z nią na obiad pod koniec tego tygodnia w Nowym Jorku.

Stiles mruknął gardłowo.

- Co ty wyrabiasz, człowieku?

- Tu nie chodzi o romans. Myślę, że mogę jej pomóc, jeśli się zaprzyjaźnimy.

- Nie potrzebujesz takiej przyjaciółki. Poza tym nie wierzę, że mężczyznę i kobietę może łączyć zwykła...

- Tak, wiem, już to mówiłeś, i to nieraz - burknął Christian. - Nie wierzysz, że mężczyznę i kobietę może łączyć zwykła przyjaźń. - Zawahał się na chwilę. - Więc będziemy chyba mieli doskonałą okazję, żeby sprawdzić twoją teorię.

Rozdział 9

- Gdzie wczoraj byłeś?

- Musieliśmy z Quentinem załatwić pewną sprawę - odparł Christian.

Tego ranka Allison sprawiała wrażenie nadzwyczaj zmęczonej. Albo zmartwionej. W każdym razie była wyraźnie podenerwowana. A zazwyczaj chodziła uśmiechnięta i zadowolona.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Nie raczysz nawet powiedzieć, w której części świata załatwiałeś tę sprawę? - zapytała z naciskiem.

- W Waszyngtonie. Spotkałem się z senatorem Estesem z Minnesoty. - Nie skłamał. W drodze do Camp David zatrzymali się na krótko przy gmachu Russella właśnie na prośbę senatora Estesa. Kilka miesięcy temu jedna z firm należących do Everestu ogłosiła plan budowy nowej ogromnej fabryki mającej stworzyć tysiące nowych miejsc pracy. Minneapolis znalazło się wśród dwóch lokalizacji, które dotarły do finalnego przetargu. - Senator chciał mi przekazać, że byłby bardzo wdzięczny, gdybyśmy wybudowali tę fabrykę w jego stanie, i nie omieszkał przypomnieć mi trzy razy o swoich działaniach na rzecz wydania zgody przez Departament Energii na naszą sprzedaż Laurel Energy. Utrzymywał, że gdyby nie obdzwonił paru swoich znajomych, pewnie do dziś nie przeprowadzilibyśmy jeszcze tej transakcji.

- Myślisz, że to prawda? - zapytała podejrzliwie Allison. - Sądzisz, że faktycznie zadał sobie trud i do kogoś zadzwonił?

- Co do tego nie mam wątpliwości. Nie wiem natomiast, czy wpłynęło to na przyspieszenie wydania zgody.

- W każdym razie chyba i tak nie warto z nim zadzierać.

Christian odchylił się na oparcie fotela. Doskonale wiedział, że na tym etapie nie da się zadowolić wszystkich. Drugą konkurencyjną lokalizacją fabryki było Sacramento i w tej sprawie także się już nasłuchiwał od senatorów

z Kalifornii.

- Masz rację, jeśli jeszcze zapomnimy, że obaj szanowani senatorowie z Kalifornii w ciągu ostatnich dwóch tygodni dzwonili do mnie po kilka razy, żeby dać mi do zrozumienia, iż budowa naszej fabryki w ich stanie także zostałaby świetnie przyjęta. Oni również przypominali, jak to wydatnie pomagali Everestowi w przeszłości i dalej będą pomagać, w związku z czym źle by widzieli jakiegokolwiek przeszkody na drodze ich poparcia dla naszych działań. Naprawdę nie trzeba być geniuszem, żeby zrozumieć, do czego wszyscy zmierzają.

- No cóż, w końcu za to właśnie bierzesz taką grubą forszę, panie prezesie. Do ciebie należy pilnowanie, żeby wszystkie dzieci grzecznie się bawiły we wspólnej piaskownicy i nie pozabijały się nawzajem.

- Skoro już mowa o grubej forsie - wtrącił szybko Christian, dostrzegłszy idealną okazję do zmiany tematu - zamierzam dzisiaj porozdzielać premie z zysku ze sprzedaży Laurel Energy.

- Tak słyszałam.

Podenerwowanie dało się słyszeć nawet w głosie Allison. Z jakiego powodu, do diabła, miałyby być aż tak przejęta jego zamiarem podziału pieniędzy?

- Jak mam to rozumieć?

-Co?

- Czemu powiedziałaś to właśnie w ten sposób?

Popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby miała do czynienia z szaleńcem.

- W jaki sposób?

- Daj spokój, Ally, nie traktuj mnie jak wariata. Znamy się za długo, żebym nie zwrócił uwagi na twój ton...

- Nie sądzisz, że głupio jest się dowiadywać o planowanym przez ciebie podziale zysków od osób trzecich? - wyrzuciła z siebie. - Sądziłam, że mówisz mi o wszystkim, co dotyczy Everestu.

- Kto ci powiedział, że planuję podzielić premie?

- Sherry Demille.

- Ta asystentka, która współpracuje niemal wyłącznie z tobą?

- Owszem. Chyba nie powinno mnie wcale dziwić, że tak dobrze ją pamiętasz, skoro kilka dni temu podwoziłeś ją swoją limuzyną.

- Słucham?

- Tak mi powiedziała.

- Zatem skłamała.
- Dlaczego miałyby kłamać?

Christian wzruszył ramionami, nałożył okulary i sięgnął po spis najważniejszych spraw do załatwienia. Widniało na nim trzydzieści pozycji, co wcale nie było jeszcze tak źle jak na jeden dzień. Często się zdarzało, że wypisywał dwukrotnie więcej.

- Nie wiem. Sama ją o to zapytaj.

- Następnym razem dowiem się od niej, że widziała cię na Fifth Avenue idącego pod rękę z jakąś modelką reklamującą bieliznę.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem znad krawędzi okularów.

- O co ci...

- Chcesz mi wmówić, że wcale nie proponowałeś Sherry, że ją podwieszysz? - syknęła Allison, pochylając się na krześle.

- Jedyne, co zrobiłem, to przytrzymałem jej drzwi, gdy wychodziliśmy razem z budynku. - Odłożył trzymany spis. - Naprawdę nie interesuje cię bardziej, ile dostaniesz

z zysku ze sprzedaży Laurel Energy? Musisz dociekać, czemu twoja asystentka w ten przebiegły sposób próbuje wymóc na tobie podwyżkę?

- Zaraz ci powiem, co mnie naprawdę interesuje. Skąd się wzięły te zadrapania, które masz na twarzy i dłoniach?

Christian podniósł prawą rękę i popatrzył na cienkie czerwone linie biegnące zygzakami po zewnętrznej stronie palców. Musiał się podrapać podczas wczorajszej przygody w Marylandzie, kiedy to pędził na oślep przez leśny gąszcz pełen ciernistych krzewów. Nie zamierzał jednak mówić o tym Allison.

Gliniarz z policji stanowej dzwonił już do niego dziś rano, żeby zadać kilka dodatkowych pytań. Wyglądało na to, że Beth niewiele zdradziła w trakcie wieczornego przesłuchania na komendzie, kiedy czekał na nią na korytarzu. Policja chciała jednak wyjaśnić do końca przyczynę, dla której ścigało ją czterech uzbrojonych mężczyzn. Nie zostało to powiedziane wprost, ale na podstawie pytań śledczego, których musiał wysłuchać wcześniej rano, odniósł wrażenie, że zdaniem policji prześladowcy ścigali bardziej jego niż dziewczynę. Być może Quentin, wzywając telefonicznie pomocy z parkingu przed sklepem, nadmienił nieopatrznie, że wracają ze spotkania w Camp David. Christian kilkakrotnie musiał prosić śledczego, żeby nie kontaktował się w tej sprawie z Secret Service. Nie chciał, żeby Jesse Wood dowiedział się o tej sprawie. Z ekscytacją przyjmował

perspektywę udzielenia pomocy prezydentowi w sprawie Kuby, toteż obawiał się, że jeśli wieści o wydarzeniach z Marylandu dotrą do przyjaciela, mogą skłonić go do decyzji, aby powierzyć tę misję komu innemu. Postanowił, że gdyby doszło do najgorszego i policja skontaktowała się jednak z Secret Service, musiałby prosić Quentina o rozmowę z dawnymi przyjaciółmi z Białego Domu, żeby wieści o tej przygodzie nie dotarły do prezydenta.

- Podczas weekendu pracowałem w ogródku przy swoim domu na Long Island - wyjaśnił. - Wiesz, trzeba tam było powyrywać mnóstwo chwastów. - Skrzywił się i podrapał przez koszulę po ramieniu. - Coś mi się zdaje, że wpadłem w trujący bluszcz.

- Wyrwałaś chwasty? - spytała zdziwiona Allison. - Od kiedy to zajmujesz się przydomowym ogródkiem? Wydawało mi się, że nie znosisz takiej pracy...

- Czterdzieści milionów dolarów, Ally - przerwał jej. - Tyle dostaniesz. - Jej reakcja była prawie taka sama jak Quentina: przez kilka sekund wybałuszone oczy i rozdziawione usta, wreszcie mimowolne ruchy głową, jakby ta liczba uniemożliwiała swobodny przepływ myśli. Od czasu, gdy została odcięta od przychodów z kapitału rodzinnego, kwoty bieżących dochodów znów powinny mieć dla nie znaczenie. A chodziło przecież o prawdziwe pieniądze, a nie sumy widniejące wyłącznie na papierze.

- Tyle wyniesie twój udział z zysków ze sprzedaży Laurel Energy.

- Mój Boże... - szepnęła. - To niewiarygodne...

- Pieniądze wpłyną na twoje konto jeszcze dziś po południu, więc lepiej od razu zajmij się tym, żeby połowę tej sumy przelać na rachunek urzędu skarbowego. Powstanie szum, jeśli tego nie zrobisz, zwłaszcza przy tak dużej sumie dochodu.

- Chris, sama nie wiem, co powiedzieć... oczywiście poza tym, że bardzo dziękuję.

- Mogę ci powtórzyć to samo, co usłyszeli ode mnie Blair i Tom - rzekł, odnosząc się do Johnsona i O'Briena, dwóch wspólników zarządu odpowiedzialnych tylko przed nim. - Jak również Quentin. Chciałbym wierzyć, że każdy z nich zasłużył na taką premię, chociaż nie jestem pewien, czy ktokolwiek zasługuje na wypłatę w wysokości czterdziestu milionów dolarów. W każdym razie na pewno nie za to, co zrobił. Może takich pieniędzy są warci żołnierze,

którzy zostali ciężko ranni w obronie ojczyzny, ale raczej nie my.

Allison przekrzywiła głowę na ramię.

- Ostatnio masz mnóstwo odzywek patriotycznych.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Robiłeś tak wiele uwag na temat obowiązkowej służby wojskowej, misji w Iraku i nastolatków ginących za ojczyznę.

Wzruszył ramionami.

- No cóż, może po prostu czuję się winny...

- Dlaczego miałbyś czuć się winny?

Zamyślił się na chwilę.

- Zarobiłem strasznie dużo pieniędzy na tym, że młodszy ode mnie są gotowi nadstawić karku za to, abym wciąż miał możliwość robienia dużych pieniędzy. Nigdy nie uczyniłem czegoś podobnego w całym swoim życiu... - Zawiesił na chwilę głos. - A może powinienem był to zrobić.

- Płacisz olbrzymie podatki...

No tak, podatki. Ale świadomość o nich wcale nie poprawiała mu nastroju. Chyba właśnie dlatego aż tak bardzo wciągnęła go perspektywa udziału w projekcie dotyczącym Kuby, która stwarzała mu szansę odwdziżyć się ludzkości.

- To niezupełnie to samo, co ryzykowanie własnego życia.

- Owszem, ale nie możesz mieć sobie za złe, że nie zgodziłeś się na ochotnika do udziału w awanturze irackiej, Chris.

- Tak, wiem. - Mimo wszystko uważał, że pomoc prezydentowi w sprawie kubańskiej skompensuje jego niedociągnięcia, a przede wszystkim zaspokoi jego głód zrobienia czegoś ważnego dla ludzkości, czegoś naprawdę bardzo ważnego.

- Co z Jimem? - zapytała Allison, mając na myśli Jima Marshalla, piątego wspólnika zarządu firmy. - Ile jemu chcesz dać premii?

- Nic - odparł wprost.

- Cholera... - Skrzywiła się. - To dosyć radykalne podejście, nie sądzisz?

- Przedsiębiorstwa, za które jest odpowiedzialny, zmierzają w próżnię, Ally. Świetnie o tym wiesz. W ubiegłym roku cztery z podległych mu sześciu firm odnotowały gorsze wyniki niż rok wcześniej, a pozostałe dwie też straciły na majątku trwałym. Wobec takich wyników po prostu nie mogę dać mu premii ze sprzedaży Laurel Energy. Poza tym i tak zgarnia rocznie milion dolarów dochodu. - Za- bębnił palcami o biurko. - Co ważniejsze, musi wcześniej uporać się z kilkoma problemami.

- Jakimi?

- Chociażby skłonnością do alkoholu.

Popatrzyła na niego, robiąc zdziwioną minę.

- Skąd o tym wiesz?

- Poczułem od niego alkohol kilka miesięcy temu, poprosiłem więc Quentina, żeby kazał jednemu ze swoich ludzi go śledzić, chodzić za nim krok w krok, zwłaszcza zaraz po wyjściu z pracy. No i okazało się, że prawie codziennie popija sobie zdrowo podczas przerw na lunch, opróżnia trzy albo cztery szklaneczki whisky, najczęściej w towarzystwie bliskiej przyjaciółki. Agent Quentina mówił mi, że idąc przez Central Park, trzymają się za ręce, jak nastolatki. Tymczasem on ma żonę i małe dzieci. Nie jestem naiwniakiem i dobrze wiem, że ludzie w jego wieku często nawiązują romanse, ale nie mówimy przecież o jakimś urzędniku, który zarabia na życie, przekładając po całych dniach papierki, tylko o osobie przewodniczącej radom nadzorczym w sześciu dużych przedsiębiorstwach. Paru spraw jemu po prostu nie można wybaczyć. - Zauważył, że Allison chce coś powiedzieć, toteż dodał szybko: - Poza tym znalazłem butelkę szkockiej w jego biurku, co świadczy o tym, że pije nawet tutaj, w biurze Everestu. To nie do przyjęcia.

- Zaglądałeś do jego biurka?

- Oczywiście.

- Czy zaglądałeś także do mojego?

-Nie.

- Dlaczego?

- Nie miałem do tego żadnych powodów.

- Ale zrobiłbyś to, gdybyś takowe znalazł?

- Oczywiście.

Allison zazgrzytała zębami.

- Uważam, że wszyscy mają prawo do pewnej dozy prywatności, Chris. Bez względu na wszystko. Dla mnie czyjeś biurko jest jak ostoja prywatności danego pracownika.

Christian energicznie pokręcił głową.

- Ale nie wtedy, gdy w grę wchodzi miliardy dolarów zainwestowanych przez ludzi spoza firmy. Sprawdź dokładnie warunki kontraktu, który podpisałaś, obejmując etat w zarządzie Everestu. Jest tam zapisane, że mogę postępować według własnego uznania w celu ochrony integralności oraz reputacji spółki Everest Capital. Jeśli zamierzasz kiedyś przejąć jej stery w swoje ręce, musisz się szybko nauczyć takiego samego podejścia, bo w końcu inwestorzy będą obwiniać tylko ciebie, jeśli coś pójdzie nie po ich myśli. Nie

będą chcieli wysłuchiwać, że winien jest ktoś inny, nawet jeśli taka będzie prawda. Zawsze obarcza się winą prezesa. Właśnie z tego powodu zgarniam takie grube pieniądze - dodał, cytując jej słowa, gdyż zauważył, że wzmianka o przejęciu przez nią któregoś dnia kontroli nad spółką całkowicie ją zaskoczyła. Nie rozmawiali o takiej ewentualności od paru lat i Allison pewnie doszła do wniosku, że całkiem zrezygnował z pomysłu awansowania jej na stanowisko wiceprezesa zarządu. - Na szczęście pozostałe nasze przedsiębiorstwa osiągają całkiem niezłe dochody, dlatego zysk ze sprzedaży Laurel Energy w wysokości czterech i pół miliarda dolarów powinien w pełni usatysfakcjonować naszych inwestorów, mimo że dziewięćset milionów z tej sumy należy się naszej spółce. Nie

- Ale zupełnie nic?! - zaprotestowała. - Przecież on ma dorastające dzieci. Jeśli się nie mylę, najstarsze jest już w college'u.

- Jeśli nie daje sobie rady, biorąc milion dolarów rocznego dochodu, to chyba coś jest nie tak.

Allison westchnęła głośno.

- Właśnie wziął rozwód, Chris - wyjaśniła ciszej.

Ten uniósł głowę.

- Naprawdę?

- Zazwyczaj tak się kończy, gdy facet zaczyna pić i spotykać się z innymi kobietami. Wcześniej wcale nie miał skłonności do hulanki za plecami żony.

- Nie wiedziałem o tym.

- Rozwód doszedł do skutku pod koniec ubiegłego roku i sporo na nim stracił. Od tamtej pory wypłaca byłej żonie coś koło pięćdziesięciu tysięcy miesięcznych alimentów wolnych od podatku dochodowego.

Christian dokonał szybkiego przeliczenia w pamięci. Pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie dawało sześćset tysięcy rocznie, a jeśli Jim nie był w stanie odliczać alimentów od dochodu, płacił podatek od przychodów brutto, to znaczy od miliona dolarów rocznie. Same podatki federalne od takiej kwoty wynosiły prawie czterysta tysięcy. Zatem może brzmiało to niewiarygodnie, lecz Jim Marshall co miesiąc tracił pieniądze.

- Dałeś mu jakąś premię w lutym? - zapytała Allison.

-Nie.

- A więc fizycznie jego miesięczny dochód jest ujemny.

- Na to wychodzi.

- A cały problem polega na tym, że sąd uwzględnił jego sumaryczne dochody, łącznie z premiami, biorąc pod uwagę średnią z kilku ostatnich lat.

Mam wrażenie, że jego adwokat zdołał przekonać sędziego tylko co do rezygna-

cji z liczenia premii ze sprzedaży, jak choćby w wypadku Laurel Energy, gdyż ich średnia miesięczna wysokość okazała się nie do przewidzenia. Niemniej Jim jest zobowiązany do wypłacania żonie połowy swoich premii, ilekroć cokolwiek przypadnie mu w udziale.

- Skąd tyle wiesz na temat warunków jego rozwodu? - zaciekał się Christian.

- Pytałam go o to. A jak ty możesz o nich nie wiedzieć? - prychnęła Allison, machnąwszy lekceważąco ręką. - To przecież nie w porządku. Wybacz.

Może właśnie dlatego Victoria Graham widziała ją na stanowisku wiceprezesa zarządu Everest Capital, pomyślał Christian. Może Allison miała lepszy kontakt z personelem biura niż on. A może Graham po prostu stawiała się z wiekiem bardziej sentymentalna. Do diabła, za to on stawał się bardziej patriotyczny. I wcale nie chodziło o to, że zaniedbuje ludzi pracujących w biurze spółki, po prostu brakowało mu czasu, żeby zagłębiać się w życiowe dylematy każdego z osobna. Nie był nawet pewien, czy jego podwładni by sobie tego życzyli. Jakiś rok temu zaangażował specjalistę do spraw kadrowych, by pomógł mu wyjaśnić, dlaczego Everest doświadcza wyższej fluktuacji kadr od przeciętnej w tym sektorze. Podejrzewał, że ma złe podejście do ludzi, że może istnieć na to prosta recepta, chociażby większe zainteresowanie sprawami osobistymi pracowników.

Zamknął oczy i potarł palcami czoło. Lepiej się nie rozpraszać, nakazał sobie w myślach. Jego najważniejszym celem było pomnażanie pieniędzy inwestorów. W końcu nawet jeśli część z nich sympatyzowała z Jimem Marshalllem - bo choćby z samej statystyki wynikało, że co najmniej połowa z nich sama miała za sobą sprawę rozwodową - to jednak dokładali się do funduszy Everestu po to, żeby zarabiać na inwestycjach, a nie rozwiązywać problemy małżeńskie. Z jego punktu widzenia wypłacenie czterdziestu milionów komuś, kto codziennie musiał mieć lunch w pły-

nie, przez co uchylał się od swoich obowiązków, ustanowiłoby kiepski precedens. Sytuacja osobista człowieka nie miała tu nic do rzeczy.

- Jak poszło twoje wczorajsze spotkanie z Victorią Graham? - zapytał.

- Świetnie, ale nie zmieniaj tematu. Martwię się o Jima. Lepiej nie zostawiaj go całkiem na lodzie przy podziale zysków, Chris. On musi się liczyć z każdym groszem.

Christian z żalem pokręcił głową.

- Nie zamierzam dawać mu ani centa ze sprzedaży Laurel, Ally. Zostałoby to źle przyjęte.

- Rzuć mu chociaż parę milionów, żeby znowu stanął na nogi - odparła.

- Nie. Ale dam mu płatny urlop, jeśli zgodzi się pójść na odwykówkę. Będzie dostawał normalną pensję, zatem nie zabraknie mu na płacenie bieżących rachunków. - Christianowi nie podobało się, że Allison tak bardzo zaprzyjaźniła się z Jimem Marshalllem, że nawet знаła warunki, na jakich uzyskał on rozwód. Sugerowało to wyraźnie, że łączyło ich coś więcej niż zwykła znajomość z pracy. Sekretarki uważały Marshalla za atrakcyjną partię, nieraz słyszała, jak plotkowały na jego temat. Może ona również znalazła się pod jego urokiem.

- Pozwól, że zapytam, ile czasu spędzasz ostatnio w towarzystwie Jima?

- Wystarczająco dużo, skoro ciebie nigdy nie ma, bym mogła się cieszyć z twojego towarzystwa.

Znowu przybrała ten sam ton świadczący o poirytowaniu, który uderzył go już na początku rozmowy.

- O co chodzi, Ally?

- O nic.

- Daj spokój, znamy się za długo, żeby w taki sposób się do siebie odnosić. Nie odwracaj się do mnie plecami - dodał, widząc złowieszcze błyski w jej oczach.

- Ach, więc to cię boli.

- Nie rozumiem.

- Przecież ty pierwszy odwróciłeś się do mnie plecami, chociaż myślałam, że jesteśmy dość blisko związani.

- Niby w jaki sposób odwróciłem się do ciebie tyłem?

- Kiedy moja asystentka dowiaduje się przede mną o twoim zamiarze rozdziału premii z zysków, uznaję to za przejaw lekceważenia. Zresztą nie tylko o to chodzi, Chris - dodała głośniejszym głosem, wstając z krzesła. - Przede wszystkim o to, że ostatnio prawie ze sobą nie rozmawiamy.

- Przecież rozmawiamy prawie codziennie - zaproponował.

- Ale tylko o sprawach służbowych.

- Chyba to właśnie jest celem naszej współpracy - rzekł, rozkładając szeroko ręce. - Sprawy Everestu.

Allison zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

- Nie rozśmieszaj mnie. Wydało mi się, że łączy nas znacznie więcej.

Zawróciła na pięcie i ruszyła do wyjścia.

- Ally! - jęknął gardłowo, podrywając się z miejsca. - Zaczekaj!

Wyszła jednak z dumnie uniesioną głową, trzasnąwszy drzwiami.

Niewiele tego było nawet jak na obóz połowy, gdyż zaledwie kilka rozsypujących się drewnianych baraków krytych zardzewiałą ocynkowaną blachą, stojących na skraju zarośniętego zielkiem słonawego kanału w samym sercu parnych florydzkich rozlewisk Everglades. Rozświetlone kolorowymi neonami śródmieście Miami, pełne nocnych lokali z pięknymi dziewczętami, gdzie tak dobrze bawił się jeszcze wczoraj wieczorem, było położone zaledwie sto dwadzieścia kilometrów stąd. Trudno to było jednak sobie uświadomić, patrząc na te żalosne ruiny. Jeśli wierzyć plotkom, na początku lat sześćdziesiątych był to jeden z obozów szkoleniowych oddziałów szykowanych do inwazji w Zatoce Świń, a więc ludzi, którzy zginęli co do jednego

z rąk rewolucyjnych sił kubańskich, gdy zawiodło tak oczekiwane przez nich wsparcie lotnictwa amerykańskiego.

Antonio Barrado omiół cały teren uważnym spojrzeniem swego jedyne go oka. Drugie stracił przed laty w bójce na noże i nosił szklaną protezę, którą dodatkowo ukrywał za ciemnymi okularami, by nikt obcy nie zauważył, że gałka oczna w ogóle się nie porusza. Tak więc stare baraki nie nadawały się nawet na obóz połowy. Patrząc teraz na nie, doszedł do wniosku, że jeśli całe przedsięwzięcie opierało się na takich właśnie obozowiskach szkoleniowych, inwazja nie mogła się udać, nawet gdyby wsparcie powietrzne dotarło na czas. Ale do jego potrzeb miejsce to wydawało się idealne.

Barrado zeskoczył z dziobu małej motorówki na tę część pomostu, która sprawiała wrażenie najsolidniejszej, i szybko wbiegł po schodkach na nabrzeże wyłożone równie przegniłymi i spróchniałymi deskami. Był drobnej budowy ciała, ważył tylko sześćdziesiąt pięć kilogramów, uznał więc, że jeśli zachowa ostrożność, będzie mógł bezpiecznie poruszać się po drewnianych pomostach, bez obawy, że deski załamiają się pod jego ciężarem. Spojrzał w prawo, w stronę głębszego kanału, gdzie nabrzeże wyglądało na solidniejsze, a pomosty wychodziły daleko w wodę niczym żołnierze ustawieni w równym dwuszeregu. Huragany zniszczyły część nabrzeża graniczącą z najgłębszymi wodami, podobnie jak tropikalne burze odcisnęły swoje piętno na pordzewiałych dachach baraków. Ale tym nie było się co przejmować, zniszczenia dało się łatwo naprawić. Wystarczyło parę godzin wzmożonego

wysiłku, żeby dostosować to miejsce do ich potrzeb na ten krótki czas, jaki był im niezbędny. Jedyne, czego tu brakowało, to większy kawałek stałego gruntu na lądowisko dla helikopterów.

Barrado aż zmrużył swe jedyne oko, gdy dostrzegł jakiś ledwie zauważalny ruch w wodzie pod przeciwległym brzegiem kanału. Chwilę później z mętnych głębin wyłoni

ły się dwa małe kuliste wybrzuszenia, a zaraz potem trzecie, nieco większe, rozmiarów gałki przy drzwiach, znajdujące się jakieś trzydzieści centymetrów przed tamtymi dwoma. Bez wątpienia były to oczy i nos aligatora. Zatem sto dwadzieścia kilometrów od Miami, od tętniącego życiem ośrodka cywilizacji, w którym dominował człowiek, tutaj nadal królowały dzikie zwierzęta. Położył dłoń na kolbie wielkiego magnum kalibru 11,18 milimetra tkwiącego w kaburze przy pasie, jakby chciał się upewnić, że broń jest na miejscu. Było to jego narzędzie do wyrównywania szans, które czyniło z niego tak samo groźnego przeciwnika dla trzymetrowego aligatora, jak i dla mężczyzny dwa razy większego i silniejszego niż on.

Przez dłuższą chwilę mierzył uważnym spojrzeniem gada wyciągniętego pod powierzchnią wody skąpanej w jaskrawym słońcu, chcąc wykorzystać naturalny instynkt do nawiązania łączności z drapieżnikiem i dania mu do zrozumienia, że się go nie boi, że powinien zachować bezpieczny dystans od człowieka. I w końcu wybrzuszenia zniknęły pod powierzchnią, pozostawiając po sobie drobniutkie zawirowania, które szybko się rozeszły, i tafla wody znów stała się idealnie gładka. Dopiero teraz Barrado uświadomił sobie, że zjeżyły mu się drobne włoski na karku. Zazwyczaj wcielał się w funkcję myśliwego, nie nawykł do roli zwierzyny łownej.

Powietrze było tu przesiąknięte paskudnym odorem zepsutych jaj, co stanowiło jedyną cechę bagnisk Everglades, której on nie mógł znieść. Cała reszta mu nie przeszkadzała, ani nieznośny żar i duchota, ani poczucie izolacji czy obecność groźnych drapieżników bądź codzienne tropikalne ulewy nadchodzące o czternastej z dokładnością szwajcarskiego zegarka. Brzydził się tylko tym smrodem. Nie odczuwało się go aż tak bardzo na łodzi, kiedy pęd powietrza uderzał w twarz. Dawał o sobie znać dopiero wtedy, gdy człowiek zatrzymywał się w jednym miejscu wystarczająco długo, żeby go poczuć. Barrado poluzował

więc chustkę zawiązaną na szyi i podniósł ją, zakrywając nos i usta. Przez cały ranek moczył ją w wodzie z sokiem z cytryny i zawiązał na szyi dopiero wtedy, gdy dotarł autostradą międzystanową 1-75 nad kanał zwany Aleją Ali-

gatorów i przesiadł się na motorówkę.

Kiedy wszedł do pierwszego baraku i rozsunał pędy dzikich winorośli, które opanowały jego wnętrze, coś prześliznęło mu się po butach. Odskoczył błyskawicznie do tyłu, sięgając po wielki rewolwer, po czym znowu rozsunał pędy winorośli. Gruby mokasyn wodny leżał już spiralnie zwinięty, z uniesionym łbem, i rytmicznie wysuwał cienki rozdwojony język, szykując się do ataku. Barrado brzydził się także węzami, zwłaszcza jadowitymi.

Bez pośpiechu wymierzył do gada i strzelił, a huk wystrzału rozbrzmiał ogłuszająco w ciasnej przestrzeni baraku. Jego skutkiem było zmniejszenie światowej populacji węży o jednego osobnika. I tylko z tego można się było cieszyć.

Allison usiadła na ławce w Central Parku i zapatrzyła się na roziskrzoną odblaskami słońca powierzchnię stawu. Przyszła tu prosto z gabinetu Christiana, gdyż nie miała pojęcia, co z sobą począć. Musiała wyjść z biura, znaleźć się na otwartej przestrzeni, bo wydawało się jej, że ściany niebezpiecznie się wokół niej zamykają. Po raz pierwszy w życiu poczuła się uwięziona w zamkniętym pomieszczeniu.

Miała nadzieję, że gładko i bez trudu poradzi sobie z Christianem. Chciała z nim porozmawiać o sprawach tak banalnych, jak ulubiony film, a później, niezależnie od odpowiedzi, postawić go w sytuacji bez wyjścia i wyciągnąć gdzieś na obiad. Chciała, żeby było tak jak dawniej, czyli tak, jak według jej oczekiwań miało pozostać między nimi aż do końca. Ale najwyraźniej nic z tego nie będzie, ponieważ Christian żywił wobec niej inne zamiary.

Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach. Przyszło jej do głowy, że mimo wszystko powinna usłuchać rady Victo-rii Graham. Chociaż poprzedniego dnia niemal z szokiem odebrała wyjaśnienia starszej pani, dzisiaj skłonna była przyznać, że chyba faktycznie nie ma innego wyjścia.

Rozdział 10

Victoria Graham obserwowała uważnie grubego czterometrowego brązowo-żółtego pytona birmańskiego, tak wolno podkradającego się z uniesionym łbem do swojej ofiary, że nie drgnął nawet jeden listek gęsto zarosniętego podłoża akwarium. Kiedy olbrzymi wąż zastygł w bezruchu, zwinąwszy swoje długie cielsko w kilka ciasnych zwojów, poczuła, jak krew

zaczyna jej szybciej krążyć pod wpływem zwiększonej dawki adrenaliny. Polowanie dobiegało końca.

Przeniosła wzrok na białego szczura przycupniętego za małym krzaczkiem w rogu mającego rozmiary sześć na sześć metrów basenu o szklanych ścianach, znajdującego się w jednym z trzech klimatyzowanych budynków na jej czterdziestohektarowej posiadłości w Connecticut. Rozbiegane różowe ślepka zwierzęcia kierowały się to w lewo, to w prawo, desperacko wypatrując zagrożenia, którego bliską obecność wyczuwał, jakby chciał się zarazem przekonać, że jest dobrze ukryty przed wzrokiem pytona. Oczywiście nie mógł zdawać sobie sprawy, że gad nie postrzega świata dokładnie tak samo, jak on go widzi, lecz namierza swoją ofiarę na podstawie emitowanego przez nią ciepła.

Szczur nie miał żadnych szans uniknięcia swego losu, a teraz, gdy sam zapędził się w róg, nie miał także dokąd uciekać. Wyprostował się ostrożnie na tylnych łapkach, żeby lepiej widzieć, przednie składając przed sobą niczym do modlitwy. W zasadzie tylko to mu pozostało, przemknęło Graham przez myśl. Bo tylko boska interwencja mogła mu uratować życie.

Zerknęła przez ramię na mężczyznę, który przyjechał w odwiedzinach. Stał pięć metrów dalej, zwrócony plecami do gołej ściany z pustaków, i rozglądał się ciekawie po zgromadzonych tu klatkach. Tak samo nerwowo rozglądała się po jej gabinecie Allison Wallace. Na migi dała mu znać, żeby kucnął i podkraść się do niej na czworakach, palcem przytkniętym do warg nakazując ciszę i wskazując ostrożne powolne ruchy, żeby nie zakłócił rozgrywającej się na ich oczach sceny polowania. Omal nie wybuchnęła śmiechem, gdy ze zmarszczonymi brwiami obrzucił ją zdumionym wzrokiem. Najwyraźniej chciał jej dać do zrozumienia, że nie przyjechał taki kawał drogi z Waszyngtonu, żeby teraz przyglądać się łowom olbrzymiego gada. Jej to jednak nie obchodziło. Prawdę mówiąc, poczuła się nawet urażona okazywaną przez niego irytacją. W końcu to on poprosił ją o to spotkanie. Oczywiście jego nastawienie do jej hobby wynikało ze sposobu myślenia. Po prostu nie przywykł do pozostawiania na drugim planie. Zawsze znajdował się w centrum zainteresowania, a przynajmniej był tylko o krok za plecami tej najważniejszej osoby.

W dodatku nie był odpowiednio ubrany na safari, co pewnie także go irytowało. Ona miała na sobie dzinsy i bawełnianą bluzkę, on był w garniturze i krawacie. Posadzkę budynku pokrywała warstwa zaschniętego błota i słomy, toteż jego spodnie na kolanach i marynarka na łokciach szybko

przemokły, zanim się do niej zbliżył. Nawet koniec czerwonego jedwabnego krawata zdążył się ubłocić. Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu, gdy dotarło do niej, że całkiem dosłownie sprowadziła swojego gościa na ziemię.

Wreszcie uklękła tuż przy niej i także zapatrzył się przed siebie, gdzie za szkłem, ledwie kilkadziesiąt centymetrów od nich, biały szczur wciąż próbował się ukryć.

- To ci się spodoba - szepnęła, podziwiając idealne romboidalne wzory na grubym cielsku pytona. Głośniejsze dźwięki nie spłoszyłyby węża, który był wyczulony

na drgania podłoża, a nie powietrza, za to mogłyby zdezorientować szczura, a jego nieobliczalna reakcja pewnie wyprowadziłaby w pole wielkiego gada. Mimo że pyton był głodny, zaliczał się do wytrawnych myśliwych i mogłaby upłynąć nawet godzina, zanim wznowiłby przerwane polowanie. Był to jeden z powodów, dla których żywiła tak olbrzymi podziw dla tych węży: w ich świecie do niczego nie dochodziło, dopóki naprawdę nie były na to gotowe, dopóki nie miały absolutnej pewności, że ofiara im się nie wymknie, a obrany plan ataku jest optymalny. Stąd też niezmiernie rzadko w naturze się zdarzało, by odnosiły rany podczas zmagania z ofiarą, gdyż ich ataki bardzo rzadko kończyły się niepowodzeniem. - Obiecuję ci, Grant, że to niezapomniane widowisko.

Grant Bixby był szefem kancelarii senatora Lloyda Dorsey'a. Niski i przysadzisty, otłuszczony ponad miarę, już miał całe czoło zroszone potem od kilkumetrowej wędrówki na czworakach przez pierwsze piętro budynku, w którym panowała temperatura trzydziestu stopni, a wilgotność dochodziła do stu procent.

- Chyba z tysiąc razy oglądałem takie polowania z dziećmi na kanale Discovery - syknął czterdziestoczteroletni Bixby, który miał dwunastoletniego syna i dziewięcioletnią córkę. - Naprawdę musimy porozmawiać, panno Graham. Nie mam czasu na takie rozrywki. Musimy poruszyć wiele spraw, a na wpół do siódmej powinienem być z powrotem w Waszyngtonie. - Spojrzał na zegarek. - Mam już bilet na samolot o piątej.

Bixby sprawiał wrażenie niewiniątka, ale Graham wiedziała doskonale, że Lloyd Dorsey nie otacza się naiwniakami. Służył jako pilot w marynarce wojennej, w roku 1966 został zestrzelony w Wietnamie i spędził dwa lata w „Hanoijskim Hiltonie”, mając okazję zapoznać się bliżej z wyrafinowanymi metodami azjatyckich tortur. Do tej pory utykał i poruszał się o lasce, lecz w odróżnieniu od swego republikańskiego kolegi z Arizony, który także

przebywał

w północnowietnamskim obozie dla jeńców wojennych, niczego nie wybaczył swoim oprawcom. Jego doświadczenia tylko utwierdziły go w przekonaniu, że Stany Zjednoczone powinny dysponować najpotężniejszą machiną wojenną na świecie.

Bixby, ze swoimi wiecznie rozwichrzonymi kręconymi blond loczkami i wydatnym brzuchem, jak zawsze w źle dopasowanym garniturze, wyglądał na życiową ofiarę, ale cieszył się diametralnie odmienną reputacją. To on grał rolę nieugiętego tyrańca albo złego gliniarza w obozie senatora, by ten mógł się cieszyć opinią stanowczego, lecz łagodnego, mającego żelazną rękę, ale w jedwabnej rękawiczce. Dlatego Dorsey nigdy nie angażował się w żaden spór na Kapitolu, dopóki Bixby nie przygotował mu ubitego gruntu.

W efekcie ten były adwokat z Dallas zaliczał się do najbardziej znienawidzonych ludzi w Waszyngtonie. Bezkarnie zasłaniał się autorytetem swojego mocodawcy, wykorzystując go tak agresywnie, czasami wręcz z sadystyczną rozkoszą, że na każdym kroku przysparzał sobie nowych wrogów. Bixby powtarzał wprost, że przywódca senackiej mniejszości Dorsey może uprzykrzyć życie każdemu senatorowi, który nie zastosuje się do partyjnej dyscypliny. Tym bardziej więc był znienawidzony, tyle że nikt nie miał odwagi powiedzieć mu tego prosto w oczy, zwłaszcza że wiele wskazywało na to, iż Dorsey prześcignie Jesse'a Wooda w następnych wyborach prezydenckich. Bixby zatem miał szansę stać się najważniejszym szefem kancelarii w Stanach Zjednoczonych, zakładając oczywiście, że senator zakończy zwycięstwem wyścig do Białego Domu.

- Tego nie da się porównać z filmami emitowanymi na kanale Discovery - zapewniła go Graham. - Możesz mi wierzyć.

- Mało mnie to pociąga - burknął Bixby. - Jakość przekazów telewizyjnych jest teraz imponująca. Odnosi się

wrażenie, jakby naprawdę było się w dżungli i... Jezus, Maria! - wrzasnął.

Wąż zaatakował z szybkością błyskawicy, wręcz trudno było zauważyć jego ruch gołym okiem. Pojawiła się tylko rozmyta ciemna smuga na tle tylnej ścianki basenu. Jeszcze chwilę wcześniej pyton trwał bez ruchu, a teraz owijał swoje długie ciało wokół szczura tak ściśle, że widać było jedynie sterczący sztywno ku górze ogon gryzonia wyłaniający się spomiędzy zwojów dusiciela. Co kilka sekund tenże ogon dostawał drgawek jak gdyby rażony prądem elektrycznym, chwiało się intensywnie na boki, po czym znów zastygał wyprężony ku górze.

- Wszystko w porządku? - zapytała ze śmiechem gospodyni, podnosząc się szybko z klęczek. Mimo swoich pięćdziesięciu siedmiu lat wciąż była bardzo sprawna fizycznie, co stanowiło jej największy powód do dumy. Codziennie rano ćwiczyła jogę, żeby zachować tę sprawność. - Śmiało, Grant. Możesz już wstać. - Złapała Bixby'ego pod ramię i pociągnęła ku górze. Wstał, ale po chwili zgiął się wpół, jakby gwałtowny atak węża śmiertelnie go przeraził. - I co? Tak samo, jak w telewizji?

- Owszem - burknął, najwyraźniej zmieszany. - Dlaczego ogon szczura jest taki wyprężony i dygocze? - zapytał, pochylając się niżej, żeby otrzepać spodnie na kolanach. - Wygląda, jakby zwierzę doznało szoku.

- Pyton wyczuwa całym swoim ciałem układ oddechowy szczura i zaciska mięśnie w tych miejscach, gdzie najłatwiej może osiągnąć pożądany efekt, to znaczy udusić ofiarę - wyjaśniła. - Jego nacisk jest tak olbrzymi, że mięśnie gładkie szczura mimowolnie także się naprężają, dlatego ogon się tak wypręża i zaczyna rytmicznie dygotać. Wystarczy kilkadziesiąt sekund, żeby szczur się udusił.

Bixby skrzywił się z niesmakiem, po czym zaczerpnął głęboko powietrza, jakby chciał sprawdzić, czy on nadal może swobodnie oddychać.

- Czy teraz, gdy już widziałem południowe karmienie pytona, możemy się zająć ważniejszymi sprawami?

- Porozmawiamy po drodze - odparła, ruszając w kierunku wyjścia z budynku - gdyż muszę jeszcze sprawdzić stan basenu dla mojego nowego aligatora. Przygotowują go w sąsiedniej stodole. Chodź ze mną.

Bixby dogonił ją w paru susach.

- Chce pani rozmawiać tu i teraz? Na odkrytym terenie?

- To nie ja się spieszę na samolot do Waszyngtonu. O co więc chodzi?

- Dobrze pani wie, o co chodzi, panno Graham. O to, czego pragnie senator Dorsey.

Miał rację. Świetnie wiedziała, na czym zależy senatorowi, wiedziała to nawet lepiej, niżby jej na tym zależało. Ale skoro siedziała w tym po uszy, przyszło jej do głowy, że może sprawdzić, ile naprawdę zdoła wyciągnąć z Bixby'ego, jeśli to on do niej przyjechał. Zazwyczaj nie odstępował senatora Dorseya na krok, jakby byli braćmi syjamskimi.

- A konkretnie? - Z rozmachem kopnęła czubkiem kowbojskiego buta wielkiego karalucha przebiegającego po betonowej posadzce tuż przed nimi.

Bixby aż prychnął z obrzydzenia i cofnął się o krok, zaskoczony jej reakcją.

- Nie chodzi tylko o senatora Dorseya ani o mnie - zaczął. - Jest pani potrzebna całej Partii Republikańskiej.

Uzmysłowiła sobie, że to typowy mieszcuch wychowany na Manhattanie, który musi się źle czuć na łonie przyrody. Nie było to wcale złe. Zawsze wolała mieć pewną przewagę. Jedynym powodem, dla którego po ukończeniu studiów prawniczych Bixby zrezygnował z wytworności Nowego Jorku na rzecz miasta, które zapewne uważał za typową pipidówkę, był właśnie Dorsey pełniący wówczas funkcję wspólnika zarządu prominentnej kancelarii adwokackiej z Dallas. Dorsey z pewnością mu obiecał, że będą ściśle ze sobą współpracować, a więc, co ważniejsze, za

bierze go ze sobą do Waszyngtonu, jeśli wygrają nadchodzące wybory do Senatu. I oto przed dwoma laty Dorsey nie tylko wygrał wybory, ale także dotrzymał słowa danego Bixby'emu, i teraz obaj wchodzili w skład stałego wyposażenia waszyngtońskiej biurokracji.

- Zabrzmiało to strasznie patetycznie - odparła.

- Bo chodzi o ważną sprawę i pani doskonale o tym wie. Dlaczego więc...

- A zarazem sprawę złowieszczą - wtrąciła szybko.

Chwyciła dwa żelazne uchwyty wystające ze ściany

z desek i energicznie pchnęła je w lewo. Zalało ich nagle ciepłe popołudniowe majowe słońce, gdy duża część ściany okazała się przesuwanymi na kółkach wrotami trzymetrowej wysokości. Ledwie zdołała powstrzymać ironiczny uśmiech, kiedy wychodząc na plac przed budynkiem, dostrzegła zdumienie malujące się na twarzy gościa.

- Znam pańskiego szefa od dawna, Grant - rzuciła przez ramię i ruszyła energicznym krokiem w stronę drugiego budynku. Głośno pociągnęła nosem. Jeden z jej pracowników po raz pierwszy tego roku kosił przyległe pastwisko i powietrze było przepełnione wspaniałym zapachem świeżo ściętej trawy. - Lloyd Dorsey to dobry człowiek i oddany patriota.

- Dokładnie to samo myśli o pani, panno Graham - odparł pośpiesznie Bixby, starając się opanować lekką za- dyszkę, jaką wywoływały u niego próby dotrzymania jej kroku. - Jest mu pani potrzebna...

- Natomiast pana znam wyłącznie z poprzedzającej pana reputacji - dodała szybko, grożąc mu palcem ponad ramieniem. Do tej pory spotkali się tylko parę razy i zdążyła się jedynie przekonać, że Bixby jest ślepo wierny swojemu mocodawcy. Mimo wszystko wolała trzymać go na dystans, w nadziei, że w ten sposób zyska jego szacunek. - Która zresztą nie jest taka zła.

- Owszem, ale...

- Doskonale znam zasady tej gry, możesz mi wierzyć,

Grant. - Nie zwalniając kroku, schyliła się i zerwała kwiat mlecza. - Dlatego chcę znać konkrety. Do czego naprawdę jestem potrzebna senatorowi Dorseyowi?

- Wydawało mi się, że pani i on już...

- Ogólnie rzecz biorąc, doszliśmy do porozumienia, ale czekam na szczegóły. Chcę znać konkrety. I to wszystkie.

- Nie mogę powiedzieć pani o wszystkim - odparł pospiesznie. - Zresztą wątpię, czy sam o wszystkim wiem. Nawet senator Dorsey nie musi o wszystkim wiedzieć.

- W takim razie chcę usłyszeć to, co możecie mi powiedzieć - odparła z rosnącą irytacją. - Czyli to, co panu wiadomo.

- Dobrze, w porządku. - Bixby sprawiał wrażenie coraz bardziej podenerwowanego. - Tylko czy jest pani pewna, że powinniśmy rozmawiać tutaj?

Graham stanęła i odwróciła się gwałtownie, mając nadzieję, że on na nią wpadnie. Przeliczyła się jednak. Był na tyle daleko, że zdążył się zatrzymać. Skrzywiła się z niesmakiem. Nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika, przypomniała sobie w duchu. Bixby zdołał przewidzieć, że ona może wykonać gwałtowny zwrot. Może nie dotarły do niego podteksty kryjące się za polowaniem prawdziwego pytona na prawdziwego białego szczura, świetnie rozumiał jednak, że w polityce ludzie urządzają łowy na ludzi. Na pewno też doskonale zdawał sobie sprawę, jaką reakcję wywoła u niej to pytanie.

- Czy to naprawdę aż tak delikatna sprawa?

Wiedziała, że z pewnością jest delikatna, zależało jej jednak na wyciągnięciu od niego każdego strzępu informacji, jaki tylko zdoła uzyskać. Chciała, żeby zaczął wszystko od początku.

Pokiwał głową.

- Niesłychanie delikatna.

Rozłożyła szeroko ręce i powiodła wzrokiem dookoła. Jedyńm człowiekiem w zasięgu wzroku był traktorzysta pracujący na sąsiednim polu. rozmawiać o delikatnych sprawach, Grant? Naprawdę podejrzewa pan, że w zaroślach kryją się szpiegdy z mikrofonami kierunkowymi?

Bixby poluzował krawat, po czym osłonił ręką oczy od słońca i także się rozejrzał.

- Płacą mi za ostrożność.

Pomyślała, że na szczęście słońce jest za jej za plecami, co było kolejnym elementem jej przewagi. W każdej sytuacji należało przecież wykorzystywać wszelką możliwą przewagę. Traktowała to jak swoją życiową mantrę i jeszcze nigdy się nie zawiodła na takim podejściu.

- Niech pan wreszcie zacznie mówić, Grant.

On jednak nadal się nie spieszył. Jeszcze raz rozejrzył się uważnie, nim w końcu zaczął:

- W porządku, umowa jest następująca. Zarząd partii konserwatywnej jest zaniepokojony zbyt dobrymi wynikami prezydenta Wooda. Zachodzi obawa, że stanie się nietykalny i każda jego propozycja będzie przyjmowana z entuzjazmem. Zarząd jest zaniepokojony...

- Głównie tym, że traci kontrolę - wpadła mu w słowo Graham. - Martwię się, że coraz bardziej realna jest perspektywa, iż na stałe zostaną parlamentarną mniejszością, a więc partią, która nie odgrywa już pierwszoplanowej roli, bo ma za małe wpływy. Pański szef natomiast martwi się tym, że jeśli przyjmie nominację partii do startu w najbliższych wyborach prezydenckich, wyjdzie tylko na głupca i stanie się drugim Johnem Kerrym albo Bobem Dole'em, egzystującym wyłącznie w przypisach do biografii innych polityków.

Bixby spojrzał ponad jej głową na odległe pola.

- Wie pani, jak bardzo senator Dorsey ceni sobie pani przyjaźń - rzekł znacznie ciszej. - Prawdę mówiąc, to więcej niż tylko przyjaźń. Oboje doskonale o tym wiemy.

Graham przełknęła ślinę i spuściła wzrok. Do diabła, ten Bixby naprawdę jest bardzo dobry, pomyślała. Zasko-

czył ją całkowicie, jakby wypuścił serię z karabinu maszynowego, i jeszcze z wielką radością odbierał jej reakcję.

- Jest bardzo dumny ze znajomości z panią - dodał. - Wielokrotnie rozmawialiśmy na ten temat.

Nagle przypomniało jej się pytanie zadane przez Allison Wallace: „Czy to senator Dorsey jest prawdziwą przyczyną, dla której nigdy nie wyszła pani za mąż?”. Aż przeklęła się w duchu za to, że zostawiła swoje zdjęcie w towarzystwie Lloyda na regale tego dnia, kiedy poprosiła Allison o wizytę, a więc za tę jedyną swoją słabość, o której po prostu nie mogła zapomnieć. Przełom nastąpił kilka miesięcy wcześniej podczas obiady wydawanego w Departamencie Stanu. Stało się to, na co czekała niemal całe swoje dorosłe

życie, toteż bez trudu przekonała Lloyda, żeby zostawił jej nagranie wideo w depozycie. Nie mogła się uwolnić od myśli, że już o wiele wcześniej mogli przeżyć ze sobą taką upojną noc.

Poznali się ponad trzydzieści pięć lat temu, kiedy studiowała jeszcze na Uniwersytecie Stanowym Florydy. Prowadziła cykl spotkań na temat regulacji z zakresu oceanografii na wydziale prawa, zorganizowany w ramach jej wymarzonej akcji ratowania wielorybów, a Lloyd Dorsey był jednym z zaproszonych mówców, zaprzyjaźnionym z kierownikiem katedry. Gdy tylko ich spojrzenia zetknęły się na początku seminarium, już nie opuściło jej wrażenie, że przez całe półtorej godziny na sali nie ma nikogo oprócz nich dwojga. Co prawda, nie mogła się zgodzić z jego zdaniem w niektórych w sprawach, a zwłaszcza z poglądem, że prezydent powinien dysponować wyłącznym prawem jednogłośnego przyznawania praw do prowadzenia wierceń wybranym firmom poszukującym nowych złóż ropy naftowej, a więc jedynie firmom z Teksasu, co podkreślił z ironicznym uśmiechem. Wywołał tym falę niepohamowanej radości wśród słuchaczy, którym wcześniej opiekun grupy dokładnie wyjaśnił polityczne uzależnienia prelegenta. Ale po raz pierwszy w życiu Graham poglą

dy sprzeczne z jej zapatrywaniami nie grały większej roli. A w każdym razie sprzeczności te bardzo bładły w porównaniu z zainteresowaniem ze strony młodego przystojnego Teksanczyka.

Kiedy wykład dobiegł końca, Dorsey ledwie zauważalnym skinieniem ręki poprosił ją o podejście do mównicy, gdy słuchacze wychodzili już na korytarz, i szybko zaprosił ją na lunch. Ze swoim śpiewnym południowym akcentem powiedział wprost, że jeszcze nigdy nie spotkał kobiety tak wielkiej urody, więc bardzo chciałby się przekonać, czy ma ona równie piękne wnętrze. Zawahała się, niezbyt pewna, co on ma na myśli, pełna obaw, że w swojej naiwności odbiera to jako odnośnik piękna jej duszy, a nie bezpośrednią aluzję do seksu. Ale gdy tylko uśmiechnął się przyjaźnie i przytknął dłoń do piersi, zapewniając w ten sposób o swoich uczciwych zamiarach, zgodziła się natychmiast.

Potem nastąpiły cztery najbardziej szalone miesiące w jej życiu. Niemal w każdy piątek latała z Lloydem z Florydy do Dallas, cieszyła się z fundowanych przez niego wytwornych kolacji i najlepszych win oraz czułych pocałunków w sobotnie popołudnia, aż do zalanych łzami policzków w niedziele, gdy w ostatniej chwili biegła przez halę lotniska, by zdążyć na samolot do Gainesville. Nigdy jednak nie poszli do łóżka. Tylko raz ją o to

poprosił, i to już na lotnisku, w niedzielę przed odlotem, odmówiła jednak stanowczo, tłumacząc, że nie jest jeszcze gotowa. Miała obawy, że po tym już nigdy się do niej nie odezwie, ale była w błędzie. Telefon, jak zawsze, zadzwonił zaledwie pięć minut po tym, gdy weszła do swojego pokoju po przyjeździe z lotniska. Później także nie prosił, żeby poszła z nim do łóżka, aż do owego pamiętnego wieczoru sprzed kilku miesięcy przy wspianym torcie czekoladowym wieńczącym obiad wydawany dla gości Departamentu Stanu. I wtedy już nie odmówiła.

Po czterech miesiącach od nawiązania romansu z Dorseyem odebrała wiadomość o śmiertelnym zawale ojca. Natychmiast rzuciła studia na Uniwersytecie Stanowym Florydy, by przejąć rodzinny interes z branży ubezpieczeniowej, toteż siłą rzeczy na dłużej straciła kontakt z Lloydem. Nie oznaczało to wcale, że nie próbował podtrzymać tłęcego się zarzewia ich związku. W któryś weekend nawet przyleciał do Filadelfii, lecz ona była zbyt rozkojarzona, by choćby cieszyć się jego wizytą. I zanim się spostrzegła, przekroczyła trzydziestkę, a Lloyd po siedmiu latach małżeństwa z Betty wychowywał dwójkę dzieci. Niemniej wciąż za nim tęskniła. Teraz pomyślała więc, że może Allison miała rację i to właśnie Dorsey był rzeczywistym powodem, dla którego nigdy nie wyszła za mąż. Może zawsze pragnęła zostać jego żoną. Może nadal jej na tym bardzo zależało. Tyle że teraz musiała już zapomnieć o tych marzeniach. Tamtego wieczoru w Waszyngtonie obiecał jej, że wystąpi o rozwód, ale od tamtej pory ani razu nie wracali do tego tematu.

- Dlaczego Lloydowi tak bardzo zależy na mojej pomocy? - zapytała, próbując się uwolnić od natarczywych wspomnień. - Dlaczego zwrócił się właśnie do mnie, żebym to zaaranżowała? Ilekroć dochodzę do przekonania, że powinnam się spodziewać szczegółowych wyjaśnień, tyle razy uzmysłowiam sobie, że nie uzyskałam choćby błahego wytłumaczenia, nawet gdy byłam z nim w łóżku. - Nie miała żadnego powodu ukrywać tego, że spędzili razem noc w letniskowym domku Lloyda w Georgetown. W końcu to Bixby podwiózł ją z Białego Domu pod dom senatora po owym pamiętnym obiedzie w Departamencie Stanu. Znał prawie każdy krok Dorseya. Prawie. - O co tu chodzi?

- Senator Dorsey zwraca się do pani o pomoc w ujawnieniu pewnych spraw, w które zamieszany jest prezydent Wood.

Odważyła się w końcu spojrzeć mu w oczy.

- Jakich spraw?

- Dotyczących Kuby - odparł spiętym głosem. - Głównie pomocy dla kubańskich organizacji wojskowych mających na celu obalenie komunistycznego reżimu, a może nawet zbrojnej interwencji na Kubie oddziałów amerykańskich.

Przez kilka sekund wpatrywała się intensywnie w jego twarz.

- Mówisz poważnie? - zapytała w końcu. Oczywiście wiedziała sporo o tych sprawach, ale zawsze wolała występować w roli dobrej aktorki, niemalże drugiego wcielenia kobiety zasiadającej w radach nadzorczych różnych firm.

Bixby pokiwał głową.

- Owszem. To niewiarygodne, prawda?

- Jakim cudem Lloyd mógł się wplątać w taką aferę?

- Przez swoich przyjaciół w Pentagonie. To jedna z najbardziej wrażliwych akcji, jakie dotąd zaplanowali nasi sztabowcy, ale niefortunnie umiejscowili ją u podstawy kółka w nosie byka, toteż od początku nie jest żadnym sekretem dla osób wtajemniczonych. Na szczęście większość z nich pracuje nad tym projektem, nie mając pojęcia, czemu ostatecznie ma służyć. Informator senatora nie był w stanie nic więcej powiedzieć, zdradził jednak, że szykuje się coś wręcz niewiarygodnego. Najwyraźniej...

Graham uniosła rękę, uciszając go w jednej chwili.

- Czy Lloyd zamierza wykorzystać wiedzę o tej akcji, żeby uwikłać prezydenta Wooda w jakiś skandal?

Bixby się zawahał.

- Tak. Na pewno domyśla się już pani, że w sprawę zamieszanych jest także wiele innych osób.

Zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem tylko, czemu miałyby służyć ów skandal. Coś mi się zdaje, że psy Lloyda tym razem obszczekują niewłaściwe drzewo.

Bixby zrobił tak osłupiałą minę, jakby całe jego dotychczasowe rozumienie świata polityki legło w gruzach.

- Dlaczego pani tak uważa?

Dla niej to było oczywiste, wręcz nie mieściło się jej w głowie, że on może tego nie rozumieć. Może nie był szczególnie bystry, ale przecież miał łeb na karku. Pewnie po prostu zanadto identyfikował się z powstałą sytuacją, żeby ocenić ją z należytej perspektywy.

- Amerykańska opinia publiczna świetnie wie, ile razy w ciągu minionych pięćdziesięciu lat próbowaliśmy obalić komunistyczne władze na Kubie.

Wydaje mi się, że zdaniem wszystkich, każdy prezydent począwszy od Kennedy'ego uważał za punkt honoru wniesienia własnego wkładu do tej misji, niezależnie od zdania doradców politycznych.

Bixby przygryzł górną wargę.

Najwyraźniej nie był pewien, jak powinien na to zareagować. Już tylko przez tę reakcję Graham doszła do wniosku, że sprawa istotnie musi być bardzo delikatna. Bixby zwykle wiedział natychmiast, jak odpowiedzieć, a jeszcze lepiej wiedział, czego nie wolno mu mówić.

- Gdzieś na początku tego roku, a może pod koniec ubiegłego - zaczął - prezydent Wood podpisał ściśle tajną dyrektywę dającą niewielkiej komórce Amerykańskich Sił Zbrojnych całkowitą swobodę działań zmierzających do obalenia dyktatury i wspierania w tym zakresie przeciwników partii komunistycznej, a w szczególności pewnego generała posługującego się kryptonimem Zapata. W zamian za obiecaną pomoc ów generał przystał na współpracę z przedstawicielami kilku ważnych ministerstw mającymi odegrać czołową rolę w nowym rządzie, który powstanie po skutecznym zakończeniu przewrotu. Prezydent Wood potajemnie dał grupie amerykańskich wojskowych wolną rękę na drodze organizowania pomocy dla tegoż kubańskiego generała i sprzymierzonych z nim urzędników organizujących przewrót, a owa pomoc wiąże się z groźbą bezpośredniej amerykańskiej inwazji na wyspę zaraz po wybuchu rewolty, mającej na celu zapewnienie zdobycia

cia władzy przez Zapatę. Tak więc mówimy co najmniej o obecności na Kubie w chwili wybuchu rewolty naszych oddziałów specjalnych, a więc Rangersów, „Fok” i im podobnych.

- Nadal nie rozumiem, jak to ma rzutować na notowania prezydenta - odparła Graham. - Przynajmniej do wybuchu rewolty... - zamyśliła się na chwilę - ...a pewnie nawet i później. Do pioruna, trudno wykluczyć, że takie działania uczynią z niego bohatera.

Bixby rozejrzał się po raz kolejny, po czym schylił się i zerwał źdźbło trawy.

- Powstała lista osób do likwidacji zaakceptowana przez samego prezydenta Wooda.

-I co...

- Są na niej również cywile - dodał szybko. - Czołowe osobistości z najważniejszych ministerstw oraz Banku Centralnego Kuby, w większości zwolennicy twardej linii partii komunistycznej. Zgodnie z planem mają

zginąć w pierwszych dniach przewrotu, żeby ich zastępcy, a więc ludzie współpracujący z Zapatą, mogli przejąć władzę w tych ministerstwach i nie musieli się martwić o reżimowe przegrupowania albo represje.

Graham przeciągnęła dłonią po włosach. Czym innym była potajemna współpraca z kubańskimi wojskowymi w celu zorganizowania przewrotu, a czym innym akceptacja potajemnych zabójstw cywilów, nawet jeśli chodziło o przedstawicieli reżimu komunistycznego, który od pół wieku dopuszczał się odrażających czynów przeciwko narodowi kubańskiemu.

- Nie muszę chyba dodawać, że jest to przestępstwo - rzekł Bixby. - Prezydent nie ma prawa akceptować niczyjego zabójstwa, nie mówiąc już o tym, że chodzi o cywilów.

Świetnie o tym wiedziała. Modny był obecnie nowy sposób widzenia poprawności politycznej, w którym obywatele domagali się prawa do informacji o wszelkich poczynaniach rządu. Jej zdaniem było to podejście błędne.

Na podobnej zasadzie każdy klient jej towarzystwa ubezpieczeniowego mógłby się domagać pełnej wiedzy co do poczynañ zarządu z gromadzonymi pieniędzmi. Tymczasem niekiedy należało zachować w tajemnicy przed opinią publiczną metody obracania kapitałem, w przeciwnym razie nie przyniosłyby żadnych zysków. Uważała, że są sprawy, które należy załatwiać po cichu i do tego jeszcze mieć nadzieję, że nigdy nie wyjdą na jaw.

- Macie jakiś dowód na to, że prezydent Wood zaakceptował taką listę? Że osobiście wydał zgodę na dokonywanie zabójstw?

- Jeszcze nie, ale pracujemy nad tym. Niedługo będziemy go mieli. Nasz człowiek w Pentagonie jest tak śmiertelnie przerażony, że w ogóle nie chce rozmawiać na ten temat. Zresztą ma się czego obawiać. Nic więc dziwnego, że nie zdołał do tej pory sporządzić kopii prezydenckiej listy obiektów zabójstw. Mam nadzieję, że pani to rozumie. Sądzymy, że w końcu dostarczy nam, czego potrzebujemy, ale równocześnie szukamy innych dojsć w celu potwierdzenia tych faktów. To właśnie jeden z powodów, dla których poprosiłem panią o tę rozmowę.

Zacząła przeczuwać, że już wie, co za chwilę usłyszy.

- Otóż mamy podejrzenia, że prezydent Wood zwerbował do tej misji także wybitną osobistość z sektora prywatnego, człowieka, który...

- Christiana Gillette'a - przerwała mu.

Bixby popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Skąd pani to wie?

Graham wydeła zaciśnięte wargi.

- Mam przyjaciół na obu końcach tego korytarza w Waszyngtonie. -
Prawdę mówiąc, usłyszała od samego senatora Dorsey'a, że ostatnio jego uwagę przyciągnął właśnie Christian. Powiedział jej o tym tamtego wieczoru przed miesiącem, który spędzili razem w jego podmiejskim domu, a i później nazwisko Gillette'a padało kilka razy z ust senatora. Wyjawiał nawet, że musi się bliżej przyjrzeć dzie

łalności tego finansisty i w tym celu potrzebna mu będzie jej pomoc, gdyż wielu spraw nie zdoła zorganizować we własnym zakresie. Gdyby się bowiem przedostały się do opinii publicznej, zostałyby uznane za prześladowania wobec obywatela amerykańskiego i mogłyby nawet utracić miejsce w Kongresie. Nie omieszkał jednak powiedzieć wprost, że chciałby zawczasu znać wszystkie plany Christiana i wiedzieć o jego służbowych podróżach, zanim jeszcze do nich dojdzie. - Bez ich pomocy nigdy nie osiągnęłabym tej pozycji, którą obecnie zajmuję, zwłaszcza w mojej, objętej restrykcyjnymi przepisami prawa dziedzinie, jaką są ubezpieczenia.

- Tak, to oczywiste, lecz... - Urwał nagle.

Była mu wdzięczna za to, że ugryzł się w język i nie będzie dalej dociekał, z jakich źródeł zdobyła te informacje. Przyjęła to za dowód szacunku, który wzbudziła u niego zapewne tym, że wcześniej wiedziała o planowanym przez prezydenta wykorzystaniu Gillette'a w tajnej misji.

- Mnóstwo ludzi w tym kraju uważa, że prezydent Wood doskonale spisuje się na swoim stanowisku.

- Ale nie wierzę, by ktoś, kto pozna jego plany dotyczące Kuby, mógł je zaaprobować - odparł Bixby. - Po prostu nie można nakazywać zabójstw niewinnych cywilów, to niedopuszczalne. A prezydencka lista wyraźnie to nakazuje, jak twierdzi nasz informator. Wyszczególnieni na niej ludzie nie mogą przeżyć rewolty. Z góry nie daje się im szansy na rewizję poglądów i zajęcie właściwego stanowiska. Nie może też być mowy o sądowych wystąpieniach pod zarzutem łamania praw człowieka, gdyż po przewrocie nie będzie komu występować przed sądem.

- Czasami jednak prezydent musi podejmować działania nieakceptowane przez opinię publiczną.

- Jak na przykład forsować ustawę zmuszającą duże towarzystwa ubezpieczeniowe do oferowania mieszkańcom wielkich metropolii groszowych polis ubezpieczeniowych?

Graham zapatrzyła się na traktor zawracający na końcu sąsiedniego pola,

ścinający trawę wzdłuż boków systematycznie zmniejszającego się trójkąta.

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się, wychwyciwszy triumfalne tony w jego głosie.

- Prezydent Wood jakieś trzy miesiące temu potajemnie podjął współpracę z paroma kongresmanami z okręgów metropolitarnych, takich jak Nowy Jork, Houston czy Los Angeles, zmierzającą do przeforsowania takiego przepisu prawa. Ma on posłużyć zdobyciu przychylności wśród ludności latynoskiej, nie czyniąc mu jednocześnie wrogów wśród białych, a przynajmniej nie od razu. Głosem czarnych i tak już dysponuje, nic więc dziwnego, że będzie próbował teraz zyskać zwolenników wśród najważniejszych mniejszości narodowych. W tych wyborach Latynosi nie głosowali na niego, ponieważ z zasady mają poglądy konserwatywne. On jednak próbuje to zmienić. A taka ustawa nie może zniechęcić do niego białego elektoratu. Jedyni biali, z których uczyni sobie natychmiast wrogów, to przedstawiciele zarządów towarzystw ubezpieczeniowych, jak pani. - Bixby wymierzył w nią paluch. - Tyle że w końcu będziecie musieli podnieść stawki ubezpieczeniowe, żeby powetować sobie straty, a więc zapłacimy za to wszyscy, z czego prezydent Wood doskonale zdaje sobie sprawę. Wszyscy rozumieją, że było to błędne posunięcie, gdy nagle zyski prywatnych inwestorów gwałtownie zmaleją albo pojawią się pierwsze pozwy sądowe o dofinansowania, gdyż towarzystwa nie będą w stanie wypłacać zwiększonej liczby odszkodowań. Ale do tej pory Wood pewnie już wygra wybory do drugiej tury i nie będzie go obchodziło, co biali Amerykanie o nim sądzą.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej. Mogę udowodnić, że Wood ściśle współpracuje w tej sprawie z grupą czarnych, których specjalnie w tym celu ściągnął do pracy w Kongresie. Dysponujemy już harmonogramem prac nad tą ustawą. Zdobyliśmy go w ubiegłym tygodniu w jednym z opanowanych przez nich biur.

- Jak dalece prezydent jest zaangażowany w prace nad tą ustawą?

- Za kilka tygodni będzie gotów ogłosić wprowadzenie jej w życie. Chodzi o to, by zyskać wystarczająco dużo czasu na jej przepchnięcie przez obie izby i zastosowanie w praktyce przed następnymi wyborami.

- Jakie straty wchodzi w grę? - zapytała Graham. - Jakie ulgi ubezpieczeniowe przewiduje ta ustawa?

- Jeśli dobrze pamiętam, słyszałem od kogoś, że według nowych przepisów samotna matka będzie mogła wykupić pełne ubezpieczenie zdrowotne, płacąc jedynie około stu dolarów miesięcznie, z czego i tak

większość potraci sobie z podatków. A za każde dziecko będzie musiała płacić około dwudziestu pięciu dolarów.

- Co takiego?! - Podane kwoty wydały jej się absurdalne. Nikt nie mógł zaoferować pełnego ubezpieczenia zdrowotnego za tak niską stawkę, zwłaszcza mieszkańcom wielkich aglomeracji. - Agenci ubezpieczeniowi nie zgodzą się na takie warunki.

- Nie będą mieli wyboru - odparł Bixby. - Jeśli nie zastosują się do przepisów ustawy, będą musieli płacić kary umowne, zapewne wystarczająco duże, by jednak opłacało się sprzedawać groszowe polisy pod groźbą wycofania koncesji na działalność w tym stanie, w którym odmawia się najtańszych ubezpieczeń mieszkańcom miast. A cofnięcie koncesji oznacza przecież niemożność sprzedawania na danym terenie jakichkolwiek ubezpieczeń zdrowotnych.

Graham zamyśliła się głęboko. Nie miała wątpliwości, że całe środowisko ostro sprzeciwi się takim regulacjom prawnym, lecz co najwyżej będzie musiało przystać na kompromis, gdyż prezydent Wood już na starcie znajdował się w uprzywilejowanej sytuacji. Mógł przecież liczyć na większość głosów w obu izbach parlamentu. A w efekcie - na znaczny wzrost popularności wśród elektoratu wielkomiejskiego, a zwłaszcza, jak sugerował Bixby, ludności pochodzenia latynoskiego.

- Do czego prezydent chce wykorzystać Gillette'a w swoich planach dotyczących Kuby? - zapytała.

- Nie domyśla się pani?

Wzruszyła ramionami.

- Skąd miałabym się tego domyślać? - Wciąż jeszcze miała nadzieję dokopać się prawdy, wykorzystując to, że ani Bixby, ani Dorsey niczego nie mówili w tej sprawie wprost.

- Przecież sama pani powiedziała przed chwilą, że wie o ich bliskiej współpracy.

- Ale wiem tylko tyle, że Christian ostatnio spotykał się z prezydentem Woodem w jakiejś sprawie objętej ścisłą tajemnicą. - Tego Dorsey jej nie powiedział. O tym musiała wiedzieć z innego źródła, z pewnością takiego, do którego senator bardzo chciałby uzyskać dostęp. - Nie mam nawet pojęcia, jak dostał się na miejsce umówionego spotkania. Więc skoro nie wiem dokładnie, gdzie i kiedy do niego doszło, jest chyba oczywiste, że nie wiedziałam też, iż rozmowa dotyczyła Kuby. - Zauważyła po minie Bixby'ego, że ledwie się powstrzymuje od pytania, skąd ona wie o spotkaniu

Gillette'a z Woodem. - A przecież spotkali się po raz pierwszy od czasu, kiedy Wood zrezygnował z kandydatury Christiana na wiceprezydenta. - Wiedziała, że dla Bixby'ego nie jest tajemnicą, że Christian o mało nie został prawą ręką Wooda, gdyż o tym także dowiedziała się od Lloyda. A na tym etapie wolała jeszcze prowadzić swą małą grę, każąc mu łamać głowę nad tym, co sam usłyszał od senatora, a czego ona się od niego dowiedziała. Taka sytuacja sprawiała jej wiele radości. - W jaki sposób Lloyd dowiedział się o tym, że Wood był już bliski wyznaczenia Christiana na wiceprezydenta? - zapytała, mając nadzieję, że w ten sposób będzie mogła określić zakres pomocy, jakiej oczekiwał od niej Dorsey.

- Zamierza pani nam pomóc?

- Jeszcze nie wiem, Grant. W ostatnim dziesięcioleciu Christian zarobił dla mnie mnóstwo pieniędzy poprzez inwestycje Everestu. Coś mi mówi, że nie całkiem z własnej woli stał się obiektem waszej rozgrywki przeciwko prezydentowi Woodowi. Gdybyście więc mogli udowodnić, że w jakiś sposób zamierza przekazać informacje o samym przewrocie oraz przygotowanej liście osób do zabicia temu generałowi Zapacie, zapewne znalazłby się w poważnych kłopotach.

- Bardzo poważnych - przyznał Bixby.

- Zatem mam rację? Tu nie chodzi tylko o prezydenta Wooda? - Graham wiedziała nie od dziś, że Lloyd chętnie położyłby głowę Christiana pod topór, nie znała tylko powodów. - Lloyd nie miałby nic przeciwko temu, aby Gillette zbankrutował i popadł w niełaskę?

- Naszym priorytetem jest Jesse Wood. - Zawahał się na moment i dodał: - Ma pani jednak rację, senator Dorsey chętnie by ujrzał upadek Christiana Gillette'a na samo dno piekieł.

- Dlaczego?

- To długa historia.

Graham skrzyżowała ręce na piersiach i dumnie zadarła głowę.

- Mnie się nie spieszy. To pan chce zdążyć na samolot.

Bixby poddał się już po paru sekundach.

- No cóż, Christian już od pewnego czasu jest niczym kamyk w bucie dla wielu przedstawicieli establishmentu. Może zacznijmy od tego, że przed paru laty niektórzy starsi członkowie rządu, a ściślej, tajnych struktur rządowych należących do sektora wywiadowczego, usiłowali wykraść pewną nowoczesną technologię opracowaną w ramach specjalnych rządowych projektów badawczych i przenieść ją do sektora prywatnego, by czerpać z

niej olbrzymie zyski.

Graham nieraz słyszała plotki o podobnych działaniach, o zaufanych ludziach z kręgów rządowych, którzy wykradali raporty z federalnych projektów badawczych i przekazywali je przyjaciołom z sektora prywatnego, po czym nabywali akcje wskazanego przedsiębiorstwa, żeby w przyszłości czerpać olbrzymie zyski z jego dochodów. Jak dotąd jednak żadna tego typu afera nie została ujawniona.

- Czego dotyczyły te badania?

- Nanotechniki, a ściślej mówiąc, jej zastosowań w biologii. Pierwsze wyniki były wręcz niewiarygodne, do ich praktycznego zastosowania brakowało roku, najwyżej dwóch lat dalszych prac. Ale znalazło się sporo ludzi, którzy postanowili odbić sobie lata skromnej egzystencji na marnych państwowych pensjach i zarobić miliony na udostępnieniu wyników przedstawicielom sektora prywatnego, nawet gdyby miało to oznaczać koniec ich zawodowej kariery. I właśnie Gillette zdemaskował całe to przedsięwzięcie w zarodku. Dowiedział się o planowanym transferze i skutecznie mu zapobiegł. Narobił sobie przez to wielu wrogów, a kilku osobom doszczętnie zniszczył reputację.

To było podobne do Christiana, który widział świat w czarno-białych kolorach, bez żadnych odcieni szarości. Dla niego albo się postępowało zgodnie z przepisami, albo w ogóle nie liczyło się w grze.

- Niemalże widzę go oczyma duszy w tej roli.

- W każdym razie establishmentowi się to nie spodobało - ciągnął ze złością Bixby. - Ale najbardziej wszystkich rozjuszyło, że przecież ojciec Gillette'a Clayton był znanym konserwatystą, zanim zginął w katastrofie lotniczej. Postępek Christiana wydawał się niepojęty.

- Tak, pamiętam - odparła, zgarniając z twarzy kosmyk włosów przesunięty lekkim porywem wiatru. - Mówiło się nawet, że Clayton bez trudu powinien zdobyć nominację republikańską do najbliższych wyborów prezydenckich.

- Tak więc ludzie z Waszyngtonu byli przekonani, że Christian świetnie to rozumie, że nieobce mu są arkana polityki, toteż z wielkim zdziwieniem przyjęli jego poczynania wymierzone przeciwko tym, którzy chcieli jedynie odplącić się swoim przyjaciołom. - Bixby po raz kolejny rozejrzał się trwożnie.

Jak gdyby podejrzewał, że naprawdę gdzieś w krzakach mogą kryć się ludzie z wycelowanymi w nas mikrofonami, pomyślała Graham, zachodząc

jednocześnie w głowę, skąd bierze się u niektórych tak daleko rozwinięta paranoja. Możliwe, że był to nieodłączny skutek nazbyt długiego obracania się w kręgach waszyngtońskich.

- To jeszcze nie wszystko - mruknął Bixby.

- Jest coś jeszcze?

- Pamięta pani niejakiego Sama Hewitta?

Graham uniosła wzrok do nieba.

- Oczywiście, że pamiętam. Samuel Hewitt przez wiele lat był prezesem i dyrektorem naczelnym U.S. Oil. - Jak mogłaby zapomnieć tak znaną i prominentną postać ze ścisłego kierownictwa największej na świecie spółki przemysłowej pochodzącej z Teksasu? - Jeśli się nie mylę, to jedyny człowiek, który niejedną raz zwyciężył w plebiscycie magazynu „Forbes” na najbardziej godnego podziwu biznesmena roku.

- Zgadza się.

- Zmarł kilka lat temu, prawda? Zdaje się, że na atak serca.

- No cóż, taka była przynajmniej oficjalna przyczyna jego śmierci.

Graham uniosła brwi.

- Tylko oficjalna?

- Zapewne pamięta pani również senatora Massey'a z Teksasu.

- Oczywiście - przyznała, zastanawiając się, do czego to wszystko zmierza. - Massey był mentorem Lloyda, a w każdym razie tym, który zainteresował go polityką i nakłonił

do wystartowania po raz pierwszy w wyborach. - W zamyśleniu przeciągnęła palcami po policzku, próbując powiązać ze sobą wyszczególnione postaci. - Zdaje się, że utonął w wypadku swojego jachtu albo coś w tym rodzaju.

- Wybrał się samotnie na ryby na jezioro w Oklahomie, które znajdowało się dość daleko od posiadłości jego przyjaciela, w całkiem odludnej okolicy. Rzeczywiście utonął, ale został zamordowany, podobnie jak Sam Hewitt. Znalezione niezaprzeczalne dowody, że w obu wypadkach doszło do zabójstwa - rzekł z naciskiem. - Oczywiście nic się nie przedostało do opinii publicznej, ale problem polega na tym, że Hewitt i Massey ściśle ze sobą współpracowali w celu uniemożliwienia Jesse'owi Woodowi zajęcia stanowiska w Białym Domu. I wpadli na trop czegoś, co z pewnością musiałyby znacznie obniżyć jego notowania, jakiegoś filmu czy serii zdjęć, które miały być przekazane prasie. - Zawiesił głos na kilka sekund. - Ale wcześniej zostali zamordowani... a Christian Gillette był w to zamieszany.

- Nie wierzę - odparła stanowczo. - Christian nigdy by się nie wplątał w taką aferę. To do niego niepodobne.

- Jeśli mi pani nie wierzy - rzekł ostro Bixby - proponuję porozmawiać z moim szefem. On zna szczegóły. Rozmawiał z Samuelem Hewittem tuż przed jego śmiercią. Widział także dowody na to, że Hewitt i Massey zostali zamordowani.

Zapatrzyła się w dal. Mężczyzna koszący trawę na sąsiednim polu skończył pracę i wracał traktorem do tego samego budynku, do którego i oni zmierzali.

- Dobrze, porozmawiam z Lloydem.

- Właśnie na to liczył. Prawdę mówiąc, miał nawet nadzieję, że wróci pani dzisiaj ze mną do Waszyngtonu. Bardzo by się ucieszył, gdyby zechciała pani zostać z nim kilka dni, ponieważ jest wolny.

Wiedziała, co to oznacza. Senatorowi spodobała się ich wspólna noc, jaką spędzili po oficjalnym obiedzie, jak

również dwie następne, w jego domu w Georgetown. Tylko dlatego za nią tęsknił.

- Niewykluczone, że będę mogła pomóc senatorowi Dorseyowi - odparła - przede wszystkim w zdobyciu informacji na temat Christiana Gillette'a. Znam blisko kogoś, kto jest zaprzyjaźniony z Christianem. - Obrzuciła uważnym spojrzeniem lekki uśmiech wypływający na usta Bixby'ego, który nagle wydał jej się zupełnie innym człowiekiem.

- Doskonale - rzucił radośnie. - Czy zatem zechce mi pani towarzyszyć dzisiaj w drodze do Waszyngtonu?

Rozdział 11

- Przyszedł Jim Marshall.

- Dzięki, Debbie. Niech wejdzie.

Christian puścił klawisz interkomu i zamknął teczkę z dokumentami, które przeglądał. Dostał je przed wyjazdem z Camp David od człowieka, którego przedstawił mu prezydent, Deksa Kelly'ego, kiedy już skończyli rozmowę na werandzie. Kelly uprzedził, że są to dokumenty ściśle tajne i powinien się z nimi zapoznać dopiero wtedy, gdy zostanie sam. Teczka nie była gruba, zawierała zaledwie pięć kartek, zdążył więc przeczytać wszystko dwukrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Był to zaledwie wstępny

zarys, krótkie podsumowanie planu przygotowanego dla Kuby przez prezydenta Wooda, ale i tak robił ogromne wrażenie. Przede wszystkim zawierał informacje o sposobach przekazywania inicjatywy oraz koordynowania działań kubańskiego wojska i ugrupowań cywilnych, jak też dane najważniejszych frakcji organizujących przewrót. Znajdowało się tam również nazwisko łącznika, z którym Christian miał się wkrótce spotkać, chirurga Nelsona Padilli, mającego jakoby pozostawać w ścisłym kontakcie z generałem kubańskiej armii, określanym kryptonimem Zapata. Według dokumentów, lekarz kierował ugrupowaniem o nazwie Los Secretos Seis złożonym z wysokich rangą cywilnych pracowników kilku ważnych ministerstw, którzy mieli przejąć władzę w swoich pionach po wybuchu rewolty.

Christian bardzo się zdziwił, ujrawszy nazwisko chirurga w papierach, gdyż nie potwierdził jeszcze oficjalnie

swojego udziału w misji prezydenta Wooda. Oczywiście zamierzał to zrobić, teraz jednak przyjął z zaskoczeniem, że ludzie prezydenta tak na ślepo chcieli wysłać go na pierwszą linię frontu. Tłumaczył sobie, że przecież nigdy nie wiadomo, czego się spodziewać po oficerach z wywiadu wojskowego. Wiedział coś na ten temat, skoro CIA wykorzystywała dwie firmy należące do Everestu jako przykrywkę dla swoich działań. Między innymi opłacała działających za granicą agentów terenowych, wykorzystując konta tychże przedsiębiorstw do przelewania pieniędzy. Stąd też nabrał podejrzeń, że występujące w papierach nazwisko chirurga wcale nie musi być prawdziwe. Nie wykluczał nawet, że Wood chce go wykorzystać do zamydlenia oczu, w nadziei, że tajne dokumenty zostaną wykradzione z gabinetu Chrisa, a psy gończe ruszą w niewłaściwym kierunku.

Jeszcze bardziej uderzyło go to, że w papierach określano nawet miejsce jego spotkania z Padillą, to znaczy Miami. Koniecznie musiał to zmienić. A więc wciągnąć w sprawę Quentina Stilesa. Nikt nie powinien aż do ostatniej chwili znać prawdziwego miejsca spotkania i tylko Quentin mógł o to skutecznie zadbać. A już z całą pewnością nie mogło to być Miami. Kto wiedział, ile osób miało dostęp do tych dokumentów? Jeśli Deksowi Kelly'emu i prezydentowi nie spodobały się takie metody działania, to mogą zrezygnować z jego pomocy. Był gotów podjąć ryzyko, ale na pewno nie w tak głupi sposób.

Ledwie zdążył zamknąć szufladę, a więc trochę wcześniej, niż przypuszczał, uchyliły się drzwi gabinetu i do środka zajrzał Marshall. Nie umiał ocenić, czy poniosła go wyobraźnia, ale wydawało mu się, że tamten

ważnym spojrzeniem obrzucił jego rękę, nim zdążył ją unieść znad zamka szuflady.

- Wejdz, proszę - rzekł, wskazując krzesło stojące przed biurkiem i jednocześnie chowając do kieszeni klucz od szuflady. - Usiądź.

Marshall był starszy od niego, miał pięćdziesiąt jeden lat, i nigdy nie ukrywał, iż nie czuje się dobrze z tym, że musi odpowiadać przed człowiekiem młodszym o osiem lat. Wyglądał na swój wiek, był szczupły i wysoki, nosił się dystyngowanie, włosy miał całkiem siwe. Jeszcze rok temu osiągał w pracy niezłe rezultaty. Należące do Eve- restu przedsiębiorstwa, za które odpowiadał, miały przyzwoite wyniki finansowe i choć nie rokowały tak spektakularnych dochodów jak Laurel Energy, to jednak zawsze trafiały w jedyńki lub dwójki, jak powszechnie nazywano w ich biurze dobre, lecz niewyróżniające się efekty.

- Jak się miewasz, Jim?

- Dobrze, dziękuję - odparł Marshall wyraźnie spiętym głosem.

Chyba domyślał się już, co go czeka.

Jeszcze zanim usiadł na krześle przed biurkiem, Christian po raz kolejny zadał sobie w duchu pytanie, jakim cudem w ciągu ostatnich paru miesięcy Marshall i Allison aż tak bardzo się do siebie zbliżyli. Nic nie mógł na to poradzić, że mimowolnie odczuwał ukłucia zazdrości. Allison miała rację, zdecydowanie za mało poświęcał jej ostatnio uwagi. Nie miał pojęcia, czy nie szukała tejże uwagi u kogoś innego, czy nie łączyło ją z Marshalllem coś więcej poza kontaktami służbowymi, nie mówiąc już o tym, że nie wiedział, czy nie znalazła sobie kogoś na stałe. Przypomniawszy sobie, że przy kilku okazjach nadmieniała o swojej słabości do starszych, dobrze wyglądających mężczyzn. Marshall do takich się właśnie zaliczał. Zdaniem Christiana był trochę za sztywny, nie zmieniało to jednak faktu, że mógł się podobać wielu kobietom.

- Dzięki, że przyszedłeś - rzekł.

- Nie ma za co. - Marshall z wyraźnym zakłopotaniem poprawiał sobie mankiety koszuli, dopóki nie uznał, że nie wystają zanadto z rękawów marynarki.

Zawsze ubierał się elegancko. Tego dnia miał na sobie błękitną koszulę z białym kołnierzykiem i francuski

mi mankietami, zapiętymi na sportowe spinki, spodnie na szelkach, krawat w drobną kratkę oraz popielatą marynarkę w delikatne kremowe prążki. Jak na gust Christiana był to zbyt pstrokaty zestaw. On wolał proste

stroje w pastelowych odcieniach i unikał rzucających się w oczy dodatków.

- Rozdzielam dzisiaj premie ze sprzedaży Laurel Energy - oznajmił.

Marshall przytaknął ruchem głowy.

- Tak, wiem. W biurze nie mówi się już o niczym innym. Nikt się za bardzo nie rwie do pracy, wszyscy już tylko czekają na swoje czeki. - Ruchem ręki wskazał drzwi gabinetu. - Ludzie są podnieceni, ja także. W końcu te premie ze sprzedaży to jedyny powód, dla którego przeszedłem do Everestu, rezygnując z dalszej kariery w firmie Kohlberga Kravisa i Robertsa. - Wymienił konkurencyjną prywatną spółkę inwestycyjną z Manhattanu. Musiał zrezygnować ze swoich udziałów w jej funduszach, przechodząc do pracy w Evereście. - Zostawiłem tam sporo forsy na stole, Christianie, decydując się na rezygnację z gry - dodał, podnosząc nieco głos. - Nie był to jakiś szczególnie duży udział, ale nawet najmniejszy kąsek Kohlberga Kravisa i Robertsa przypomina główną wygraną w totolotku. Nie wspomnę już o tym, że rozzłościłem parę osób, składając rezygnację. Nie wątpię, że nie ma dla mnie drogi powrotu do nich.

Marshall starał się uzasadnić swoją pozycję, co tylko wskazywało, że faktycznie spodziewa się złych wieści. Próbował w miarę możliwości utrudnić Christianowi decyzję co do pozostawienia go na lodzie w kwestii podziału zysków ze sprzedaży Laurel Energy.

- Jim, chciałbym, żebyś...

- Poza tym mam dzieciaka w college'u, a ostatnio...

- Rozwiodłeś się - wpadł mu w słowo Gillette.

Tamten przygarbił się na krześle, jakby chciał powiedzieć o czymś innym, jakby nie zamierzał ujawniać przed szefem faktu rozwodu i odebrał z zaskoczeniem, że ten już o nim wie.

- Słyszałem o tym - wtrącił Christian.

- Od kogo? - zaciekał się Jim.

- Takie sprawy trudno utrzymać w ścisłej tajemnicy. Plotki rozchodzą się szybko, pewnie dobrze o tym wiesz.

- Do diabła, Allison powiedziała ci o moim rozwodzie?

- Nie - odparł spokojnie, gdyż nie chciał obarczać jej winą za całą tę historię. - Jim, nie dostaniesz ani grosza z zysków ze sprzedaży Laurel - dodał szybko, wychodząc z założenia, że złe wieści najlepiej jest ujawnić jak najszybciej, nie trzymając rozmówcy w niepewności.

Marshall na kilka sekund zapatrzył się na niego z wybałuszonymi oczami i rozdziawionymi ustami, jakby nagle utracił zdolność oddychania.

- To ma być żart?

- Nigdy nie żartuję w sprawach finansowych, Jim. Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, lecz obaj doskonale znamy ostateczne wyniki finansowe nadzorowanych przez ciebie firm. Te same słabe wyniki były powodem, dla którego obciąłem ci premię w lutym.

Marshall zazgrzytał zębami.

- Nie możesz mnie teraz zostawić bez grosza przy duszy, Christianie. Bardzo liczyłem na te pieniądze. W końcu coś mi się z nich należy.

- Dostaniesz za to pełnopłatny urlop, Jim. - Ta informacja podziałała na Marshalla jak zderzenie z pociągiem towarowym. Widać to było dokładnie po jego minie. Najpierw odmalowała się w niej wściekłość, potem przerażenie, wreszcie strach, a wszystkie te emocje odzwierciedlały się jedna po drugiej w ciągu paru sekund. - Musisz uporządkować swoje życie, a przede wszystkim odsunąć się od kieliszka. Zamierzam wysłać cię do jednego z najlepszych ośrodków odwykowych w tym rejonie, i to w całości na własny koszt. Dorzucę ci nawet ekstra trzysta tysięcy, żebyś miał na pokrycie bieżących rachunków w czasie pobytu

tu w ośrodku. Wiem o wszystkim, dlatego postanowiłem wyprowadzić cię z powrotem na prostą.

- Na prostą?! O czym ty mówisz, do diabła?!

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Stałeś się alkoholikiem.

Marshall pochylił się na krześle.

- Mój Boże... - szepnął. - Naprawdę jesteś aż tak chciwy? Nie masz jeszcze dość?

- Chwileczkę...

- Chcesz mnie pograć jakąś bajeczką na temat rzekomego pijaństwa, żeby zgarnąć należną mi część zysków ze sprzedaży Laurel Energy? Bo przecież tylko o to chodzi, prawda?

- Lepiej już nic więcej nie mów, Jim.

- W ten sposób wcale nie będzie to wyglądało źle - ciągnął podekscytowany Marshall, spoglądając na niego wyłupiastymi oczyma. - Tylko ile możesz na tej drodze zgarnąć dla siebie, Christianie? No, ile? Połowę? Czteryście pięćdziesiąt milionów?

- Nie biorę dla siebie ani grosza z tej puli. Ani centa.

- Gówno prawda! I tak dobierzesz się do tych pieniędzy, choćby przez jakieś instytucje charytatywne. Odpalisz im olbrzymie datki przed obiektami kamer, prawda? Żeby zjednać sobie opinię publiczną i

przekonać ciemny lud, jakim to jesteś wspaniałomyślnym facetem, mam rację? Zaraz w miesięcznikach pokroju „Time” ukążą się zdjęcia, jak przekazujesz potrzebującym czek na wysoką sumę. Ale tobie zależy wyłącznie na tym, żeby za kurtyną odzyskać darowane pieniądze co do centa i przelać je na własne konto, by móc kupić następny wiejski dworek albo coś w tym rodzaju.

Christian w pierwszej chwili chciał przekazać Jima ochroniarzom i spisać go na straty, ale szybko się opanował, przypomniawszy sobie, że zaprzeczenie jest najczęściej pierwszą reakcją na stresujące okoliczności.

- Może porozmawiamy później, kiedy trochę ochłoniesz...

Marshall poderwał się z miejsca i wrzasnął:

- Lepiej wypłać mi należną część, Christianie!

- Już ci przedstawiłem moje zamierzenia względem ciebie, Jim. Powinieneś się cieszyć, że nie zwalniam cię z roboty ze skutkiem natychmiastowym. - Christian popatrzył tamtemu prosto w oczy i choć w pełni zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego mówić, dodał: - Znalazłem twój schowek. Teraz obaj dobrze wiemy, że pijesz nawet w pracy.

- Zaglądałeś do mojego biurka?!

Otworzyły się drzwi i do środka zajrzała Debbie.

- Wszystko w porządku?

- Tak, wszystko gra, Deb - odparł szybko Christian, ruchem ręki nakazując jej zniknąć za drzwiami. - Zgadza się, zaglądałem do twojego biurka. Nie zostawiłeś mi wyboru.

- W takim razie będziesz musiał rozmawiać z moim adwokatem. Pogrążę cię, kutasie.

- Uspokój się - ostrzegł Christian, wyczuwając, jak narasta wściekłość jego rozmówcy.

Marshall uśmiechnął się kwaśno.

- Jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby poznać twoje mroczne sekrety, Christianie. Nie powinieneś w tak prosty sposób robić sobie zagorzałych wrogów.

Gillette podniósł się z fotela, nie spuszczając oczu z twarzy Marshalla.

- Jim, wracaj do swojego gabinetu i zajmij się pakowaniem rzeczy, które chciałbyś ze sobą zabrać. Poleciałem już Debbie, żeby w trakcie naszej rozmowy kazała dostarczyć do twojego pokoju kilka kartonowych pudeł. Zapakuj do nich rzeczy osobiste, a bezpłatnie dostarczymy ci je pod wskazany adres. Kiedy na dobre wygrzebiez się z tego pikantnego sosu,

będziesz mógł wrócić na swoje miejsce pracy w biurze Everestu.

Zapisał sygnał interkomu, ale Christian uznał, że Debbie chce tylko dać mu wymówkę do skrócenia tego spotkania. Mimo to wcisnęła klawisz łączności

-Tak?

- Odbierz telefon.

Sięgnął po słuchawkę, lecz z ociąganiem uniósł ją do twarzy, wciąż spoglądając na Marshalla, który śmiało odwzajemniał mu się tym samym. - Za chwilę sam dojdę z tym wszystkim do ładu, Deb. Nie ma potrzeby...

- Nie o to chodzi. Dzwoni ten człowiek - odparła szybko. - Ten sam, którego kazałeś mi łączyć niezależnie od okoliczności i pory dnia.

Skład Amtraka wyjechał powoli z dworca w Filadelfii, z brzękiem i turkotem przedzierając się przez labirynt rozjazdów w kierunku północnym, miotając przy tym pasażerami od jednej ścianki przedziału do drugiej. Na pewno znacznie lepiej i szybciej byłoby podróżować do Nowego Jorku ekspresem, lecz ostatnio Melissa przeżywała drobne kłopoty finansowe i musiała na jakiś czas zapomnieć o limuzynach i szampanie, do którego przywykła w Hollywood. Po prostu nie stać jej było na dodatkowe kilkaset dolarów, jakie musiałaby kosztować dopłata do biletu na miejsce w ekspresie. Jej zleceniodawcy wyrażali zgodę na niezbyt wygórowane miesięczne wydatki; gdyby przekroczyła wyznaczoną kwotę, musiałaby się z tego tłumaczyć. Nie obchodziło ich nawet, że część jej wydatków jest związana z koniecznością odgrywania roli Beth, jak chociażby dzisiaj. Dowiedziała się wprost, że na sowite wynagrodzenie może liczyć dopiero po zakończeniu całego zadania. Do tego czasu musiała się zadowalać skromną sumą pozwalającą tylko na przeżycie.

Nie znosiła takiej sytuacji, głównie tego, że jest od kogoś zależna, ale po prostu nie miała wyboru. Nawet tego popołudnia przed wyjazdem na dworzec dzwoniła do kilku hollywoodzkich agentów - mniej znanych, którzy jeszcze parę miesięcy temu daliby wszystko, żeby ją reprezentować - chciała bowiem sprawdzić swoją pozycję. Ale ża-

den z nich nie oddzwonił. Jednego nawet zastała w biurze, gdyż rozmawiając z sekretarką, słyszała w tle, że dopytuje się o jej nazwisko. Kiedy tylko je usłyszał, nakazał sekretarce natychmiast przerwać rozmowę. Jej ojciec musiał wszystkich skutecznie nastraszyć.

Popatrzyła przez okno na miejską zabudowę, wśród której pociąg z wolna nabierał prędkości, i zadała sobie w duchu pytanie, ilu mieszkańców tych

okolic widziało w telewizji jej wystąpienie po odebraniu Oscara. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze będzie miała szansę na odzyskanie utraconej pozycji. Tęskniła za Kalifornią. Tęskniła za tamtym życiem, beztroskim i bogatym, pełnym rozrywek i zabawy.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, jakby nagle otoczyła ją zimna mgła. Rozejrzała się szybko, biorąc to za oznakę czyjś natrętnego spojrzenia. Ostatnio dochodziła do coraz większej wprawy w rozpoznawaniu takich sytuacji i bezbłędnie wyczuwała, gdy ktoś jej się przyglądał. Zapewne przyczyniło się do tego tych parę przypadków z Santa Monica, kiedy to musiała uciekać przed prześladowcami. Teraz jednak nie zauważyła nikogo podejrzanego, jedynie starszą panią pod drugim oknem pochyloną nad jakimś czasopiśmie ilustrowanym.

Marshall siedział na brzegu hotelowego łóżka w samych bokserkach, kiedy rozległo się pukanie. Czekał dłużej na jej przyjście, niż się tego spodziewał, toteż naraz poczuł ulgę, a jednocześnie ogarnęło go podniecenie. Poderwał się z miejsca i człapiąc boso po dywanie, podbiegł do drzwi, otworzył je gwałtownie, złapał ją za rękę, wciągnął do środka i od razu przygwoździł swoim ciężarem do ściany obok dużego obrazu olejnego. Niemalże odruchowo wyszarpnął jej torebkę z rąk i rzucił na podłogę. Minęło sporo czasu, gdy ostatni raz czuł na wargach słodycz jej pocałunku wzmocnioną kwiatowym aromatem pomadki.

Wcześniej godzinę spędzili w barze na dole, racząc się martini i flirtując, póki nie doszli do porozumienia, że dobrze będzie się spotkać na górze. Na szczęście pospiesznie przyjęła jego propozycję.

Modny mały hotelik w TriBeCa oferował zaledwie sto pokoi i był wykorzystywany głównie przez turystów z Niemiec i Austrii, było więc mało prawdopodobne, by zauważył ich razem ktoś z Everestu, a zwłaszcza ten przeklęty łajdak Christian Gillette. Mimo to Marshall się uparł, żeby pojedynczo odeszli od stolika w najdalszym kącie sali, na wypadek, gdyby ktoś ich obserwował. Ostatnio coraz częściej zerkał przez ramię i sprawdzał, czy nie jest śledzony, gdyż miał ku temu ważne powody. O ile zdążył się zorientować, chodziło o sprawę wprost niezwykłą, znacznie poważniejszą, niż z początku przypuszczał. Nie miał okazji poznać zbyt wielu szczegółów, ale sposób zachowania jego tajemniczych zleceniodawców podsycił podejrzenia, a zarazem nakazywał wzmożoną ostrożność.

To, że tego popołudnia Christian skierował go na urlop, chyba nie było jedynie dziełem przypadku. Gillette musiał coś podejrzewać. Na pewno nie

przeważało szali tylko pijaństwo. Zwłaszcza że zrobił prawdziwe przedstawienie, nakazując swojej sekretarce, Debbie, odebrać mu klucz od drzwi wejściowych oraz kartę magnetyczną umożliwiającą dostęp do windy. Strata klucza ani trochę go nie zmartwiła, ponieważ miał w swoim mieszkaniu zapasowy, który kazał dorobić już jakiś czas temu. Jednakże utrata karty magnetycznej stanowiła pewien problem. Tydzień temu zamówił jej duplikat, obawiając się już wtedy, że Christian wyrzuci go z pracy, ale jeszcze go nie otrzymał. A przecież musiał zachować możliwość dostania się do biur Eve- restu, przede wszystkim po to, by mieć dostęp do biurka Gillette'a. Ludzie, którzy go najęli przed tygodniem, musieli bardzo szybko się dowiedzieć o jego przejściu na bezterminowy urlop. Musiał więc zdobyć coś, czym mógłby im udowodnić swoją przydatność.

Jęknęła, kiedy szybkim ruchem podciągnął jej prążkowaną spódnicę, zsunął majtki na bok i bez wahania wsunął w nią palec. Z nagłej rozkoszy aż wbiła mu paznokcie w kark, gdy tylko zaczął wykonywać palcem szybkie ruchy, pamiętając, co mówiła mu w barze na temat ulubionych sposobów pobudzenia seksualnego. Po chwili pociągnął ją w stronę łóżka, gwałtownie zdarł z niej ubranie, pchnął na gruby materac, wyskoczył z bokserków, uklęknął na brzegu łóżka, zarzucił sobie jej nogi na ramiona i wszedł w nią pospiesznie.

Wygięła ciało w łuk, odchylając głowę do tyłu i zadzierając brodę, przeciągnął więc językiem i wargami po jej szyi, po czym ugryzł ją lekko, aż głośno jęknęła i zaczęła się gwałtownie pod nim poruszać. Była piękna, toteż tym bardziej zapragnął dać jej nieopisaną rozkosz. Sam też gwałtownie pragnął spełnienia, które tak czy inaczej powinien tego popołudnia osiągnąć, lecz na razie musiał pamiętać o ważniejszej sprawie. Dzięki Bogu, w barze na dole flirtował z nią wystarczająco długo, żeby zdobyć jej pełne zaufanie. W dodatku wybrał na to spotkanie idealny dzień, gdy w biurze doszło do podziaku olbrzymiej premii z zysków. Nic więc dziwnego, że była podniecona jak latawiec na sprzyjającym wietrze, jeszcze zanim kelner postawił przed nią pierwszą lampkę martini.

Kochali się dość długo, z minuty na minutę stopniowo coraz mniej gwałtownie, spokojniej i łagodniej. W barze wypiła aż cztery kieliszki martini, była więc lekko wstawiona i zapewne niezdolna do osiągnięcia orgazmu na tym etapie. Nieraz już się przekonał, że choć z przyczyn całkiem odmiennych niż mężczyźni, to jednak kobiety także tracą tę zdolność pod wpływem alkoholu. Za to w odróżnieniu od mężczyzn, u których alkohol

wzmagał chęć na seks, kobiety rzadko miały takie ciągoty. Niemniej umiały się zadowolić przyjemnością z samego intymnego zbliżenia.

Marshall zaczął całować jej piersi, wodzić czubkiem języka wokół sutków i ssać je delikatnie, równocześnie wo

dząc palcami po dolnej części brzucha i wzgórku łonowym, co z kolei bardzo lubiła jego żona.

- Och, Boże... - pojękiwała, obsypując pocałunkami jego czoło. - Uwielbiam starszych i doświadczonych mężczyzn. Uwielbiam...

Później zaczął szeptać jej do ucha, jaka jest piękna, przez co nakłania go do robienia z nią różnych rzeczy, i jak często marzył o spotkaniu z nią już od pierwszych dni pracy w Evereście. Kiedy obcałował jej cały brzuch, ukłękął między nogami i przez dłuższy czas delikatnie dawkował jej rozkosz językiem, dopóki nie zaczęła głośno jęczeć i powtarzać, że dłużej już tego nie wytrzyma. Wtedy przekręcił ją na brzuch i pociągnął w górę, żeby przyjęła pozycję na czworakach, po czym znowu w nią wszedł. Tym razem poruszał się coraz szybciej i gwałtowniej, aż wyciągnęła się płasko na brzuchu z szeroko rozrzuconymi rękoma i nogami. Wtedy zwolnił, przystępując zarazem do delikatnego masowania jej karku.

Po pewnym czasie znieruchomiał i zasłuchał się w jej oddech, powolny i miarowy, niewrażliwy na jego poczynania. Zapadła w drzemkę. Chichocząc bezgłośnie, zsunął się z łóżka i podbiegł po dywanie do drzwi pokoju. Tu ukłękął i zaczął ostrożnie przeglądać zawartość jej torebki, nie chcąc niczego przesunąć. Wreszcie stwierdził z zadowoleniem, że kilkakrotne powstrzymywanie wytrysku bardzo mu się opłaciło, gdyż odnalazł kartę magnetyczną umożliwiającą dostęp do wind w budynku Everestu. Podniósł ją do oczu. Tak, miał swój upragniony element przetargowy, a przynajmniej coś, co stwarzało mu możliwość znalezienia takiego elementu.

Przeszedł na palcach w drugi róg pokoju, odchylił połą marynarki wiszącej na oparciu krzesła i wsunął kartę magnetyczną do wewnętrznej kieszeni. Pospiesznie wrócił do łóżka, obrócił kobietę z powrotem na wznak i zaczął ją delikatnie poklepywać po twarzy, póki się nie ocknęła, nie zatrzepotała powiekami i nie otworzyła szeroko oczu.

- Hej, zbudź się - rzekł.

Zdobył już to, czego potrzebował, teraz musiał się postarać o to, czego pragnął.

Melissa obudziła się gwałtownie, gdy pociąg mijał ekspres pędzący po sąsiednim torze z takim impetem, że aż zadygotała szyba, o którą opierała

głowę. Na szczęście została wybudzona z okropnego snu, w którym od nowa przeżywała tragiczne chwile sprzed ośmiu lat, gdy ojciec od nich odszedł. We śnie bezczelnie paradował przed nimi ze swoją kochanką, a okazała się nią jedna z jej przyjaciółek, z którymi świętowała u „Elaine's” tamtego wieczoru po odebraniu statuetki.

Gdy tylko odzyskała w pełni świadomość, znów opadło ją przecucie, że jest bacznie obserwowana, nie była jednak pewna, czy tym razem nie są to pozostałości złego snu. Mimo to zerknęła przez ramię i zwróciła uwagę na męczyznę odsuwającego drzwi przejścia do sąsiedniego wagonu, a więc zapewne idącego do baru, który tam się znajdował. Trudno było powiedzieć, jak długo się jej wcześniej przyglądał i kim w ogóle był.

Spojrzała na zegarek. Od Nowego Jorku dzieliła ją jeszcze godzina podróży. Przyszło jej do głowy, że będzie musiała często powtarzać sobie w duchu, żeby przypadkiem nie zakochać się w Christianie i traktować go tak samo jak amanta na planie filmowym, chociaż wiedziała już, że te jego łagodne szare oczy będą ją długo prześladować.

Aż jęknęła cicho i osunęła się niżej, rozłoszczona na samą siebie. Można było odnieść wrażenie, że tego popołudnia wszystko sprzysięgło się przeciwko niej.

Rozdział 12

Christian czuł się dziwnie, siedząc przy kolacji z kobietą prawdopodobnie o połowę młodszą od niego i w pełni zdając sobie sprawę, że mimo wszelkich prób ignorowania tego ma coraz większą ochotę nawiązać z nią romans. Jednocześnie był też w pełni świadomy, że bardzo go interesuje, czy jej również zależałoby na takim romansie.

Beth nie wypowiadała się w kwestii swojego wieku, raz zażartowała tylko, że bliska jest wyniku 3:0, on jednak oceniał, że mogła mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Podejrzewał, że stara się uchodzić w jego oczach za starszą, żeby różnica wieku nie wydawała mu się aż tak duża.

Beth nie zabierała też głosu w wielu innych sprawach. Może należałoby wręcz powiedzieć, używając określenia, które padło z ust Quentina w dalszej drodze autem do Waszyngtonu, że w ogóle była mało przystępna. Ledwie zdążyła wtedy wysiąść, a już rzucił uwagę, że odpowiadała wyjątkowo mało konkretnie. Uznał, że godzina spędzona w jej towarzystwie bardzo

przypominała mu przesłuchania schwytanych agentów obcego wywiadu. Co prawda, ani razu nie odmówiła wprost odpowiedzi na żadne pytanie, zawsze jednak zdołała skierować ich uwagę na coś innego, błyskawicznie przebijając piłeczkę z powrotem na ich stronę boiska i okraszając ją ciętą uwagą co do przyczyn ich niezwykłego zainteresowania jej skromną osobą. Zachowywała się po prostu tajemniczo, co sprawiło jedynie, że Christianowi wydała się jeszcze bardziej atrakcyjna. Musiał to szczerze przyznać przed samym sobą. Zatem była i piękna, i tajemnicza, a to połączenie czyniło ją nadzwyczaj urzekającą.

Wybrał na ten wieczór małą włoską restaurację na Upper West Side. Dobrze znał jej właściciela, któremu przed paru laty osobiście pożyczył sporą sumę na rozkręcenie tego interesu. Stąd też zawsze mógł liczyć na rezerwację stolika w rogu sali, ilekroć tylko zapragnął, gdyż przy nim nikt mu nie zakłócał spokoju. Nie było też niebezpieczeństwa, że któryś z kelnerów da znać fotoreporterowi z redakcji „Post” albo „Daily News”, mógł się więc nie obawiać, że niespodziewanie ujrzy w prasie swoje zdjęcie, jak wychodzi z restauracji w towarzystwie kobiety. W innych lokalach parokrotnie zdarzyły mu się już podobne sytuacje.

Ku wielkiej ucieście pracowników Everestu, a ku jego skrajnej irytacji, od kilku lat był regularnie umieszczany na gazetowych listach najatrakcyjniejszych kawalerów. Stąd też, podobnie jak inni mężczyźni z tej listy, bywał nękany przez natrętnych paparazzich, z których każdy chciał zdobyć pierwszeństwo w zdemaskowaniu towarzyszącej mu osoby. Nie przypominało to aż takiego zamieszania, jakie towarzyszyło pobytom na Manhattanie gwiazd filmu i znanych artystów estradowych, ale i tak było trudne do zniesienia.

Aż przeszył go dreszcz na myśl, że jego zdjęcie w towarzystwie młodziutkiej Beth mogłoby się ukazać w którejś z jutrzejszych gazet. A jeszcze większym obrzydzeniem przejęła myśl o krzykliwych nagłówkach w rodzaju „Gillette opiekunem młodzieży” albo „Kochanka czy córka?”. Inwestorzy Everestu przyjęliby to ze zdziwieniem, a on przez wiele miesięcy musiałby się przed nimi tłumaczyć.

Dlatego stale zadawał sobie pytanie, co właściwie tu robi u jej boku. Beth Garrison była co najmniej dwadzieścia lat od niego młodsza, a on w zasadzie nic o niej nie wiedział. Rzecz jasna, uwielbiał tajemnice, ale mógł ich poszukać w setkach różnych miejsc. Tu zaś, mimo względnego poczucia bezpieczeństwa, istniało jednak pewne zagrożenie, że ktoś go rozpozna i

natychmiast rozpuści plotkę. W takim wypadku również musiałby się tłumaczyć, także

przed Allison, dla której różnica wieku między nim i Beth nie byłaby w ogóle żadnym argumentem.

Oficjalnie nic go nie łączyło z Allison, jednakże oboje czuli do siebie głęboką sympatię i podobali się sobie nawzajem. Co prawda, żadne z nich nigdy nie wyznało tego drugiemu, lecz oboje byli świadomi istnienia takich więzi. Poza tym mieli niepisaną umowę, że nie będą się spotykać z nikim innym, a w każdym razie nie na stałe, bez wiedzy drugiej strony. Dlatego zmartwiło Christiana jej zainteresowanie warunkami rozwodu Jima Marshalla. I dlatego też miał uzasadnione podejrzenia, że Allison łączy z Marshalllem bliskie stosunki, może nawet romans, do czego ona nie chce się przed nim przyznać.

Doszło nawet do tego, że powiedział jej otwarcie, iż gdyby został wiceprezydentem u boku Jesse'a Wooda, zyskaliby idealną okazję, żeby nawiązać romans. Zażartował przy tym, że za osiem lat Allison mogłaby zostać pierwszą damą, gdyby mu się poszczęściło i wygrał wybory prezydenckie. Ale nic z tych planów nie wyszło, co przyjęła z dużym rozczarowaniem. On też się zmartwił, że przepadła okazja do zbliżenia się z nią, ale nie dał tego po sobie poznać, nie odezwał się ani słowem na ten temat. Tylko ze zdwojonym zapałem zakopał się w pracy.

W chwilach całkowitej szczerości przed samym sobą przyznawał, że stworzyłby wspaniałą parę, ponieważ Allison byłaby dla niego idealną partnerką życiową. Inteligentna, dowcipna, odpowiedzialna, szlachetna, mimo że wychowana w bardzo bogatej rodzinie, nie traktowała siebie nazbyt poważnie i nie pozwalała, by czynili to inni - krótko mówiąc, posiadała wszelkie zalety cenione u kobiet. Była dla niego naprawdę idealną partnerką.

Co zatem robił tu dzisiaj z Beth?

Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć, choć co do jednego nie miał złudzeń: bardzo wiele spodziewał się po tym spotkaniu. Przez całe popołudnie niecierpliwie spoglądał na zegarek, wskazówka minutowa zdawała się pełznąć od jednej rzymskiej cyfry do drugiej dużo wolniej niż normalnie, trzy razy zmieniał krawat, później przed czasem zakończył ważne spotkanie - o wiele wcześniej, niż należało to zrobić, gdyż nie osiągnęli porozumienia z zarządem jednej z firm należącej do Everestu. Niczego nawet nie próbował wyjaśniać, oznajmił tylko, że jutro będą musieli wrócić do przerwanej dyskusji. Jeszcze przed wyjściem z sali konferencyjnej dosłyszał,

jak jeden z wiceprezesów Everestu odezwał się do młodszego kolegi: „Christian rzadko się tak zachowuje”.

No cóż, ostatecznie tak samo rzadko był umówiony na kolację z dwudziestoletnią piękną. Rzecz jasna, nie była to jeszcze randka. Gdy w drodze do Waszyngtonu zbliżali się już do miejsca, gdzie Beth chciała wysiąść, rzuciła niby mimochodem, że w najbliższym czasie będzie w Nowym Jorku. Wtedy jemu niemal odruchowo wyrwało się zaproszenie na kolację. Przyjęła je od razu. W dalszej drodze musiał na ten temat wysłuchać wielu ciętych uwag Quentina, kilkakrotnie zwieńczonych stanowczym zaleceniem, aby odwołał to spotkanie, ale się do nich nie zastosował. Co stanowiło kolejny dowód na to, jak bardzo był zainteresowany dzisiejszym wieczorem. Bo zazwyczaj słuchał rad Stilesa. Przekonał się wielokrotnie, że ilekroć ich nie słuchał, później tego żałował.

Uznał zatem, że wszystko to wynikało tylko i wyłącznie z faktu, że podświadomie chciał sobie udowodnić, iż nadal wywiera urok na znacznie młodsze kobiety. Był niemal pewien, że podczas tego wieczoru zyska niezbitą dowody, jak mało mają ze sobą wspólnego, a więc kierowały nim tylko męskie mrzonki. Mimo to bardzo chciał znaleźć potwierdzenie tego, że młode kobiety pokroju Beth naprawdę mogą się nim interesować. Trudno mu było pogodzić się ze świadomością, że może się czuć zagrożony w tym zakresie, ale świadomie przyjmował, że nie wszystko jest już dla niego osiągalne. Mógł więc tylko łudzić się nadzieją, że usłyszy coś miłego, coś, co pozwoli mu się da

lej łudzić, że może liczyć na coś więcej poza tą kolacją, a co w pełni by go zadowoliło.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Naprawdę czuł się tak, jakby odtwarzał nie swoją rolę, ale dziwnym sposobem ta świadomość tylko bardziej go dopingowała do dalszych działań.

Przemknęło mu przez myśl, że proces przechodzenia w wiek średni jest znacznie trudniejszy, niż mógłby wcześniej przypuszczać. Jego ojciec parę razy wspominał

o tym w jego obecności, kiedy był o wiele młodszy, ale nie zwracał na to większej uwagi. Wtedy starał się przede wszystkim być miły dla ojca, a więc także wysłuchiwać w spokoju wszystkich jego monologów.

- Dziękuję - powiedziała Beth z uroczym uśmiechem, kiedy odsunął dla niej krzesło od stołu. - Jesteś takim dżentelmenem.

- W zasadzie powinnaś więc dziękować mojemu ojcu - odparł. - Miał

prawdziwego bzyka na punkcie dobrych manier, zwłaszcza w zakresie traktowania kobiet przez mężczyzn. To on nauczył mnie wszystkiego. Zawsze sądziłem, że powinien być się urodzić w bardziej rycerskiej epoce, a nie w dwudziestowiecznej Ameryce. To prawda, że czerpał wiele satysfakcji ze swojej pozycji bankiera inwestycyjnego, podejrzewam jednak, że lepiej czułby się w roli rycerza w lśniącej zbroi.

- Moja matka była bardzo podobna - powiedziała Beth, siadając. - Zawsze marzyła o tym, żeby być księżniczką zamkniętą w zamkowej wieży, której na ratunek przybędzie bohaterski książę. Tylko ojciec nie potrafił tego zrozumieć.

Christian po raz pierwszy wyłowił brutalną szczerość w jej słowach, a więc coś, czego nie słyszał ani razu podczas wspólnej podróży samochodem do Waszyngtonu.

I bardzo mu się to spodobało.

- To ciekawe, co mówisz. Moją matka nigdy nie zwracała uwagi na to, że ojciec otwiera przed nią drzwi, poma

ga jej zdjąć okrycie i zawsze zajmuje u jej boku miejsce od strony ulicy. Ją obchodziły tylko jego pieniądze.

- Moja mama nigdy nie dbała o pieniądze. Cała jej uwaga skierowana była na ojca.

Przez chwilę patrzyli sobie nawzajem w oczy. Do diabła, naprawdę była śliczna. Co prawda, zawsze wolał blondynki, na przykład Allison, i nie przepadał za brunetkami, zwłaszcza noszącymi włosy krótko przystrzyżone. Ale Beth wyróżniała się wśród nich, głównie oszałamiającą urodą. A już jej uśmiech był po prostu zabójczy. Do tej pory zanotował w pamięci co najmniej dziesięć różnych jego odcieni. Emocje większości znanych mu ludzi łatwo było rozpoznać po oczach, ale u Beth pierwszoplanową rolę grały usta.

- Mam wrażenie, że mój ojciec i twoja matka dobrze by się czuli ze sobą - rzekł z ociąganiem. - Jesteś bardzo ładna.

Delikatnie musnęła palcami jego dłoń, gdy siadał obok niej.

- Dziękuję.

- Czego się napijesz?

- Poproszę o lampkę caberneta.

- Dla pani proszę tego Rothschilda, którego sprzedajecie na kieliszki - rzekł, gdy do stolika podszedł kelner. Pamiętał, że Allison bardzo smakowało to wino, kiedy byli tu ostatnio jakieś pół roku temu.

- Oczywiście - rzucił chłopak z chytrym uśmieszkiem, nie omieszkawszy

prześliznąć się spojrzeniem po nogach Beth widocznych spod minispódniczki. - Ale będę musiał panią prosić o okazanie dowodu tożsamości, madam.

Christian zwrócił uwagę na zaciekawione spojrzenie kelnera, który ewidentnie łamał sobie głowę nad tym, co ich łączy. Czy był to ojciec z córką? A może szef z pracownicą? W każdym razie jego mina wskazywała jednoznacznie, że podejrzewa, iż jest między nimi coś więcej niż tylko chęć wspólnego zjedzenia przyjemnej kolacji.

Beth wzruszyła ramionami.

- Nie mam przy sobie dokumentów, Christianie. Zapomniałam je przełożyć z drugiej torebki i zostały w mieszkaniu, w którym się zatrzymałam.

Christian ruchem ręki przywołał właściciela lokalu, który wraz z szefem sali sprawdzał listę rezerwacji. Na sali mieściło się zaledwie dwadzieścia stolików, toteż korpulentny Włoch podszedł do nich szybko.

- O co chodzi, Christianie? - zapytał z silnym włoskim akcentem. - Potrzebna wam moja pomoc?

- Beth zostawiła dokumenty w drugiej torebce, Vincencie - wyjaśnił Gillette, wskazując dziewczynę. - Wybacz, że muszę cię o to prosić, ale...

- Nie ma sprawy - zapewnił pospiesznie restaurator, energicznie machając obiema pulchnymi dłońmi przed twarzą. - Biorę wszystko na siebie. - Chwycił kelnera pod rękę i odciągnął od stolika.

Beth pochyliła się ku Christianowi.

- Widzę, że możesz tu liczyć na pewne przywileje.

- Vincent mnie lubi.

- Bo jest twoim dłużnikiem.

- Na jakiej podstawie tak twierdzisz?

- Gdyby cię tylko lubił, poklepałby cię po plecach i powiedział, że inni restauratorzy ostrzegali go ostatnio przed wzmożonymi kontrolami tutejszej rady nadzoru dystrybucji alkoholu, toteż jest mu przykro, ale ma związane ręce i nie może podać mi wina wobec braku dokumentów, gdyż naprawdę się obawia kontroli. - Ruchem głowy wskazała kelnera, który szedł już w ich stronę, niosąc na tacy kieliszek czerwonego wina. - Tylko wtedy, gdy ludzie czują się twoimi dłużnikami, wręcz nie nadążają z czynieniem ci przysług. - Jeszcze raz wskazała ruchem głowy zbliżającego się młodzieńca. - A w dodatku kelner w jednej chwili przestał się gapić na moje nogi i przedzierzgnął się w naszego pokornego sługę.

Chłopak postawił przed nią kieliszek.

- Signorina.

- Dziękuję.

- Przepraszam za to drobne nieporozumienie - zwrócił się kelner do Christiana. - Osobiście zadbam o to, żeby państwu niczego dziś wieczorem nie brakowało. Absolutnie niczego. A co pan sobie życzy do picia?

- Poproszę butelkę wody mineralnej.

- Już się robi.

- Nie napijesz się ani odrobiny wina? - zapytała Beth, kiedy chłopak odszedł.

- Nie pijam alkoholu.

- Dlaczego?

Znowu przejmowała inicjatywę.

- Najpierw porozmawiamy o tobie. Sporo dyskutowałem na twój temat z Quentinem, kiedy wysiadłaś przy zjeździe z waszyngtońskiej obwodnicy, i doszliśmy wspólnie do wniosku, że jesteś prawdziwą mistrzynią unikania odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania.

- Dziękuję za uznanie. Teraz możesz mi już zdradzić, czemu w ogóle nie pijesz alkoholu.

Miała niezły tupet, tego nie można było jej odmówić. I zapewne potrafiła osiągnąć niemal wszystko, na czym jej zależało. Ale ta zadziorność miała podłoże seksualne, a towarzyszące mu lekkie wydęcie warg było fascynujące.

- Pewnego wieczoru, kiedy byłem jeszcze w szkole średniej, po wypiciu jednego piwa rozwalilem samochód ojca na przydrożnym drzewie i sam o mało nie zginąłem. Gdy doszedłem do siebie i byłem gotów znowu usiąść za kierownicą, odbyliśmy długą szczerą rozmowę. Ojciec nie domagał się ode mnie pokrycia strat i nie groził konsekwencjami karnymi, tylko opowiedział o swojej podobnej przygodzie, kiedy był w moim wieku. Dodał przy tym, że od tamtej pory nie wziął do ust ani kropli alkoholu. A ponieważ był człowiekiem sukcesu, zawsze słuchałem go z uwagą. I teraz tylko się z tego cieszę. - Skinął głową w stronę jej kieliszka - Ale nie mam nic przeciwko ludziom, którzy cieszą się z możliwości wypicia kielisz

ka wina. Czasami nawet im tego zazdroszczę. Nawet nie wiesz, jak często ledwie się powstrzymuję, żeby czegoś nie wypić. Ale przed laty dokonałem wyboru i twardo trzymam się tego postanowienia.

- Mam wrażenie, że twój ojciec miał na ciebie olbrzymi wpływ.

Przyszło mu do głowy, że musieliby przez resztę wieczoru mówić tylko o

tym, żeby zrozumiała, jak wielki w istocie był to wpływ.

- To prawda.

- Nadal często się widujecie?

- On nie żyje, Beth. Zginął dość dawno temu.

Kąciki jej ust opadły, a cała twarz wyraźnie się wydłużyła.

- Przykro mi.

Podziękował jej za ten wyraz współczucia, ale zaraz zwrócił uwagę, że wpatruje się w obraz wiszący na ścianie, tyle że pustym wzrokiem, zapewne błędząc myślami gdzieś bardzo daleko. Wydało mu się nawet, na krawędzi dolnych powiek zbiera jej się trochę za dużo wilgoci.

- Co się stało?

-Nic.

- Daj spokój, nie traktuj mnie w ten sposób. Przecież to dopiero początek naszego wspólnego wieczoru.

- Wreszcie wiem, skąd się bierze ta powszechna opinia o tobie. Ludzie mówią, że jesteś w stanie znieść wszystko

i zachowałbyś spokój nawet wtedy, gdyby wszystko dookoła się waliło i paliło. Ale według mnie, nikt nie potrafi oddzielić się aż tak grubym murem od otoczenia.

Znowu to samo. Po krótkim zastanowieniu doszedł do wniosku, że ta wyjątkowa umiejętność nakierowania z powrotem rozmowy na sprawy pytającego może być wynikiem działania jakiegoś nadzwyczaj rozwiniętego instynktu.

- Przynajmniej tak twierdzi większość ludzi wypowiadających się o tobie w prasie - dodała.

- Specjalnie szukałaś informacji na mój temat? - Równocześnie pomyślał, że jeśli tak, to nie zrobiła tego nazbyt starannie. W przeciwnym razie wiedziałaby, kim był jego ojciec i jak zginął. Cała prasa rozpisywała się na temat tamtej zagadkowej katastrofy lotniczej. - Przeglądałaś strony sieciowe?

- Oczywiście, zawsze wchodzę do sieci, gdy chcę się czegoś dowiedzieć na jakiś temat. Nie jestem dzieckiem, mam dwadzieścia dwa lata. Dorastałam wraz z rozwojem sieci. - Zawahała się, jak gdyby przestraszona, że mogło to zabrzmieć nieodpowiednio. - Nie twierdzą przy tym, że ty nie umiesz z niej korzystać.

No, przynajmniej powiedziała coś konkretnego o swoim wieku, co odebrał z radością, gdyż choć przez moment nie musiał sobie zaprzętać głowy tym, że jest od niego o połowę młodsza.

- Ale z pewnością nie jestem w tym aż tak dobry, jak ty - odparł - ponieważ, jakkolwiek na to patrzeć, mam aż czterdzieści trzy lata i nie wychowywałem się w ciągłym kontakcie z siecią.

- Nie zamierzałam cię urazić, chciałam tylko powiedzieć...

- Nic się nie stało. - Przez kilka sekund w zamyśleniu przesunął solniczkę po lnianym obrusie. - O czym konkretnie myślałaś, przyglądając się tej reprodukcji? - zapytał w końcu, wskazując obraz na ścianie. - I kiedy usłyszałaś, że mój ojciec nie żyje?

Pociągnęła łyk wina.

- Źle się czujesz w moim towarzystwie?

- Beth, zadałem ci pytanie, a ty...

- Naprawdę źle się czujesz? - powtórzyła z naciskiem.

- Dlaczego miałbym się źle czuć?

- Ze względu na różnicę wieku.

Spodobało mu się, że przeszła od razu do sedna rzeczy, chociaż wcześniej nagle zmieniła temat rozmowy.

- Nie jestem pewien. A ty?

Zachichotała, i to tak zaraźliwie, że po chwili i on zaczął się śmiać.

- Co cię tak rozbawiło?

- To, że nie chcesz mi powiedzieć, czy źle się przy mnie czujesz, ale zarazem aż się palisz, żeby mi to powiedzieć. - Sięgnęła przez stolik i zacisnęła palce na jego dłoni. - I to, jak boisz się przyznać, że jesteś mną zainteresowany, ponieważ obawiasz się, że ja wcale nie jestem zainteresowana tobą. - Ścisnęła jego dłoń. - Więc zacznę pierwsza, nawet jeśli miałabym się przez to poczuć, jakbym znowu stała w szkole przy tablicy.

Puścił do niej oko.

- Całe szczęście, że powiedziałaś „znowu”, bo już miałem obawy, że dowiem się dzisiaj, iż naprawdę nie zrobiłaś jeszcze matury.

- Bardzo zabawne.

- Wcale nie żartuję. Kiedy kelner przyjmował zamówienie, patrzył na nas takim wzrokiem, jakbym ja był ojcem, a ty opiekunką mojego dziecka.

Zaśmiała się w głos.

- Nieprawda. Dość tego - rzuciła stanowczo, domyślając się, że on chce zrobić następną żartobliwą uwagę. - Zrozum, że jesteś dla mnie bardzo pociągający, i to wcale nie z powodu tego, kim jesteś. Ani nie dlatego, że parę dni temu uratowałeś mi życie.

- Nie dlatego, że uratowałem ci życie? Chcesz powiedzieć, że jest jeszcze

jakiś inny powód?

Wstydliwie zerknęła na niego z ukosa.

- Może.

- Więc słucham.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem od góry do dołu.

- No cóż, sam twój wygląd byłby wystarczającą przyczyną - powiedziała z uśmiechem - ale coś jeszcze przykuło moją uwagę, gdy uciekaliśmy przez las. Prawdopodobnie wyraz twoich szarych oczu. Jeszcze nigdy u nikogo takich nie widziałam.

Słyszał to już wcześniej.

Beth wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, ale chyba właśnie o to chodzi.

- Czyżby?

- Jasne. Uwielbiam tajemnice. Lubię się zastanawiać, z jakich powodów ktoś wydaje mi się pociągający.

On też to lubił.

- Więc ty nie czujesz się nieswojo z powodu dzielącej nas różnicy wieku?
- zapytał wprost.

- Ani trochę. Już to mówiłam. Facet, z którym się spotykałam, przez co musiałam uciekać po lesie przed tamtymi zbirami, miał prawie pięćdziesiąt dwa lata. Lubię starszych mężczyzn.

To samo kilkakrotnie słyszał od Allison.

- Dlaczego? - spytał, zaciekawiony, czy wyjaśnienie również będzie podobne.

- Bo dokładnie wiedzą, czego chcą. Większość mężczyzn przed czterdziestką bynajmniej tego nie wie, jakby wciąż byli niedojrzali. Nie wiedzą też, jak należy traktować kobiety. Pod tym względem jestem bardzo podobna do mamy. Lubię być rozpieszczana.

Christian zapatrzył się na nią. Tak, odpowiedź była w zasadzie taka sama.

- Co sobie pomyślałaś, gdy powiedziałem, że mój ojciec nie żyje?

Puściła jego dłoń i cofnęła rękę.

- Nic.

- Nie wykręcaj się, Beth.

- Przecież ledwie się znamy.

Uzmysłowił sobie, że faktycznie posuwa się za szybko, ale miał to we krwi, gdyż nie lubił marnować czasu, który w jego pojęciu był aż nazbyt cennym towarem. Ciągle miał wrażenie, że mu go brakuje, że musi wciąż

nadrabiać stracone minuty. Zwłaszcza że wielkimi krokami zbliżał do tego wieku, w którym jego ojciec stracił życie.

- Przepraszam, ja tylko...

- Wspominałam swoją matkę z okresu, gdy ujawniła się jej choroba.

Sprytnie posunięcie, pomyślał Gillette. Powinien był się domyślić, że odpali coś aż tak ciężkiego kalibru. Zamknął na chwilę oczy. Przez cały dzień starał się zrozumieć psychikę kierowników działów nadzorujących przedsiębiorstwa należące do Everestu, żeby łatwiej móc ich zmotywować do dalszych starań, nagle jednak zapomniał, że podobnej analizy psychologicznej powinien dokonywać również tutaj. Umknęły mu oznaki tego, co nadciąga, ponieważ za bardzo starał się wpaść na trop możliwych powiązań.

- Na co zachorowała?

- Na raka piersi.

Skrzywił się.

- Przykro mi. - Wyjął z kieszeni marynarki białą złożoną chusteczkę do nosa i podał jej, dostrzegłszy pierwsze łzy staczające się po policzkach. - Jakie są rokowania?

- To faza terminalna. - Beth wzruszyła ramionami, jakby chciała w ten sposób pokazać, że jest silna. Wzięła od niego chusteczkę i jej rogiem suszyła sobie oczy. - Rak atakuje węzły chłonne w takim tempie, że te nie nadążają zwalczać jego komórek. Teraz przerzuty są już niemal wszędzie.

- Jezu...

- A mój ojciec rok temu zostawił ją dla innej kobiety. Jakiś miesiąc po tym, jak wykryto u niej raka. - Zajrzała mu uważnie w oczy. - Teraz zostałam jej tylko ja.

Christian śmiało popatrzył jej w twarz. Zobaczył w niej nagle małą beztroską dziewczynkę, która niespodziewanie stanęła wobec perspektywy najtrudniejszych przejść w swoim dotychczasowym życiu. Bezceremonialnie pchnął ją do zwierzeń, a ona uległa, chociaż nie miała na nie ochoty. Teraz więc musiał wziąć na siebie odpowiedzialność i przyjść jej z pomocą.

- Boję się, Christianie - dodała cicho.

- Wszystko powinno pójść jak z płatka, nie sądzisz, Vic- torio?

Kuśtykając, Lloyd Dorsey ruszył z powrotem przez duży pokój swojego waszyngtońskiego domu, niosąc dla niej szklaneczkę szkockiej whisky.

- Ja zyskam sposobność, żeby przegnać Jesse'a Wooda z Białego Domu, a ty przejmiesz wyłączną kontrolę nad Everest Capital. Nawet nie będziesz się

musiała martwić warunkami, jakie twoi ludzie powinni postawić Christianowi Gillette'owi. Allison Wallace zrobi wszystko, co jej każesz. - Podał Victorii Graham drinka i usiadł obok niej na zabytkowej sofie. - No i będziesz musiała się przejmować tą śmieszną ustawą o ubezpieczeniach zdrowotnych, którą Woods usiłuje przeforsować. Jak tylko wyjdzie na jaw skandal związany z interwencją na Kubie, będzie musiał zapomnieć o wszystkim innym. Znajdzie się w sytuacji polityka próbującego jedynie za wszelką cenę przetrwać, co i tak mu się nie uda. Osobiście tego dopilnuję. - Uśmiechnął się szeroko i uniósł szklaneczkę w toaście. - Za nas.

Trącili się lekko.

- Za nas - powtórzyła Graham. Nie mogła się uwolnić od myśli, że Dorsey jest tak diabelnie przystojny, a zarazem tak diabelnie charyzmatyczny. Wciąż podobał jej się tak samo, jak tamtego dnia na sali wykładowej Uniwersytetu Florydzkiego, kiedy to ujrzała go po raz pierwszy. - Owszem, brzmi to bardzo zachęcająco - przyznała i pociągnęła spory łyk trunku o pięknej miodowej barwie. - Jaki los czeka Christiana?

- Lepiej nie pytaj.

- Chciałabym wiedzieć.

- Po co?

Odstawiła szklaneczkę na stolik przysunięty do sofy.

- Przez lata zarobił dla mnie bardzo dużo pieniędzy.

Dorsey jęknął gardłowo.

- Przerabialiśmy to już wiele razy. Czy nie jest prawdą, że Gillette niemalże powiedział wprost komuś z twojej rady nadzorczej, iż jego zdaniem jesteś całkiem stuknięta, bo uważa, że powinnaś sztywno trzymać się przepisów prawa w kwestii tej inwestycji w Ohio?

Graham nie odpowiedziała.

- Vicky?

Przed kilkoma laty poprosiła Christiana, żeby kupił w jej imieniu pewne towarzystwo ubezpieczeniowe z Ohio, ostro konkurujące z MuPenn na kilku dużych rynkach, przez co malały jedynie zyski obu firm, jak wyjaśniła mu szczegółowo. Wcześniej występowała do komisji nadzoru z prośbą o zgodę na wykupienie przez MuPenn słabszego konkurenta, lecz spotkała się z odmową w obu stanach. Dlatego wymyśliła, że Christian mógłby kupić towarzystwo z Ohio w imieniu Everestu, co pozwoliłoby „zracjonalizować ceny usług” w obu stanach, jak mu tłumaczyła. Uzyskała nawet jego wstępną

zgode, że po dokonaniu zakupu przez Everest konkurencja MuPenn z Ohio nie będzie forsować swoich cen. Oznaczało to, ni mniej, ni więcej, podwyżkę cen i ich wyrównanie w obu regionach, gdyż nie było trzeciej firmy na tym terenie, która mogłaby im zagrozić. Oczywiście takie posunięcie było niezgodne z prawem, stanowiło jawne naruszenie Aktu Robinsona- -Patmana i było zagrożone karą wieloletniego więzienia.

Od strony formalnej żadna komisja nie mogłaby im niczego zarzucić, gdyby Everest dokonał takiego zakupu, ponieważ MuPenn było tylko szeregowym akcjonariuszem Everestu i nie miało żadnego wpływu na inwestycje spółki. Tak jej się przynajmniej początkowo wydawało, bo dopiero później dowiedziała się o istnieniu przepisów, na podstawie których władze federalne mogłyby ją oskarżyć, gdyby wyszły na jaw jej bliskie prywatne kontakty z Christianem. Tylko ten jeden raz poprosiła go o przysługę, ale on potraktował ją jak pierwszego lepszego intruza z ulicy, mimo że przez lata MuPenn zainwestowało kupę pieniędzy w fundusze Everestu. Jego reakcja rozwścieczyła ją do żywego, chociaż w żaden sposób nie dała tego po so

bie poznać. A on błyskawicznie domyślił się prawdziwych powodów, dla których zwróciła się do niego z nietypową prośbą.

Najpierw polecił swoim pracownikom dokonać analizy finansowej ewentualnego zakupu towarzystwa z Ohio, po czym oznajmił jej kategorycznie, że jest to wykluczone i nie życzy sobie dalszych dyskusji na ten temat. Naturalnie powiedział to innymi słowami. Niemniej do dzisiaj firma z Ohio tkwiła jej ością w gardle, gdyż uważała, że poprzez jej politykę zyski MuPenn są co kwartał regularnie zaniżone o kilka punktów procentowych. Wtedy jednak przede wszystkim uderzyło ją - a mówiąc szczerze, bezgranicznie zirytowało - to, że podczas jakiegoś przyjęcia Christian natknął się na członka zarządu jej towarzystwa i prawdopodobnie powiedział mu o tym, w jaki sposób próbowała obejść przepisy prawa. Miał rację, rzeczywiście chciała je obejść, nie oznaczało to jednak, że trzeba o tym informować ludzi z jej najbliższego otoczenia, wystawiając jej tym samym marną cenzurkę. Przygotowała się już nawet do wygłoszenia płomiennej mowy w swojej obronie na zamkniętym posiedzeniu zarządu towarzystwa, które odbyło się kilka dni później, ale nie było to konieczne, gdyż rada nadzorcza nie podjęła żadnych kroków przeciwko niej. Mimo to przez jakiś czas żyła w cieniu gradowej chmury, jaka zawisła nad jej głową.

- Cieszę się, że przyjechałaś - rzekł miękko Dorsey, pochylił się i

cmoknął ją w policzek. - Może dokończymy drinki na górze?

Obrzuciła go ostrym spojrzeniem, jak tylko się wyprostował.

- Wszystko dokładnie zaplanowałeś, prawda? Już wiesz, jak skompromitować Wooda, samemu wygrać wybory prezydenckie i dalej mnie uszczęśliwiać, bez konieczności utraty połowy majątku w sprawie rozwodowej. Jest pan bardzo sprytnym graczem, senatorze Dorsey.

Popatrzył na nią wzrokiem skarconego szczeniaczka.

- To był cios poniżej pasa, Vicky. Dobrze wiesz, że wkrótce zamierzam powiedzieć o wszystkim żonie. Tyle że nie mogę jej zniecka zaskoczyć wiadomością, że chcę rozwodu. Muszę ją stopniowo do tego przygotować, a najlepiej tak to załatwić, żeby nabrała przekonania, że to jej pomysł. Dlatego wolałbym, żebyś nie traktowała mnie jak...

- Och, przestań się w końcu uważać - syknęła, wstając z miejsca. - Lepiej już chodźmy. Sama nie mogę uwierzyć, że się na to godzę, ale nie potrafię ci się oprzeć.

Christian spojrział na zegarek, było wpół do dwunastej. Przed chwilą pożegnał się z Beth. Zaproponował, że ją podwożą, gdziekolwiek sobie zażyczy, ale odmówiła grzecznie, tłumacząc, że nie chce mu sprawiać kłopotu. On zaś wolał nie naciskać. Po wspólnej kolacji zostały mu miłe wspomnienia, nie było więc powodu, by niszczyć przyjemny nastrój. Przed rozstaniem umówili się luźno na kolejne spotkanie za kilka dni.

- I jak poszło, Romeo? - zaciekawiał się Quentin.

Zabrał go sprzed restauracji krótko po tym, jak Beth odjechała taksówką.

- Mam wrażenie, że już nigdy więcej się nie zobaczymy - odparł Christian, co Stiles przyjął z ogromną ulgą. - A w każdym razie nieprędko.

- Dlaczego? Co was poróżniło? Czyżby w czasie kolacji zadzwonił jej tata, żeby przypomnieć, że musi wrócić do domu przed północą? I przy okazji nabrał podejrzeń, że jest chyba młodszy od ciebie?

- Bardzo zabawne.

- No, mów. Co się stało?

- Nie miała pojęcia, kim byli Beatlesi.

Quentin z triumfalną miną wyrozumiale pokiwał głową.

- A nie mówiłem? Nie macie ze sobą absolutnie nic wspólnego, co nie?

Christian popatrzył przez boczną szybę należącego do Quentina bmw 760 na mijany właśnie Times Square, gdyż jechali Broadwayem w kierunku śródmieścia.

- Możesz to nazwać i tak, chociaż spędziliśmy przy kolacji cztery

godziny. Znasz mnie, odznaczam się cierpliwością pustego łóżka szpitalnego.

- Cha, cha, cha.

- Gdyby było aż tak oczywiste, że nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego, nie sądzisz, że wyszedłbym o wiele wcześniej, zaraz po pierwszym drinku?

- Więc co z tymi Beatlesami? - mruknął wyraźnie rozczarowany Stiles. - Jeśli dobrze pamiętam, mówiłeś...

- Daj spokój. Wie o Beatlesach znacznie więcej ode mnie. Może swobodnie rozmawiać o muzyce, sporcie, polityce, filmach. Także z naszego pokolenia. Jest wprost niesamowita.

- Czym się zajmuje?

Christian obejrzał się błyskawicznie, gdy przy wylocie ulicy Trzydziestej Szóstej Quentin wyprzedził taksówkę.

- Nie wiem. - Wieczór był tak miły, że zupełnie wyleciało mu z głowy, aby przyprzeć ją do muru w tej kwestii. Quentin jeszcze specjalnie dzwonił przed jego wyjściem do restauracji i przypominał, żeby koniecznie poruszył tematy, na które nie uzyskali odpowiedzi w czasie wspólnej podróży samochodem przez Maryland. Chodziło o tak podstawowe kwestie, jak to, skąd pochodzi, gdzie chodziła do szkoły i jak zarabia na utrzymanie. Ale dziwnym sposobem wszystko to uciekło mu z pamięci. - Doszedłem do wniosku, że sam znajdziesz odpowiedzi na te pytania.

- No więc nie znalazłem - burknął Quentin. - Nie znalazłem w ogóle niczego na temat Beth Garrison. W każdym razie tej Beth Garrison.

- Kontaktowałeś się ze swoimi znajomymi z Waszyngtonu?

- Jeszcze nie, ale na pewno to zrobię.

- A co z gliniarzami z Marylandu, którzy wtedy przesłuchiwali nas po kolei?

- Próbowałem coś od nich wyciągnąć. W końcu i tak dotrę do ich raportu, ale potrwa to trochę dłużej, niż sądziłem. W każdym razie nie byli za bardzo wylewni. - Pokręcił głową. - I to mi się nie podoba. A jeszcze bardziej nie podoba mi się to, że nie można znaleźć absolutnie żadnych informacji na jej temat.

Christian machnął ręką.

- To nic wielkiego. Pewnie pochodzi z jakiegoś małego miasteczka, przyjechała do Waszyngtonu w nadziei urozmaicenia monotonnego życia i wplątała się w coś, co ją przerosło. Podejrzewam, że jest sekretarką w którejś ambasadzie albo coś w tym rodzaju. I mam wrażenie, że powinieneś zacząć

znacznie bardziej martwić się tym. - Machnął ręką w kierunku śródmieścia, gdzie czekało ich potajemne spotkanie.

Nie mógł się uwolnić od myśli, że podczas dzisiejszej kolacji Beth dziwnym sposobem przypomniała mu jego przyrodnią siostrę Nikki, która zmarła przed kilkanaście laty. Wychowywali się razem i byli ze sobą blisko związani do chwili śmierci ojca, po której jego macocha Lana szybko odizolowała go od reszty rodziny. Spotkali się ponownie dopiero wtedy, gdy Nikki była już poważnie chora. Christian w całości pokrył koszty jej leczenia, gdyż nie była ubezpieczona, a Lana wymówiła się brakiem pieniędzy, co dla niego zabrzmiało prawie jak koszmarowy dowcip. Beth odznaczała się taką samą radością życia, jak Nikki, miała nawet podobne gesty. Uzmysłował to sobie już na samym początku, jak tylko zwrócił uwagę na sposób, w jaki unosiła lewą brew czy odchyłała lekko głowę do tyłu - dokładnie tak samo, jak czyniła to Nikki.

- Masz na myśli tego faceta z Camp David? - zapytał Quentin.

Christian zamknął na chwilę oczy, chcąc się uwolnić od natrętnych wspomnień z uroczej kolacji.

- Tego samego, który przekazał ci papiery, gdy skończyłeś rozmowę z prezydentem? - dodał natarczywie Stiles.

- Owszem. - Debbie przerwała mu spotkanie z Jimem Marshalllem, by go powiadomić, że ów niezwykle rozmówca czeka przy telefonie. Sam kazał jej łączyć rozmowy z nim, niezależnie od pory dnia i sytuacji, uzasadniając, że teraz to dla niego najważniejsze. - Chodzi o Deksa Kelly'ego.

- Powinniście ustalić jakiś pseudonim czy coś w tym rodzaju, a nie posługiwać się nazwiskiem. Ludzie dość szybko zapominają rysy twarzy rozmówców, a przecież wkrótce zrobi się naprawdę ciemno.

- Tego typu nazwisko świetnie spełnia swoją rolę. Poza tym nie sądzę, abym go zapomniał. - Kelly rzeczywiście odznaczał się wyglądem, który głęboko zapada w pamięć. Ciemne oczy, proste i gęste czarne brwi, ostre rysy twarzy z zadartym nosem, wąskimi wargami, lekko zapadniętymi policzkami i wysłużoną spiczastą brodą z głębokim dołkiem. Był starszy od Gillette'a, prawdopodobnie przed sześćdziesiątką, z wydatnym brzuchem wylewającym się z nad paska spodni. - Szybko się zorientuję, jeśli zjawi się ktoś inny. W dodatku będziesz w pobliżu. Zajmiesz się nim, gdybym wpadł w jakieś kłopoty.

Quentin z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Ci ludzie to najlepsi fachowcy. Wcale nie jestem pewien, czy zdążę się

w porę zorientować.

- Tylko dlaczego ludzie z otoczenia prezydenta mieliby mnie wrabiać w tę aferę już na tym etapie?

- O ludzi z otoczenia prezydenta martwię się najmniej. Prawdę mówiąc, w ogóle się nie martwię ludźmi z naszych władz.

Christian podjął decyzję na własną rękę i opowiedział Quentinowi o przebiegu spotkania z prezydentem Woodem w Camp David. Zrobił to jeszcze tego samego popołudnia, kiedy wcześniej uprzedził go o konieczności poddania się szczegółowej kontroli. Zresztą uczynił to z wielką ulgą. To, co się wydarzyło w drodze powrotnej z Camp David, naprawdę nim wstrząsnęło. Policjanci z Marylandu

natychmiast ukuli teorię, że wydarzenia w lesie naprawdę dotyczyły jego, a nie Beth, i to dało mu do myślenia.

- O co ci chodzi? Masz na myśli...

- Jasne, że Kubańczyków - wpadł mu w słowo Quentin. - Martwię się tym bardziej, że w materiałach, które dostałeś od Kelly'ego, było bardzo dużo ściśle tajnych informacji. A przecież sam mówiłeś, że nie wyraziłeś ostatecznej zgody na swój udział w akcji organizowanej przez prezydenta Wooda. Podejrzewam więc, że Kubańczycy mogli dostać analogiczne dokumenty dotyczące ciebie. Świadczyłoby to wyraźnie, że w sklepiku prowadzonym przez Dexa Kelly'ego panuje nieopisany bałagan.

~ Wątpię, by ktoś jeszcze uzyskał wgląd w te papiery.

- Dlaczego?

Christian wzruszył ramionami. Nie umiał jeszcze określić, jak dobrzy albo jak kiepscy są ludzie z najbliższego otoczenia prezydenta Wooda. Nie miał nawet pojęcia, czy Dex Kelly służy w Secret Service, w CIA czy w jeszcze innej agencji, nic zatem dziwnego, że nie mógł powiedzieć nic na temat jego fachowości.

- Jedno mogę powiedzieć na pewno. Do waszego pierwszego spotkania z pewnością nie dojdzie w Miami - oznajmił stanowczo Quentin. - Zwłaszcza że wiemy już, że informacje o nim zostały zawarte w pisemnej notatce. Prawdę mówiąc, mnóstwo osób mogło mieć do niej dostęp.

Christian skwitował to uśmiechem. Bardzo dobrze znał Quentina.

- Zrozum, pakujesz się w bardzo niebezpieczną rozgrywkę - ciągnął tamten. - Osobiście odradzałbym ci jakikolwiek udział w tej awanturze. Radziłbym nawet, żebyś trzymał się od niej tak daleko, jak to tylko możliwe, i ograniczył się do spraw, na których się znasz, to znaczy zarządzania

inwestycjami Everest Capital. Przysporzyłbyś tylko mnie i pozostałym wspólnikom więcej pieniędzy, jak te czterdzieści miliony dolarów, które właśnie zarobiłem

na sprzedaży Laurel Energy. - Zawahał się na krótko. - A mówiąc poważnie, trudno przewidzieć, co się wydarzy na Kubie i jak zareaguje większość Kubańczyków, gdy zostanie ujawnione nasze zaangażowanie w przewrót. Muszą mieć paranoję zaszczerpioną w genach, skoro aż w takim zakresie kontrolują wszystkie instytucje państwowe, świadomi przecież, że każdy prezydent Stanów Zjednoczonych, niezależnie od tego, republikanin czy demokrata, będzie podejmował próby ingerencji w ich sprawy. Na wyspie jest zdecydowanie za dużo polityków. I chociaż Chińczykom nie w smak nasze bliskie stosunki z Japonią, to jednak trzeba by mieć zapaść psychiczną, żeby twierdzić, że z tego powodu Chiny od razu zaprzyjaźnią się z Kubą, zwłaszcza teraz, gdy już od piętnastu lat Związek Radziecki nie ingeruje w sprawy tego regionu. Zdążyliśmy się oswoić z myślą, że Kuba bez sowieckiej pomocy nie jest dla nas żadnym zagrożeniem. - Zaczął zwalniać, gdyż na skrzyżowaniu z Canal Street zapaliło się czerwone światło. - Mało dbam o pieniądze, Chris - rzekł jeszcze poważniejszym tonem. - Na pewno dobrze o tym wiesz. Tak samo niewiele obchodzi mnie czterdzieści milionów, jak i czterysta milionów. Ale martwię się o ciebie. To naprawdę niebezpieczna misja.

- Będę bardzo ostrożny, możesz mi wierzyć.

- Wiara to zdecydowanie za mało - odparł Stiles, przyspieszając znowu, ponieważ zapaliło się zielone światło.

- Poradzę sobie.

- Jak powiedziało małe dziecko, wchodząc do gęstego lasu.

- Przekonałeś się już, że umiem walczyć. Widziałeś na własne oczy...

- Ale teraz będziesz miał do czynienia z ludźmi nie tylko pragnącymi cię zabić, Chris, ale w dodatku ciemnymi, pozbawionymi dostępu do informacji. Jeśli cię złapią, będą chcieli się dowiedzieć, z kim współpracujesz, i nic ich nie powstrzyma, żeby wydobyć z ciebie te informacje.

Pozwolą ci umrzeć dopiero po długim namyśle, bo o takich rzeczach wie u nich nawet najmniej doświadczony osobnik. Ostatecznie dostaniesz kulkę w łeb i wylądujesz w nieoznakowanym grobie gdzieś w głębi kubańskiej dżungli, żeby nikt nigdy nie odnalazł twoich szczątków. Czy na pewno dobrze rozumiesz, o czym mówię? Mam na myśli tortury.

Christian podniósł wzrok. Przejeżdżali przez TriBeCa, byli w pobliżu

dzielnicy finansjery, minęli właśnie gmach Woolwortha. Przyszło mu do głowy, że wciąż żywi w sercu sentyment do Jesse'a Wooda za to, że chciał go wynieść do rangi wiceprezydenta, ale zarazem czuje żal, że tamten zmienił zdanie, jak tłumaczył mu to Quentin w podróży samochodem przez Maryland. Faktycznie nominacja Wooda podsyciła jego ambicje, tym większy więc przeżył zawód, gdy prezydent nagle zmienił zdanie. Zwłaszcza że naprawdę wiele Christianowi zawdzięczał. Więc może oto nadszedł właśnie czas, aby wykazać Woodowi, że popełnił błąd, że powinien był jednak przeforsować kandydaturę Gillette'a na wiceprezydenta. Może w całej tej ryzykownej eskapadzie dla niego liczyła się tylko ta możliwość.

- Myślisz, że próbuję wykazać Jesse'owi, jak bardzo się pomylił, rezygnując z mojej kandydatury? Myślisz, że tylko o to mi chodzi?

Quentin rozglądał się uważnie na boki,

- Niewykluczone.

- Skręć w lewo na wysokości kościoła Świętej Trójcy - rzekł Christian. Nawet nie przyszło mu do głowy, że Quentin może nie wiedzieć dokładnie, gdzie znajduje się Wall Street. Biura Everestu mieściły się w śródmieściu, zatem Stiles rzadko bywał w tej okolicy. Za to on mógłby się tu poruszać z zawiązanymi oczami. Zaczynał karierę w firmie Goldmana i Sachsa, która miała siedzibę przy Broad Street tuż za skrzyżowaniem z Wall Street, niedaleko gmachu nowojorskiej giełdy. - Kościół trudno przegapić.

- Wiem, gdzie to jest - burknął Quentin.

Christian wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie wątpię.

- Otóż to, właśnie dokładnie o to mi chodziło. Nie mam cienia wątpliwości, że pragniesz coś udowodnić Jesse'owi. Podobnie jak chciałeś coś udowodnić samemu sobie, umawiając się na dzisiejszy wieczór z Beth. Moim zdaniem próbowałeś sam siebie przekonać, że smarkula, która ledwie wyszła ze szkolnej ławki, może cię uznać za atrakcyjnego partnera, czyli że nadal podobasz się młodym kobietom. Prezydentowi zaś chcesz udowodnić, że popełnił błąd.

- Chrzanisz. I to w obu sprawach.

- Tylko mi nie odpowiadaj, że chrzanię, przyjacielu. Sam doskonale wiesz, że to prawda. - Quentin dostrzegł po prawej kościół Świętej Trójcy i niemalże sąsiadujący z nim piętrowy garaż.

Może to i prawda, że podświadomie chcę coś udowodnić Jesse'owi, pomyślał Christian, który za nic w świecie by się do tego nie przyznał. Był

bowiem inny, znacznie ważniejszy powód, dla którego zdecydował się podjąć tak olbrzymie ryzyko. Chciał mieć swój udział w jakiejś poważnej, głośnej sprawie. Sprzedaż Laurel Energy, mimo ogromnego zysku, nie przyniosła mu już tak wielkiej satysfakcji, w zasadzie przyczyniła się tylko do zwiększenia stanu jego konta bankowego. Pragnął czegoś więcej, szukał sposobu na zaspokojenie psychicznego głodu. Oczywiście to też był jego problem, gdyż zawsze pragnął więcej i więcej. Miał to już od dzieciństwa. Ale w tym wypadku chodziło o drobny udział w zmianie biegu historii. Aż zacisnął powieki, nie chcąc okazać Quentinowi, że przyprawił go o frustrację. Przemknęło mu przez myśl, że z wiekiem podobne pragnienia staną się wręcz nie do wytrzymania.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego nie podzielał twoich obaw?

Stiles zerknął na niego przez ramię.

- Dlaczego?

- Ponieważ będziesz mi towarzyszył na każdym kroku. I będziesz musiał zaaprobować każde moje posunięcie.

Dzisiaj powiem to Deksowi Kelly'emu. Jeśli mu się ten pomysł nie spodoba, wycofam się ze sprawy. Nie będę chciał mieć z nią nic do czynienia. A więc wiesz już, jak bardzo ci ufam.

Quentin wychylił się z fotela i poklepał go po ramieniu.

- W końcu musisz mi ufać.

- Wiem o tym.

- Obiecuj mi, że naprawdę powiesz dzisiaj o tym Kelly'emu.

- Bez dwóch zdań.

- Świetnie. Od razu czuję się lepiej.

- Tak myślałem.

Quentin skręcił w bramę całodobowego parkingu, zatrzymał wóz przed budką obsługi, podał chłopakowi kluczyki i obaj wysiedli.

- Nie na długo - rzucił tamtemu przez ramię. - Wrócimy najdalej za godzinę.

Po wyjściu z parkingu Christian poszedł przodem, dotarł Broadwayem do skrzyżowania z Wall Street i skręcił w prawo, w wąską boczną uliczkę. Kiedy jeszcze pracował u Goldmana Sachsa, uwielbiał przyprowadzać tu przyjaciół ze śródmieścia, ponieważ wszyscy z niedowierzaniem przyjmowali widok tego zaułka. Wszyscy zakładali, że Wall Street to szeroka przelotowa arteria w rodzaju Park Avenue czy Fifth Avenue, ale na tym odcinku była tak wąska, że nawet małym samochodem trudno było

przejechać obok stojącej przy krawężniku dostawczej ciężarówki.

Ruszył na wschód, w stronę budynku giełdy, potem przeszedł na północną stronę ulicy i przy Federal Hall skręcił w lewo, po czym znowu przeszedł na pogrążoną w mroku stronę przecznicy. Mniej więcej w połowie długości кварталу spostrzegł w półmroku sylwetkę człowieka opartego ramieniem o ścianę budynku. Zapadł zimny wczesnowiosenny wieczór i tamten był ubrany w długi gruby trenecz. Gdy Gillette podszedł bliżej, od razu rozpoznał w nim Deksa Kelly'ego.

- Witaj, Christianie. - Kelly wyciągnął do niego rękę. - Dziękuję, że zgodziłeś się na spotkanie w tak dziwnym miejscu. Ale tutaj o wiele łatwiej niż w śródmieściu można sprawdzić, czy nikt nas nie śledzi. Każdego dnia koło dziesiątej wieczorem te uliczki niemal się wyludniają.

Gillette rozejrzał się dookoła, podejrzewając, że Kelly musi mieć jakąś obstawę, ale nikogo nie dostrzegł.

- Nic nie szkodzi - odparł.

- Od tej pory nie możemy też omawiać żadnych ważnych spraw przez telefon - rzucił szorstko jego rozmówca, ujawniając niechcący swój lekki akcent z Nowej Anglii. - Rozumiemy się?

- Oczywiście.

- Przejrzałeś te dokumenty, które ci dałem w Marylandzie? - zapytał Kelly, zerkając podejrzliwie w głąb tonącej w półmroku uliczki.

To zabawne, jak niezwykłymi drogami docierają do człowieka różne skojarzenia, przemknęło Christianowi przez głowę. Nagle powędrowała bowiem myślami w zupełnie inną stronę, gdyż z niewiadomych powodów dopiero teraz uderzył go pewien szczegół. Przypomniał sobie odpowiedź Beth, gdy kelner poprosił ją o okazanie dowodu tożsamości. Wyjaśniła wtedy, że zostawiła dokumenty w drugiej torebce w mieszkaniu, w którym się zatrzymała. Było to całkiem wiarygodne tłumaczenie, jako że kobiety zazwyczaj zmieniają torebki przed wieczornym wyjściem na kolację w lokalu. I w tym wypadku byłoby wiarygodne, gdyby nie fakt, że Beth podjechała pod restaurację prosto z pociągu, z małą walizeczką na kółkach. Osobiście zatroszczył się o to, by córka właściciela odstawiła tę walizeczkę do szatni.

- Tak, przeglądałem.

Kelly zazgrzytał zębami.

- Było tam wiele tajnych informacji.

- Zauważyłem.

- Nawet takich, które nie powinny się tam znaleźć. Ponoszę za to pełną odpowiedzialność.

- Czyżby coś się stało?

- Zaszło drobne nieporozumienie. Byliśmy przekonani, że zgodziłeś się już wziąć udział w naszej akcji. Prezydent Wood czasami nieco wyprzedza fakty.

Teraz to Christian rozejrzał się podejrzliwie po wąskiej uliczce. Quentin musiał się ukryć gdzieś w pobliżu.

- Zgadzam się wziąć w niej udział. Możesz to przekazać prezydentowi. Na sto procent. - Odniósł wrażenie, że wychwytał drobny ruch ku dołowi sztywno wyprężonych dotąd ramion Kelly'ego oraz drobny uśmiezek, który na moment pojawił się na jego ustach.

- To dobrze. Zatem witamy na pokładzie. Pierwszy oficer twierdzi, że można ci w pełni zaufać.

Już podczas pierwszego spotkania w Camp David Kelly, mówiąc o prezydencie, użył tego samego określenia, „pierwszy oficer”.

- Osobiście także się cieszę - dodał tamten pospiesznie. - Gdybyś siedział w tym interesie tak długo jak ja, rozumiałbyś, że czasem nie ma innego wyjścia, jak na ślepo zaufać ludziom, choć przede wszystkim trzeba mieć zaufanie do własnych przeczuć. Można potwierdzać wszystkie fakty, szczegółowo prześwietlać każdego człowieka, lecz gdy przychodzi co do czego, należy wyłącznie polegać na własnym szóstym zmyśle. Intuicja najlepiej wie, jak odczytywać sygnały widoczne na twarzy człowieka.

- O jakim konkretnie interesie mówisz? - zaniepokoił się Christian.

- Chyba wiesz, co to za interes, prawda? Lepiej nie pogrywaj ze mną w ten sposób, młodzieńcze. Coś mi się zdaje, że chciałeś zapytać, w jakiej konkretnie gałęzi tego interesu się specjalizuję. Mam rację?

- Jasne.

- Otóż tego ci nie zdradzę, ale powiem coś innego. - Kelly podetknął Christianowi pod nos wyciągnięty ku górze palec. - Wiem, że masz doświadczenie w kontaktach z pewnymi instytucjami wywiadowczymi Stanów Zjednoczonych. Wiem o tym jeszcze z okresu, gdy sprawdzaliśmy cię szczegółowo, ponieważ pierwszy oficer chciał cię nominować na stanowisko wiceprezydenta. Otóż podczas tego sprawdzania wyszło na jaw, że musisz zdawać sobie sprawę, iż kilka przedsiębiorstw należących do Everestu jest wykorzystywanych jako przykrywkę przez CIA i DIA. - Kelly zachichotał. - Jak też przez jedną organizację, o której nic nie wiesz. -

Pochylił się w stronę Gillette'a. - Mówię o tym, żeby ci uświadomić, na jakim poziomie pracuję. Tak więc od tamtego sprawdzania wiem, że jesteś do pewnego stopnia zaznajomiony z operacjami wywiadowczymi agencji amerykańskich. Czy określenie „nanotechnika” z czymś ci się kojarzy?

Christian osłupiał. Wydawało mu się, że już zapłacił swoją cenę za kontakty z owym gniazdem żmij. Nie zamierzał do tego wracać, gdyż był przekonany, że tym razem musiałyby zapłacić o wiele wyższą cenę.

- Niczym się nie przejmuj, synu. Mnie to nie obchodzi. Ludzie, których wydałeś władzom, byli szumowinami. Można się tylko cieszyć, że wyeliminowałeś ich z gry. Chciałem ci jedynie dać do zrozumienia, żebyś mnie nie lekceważył. Czy to jasne?

Christian zawahał się na krótko, po czym burknął:

- Jasne.

- Świetnie. Zatem będziesz mi potrzebny w Waszyngtonie na początku przyszłego tygodnia. Ściślej biorąc, pod Waszyngtonem. Jako główny organizator akcji musisz być świadomy, że nie mamy czasu do stracenia. Dasz radę przyjechać? Muszę mieć twoje bezwarunkowe zobowiązanie.

- Tak, będę - odparł Christian, uzmysławiając sobie nagle z pełną mocą, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jednocześnie w jego myślach rozbrzmiały ostrzeżenia Quentina, które padły w samochodzie. Ostrzeżenia o zagrożeniach, jakie pociągał za sobą udział w akcji, a zwłaszcza o możliwości tortur, gdyby został schwytany na wyspie. - Proszę się o nic nie martwić.

- Doskonale. Od tej pory będziemy się porozumiewać szyfrem. - Kelly sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą, laminowaną plastikową kartę, pokrytą po obu stronach drobnym drukiem. - Tu są zdania, których masz używać w rozmowach telefonicznych i poczcie mejlowej. Obok każdego z nich znajduje się jego prawdziwe znaczenie. Tylko nie zgub tej karty. Nawet na chwilę nie spuszcza jej z oczu. Wsuwaj ją pod poduszkę, kładąc się spać. Rozumiesz?

- Owszem - odpowiedziała Christian, chowając kartę do kieszeni.

Kelly chwycił go pod ramię.

- Gdybyś ją zgubił, masz mnie o tym natychmiast powiadomić. Jasne?

-Tak.

- Poczta elektroniczna będzie do ciebie przychodziła spod adresu waszego przedsiębiorstwa z Minneapolis, a jako nadawca będzie podpisany J.R. Cook. Jasne?

- Tak. J.R. Cook - powtórzył Gillette, któremu przeszedł lodowaty

dreszcz po plecach. Sprawy posuwały się w zawrotnym tempie.

- Dobrze - mruknął Kelly znacznie łagodniejszym tonem, jak gdyby zakończył wreszcie oficjalną część spotkania. - Będziemy chcieli się z tobą skontaktować prawdopodobnie w najbliższy wtorek i środę.

- Tak, oczywiście. Jest jeszcze jedna sprawa. - Christian od razu wyczuł, że Kelly przyjmie to z niechęcią.

- Jaka?

- Mówiłem już prezydentowi, gdy rozmawialiśmy w cztery oczy, ale ty powinienesz to usłyszeć bezpośrednio ode mnie. Na wypadek, gdyby prezydent Wood zapomniał ci przekazać.

- O co chodzi?

- Jednym ze współników w zarządzie Everestu jest niejaki Quentin Stiles.

- Tak, wiem. Dopiero co skończyliśmy go dokładnie sprawdzać. - Kelly lekceważąco machnął ręką. - Ale i tak wiedziałem o nim znacznie wcześniej.

Christiana wcale to nie zdziwiło. Quentin cieszył się doskonałą reputacją w kręgach rządowych, choć już od paru lat niewiele miał z nimi wspólnego. Ale tacy ludzie jak Kelly musieli go doskonale pamiętać.

- Quentin będzie moim doradcą w tej akcji. Będzie znał ze szczegółami wszelkie aspekty naszych działań. Nie zrobię niczego, co nie spotka się z jego aprobatą. - Nawet w półmroku zalegającym wąską uliczkę Christian dostrzegł grymas irytacji, który przemknął po twarzy rozmówcy. - Mówię to całkowicie poważnie.

- To wykluczone. Nie mogę się zgodzić...

- W takim razie będę musiał zrezygnować. Możesz powiadomić o mojej decyzji prezydenta Wooda.

Kelly zamrugnął szybko.

- Czy dokumenty, które ci przekazałem, są w bezpiecznym miejscu? - zapytał ostro.

Jim Marshall pewnym krokiem minął stanowisko strażników w głównym holu biurowca. Nie było nic dziwnego w tym, że pracownicy Everestu, nawet członkowie zarządu, zjawiali się o tak późnej porze, toteż obaj strażnicy tylko skinęli mu głową na powitanie i ruchem ręki wskazali wolną drogę do windy, najwyraźniej nieświadomi tego, że Christian już umieścił go na liście urlopowanych. Marshall wcisnął guzik, sztywno skinął strażnikom głową, gdy otworzyły się drzwi windy, i wszedł do środka. Szybko wyjął kartę magnetyczną kobiety - która, jak miał nadzieję, nadal smacznie spała w

pokoju hotelowym - przeciągnął nią w szczelinie czytnika i uzyskał dostęp do piętra, gdzie znajdowały się biura Everestu. Właśnie ta karta była powodem, dla którego strażnicy nie poprosili go o wpisanie się do książki wchodzących. Jej użycie musiało pozostawić

trwały i wyraźny ślad w systemie komputerowym ochrony budynku, a Gillette prawdopodobnie sprawdzał owe zapisy codziennie rano. Ty kutasie, pomyślał Marshall na wspomnienie prezesa spółki. Niewykluczone, że zarządca budynku musiał mu nawet każdego ranka przysyłać wydrukowany raport, wskazujący wyraźnie, kto z personelu Everestu pracował do późna i czyje wejście albo wyjście po godzinach zostało zapisane w systemie. Aż zachichotał bezgłośnie, jadąc windą na górę. Mógł więc się tylko cieszyć, że to nie jego ślady pozostaną w rejestrach.

Winda wyhamowała i po chwili drzwi się otworzyły na głównym piętrze zajmowanym przez biura Everestu. Firma dysponowała pomieszczeniami na trzech piętrach, oprócz tego na dwóch niższych, ale winda zatrzymywała się tylko tutaj, stąd dopiero schodami można się było dostać na dół. Sięgnął po zapasowy klucz, który zabrał ze swojego mieszkania, i wsunął go do zamka. Błyskawicznie dostał się do środka i minąwszy rozległą recepcję, skierował się prosto do gabinetu Christiana mieszczącego się na końcu korytarza. Mimo zalegającego tu półmroku doskonale pamiętał, którzy wspólnicy zarządu i dyrektorzy zarządzający pracowali w znajdujących się tu pokojach. Minął gabinet Blaira, potem swój, wreszcie skręcił do sekretariatu i szybko przeszedł obok biurka Debbie.

- Naprawdę wyślesz mnie do ośrodka odwykowego? - mruknął pod nosem, zatrzymując się przed drzwiami gabinetu Gillette'a. Wyjął z kieszeni zestaw wytrychów i dodał: - Prędzej pożałujesz, że w ogóle ze mną zadarłeś.

Jedna z nadzorowanych przez niego firm należących do Everestu była największym producentem narzędzi w Stanach Zjednoczonych. Kilka tygodni wcześniej, gdy był z wizytą w jej centrali w Stamford, w Connecticut, odebrał krótką lekcję posługiwania się wytrychami od jednego z głównych hurtowników wyrobów tej fabryki. Powiedział mu, że zawsze go ciekawiło, jak detektywi w filmowych kryminałach potrafią tak szybko otworzyć

każde drzwi, gdyż jemu ta sztuka wydaje się bardzo trudna. I tamten, z ochotą wykorzystując sposobność, żeby się wykazać umiejętnościami, od razu mu pokazał, jak się to robi, dysponując odpowiednim zestawem wytrychów.

Rzeczywiście otwarcie zamka w drzwiach gabinetu Christiana zajęło mu niewiele czasu. Podszedł prosto do biurka i sięgnął do szuflady, od której prezes przed ich porannym spotkaniem tak gwałtownie oderwał rękę, jakby poraził go prąd elektryczny. Wybrał inny wytrych z zestawu i już po kilku sekundach uśmiechnął się szeroko, gdy cichy trzask rygła oznajmił mu, że ma drogę otwartą. Najpierw schował wytrychy do kieszeni, a dopiero później wysunął szufladę. Zmarszczył brwi, pochylił się niżej i zajrzał w jej głąb. Nie było tam niczego poza pustymi foliowymi okładkami na dokumenty.

- Niech to szlag!

Pozostała mu jedynie nadzieja, że znajdzie coś ciekawego w innych szufladach biurka. I to szybko. Nie zamierzał tu siedzieć zbyt długo.

- Cześć, chłopaki! - Christian machnął ręką dwóm strażnikom siedzącym za kontuarem stanowiska ochrony w holu, kierując się szybko w stronę windy.

- Dobry wieczór, panie Gillette - odezwał się któryś z nich. - Macie chyba dzisiaj mnóstwo pilnej roboty.

- Jak zwykle - odparł, wsiadając do windy i wyjmując swoją kartę magnetyczną. Z przyjemnością odebrał tę uwagę, gdyż napełniła go świadomością, że ludzie czuwają na wyznaczonych posterunkach. Dlatego zawołał jeszcze: - Spokojnej nocy!

Chwilę później wysiadł w holu biura Everestu, otworzył kluczem drzwi i ruszył energicznym krokiem w głąb korytarza. Kelly i Quentin zaszczepili w nim niepokój co do bezpieczeństwa dokumentów związanych z akcją na Kubie, toteż przyjechał, żeby je zabrać, chociaż była już

pierwsza w nocy. Postanowił nie rozstawać się z nimi ani na chwilę, może nawet je zniszczyć, skoro i tak miał utrwalone w pamięci każde słowo, a przecież ludzie Kelly'ego musieli dysponować kopiami tych dokumentów. Wsunął klucz do zamka drzwi swojego gabinetu, przekręcił go i szybkim krokiem podszedł do biurka. Zapalił małą lampkę z zielonym szklanym kloszem i trzecim kluczem otworzył szufladę biurka. Aż westchnął głośno z ulgą, ujrawszy teczkę z papierami leżącą na swoim miejscu. Chwycił ją, zgasił lampkę i ruszył do wyjścia.

Młoda kobieta również odetchnęła z ulgą, gdy zgasła rozmyta smużka światła u jej stóp, a po chwili doleciał ją odgłos zamykania drzwi przez Christiana. Miała wrażenie, że ani razu nie zaczerpnęła oddechu od czasu, gdy usłyszała stuk klucza wsuwanego do zamka i pospiesznie dała nura do szafy, przyciskając do piersi świeżo skopiowane papiery dotyczące

interwencji na Kubie. Ledwie zdążyła odłożyć teczkę do szuflady biurka i zamknąć ją na klucz, nim Gillette zjawił się niespodziewanie w biurze.

Dla bezpieczeństwa postanowiła odczekać jeszcze parę minut przed wyjściem z szafy.

Rozdział 13

Sekretna Szóstka spotkała się w stodole gospodarstwa Gustavo Cruza, w niewielkiej pakamerze, jaką zaradny hodowca bydła urządził w rogu wielkiego budynku, żeby trzymać tu wszystkie dokumenty dotyczące gospodarstwa, między innymi wszelkie fałszowane zestawienia co do wielkości produkcji mleka. Stojący pod ścianą regał wypełniały dziesiątki ksiąg inwentarzowych, w których większość wpisów pochodziła z sufitu.

Nelson Padilla aż pokręcił głową na ich widok, mając przed oczyma niezbity dowód biurokratycznych wynaturzeń na Kubie. Generał Delgado wyjaśniał mu szczegółowo, że nigdzie w gospodarstwie nie znajdzie się dokumentacji zgodnej z prawdą, zatem nie ma też niczego obciążającego Cruza, co pozwoliłoby go aresztować, gdyby niespodziewanie zjawili się tu agenci Wydziału VI. Około czterdziestu procent produkowanego mleka Cruz sprzedawał na czarnym rynku, tylko za gotówkę, a pieniądze trzymał w starym sejfie zakopanym w ziemi na miedzy rozdzielającej dwa pola. Tylko on i jego najstarszy syn wiedzieli, gdzie jest ten sejf, toteż nawet Delgado nie zmuszał go do zeznań w tej sprawie, a przynajmniej tak utrzymywał. Zarządca wykorzystywał tę gotówkę do zakupów żywności oraz części zapasowych maszyn, oczywiście też na czarnym rynku, więc i tego nie ujawniały żadne wpisy w księgach. W dodatku Cruz bardzo pilnował, by nigdy nie wyganiać na pastwiska od szosy więcej niż połowy hodowanego bydła. Reszta musiała się paść na dzikich łąkach na skraju dżungli, do tego podzielona na małe grupy.

Jeśli wierzyć generałowi Delgado, Cruzowi można było oficjalnie zarzucić tylko dwie rzeczy. Przede wszystkim fałszerstwa w spisie inwentarza, ale te wyszłyby na jaw tylko wtedy, gdyby komisja kontrolująca dysponowała helikopterem i z powietrza policzyła krowy znajdujące się na podległych mu pastwiskach. Na szczęście większość bydła pozostającego na łąkach w ciągu dnia kryła się w dżungli przed upałem, a raczej nie należało się obawiać, że członkowie komisji zechcą zwiedzać tamte tereny na

piechotę. Żaden z urzędników nie był skory do zadawania sobie takiego trudu, poza tym nie chciał marnować czasu. U wielu okolicznych zarządców gospodarstw o wiele łatwiej było się do czegoś przyczepić.

Ale Cruz musiał się również liczyć z niebezpieczeństwem obecności innego donosiciela w swoim najbliższym otoczeniu. Trudno było wykluczyć, że zdradzi go ktoś z pobliskiego miasteczka pracujący w gospodarstwie czy nawet ktoś z jego rodziny. Na to nic nie mógł zaradzić, pozostawało mu jedynie uważnie wszystkich obserwować i regularnie płacić łapówki człowiekowi mogącemu go uprzedzić o ewentualnym donosie.

Generał Delgado ujawnił Padilli wszystkie te szczegóły dotyczące gospodarstwa kilka tygodni po tym, jak doktor wieczorem potrafił na szosie jedną z krów należących do Gustavo Cruza. Przy okazji potwierdził też, że zarządca postąpił dokładnie tak, jak opisywał to Rodriguez, to znaczy wyprowadził krowę na środek szosy i tam ją zostawił specjalnie po to, by została potracona przez samochód, przez co on zyskałby okazję do odnowienia zapasu mięsa bez obawy, że wyląduje w więzieniu za zabicie zwierzęcia bez specjalnego pozwolenia lokalnych władz.

Po ujawnieniu tych faktów Delgado poinformował Padillę, że teraz będą mogli wykorzystywać gospodarstwo Cruza do organizowania narad Sekretnej Szóstki. Nie ulegało wątpliwości, że na własną rękę generał chciał też wykorzystywać ten punkt kontaktowy do organizo

wania spotkań ze swoimi łącznikami z armii amerykańskiej. A wszystko to przez wdzięczność zarządcy za to, że generał nie złożył raportu co do prawdziwych przyczyn wypadku, w którym została potracona krowa, jak też umożliwienie przejścia nadzoru nad gospodarstwem Rodrigueza, które Delgado od samego początku wskazał jako potencjalne miejsce tego rodzaju antyrządowej działalności. Cruz bez wahania przystał na te warunki i zobowiązał się do zachowania pełnej dyskrecji. Generał nie miał żadnych podejrzeń, by cokolwiek im groziło ze strony wieśniaka.

- Musisz pilnować naszego bezpieczeństwa - oznajmił Padilla Cruzowi, gdy szli przez tonący w ciemności teren w kierunku stodoły. Było już po dziesiątej wieczorem. - Dopóki nie skończymy narady.

- Tak jest - odpowiedział tamten gorliwie po wojskowemu.

Padilla także był zdania, że Delgado nadzwyczaj trafnie ocenił sytuację. Mogli się nie obawiać kłopotów ze strony Cruza, który ze strachu trząsał się jak galareta. Nie ulegało wątpliwości, że po powrocie do domu nakaże rodzinie, by nie wychylała nosa na zewnątrz, a sam będzie czuwał na

wyznaczonym posterunku, dopóki oni nie wyjdą ze stodoły. Wcześniej z własnej woli wskazał polankę w przyległym lesie, gdzie mogli zostawić furgonetkę, którą wszyscy przyjechali tu z miasta. Ten element stwarzał pewne ryzyko, lecz Padilla uznał, że znacznie większym ryzykiem będzie zostawienie na polanie sześciu aut osobowych, których numery rejestracyjne łatwo pozwalają zidentyfikować właścicieli.

Miał też wrażenie, że gdyby powiedzieli Cruzowi, czego dotyczy ich tajna narada, prawdopodobnie z jeszcze większą gorliwością podjąłby się strzec ich bezpieczeństwa. Wcześniej zdążył sprawdzić akta osobowe całej jego rodziny. Przed rewolucją należeli do zamożnych rodzin farmerskich, wymieniano ich wśród najbogatszych na

wyspie, mieli też wpływ na lokalnych polityków. Ale po dojściu Castro do władzy stracili wszystko, podobnie jak reszta obywateli Kuby. Dlatego nie ulegało wątpliwości, że Cruz zacznie żyć nadzieją, że jeśli udzieli im pomocy, a rebelia zakończy się sukcesem, zyska szansę odzyskania na własność rodzinnego majątku. Nie mogli go jednak wtajemniczyć w swoje plany, lepiej było nie podejmować ryzyka, że Cruz jednak zmieni zdanie i ich wyda. Zagrożeniem dla nich było nawet to, że podczas tortur na przesłuchaniu mógłby zdradzić ich nazwiska, a wszystko jedynie przez to, że jakiś nadgorliwy urzędnik zakwestionuje autentyczność wpisów w księgach inwentarzowych prowadzonego przez Cruza gospodarstwa.

Kiedy dotarli na skraj wyboistej polnej drogi za stodołą, Padilla zatrzymał się. Powietrze wypełniało donośne kumkanie żab i bzyczenie owadów. Stąd Cruz mógł bez przeszkód dostrzec światła nadjeżdżającego samochodu i w porę ostrzec spiskowców, żeby zdążyli się ukryć w pobliskiej dżungli.

- Nie ruszaj się stąd, dopóki nie skończymy - nakazał Padilla ostrym tonem.

- Tak jest.

- I nie pozwalaj nikomu z domowników oraz pracowników gospodarstwa wychodzić na podwórze.

- Oczywiście, proszę pana.

Doktor przyjął to z uśmiechem. Musiał przyznać szczerze, że mile łechtała go świadomość, z jak wielkim szacunkiem odnosi się do niego Cruz. Miał to sobie jednak za złe. W końcu chcieli wyplenić ze społeczeństwa ów strach przed władzą.

- Nie musisz mi odpowiadać w ten sposób - powiedział łagodnym tonem.

- To zbyteczne.

Cruz rozpogodził się, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł cicho:

- Nie wiem dokładnie, co planujecie, ale mam nadzieję, że wam się uda.

Oczywiście mógł się domyślać, co planują, lecz na to nie mieli żadnego wpływu. W końcu i tak nie wiedział, kim są, nie znał ich nazwisk. Padilla podziękował mu uprzejmie i dodał:

- Zobaczymy się po zakończeniu spotkania.

- Dobrze.

Padilla zawrócił na pięcie w stronę wejścia do stodoły.

Pozostałych pięciu członków grupy siedziało już wokół prowizorycznego stołu konferencyjnego, gdy wszedł do kantorku. Jak w każdym innym miejscu spotkań i tutaj musiało im wystarczyć światło samotnej świecy. Padilla od progu poczuł się urażony, gdyż jedno miejsce u szczytu stołu zajął prawnik z Ministerstwa Sprawiedliwości, a drugie przedstawiciel Banku Centralnego. Jeszcze bardziej zirytował go fakt, że obaj uśmiechnęli się ironicznie, gdy kolejno spiorunował ich wzrokiem, niczym dzieci biorące udział w zmaganiach o miejsca na krzesłach, spoglądające kąpiąco na tego, dla którego ich zabrakło. Doskonale wiedzieli, że w pełni zasługuje na najważniejsze miejsce przy stole, w każdej sytuacji i każdej społeczności przeznaczone dla przywódcy grupy, niemniej pragnęli poczuć tę nieopisaną satysfakcję wyrugowania go z należnego przywileju. Starając się niczego po sobie nie okazać, pospiesznie zajął ostatnie wolne miejsce na zwykłym drewnianym stołku.

- Otwieram porządek zebrania - rzekł głośno, próbując się usadowić wygodnie na rozchwianym sprzęcie. Przemknęło mu przez myśl, jakie to niewiarygodne, że nawet w tej grupie, wydawałoby się całkowicie oddanej nadrzędnej idei, indywidualne ambicje mogą odgrywać tak dużą rolę. Dobrze wiedział, że to naturalny skutek działania testosteronu.

- Strasznie tu cuchnie - odezwał się wiceminister inwestycji zagranicznych i rozwoju gospodarczego.

Wiceminister rolnictwa zachichotał głośno.

- Przecież to piękny zapach, señor. - Ostentacyjnie wciągnął głęboko w nozdrza powietrze. - Świeża gnojówka. To słodki aromat sukcesu.

- Dobrze, już dobrze - rzucił Padilla. - Dość tego.

- Kiedy się pan wybiera do Stanów Zjednoczonych? - zapytał człowiek z Ministerstwa Nauki i Techniki. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że robi się coraz goręcej, że szybko zbliża się dla nich godzina zero.

- Niedługo - odrzekł chirurg. - Nie znam jeszcze dokładnego terminu, ale zapewne dojdzie do tego w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, człowiek, z którym się zobaczę, przyjedzie na spotkanie z całą naszą grupą i generałem. Wszystko wskazuje na to, że do obu spotkań dojdzie właśnie tutaj.

- Może pan nam powiedzieć coś więcej o tym człowieku, z którym mamy się spotkać? - zapytał adwokat. - A zwłaszcza o jego pozycji w ojczyźnie.

- Jest inwestorem z sektora prywatnego, ale ma posłuch u prezydenta. Cieszy się jego pełnym zaufaniem.

- Kto panu to powiedział?

- Moi łącznicy ze Stanów Zjednoczonych. To samo twierdzą łącznicy generała.

- Byłbym bardzo rozczarowany, gdyby się okazało, że jest to człowiek piastujący jakieś podrzędne stanowisko.

- No cóż...

- Mam nadzieję, że powiadomi nas pan natychmiast, jeśli sam nabierze pan takich podejrzeń - wtrącił szybko wiceminister rolnictwa. - Możemy na to liczyć? Bo jeśli nie jest to ktoś znaczący, uznamy, że absolutnie nie można ufać ani jemu, ani jego poplecznikom. Tym samym bez wyraźnego powodu narazimy się na poważne niebezpieczeństwo.

- I nabierzemy podejrzeń, że Amerykanie mogą współpracować z innymi ugrupowaniami na wyspie - dodał człowiek z Ministerstwa Nauki i Techniki.

- A nas traktują tylko jako alternatywną rezerwę.

- Nie jesteśmy alternatywną rezerwą - odparł z naciskiem Padilla.

- Skąd pan to może wiedzieć?

- Musimy zachować wiarę. Powinniśmy... - Urwał nagle, gdyż za ścianą rozległy się czyjeś szybkie kroki.

Po chwili w drzwiach kantorku pojawił się Gustavo Cruz, na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Señores, jakiś samochód zatrzymał się u wylotu drogi dojazdowej do gospodarstwa.

Steven Sanchez pracował w Hiszpanii nad innym projektem, obejmującym o wiele szerszy zakres, a więc wymagającym zaangażowania większego zespołu - niby znacznie lepiej płatnym, ale i znacznie częściej przyprawiającym o ból głowy, jak też stwarzającym większe ryzyko zdementowania.

Na szczęście był już z powrotem w Miami, wysiadł z samolotu z

Barcelony i jechał do hotelu w South Beach. Było późno, dziesięć po jedenastej wieczorem, i odczuwał przemożne zmęczenie, gdyż nie zmrużył oka od wczorajszego ranka czasu europejskiego. Ale musiał odbyć tego wieczoru jeszcze jedno spotkanie, zanim się wreszcie położy do łóżka, złoży głowę do odpoczynku na jednej z tych niewiarygodnie miękkich poduszek w apartamencie hotelu Ritz Carlton. Miał zamiar przeleżeć w pościeli co najmniej dwanaście godzin, żeby w pełni naładować akumulatory, a potem jeszcze spędzić popołudnie w cieniu palm na skąpanej w słońcu ciepłej plaży, zanim plan z Christianem Gillette'em w roli głównej zostanie wcielony w życie. Równie dobrze mogło do tego dojść już w najbliższych dniach, jak też i za dwa tygodnie.

Mimo skrajnego zmęczenia, Sanchez na swój sposób cieszył się z tego ostatniego dzisiaj spotkania, dającego mu okazję, żeby ustalić, kto naprawdę stał za tą całą aferą. Do tej pory uczestniczył w owym projekcie wyłącznie przez pośrednika, co uzmysłowił sobie dopiero wczoraj, gdy tenże pośrednik oznajmił mu to wprost, dodając, że

osoba pociągająca za sznurki chce teraz spotkać się z nim osobiście, by w cztery oczy omówić parę najpilniejszych zagadnień.

- Proszę, oto klucz do pańskiego pokoju, panie Emilio.

- Dziękuję. - Zwrócił uwagę, że dziewczyna wpisująca go do rejestru gości jest nawet dość ładna. Była Latynoską, niewiele po dwudziestce, i odznaczała się długimi prostymi kruczoczarnymi włosami, nieskazitelną cerą barwy karmelowej i łagodnymi rysami twarzy. A szczególną jego uwagę przykuły jej wielkie piwne oczy. Zerknął na plakietkę z imieniem i nazwiskiem, jaką nosiła przypiętą do kieszonki na piersi. - Pewnie ciężko jest na nocnej zmianie, prawda? - zagadnął, sięgając po plastikową kartę magnetyczną oraz klucz od pokoju. Oprócz nich w holu nie było nikogo.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się wyrozumiale.

- A co mam robić? Trzeba jakoś zarabiać na życie, czyż nie?

Sanchez uzmysłowił sobie nagle, że nie był z kobietą w łóżku od sześciu tygodni, a ostatnia przygoda nie zakończyła się dla niego zbyt pomyślnie. Kobieta po trzydziestce, którą podrywał w Londynie, prezentowała się znacznie lepiej w sukni w stłumionym świetle nad barem niż nago w pokoju hotelowym. A w dodatku domagała się dodatkowych stu dolarów przed zdjęciem ubrania. Brzydził się świadomości, że musi płacić takim kobietom, zwłaszcza gdy nie był do końca przekonany, że ma do czynienia z prostytutką, lecz i to niewiele zmieniało. Żałował więc wszystkiego. Nie

mógł zapomnieć o swoim żalu nawet wtedy, gdy już jej zapłacił.

Pomyślał o tym, żeby ją zabić, ale uznał, że za dużo osób widziało ich razem, nie wyłączając portiera w nocnym klubie, który otwierał im drzwi taksówki. W dodatku dziewczyna zrobiła istne przedstawienie z oczekiwaniem, aż ktoś jej otworzy drzwi, zapewne tylko po to, by tutaj obsługa dobrze ją zapamiętała. Tę samą rolę spełniały kamery systemu bezpieczeństwa, z których jedną Sanchez zdołał namierzyć nad drzwiami poczekalni. W tej sytuacji dyskrecji nie dało się zachować, ale to tylko wzmagало jego apetyt na dalsze działania.

- Powinnaś występować w filmach, Mari.

Wpisywała coś do komputera, a stukanie jej długich paznokci o klawisze przypominało znane z kina odgłosy dawnego zwornika telegrafu. Przerwała i podniosła na niego wzrok.

- Jak pan zgadł, że chodzę na wieczorowe kursy aktorskie?

Szczerście mu dopisało.

- Pomyślałem, że powinnaś być albo aktorką, albo modelką. Jesteś naprawdę piękna.

- Dziękuję.

Odwrócił się, jakby chciał już odejść, ale przystanął i dodał:

- Znam pewnego człowieka z Europy, który zajmuje się produkcją filmową. Szczerze mówiąc, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Sądzę, że mógłbym was ze sobą poznać. - Zaczął wymieniać tytuły filmów produkowanych przez owego przyjaciela, a po każdym z nich oczy dziewczyny rozszerzały się coraz bardziej. - Byłabyś tym zainteresowana? - zapytał w końcu, z góry wiedząc, jaka padnie odpowiedź. Żadna z ładnych dziewcząt uczęszczających na wieczorowe kursy aktorskie nie mogła odpowiedzieć inaczej.

Recepcjonistka uniosła dłonie do ust.

- Mój Boże... Oczywiście - odparła z przejęciem. - Naprawdę mógłby mnie pan z nim poznać?

- Najpierw musiałbym cię trochę lepiej poznać. Spotkajmy się jutro i porozmawiajmy. - Jej zapał gwałtownie przygasł, gdy uświadomiła sobie, że będzie musiała się z nim spotkać sam na sam, a przecież nie wiedziała jeszcze, czy jej nie naciąga. Ale wahanie trwało krótko.

- Jutro znów pracuję na nocnej zmianie - powiedziała. - Zaczynam o dziesiątej.

- A mogłabyś przyjść trochę wcześniej? - zapytał. Wołał dać sobie sporo

czasu na to, żeby ją skusić do odwiedzenia jego pokoju. - Powiedzmy o szóstej?

- W porządku - odparła z ociąganiem.

Wspaniale. Musiała się już domyślać, że nie potrzeba mu aż czterech godzin na wstępną rozmowę. Zatem podejrzewała, czego on naprawdę oczekuje.

- Do tej pory zrobiłem to tylko raz - oznajmił stanowczo. - To znaczy umówiłem obcą kobietę na spotkanie z moim przyjacielem, producentem filmowym. - Przynajmniej nie kłamał. Był gotów także zaaranżować spotkanie Mari, jeśli okaże się dla niego miła. Poprzednia dziewczyna całkiem dobrze radziła sobie teraz na scenach Londynu. Zagrała kilka drugoplanowych ról w filmach i jakąś postać w jednym z odcinków serialu kryminalnego. - A więc spotkamy się tutaj - wskazał kąt holu, w którym stała wielka kanapa i kilka klubowych foteli.

- W porządku. Aha, panie Emilio - odezwała się jeszcze, gdy zamierzał już odejść. - O mało nie zapomniałam. - Wyciągnęła w jego stronę jakąś karteczkę. - Wiadomość dla pana. Była przypięta na tablicy.

- Gracias. - Ciekawiło go, jak dojdzie do tego kontaktu. Pośrednik powiedział mu tylko, że obecny zleceniodawca jest szczególnie przeczulony na punkcie zachowania pełnej dyskrecji. Oznaczało to, że po raz pierwszy korzysta z takich usług. Oczywiście wszystkim zależało na dyskrecji, niezależnie od stopnia doświadczenia w podobnych kontaktach, rzadko jednak ta sprawa była aż tak eksponowana. - Dzięki, Mari. Zatem do zobaczenia jutro.

Sanchez na krótko zajrzał do swojego pokoju, żeby zostawić walizkę - której nigdy nie pozwalał nikomu z obsługi wnosić na górę, żeby nie było aż tak powszechnie wiadome, w którym pokoju mieszka - i obmyć twarz zimną wodą. Następnie wrócił do windy, wjechał dwa piętra

wyżej i odszukał na końcu korytarza wskazany pokój. Zapukał trzy razy, zgodnie z poleceniem zawartym w wiadomości.

Chwilę później rozległ się cichy szcęk zamka. Drzwi uchyliły się na parę centymetrów, tylko na tyle, na ile pozwalał łańcuch zabezpieczający. W szczelinie zalegała ciemność. Drzwi zaraz się zamknęły i otworzyły ponownie. Aż uśmiechnął się szeroko, gdy spostrzegł, kto przed nim stoi. Zapowiadało się więc całkiem nowe doświadczenie.

Christian pomógł Beth wysiąść z limuzyny, po czym schylił się, żeby wyciągnąć jej bagaż stojący na siedzeniu przy barku. Tego popołudnia

przyjechała pociągiem z Waszyngtonu, żeby w Nowym Jorku „spotkać się z przyjaciółką”. Nadal bardzo skąpo wydzielala informacje na swój temat, a i Quentin wciąż nie mógł trafić na nic konkretnego. W samochodzie Christian kilkakrotnie próbował się dowiedzieć, który college kończyła, ale nie uzyskał odpowiedzi. Mimo wszystko wciąż nie mógł zdecydować, czy jest to efekt niechęci do mówienia o sobie - co nie byłoby jeszcze takie złe - czy raczej niezrozumiała tendencja do zachowania ścisłej tajemnicy.

Tego wieczoru zdradziła przynajmniej, w jaki sposób zarabia na życie w stolicy - podobno była asystentką w kancelarii kongresmana z Marylandu. Gdy tylko zakończyli wszelkie formalności w recepcji, wymówił się koniecznością skorzystania z toalety i stamtąd zadzwonił do Stilesa, by poinformować go o tym drobnym sukcesie. Po kilku minutach odebrał wiadomość tekstową od Quentina, w której ten potwierdzał prawdziwość informacji, sprawdziwszy je u któregoś ze swoich przyjaciół, i obiecywał, że z samego rana ściągnie z biura rzeczzonego kongresmana więcej szczegółów.

- Spędziłam dzisiaj wspaniały wieczór, Chris - powie

działa, kiedy dotarli na pierwszy podest uciążliwej wędrówki schodami na szóste piętro. Byli w starym budynku przy ulicy Pięćdziesiątej Trzeciej po wschodniej stronie Manhattanu.

- Zaniosę ci bagaże na górę - zaproponował.

Pokręciła głową.

- Nie trzeba. Dam sobie radę.

- Ale chciałbym poznać twoją przyjaciółkę.

Beth wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Nie ma mowy. Jest bardzo ładna i bardzo łąsa na pieniądze. Na pewno przyczepiłaby się do ciebie, ledwie wyjechałabym z Nowego Jorku. Nie pozwolę jej się nawet zbliżyć do ciebie.

Spojrzał jej w oczy. Byli po drugiej uroczej kolacji spędzonej w miłej atmosferze, pełnej śmiechu i czułych dotknięć.

- Niemożliwe, żeby była ładniejsza od ciebie - odparł, przyglądając się uważnie, jak uśmiech szybko znika z jej ust, ustępując miejsca wyrazowi niepewności, jakby zaczęła się nagle głowić, o co mu właściwie chodzi i czego naprawdę od niej chce. Cały problem polegał na tym, że on sam jeszcze nie wiedział, czego od niej chce.

- Dzięki za wszystko - powiedziała, po czym zbliżyła się i cmoknęła go w policzek, a po chwili zarzuciła mu ręce na szyję. - Naprawdę świetnie się dziś ubawiłam.

Uśmiechnął się, słysząc ten zwrot, który nie tak dawno słyszał z ust młodego prawnika podczas ostatniej konferencji dotyczącej sprzedaży Laurel Energy.

- Ja również - odparł, obejmując ją w pasie. Była bardzo szczupła i kruchutka, aż wydało mu się, że odczuwa nerwowe drżenie przesywające całe jej ciało.

Odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła mu w oczy.

- Czy mógłbyś... czy nie zechciałbyś... - jęknęła gardłowo. - Nie, nie mam prawa cię o to prosić.

- O co?

- Naprawdę nie mam prawa.

- Nie żartuj.

- I tak masz za dużo spraw na głowie.

Pokręcił energicznie głową.

- No, wyduś to wreszcie.

Zawahała się jeszcze.

- Liczyłam na to, że może... wybierzesz się ze mną do Waszyngtonu... - powiedziała w końcu z ociąganiem - ... a konkretnie do Baltimore, gdzie moja mama leży w szpitalu. Chciałabym, żebyś ją odwiedził razem ze mną. - W jej głosie rozbrzmiewało coraz większe podniecenie. - Wiele jej o tobie opowiadałam i zapragnęła cię poznać. Nigdy wcześniej nie spotkała kogoś aż tak sławnego.

Uniósł obie ręce w obronnym geście.

- Nie jestem nikim sławnym.

- Ależ oczywiście, że jesteś. Czytała o tobie w „Forbes” i w „Fortune”. Coś mi się zdaje, że jest gotowa złożyć własny fanclub Christiana Gillette'a. Możesz mi wierzyć, że sprawiłbyś jej ogromną radość, gdybyś pojechał ze mną do szpitala. - Urwała na chwilę. - Mnie także byś uszczęśliwił. Wiem, że proszę o tak wiele, jednakże...

Skinął głową.

- Oczywiście, że pojadę. Z samego rana sprawdzę w terminarzu, kiedy mam wolne. Zadzwoń do mnie koło południa, dobrze? Umówimy się konkretnie.

Ponownie zarzuciła mu ręce na szyję.

- Christianie, nawet nie wiesz, jaka jestem przy tobie szczęśliwa.

- Spokojnie, spokojnie - parsknął śmiechem.

Była nadzwyczaj podniecona, jak małe dziecko w Wigilię Bożego

Narodzenia. W końcu i tak miał się z kim spotykać w Waszyngtonie, czekało na niego wielu senatorów i kongresmanów. Pomyślał też, że może dałoby się skorelować wizytę u matki Beth w szpitalu z kolejnym spotkaniem z Deksem Kellym.

- Wszystko będzie dobrze - dodał.

Jeszcze raz cmoknęła go w policzek, po czym złapała swoje bagaże i ruszyła schodami na górę w takim tempie, jak

by nie chciała dać mu nawet szansy na to, by zmienić zdanie. I tak bym nie zmienił, przemknęło mu przez głowę. Był gotów wybrać się do Baltimore bez względu na wszystko. W końcu wypadało się cieszyć choćby z tego, że mógł sprawić nawet drobną radość zarówno Beth, jak i jej matce.

Kiedy przystanąła na końcu foyer, czekając, aż przyjaciółka otworzy drzwi przyciskiem domofonu, pomachał jej jeszcze ręką i zawrócił do wyjścia.

- Dokąd teraz, proszę pana?

- Do Everestu, Wayne - odparł Tysonowi, jednemu z agentów Quentina, wsuwając się na miejsce obok kierowcy.

- Do Everestu? Przecież już wpół do dwunastej. Nie chce pan wracać do domu?

- Oczywiście że chcę - odparł, wyciągając telefon komórkowy, jeszcze zanim limuzyna ruszyła od krawężnika. Obejrzał się po raz ostatni na wejście do kamienicy i dostrzegł, że Beth wciąż stoi przed drugimi drzwiami na końcu holu. - Ale najpierw muszę załatwić kilka pilnych spraw w biurze.

- Jak pan sobie życzy.

Gilette rozsiadł się wygodnie, wracając myślami do kolacji. Teraz już po prostu nie mógł się oprzeć wrażeniu, jak bardzo Beth przypomina mu Nikki, co wręcz uniemożliwiało jakiegokolwiek zaangażowanie uczuciowe. Wolał nawet nie ryzykować, bo na obecnym etapie i tak nic by z tego nie wyszło. Nie oznaczało to jednak, że nie pragnie Beth. Prawdę mówiąc, pragnął jej bardziej niż dotychczas. Szczerze kochał Nikki, lecz nie mógł zapomnieć o ich wieloletnim rozstaniu spowodowanym przez to, że Lana postanowiła całkowicie wykluczyć go z rodziny. Pomyślał, że może oto nadarzała się okazja do odnowienia zerwanych przed laty więzi.

Włączył telefon komórkowy i wystukał wiadomość tekstową do Quentina, w której prosił o zachowanie dys

krecji, gdy z rana detektyw będzie wypytywał personel kancelarii kongresmana o Beth. Nie chciał, by dziewczyna się dowiedziała, że ją

sprawdza. Zanim zdążył wysłać wiadomość i przeczytać czekające na niego mejle, byli już na Park Avenue przed siedzibą Everest Capital.

- Zaczekaj tu na mnie, Wayne, dobrze? - poprosił kierowcę. - Nie zabawię tam długo. Nie więcej niż dwadzieścia minut.

- Dobrze, proszę pana. Ale odprowadzę pana do drzwi. Takie mam rozkazy.

Christian wysiadł z limuzyny, podszedł w towarzystwie młodego ochroniarza do wejścia do budynku i sztywno skinął mu głową, gdy tamten zatrzymał się tuż za drzwiami w głównym holu. W wejściu zwrócił uwagę na młodą kobietę rozmawiającą ze strażnikami przy stanowisku ochrony. Rozpoznał ją już po kilku krokach, była to Sherry Demille. Miała na sobie sportowy strój, luźną bawełnianą koszulkę i dżinsy. Kiedy zbliżył się do stanowiska, uświadomił sobie, że toczy się jakiś spór. Nie znał Sherry za dobrze, ale odniósł wrażenie, że mówi podniesionym piskliwym głosem wyrażającym głęboką irytację. A pełniący służbę strażnik był wyraźnie rozwścieczony, przygryzał wargi i ciasno krzyżował ręce na piersi.

- Witam - odezwał się półgłosem, podchodząc do kontuaru. Złowił grymas zaskoczenia, który przemknął po twarzy kobiety na jego widok. - O co chodzi?

- O nic wielkiego - odparła pospiesznie dziewczyna. - Wygląda na to...

- Panna Demille zapomniała swojej karty magnetycznej, panie Gillette - wpadł jej w słowo strażnik. - I chce, bym ją puścił na górę bez upoważnienia.

- Przecież pan wie, że tu pracuję - syknęła ze złością do ochroniarza.

- Bez biletów nie ma kupletów - odparł ten zaczepnie, obrzucając ją wyzywającym spojrzeniem.

- Ja się tym zajmę - wtrącił Christian, zerkając na plakietkę na piersi strażnika. - Dziękuję za czujność.

- Przepisy są jasne, zwłaszcza jeśli chodzi o tak późną porę.

- Oczywiście. Dobra robota, Henry.

- Dziękuję, panie Gillette.

Christian uśmiechnął się do Sherry i ruchem głowy wskazał windę.

- Chodźmy.

- Dziękuję, że się pan za mną wstawił - bąknęła dziewczyna, gdy wsiadali do windy.

Christian przeciągnął swoją kartą w szczelinie czytnika i wcisnął klawisz z numerem piętra należącego do Evere- stu.

- Nie ma sprawy. - Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna jest strasznie

przejęta. W zdenerwowaniu energicznie okręcała kosmyk włosów wokół palca. - Co się stało z twoją kartą magnetyczną?

- Musiałam ją zostawić w domu. Wyszłam dziś z biura koło ósmej wieczorem. Mniej więcej pół godziny temu, gdy miałam się już położyć do łóżka, zaczęłam rozmyślać o tej umowie, nad którą pracujemy z Allison, i poczułam nieodparte pragnienie sprawdzenia, jak się spisze mój model prognostyczny. No i wybiegłam tak szybko z mieszkania, że zapomniałam karty magnetycznej. Próbowałam się dodzwonić na górę ze stanowiska ochrony w nadziei, że może ktoś jeszcze jest w biurze, ale nikt nie odbierał.

Christian się uśmiechnął.

- Podoba mi się twój zapał do pracy.

- No cóż, sercem i duszą jestem oddana Everestowi. To najlepsze biuro w całym Nowym Jorku, a poza tym...

- Pozwól, że cię o coś spytam - przerwał jej Gillette. - Czy mówiła Allison, że w ubiegłym tygodniu proponowałam ci odwiezienie limuzyną do domu?

Ledwie powstrzymał się od uśmiechu, gdy dziewczyna nagle pobladła. Nie uległo wątpliwości, że została przy

łapana na kłamstwie. Ewidentnie nie lubiła kłamać, ale nie była też gotowa przyznać, że chciała wzbudzić zazdrość Allison.

Z ociąganiem skinęła głową.

- Owszem. Wydawało mi się, że tak właśnie pan powiedział. Czyżbym się pomyliła?

Zapatrzył się na jej twarz, dopóki drzwi windy się nie otworzyły. Wyglądało na to, że dziewczyna całkowicie wierzy w to, co powiedziała. Przypomniała mu się od razu maksyma pewnego przyjaciela: „Nie dopuszcza się kłamstwa ktoś, kto naprawdę wierzy w to, co mówi”. Najwyraźniej Sherry Demille była zwolenniczką tej pokrętej teorii. Zanotował w pamięci, że będzie musiał o tym porozmawiać z Allison. Nie był w stanie znieść obecności kłamcy w swoim najbliższym otoczeniu.

Wskazał jej ręką drzwi windy.

- Proszę bardzo.

Antonio Barrado zapatrzył się na bezchmurny, upstrzony miriadami gwiazd nieboskłon nad starą bazą wojskową na bagnach Everglades. Leżał na wznak, z dłońmi splecionymi pod głową, pośrodku baraku pozbawionego dachu. W zapiętym pod szyję śpiworze ułożonym na grubej brezentowej płachcie było mu ciepło, choć noce majowe w tej okolicy bywały jeszcze

bardzo zimne. Takie same płachty brezentu zabrał dla każdego z towarzyszących mu ludzi i upewnił się jeszcze, że ich nie zlekceważą. Nie było na nich zbyt wygodnie spać, o wiele wygodniej byłoby rozciągnąć śpiwór na gołej miękkiej ziemi, jednakże nic ich nie mogło zastąpić. Spanie na gołej ziemi w tej okolicy wiązało się z poważnym niebezpieczeństwem, że do śpiwora wślizgnie się wąż szukający ciepła. Lubiły się one zwijać w kłębek w nogach człowieka. Jeśli zaś były jadowite, choćby wodne mokasyny, węże koralowe czy nawet grzechotniki, przy najdrobniejszym poruszeniu człowieka

bądź próbie wyjścia rano ze śpiwora mogły stać się przyczyną poważnych kłopotów. Ukąszenie jadowitego węża nigdy nie należało do przyjemności, ale tu, z dala od specjalistycznej pomocy lekarskiej, mogło się po prostu zakończyć śmiercią.

Na jutro zaplanowali naprawę dachów w trzech barakach. Już wkrótce miały nadciągnąć ulewne tropikalne deszcze nawiedzające tutejsze trzęsawiska codziennie

o drugiej po południu z dokładnością szwajcarskiego zegarka, trzeba było się więc uwijać z robotą. Trudno było określić, ile czasu będą musieli tu spędzić, toteż należało się zatroszczyć o godziwe warunki przetrwania. Kilkakrotnie bywał podczas pory deszczowej w dżunglach Ameryki Południowej i Środkowej, zatem dobrze wiedział, co znaczy chodzić w przemoczonym ubraniu, które nie schnie przez tydzień. Nie chciał tutaj przeżywać tego po raz kolejny.

Uśmiechnął się i zamknął oczy. Wszystko szło zgodnie z planem. Pozostawało im tylko czekać na rozkaz.

Victoria Graham zamknęła drzwi pokoju hotelowego

i zabezpieczyła je, zasuwając oba rygle, zarówno ten od zasuwki, jak i przekręcając klucz w zamku pod klamką. Zanim ruszyła w głąb pokoju, upewniła się jeszcze dokładnie, że drzwi nie dadzą się otworzyć. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie wziąć innego pokoju, żeby nie mógł jej tu znaleźć, gdyby z jakiegoś powodu zdecydował się wrócić.

Nigdy dotąd nie spotkała człowieka bardziej przerażającego niż Steven Sanchez. Gdyby wcześniej wiedziała, w co się pakuje, zatroszczyłaby się o to, aby znaleźć się pod ochroną kilku silnie uzbrojonych ludzi, choć wcale nie była pewna, że i wówczas czułaby się bezpieczna. Coś jej podpowiadało, że oto stanęła oko w oko z jednym z tych nielicznych, których jednie sam Bóg może pozbawić życia.

Oczywiście nie zdołała ukryć lęku, dając tym samym jawny dowód swojej słabości. Mogła zatem jedynie żywić nadzieję, że już nigdy nie będzie musiała się spotykać z tym człowiekiem.

Z trudem przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło, idąc przez ciemny pokój w stronę łóżka. Zastanawiała się, czy Dorsey na pewno wywiązał się ze swojej części umowy i czy mężczyzna, który będzie musiał umrzeć tego wieczoru, na pewno zostawi pożegnalny list samobójcy, w którym obarczy winą za swój czyn Christiana Gillette'a. Brzydziła się na samą myśl, że ktoś będzie musiał umrzeć, ale rozumiała świetnie, że nie ma innego wyjścia.

Nelson Padilla wyjrzał ostrożnie zza gładkiego pnia palmy, chcąc ustalić, czy droga jest wolna. W głębi ducha żywił obawy, że ujrzy jakieś poruszenie wrogich im ludzi przy furgonetce zostawionej na polanie, w miejscu wskazanym przez Gustavo Cruza.

- Widzisz coś? - zapytał szeptem wiceminister rolnictwa, który trwożliwie wyglądał ponad jego ramieniem, starając się cokolwiek dojrzeć w ciemności.

Padilla otarł chusteczką pot z czoła.

-Nie.

Sam był zaskoczony, że aż tak bardzo się poci. Przedzierali się przez gęstą dżunglę już od godziny, lawirując wśród wybujałych paproci oraz nurkując pod wiszącymi nisko gałęziami drzew. I ani na chwilę nie uwolnił się od obaw, że lada moment oślepi ich jaskrawe światło reflektorów i zza wymierzonych w nich pistoletów maszynowych padną rozkazy, by podnieśli ręce wysoko nad głowę.

- Jest za ciemno - wyjaśnił szeptem, osłaniając rękoma twarz. Czuł, że palce ma lepkie od krwi, gdyż skórę w wielu miejscach porozcinały ciernie krzewów.

Gdy tylko Cruz wpadł do kantorku i zawołał, że jakiś samochód stanął u wylotu drogi dojazdowej do gospodarstwa, wszyscy błyskawicznie wysypali się na dwór i pod osłoną stodoły ruszyli tyralierą w stronę dżungli. Już po przebyciu kilkuset metrów Padilla wpadł na wiceministra, co obydwu ich śmiertelnie wystraszyło, dalej jednak poszli razem, kierując się w stronę polanki w dżungli i omijając szerokim łukiem pozostałe zabudowania gospodarcze. Wyłonili się z gąszczu na skraju brukowanej drogi, lecz ujrzawszy światła samochodu za zakrętem, dali z powrotem nura w zarośla. W przerażeniu odprowadzili wzrokiem przejeżdżającą wojskową ciężarówkę, gotowi w każdej chwili pognać w głąb dżungli, gdyby wóz się zatrzymał. Potoczył się jednak dalej. Mimo to nie

zdołali się uwolnić od podejrzeń, że jechała nim część oddziału wysłanego do gospodarstwa Cruza w celu wytropienia ich i pojmania, chociaż wiele wskazywało na to, że jest to normalny transport patrolujący teren między dwiema jednostkami armii.

Wyszli na drogę zdecydowanie za daleko od gospodarstwa Cruza, zatoczywszy zbyt szeroki łuk wokół niego, kiedy więc ciężarówka zniknęła za zakrętem, zagłębili się z powrotem w las, skradając się w stronę polany. O wiele łatwiej byłoby dojść brukowaną szosą do wylotu bitej drogi prowadzącej w głąb dżungli, którą dojechali na polanę, ale nie chcieli się pokazywać na odkrytym terenie.

W odległości jakichś dwudziestu metrów od furgonetki Padilla klęknął na ziemi i otarł dłonią pot z czoła. Leśna duchota w połączeniu ze wzmożonym wysiłkiem fizycznym ucieczki przez dżunglę i śmiertelnemu przerażeniu, jakie jej towarzyszyło, sprawiały, że całe ubranie miał mokre od potu.

Chyba po raz pierwszy od chwili utworzenia grupy w pełni zdał sobie sprawę z tego, co robią i jaka ich może za to spotkać kara. Zarzut może być jeden - zdrada stanu, za co mogli się spodziewać jedynie rozstrzelania. Aż do tej pory Ingerencja jawiła mu się jak romantyczne posłannictwo, rzecz jasna, związane z pewnym ryzykiem, lecz

z pewnością skalkulowanym. Jednakże przez pierwsze minuty panicznej ucieczki, kiedy próbował osłaniać twarz przed ciernistymi pędami i wiszącymi nisko gałęziami drzew, wyobrażał sobie, że ma za przeciwnika kogoś w rodzaju generała Delgado. Ślepo posłusznego komunistycznej władzy. Równie bezwzględny i okrutny jak Delgado, który z pewnością nie zawahałby się przed torturami w celu zdobycia informacji, a w końcu zabiłby go strzałem w tył głowy na skraju jakiegoś urwiska, tak jak Delgado rozprawił się z tym małym donosicielem, nadzorcą sąsiedniego gospodarstwa.

- I co teraz zrobimy? - zapytał szeptem wiceminister. - Nie możemy za długo czekać w tych krzakach, jeśli zamierzamy wrócić furgonetką do miasta.

Problem polegał na tym, iż wojsko mogło odnaleźć ukrytą furgonetkę przed najazdem na gospodarstwo Gruza. Trudno było wykluczyć, że na skraju polany żołnierze tylko czekają na pojawienie się członków Sekretnej Szóstki. Bez trudu mogli się ukrywać w pobliskich zaroślach, takich samych, jak te, w których oni przycupnęli. Strach ścisnął Padillę za gardło. Jeśli żołnierze byli wyposażeni w noktowizory, to pewnie obserwowali ich już od

dawna.

Zazgrzytał zębami z wściekłości. Wszystko przez tego łobuza, adwokata z Ministerstwa Sprawiedliwości. To on musiał donosić i ich wydać. Padilla podejrzewał go o to od początku, toteż teraz wrócił myślami do pierwszych minut chaosu po ogłoszeniu alarmu. Rzucił przelotnie na niego okiem, jak tylko Cruz wpadł do kantorku i zawołał, że jakiś samochód zatrzymał się u wylotu drogi dojazdowej. Tamten sprawiał wrażenie, jakby wcale go to nie dziwiło, a w każdym razie mniej niż pozostałych. Wybiegł za nimi na dwór, ale ustawił się na samym końcu tyraliery.

- Doktorze Padilla, co pan zamierza...

- Zamknij się! - syknął przez ramię. - Kto ci pozwolił wymawiać moje prawdziwe nazwisko?

- Bardzo przepraszam, ale...

Padilla wstał i błyskawicznie zakrył tamtemu usta dłonią.

- Zamknij się! - Wiceminister szybko pokiwał głową i Padilla cofnął rękę. Tamten również był bardzo spocony, Padilla odruchowo wytarł rękę o spodnie, aż zabrzęczały przy tym kluczyki w jego kieszeni. To on prowadził furgonetkę będącą własnością szpitala. - Może powinniśmy...

Spostrzegł nagle dwie postaci wyłaniające się z gąszczu na drugim końcu polany. Przykucnął i zmrużył oczy, usiłując rozpoznać ludzi.

Z końca holu kamienicy Melissa popatrzyła, jak Christian wsiada do limuzyny i odjeżdża. Z każdym dniem coraz bardziej nienawidziła Beth Garrison za to, że przez nią Melissa Hart coraz bardziej się w nim zakochuje.

Dziennikarze ani trochę się nie mylili co do jego przedsiębiorczej operatywności, przynajmniej na tyle, na ile zdążyła się przekonać. Był wprost genialny. Wyczuwała to szóstym zmysłem, gdyż nie znała się na prowadzeniu interesów. Tak wiele wiedział z różnych dziedzin, a najbardziej podobało jej się to, że nigdy nie dał jej do zrozumienia, że jest głupia, nie drwił z niej, nawet gdy czegoś nie rozumiała, tylko cierpliwie wyjaśniał różne sprawy, przez co tym bardziej wydawał jej się atrakcyjny. A im więcej wyjaśniał, tym silniej intrygowała ją wręcz niewiarygodna władza, jaką dysponował. Teraz, gdy już trochę go rozumiała, zaczynała zdawać sobie sprawę, jak niewiele jej mówi o swoich wpływach. Po części był zobligowany do zachowania tajemnicy, ale w przeważającej mierze po prostu nie zależało mu na tym, żeby jej imponować.

Nigdy nie lubiła u mężczyzn tej ciągłej potrzeby rywalizacji i wywierania wrażenia na innych, może dlatego, że przez lata obserwowała uważnie

desperackie wysiłki ojca w tym kierunku. Już we wczesnym dzieciństwie zdała sobie sprawę, jak bardzo wydaje się przez to niepewny sie

bie, co wydawało jej się po prostu dziecinne, gdyż nie miał żadnych podstaw do braku wiary w siebie, skoro był jedną z najważniejszych postaci w Hollywood, jeszcze zanim ona skończyła dziesięć lat.

Dziennikarze nie mylili się więc co do niezwykłych umiejętności Christiana w zakresie inwestowania pieniędzy, za to całkowicie się mylili, pisząc o jego oziębłości. Rzeczywiście nie należał do ludzi skorych do zwierzeń, więc może pod tym względem powtarzane w prasie opinie były uzasadnione, ale przy bliższym poznaniu okazywał się człowiekiem ciepłym i godnym zaufania, zawsze gotowym służyć przyjaciołom pomocą, jak wyraził się Wayne, gdy czekała w limuzynie, aż Gillette wyjdzie z restauracji. Do tego zdawał się daltonistą w kontaktach z przedstawicielami różnych ras, troszczącym się także o to, by kobiety miały szansę na zrobienie kariery, jeśli tylko im na tym zależy. No i nic nie wskazywało na to, by siedział jak kwoka na górze zarobionego złota. Wręcz przeciwnie. Często i hojnie obdarowywał rozmaite organizacje charytatywne.

Skrzywiła się, wyglądając uważnie przez zniekształcającą perspektywę tafle grubego szkła w drzwiach holu. Był niezwykle zajęty, a mimo to od razu zgodził się pojechać z nią do Baltimore w odwiedziny do matki leżącej w szpitalu, a raczej kobiety występującej w tej roli, której Melissa jeszcze nie widziała na oczy. Jej zleceniodawcy postanowili zaangażować jakąś statystkę, gotowi hojnie zapłacić za odegranie krótkiego przedstawienia. Aż przygryzła wargi na to wspomnienie. Christian chciał dla niej zrezygnować z części swoich obowiązków, a ona go zwyczajnie oszukuje. I to za pieniądze.

- Ty pindo - syknęła pod nosem, ruszając wolno po schodach do zewnętrznych drzwi kamienicy. - Ty cholerna pindo! - powtórzyła, jakby nagle zaczęła się sobą brzydzić.

A było się czym brzydzić, gdyż pozwalała sobą manipulować, skuszona obietnicą zapłaty. Kiedy zaczęła się już poważnie zastanawiać, czy nie rzucić tej odrażającej gry,

nie uciec i nie zaszyć się w jakimś miasteczku na Środkowym Zachodzie, zleceniodawcy, jakby czytając w jej myślach, złożyli jeszcze bardziej kuszącą ofertę. I tak nie mogło się to równać z aktorską gażą zdobywczyni Oscara, ale było już całkiem niezłym zarobkiem. No i powtórzyli obietnicę wysokiej premii, gdy cała afera dobiegnie końca. Nie padła żadna konkretna suma, wspomniano jednak o kwocie siedmiocyfrowej.

Po raz kolejny uderzyło ją, że rozmyślała o zaszyciu się w jakiejś mieścinie Środkowego Zachodu, nie mając żadnego pomysłu, jak miałyby tam zarabiać na życie. A zdążyła się już przekonać, że brak pomysłu na uzyskanie jakichkolwiek dochodów oznacza przerażający brak pewności, czy nie będzie głodować. Co prawda, jeszcze nigdy nie doświadczyła głodu. Wolą jednak nie ryzykować i dlatego zgodziła się na udział w tym przedstawieniu, gdyż zapewniało zarobek.

- Brzydzę się tobą - wymamrotała, ruszając powoli chodnikiem wzdłuż Third Avenue.

Nie dowiedziała się, jaki jest cel tej maskarady, dlaczego zleceniodawcy są tak obsesyjnie zainteresowani Christianem. Otrzymała tylko polecenie, by możliwie jak najbardziej zbliżyć się do niego i utrzymywać stały kontakt, aby za jej pośrednictwem dało się śledzić każdy jego krok. Nie wiedziała też, jaki los gotowali dla Gillette'a na zakończenie tej rozgrywki. Domyślała się jednak, że nie będzie to nic dobrego.

Padilla wyglądał ostrożnie zza pnia palmy, usiłując przebić wzrokiem ciemności, gdy poczuł na karku ciepły oddech wiceministra. Nie mógł rozpoznać, kto stoi obok furgonetki. Strach podsuwał mu widok komunistycznych żołnierzy, którzy będą go torturować, a następnie poćwiartują, gdy wyjdzie na jaw, czym się zajmował. Nagle jeden z ludzi stojących przy samochodzie zakasłał i zaklął

pod nosem, dzięki czemu Padilla rozpoznał go po głosie. Śmiało wyłonił się więc zza drzewa i wyszedł z gąszczu na polankę, mimo że wiceminister gorączkowo próbował go złapać za rękę i powstrzymać.

- Co pan robi? - syknął mu tuż nad uchem. - Proszę wracać.

Ale było już za późno. Jeden z ludzi stojących przy furgonetce zauważył poruszenie w zaroślach i gwałtownie wyciągnął pistolet.

- Ręce do góry! - wrzasnął.

- Panie Cruz!

Tamten znieruchomiał.

- Amigo?

- Tak, jasne.

- O Jezu... - Cruz pospiesznie opuścił broń i wsunął ją do kabury przymocowanej do nogi. - Mało brakowało, żebym pana zastrzelił.

Uścisnęli sobie ręce, chyba tylko jako wyraz obustronnej ulgi.

- Wszystko w porządku - rzekł miękko Padilla, zwróciwszy uwagę, że zarządca gospodarstwa ledwie sobie radzi z nadzwyczajną presją psychiczną.

- A co tam się stało, do diabła?

Cruz pokręcił głową.

- Nic, niepotrzebnie narobiłem alarmu. Przy drodze dojazdowej zatrzymał się starszy człowiek z pobliskiego miasteczka. Złapał gumę. Pomogłem mu zmienić koło i odjechał. Przepraszam, że niepotrzebnie napędziłem panom tyle strachu.

Padilla machnął ręką.

- Nic się nie stało, sami prosiliśmy, żeby czuwał pan na posterunku. Nie ma się czym przejmować. Wie pan, gdzie są pozostali?

- Wszyscy już wrócili do kantorku. - Cruz zaleźnionym wzrokiem zerknął ponad ramieniem chirurga na wyłaniającego się z zarośli wiceministra. - Nic się nikomu nie stało.

- To dobrze, bardzo dobrze.

Wiceminister położył mu dłoń na ramieniu.

- Przyznam, doktorze, iż napędził mi pan strachu.

Cruz obrzucił Padillę uważnym spojrzeniem.

- Jest pan lekarzem? - zapytał cicho.

- Owszem - przyznał ten z ociąganiem.

Cruz pochylił się w jego stronę i wyjaśnił szeptem:

- Mam w domu chorego dzieciaka. Gorączkuje. To mój wnuczek, najmłodszy, ma dopiero cztery lata. Czy nie zechciałby pan poświęcić mu paru minut?

Padilla zmierzył wiceministra ostrym spojrzeniem. Niedyskrecja tamtego mogła go kiedyś kosztować życie.

- Z przyjemnością zbadam chłopca.

- Chris?

Christian błyskawicznie oderwał wzrok od ekranu komputera, zaskoczony, że nie słyszał cichego szczęku zamka otwieranych drzwi. Było już po pierwszej w nocy i sądził, że oprócz niego w biurze Everestu nie ma nikogo. Zadzwoił z aparatu komórkowego do Wayne'a i kazał mu wracać z kierowcą limuzyny do domu. Ale ochroniarz odesłał kierowcę, a sam został na posterunku w głównym holu. Wyglądało na to, że Quentin martwi się o jego bezpieczeństwo.

- Ally?! Jezu...

- Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć.

- Co ty tu robisz? - spytał zdumiony, ruchem ręki nakazując jej wejść do pokoju.

- Musiałam załatwić parę drobnych spraw - odparła, siadając przed jego biurkiem. - Nie mogłam zasnąć.

Wyglądała jednak na zmęczoną. I zmartwioną. W ciągu minionych kilku lat nieraz przesiadywali razem w biurze do tak późnej pory i zazwyczaj to ona bardziej od niego tryskała energią. Żartowała i opowiadała dowcipy, żeby go rozruszać.

- Nad czym tak ślęczysz? - zapytała.

Uśmiechnął się szeroko i sięgnął do drukarki stojącej na niskim stoliku przy biurku.

- Nad czymś, co powinno cię bardzo zainteresować.

Obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem.

- Sama zobacz. - Podał jej egzemplarz przygotowanej notatki. - Jeszcze dzisiaj roześlę to do wszystkich pracowników oraz naszych inwestorów.

Oczy Allison stopniowo rozszerzały się w miarę, jak docierała do niej treść trzech krótkich akapitów tekstu.

- Nie wierzę - oznajmiła stanowczo, skończywszy czytać. - Naprawdę chcesz mnie mianować na wiceprezesa zarządu?

- To oficjalny komunikat. Pozostałe dokumenty są już gotowe. Będę musiał je tylko podpisać z samego rana. Ty również.

- Dziękuję... Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę bardzo doceniam zaufanie, jakim mnie obdarzyłeś...

- Prawdę mówiąc, potrzebowałem drobnego impulsu ze strony Victorii Graham, ale to nie zmienia postaci rzeczy. Mnie też niekiedy potrzeba dodatkowego bodźca. Na pewno o tym wiesz. - Wskazał pismo, które wciąż trzymała przed sobą w drżących rękach, i dodał: - Od tej pory będziesz tu druga po mnie. Jednakże równocześnie z awansem chcę cię poprosić o przejęcie wielu obowiązków administracyjnych. To już wcale nie będzie zabawne. - Zachichotał. - Może więc chcesz trochę czasu do namysłu?

Pokręciła głową.

- Nie. Chętnie ci pomogę w prowadzeniu biura. Wiem, że to nudna papierkowa robota, ale ty musisz od niej wreszcie odetchnąć, Chris. Wszyscy tak uważają. Zatem z tym większą przyjemnością wezmę część obowiązków na siebie. Obiecuję, że wszystkim zajmę się troskliwie.

- Nawet bez podwyżki?

- Oczywiście. Chyba mnie znasz, prawda?...

- Ale i tak dostaniesz podwyżkę - przerwał jej. - Sto ty

sięcy dolarów rocznie. Zasługujesz na to, świetnie wywiązywałaś się ze

swoich obowiązków. Oczywiście w porównaniu z premią ze sprzedaży Laurel Energy sto tysięcy to niezbyt wygórowana suma, ale...

- Dla mnie ma ogromne znaczenie. Sama kwota podwyżki nie jest aż tak ważna. - Spoglądała na niego przez kilka sekund. - Jesteś niesamowity.

- Nic podobnego. Powinienem był to zrobić już jakiś czas temu. Niepotrzebnie tak długo odwlekałem decyzję. - Zaśmiał się w głos. - To pewnie przez to, że nie miałem ochoty rozsyłać wszystkim tego komunikatu. Wiesz, jak nie znoszę takiej roboty.

- Część wspólników zarządu nie będzie tym zachwycona. - Uniosła nieco wyżej trzymaną kartkę.

Machnął lekceważąco ręką, chcąc dać jej do zrozumienia, żeby nie zawracała sobie tym głowy.

- I tu się mylisz. Rozmawiałem już ze wszystkimi z wyjątkiem Jima Marshalla i nikt nie wyraził sprzeciwu. - Strzelił palcami, przypomniawszy sobie, że powinien sformułować jeszcze drugi komunikat informujący o bezterminowym urlopie Marshalla.

- Co się stało?

Nie odpowiedział od razu. Chciał się przekonać, czy Alison już wie o płatnym urlopie Jima Marshalla, o którym nikomu jeszcze nie mówił, uznał jednak, że jest za bardzo zmęczony.

- A powodem, dla którego Marshalla nie będzie w biurze przez jakiś czas...

- Przecież wiem, że wysłałeś go na bezterminowy płatny urlop - wpadła mu w słowo.

- Tak? Skąd wiesz?

- Poszłam z nim na drinka i powiedział mi o tym. Był strasznie wściekły. - Położyła notatkę na brzegu biurka. - Ale teraz, kiedy się dobrze nad tym zastanawiam, muszę przyznać, że na twoim miejscu postąpiłabym chyba tak samo. I pewnie się domyślasz, jak niechętnie przyznaję ci

rację. Rzeczywiście trudno trzymać kogoś takiego w pracy. On faktycznie potrzebuje pomocy.

Christian mimo woli pomyślał, że mogła tak powiedzieć nie dlatego, że tak uważa, lecz wyłącznie z powodu otrzymanego właśnie awansu. Nie mógł wykluczyć, że w euforii objęcia stanowiska wiceprezesa zarządu w największej na świecie prywatnej firmie inwestycyjnej będzie teraz mówiła tylko to, co on jej zdaniem chciałby usłyszeć. Na krótko zamknął oczy. Nie znosił sytuacji, w których musiał się bez przerwy zastanawiać nad motywami

postępowania ludzi. Świadczyło to wyraźnie, że potrzebował czegoś więcej niż tylko krótkiego oddechu od obowiązków administracyjnych, może nawet całkowitego oderwania się od spraw biurowych na jakiś czas. Postanowił naprędce, że jak tylko upora się z kubańską misją dla prezydenta Wooda, urządzi sobie wakacje, i to długie. Pozostawało tylko rozstrzygnąć, z kim miałyby wyjechać.

- Nie wątpię, że jest rozwścieczony, ale powinien się cieszyć, że go nie wylałem.

- Ma to na uwadze i dobrze wie, ile ci zawdzięcza. W głębi duszy jest przede wszystkim wściekłym na samego siebie. - Urwała na krótko. - A jak Quentin zareagował na to, że zostanę wiceprezesem zarządu?

- Uznał, że to bardzo dobra decyzja. Powiedział, że według niego jesteś najlepszą kandydatką na to stanowisko. Quentin bardzo cię lubi.

- Wolalabym, żebyś ty mnie lubił - szepnęła.

- Słucham?

Odwróciła szybko głowę i przez parę sekund spoglądała w bok.

- Tęsknię za tobą - wyznała jeszcze ciszej. - Bardzo.

Poczuł wyrzuty sumienia, że nie powiedział jej ani słowa o Beth.

- Zrozum, dobrze wiem, że nie mieliśmy ostatnio okazji, żeby być razem, ale...

- Nie o to mi chodzi - przerwała ostro, wstając z krzesła. - Po prostu nie mogę się oprzeć wrażeniu, że już nie jesteśmy po tej samej stronie, jak kiedyś. Przecież byliśmy ze sobą blisko, ale teraz coraz bardziej się od siebie oddalamy.

On także wstał, gdy Allison zaczęła obchodzić biurko.

Bez słowa podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem.

Była drobnej budowy, podobnie jak Beth. Może nieco wyższa, ale tak samo szczupła i delikatna. A jej długie blond włosy pachniały wiosennym popołudniem, tym samym świeżym i ożywczym powietrzem, na którego pęd z taką przyjemnością wystawiał twarz w drodze powrotnej samochodem z Camp David do Waszyngtonu.

Co się z nim działo? Miał tu przecież wszystko, czego pragnął, a jednak powstrzymywał się przed wejściem w związek, przed sfinalizowaniem umowy. Może w głębi serca obawiał się tego, że gdy na dobre zwiąże się z Allison, będzie musiał zapomnieć o wielu rzeczach, a głównie o innych kobietach, gotowych zrobić wszystko, czego zapragnie i kiedy zapragnie. A

może po prostu bał się zbytniego zaangażowania w życiu prywatnym? Tak długo był zależny tylko od siebie, że nawet nie umiał ocenić, czy byłby w stanie tak się zatroszczyć o Allison, jak ona tego pragnęła, a tym bardziej tak, jak na to zasługiwała.

Spojrzała mu w oczy.

- Co się z tobą dzieje?

Poczuł się idiotycznie, jakby ona czytała w jego myślach.

- O co ci chodzi?

- Zachowujesz się nienaturalnie. Czuję się tak, jakbym obejmowała pień drzewa, na miłość boską...

- No cóż... Ja...

- Masz kogoś? - zapytała ostro, wyslizgując się z jego objęć i mierząc go przenikliwym wzrokiem. - Jest ktoś inny?

- Co?! Jeśli dobrze pamiętam, mieliśmy się nawzajem informować, gdyby kiedyś...

- Przestań! - Uniosła obie ręce w obronnym geście,

ale zaraz opuściła je powoli. - Wiesz co? Mam tego dość, Chris. Mam dość zastanawiania się, co naprawdę między nami jest i co robisz poza moimi plecami. Jestem gotowa spełnić twoje życzenie - warknęła groźnie, znów unosząc ręce, jakby się bała, że coś powie. - Od tej pory jesteśmy wyłącznie współnikami w interesach i nic poza tym. Postaram się być dla ciebie najlepszym współnikiem, jakiego mógłbyś sobie wymarzyć, i już nigdy nie będę próbowała niczego, co wykracza poza ramy takiej współpracy. - Zawróciła na pięcie i ruszyła w stronę drzwi. - Dobrej nocy - rzuciła przez ramię, a po chwili dodała: - współniku.

Tym razem nawet nie próbował jej zatrzymać. Byłoby to nie fair. Miała absolutną rację we wszystkim, co powiedziała. Przez cały czas, gdy się do niego przytulała, rozmyślał o tym, czy na pewno nie znalazłby dla siebie kogoś lepszego od niej. Może nawet trochę młodszego. Nie miał konkretnie na myśli Beth, ale kogoś podobnego do niej.

Aż jęknął, siadając z powrotem w fotelu. Odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i przeciągnął dłonią po włosach. O mężczyznach mówiących o sobie, że przechodzą kryzys wieku średniego, zawsze myślał jako o słabeuszach, którzy nie zdołali odnieść takiego sukcesu, jaki zakładali czy jakiego spodziewali się po nich inni. Zawsze obiecywał sobie, że nie stanie się ofiarą tego przygnębiającego procesu. Więc jak miał teraz zakwalifikować swoje obecne postępowanie?

Padilla wszedł za Gustavo Cruzem po wąskich schodach budynku mieszkalnego. Pięciu pozostałych członków Sekretnej Szóstki zostało na podwórzu, gotowych w jednej chwili ukryć się w pobliskiej dżungli, gdyby znów został ogłoszony alarm. Byli niespokojni, co rusz nerwowo rozglądali się na boki. Wszyscy prócz adwokata z Ministerstwa Sprawiedliwości, uświadomił sobie Padilla.

I wszyscy sprawiali wrażenie wycieńczonych, jakby niedawno ukończyli bieg maratoński. Z wielu różnych powodów tak też można było to traktować. I pod tym względem adwokat wyróżniał się spośród nich. Widać to było już na pierwszy rzut oka, gdy tylko Padilla go zobaczył na podwórzu gospodarstwa po przejściu całej wyboistej drogi dojazdowej. Był tylko lekko spocony, dużo mniej, niż każdy z pozostałych. A przecież był starszy od innych członków grupy co najmniej o dziesięć lat. Teoretycznie powinien ledwie trzymać się na nogach.

Z sieni Cruz skręcił do korytarza w lewo i otworzył drzwi pierwszego pokoju po lewej, w którym stały piętrowe łóżka, a na każdym leżały co najmniej trzy materace. Na dolnym posłaniu bliżej drzwi siedział chłopczyk.

- To właśnie Ruby - powiedział gospodarz, zamykając drzwi.

Padilla podszedł do czterolatka i uklęknął przed nim. Bardzo lubił zajmować się dziećmi, gdyż nie znosił świadomości, że mogą chorować i cierpieć. Był głęboko wierzącym katolikiem i za nic w świecie nie opuściłby niedzielnej mszy, ale nie mógł się pogodzić z wyrokiem Bożym, jaki widział w cierpieniach dzieci, zwłaszcza chorych na raka, z dnia na dzień przegrywających nierówną walkę ze śmiertelną chorobą. W gruncie rzeczy nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje, choć ta sytuacja była dla niego lepsza. Może przez to potrafił okazywać im czułość i radość aż do samego końca.

Wiele razy prosił księży, by mu wyjaśnili, dlaczego dzieci muszą aż tak cierpieć. Ale żaden duchowny nie był w stanie udzielić mu zadowalającej odpowiedzi, to znaczy takiej, która uwolniłaby go od wyrzutów sumienia i pozwoliła zaakceptować istnienie jakiegoś nadrzędnego celu w dramatycznych doświadczeniach tych niewinnych istnień ludzkich. To była jedyna sprzeczność podważająca jego ślepą wiarę, jedyny powód, dla którego gotów był

kwestionować istnienie Świętej Trójcy. Nigdy nie zdradził przed nikim swoich wątpliwości, zdając sobie sprawę, że są skrajnie irracjonalne. Dla niego nie miało znaczenia, co myślą inni, a tylko to, co wiedział sam Bóg. A On przecież doskonale wiedział, jak mocne podstawy ma wiara Padilli,

niezależnie od tego, czy zdradził się przed kimś ze swoimi wątpliwościami, czy nie.

- Cześć, Ruby - odezwał się łagodnym głosem, gdyż zawsze w rozmowach z dziećmi unikał drażniącego piskliwego tonu charakterystycznego dla przedszkolnych opiekunek. Jeszcze bardziej zwracał uwagę na to, żeby traktować swoich małych pacjentów z należyтым szacunkiem, gdyż większość z nich spoglądała na niego spod nachmurzonych brwi wzrokiem aż nadto poważnym jak na ich wiek.

- Cześć - mruknął malec półgłosem.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

Padilla przytknął dłoń do czoła chłopca. Było chłodne. Zerknął przez ramię na Cruza i rzekł:

- Wcale nie ma gorączki. - Pospiesznie przytknął dwa palce do boku szyi malca, mierząc jego puls, po czym zajrzał mu do gardła, które nawet nie było zaczerwienione. - Gustavo, przecież on...

- Najwyraźniej jakimś cudem nagle mu się polepszyło, doktorze - odparł pośpiesznie gospodarz.

Padilla przez kilka sekund patrzył Cruzowi w oczy, po czym wstał, boleśnie świadom tego, jak strzela mu w stawach. Także czuł się wykończony po panicznej ucieczce przez gęstą dżunglę. I to zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Miał ochotę jak najszybciej wrócić do domu i położyć się do łóżka, aby przynajmniej na kilka godzin zapomnieć o ciągłym stresie. Miał nadzieję, że tym razem nie dopadną go senne koszmary, które budziły go w ciągu dwóch ostatnich nocy.

Bez trudu dało się wyczuć napięcie w jego głosie.

- O czym?

- O jednym z członków pańskiej grupy.

Padilla odniósł wrażenie, jakby miał czułki i te wyprężyły się nagle, by łowić wszelkie możliwe bodźce docierające ze świata zewnętrznego.

- Którym?

Cruz ruchem ręki dał znać Ruby'emu, żeby wyszedł z pokoju. Chłopczyk podbiegł do wyjścia, wyskoczył na korytarz i błyskawicznie zatrzasnął za sobą drzwi, nie czekając na dalsze instrukcje.

- Tym najstarszym - przekazał cicho gospodarz, gdy zostali sami.

Miał na myśli adwokata.

- O co konkretnie chodzi?

- Szperał w szufladach z dokumentami w moim kantorku. - Gospodarz ruchem głowy wskazał okno, mając na myśli stodołę po przeciwnej stronie podwórza. - Przeglądał księgi inwentarzowe mojego stada bydła.

Padilla aż zmrużył powieki.

- Skąd o tym wiesz?

- Widziałem to przez okienko kantoru w stodole. Dotarł na miejsce spotkania jako pierwszy i przez pewien czas był sam. Ja czekałem wtedy na was na podwórzu. I widziałem przez okno, jak szperał w moich papierach. - Cruz ściągnął z głowy czapkę baseballową, włożył ją z powrotem, a po paru sekundach znowu zdjął. Powtarzał te nerwowe gesty kilka razy, za każdym razem przyglądając palcami resztki włosów na czubku głowy.

To prawie jak tik nerwowy, pomyślał Padilla.

- Pan wie, co jest w tych księgach, prawda? - odezwał się w końcu Cruz z ociąganiem, wciskając sobie czapkę na głowę.

Chirurg w zamyśleniu przytaknął mchem głowy. Tamten chciał się upewnić, że on wie o sfałszowanych wpisach, zatem musi zdawać sobie sprawę, co mu grozi, gdyby ta sprawa wyszła na jaw.

- Tak, wiem. Generał powiedział mi o wszystkim. - Padilla położył dłoń na ramieniu gospodarza. - Proszę się nie martwić, ja pana nie wydam - rzekł, kładąc nacisk na słowo „ja”, gdyż nagle stracił pewność, czy nadal może się posługiwać słowem „my”.

- Jedną chwileczkę, już idę - rzucił głośno Marshall, wychodząc ze swojej sypialni i zawiązując pasek szlafroka. Nie rozbudził się jeszcze na dobre i oczy mu się kleiły. Zadzwoiła, będąc zaledwie kilkaset metrów od jego domu, toteż nie miał czasu, żeby dojść do siebie. Liczył na to, że będzie miał z pięć minut czasu, ale dzwonek rozległ się prawie natychmiast. Spojrzał na ścienny zegar w holu, było w pół do piątej rano.

Wyjrzał przez wizjer, chcąc się upewnić. Rzeczywiście stała przed drzwiami, odwrócona tyłem, lecz od razu rozpoznał jej długie ciemne włosy. Co prawda, był przemęczony, ale nie aż tak, żeby brakowało mu sił. Niemniej zaskoczył go telefon od niej. Zostawił ją śpiącą w hotelu, nie chcąc jej budzić, kiedy wyruszał do swojego mieszkania po podrobiony klucz od drzwi wejściowych biura Everestu. Nie zostawił jej nawet kartki z wiadomością. Lecz może taktycznie był aż tak wspaniały, jak mówiła mu to kilkakrotnie tego wieczoru. Może wcale nie żartowała, gdy powtarzała, że nie może mu się oprzeć. Przecież w rozmowie telefonicznej mówiła zupełnie poważnie. Zanosilo się więc na niezłą, bo niespodziewaną zabawę. Poza tym

nie musiał się tego ranka spieszyć do pracy, bo przecież Gillette wysłał go na przymusowy urlop.

- Wejdz, proszę - rzekł, otwierając szerzej drzwi. - Czyżbyś się już stęskniła... - Słowa uwięzły mu nagle w gardle,

gdy ujrzał przed sobą mężczyznę mierzącego mu z pistoletu prosto w serce. - Co to... Co ma znaczyć...?

Mężczyzna błyskawicznie ściągnął z głowy perukę i rzucił ją na pobliskie krzesło, a za nim do środka wtargnęło trzech innych napastników.

- Nie zamierzałeś nas poinformować, że zostałeś wylany, prawda? - odezwał się ostatni z nich, zamykając za sobą drzwi.

- Wcale nie zostałem wylany - odparł pospiesznie Marshall, wyraźnie przestraszony, choć za wszelką cenę starał się nie dać po sobie niczego poznać. - Czego chcecie?

- Ta sprawa nie zakończy się dla pana dobrze, panie Marshall - oznajmił tamten spokojnie, jakby nie słyszał jego pytania. - Ale może pan zminimalizować negatywne skutki, godząc się na pełną współpracę.

Marshall z trudem przełknął ślinę, gdyż serce podchodziło mu do gardła. Dostał od swojego łącznika pięćdziesiąt tysięcy w gotówce, a do tego obietnicę sowitej premii. Nagle zdał sobie sprawę, że nie warto było brać tych pieniędzy. Mógł przecież zadać jeszcze kilka newralgicznych pytań swoim zleceniodawcom, następnie zażądać więcej pieniędzy, wreszcie zniknąć im z oczu.

- Proszę, nie róbcie mi krzywdy - wyjąkał, gdyż strach ściskający go za gardło ledwie pozwalał mu dobyć z siebie głosu. - Zrobię wszystko, czego zażądacie.

- Nie wątpię - odparł tamten. - Ale na tym etapie nie możesz zrobić niczego, co byłoby dla mnie użyteczne.

- Wciąż mam dostęp do biura Everestu - wyrzucił z siebie panicznie, jednym tchem. - Wciąż mogę wam dostarczać informacji.

- Nie kłam - rzucił groźnie intruz. - Dobrze wiemy, że ochroniarze Gillette'a już skopiowali z kaset ochrony budynku ten fragment, na którym widać, jak przedwczoraj wieczorem wracasz do biura. Wiemy, iż wezwali cię na rozmowę i oświadczyli, że jeśli jeszcze raz spróbujesz wró-

cic do biura po godzinach pracy, zostaniesz aresztowany pod zarzutem włamania. Wiemy, że twoje zdjęcie już znalazło się na tablicy informacyjnej przy stanowisku ochrony w głównym lobby budynku. Strażnicy zostali uprzedzeni, żeby zwracać na ciebie szczególną uwagę. Tak więc nie masz już

wstępu do biura Everestu, chyba że poddasz się operacji plastycznej.

Marshall osunął się na kolana, przenosząc wzrok z jednego prześladowcy na drugiego. Skutecznie blokowali dostęp do wyjścia na korytarz, jedynej drogi ucieczki z mieszkania.

- Ja mam dzieci...

Tamten pokiwał głową.

- Tak, wiem, ale nic na to nie poradzę. - Ruchem ręki dał znak jednemu ze swoich ludzi. - Zmuscie go, żeby napisał list.

Tamten podszedł do klęczącego Marshalla, złapał go za kołnierz szlafroka i powlókł w stronę kanapy w dużym pokoju. Usadawił go na niej i położył przed nim na stoliku kartkę i długopis.

- Pisz - rozkazał.

- Co mam pisać? - zapytał Marshall roztrzęsionym głosem.

- List pożegnalny samobójcy - wyjaśnił ten, który jako pierwszy wtargnął do mieszkania. - I masz w nim obwinić Gillette'a.

Marshall energicznie pokręcił głową, pojawiając wreszcie, co chcą z nim zrobić. Pochwycił krótkie spojrzenie mężczyzny w kierunku odsuwanych drzwi prowadzących na balkon jego mieszkania na trzydziestym siódmym piętrze wieżowca.

- Nie ma mowy.

Mężczyzna podszedł bliżej i stanął nad nim.

- Już ci mówiłem - syknął groźnie, wymachując mu pistoletem przed nosem - że to się dla ciebie nie może się skończyć dobrze. Lecz jeśli nie wykonasz mojego polecenia, to, co się wydarzy od teraz do twojego końca, będzie o wiele gorsze, niż możesz sobie wyobrazić.

Marshall rzucił się do przodu, zaciskając palce na kolbie pistoletu, czym całkowicie zaskoczył przeciwnika.

Zmagali się przez parę sekund. Marshallowi chodziło wyłącznie o to, by dobrać się do spustu i oddać parę strzałów na oślep, głównie po to, by zaalarmować sąsiadów, ale napastnik umiejętnie mu to uniemożliwił.

Kiedy Marshall już miał wsunąć palec pod osłonę

i zacisnąć go na czarnym zakrzywionym języczku spustowym, któryś z pozostałych intruzów wymierzył mu silny cios w szczękę, aż poleciał w bok i z jękiem huknął skronią o ramę kanapy. Miał wrażenie, jakby tuż przed nosem eksplodował mu granat.

- Pisz! - rozkazał przywódca bandy, pochylając się nad nim bardzo nisko

i wtykając mu długopis do ręki. - I to już!

- Pieprz się! - warknął Marshall, błyskawicznie zerkając w bok. - Niczego nie napiszę. - Czuł, jak stłuczone wargi szybko puchną, a po języku rozlewa się metaliczny posmak krwi. - Róbcie, co wam się żywnie podoba, ale...

Ktoś go błyskawicznie obrócił i wyciągnął na wznak na kanapie. Marshall ujrzał jednego z zamaskowanych napastników trzymającego druciany wieszak z pralni, z którego powolnymi ruchami ciasno skręcał spiralnie prowizoryczne narzędzie tortur. Aż słabo mu się zrobiło na myśl, że ów druciany sztrychulec zostanie mu wbity na przykład do nosa.

- Nie, zaraz! - Zebrawszy w sobie resztki sił, wykręcił głowę w bok, byle dalej od oprawcy. - Napiszę wszystko, co chcecie. I jak chcecie. - Perspektywa strasznego bólu była dla niego nie do zniesienia. - Tylko nie róbcie mi krzywdy...

- Więc jak? Napiszesz ten list?

Marshall usiadł szybko, chwycił długopis i nagryzmolił na kartce dokładnie to, co mu podyktowano. W paru zdania obciążył winą Christiana Gillette'a o to, że zmusił go do popełnienia samobójstwa. Na dole napisał czytelnie swoje imię i nazwisko.

Mężczyźni chwycili go za ręce i nogi, wynieśli na balkon i z rozmachem wyrzucili za poręcz.

Tak oto nadszedł jego koniec.

Delgado jak zwykle palił dominikańskie cygaro, z rozkoszą zaciągał się głęboko dymem, po czym wydmuchiwał go w mrok nocy, w stronę poruszanych lekką bryzą rozłożystych liści drzew rosnących na skraju plaży. Padilla zdążył nawet polubić zapach tytoniowego dymu, nie mówiąc już o aurze bezgranicznego spokoju, jaką roztaczał wokół siebie generał ubrany w mundur połowy, wysokie czarne oficerki i zieloną czapeczkę z daszkiem, z ciemnymi okularami wetkniętymi za kieszonkę nylonowej koszuli. Przy nim zawsze czuł się pewniej, a przede wszystkim bezpieczniej. W jego pamięci odżyły wspomnienia z tamtego wieczoru, kiedy po całym dniu pobytu w szkole niespodziewanie spotkał się z ojcem.

- Naprawdę niepokoi cię ten adwokat? - zapytał Delgado.

Padilla przytaknął ruchem głowy, patrząc na fale wdzierające się na plażę. Na bezchmurnym niebie stał księżyc w pełni, a jego blask rozchodził się po grzbietach fal niczym srebrzyste konfetti.

- Cruz powiedział, że tamten przeglądał jego księgi inwentarzowe hodowli bydła, kiedy myślał, że nikt go nie widzi.

Delgado zachichotał.

- Podejrzewam, że słysząc to, stary Gustavo dostałby ataku serca. Miałyby z tego powodu mnóstwo nieprzyjemności.

- W każdym razie mnie się wydaje podejrzany.

- Nie musisz się nim przejmować - oznajmił generał, wytrząsając popiół z fajki na piach.

Delgado jeszcze nigdy nie spotkał się z pozostałymi pięcioma członkami Sekretnej Szóstki, głównie dlatego, że nie domagał się takiego spotkania. Tamci wiedzieli, kim jest, on jednak chciał zachować możliwość wyparcia się wszystkiego na wypadek oskarżenia o udział w spisku, zasłaniania się tym, że niedoszli rebelianci tylko wymyślili sobie jego współdziałanie. Według Padilli jedynym człowiekiem zdolnym obecnie skompromitować całą grupę był Gustavo Cruz, z czego Delgado także musiał zdawać sobie sprawę. Gdyby generał zwietrzył, że planowana przez nich „ingerencja” nie ma większych szans powodzenia, godziny życia Cruza byłyby policzone. To też było jednym z powodów, dla których nie spieszył się ze skonfrontowaniem generała z adwokatem. Nie chciał pochopnie wydawać wyroku śmierci na Cruza, jeśli Delgado nagle zadecyduje, że musi się wycofać i zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Ale po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że nie ma wyboru, jeśli rzeczywiście chce być świadkiem sukcesu „ingerencji”. Przypomniał sobie, jak podczas wstępnych rozmów ustalili, że jeśli będą konieczne jakieś ofiary, przejdą nad nimi do porządku dziennego.

- Masz to zdjęcie? - zapytał generał.

Wcześniej nakazał mu potajemnie sfotografować wszystkich członków Sekretnej Szóstki, lecz dopiero teraz się o nie upomniał.

- Tak. - Padilla wyciągnął z kieszeni zdjęcie adwokata. Zrobił je któregoś popołudnia przez teleobiektyw, gdy tamten wychodził z gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości. Na chwilę zapatrzył się na lekko ziarnistą fotografię mężczyzny o gładko zaczesanych do tyłu siwych włosach, zanim wyciągnął ją do generała. - Proszę.

- Masz tylko tę jedną odbitkę?

- Nie.

- Więc zachowam tę dla siebie. - Delgado wsunął zdjęcie do tej samej kieszonki, z której zwieszały się jego ciemne okulary.

- Tak, oczywiście.

- Jak on się nazywa?

- Ernesto Martinez.

Generał skinął głową.

- Sprawdzę go dokładnie.

Padilla przygarbił się nieco.

- Dziękuję, generale. - Pokręcił głową i ponownie zapatrzył się na otwarte morze. - Czuję się okropnie z tego powodu. Prawdopodobnie to nic nie znaczy, Martinez jest nam pewnie bardzo oddany, a ja stałem się po prostu przeczulony.

Delgado pogroził mu palcem.

- Nie masz powodu do wyrzutów sumienia, bo zachowujesz się bez zastrzeżeń. Musimy zachować ostrożność. I to jak najdalej posuniętą. - Zawahał się na chwilę. - Dobry z ciebie człowiek, doktorze. Wracaj do domu i ucałuj dzieci na dobranoc, żebyś mógł się pokochać ze swoją żoną. To najważniejsze rzeczy na tym świecie. Nigdy o tym nie zapominaj.

Padilla spojrzał w twarz generała skąpaną w blasku księżyca. Nigdy nie zwracał się do niego z żadną osobistą prośbą, głównie dlatego, że już przy pierwszym spotkaniu usłyszał, że nie będą blisko zaprzyjaźnieni. Oczywiście nie dlatego, że tak mało ich ze sobą łączyło, ale z powodu konieczności zachowania tajemnicy, która wręcz nie pozwalała im na zadzierzgnięcie bliższych kontaktów. Delgado powiedział mu wyraźnie, że inspektorzy państwowych służb śledczych są w stanie wyciągnąć z człowieka wszystko, niezależnie od tego, jaką ma wprawę w posługiwaniu się kłamstwem. A gdyby udało im się z niego wyciągnąć cokolwiek, nie poprzestaliby, dopóki by nie dotarli do całej prawdy.

- Jest pan żonaty, generale? - zapytał Padilla, obserwując ze strachem, jak zwięzają się źrenice jego rozmów

cy, a wargi zaciskają w wąską linię. - Przepraszam. Nie chciałem...

- Kiedyś byłem - odparł Delgado, przybierając kamienną minę. - Miałem piękną żonę, w której byłem zakochany bez pamięci. Mieliśmy czworo dzieci. - Głośno przełknął ślinę. - Wszyscy zginęli przed dwoma laty w katastrofie samolotowej. Do dziś pamiętam ten ostatni raz, kiedy pocałowałem Marię. Od tamtej pory nie całowałem żadnej kobiety.

Padilla spuścił wzrok na piach plaży, zaczął go nerwowo rozgarniać palcami bosej stopy. Nawet nie podejrzewał, że generał może być aż tak sentymentalnym człowiekiem. Oczywiście uzmysłowiło mu to tylko, jak bardzo był naiwny, W końcu Delgado musiał być nadzwyczaj sentymentalny, skoro postanowił zaryzykować wszystko dla dobra Kuby. Zapewne wiódł beztroskie i dostatnie życie, biorąc pod uwagę jego pozycję w

komunistycznej armii. Mógł mieć wszystko, czego dusza zapragnie, a mimo to postanowił zaryzykować życie dla jedenastu milionów rodaków, o których nic nie wiedział.

Czasami życie pcha nas nieodgadnionymi ścieżkami, pomyślał Padilla. Gdyby żona i dzieci generała nie zginęły w katastrofie lotniczej, prawdopodobnie nie zdecydowałyby się podjąć tak wielkiego ryzyka, obawiając się tragicznych reperkusji udziału w spisku. Teraz jednak był samotnym wilkiem i nie musiał się martwić o nikogo poza samym sobą.

- Teraz, kiedy się zastanowiłem - rzekł z ociąganiem Delgado, głosem spiętym z emocji - powinienem cię chyba poprosić także o zdjęcia czterech pozostałych członków grupy. Lepiej zachować zbyt daleko posuniętą ostrożność, niż zgrzeszyć jej brakiem.

Padilla zamyślił się na kilka sekund. Coś mu podpowiadało, że nie powinien spełniać tego życzenia generała.

- Nie mam żadnego powodu, aby przypuszczać, że ktokolwiek z pozostałych mógłby działać na naszą szkodę.

Chodzi o to, że według mnie Ernesto chyba też. Niczego nie knuje, tyle że...

- Proszę mi dać te zdjęcia - rozkazał generał. - Spotkamy się jutro w tym samym miejscu i o tej samej porze. - Zawahał się na chwilę, po czym uniósł dłoń do daszka czapki. - Zatem do jutra, doktorze.

Padilla odprowadził go wzrokiem, dopóki Delgado nie zniknął w ciemności. Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku godzin musiał walczyć z nieznośnym, niepohamowanym śmiertelnym przerażeniem. Nie chodziło nawet o to, co generał mu rozkazał, ale o to, jakim tonem to zrobił.

Rozdział 14

Lloyd Dorsey z reguły nie siadał za kierownicą samochodu. Zazwyczaj prowadził Bixby, żeby senator na tylnej kanapie caprice classic mógł czytać sprawozdania albo przez jeden z trzech telefonów komórkowych wydawać polecenia pracownikom swojego biura mieszczącego się w gmachu Russella, o rzut kamieniem od Kapitolu. Posiadanie aż trzech telefonów wcale nie wiązało się z chęcią zachowania łączności ze światem o każdej porze i w każdych warunkach. Wynikało z faktu romansowania z trzema kobietami naraz, toteż różne numery telefonów służyły wyłącznie temu, żeby senator

nie pomylił ich ze sobą, jeśli któraś do niego zadzwoni. Na spodniej obudowie każdego aparatu znajdowały się nalepki z ich imionami, toteż Dorsey zawsze spoglądał na nie, zanim odebrał połączenie. Gdyby któraś z kobiet poczuła się oszukana, mogłaby opowiedzieć o nim dziennikarzom, a to by oznaczało katastrofę. Przed kilku laty zdarzyła się już podobna sytuacja, z której zdołał wybrnąć dopiero po długich i uciążliwych pertraktacjach. Udało mu się przekonać dziennikarza, by nie publikował materiału na jego temat w zamian za wyłączność na ujawnienie szczegółów kontrowersyjnej ustawy antyimigracyjnej, którą zamierzał wspierać. Zrobił to niemal wbrew sobie, gdyż dogłębnie brzydził się samym pojęciem wyłączności na cokolwiek. Szczęśliwie dziennikarzowi udało się przekonać kobietę, że jej relacja nie zawiera żadnych pikantnych szczegółów, którymi mogłaby zainteresować inną gazetę.

Wszystkie trzy telefony komórkowe nie były nawet na jego nazwisko, lecz na żonę Bixby'ego, toteż wścibscy

dziennikarze nie mieli nawet szans dotarcia do bilingów i zaskoczenia go kłopotliwymi pytaniami podczas konferencji prasowych. Dziennikarzami także dogłębnie się brzydził, i to od dawna. Nie lubił nawet tych, którzy pisali o nim dobrze albo pomagali mu wybrnąć z kłopotów. Uważał, że życie na Kapitolu było znacznie lepsze bez nich. Aż śmiać mu się chciało, gdy przypominał sobie ironiczne skojarzenie, że może nie wszystko w komunizmie było całkiem złe.

Dorsey przejechał na sąsiedni pas bez włączania kierunkowskazu i omal nie staranował innego auta, którego nie zauważył w lusterku.

- Cholera - syknął pod nosem, gwałtownie szarpiąc kierownicą, gdy rozległ się donośny dźwięk klaksonu. Ewidentnie wyszedł z wprawy w prowadzeniu samochodu.

Niemniej wyglądało na to, że przez ostatnie dwa miesiące przejechał więcej kilometrów niż przez cały ubiegły rok. Wszystko przez to, że ludzie, z którymi współpracował, pragnęli uniknąć jakiegokolwiek ryzyka ujawnienia. Od początku próbował ich przekonywać, że Bixby jest mu bezgranicznie oddany i nie zdradzi ich pod żadnym pozorem. Tłumaczył, że sekretarz pozostanie w samochodzie aż do zakończenia spotkania, więc nie zobaczy żadnego z nich, nie spróbuje nawet skorzystać z łazienki, choćby musiał sikać w ogródku różanym czy gdziekolwiek indziej w okolicy. Bez przerwy jednak kręcili głowami i w ogóle nie chcieli słyszeć, aby ktoś mu towarzyszył w drodze na spotkanie.

Trzy kwadranse wcześniej przejechał przez most nad zatoką Chesapeake, kierując się z Waszyngtonu na wschód, i dotarł na wschodnie wybrzeże Marylandu równo z tym, jak we wstecznym lusterku tarcza słoneczna zetknęła się z linią horyzontu. Teraz jechał powoli tonącymi w półmroku ulicami Centreville, mającego trzysta lat miasteczka wyrosłego z osady rybackiej, którą kilka tysięcy osadników zbudowało u ujścia rzeki Corsica. Był już blisko celu.

Kilometr dalej, prawie na końcu miasteczka, skręcił w lewo w wąską wyboistą drogę i zgodnie ze szczegółowymi instrukcjami, jakie odebrał rano przez telefon, przejechał nią dokładnie trzy kilometry w ciasnym szpalerze rosnących po obu stronach drzew. Bez trudu odnalazł wylot prywatnej drogi dojazdowej, gdzie stała żółta tablica z napisem GOLDEN RETRIEVER CROSSING. Ponownie skręcił w lewo i po paru minutach zatrzymał wóz przed gankiem wielkiego kolonialnego domu z czerwonej cegły.

Wygramolił się zza kierownicy, nieco zeszywniały po długiej podróży, sięgnął na tylne siedzenie po swoją laskę i pokuśtykał ledwie widoczną ścieżką między kępami bukszpanu. Były piękne, ale nie znosił ich zapachu, który zawsze mu się kojarzył z moczem. Jego dziadkowie mieszkający pod Filadelfią uwielbiali bukszpan i za młodu, podczas zabawy z ojcem w chowanego, często ukrywał się w tych krzewach. Kojarzyły mu się z nieznośnym odorem amoniaku, jakby swoje ślady pozostawiły w nich setki kotów.

Nie musiał pukać. Ciężkie drewniane drzwi otworzyły się, jeszcze zanim do nich podszedł i starszy mężczyzna, którego pamiętał z wcześniejszych spotkań, niemalże wciągnął go do holu, po czym starannie zamknął drzwi na dwie zasuwki. Poprowadził go słabo oświetlonym korytarzem do salonu w głębi rozległego budynku.

- Proszę usiąść. - Wskazał mu niski drewniany fotelik stojący pod szerokim oknem, za którym znajdował się inny pokój.

Dorsey powoli usadowił się w foteliku, zafascynowany otoczeniem.

- To lustro półprzepuszczalne - wyjaśnił mężczyzna, siadając obok niego na identycznym foteliku. - Oni nas nie widzą.

Dorsey przytaknął ruchem głowy, nie mogąc oderwać oczu od tego, co się działo po drugiej stronie lustra. Siedziało tam naprzeciwko siebie dwóch mężczyzn. Jeden

był starszy, w przybliżeniu równy wiekiem temu, który go wpuścił do środka, ubrany elegancko, w jasnobłękitną koszulę, spodnie khaki i miękkie

zamszowe mokasyny, tego także Dorsey pamiętał z poprzednich spotkań, był to współpracownik mężczyzny zajmującego sąsiedni fotelik.

Naprzeciwko niego siedział wyprostowany sztywno jak struna znacznie młodszy, na wygląd trzydziestoletni oficer marynarki wojennej z włosami przyciętymi na jeża. Miał na sobie wyjściowy biały mundur, czapkę trzymał na kolanach. Przyjrząwszy mu się bliżej, Dorsey pomyślał, że tamten w okresie dojrzewania musiał mieć paskudny trądzik, gdyż na policzkach miał liczne głębokie blizny.

Mężczyzna siedzący obok senatora sięgnął do pulpitu pod półprzepuszczalnym lustrem i wcisnął jakiś klawisz. Teraz mogli słyszeć przebieg rozmowy w sąsiednim pokoju.

- Co nowego? - zapytał starszy.

Oficer szybko obejrzał się na lustro.

Dorsey odruchowo odwrócił głowę, chcąc uniknąć jego spojrzenia. Dopiero po chwili się zorientował, że to idiotyczny odruch, skoro tamten nie mógł go zobaczyć. Podobnym odruchem było zwracanie się szeptem do osób stojących przy mównicy w sali pełnej ludzi, mimo że mikrofon został wyłączony.

- Jak rozumiem, publiczność już zajęła miejsca - rzekł głośno oficer, wciąż spoglądając w tę stronę.

- Na pewno nie ma się czym przejmować. To zwykłe lustro. Nikt nas nie obserwuje. W całym domu jesteśmy tylko my dwaj.

- Tak, pewnie.

Po twarzy oficera przemknął ledwie zauważalny grymas.

- No, słucham - ponaglił go tamten. - Nie płacę ci pięciuset tysięcy dolarów za milczenie.

- Dla was te pięćset tysięcy to pewnie nic. Mógłbym zażądać więcej.

To ciekawe, pomyślał Dorsey, przysłuchując się tej wymianie zdań. Było jasne, że oficer marynarki nie znajduje się tu z własnej woli i niechętnie ujawnia tajemnice służbowe. Na jego twarzy, a zwłaszcza w oczach, malował się głęboki smutek. Ale tak wielka zapłata była zbyt kusząca. Każdy miał swoją cenę.

- Słucham. Co nowego?

Ten westchnął ciężko i pokiwał głową, jakby akceptował pakt z diabłem.

- Wszystko jest już prawie gotowe. Ten cywil amerykański ma się spotkać...

- Ten cywil to Christian Gillette, zgadza się? - przerwał mu rozmówca.

Nagle senator zdał sobie sprawę, kim jest ten oficer marynarki. Musiał służyć w sekcji łącznikowej Szefostwa Połączonych Sztabów, w samym centrum w podziemiach Pentagonu. To od niego musiały pochodzić informacje o podpisanym przez prezydenta Wooda wyroku śmierci na przedstawicieli kubańskiego rządu.

- Tak, to Christian Gillette.

- Nie ma niebezpieczeństwa, że rola Gillette'a jest sfingowana po to, by odwrócić uwagę od kogoś innego?

- Nie ma. Autorzy tego planu przygotowali kilka elementów dywersyjnych, ale są one przeznaczone na wypadek, gdyby Kubańczycy zorientowali się przed czasem o szykowanej rewolcie. Główną rolę w tym zakresie ma odegrać kilku innych cywilów wraz z dwoma starszymi rangą przedstawicielami naszych władz. Ale Gillette jest tym prawdziwym McCoyem.

- Co to za wysocy rangą przedstawiciele naszych władz?

Tamten szukał dowodów na potwierdzenie wiarygodności informatora. W gruncie rzeczy nie miało znaczenia, jakie padną nazwiska, gdyż chodziło wyłącznie o sprawdzenie oficera. Wcale nie tak łatwo byłoby znaleźć potwierdzenie tych informacji u innych źródeł. Niemniej sama procedura należała do standardu przesłuchań.

- Podsekretarz z Departamentu Skarbu i ktoś z Rezerwy Federalnej, jeśli się nie mylę, dyrektor służb federalnych z Atlanty.

Człowiek siedzący obok Dorsey'a sięgnął po notatnik i długopis, po czym zapisał informacje.

- I co będzie dalej? - zapytał jego współpracownik w sąsiednim pokoju. - Jaki jest plan działania?

- Więc Gillette ma się już niedługo spotkać z kimś z Sekretnej Szóstki. Do spotkania dojdzie...

- Zaraz, chwileczkę - przerwał mu tamten. - Jakiej „Sekretnej Szóstki”?

Oficer skinął głową.

- Tak się nazywa tajna organizacja, która ma przejąć najważniejsze stanowiska w państwie po zabiciu przez wojsko członków reżimu Castro. Jeśli Gillette ich zaaprobuje - dodał. - Oprócz tego mamy kontakt jeszcze z dwiema innymi tajnymi organizacjami na Kubie, ale Gillette ma dać sygnał do działania właśnie Sekretnej Szóstce. To ona przejmie władzę.

- Czy wiesz, kto wchodzi w skład Sekretnej Szóstki?

Oficer trwożliwie rozejrzał się na boki, jakby nie był pewien, czy może

ujawniać również takie szczegóły.

- Proszę posłuchać, ja...

- Odpowiesz na moje pytanie czy mam cię skierować na badanie z użyciem poligrafu?

- W porządku. Tak, wiem.

Dorsey zerknął na siedzącego obok mężczyznę.

- O co tu chodzi?

- Oficer bierze pół miliona dolarów za pięć spotkań, po sto tysięcy za każde - odparł tamten. - A to już jest czwarte. Zgodnie z naszą umową możemy w każdej chwili zażądać od niego, by się poddał badaniu na prawdomówność z użyciem poligrafu. Jeśli go nie zaliczy, nie dostanie pieniędzy, a my oskarżymy go o szpiegostwo. - Starzec uśmiechnął się chytrze. - To idealny sposób na tchórzy. Do tej pory wszystko szło gładko, on dobrze zdaje sobie

sprawę, jak bardzo go potrzebujemy. Prawdopodobieństwo znalezienia kogoś innego chętnego do współpracy i mającego dostęp do tych samych informacji, co on, jest znikome. Uprzedziliśmy go, że mamy jeszcze innych informatorów z Pentagonu, równie dobrze poinformowanych, ale on zna wszystkich ze swojej sekcji i zapewne bez trudu mógłby zdemaskować nasz bluff. - Uśmiechnął się nieco szerzej. - Oczywiście o wiele bardziej potrzebuje naszych pieniędzy, niż my jego informacji. Tylko na tym opiera się nasza krucha władza nad nim. Dokładnie skalkulowaliśmy wszystkie nasze atuty, jeszcze zanim podjęliśmy pierwszą próbę nakłonienia go do współpracy.

Dorsey pomyślał, że chyba po raz pierwszy widzi uśmiech na twarzy swojego rozmówcy, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolonego.

- Zatem słucham - rzekł ostro prowadzący przesłuchanie w sąsiednim pokoju. - Kto należy do tej organizacji?

- Pewien prominentny chirurg - zaczął oficer, odliczając na palcach i patrząc w sufit, jakby dla przypomnienia sobie pełnej listy - wysoki rangą prawnik z Ministerstwa Sprawiedliwości, wiceminister inwestycji zagranicznych i rozwoju gospodarczego, trzeci człowiek w hierarchii służbowej Centralnego Banku Kuby... - Zawahał się na chwilę, spojrzawszy na cztery swoje zagięte palce - ...aha, jeszcze wiceminister rolnictwa i... jeśli się nie mylę, ktoś z Ministerstwa Nauki i Techniki.

Dorsey po raz kolejny zerknął w bok, na robiącego notatki gospodarza. Słyszał wyraźnie, jak długopis szoruje po papierze. Nie znosił tego dźwięku, od którego ciarki chodziły mu po plecach.

- Jaką rolę pełni wśród nich chirurg?

- Przede wszystkim może podróżować bez kłopotów. Wystarczy, że poinformuje kubański urząd bezpieczeństwa, iż chce obejrzeć kolejną pokazową operację, i natychmiast ma otwartą drogę do każdego kraju świata.

Przesłuchujący energicznie pokiwał głową, jak gdyby poirytowany, że sam nie wpadł na tak oczywiste wyjaśnienie.

- Tak, rozumiem.

- Obserwują go w trakcie każdego pobytu za granicą, ale niezbyt uważnie. - Informator zachichotał nieco nerwowo. - Zresztą kubańscy agenci bezpieczeństwa działający w Stanach Zjednoczonych nie są zbyt dobrzy, skoro nie potrafią nawet ukryć, kim naprawdę są. To zwykli durnie mający o sobie bardzo wysokie mniemanie. Nie dysponują żadnym nowoczesnym sprzętem, tylko starymi rupieciami wycofanymi z użytku, jakie dostali od Ruskich. Dlatego niemal w każdej chwili możemy bez ich wiedzy wyciągnąć doktorka z pokoju hotelowego. W każdym razie to właśnie z nim Gillette ma się spotkać w pierwszej kolejności.

- Kiedy?

- Ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła, ale już niedługo

- Co to znaczy? Na przykład w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin? - zapytał starszy mężczyzna z zatroskaną miną.

Oficer podniósł obie ręce.

- Nie, skądże. Gillette nie przeszedł jeszcze podstawowego szkolenia operacyjnego. Dopiero jutro ma się na nie zgłosić w Marylandzie. W moim przekonaniu do spotkania dojdzie w ciągu kilku dni. Proszę jednak pamiętać, że chirurg nie może całkiem dowolnie wyjeżdżać z Kuby, nie budząc większych podejrzeń. Nie może po prostu powiedzieć: „Jutro mam spotkanie w Stanach”.

- Jak on się nazywa?

- Proszę mnie do tego nie zmuszać - rzekł błagalnym tonem oficer. - To porządny człowiek. Nie zrobił nic złego...

- Muszę znać jego nazwisko.

Informator nerwowo podrapał się po głowie i rzucił:

- Nelson Padilla.

- Gdzie mają się spotkać?

- To też nie zostało jeszcze ustalone, ale zapewne w którymś z większych miast, i to takim, gdzie organizowane są pokazowe operacje chirurgiczne, a więc w Bostonie, w Nowym Jorku.

- A nie w Miami?

Tamten się zawahał.

- Możliwe.

Przesłuchujący pochylił się w jego kierunku i wpatrując się w niego spod przymrużonych powiek, zapytał:

- Na pewno niczego przede mną nie ukrywasz?

- Skądże znowu.

- Bo drugi nasz informator twierdzi, że do tego spotkania dojdzie w Miami. Mówi, że na pewno będzie to Miami.

- Nic o tym nie wiem, ale spróbuję się dowiedzieć. Przekażę wiadomość, jak tylko dowiem się czegoś na pewno. - Oficer na chwilę zamknął oczy.

Jakby się spodziewał, że będzie tego żałować, pomyślał Dorsey.

- Niewykluczone, że to będzie Miami - dodał po chwili. - Rzekłbym, że to nawet bardzo prawdopodobne, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Takie rozwiązanie nasuwa się wręcz automatycznie, prawda? Zresztą może to być też inne duże miasto na Florydzie.

Przesłuchujący jeszcze bardziej pochylił się na krześle, ewidentnie podekscytowany.

- Dobrze, bardzo dobrze. Oczywiście wiemy też, co się stanie po spotkaniu Gillette'a z doktorem. Musimy tylko jak najszybciej zdobyć absolutną pewność co do miejsca tego spotkania. Rozumiesz, synu?!

- Tak, jasne. Ale nie jestem pewien, czy uda mi się je poznać. Mam obawy, że nikt z naszej sekcji łącznikowej nie będzie tego wiedział na pewno, a w każdym razie nie

przed rozpoczęciem spotkania. Tę sprawę nadzoruje osobiście...

- Dex Kelly? - przerwał mu rozmówca.

Oficer przytaknął ruchem głowy.

- Prezydent nie jest taki głupi. Zostawił wam sporo wolnej przestrzeni do działania, kazał przygotować listę osób do likwidacji, ale jednocześnie ustawił kilka barier. Nas i Kelly'ego. My powinniśmy zapewnić, by lista nie dostała się w niepowołane ręce, a Kelly ma się zatroszczyć o utrzymanie do ostatniej chwili całej akcji w tajemnicy, a przynajmniej najważniejszych jej szczegółów.

- Pieprzony Kelly! - warknął przesłuchujący. - Zdrajca. Skończony głupiec. Nie martwi mnie to, że występuje przeciwko nam - dodał ciszej, jakby mówił sam do siebie. - Martwi mnie, że może wszystko sknocić. Nie ma pojęcia, jak zapewnić Gillette'owi bezpieczeństwo. Cała akcja może

spalić na panewce, kiedy inni ludzie jako pierwsi skontaktują się z Gillette'em.

- Ma pan na myśli Kubańczyków?

- Oczywiście, że Kubańczyków! - wrzasnął tamten. - Mają swoich agentów w Waszyngtonie. Wiadomo o tym od czterdziestu lat. A ci mają wystarczająco dobre dojścia. Do diabła, nawet nie muszą specjalnie szukać informatorów, skoro ze strony Białego Domu przygotowaniami kieruje ktoś taki, jak Dex Kelly. - Podniósł wzrok na oficera marynarki. - Jak się miewa Zapata? To znaczy generał Delgado. Jesteście pewni, że nie zamierza się wycofać?

- Całkowicie.

- I armia stanie za nim?

Teraz z kolei przesłuchiwany wyprostował się i odchylił na oparcie krzesła, po czym rzekł z ironicznym uśmiechem:

- Oto pytanie za milion dolarów, prawda? - Spowaźniał nagle. - Wszystko wskazuje na to, że Delgado jest właśnie tym człowiekiem w armii kubańskiej. Zarówno CIA, jak i DIA utrzymują, że wśród wyższej kadry oficerskiej

wciąż żywa jest pamięć tego, co spotkało Ochoę, a Delgado świetnie to wykorzystuje. Zresztą sprawa Ochoi nie była odosobnionym przypadkiem. Inni oficerowie także znikali bez śladu, wywiezieni z domów w środku nocy przez służbę bezpieczeństwa. Z każdym takim przypadkiem w wojsku narastało przekonanie, że powinno wziąć sprawy w swoje ręce. Tym bardziej że władze utrzymywały wszystko w ścisłej tajemnicy. Nawet kubański kontyngent na południowej Florydzie nie zdaje sobie sprawy ze skali tych działań. Najwyraźniej wydział D-VI kierowany przez bratanka El Jefe ogarnia coraz większa paranoja, nasilająca się z dnia na dzień. Ale to tylko motywuje Delgado i podległych mu ludzi do przyspieszenia działań.

- Niech Bóg ma generała w swojej opiece, jeśli służba bezpieczeństwa nabierze co do niego podejrzeń.

Informator wymierzył palec w przesłuchującego.

- To właśnie niemalże spędza wszystkim sen z powiek. Delgado jest kluczem do powodzenia akcji. Jeśli służba bezpieczeństwa nabierze co do niego podejrzeń i aresztuje go albo zabije, nie dojdzie do przewrotu. Generał jest jak zawleczone granaty. Z tego powodu od samego początku wśród wtajemniczonych krążą plotki, że w składzie Sekretnej Szóstki musi znajdować się komunistyczna wtyczka.

- Czy cokolwiek wskazuje na to, że te plotki mogą okazać się prawdą?
- Łącznik CIA spotkał się dzisiaj z Delgado w jakimś gospodarstwie rolnym pod Hawaną i usłyszał wprost od generała, że w tym zakresie mogą być problemy.

- Jasna cholera!

- To tylko potwierdza, że jesteśmy blisko celu, lecz jak już mówiłem, jeśli Delgado zostanie wyeliminowany, będzie trzeba zapomnieć o całej akcji.

- Drugim kluczem jest ten chirurg.

- Tak, to prawda - przyznał oficer. - Ten nawet nie zamierza odgrywać znaczącej roli po przewrocie, lecz na razie jego rolę trudno przecenić.

Dorsey się skrzywił. Gdyby nie doszło do akcji na Kubie, nie mieliby pretekstu do wysunięcia oskarżeń przeciwko prezydentowi Woodowi. Gdyby nikt z władz kubańskich nie zginął z rąk amerykańskich oddziałów specjalnych w czasie przewrotu, wnioski o postawienie prezydenta w stan oskarżenia okazałyby się bezpodstawny. Przepisy prawa były jasne. Należało mieć nie tylko dowód politycznego zabójstwa, ale móc także udowodnić, że doszło do niego na rozkaz Wooda. Dopiero wówczas sprawa usunięcia go z urzędu nie budziłaby żadnych wątpliwości. Kongresowi takie posunięcie umożliwiały specjalne przepisy wprowadzone za ostatniej kadencji władzy Demokratów, przed objęciem stanowiska przez Wooda. Tak więc, jak na ironię, liberałowie mogli zostać pokonani mieczem, który sami wcześniej wykuli.

- Czy masz kopię prezydenckiego rozkazu? - zapytał przesłuchujący.

Jakby czytał w moich myślach, skonstatował Dorsey. Albo raczej się bał bezgranicznego rozczarowania w wypadku uzyskania niewłaściwej odpowiedzi.

Oficer uśmiechnął się jednak z dumą, sięgnął do kieszeni i wyjął kilka złożonych kartek, które wyciągnął w stronę rozmówcy.

- Tak, mam - odparł, wzięwszy głęboki oddech. - O mało mnie nie przyłapali na kopiowaniu. Przez kilka sekund naprawdę obawiałem się o swój los.

Dorsey przyglądał się uważnie, jak starszy mężczyzna rozkłada kartki lekko roztrzęsionymi rękoma, niepewnie unosi je do oczu i pospiesznie przebiega wzrokiem. Dla nich te dokumenty miały takie znaczenie, jak odkrycie Arki Przymierza. Oto zyskali właśnie pierwszy niezbędny dowód. Teraz musieli się jeszcze zatroszczyć, by Christian Gillette bezpiecznie dotarł na Kubę i dał prezydentowi zielone światło do zainicjowania przewrotu.

Reszta była już tylko kwestią utrwalenia na taśmie wideo wybranych scen.

- Wszystko w porządku?

Allison podniosła wzrok. Chowała właśnie do szuflady biurka wszystkie dokumenty, jak zawsze, gdy razem z Sherry pracowały po godzinach. Dochodziło już wpół do dziesiątej, a ona miała się spotkać na drinka z Christianem o dziesiątej w „Oak Bar” w hotelu Plaza. Nie mogła się doczekać. Zajrzał do jej gabinetu z samego rana i poprosił o to spotkanie, dodał nawet, że się za nią stęsknił. Obiecywała sobie, że będzie wobec niego nieugięta, ale podniecenie wzięło górę. Wyglądało na to, że naprawdę chciał spędzić z nią trochę czasu na osobności w barze. Podkreślił, że będą tylko we dwoje.

- Czemu pytasz?

- Wyglądasz na podenerwowaną - odparła Sherry.

Allison z hukiem zasunęła szufladę.

- Chyba jeszcze nie całkiem doszłam do siebie po wiadomości o samobójstwie Jima. - Dowiedziała się o tym od Christiana, który opowiedział jej nawet ze szczegółami o treści listu, który policja znalazła w mieszkaniu Marshalla, i w którym obwinił on prezesa spółki za swoją śmierć. Gillette był poruszony, ewidentnie czuł się odpowiedzialny. - To straszne, co się stało.

- Owszem. Słyszałam, że Jim zostawił list, w którym obwinia za swoją śmierć Christiana.

- Od kogo to słyszałaś?

- Plotki szybko się rozchodzą.

Allison przekręciła klucz w zamku drzwiczek biurka. Nosila go zawsze przy sobie na długim rzemyku na szyi, razem z kartą magnetyczną, bez której nie można było uruchomić windy.

- Masz nową kartę? - zdziwiła się Sherry, wskazując palcem. Prostokątne kawałki tworzywa, początkowo śnieżnobiałe, bardzo szybko szarzały i matowiały. - Wygląda, jakbyś ją wyszorowała do połysku. A może zapomniałaś i wyprałaś ją w kieszeni bluzki?

- Nie, masz rację. Jest nowa.

- Poprzednią zgubiłaś?

- Owszem - przyznała Allison, siląc się na uprzejmy ton. - Dlatego tę noszę na szyi, żeby nie przydarzyło mi się drugi raz to samo.

Sherry zaczęła nerwowo obracać kosmyk włosów wokół palca, obserwując, jak Allison pakuje swoje rzeczy.

- Nie masz ochoty się czegoś napić?

- Nie mam czasu. Za kilka minut spotykam się z Christianem. - O tym powiadomiła swoją asystentkę z prawdziwą satysfakcją. Brzydziła się tego uczucia, ale od czasu, kiedy Sherry ją okłamała co do rzekomego podwiezienia jej przez Christiana do domu, nie potrafiła się powstrzymać przed wykorzystaniem podobnych okazji. Nie chciała konfrontować słów Sherry z relacją Christiana, wyczuwała jednak, że asystentka musi się domyślać, iż ona rozmawiała z nim na ten temat. - Może jutro wyskoczymy gdzieś razem.

- Chętnie. Czy Christian opowiadał ci już o swojej nowej przyjaciółce?

Allison wstawiała właśnie z krzesła, toteż z impetem usiadła z powrotem.

- Słucham? - Próbowała nie dać po sobie poznać, jakie wrażenie zrobiła na niej ta wiadomość, domyśliła się jednak, że wszystko można wyczytać z jej miny, gdy dostrzegła triumfalne błyski w oczach Sherry. Nie ulegało wątpliwości, że tamta z rozkoszą przyjęła jej reakcję.

- Spotyka się teraz ze smarkulą o połowę młodszą od niego.

Serce Allison zaczęło walić jak młotem. Nie wiedziała, czy asystentka znów nie kłamie, czy też powtarza jej zasłyszane gdzieś plotki. Niemalże wbrew sobie zapytała:

- Skąd o tym wiesz?

- Któregoś wieczoru w ubiegłym tygodniu wracałam do domu i widziałam, jak wychodzili z włoskiej restauracji na Upper West Side. Chyba nie muszę ci mówić, że dziewczyna jest śliczna, prawda? - Teatralnie uniosła wzrok do

nieba. - No i bardzo młoda. Jakby jeszcze nie skończyła college'u.

Allison podniosła się energicznie, obiecując sobie w duchu, że dzisiaj nie zapyta Christiana o tę dziewczynę. Wiedziała, że nie przyjdzie jej to łatwo, zwłaszcza po paru kieliszkach.

- Dzięki za dobre wieści.

- Przykro mi. - Sherry także wstała i ruszyła do wyjścia. Od drzwi dodała jeszcze: - Nie chciałam cię denerwować. Pomyślałam tylko, że na pewno wolałabyś o tym wiedzieć.

Pod tym względem miała rację. Co prawda, mogła to uczynić trochę bardziej taktownie.

- Och, zapomniałabym - rzuciła, będąc już jedną nogą na korytarzu. - Gratulacje z powodu awansu na stanowisko wiceprezesa Everestu. Bardzo się z tego cieszę.

Alison odprowadziła ją wzrokiem, po czym spojrzała w dół, na swoją nową kartę magnetyczną. Jakie to dziwne, pomyślała. Jeszcze kilka dni temu były dobrymi przyjaciółkami, a teraz odnosiły się do siebie nawzajem jak zapiekłe rywalki. Nie mogła zrozumieć, czemu Sherry uważa, że Christian mógłby się nią zainteresować. Wzięła torebkę i poszła ku drzwiom. Parę minut wcześniej byłaby gotowa stwierdzić, że Christian nie może się interesować Sherry ze względu na jej młody wiek. Ale teraz nie była już tego taka pewna. Co prawda, nie mogła wykluczyć, że tamta wysłała sobie z palca tę historyjkę o Christianie wychodzącym z włoskiej restauracji na Upper West Side w towarzystwie bardzo młodej dziewczyny. Pamiętała jednak, że Gillette osobiście pomógł właścicielowi urządzić ten lokal. Czyżby Sherry i o tym wiedziała? Aż jęknęła gardłowo, idąc korytarzem w stronę holu biura Everestu. Koniecznie musiała się napić. I to czegoś mocniejszego.

- Wiecie, co mnie najbardziej zdumiewa? - odezwał się Dorsey, wciąż spoglądając przez półprzepuszczalne lustro na wnętrze pustego już sąsiedniego pokoju. - To, że Demokraci z takim uporem zamierzają strzelić sobie w stopę z własnego rewolweru.

- Nie rozumiem - burknął mężczyzna, który przesłuchiwał oficera marynarki.

- To przecież oni przepchnęli przez proces legislacyjny przepis zabraniający prezydentowi wydawania czy aprobowania rozkazu zabójstw obywateli innych państw - wyjaśnił senator. - Dotyczy on nie tylko cywilów, ale i wojskowych, o ile nie są oficjalnie prowadzone działania wojenne. Został wprowadzony jako dodatek do słynnej ustawy imigracyjnej. Robiłem co w mojej mocy, żeby się tam nie znalazł, ale nikt nie chciał mnie słuchać. I teraz go wykorzystamy do oskarżenia Wooda.

- Nawet na tym etapie jest to poważne wykroczenie przeciwko zapisom konstytucji - przyznał mężczyzna, który razem z nim potajemnie obserwował przesłuchanie. - Wood nie będzie mógł nic zrobić, gdy zdobędziemy przeciwko niemu niezbite dowody.

- Tylko czy kserokopia listy ofiar wystarczy do udowodnienia jego osobistego zaangażowania w falę zabójstw? - zapytał Dorsey, ruchem głowy wskazując kieszeń marynarki, do której tamten wsunął uzyskane dokumenty.

- Na pewno okażą się wystarczające dla obu izb, by wszczęte zostało dochodzenie. Republikanie na pewno podniosą wrzask, gdy się okaże, że podpis prezydenta jest autentyczny. Nie wątpię, że zażądadają dochodzenia. Ale pan, rzecz jasna, ma się trzymać na uboczu. Proszę w ogóle nie zabierać

głosu w tej sprawie i zostawić brudną robotę młodym kogutom z obu stron ław poselskich. Jak tylko rozpoczną się przesłuchania pracowników Pentagonu, będzie można pomyśleć o sfinalizowaniu akcji. Po głosowaniu w sprawie postawienia prezydenta w stan oskarżenia władzę przejmie wiceprezydent, ale wszyscy dosko

nale zdajemy sobie sprawę, że nie ma najmniejszych szans konkurować z panem. Zatem następne wybory wygra pan przytłaczającą większością głosów.

- Nadal jednak nie rozumiem, czemu prezydent Wood działa niezgodnie z prawem - rzekł Dorsey, kręcąc głową. - Nie rozumiem, jak mógł podpisać taką listę. Nie wierzę, że jest aż takim ignorantem. Poza tym doradcy powinni mu uświadomić, czym to grozi, w co się pakuje. - Zauważył, jak obaj starsi mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia. - Co się stało? O co chodzi?

- Usłyszał od kilku doradców wojskowych, że potrzebny jest jego pisemny rozkaz likwidacji niektórych przedstawicieli władz kubańskich, jeśli przewrót ma się zakończyć sukcesem - wyjaśnił jeden z nich - gdyż w przeciwnym razie rysuje się realna groźba szybkiego powrotu komunistów do władzy. Oczywiście przekonali o tym prezydenta ludzie, którzy są nam wierni. Wmówili mu, że bez pisemnego rozkazu nie dadzą rady nawet prognozować przebiegu rewolty, a przepisy można sprytnie obejść, bo przecież definicja cywila jest niezbyt jasna. Przyrzekli, że gdyby sprawa wyszła na jaw, będą zeznawać, iż na liście znaleźli się wyłącznie kubańscy wojskowi, gdyż za takich należy uznać członków reżimu pełniących tylko czasowo funkcje w administracji państwowej. Przyrzekli też, że nie będzie żadnych dowodów, iż w zabójstwa były zaangażowane amerykańskie siły specjalne. Co oczywiście jest nieprawdą. Zarejestrujemy mnóstwo ujęć, jak nasi chłopcy z zapalem wykonują rozkazy prezydenta. Udowodnimy, że nasze oddziały pełniły rolę plutonów egzekucyjnych wobec ludzi wyszczególnionych na tej liście - rzekł z naciskiem, wyjmując z kieszonki na piersi jedną kartkę. - Wykażemy, że zwiadowcy i komandos robili tylko to, co kazał im czynić prezydent. - Uśmiechnął się szeroko. - Choć w rzeczywistości będą to robili pod naszym nadzorem.

- Prezydent bardzo się starał znaleźć wspólny język z Pentagonem już od chwili objęcia urzędu - dodał drugi. -

Bo wojskowi od samego początku nie kryli swej niechęci do niego. Kilku członków Szefostwa Połączonych Sztabów powiedziało mu wprost na

osobności, że wojsko nie jest zadowolone z zajęcia przez niego Gabinetu Owalnego, skoro wygrał wybory tylko dzięki głosom wielkowiejskiej biedoty, której zamydlił oczy bzdurnymi hasłami z rzekomego programu społecznego, jaki ma w zanadru. Zaledwie kilka dni po uroczystej inauguracji wyjaśnili mu bez ogródek, że bardzo ich martwi perspektywa cięć w budżecie obrony i przeznaczenie zaoszczędzonych kwot na niepewne programy społeczne. Wood najwyraźniej wziął to sobie do serca. Wolał nie zadzierać z wojskiem. Doskonale rozumiał, że w każdym kraju świata, również w Stanach Zjednoczonych, władze niewiele zdziałają, nie mając pełnego poparcia kręgów wojskowych. - Mężczyzna uśmiechnął się złośliwie. - Potraktował jako nauczkę to, co spotkało Jacka i Bobby'ego Kennedych. Tamci mieli odwagę zagrać wojsku na nosie, wiadomo jednak, czym się to skończyło. - Zachichotał ironicznie. - Zgadza się, Wood nie jest taki głupi. Poza tym uważa, że działa na rzecz wolności, wspierając przewrót na Kubie, że nie tylko wyzwoli w ten sposób Kubańczyków, ale przyniesie także pożytek Stanom Zjednoczonym, gdyż istnieje realna groźba przejęcia kubańskich wyrzutni rakietowych przez Chińczyków.

- Zgadzam się, że działa na rzecz wolności - odparł cicho Dorsey. - Zagrożenie ze strony Chin jest naprawdę realne.

- Możliwe, ale w końcu na tym zasada się polityka, senatorze. Wie pan o tym równie dobrze, jak my.

Owszem, wiedział o tym. Aż za dobrze.

- Porozmawiajmy o Victorii Graham - wtrącił pierwszy.

- Z jakiego powodu? - zapytał podejrzliwie Dorsey.

- Czy na pewno ma kontakt z kimś, kto cały czas będzie miał na oku Christiana Gillette'a? Nie był pan co do tego całkiem przekonany podczas naszego ostatniego spotkania.

- Twierdzi, że ma kogoś takiego.

- Kogo?

Senator wzruszył ramionami.

- Nie wiem - rzekł z ociąganiem, patrząc, jak na twarzach jego rozmówców pojawiają się grymasy irytacji. Zdawał sobie sprawę, że potrzebują maksymalnie dużo informatorów, zwłaszcza że ze strony Białego Domu akcję nadzorował Dex Kelly. - Naprawdę nie wiem. Nie powiedziała mi tego. Ale wy przecież i tak otrzymujecie informacje o nim na bieżąco. Macie własnego człowieka, który go obserwuje. - Zmarszczył brwi. - A w każdym razie do tej pory mieliście informacje na bieżąco.

- To bez znaczenia, co wiemy od naszego człowieka - odpowiedział jego rozmówca. - Musimy wiedzieć, z kim współpracuje Victoria Graham. To pan ma się tego koniecznie dowiedzieć.

Dorsey obrzucił ich uważnym spojrzeniem.

- Aż tak bardzo wam zależy na śledzeniu Gillette'a?

Popatrzyli na siebie. Milczenie przeciągało się znacząco. Wreszcie ten, który rozmawiał z oficerem marynarki, rzekł:

- Bo Christian Gillette będzie musiał odpowiedzieć na wiele pytań, bardzo wiele pytań.

Dorsey pokiwał głową, rozpogodziwszy się w jednej chwili. Mógł zrozumieć, dlaczego ci ludzie nienawidzą Gillette'a. Poświęcili całe swoje kariery ochronie Stanów Zjednoczonych, podejmując olbrzymie ryzyko i godząc się na znacznie niższe dochody, niż mogliby uzyskać w sektorze prywatnym, w którejś z potężnych firm prawniczych. Stracone korzyści majątkowe miała im zrekompensować sprzedaż tajników nanotechniki, za którą mieli obiecane świadectwa udziałowe wystawione jeszcze przed wprowadzeniem akcji na rynek. Ale zaledwie udało im się tylko przenieść dużą część wyników badań z agencji państwowej do prywatnej spółki, kiedy do akcji wkroczył Gillette, który pokrzyżował im plany, doszczętnie niwecząc

możliwość uzyskania jakichkolwiek zysków. Ponadto obwiniali go o śmierć ich przyjaciela, Sama Hewitta, byłego wiceprezesa U.S. Oil.

- Wyjaśnijmy sobie parę rzeczy - zaczął Dorsey łagodnym tonem. Nigdy wcześniej nie domagał się wprowadzenia w szczegóły sprawy, lecz jeśli miał spełnić pokładane w nim nadzieje, powinien wiedzieć o wszystkim. - Ludzie z sekcji łącznikowej Pentagonu tworzą zespół planistyczny tej operacji, zgadza się?

Tamci znowu popatrzyli na siebie znacząco i jak na komendę obaj skrzyżowali ręce na piersi.

Niezbyt to obiecujące, przemknęło senatorowi przez myśl. Dał im jednak pełną minutę na to, by zrewidowali swoje stanowisko.

- Zgadza się - odparł w końcu ten, który przesłuchiwał oficera marynarki. - Słyszałeś, co mówił nasz informator. - Wskazał ręką półprzepuszczalne lustro. - Prezydent podchodzi do kwestii kubańskiego przewrotu z wielką ostrożnością, co jest w pełni zrozumiałe, skoro podpisał pisemny rozkaz likwidacji wielu przedstawicieli władzy. Uzupełnił swoimi ludźmi zespół planistów Pentagonu. Powołał specjalną ekipę taktyczną, sądząc, że nikt nie

będzie miał do niej dostępu. - Zaśmiał się krótko.

- W każdym razie teoretycznie ten zespół powinien pracować w ścisłej tajemnicy - dodał drugi, wciąż trzymając w ręku jedną z kartek kopii prezydenckiego rozkazu. - Skoordynował działania naszego wywiadu na terenie Kuby i nawiązał łączność z ludźmi, którzy spotykają się z doktorem Padillą w trakcie jego wizyt w Stanach Zjednoczonych. - Uniósł wzrok do nieba. - Ale ze strony Białego Domu przekazał pełną kontrolę w ręce Deksa Kelly'ego, który ma prawo dowolnie ingerować w szczegóły operacji do czasu zakończenia rozmów z Padillą w Miami. Później my przejmujemy pełną kontrolę i poprowadzimy własne przedstawienie. Skoordynujemy działania zwiadu i oddziałów specjalnych i dopiero wtedy zacznie się zabawa.

Dorsey popatrzył na nich spod przymrużonych powiek.

- W gruncie rzeczy wcale nie przeszliście na emeryturę, prawda?

Obaj ryknęli gromkim śmiechem.

- Na Boga, Lloyd - wycodził starszy z nich, który siedział obok niego podczas przesłuchania. - Wiemy przynajmniej, dlaczego właśnie ty masz zostać następnym prezydentem. Jesteś bystry, jak woda w klozecie...

- Hej - rzucił ze złością Dorsey. - Nie mam zamiaru...

- Tylko spokojnie, senatorze - wtrącił pojednawczo drugi. - Oficjalnie jesteśmy na emeryturze. Nieoficjalnie działamy tak samo, jak w okresie czynnej służby w Firmie. - Uśmiechnął się chytrze. - W ten sposób łatwiej jest organizować wiele rzeczy. Właściwie jedynym problemem pozostaje to, że trudniej nam teraz w pełni kontrolować działania. - Wymierzył palec w Dorsey'a. - Co tylko potwierdza twoje wcześniejsze zdanie, że potrzebujemy tylu wtyczek, ile tylko się da, zwłaszcza w celu doprowadzenia do spotkania Gillette'a w Miami. Jego nieustanna obserwacja, śledzenie każdego kroku, ma zapewnić, że ani Kubańczycy, ani inni nie zechcą go wykorzystać do swoich celów. Kiedy przejmujemy kontrolę... - pomachał w powietrzu trzymaną kartką - ...wszystko wróci na właściwe tory. Ale do tego czasu musimy mieć absolutną pewność, że sprawy potoczą się po naszej myśli. Musimy podjąć wszelkie niezbędne kroki, bo jeśli tego nie zrobimy, jeśli wydarzy się coś nieprzewidzianego, cała akcja spali na panewce. Włączając w to kwestię pańskiej nominacji na prezydenta.

Dorsey zagryzł wargi. Zanotował w pamięci, żeby jeszcze dziś po powrocie do domu zadzwonić do Victorii i obiecać jej, co tylko będzie chciała, za ujawnienie swojego źródła informacji na temat Gillette'a. Był gotów nawet powiedzieć jej, że właśnie poprosił żonę o rozwód. W końcu

chodziło o spełnienie jego najskrytszych marzeń. Nic nie było w stanie go powstrzymać.

Christian od dawna lubił Klub 21. Odnosiło się tu wrażenie, jakby człowiek siedział w czyimś przytulnym salonie. Wygodne krzesło z wysokim oparciem, ciężkie draperie ocieniające okna. Każdy, niezależnie od swojej pozycji, miał tutaj zapewnioną odpowiednią dozę prywatności, co rzutowało na miłą atmosferę.

Siedział przy małym kawiarnianym stoliku na wprost wysokiego okna wychodzącego na południową część Central Parku. Na zewnątrz padał rześisty deszcz, zimny front, który nadciągnął z zachodu, przyniósł typową póź- nomajową ulewę. Zapewne przez nią Allison spóźniła się już piętnaście minut. Po chodniku przed hotelem ludzie przemykali truchtem, skuleni pod parasolami i szczelnie opatuleni płaszczami w obronie przed przenikliwym wiatrem. Z rana, kiedy zimny front dotarł do miasta, temperatura gwałtownie spadła o kilka stopni.

Odwrócił się od okna, pociągnął łyk soku pomarańczowego i powiódł wzrokiem po gościach - żywo rozmawiających zapewne o swoich sprawach służbowych - siedzących przy zatłoczonym barze biegnącym pod przeciwległą ścianą przez całą długość sali. Pomyślał, że przez lata przy tym barze zawarto prawdopodobnie wiele głośnych umów, których najważniejsze punkty spisywano na papierowych serwetkach wtykanych pod szklaneczki ze szkocką whisky albo lampki martini. Z wiekiem coraz częściej wracał myślami do historii. Niemalże widział oczami wyobraźni siedzących tam gigantów przeszłej finansjery - Rohatyna, Gleachera, Petersona, Wassersteina, Trumpa, Kravisa czy Schwarzman - omawiających przy barze transakcje warte miliardy dolarów.

Spuścił wzrok na podłogę i westchnął ciężko. Nie dawały mu spokoju wyrzuty sumienia z powodu śmierci Jima Marshalla. Nie zdołał tego przewidzieć, nie przyszło mu nawet do głowy, że ktoś taki może się targnąć na swoje życie. Dla niego było to rozwiązanie zupełnie obce, nie wyobrażał sobie, jak można odebrać sobie życie, doprowa

dzić się aż do takiej desperacji? Niemniej jednak Marshall się zabił i teraz potężna fala wyrzutów sumienia dotarła do wybrzeży świadomości Christiana.

- Cześć.

Podniósł szybko wzrok.

- Witaj, Ally. - Wstał, zanim ustawiła ociekającą wodą parasolkę pod

ściana. - Pozwól, że się tym zajmę - powiedział, pomagając jej zdjąć płaszcz, który przewiesił przez oparcie trzeciego krzesła przy stoliku. - Kiepska pogoda, prawda?

- Okropna - przyznała, siadając na krzesło, które jej podsunął. - Ale do rana powinno przestać padać, na jutro zapowiadają piękną pogodę. - Skinęła ręką na kelnera. - Poproszę martini Grey Goose, bez dodatków.

- Pracowałaś do późna? - zapytał, siadając z powrotem na swoim miejscu.

-Tak.

- Z Sherry?

- Tak.

Wydawała się dziwnie spięta, jakby podenerwowana. Przyszło mu na myśl, że nie będzie im łatwo zburzyć ten mur, jaki niespodziewanie wyrósł między nimi. Co więcej, z dnia na dzień stawał się grubszy i wyższy.

- Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. Wciąż nie mogę dojść do siebie po śmierci Jima. Bez przerwy się zastanawiam, jak mógł skoczyć z balkonu, i dochodzę do wniosku, że musiał być strasznie nieszczęśliwy.

- Ja też się nad tym głowię - odparł ze wzrokiem wbitym w blat stolika. - To okropne - dodał tak cicho, że jego głos prawie całkiem utonął w gwarze rozmów i dźwiękach muzyki. - Mam wyrzuty sumienia. Źle go oceniłem. Wydawało mi się, że jest silniejszy.

- No cóż...

- Wiem, że byliście ostatnio ze sobą blisko, bardzo się o niego martwiłaś.

- Było mi go żal - odpowiedziała Allison. - Tak wiele wycierpiał.

Christian spojrzał na nią, zastanawiając się, jak dalece zażyłe stosunki łączyły ją z Marshalllem. Ale z jej miny trudno było cokolwiek wyczytać, a nawet choćby najbardziej tego pragnął, nie umiał zapytać wprost, czy nawiązali romans.

Milczeli do czasu, aż kelner przyniósł zamówione martini.

Christian odczekał jeszcze, aż Allison upije łyk wina, i zaczął:

- Wydaje mi się, że ludzie...

- Jaki jest twój... - zaczęła dokładnie w tej samej chwili, toteż dał jej znak, żeby mówiła dalej.

- Nie, ty pierwszy - zaprotestowała.

- Chciałem powiedzieć, że wydaje mi się, iż ludzie bardzo dobrze przyjęli twój awans na wiceprezesa firmy. - Rzeczywiście, większość poczty elektronicznej, jaką odbierał, sygnalizowała pozytywne reakcje. Było jednak

kilku poważnych inwestorów, którzy chłodno odebrali jego decyzję. To na ogół starsi ludzie wyrażający wątpliwości, czy kobieta zaledwie po trzydziestce da sobie radę ze wszystkimi bieżącymi sprawami Everestu pod jego nieobecność. Odpowiadał na te wiadomości, że jest o tym absolutnie przekonany, podkreślając i wytluszczając odpowiednie słowa. - Sporo pracowników naszego biura osobiście wyraziło mi swój pogląd, że to bardzo dobre posunięcie. Nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy przed rozposzechnieniem mojego komunikatu, że w ten sposób niejako oficjalnie uczyniłem cię sukcesorką Everest Capital.

- A co z największymi inwestorami? - zapytała. - Ja też odebrałam gratulacje od wielu osób, co przyjąłam z radością. Ale najważniejsi inwestorzy, nie licząc Victorii Graham, nie zareagowali na komunikat, nie dzwonili i nie przysłali mejli.

- To nic wielkiego.

Nie chciał jej mówić o zgłaszanych wątpliwościach, żeby jeszcze bardziej nie pogarszać smutnego nastroju. Po raz pierwszy od dłuższego czasu spotkali się na osobności i uświadomił sobie nagle, jak bardzo brakowało mu podobnych chwil. Jak bardzo się za nią stęsknił.

- Na pewno mnie nie okłamujesz?

Sięgnął po szklanekę i upił łyk soku pomarańczowego.

- Zawsze znajdą się niezadowoleni, Ally. We mnie ludzie tak samo wątpili, kiedy objąłem stanowisko prezesa zarządu Everest Capital po zabójstwie Billa Donovana. Wystarczy, że udowodnisz niedowiarkom, jak bardzo się mylili. - Zaśmiał się krótko. - Zresztą w najbliższym czasie nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać. Mam więc nadzieję, że razem się z tym uporamy. - Dostrzegł jednak po jej minie, że to za mało, toteż dodał: - Zrozum, najważniejsze jest to, że moim zdaniem na pewno dasz sobie radę, gdybym z takich czy innych powodów musiał wyjechać.

- Dzięki. - Przez kilka sekund nerwowo mięła w palcach róg papierowej serwetki leżącej pod jej kieliszkiem, aż odgięła go ku górze. - A ja chciałam zapytać, jaki jest twój ulubiony film.

Christian zadarł wysoko głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Za często ostatnio spotykasz się z Victorią Graham.

- Ale pytam poważnie. Co to za film?

- Tego nie mogę ci zdradzić.

- Nie żartuj, Chris.

Panna Graham zadawała mu to pytanie przy każdej okazji, ale jak dotąd

nie otrzymała jednoznacznej odpowiedzi. Traktował to więc jak swoistą zabawę psychologiczną.

- A co ty jej odpowiedziałś na takie pytanie?

- Jeśli nie chcesz...

- Może ci powiem, jeśli ty powiesz pierwsza.

- Pożegnanie z Afryką.

- Ten z Robertem Redfordem i Meryl Streep?

Przytaknęła ruchem głowy.

- A twój?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- No cóż, ja... - zawiesił głos.

- Widzisz, na tym polega problem z tobą - syknęła ze złością. - Daję ci wszystko, czego chcesz, a w zamian niczego nie dostaję.

- Daj spokój, Ally, przecież...

- Miałam nadzieję, że twój ulubiony film pozwoli mi choć trochę zrozumieć, w jaki sposób mężczyźni radzą sobie z kryzysem wieku średniego.

Christian przeszył ją ostrym spojrzeniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, nic specjalnego, najwyżej to, że słyszałam, iż spotykasz się z dziewczyną o połowę młodszą od ciebie.

Na chwilę zaparło mu dech w piersi.

- W porządku, rzeczywiście dwa razy zjadłem z kimś kolację. - Uznał, że nie ma sensu zaprzeczać, skoro już o tym wiedziała. Zanotował jednak w pamięci, żeby koniecznie się dowiedzieć, od kogo uzyskała te informacje. - To tylko przyjaciółka.

Allison przez kilka sekund patrzyła mu prosto w oczy, po czym wstała i chwyciła swój płaszcz.

- Muszę lecieć. Zobaczymy się jutro w biurze.

Tym razem nawet nie odprowadził jej wzrokiem. Zacisnął powieki, a po chwili potarł oczy palcami. Poniewczasie uświadomił sobie, że nie zdążył powiedzieć, iż nie zobaczą się jutro w biurze. Z samego rana wyruszał do Marylandu na spotkanie z Deksem Kellym, a później był umówiony z Beth.

Alanzo Gomez nie miał najmniejszego zamiaru utrzymywać dłużej w tajemnicy istnienia Los Secretos Seis. Wiele lat pracował na to, żeby objąć stanowisko wiceprezesa Banku Centralnego Kuby. Za dużo poświęcił, aby teraz ryzykować utratę wszystkiego z powodu idiotycznej

mrzonki, że Kubę można wyzwolić spod władzy Partii. Wszyscy doskonale wiedzieli, że jest to po prostu niewykonalne. Ale jeśli sprawy potoczą się po jego myśli, na co zresztą wszystko wskazywało, wkrótce może zostać prezesem banku. Obecny prezes już za rok miał przejść na emeryturę, a Gomez był najpoważniejszym kandydatem do objęcia po nim stanowiska. Niemal wszyscy tak mówili. Zatem z jego punktu widzenia znacznie więcej przemawiało za tym, żeby fakt istnienia Los Secretos Seis nie pozostał długo tajemnicą. Nie chodziło nawet o to, że, jego zdaniem, planowany przewrót nie ma większych szans powodzenia. Z chłodnej kalkulacji wynikało, że może oczekiwać większych zaszczytów ze strony obecnej władzy, gdy wyda jej spiskowców.

Przekręcił klucz w zamku, otworzył drzwi swojego skromnego domku jednorodzinny i po cichu wśliznął się do środka, żeby nie obudzić śpiącej na górze żony i dwóch pięknych dorastających córek. Tego dnia pracował do późna nad ściśle tajnym projektem chińskiej pożyczki. Władze z Pekinu przed kilkoma miesiącami same wystąpiły z propozycją dziesięcioletniej pożyczki w wysokości dwudziestu miliardów dolarów, których Kuba szczególnie potrzebowała - tylko garstka osób z najwyższej postawionych kręgów rządowych wiedziała, jak bardzo potrzebne im są te pieniądze. Ogólnie rzecz biorąc, cała infrastruktura wyspy dosłownie się rozsypywała, gdyż za pomocą kleju i plastra niczego nie dało się już załatać. Niestety, poza klejem i plastrem nie mieli niczego już od lat, od rozpadu Wielkiego Brata, czyli Związku Radzieckiego. Wszyscy tęsknili za jego powrotem, nawet gdyby teraz miał to być inny Wielki Brat.

Chińska propozycja z pozoru wydawała się idealna, przynajmniej podczas tajnych negocjacji przy okrągłym stole w pięknej, skrzącej się rozbłyskami światła, pełnej antyków i dzieł sztuki sali konferencyjnej w Paryżu. Ale jak zawsze diabeł tkwił w szczegółach. Już w tej wstępnej,

liczącej trzysta stron pisemnej propozycji znalazło się kilka dobrze ukrytych w tekście klauzul, na które Kuba nie mogła przystać, niezależnie od tego, jak bardzo potrzebowała pieniędzy. W każdym razie tak mu na początku oznajmiono. Punkty te obejmowały przepadek wszelkich dóbr przetrzymywanych w zagranicznych bankach, przepadek pewnych terenów na wyspie, do których prawa własności rząd kubański miał przenieść na rzecz Chin, oraz możliwość wpływania na politykę wewnętrzną, jeśli Bank Centralny Kuby choć raz spóźni się ze spłatą rat bądź złamie zobowiązania objęte umową.

Gomezowi udało się wynegocjować usunięcie wszystkich kontrowersyjnych zapisów poza dwoma najbardziej bulwersującymi elementami prowizji: gwarancją na umożliwienie budowy i obsadzenia dwóch dużych baz wojskowych na wyspie, jednej lądowej, a drugiej morskiej, oraz zgodą na potajemne rozmieszczenie na Kubie ofensywnej broni jądrowej wraz z obsadzeniem wyrzutni rakiet poza nadzorem władz z Hawany. Chińczycy utrzymywali, że nie dadzą rady już teraz zrealizować obu punktów kontraktu, woleli jednak z góry zapewnić sobie takie możliwości w ramach umowy o pożyczce. Wszelkie próby usunięcia tych dwóch punktów z dokumentów spełzły na niczym. Chińczycy i tak niezbyt chętnie zgodzili się wycofać pozostałe klauzule, lecz o zniesieniu tych dwóch w ogóle nie chcieli słyszeć. Gomez od początku podejrzewał, że tamte zostały zawarte w projekcie umowy tylko po to, żeby można je zlikwidować, wykazując się tym samym dobrą wolą, lecz mimo wszystko łudził się nadzieją, że zdoła cokolwiek wynegocjować w kwestii baz wojskowych i rozmieszczenia wyrzutni rakiet. Liczył na to, że dalsze rozmowy zakończą się jego sukcesem. Nic jednak nie wskórał. Ale po powrocie do kraju, gdy ze zmiętym kapeluszem w rękach nerwowo meldował o fiasku rozmów, zorientował się, że jego przełożeni już nie zajmują tak nieprzejednanego stanowiska w kwestii tych dwóch

żądań, jak poprzednio. Perspektywa dużych pieniędzy zrobiła swoje. Te same zasady obowiązywały w każdym społeczeństwie, zwłaszcza gdy chodziło o dwadzieścia miliardów dolarów.

Rzecz jasna, stanowczy sprzeciw na te dwa ostatnie żądania Chińczyków nie wynikał z troski o bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. W rzeczywistości przywódcy Kuby nienawidzili potężnego sąsiada, chociaż, zdaniem Gomeza całkiem irracjonalnie, gdyż w przeciwieństwie do Hawany, władze w Waszyngtonie zmieniały się cyklicznie. I tak samo cyklicznie nadarzały się okazje, żeby coś zyskać na tych zmianach. Tyle że nikt z najwyższych władz kubańskich nigdy nie próbował tego wykorzystać. Zatem naciski na wyeliminowanie najbardziej bulwersujących klauzul umowy o pożyczkę nie miały nic wspólnego z najmniejszą choćby troską o los Stanów Zjednoczonych. Wynikały jedynie stąd, że przedstawiciele reżimu święcie wierzyli, iż Stany Zjednoczone naprawdę zasypią Kubę swoimi raketami, jeśli oni wyrażą zgodę na rozmieszczenie chińskich baz wojskowych na wyspie. Taka sama ślepa wiara kierowała nimi we wczesnych latach sześćdziesiątych, gdy finalizowano analogiczną umowę z Rosjanami.

Gomez przemierzył salon i wyszedł na patio górujące nad niezbyt głębokim wąwozem. Rozsiadł się na trzcinowym foteliku i zapatrzył na gwiazdy. Jego dom zaliczał się do ekskluzywnych według kubańskich standardów, chociaż w oczach Amerykanów musiał uchodzić za przeciętny i niezbyt drogi, z gatunku tych, na jakie mogli sobie pozwolić dobrze zarabiający przedstawiciele klasy średniej.

Gomez stał obecnie przed wyborem między prawdą absolutną a ocenami względnymi, przy czym bardziej się martwił o te drugie. Jeśli nawet według standardów amerykańskich mieszkał w skromnym domku jednorodzinny, to przecież czuł się w nim cudownie. A gdyby rzeczywiście został prezesem Banku Centralnego Kuby, jego życie na wyspie stałoby się jeszcze przyjemniejsze. Zresz

tą gdyby ujawnił informacje o szykowanym przewrocie, mógłby się nawet stać bohaterem narodowym.

Aż przygryzł wargi, utwierdzając się w przekonaniu, że podjął właściwą decyzję. Zamierzał wziąć udział jeszcze w jednym zebraniu Sekretnej Szóstki, najwyżej w dwóch, i jak zawsze słuchać wszystkiego z uwagą oraz potakiwać ruchem głowy. A potem wydać konspiratorów służbie bezpieczeństwa.

Rozdział 15

- Na nic się nie zgodzę, dopóki on tego nie zaaprobuje - rzekł Christian, formułując ostatecznie ultimatum wobec Deksa Kelly'ego i wskazując ręką Quentina, który stał obok niego na środku sali odpraw. - Jeśli chcesz się w tej sprawie naradzić ze swoim szefem, daj mi znać, bo może to trochę potrwać. W każdym razie z przyjemnością wrócimy do przerwanych rozmów. - Doskonale wiedział, że Kelly odpowiada bezpośrednio przed prezydentem Woo-dem, a skontaktowanie się z nim wcale nie należy do łatwych. - Nie kryłem przed wami swojego stanowiska już w czasie poprzedniego spotkania na Dolnym Manhattanie. Zatem nie powinniście być zaskoczeni.

Przez lata Christian zdążył się nauczyć, jak efektywnie przekonywać rozmówców co do pewnych spraw, które nie podlegają negocjacji. Przede wszystkim spokojny ton wyrażający pewność siebie należało doprawić odrobiną szczerości, albo nawet uległości, jakby się wyciągało rękę do drugiej strony, tłumacząc jednocześnie, że szkoda czasu na przelewanie z pustego w

próżne. Do tego nie wolno było spuszczać oczu z twarzy rozmówcy i uzupełnić wszystko mową ciała, lekko spuszczoną głową i sylwetką na poły zwróconą w stronę wyjścia. Wysyłanie sprzecznych sygnałów z reguły robiło wystarczająco dużo zamieszania. Ponadto nie wolno było stosować tej samej metody zbyt często, gdyż w oczach rozmówców szybko traciło się wiarygodność - tę zasadę wpoił sobie chyba jako pierwszą podczas twardych negocjacji zaraz po objęciu prezesury

Everestu. Któregoś razu zastosował ją dwukrotnie w ciągu dziesięciu minut i godzinę później negocjacje zakończyły się fiaskiem, przy czym wszyscy byli na niego tak wściekli, że nie dali mu nawet szansy na wznowienie rozmów. Na szczęście tym razem zapowiadały się krótkie pertraktacje i nie musiał się martwić o negatywne konsekwencje swojej postawy.

Kelly zerknął na Quentina i znów przeniósł spojrzenie na Christiana.

- Zaczekajcie tutaj - warknął ostro i zniknął w pokoju odpraw, zamykając im drzwi przed nosem.

Christian wskazał je ruchem głowy i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przyjemniaczek, prawda?

- Ma pewno nie ma szans na nagrodę publiczności w tym konkursie - przyznał Stiles. Wysunął dolną wargę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym dodał: - Może lepiej mu pójdzie występ w stroju kąpielowym.

Christian skrzywił się z obrzydzeniem.

- Już to widzę.

Quentin zachichotał.

- Nie podoba ci się ta wizja?

- Jest raczej odrażająca. Będzie mnie nękała przez cały dzień.

Stiles rozejrzał się dookoła.

- Mam nadzieję, że nie przyjechaliśmy tu na próżno, bo za nic nie pozwolę ci się zaangażować w taką awanturę beze mnie.

- Po to właśnie ciągnąłem cię tu ze sobą, chłopie, nie z innego powodu.

Wyjechali z Nowego Jorku wypożyczonym chryslerem już o piątej rano. Zgodnie z poleceniem Kelly'ego musieli zrezygnować z podróży samolotem, służbową limuzyną albo tak rzucającym się w oczy autem, jak beamer Stilesa. Dotarli Jersey Turnpike do autostrady I-95, a od niej bocznymi drogami do tego niepozornego, czteropiętrowego biurowca na obrzeżu Crofton w Marylandzie, mniej więcej w połowie drogi między Waszyngtonem i Annapolis. Stroną pochylnią z boku budynku zjechali

przed zamkniętą na głucho bramę podziemnego garażu, która otworzyła się automatycznie po jakichś trzydziestu sekundach oczekiwania w samochodzie. Zostali skierowani do sekcji kontrolnej w głębi hali, a gdy przed nią stanęli, kazano im wysiąść, po czym pięciu uzbrojonych wartowników przeszukało ich dokładnie. Następnie musieli przejść przez bramkę wykrywacza metali, za którą trzech innych wartowników poprowadziło ich do windy, a na piętrze odstawiło pod drzwi sali, w której znajdowali się teraz. Jeden z nich głośno zapukał, po chwili na korytarz wyszedł Kelly i ruchem ręki odprawił wartowników.

- Widziałeś się wczoraj wieczorem z Allison?

-Tak.

Gillette nie mógł zrozumieć, dlaczego Quentin czekał aż do tej pory, żeby go o to zapytać. Spodziewał się pytania o Allison przez całą drogę z Nowego Jorku.

-I jak poszło?

- Nie najlepiej. Dowiedziała się od kogoś o Beth.

Quentin uniósł brwi.

- Jakim cudem?

- Nie wiem, nie miałem okazji o to zapytać. Nawet...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i jakiś mężczyzna w garniturze i krawacie ruchem ręki zaprosił ich do środka. Był o wiele młodszy od Kelly'ego, koło trzydziestki.

- Tędy - rzekł. Wskazał Quentina. - Pan także.

Weszli do urządzonej po spartańsku sali. Ściany pomalowane na szaro były zupełnie gołe, oprócz niedużego stołu i paru plastikowych krzeseł z bocznymi blatami był jeszcze tylko telewizor stojący w rogu na stoliku na kółkach. Poza Kellym byli tutaj dwaj mężczyźni - ten, który ich wpuścił, oraz drugi, mniej więcej w tym sa-

mym wieku, także ubrany po cywilnemu, w garniturze i krawacie.

Kelly wskazał krzeselko, przy którym na blacie leżała plastikowa teczka na dokumenty.

- To twoje miejsce, Christianie - rzekł. - A ty usiądź obok niego - zwrócił się do Quentina, wskazując sąsiednie krzesło, bez papierów.

- To Quentin Stiles - wyjaśnił Christian, kierując te słowa do dwóch młodszych mężczyzn. - Jest szefem mojej ochrony osobistej i...

- Wiceprezesem Everest Capital - wpadł mu w słowo ten, który ich wpuścił do pokoju. - Wiemy. Widzieliśmy go w Nowym Jorku, kiedy pan

spotykał się z panem Kellym na Dolnym Manhattanie. Pan Stiles przywiózł pana wtedy i obserwował uważnie podczas całej waszej rozmowy na ulicy.

Christian i Quentin wymienili szybkie spojrzenia. Może ci faceci wcale nie byli tacy źli, jak im się wydawało?

- Proszę otworzyć teczkę, panie Gillette - polecił szorstko Kelly. - Sprawdzaliśmy pana. Powinien był się pan tego spodziewać.

Christian otworzył teczkę. Na wierzchu leżało zdjęcie mężczyzny.

- To doktor Nelson Padilla - wyjaśnił Kelly. - Jak pan zapewne czytał w otrzymanych wcześniej papierach, kieruje na terenie Kuby niewielką organizacją nazywaną Sekretną Szóstką.

- Owszem, pamiętam - odrzekł Christian. - Mogę wymienić wszystkich jej członków. Jak sądzę, właśnie ta grupa ma odegrać zasadniczą rolę w przewrocie w korelacji z działaniami pewnego wysokiego rangą oficera, który pokieruje wojskiem. W dokumentach nie zostało wymienione nazwisko tego oficera.

- Występuje pod pseudonimem Zapata. Jego prawdziwe nazwisko pozna pan dopiero na Kubie. Spotkacie się tam. - Kelly wskazał teczkę z papierami. - Dalej jest

sporo dodatkowych informacji, z którymi się pan zapozna już w domu. Zatem przed spotkaniem na Kubie będzie pan wiedział o poszczególnych członkach organizacji tak dużo, jakby łączyła was wieloletnia przyjaźń. Pozna pan też biografię Zapaty, jego profil psychologiczny, stan konta i strukturę wydatków niemalże co do grosza. Będzie pan wiedział wszystko. Moi ludzie naprawdę odwalili kawał dobrej roboty.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytał wprost Gillette. - Od czego mam zacząć?

- Od spotkania w przyszłym tygodniu w Miami.

Quentin pochylił się do przodu.

- To nie będzie w Miami.

Kelly fuknął głośno, jak byk szykujący się do szarży.

- O czym ty mówisz?

- Dobrze słyszeliście - odparł spokojnie Quentin. - Spotkanie nie odbędzie się w Miami.

- Posłuchaj, kolego - warknął Kelly, wymierzając w niego paluch. - Dobrze znam twoją nie najlepszą reputację ze służby w zwiadzie, w DIA i Secret Service. Ale muszę ci coś powiedzieć. Ja też mam mundur z kilkoma grubymi naszywkami na rękawie i nie dopuszczę, żebyś mi cokolwiek

dyktował.

Stiles wskazał kciukiem Christiana.

- Mój szef polecił mi zatroszczyć się o jego bezpieczeństwo, dlatego to nie będzie Miami.

Kelly zazgrzytał zębami.

- Christianie...

- Będzie tak, jak mówi Quentin - odparł szybko Gillette - albo w ogóle nie dojdzie do żadnego spotkania. - Lodowatym spojrzeniem zmierzył rozwścieczonego Kelly'ego. Wiele się zastanawiał nad wnioskami Quentina i był gotów uczynić wszystko, aby zakończyć tę eskapadę bezpiecznie, nie dać się porwać i nie wpaść w łapy oprawców kubańskiego reżimu. Dlatego też na tym etapie o wiele bardziej ufał przeczuciom Stilesa niż ustaleniom Kelly'ego. - Chcę

uczynić dla ojczyzny wszystko, co w mojej mocy, ale zamierzam uważnie słuchać tego człowieka. - Odchylił się na oparcie krzeselka. - Teraz wszystko zależy od twojej decyzji, Dex.

Kelly poruszył się niespokojnie, po czym prychnął przez nos.

- Więc gdzie chcecie zorganizować to spotkanie?

- Jeszcze nie zdecydowałem - odparł Quentin. Wskazał wszystkich trzech mężczyzn siedzących za stołem. - Co najważniejsze, wyznaczonego dnia osobiście pokieruję akcją przetransportowania doktora Padilli na miejsce spotkania.

Sanchez delikatnie wcisnął parę klawiszy, wpisując hasło dostępu do swego czasowo utajnionego konta poczty elektronicznej. Kiedy się zalogował i wyświetliło się okienko komunikatora, kliknął przycisk odbioru i po chwili uśmiechnął się lekko, gdy ujrzał tekst wiadomości. Oczywiście była zaszyfrowana, wskazywała jednak na to,

o czym był przekonany od samego początku: Miami. Do spotkania miało dojść w Miami w ciągu najbliższego tygodnia. Wspaniale. Tu był zadomowiony, nie musiał zakładać innej bazy operacyjnej. Czekala go jeszcze tylko jedna ostatnia podróż, poza tym nie musiał nic więcej robić, mógł dalej cieszyć się słońcem i ciepłym oceanem. Zresztą

i ta podróż nie powinna trwać długo. Zamierzał wyruszyć jutro z samego rana i wrócić późnym wieczorem, w najgorszym razie następnego dnia rano.

Mari jęknęła cicho, toteż szybko wylogował się z poczty elektronicznej i zamknął okno. Leżała na boku, tyłem do niego, naga, z prześcieradłem skopanym w nogach łóżka. Przyjrzał się jej. Była wspaniale zbudowana.

Kochali się każdej nocy od czasu, gdy powiedział jej, że szykuje się do ustalenia terminu spotkania w Europie. Zrobił jej kilka zdjęć aparatem cyfrowym i przesłał je mejlem znajomemu

reżyserowi, po czym oznajmił, że tamten jest nią bardzo zainteresowany. Ale w rzeczywistości z nikim się nie kontaktował. Od początku ją okłamywał i czasami dopadały go wyrzuty sumienia z tego powodu.

Od dawna nie dawały mu się we znaki, podejrzewał więc, że to objaw starzenia się. Aż skrzywił się na tę myśl. Poza tym za często przebywał z Mari poza hotelem. Kilka razy, chociaż niechętnie, zabrał ją na kolację, domyślając się, że jest bliska buntu i nie zechce dłużej spotkać się z nim w pokoju hotelowym, a więc najczęściej w łóżku. Nawet perspektywa poznania słynnego producenta filmowego nie była w stanie jej do tego skłonić. Obawiał się więc, że mogą być obserwowani, że ktoś go rozpoznał na ulicy i zechce wyciągnąć z niej informacje. Postanowił zatem spędzić z Mari jeszcze kilka nocy, a potem zatrzeć za sobą ślady.

Uśmiechnął się i dumny z siebie połączył się ze stroną pornograficzną. Wyrzuty sumienia błyskawicznie zniknęły, ustępując miejsca rozważaniom na temat najlepszego sposobu pozbycia się dziewczyny.

- Beth, zapewne pamiętasz Quentina Stilesa. - Christian wskazał ich sobie nawzajem ręką. - Quentinie, przedstawiam ci Beth.

Stiles uśmiechnął się skąpo do dziewczyny i uścisnął jej dłoń na powitanie.

- Cześć.

- Od czasu tamtej wspólnej podróży samochodem do Waszyngtonu Christian wiele mi o tobie opowiadał - odezwała się Beth. - Bardzo wiele.

- To wspaniale. Mam nadzieję, że nie wyrażał się o mnie źle.

- Okropnie - odparła, puszczając do niego oko. - Twierdzi, że w ogóle nie ma pojęcia, jak mógł się z tobą zaprzyjaźnić.

Bardzo starała się zrobić dobre wrażenie. Christian pomyślał, że aż za bardzo.

- Idziemy na górę, żeby parę minut posiedzieć przy łóżku matki Beth - wyjaśnił. Stiles dokładnie znał jego plany, ale Gillette nie bardzo wiedział, co mógłby więcej powiedzieć. - A potem, jak sądzę, pójdziemy gdzieś wszyscy na wspólny obiad.

Stali na parkingu pod Centrum Medycznym Baltimore, rozległym kompleksem szpitali i przychodni położonym już poza miastem, jakieś trzydzieści kilometrów na północ od centrum.

- Jasne. - Quentin obejrzał się na ich samochód. - Mam sporo pracy z tym naszym nowym projektem. Muszę przejrzeć mnóstwo papierów.

- Dzięki, kolego. To nie potrwa dłużej niż godzinę.

- Nie musicie się spieszyć.

Beth wzięła Christiana pod rękę i pociągnęła w stronę masywnego gmaszyska z czerwonej cegły.

- Spodobał mi się - mruknęła cicho, po czym opuściła rękę, splotła palce z jego palcami i przytuliła się do niego lekko. - Jest bardzo opanowany. Wiem, że zabrzmiało to głupio, ale nie potrafię inaczej opisać wrażenia, jakie na mnie zrobił. Zachowuje się jak bohater żywcem wyjęty z filmu akcji.

Dłoń miała drobną i delikatną, lekko drżącą. Pewnie była zdenerwowana wizją przedstawienia go swojej matce.

- Wcale nie zabrzmiało to głupio, Beth. Świetnie rozumiem, co chciałaś wyrazić. Sam na początku żartobliwie nazywałem go Shaftem, ale tego nie lubił.

- A jak teraz go nazywasz? Bo przecież musisz mieć dla niego jakieś przydomko, prawda?

- Czemu tak uważasz?

- To jasne, że jesteście ze sobą bardzo blisko. A wszyscy chłopcy, których znam, zawsze wymyślali jakieś przydomki dla swoich najlepszych kumpli.

Miała rację.

- Zgadza się, czasami nazywam go Wściekłym Psem.

Skrzywiła się, mrużąc oczy, jakby to przydomko niezbyt jej się spodobało.

- Wściekłym Psem? Nie pasuje. Mnie się bardziej kojarzy z kimś nad wyraz spokojnym, zawsze opanowanym. A jak on się do ciebie zwraca?

- Chris.

- No tak, to bardzo oryginalne - zauważyła ironicznie.

- A jakie ja powinienem mieć przydomko? - zapytał tuż przed wejściem do szpitala.

- Mędrak - odparła szybko, uszczyplinawszy go lekko, po czym ruszyła pierwsza do automatycznych drzwi.

- Dlaczego? To nie fair. Czemu chciałabyś... - Christian ugryzł się nagle w język, gdyż Beth podeszła do stanowiska recepcyjnego i zaczęła rozmawiać ze starszym mężczyzną siedzącym za kontuarem. Przedstawiła się i powiedziała, kogo chcą odwiedzić. Kiedy po paru minutach przeszli

krótkim korytarzem i wsiedli do windy, dokończył pytanie: - Dlaczego Mędek? To niezbyt przyjemne.

- Widzę, że jesteś bardzo czuły na tym punkcie - odparła, przysuwając się blisko niego, jak tylko zamknęły się drzwi windy. Poza nimi w środku nikogo nie było.

Miała rację, że był wrażliwy na tym punkcie. W przeszłości często szeptano za jego plecami, że jest nazbyt poważny, że nigdy nie potrafi wyluzować i cieszyć się życiem. Nawet Allison kilkakrotnie wtrąciła jakieś uwagi na ten temat. Tyle że ludzie go nie rozumieli. Ileż to razy musiał zapominać o uprzejmości, żeby osiągnąć swój cel. Ale przecież nie oznaczało to jeszcze, że stara się być szorstki, chociaż dobrze rozumiał, czemu ludzie w ten sposób go postrzegają.

- To i tak lepsze niż Gburek - dodała, zarzucając sobie jego ręce na szyję i przytulając się do niego.

- Coś mi się zdaje, że masz fioła na punkcie krasnoludków. - Zadarła głowę i spojrzała na niego, ale oczy miała puste, jakby błędziła myślami gdzieś daleko. Miał wiel

ką ochotę powiedzieć, że nie zamierza z nią romansować, uznał jednak, że to nie pora na takie wyznania. - Lepiej nie nazywaj mnie imieniem żadnego z nich.

- Więc jak mam cię nazywać?

- Wystarczy Chris.

- Chcę mieć dla ciebie jakieś przezwisko, którego nie będzie znał nikt oprócz nas.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i kilka razy musnął dłonią jej szyję.

- Może być Ojciec Chrzestny? - zapytał chrapliwym głosem. Szybko pokręciła głową, toteż dodał: - Nie? No to może Lucky Luke? Albo Brudny Harry?

Uniosła dłoń do ust i parsknęła stłumionym śmiechem.

- Przepraszam. Wiem, że faceci po czterdziestce chcieliby być tacy, jak Clint Eastwood i nosić przy pasie magnum czterdziestkęczwórkę, ale jakoś nie widzę cię w roli Brudnego Harry'ego. - Winda zaczęła zwalniać. - Lubisz filmy?

Lubił, nawet bardzo. Co jakiś czas robił sobie duchową ucztę, układał się na kanapie w swoim saloniku i oglądał któryś ze znanych filmów, nawet taki, który widział już wiele razy.

- Lubię.

Drzwi się otworzyły.

- Jaki jest twój ulubiony?

Zawahał się na chwilę przed wyjściem z windy, ogarnięty dziwnym wrażeniem, jakby jej słowa rozbrzmiały mu pod czaszką zwielokrotnionym echem.

Przystanąła w korytarzu i tak szybko odwróciła się w jego stronę, że aż spódniczka zafalowała jej wokół nóg, odsłaniając na moment zgrabne uda. Machnęła na niego ręką.

- Co się stało?

-Nic.

Nie mógł się jednak uwolnić od jej ostatniego pytania, które przywołało mu z pamięci tamten dzień, kiedy razem z Quentinem wracali z Camp David. Skojarzył też,

jak uporczywie Beth unikała odpowiedzi na pytania dotyczące jej życia. Stiles zdołał dowiedzieć się zaledwie paru szczegółów o niej od swoich waszyngtońskich przyjaciół. Pochodziła z jakiegoś małego miasteczka w Missouri i ukończyła uniwersytet stanowy w Nebrasce. Zdobycie tylko tych dwóch informacji wymagało wielu rozmów telefonicznych. Poza tym w zasadzie niczego więcej o niej nie wiedzieli.

- Wszystko w porządku? - Cofnęła się do drzwi windy i wyciągnęła do niego rękę.

- Oczywiście - odparł, lekko ściskając jej dłoń.

- Czyżbym zadała niewłaściwe pytanie? O twój ulubiony film?

- Nic podobnego, po prostu nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem. Zaskoczyłaś mnie, to wszystko.

- Aha.

Zwrócił uwagę na dziwny grymas, jaki przemknął po jej twarzy, jak gdyby wciąż starała się rozszyfrować, czemu to niewinne pytanie wywołało u niego tak silną reakcję.

- Chodźmy - rzekł, wychodząc z windy i pociągając ją za sobą. - Dokąd teraz?

- Tędy. - Wskazała na lewo.

Gillette nie cierpiał szpitali, ich sterylności, która go przytłaczała, zapachu spirytusu i kiepskiego jedzenia, gołych ścian, jednorodnych strojów personelu. Według niego szpitalne wnętrza bardziej kojarzyły się z więzieniem niż miejscem rekonwalescencji. Był przekonany, że dyrektorzy szpitali powinni przykładać większą wagę do stwarzania pacjentom

przytulnej domowej atmosfery, zwłaszcza na takich oddziałach jak ten, gdzie leżeli ludzie umierający. Popatrzył na staruszkę nadchodzącego z naprzeciwka, który prawą ręką sunął po ścianie. Miał na sobie znoszone spodnie od piżamy i frotowy szlafrok. Jego gęste siwe włosy były w takim nieładzie, jakby nie czesał ich od kilku tygodni, oczy miał zapadnięte w głąb czaszki, a cerę w odpychającym szarawym odcieniu.

Kiedy go mijali, Christian zerknął na Beth. W kącikach jej oczu kręciły się łzy, a dolna warga wyraźnie dygotała. Nagle poczuł się wstrętnie z powodu podejrzeń, jakie owładnęły nim przed kilkoma minutami.

Tak cicho na tym piętrze, pomyślał, odwracając pospiesznie głowę, żeby nie wprawić jej w zakłopotanie. Drzwi sal były pozamykane, zza żadnych nie wydostawał się na korytarz odgłos włączonego telewizora. Tutejsi pacjenci pragnęli odosobnienia, chcieli przeżywać swoje cierpienia w samotności. Jak dzikie zwierzęta przed czekającą ich nieuchronną śmiercią, zaszywające się w leśnym gąszczu albo w jaskini.

- Mistrzowski rzut - odezwał się półgłosem.

Spojrzała na niego, ukradkiem otarłszy łzy.

- Co powiedziałaś?

- Mistrzowski rzut. To mój ulubiony film. - Nigdy nikomu tego nie mówił, nawet Quentinowi. Bał się zdradzić, jak bardzo wzrusza go ten film, i to za każdym razem.

Był oparty na prawdziwej historii małej prowincjonalnej szkoły średniej z Indiany, w której uczyło się w sumie sześćdziesięcioro uczniów. Ich drużyna koszykarska w roku 1954 niespodziewanie wygrała mistrzostwo kraju, pokonując w finale drużynę ze szkoły wielkomiejskiej, mającej tysiące uczniów. Historia była tym bardziej niezwykła, że nie miała już szans się powtórzyć. W latach pięćdziesiątych wszystkie zgłoszone drużyny szkolne uczestniczyły w jednym turnieju, natomiast obecnie były podzielone na grupy zależnie od wielkości. Christiana zawsze inspirowało to, jak ludzie potrafią się jednoczyć, by osiągnąć coś niezwykłego, jak wyrabiają w sobie troskliwość i wzajemne bezgraniczne zaufanie. I osiągnęli cel pozornie dla nich niedostępny, gdyż koncentrowali się wyłącznie na nim, a nie na konkurencji ludzi bardziej uzdolnionych. Najbardziej wzruszała go zawsze końcówka filmu, gdy cała drużyna zbierała się w szatni tuż przed wyjściem na boisko do meczu finałowego, żeby usłyszeć od trenera, jak bardzo ko-

cha każdego z graczy. Dlatego też Christian zawsze oglądał ten film w samotności, by przed nikim nie zdradzić swojego wzruszenia. I z tego

samego powodu nigdy nikomu nie mówił, że to jego ulubiony film. Nie chciał oglądać go w niczym towarzystwie.

Beth zatrzymała się przed drzwiami w połowie długości korytarza, odwróciła się, zarzuciła mu ręce na szyję i wspięła się na palce, żeby go pocałować.

On jednak szybko przesunął głowę, przytulił dziewczynę do siebie i tylko uściskał serdecznie.

- Dzięki, że przyszedłeś tu ze mną - powiedziała, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem, jakby nie potrafiła zrozumieć, czemu wzbrania się przed pocałunkiem. - Ten kawałek do przejścia od windy nigdy dotąd nie był dla mnie taki łatwy. Cudownie jest mieć cię przy sobie. To dla mnie bardzo wiele znaczy.

Christian na chwilę powędrował myślami do swego ojca, wspominając, ile to razy tęsknił za tym, żeby móc z nim choć jeszcze raz porozmawiać, i jakim wstrząsem była dla niego świadomość, że w jednej chwili przestał się czuć bezpieczny, ponieważ ojciec odszedł z tego świata. Znowu coś go ścisnęło za serce, gdy w jego pamięci odżyła ta chwila sprzed lat, kiedy dowiedział się o katastrofie samolotu. Nadal odbierał to tak, jakby do tragedii doszło wczoraj.

- Dzięki, że mnie zaprosiłaś - odparł przez zaciśnięte gardło. On także miał wielką ochotę ją pocałować, ale nie potrafił się przełamać. - Chcę ci pomóc w każdy możliwy sposób. To tutaj? - zapytał, wskazując drzwi.

- Tak.

- Jesteś gotowa?

Z ociąganiem przytaknęła ruchem głowy.

Otworzył drzwi i pierwszy wszedł do środka, ale zatrzymał się już krok za progiem. Sterylność tej sali podziałała na niego tak, jakby dostał obuchem w głowę.

Matka Beth leżała na wznak na wąskim szpitalnym łóżku, z zamkniętymi oczyma i kremową kołdrą podciągnię

tą pod brodę. Odznaczała się takim samym chorobliwie szarym kolorem skóry, jak starzec, którego minęli na korytarzu, dodatkowo z dziwnym zielonkawożółtym odcieniem. Policzki miała zapadnięte, wargi bardzo blade i spierzchnięte, włosy całkiem siwe, zgarnięte z twarzy na boki. Wyglądała na sześćdziesięciolatkę, chociaż sądząc po niewielkiej liczbie zmarszczek, była zapewne z dziesięć lat młodsza. To śmiertelna choroba tak ją postarzała. Przez kilka sekund wpatrywał się w twarz śpiącej kobiety, na której gościł

wyraz zatroskania wywołanego bólem rozwijającej się choroby nowotworowej. Bardzo podobny wyraz twarzy obserwował u swojej siostry konającej na raka płuc, gdy przed kilku laty podobnie obserwował ją śpiącą w szpitalu w Los Angeles. Nikki długo i wytrwale walczyła z chorobą, ale i tak w końcu musiała jej ulec.

Wyposażenie szpitalnego pokoju przywiodło mu na myśl salę odpraw w Crofton, w której rano spotkał się z Deksem Kellym. Było surowe i odpychające. Podłogę wyłożono szarą terakotą, w tym samym kolorze były ściany, sufit i zasłony w oknie. Nawet ledwie ruszony posiłek na tacy przy łóżku sprawiał wrażenie poszarzałego w tym otoczeniu.

Odwrócił się na pięcie, minął Beth i energicznym krokiem ruszył z powrotem do windy.

- Chris! - zawołała za nim. - Christianie!

Antonio Barrado uważnie prowadził kuter wieloryb- niczy płytkim i wąskim, mającym najwyżej dziesięć metrów szerokości kanałem biegnącym w zwartym szpalerze dwumetrowej trzciny. Płynąc z prędkością trzydziestu węzłów, wymijał także aligatory, których oczy, nozdrza i ogony wyłaniały się spod powierzchni wody nawet tuż przed dziobem łodzi. Do zmięzchu pozostało najdalej pół godziny, a wolał nie szukać drogi powrotnej do obozu w ciemnościach, bo nie tylko się wzdragał przed samot-

nością na tym terenie, zwłaszcza teraz, gdy na jakiś czas miał towarzystwo, ale nie chciał też zapalać świateł. Bał się, że ktoś może go zauważyć.

Wyteżał więc wzrok, by w ostatnich promieniach słońca zapadającego za ścianę trzciny po lewej wypatrzeć w niej drobną wyrwę, jako że boczny kanał prowadzący do obozu nie miał nawet dwóch metrów szerokości, duży kuter z trudem się nim przeciskał, a on już parę razy przeoczył go w drodze powrotnej. Znów przyszło mu na myśl, żeby zostawić u wylotu jakiś znak rozpoznawczy, choćby chusteczkę przywiązaną do trzciny, aby łatwiej odnajdywać drogę. Ale nie pozwalała mu na to obawa, że ktoś może odkryć przyczynę, dla której urządził ten obóz na bagnach, i podjąć jego stałą obserwację.

Zmniejszył obroty silnika, powoli przesuwając prawą ręką w dół dźwigniękę gazu i starał się wypatrywać zarówno ujścia bocznego kanału, jak i aligatorów wyłaniających się przed kutrem. Przed dwoma dniami natknął się w pobliżu obozu na gada czterometrowej długości i zabił go, podejrzewając, że drapieżnik może się nocą zakraść do jednej z używanych

przez nich chat w poszukiwaniu łatwego łupu. Zresztą nie był nawet pewien, czy go zabił, chociaż nie miał wątpliwości, że dziewięciomilimetrowy pocisk o miękkim czubku trafił zwierzę w pancerz w tylnej części łba. Aligator przez chwilę miotał się dziko po powierzchni kanału, by w końcu zniknąć pod wodą. Słyszał wiele opowieści o tych stworach prześladowanych później niefortunnych strzelców, toteż zawsze ze wzmożoną uwagą podpływał do przystani, chociaż się nie bał. Teraz także skrzywił się z odrazą na myśl, jak straszliwa byłaby śmierć pod wodą, w szczękach olbrzymiego aligatora.

Chwilę potem nieco za późno spostrzegł wylot kanału.

Musiał zawrócić i z drugiej strony ostrożnie wprowadzić kuter między trzciny, przyglądając im się w obawie, że jakiś wąż spadnie z nich na pokład. Kawałek dalej i ten kanał się poszerzał, chociaż nie tak bardzo, jak główny.

Zarazem stawał się płytszy, tyle że dla kutra wystarczyło wody pod kilem. Na szczęście nie musiał już więcej zakręcać. Od razu poczuł się lepiej. Był już pewien, że trafi do obozu nawet po ciemku, jeśli będzie się tylko trzymał prawego brzegu kanału.

Uśmiechnął się. Już za kilka dni wszystko się rozpocznie. Dwóch z nich na początku przyszłego tygodnia miało jechać do Miami, wynająć pokój w jednym z eleganckich hoteli i poczynić ostatnie przygotowania. Dwaj pozostali zostaną tutaj i będą strzec obozu.

Barrado aż zmrużył oczy, gdy wypłynął na szersze wody kilkaset metrów od obozu. Odniósł wrażenie, że znów zobaczył tego olbrzymiego aligatora, ale było już prawie całkiem ciemno i zwierzę tak szybko dało nura pod wodę, że nie zdążył mu się dobrze przyjrzeć.

- Tak będzie lepiej - rzekł z satysfakcją Christian. - Nie sądzicie?

Matka Beth Kathleen jeszcze raz ze zdumieniem rozejrzała się po pokoju udekorowanym świeżymi kwiatami i roślinami doniczkowymi z kwiaciarni na dole. Oprócz kwiatów kupił jej jeszcze w sąsiednim sklepie z pamiątkami planszową grę w tryktraka oraz wielkiego puzzla, nie licząc całego naręcza czasopism ilustrowanych do uzupełnienia tych paru gazet leżących na podłodze obok łóżka.

- Rzeczywiście jest bardzo ładnie - odparła słabym głosem. - Serdecznie dziękuję.

- Chyba już rozumiesz, dlaczego tak podziwiam tego człowieka - odezwała się Beth, podchodząc do Christian i obejmując go w pasie.

Ten zwrócił uwagę na czasopisma leżące na podłodze przy łóżku. Bez wyjątku dotyczyły biznesu i gospodarki. Na okładkach dwóch z nich

zauważył swoje zdjęcia. Beth wcale nie żartowała. Jej matka naprawdę czytała o nim wszystko, co wpadło jej w ręce.

- Owszem, rozumiem. - Kathleen dała mu znać, żeby podszedł bliżej, po czym chwyciła go za rękę, ledwie stanął przy jej łóżku. - Bardzo ci dziękuję. Teraz będę się tu czuła prawie jak w domu.

- Gdzie jest pani prawdziwy dom? - zapytał Christian, mając nadzieję, że jego prawdziwe intencje kryjące się za tym pytaniem wcale nie będą oczywiste.

- Cóż, wcześniej mieszkałam... - Kobieta nagle zakryła dłonią usta i zaniosła się kaszlem.

- Nic ci nie jest, mammo?

Christian odsunął się, żeby zrobić przy łóżku miejsce Beth, która natychmiast zacisnęła palce na dłoni matki. Wracając z kwaciarni, porozmawiał z lekarzem i dowiedział się, że stan Kathleen nie jest najlepszy, ale kobieta trzyma się dzielnie. Trudno było powiedzieć, ile to jeszcze potrwa, co wydało mu się w dwójnasób zasmucające. Bo rzeczywiście wyglądała kiepsko. Jak gdyby chciała najszybciej uwolnić się od tego cierpienia.

Allison obrzuciła podejrzliwym spojrzeniem szeregi klatek z węzami i jaszczurkami. Miała wrażenie, że są teraz bliżej, jak gdyby pokój się skurczył od czasu jej ostatniej wizyty. Może wynikało to z faktu, że zaczynała odczuwać, iż wszystkie elementy jej życia zaczynają na nią napierać z każdej strony.

- Nadal nie możesz się do nich przyzwyczaić, prawda? - zapytała siedząca za biurkiem Victoria Graham.

- Nie.

- Co się dzieje, moja droga?

Allison spojrzała w okno, za którym zalegała ciemność typowa dla dwudziestego piętra nad Fifth Avenue. Sama nie umiała określić, co ją najbardziej drażni. Na pewno nie mogła się pogodzić, że Christian zniknął na cały dzień, nie uprzedzwszy jej, dokąd się wybiera. Ponadto nie dawało jej spokoju, że poprzedniego wieczoru zachowała się jak

gówniara, wybiegając w panice z „Oak Bar”. Na pewno nie bez znaczenia był fakt, że wczoraj wieczorem przed wyjściem z biura Sherry powiedziała jej, iż Christian wybiera się do Baltimore na spotkanie ze swoją młodą przyjaciółką, z którą ewidentnie łączył go romans. Ale denerwowało ją także to, że Sherry ostatnio wie znacznie więcej od niej na temat Gillette'a. Nie

wiedziała tylko, jak do tego wszystkiego mają się drobne wyrzuty sumienia z powodu tego, co zamierzała zrobić na prośbę Victorii Graham.

- Dostałam oficjalny komunikat Christiana o twoim awansie na stanowisko wiceprezesa zarządu - dodała radośnie Graham, kiedy Allison nie odpowiedziała. - Przyszedł wczoraj. Bardzo się z tego ucieszyłam.

- Mogę to sobie wyobrazić - odparła Allison.

- Chcesz o tym porozmawiać, moja droga?

- Jaki jest pani ulubiony film? - rzuciła Allison, nie chcąc rozmawiać o tym, że Christian spotyka się z dziewczyną o połowę młodszą od siebie, chociaż bardzo pragnęła poznać opinię Victorii Graham w tej sprawie. Prawdę mówiąc, zależało jej na tym, żeby omówić to z kimkolwiek. Nie chciała jednak okazać przy tym swojej słabości. - Ja powiedziałam pani, jaki film lubię najbardziej, teraz kolej na rewanż.

Graham zadarła głowę i wybuchnęła gromkim śmiechem.

- A nie mówiłam, że to bardzo ważne pytanie? Zmusza człowieka do namysłu, prawda?

Allison pokiwała głową. Nawet rozmyślając godzinami

o Christianie, nie umiałyby powiedzieć, jaki film lubi najbardziej. Podejrzewała jednak, że już dawno wie to jego nowa przyjaciółka. Oszłamiająco piękna, jeśli wierzyć Sherry. Dzisiaj z rana Allison poprosiła asystentkę o opisanie tej dziewczyny. Próbowała powściągnąć ciekawość

i przemilczeć dręczące ją pytanie, ale nie zdołała się opanować. Musiała znać prawdę. Niska i szczupła, o ciemnych włosach, pięknej sylwetce i wspaniałych nogach.

A przecież Christian twierdził, że jest wręcz uzależniony od długowłosych blondynek.

- Mój ulubiony film to Sabrina, ale nie ta nowa wersja z Harrisonem Fordem, tylko starsza, z Audrey Hepburn i Humphreym Bogartem. Chyba można mnie nazwać miłośniczką dobrych romansów.

Tak samo jak mnie, pomyślała Allison.

- Ma pani pewność, że to, co robimy, jest słuszne? - zapytała ostro.

Do tej pory brała dosłownie wszelkie rady Victorii Graham, wychodząc z założenia, że ta nie mogłaby jej okłamać. Mogła jedynie łudzić się nadzieją, że nie zaaranżowała jej awansu na stanowisko wiceprezesa zarządu tylko po to, by mieć większy wpływ na jej decyzje.

Graham ze śmiertelnie poważną miną pochyliła się w jej kierunku.

- Absolutnie. Już to przerabialiśmy kilkakrotnie. Powinnaś świetnie

wiedzieć, że nie ma innego wyjścia.

- Nie jestem tylko pewna, czy...

- To już nie potrwa długo, moja droga. Ale jeszcze przez jakiś czas musimy utrzymać ten kurs.

Melissa pomachała im ręką na pożegnanie, stojąc przy swoim aucie na parkingu przed restauracją, w której zjedli razem obiad. Był to włoski lokal w Towson, miasteczku sąsiadującym z Baltimore od tej samej strony, co szpital. Quentin jako pierwszy ruszył do samochodu, zostawiając ich samych przed restauracją, żeby się pożegnali. Ale Christian tylko skromnie cmoknął dziewczynę w policzek i uścisnął serdecznie. Bardzo pragnęła czegoś więcej, nie chciała jednak posunąć się za daleko. W końcu została zaangażowana tylko do szpiegowania Gillette'a, do zapewnienia zleceniodawcom świadomości, że znają każdy jego krok. Nie dalej jak wczoraj dali jej to jasno do zrozumienia. Bardzo jasno. Gdyby cokolwiek sknociła, nie skończyło by się tylko na odmowie wypłacenia obiecane honorarium.

Wolno przeszła od drzwi do małego forda taurusa, który wypożyczyli na jej nazwisko, rozglądając się ukradkiem za jakimś ich agentem. Nie spostrzegła jednak niczego podejrzanego. Pewnie bali się ją śledzić w takiej chwili, nie chcąc podejmować ryzyka, że Christian zwróci uwagę na obserwatora.

Wyjęła z torebki kluczyki, otworzyła drzwi auta, ale zaraz wyprostowała się i grzmotnęła pięścią w jego dach. Zachowała się jak idiotka, pytając o ten ulubiony film. Od razu spostrzegła po jego dziwnym spojrzeniu, że uznał to pytanie za podejrzanę. Nie miała wątpliwości, że w duchu zaczyna łączyć liniami kropki ukrytego rysunku. Nie dał po sobie poznać, ani w szpitalu, ani później w restauracji, że cokolwiek udało mu się rozszyfrować, ale z Christianem niczego nie można było być pewnym. Jak mało kto potrafił zachowywać kamienny wyraz twarzy.

Poczuła, że łyżę cisną jej się do oczu, tym razem naprawdę. W niczym nie przypominały tych sztucznych, które uroniła wcześniej. Christian okazał się tak wspaniałomyślny dla tej biednej kobiety, która odgrywała rolę jej matki, a która rzeczywiście była chora na raka. Kupił jej mnóstwo kwiatów, byle tylko poczuła się lepiej w swoim pokoju. Tam samo mógł postąpić Lwie Serce przed kilkoma laty, kiedy to jej prawdziwa matka leżała na łożu śmierci. Rzecz jasna, nie wpadł na to, zwyczajnie lekceważąc je obie. W niczym nie przypominał Christiana Gillette'a, który po prostu troszczył się o ludzi, jakich napotykał na swojej drodze życiowej. Jej ojciec był samolubem,

zajmował się wyłącznie sobą. W połowie była do niego podobna, miała więc poważny powód do zmartwień. Pewnie właśnie dlatego zgodziła się za parę dolarów przewrócić do góry nogami życie Christiana. Z trudem przełknęła ślinę. Nie mogła wykluczyć, że całe to przedstawienie zakończy się jego śmiercią. Do tej pory nie zdołała się dowiedzieć, jaki

jest cel owej maskarady, lecz skoro musiała działać pod groźbą utraty życia, sprawa z pewnością była jeszcze poważniejsza dla niego.

Westchnęła ciężko, rozmyślając o tym, że pomysł wspólnej wizyty w szpitalu u matki chorej na raka wyszedł przecież od niej. Chciała w ten sposób mocniej przywiązać Christiana do siebie, uatrakcyjnić przynętę tkwiącą na haczyku. Na początku zlecniodawcy patrzyli na nią jak na wariatkę, gdy przedstawiła im ten pomysł, jakby nie wierzyli, że starczy jej psychicznej wytrzymałości, by przez to przejść. Tyle że ona przechodziła to samo naprawdę osiem lat wcześniej. Wy tłumaczyła jednak, że jest przecież aktorką, zdobywczynią Oscara, więc z pewnością nie zawiedzie. Mimo wszystko jeszcze długo kręcili głowami. Może ostatecznie mieli rację? Może wcale nie chodziło o jej umiejętności aktorskie, bo w rzeczywistości była zimna, bez serca?

- Nienawidzę cię, Beth Garrison - szepnęła ze złością, otwierając gwałtownie drzwi samochodu. - Nienawidzę cię do głębi, podła suko!

Rozdział 16

Tego wieczoru Sekretna Szóstka spotkała się na plaży, w tym samym miejscu, gdzie dotąd Padilla umawiał się z generałem Delgado. Chirurg w ostatniej chwili, a więc dopiero kilka minut przed piątą, przymocował skrawki papierowych serwetek do parkowych zarośli. Jak zawsze użył do tego po kropli kleju cyjanoakrylowego, dzięki czemu serwetki pozostawały na miejscu nawet wtedy, gdy wiał wiatr od morza. Powtarzał sobie przy tym w myślach, żeby koniecznie je pozdejmować nazajutrz z samego rana, przed pójściem do szpitala, aby nie odkryła ich któraś z grup skazańców od czasu do czasu zbierających w parku śmieci, nie nabrała podejrzeń i nie zawiadomiła milicji. Martwił się, że nie wszyscy zdążą przeczytać komunikat o spotkaniu, jednakże niepotrzebnie, gdyż oto teraz w ciemnościach stali w komplecie pod długim szpalerem palm, kołyszących się na lekkim wietrze. Jako ostatni przybył na miejsce wiceprezes banku Alanzo Gomez.

- Co jest tak pilnego, że musieliśmy się znowu dzisiaj spotkać? - zapytał opryskliwie prawnik.

- Zaczyna się - odparł krótko Padilla trochę spiętym głosem. - Tylko tyle.

Ostatnio coraz bardziej się martwił, w co tak naprawdę pakuje siebie i swoją rodzinę. Coraz częściej romantyczna świadomość uczestnictwa w Ingerencji budziła w nim przerażający strach przed brutalną rzeczywistością. Prawie nie spał od trzech dni, znowu żył w tak wielkim stresie, jak w czasie trzech pierwszych tygodni pracy w szpitalu. Ilekroć zamykał oczy, wyobrażenia podsuwała mu przera-

żające obrazy tego, co się może stać, jeśli adwokat czy nawet Delgado okaże się szpiegiem Partii i ujawni ich spisek, bądź jeśli Ingerencja zakończy się klęską, ponieważ Stany Zjednoczone nie zapewnią obiecanego wsparcia, jak to się stało w Zatoce Świń lub jeśli znacząca część jednostek wojska odmówi wykonania rozkazów Delgado. Wstrząsał nim dreszcz na myśl, że jego żona zostanie zakatowana na śmierć w więziennej celi, a dzieci będą powoli i metodycznie okaleczane, pozbawiane najpierw palców, potem rąk i nóg w nieopisanych wielogodzinnych cierpieniach, zanim wykrwawią się na śmierć. Wielokrotnie słyszał plotki, że tak właśnie wyglądają konsekwencje, jakie muszą ponosić najbliższe rodziny mężczyzn oskarżonych o zdradę stanu. Miał nawet wrażenie, że ostatnio coraz częściej docierają do niego takie plotki. Nie wiedział tylko, czy dlatego, że teraz słucha ich z większą uwagą, czy dlatego, że ktoś próbuje go ostrzec.

- Naprawdę się zaczyna - powtórzył szeptem.

- Kiedy masz się spotkać z Christianem Gillette'em? - zapytał wiceprezes banku.

- Pojutrze.

- Gdzie?

Padilla obrzucił go uważnym spojrzeniem, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Teraz to on zadawał za dużo pytań. Aż przygarbił się z wrażenia. Nie znosił paranoicznej podejrzliwości skierowanej przeciwko każdemu z członków grupy. Boże, nawet żona może się obrócić przeciwko mnie, chcąc ratować dzieci, pomyślał.

- W Miami. W którymś z tamtejszych hoteli, jak mi się zdaje.

- Później będzie już spotkanie na Kubie, prawda? - zaciekawiał się tamten.

- Z nami wszystkimi i z generałem?

Padilla znowu przeszył go ostrym spojrzeniem. Gomez stał ze wzrokiem wbitym w ziemię i w zamyśleniu skubał brodę.

- Zgadza się. Spotkamy się jeszcze tego samego wieczora

w gospodarstwie Cruza, a dzień lub dwa później rozpocznie się Ingerencja. - Szerokim gestem wskazał pozostałych członków grupy. -

Pamiętacie wszyscy swoje hasła?

Miał na myśli indywidualne hasła wywoławcze, którymi musieli się posłużyć w rozmowie z amerykańskimi żołnierzami, gdyby zaszła konieczność skorzystania z telefonów satelitarnych. Zostały im przydzielone tylko na wypadek, gdyby musieli się błyskawicznie ewakuować z wyspy w razie niepowodzenia Ingerencji. Uświadomił sobie nagle, że w wypadku niepowodzenia alarmowe numery telefonów będą do niczego nieprzydatne. Jednak od strony psychologicznej mieli przynajmniej pewien punkt zaczepienia, a wszyscy bardzo go potrzebowali. Przynajmniej pięciu z nich.

Tamci pokiwali głowami.

Padilla odwrócił się i popatrzył na morze, na niewysokie fale rytmicznie rozbijające się o piaszczysty brzeg. W blasku księżyca widoczne były białe grzywy na szczytach fal. Pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie bał się aż tak bardzo.

Dorsey ponownie spotkał się z dwoma starszymi mężczyznami. Jak poprzednio zjawił się w rozległym domu na wschodnim wybrzeżu Marylandu. I jak poprzednio został zmuszony, żeby przyjechać samotnie, mydląc coraz bardziej podejrzliwemu Bixby'emu oczy kolejną wyssaną z palca bajeczką. Musiał jednak pamiętać o ostrzeżeniach, że absolutnie nikomu nie wolno wyjawiać celu podróży. Tego wieczoru jednak Dorsey podejrzewał, że Bixby albo sam go śledził, albo zlecił komuś to zadanie. Bardzo sobie cenił oddanego sekretarza, który jednak okazywał się ogarniętym paranoją sukinsynem. Kiedy się jednak dobrze nad tym zastanowił, uznał, że to jeszcze jedna zaleta: człowiek na stanowisku szefa jego biura kongresowego w zasadzie powinien być paranoikiem.

- Sądziłeś, że jesteś blisko związany z Victorią Graham - zaczął ten, który poprzednio tak bezkompromisowo przesłuchiwał informatora z marynarki wojennej. Siedzieli we trzech w gustownie urządzonym salonie oświetlonym jedynie blaskiem lampki stojącej na pięknym zabytkowym stoliku w odległym rogu pokoju.

- Bo jestem z nią blisko związany - odparł urażonym tonem Dorsey, po raz pierwszy zwracając uwagę, że powietrze w tych pomieszczeniach jest lekko zatęchłe, jakby rzadko korzystano z tego domu.

- Więc dlaczego, na Boga, ona nie chce ci powiedzieć, kto dla niej pilnuje Gillette'a? - warknął drugi mężczyzna. - Przecież miałeś się tego dowiedzieć, prawda? Kazaliśmy ci to zrobić.

- Owszem - przyznał ciszej senator. - Kazaliście. Mogę nawet zrozumieć,

dłaczego...

- Więc potwierdziła, że ma informacje od kogoś blisko współpracującego z Gillette'em?

- Zgadza się. Od kogoś bardzo blisko z nim współpracującego.

- Ale nie zdradziła, kto to jest.

Dorsey nerwowo potarł czoło. Zaczynała mu dokuczać migrena, która coraz częściej dawała się we znaki. Trzy razy prosił Victorię, by mu powiedziała, kim jest jej informator, lecz za każdym razem zasłaniała się inną wymówką.

- Obiecała, że będzie mnie powiadamiać telefonicznie o każdym ruchu Gillette'a. W końcu już to robiła. I jak dotąd nie zawiedliśmy się na niej, prawda? Powiadomiła nas

o jego wyjeździe do Waszyngtonu, a później do Baltimore.

I wszystko się potwierdziło, czyż nie?

- Ale nam jest potrzebne nazwisko - rzucił ostro jego rozmówca.

- W porządku, rozumiem - odparł szybko Dorsey. - Wyciągnę to z niej, obiecuję. - Wcale nie był jednak pewien, czy mu się to uda. Z jakiegoś powodu Victoria nie

chciała mu powiedzieć wszystkiego. I w żaden sposób nie mógł temu zaradzić.

- Lepiej, żebyś się pospieszył.

- Dlaczego? Co się stało?

Człowiek, który przeprowadził wtedy przesłuchanie, wskazał kciukiem za siebie, w stronę pokoju z półprze- puszczalnym lustrem.

- Godzinę temu rozmawialiśmy znowu z naszym człowiekiem. Zaczyna się. Do spotkania ma dojść w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.

Senator pokręcił głową, unosząc obie ręce.

- Dlaczego akurat tak bardzo interesuje was ten drugi człowiek obserwujący Gillette'a, skoro macie swojego szpiega siedzącego mu na karku? Czyżby nie informował was o wszystkim, co się dzieje? Nie rozumiem tego.

- Nie jesteśmy do końca pewni, czy jego informacje są prawdziwe.

- A dotąd nie okazywały się prawdziwe?

- Owszem - przyznał drugi z nich - ale teraz zaczyna się najważniejsze. Nie możemy wykluczyć, że nie jest wtyczką, że ktoś z samej góry nie wykorzysta go, by wyeliminować nas z gry. Nie byliśmy w stanie potwierdzić jego dokładnych namiarów.

- Prawdę mówiąc, jesteśmy tym szczerze zaniepokojeni - dodał pierwszy.
- Tym, że nie dało się uzyskać niezależnego potwierdzenia jego pozycji. Nigdy niczego nie można być pewnym. Kiedy my kierowaliśmy tego typu operacjami, na tym etapie zawsze dysponowaliśmy już pewną siatką obserwatorów i informatorów. Ktoś taki jak ten, z którym obecnie współpracujemy, nie mógłby nawet podłubać w nosie, żeby zaraz nie doniósł o tym ktoś mający go na oku. Chyba że wykorzystywaliśmy go do szerzenia dezinformacji. - Westchnął ciężko. - Teraz jednak niczego nie jesteśmy pewni.

Dorsey ze zrozumieniem pokiwał głową, bardziej do swoich myśli niż na użytek rozmówców. Dobrze wiedział,

jak nerwowi robią się agenci wywiadu przed samym zakończeniem ich misji. Niepokoił się możliwością wyprowadzenia w pole, podstawienia fałszywego informatora, oderwania od rzeczywistości. I mieli ku temu uzasadnione powody. Nauczył się tego w ciągu lat spędzonych w kongresowej Komisji do spraw Sił Zbrojnych. Rzeczywiście, na tym etapie nie wolno było niczego brać na wiarę. Bardzo łatwo można się było poparzyć. Nawet na coś z pozoru niewinnym i bezpiecznym.

- Koniecznie musisz się dowiedzieć, kto to jest.

- Słyszałem. Postaram się. - Rozsiadł się wygodniej w fotelu i podrapał po głowie. - Chodzi przede wszystkim

o to potajemne spotkanie Gillette'a z jednym człowiekiem, prawda? Z tym lekarzem Padillą?

-Tak.

- Więc na czym polega problem? - Świetnie wiedział, jak bardzo ci dwaj nienawidzą Gillette'a za to, że kilka lat wcześniej pokrzyżował im plany sprzedaży pewnych tajemnic z zakresu nanotechniki, na czym chcieli się bardzo wzbogacić. No i za śmierć Sama Hewitta, istnej legendy establishmentu oraz ich przyjaciela, który w przeszłości pomagał im wiele razy, wykorzystując kierowaną przez siebie gigantyczną państwową spółkę U.S. Oil. Wyglądało jednak na to, że przepuścili sporo okazji do zemsty, jakby specjalnie czekali, aż Gillette zaangażuje się w aferę kubańską. - Wiem, że nienawidzicie Gillette'a - dodał. - Czyżbyście zaczęli się nagle martwić, że przypadnie wam ostatnia okazja do tego, by na zawsze usunąć go z drogi?

Ten, który razem z nim obserwował przesłuchanie w sąsiednim pokoju, ostentacyjnie skrzyżował ręce na piersi

i uśmiechnął się ironicznie, jakby Dorsey zatracił zdrowy rozsądek.

- Usunąć? Czemu mielibyśmy go usuwać?

Senator z trudem przełknął ślinę, odniósłszy wrażenie, że się zagalopował.

- Pomyślałem, że skoro...

- Potrzebujemy go żywego, na miłość boską. Przynajmniej na razie.

- I na tym właśnie polega cały problem - wtrącił drugi. - Niepokoi nas, że ktoś może go sprzątnąć, nim zdąży dotrzeć na Kubę. To znaczy, że może go sprzątnąć ktoś inny. Chryste, gdyby do tego doszło, wszyscy bylibyśmy załatwieni. - Wymierzył w Dorseya kościsty palec, - Gdyby do tego doszło, mógłbyś zapomnieć o swojej prezydenturze, bo nie mielibyśmy niczego, co pozwoliłoby wyeliminować z gry Jesse'a Wooda. Musimy doprowadzić do przewrotu, gdyż potrzebni są nam na Kubie nasi komandosi i zwiadowcy zgodnie z rozkazem prezydenta dokonujący egzekucji, które moglibyśmy utrwalić na taśmie wideo. Dopiero wtedy będziemy się mogli dostać do Wooda. Jeśli przewrót się nie powiedzie, niczego nie zyskamy. - Urwał na chwilę. - Możesz być jednak pewien, że Gillette nie ma szans wrócić z Kuby do kraju. - Zerknął na swego współpracownika i dodał: - W powstałym tam chaosie po prostu zaginie bez wieści.

- Mam rozumieć...

- Że nasi Rangersi zajmą się także Gillette'em. Na Boga, czy wszystko trzeba ci tłumaczyć wprost?

Gillette zapewne zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczna jest misja, w której będzie uczestniczył, nie podejrzewał jednak, że prawdziwe niebezpieczeństwo będzie mu zagrażało nie ze strony Kubańczyków, lecz amerykańskich żołnierzy.

- Więc co was tak bardzo niepokoi? - zapytał Dorsey. - Kto inny mógłby chcieć sprzątnąć Gillette'a przed czasem?

Tamci wymienili szybkie spojrzenia.

- Nie wiemy - przyznał szczerze pierwszy. - Na razie odbieramy tylko biały szum z eteru. Ale w takich sprawach nigdy nic nie wiadomo. Nasz informator jak dotąd jest bardzo wiarygodny, co też wzbudza nasz niepokój. Wcześniej wykorzystywaliśmy informacje uzyskiwane od

niego w innej sprawie. Korzystaliśmy z jego pomocy, próbując wykiwać Firmę.

- Stąd też musimy na razie chronić Gillette'a - dodał stanowczo drugi. - Co najmniej przez dwa najbliższe dni. I to za wszelką cenę. Byłoby nam

jednak trudno go chronić, gdybyśmy nie wiedzieli, gdzie on jest.

- Przecież wiecie, że wybiera się do Miami - odparł senator. - Zdaję sobie sprawę, że to bardzo duże miasto, ale chyba wiecie dokładnie, gdzie zamierza się tam zatrzymać, więc powinniście mieć ułatwione zadanie.

- Oczywiście. Pod warunkiem, że naprawdę wybiera się do Miami.

- Sądziłem, że wszystko jest ustalone - rzekł zdziwiony Dorsey, ruchem głowy wskazując tyły domu, gdzie znajdował się pokój z półprzepuszczalnym lustrem. - Sam słyszałem, jak mówił to wasz oficer marynarki.

- Ściśle rzecz biorąc, powiedział, że...

- Na wszelki wypadek dowiedz się, kim jest informator Victorii Graham - przerwał ostrzej drugi mężczyzna. Zawahał się chwilę, po czym dodał: - Słyszałeś kiedykolwiek o niej Allison Wallace?

Dorsey przytaknął ruchem głowy.

- Oczywiście. Pracuje z Gillette'em w biurze Everestu. Pochodzi z jednej z najbogatszych rodzin Środkowego Zachodu. Victoria często o niej mówi. Bardzo ją lubi. Twierdzi, że ta kobieta jest nadzwyczaj utalentowana.

- Czy cokolwiek wskazuje, że i ona może być zamieszana w tę sprawę? Czy to ona może być informatorką Victorii Graham?

Christian i Beth siedzieli ponownie w małej włoskiej restauracji na Manhattanie. Beth zjawiała się tego popołudnia w Waszyngtonie pod wpływem chwili. Niespodziewanie zadzwoniła do niego o trzeciej do biura i oznajmiła, że musi się z nim koniecznie zobaczyć, bo odchodzi

od zmysłów, ciągle o nim rozmyślając. Chciał jej wytłumaczyć, że ma ważne spotkanie z dyrektorem naczelnym jednego z przedsiębiorstw należących do Everestu, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, rzuciła, że już jest w pociągu.

Toteż zamiast odrzec, że jest mu przykro i że nic nie może na to poradzić, odwołał spotkanie z dyrektorem i przesunął je o tydzień, mimo że tamten przyjechał aż z Saint Louis tylko na ten obiad i prawdopodobnie czekał już w holu hotelu Saint Regis, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Christian przeprosił go serdecznie i zorganizował mu natychmiastowy powrót do domu odrzutowcem, należącym do Everestu który stał na lotnisku La Guardia.

Za to z Beth spotkał się na dworcu Penn Station, chociaż umówili się przez telefon, że jak zwykle przyjedzie taksówką bezpośrednio do restauracji. Postanowił jej zrobić niespodziankę. Kiedy go spostrzegła pod tablicą rozkładu jazdy w głównej hali, podbiegła i rzuciła mu się na szyję, a on

obrócił ją w powietrzu niczym małą dziewczynkę. Zrobił to odruchowo, zanim uświadomił sobie, że obserwuje ich aż trzech ludzi Quentina. Teraz, gdy bliski już był termin rozpoczęcia misji, Stiles potroił jego osobistą ochronę. Z samego rana Christian odebrał mejla od J.R. Cooka, który informował, że w najbliższym czasie powinien oczekiwać ostatecznego rozkazu udania się na miejsce spotkania.

- Ta cielęcina jest bardzo smaczna - powiedziała Beth, wodząc palcami po jego dłoni. - Coraz bardziej mi się tu podoba. Zaczynam traktować ten lokal jak nasz. - Rozejrzała się po rozwieszonych na ścianach pamiątkach z rodzinnego włoskiego miasteczka właściciela restauracji. - Powinniśmy częściej się tu spotykać.

Kiedy uprzytomnił sobie, że dziewczyna wpatruje się w niego roziskrzonym wzrokiem, szybko odwrócił głowę. Zamierzał tego wieczoru opowiedzieć jej o Nikki, wyjaś-

nić, jak bardzo przypomina mu zmarłą siostrę, co stało się jedynym powodem, dla którego postanowił jej pomóc. To jednak oznaczało, że dziewczyna musi zapomnieć o romansie z nim. Zdawał sobie sprawę, jakie to będzie trudne. Westchnął. Bardzo żałował, że kwestie nawiązywania romansów z kobietami nie są dla niego aż tak proste, jak negocjacje w biznesie.

Beth pochyliła się bardziej w jego stronę, zacisnęła palce na jego ręce i powiedziała:

- Chris, bardzo chcę się dzisiaj z tobą kochać.

Po zakończeniu narady Sekretnej Szóstki Padilla wrócił do swojego samochodu, usiadł za kierownicą i odjechał, lecz tylko na parę kilometrów. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, zawrócił i podjechał znowu pod plażę.

- Jak poszło? - zapytał generał Delgado.

- Dobrze.

- Wszyscy przyjechali?

-Tak.

- Prawnik także?

-Tak.

- To dobrze. Bardzo dobrze. - Delgado zaciągnął się dymem z cygara, uśmiechając się chytrze.

Padilla poczuł się nagle tak, jakby jego mentor już to wszystko wcześniej przerabiał. Oczywiście nie dosłownie, tylko w sensie psychologicznym. Jak gdyby doskonale rozumiał jego wewnętrzne rozdarcie, gdyż sam wcześniej

doświadczał go wielokrotnie.

- Dlaczego się pan uśmiecha? - zapytał, jak zwykle poirytowany tym, że generał potrafi w każdej sytuacji zachować całkowity spokój.

- Proszę się niczym nie martwić, doktorze - odparł łagodnym tonem Delgado. - Wszystko będzie dobrze.

Padilla z trudem przełknął ślinę. Jego rozmówca świetnie rozumiał też przerażenie, jakie go ogarniało.

- Skąd pan może to wiedzieć, generale? Na jakiej podstawie twierdzi pan, że wszystko będzie dobrze?

Delgado wyjął cygaro spomiędzy zębów i podał je lekarzowi.

- Jest pan człowiekiem wierzącym, prawda, doktorze? Kieruje się pan w życiu zasadami wiary, czyż nie?

Padilla zaciągnął się głęboko dymem, zwracając uwagę, że jest to inny gatunek dominikańskiego cygara. Na kilka sekund zatrzymał dym w płucach, po czym wydmuchnął go powoli. Wystarczył mu ten jeden haust, żeby od razu poczuć efekt działania nikotyny. Lekko zakręciło mu się w głowie. Te cygara były mocniejsze od poprzednich, pewnie dlatego generał zmienił markę. Więc może, wbrew pozorom, on także odczuwał niepokój?

- Owszem, jestem wierzący, tylko skąd...

- Domyśliłem się, doktorze. Na tym etapie niech pan nie szuka na siłę drugiego dna, przyjacielu.

Padilla oddał mu cygaro.

- A cóż kwestie wiary i religii mogą tu mieć do rzeczy?

- Jako człowiek religijny pokłada pan wiarę w Boga, niezależnie od tego, do którego Boga się pan modli. Natomiast w kwestii Ingerencji musi pan pokładać wiarę we mnie.

Generał był niesamowity. Padilla po raz kolejny w duchu podziękował opatrności, że może obcować z kimś tak wspaniałym. On jako lekarz miał jedynie możliwość ratowania ludzkiego życia, za to Delgado odznaczał się darem jego odmieniania. I oto tylko dzięki sile swojej osobowości, dzięki wewnętrznej mocy, zamierzał gruntownie odmienić rzeczywistość całej Kuby, poprawić życie wszystkich obywateli. Gdyby Ingerencja zakończyła się sukcesem, Delgado miałby szansę stać się na wyspie drugim po Bogu.

Gdyby natomiast się nie powiodła, jego nazwisko znalazłoby się tylko w przypisie na dole strony jako ofiary kolejnej egzekucji, ewentualnie trafiłoby na strony internetowe prowadzone przez emigrantów w Miami.

Najbardziej zdumiewała w generale gotowość podjęcia tak olbrzymiego

ryzyka, wynikająca z wielkiej pewności siebie. Delgado był gotów poświęcić życie w głębokim przeświadczeniu, że stanie za nim murem czterdzieści tysięcy podległych mu żołnierzy. Jeśli się mylił w tych kalkulacjach, to podobnie jak Sekretna Szóstka nie miał żadnych szans na ujście z życiem. Zostałby aresztowany w pierwszej kolejności.

- Udało się panu czegoś dowiedzieć o naszym prawniku? - zapytał Padilla.

- Owszem. - Generał sięgnął do kieszeni. - Od jutra nazwa waszej grupy przestanie odpowiadać prawdzie, gdyż pozostanie was tylko pięciu.

Doktor w zamyśleniu pokiwał głową. Miał wrażenie, że adwokat zdawał sobie sprawę z tego, jaki los go czeka. Widać to było dzisiaj po jego spojrzeniu.

Delgado zacisnął swoje szorstkie palce na drobnej delikatnej dłoni Padilli i uniósł ją ku górze.

- Proszę - rzekł, wkładając mu w rękę blaszany znaczek z wybitym numerem krowy, którą Padilla potracił na drodze niedaleko gospodarstwa Gustavo Cruza. - Niech pan to przekaże Christianowi Gillette'owi, kiedy się pan z nim spotka. Jeśli on odda mi tę blaszkę po przyjeździe na Kubę, będziemy mieli pewność, że możemy liczyć na pomoc Stanów Zjednoczonych. - Uśmiechnął się. - I życzę miłego pobytu w Naples. Ma pan do spełnienia bardzo ważną misję.

Padilla zapatrzył się na blaszkę z wybitym numerem i dopiero po chwili podniósł wzrok na Delgado, jakby z trudem docierało do niego to, co usłyszał.

- W Naples?

Allison stała na Columbus Avenue naprzeciwko restauracji, patrząc przez okno na siedzącego w środku Christiana w towarzystwie młodej dziewczyny. Sherry Demille

opisała ją bardzo trafnie, w niczym nie skłamała. Nowa przyjaciółka Gillette'a była rzeczywiście bardzo młoda i bardzo ładna.

Żal tak mocno ścisnął ją za gardło, że ledwie zdołała przełknąć ślinę. Miała wrażenie, że w przetyku utkwilo jej coś wielkości pomarańczy. Tego popołudnia ruszyła za Christianem, gdy tylko wyszedł z biura. Pojechała za nim na Penn Station, a następnie dotarła za nimi aż tutaj i patrzyła przez szybę, jak jedzą obiad. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak mówiła Sherry. Zbierało jej się na płacz.

W drodze Alanzo Gomez nucił melodię rozbrzmiewającą z małego

magnetofonu kasetowego. Kupił go w Paryżu, w sklepiku ze starociami przy rue Morgan, kiedy był tam z delegacją negocjującą z Chińczykami warunki pożyczki. Przywiózł go do kraju wraz z kilkoma kasetami muzyki klasycznej między ciuchami na dnie torby podróźnej. Na szczęście podczas odprawy celnej na lotnisku wystarczyło pokazać służbową legitymację z Banku Centralnego Kuby, żeby jako wysoki rangą członek Partii został przepuszczony bez szczegółowej kontroli bagażu.

Do tego członek lojalny, pomyślał teraz z dumą, słuchając arii z Aidy. Jutro z samego rana zamierzał zgłosić się do prezesa i powiedzieć mu wszystko na temat Sekretnej Szóstki. Powinno to jeszcze wzmocnić jego pozycję jako najważniejszego kandydata do objęcia stanowiska prezesa banku. No i uwolnić Kubę od widma poważnych wstrząsów. Miał szansę zostać bohaterem narodowym, podczas gdy pozostałych pięciu czekała śmierć.

Zdjął nogę z gazu, gdy za zakrętem w snopach świateł ukazała się blokada drogi. Dwa wojskowe łąziki stały przodem do siebie, a prostopadle do kierunku jazdy. Przy blokadzie stało czterech żołnierzy, w tym trzech z bronią gotową do strzału. Czwarty, w białych rękawiczkach, wy

szedł na środek szosy, unosząc obie ręce w górę. Gomez przełączył światła na krótkie i zatrzymał samochód. Takie blokady nie należały do rzadkości, ale nie były też rzeczą powszechną. Jego nerwowość wynikała tylko stąd, że właśnie wracał z nielegalnego spotkania. Bez obaw jednak opuścił szybko swojego studebakera.

- Dobry wieczór - odezwał się porucznik. - Poproszę pańskie dokumenty.

- Oczywiście. - Gomez wyciągnął portfel. W pierwszej chwili pomyślał, żeby okazać legitymację służbową z banku i zademonstrować w ten sposób swoją wysoką pozycję społeczną, ale szybko zmienił zdanie. Nie było potrzeby wykazywania się nadgorliwością wobec tego oficera. Mogło to tylko niepotrzebnie wzbudzić podejrzenia. - Proszę bardzo.

Tamten wziął od niego podniszczony dowód osobisty, spojrzał nań i rzekł:

- Dziękuję. Zaraz wrócę. Proszę zgasić silnik.

Gomez się skrzywił. Coś tu było nie w porządku. Odprowadził badawczym wzrokiem porucznika, który podszedł do dzipa i wsiadł do niego.

- Niech to szlag - syknął pod nosem.

Zapatrzył się na łązika. Problem polegał na tym, że gdyby ujawnił prawdę w trakcie przesłuchania, wyglądałoby to na próbę ratowania własnej skóry.

Zdecydowanie lepiej byłoby poprosić o poufne spotkanie z prezesem banku i jemu spokojnie wyłożyć, co się szykuje i kto jest zaangażowany w spisek. Poczł, że dłonie zaczynają mu się pocić.

- Cholera.

Nerwy zaczynały już brać w nim górę, kiedy porucznik wyskoczył z łazika i ruszył w jego kierunku tym samym swobodnym niespiesznym krokiem. Uśmiechnął się do niego, wręczając z powrotem dowód, po czym gestem dłoni dał znak kierowcy auta blokującego drogę z prawej strony.

- Dziękuję, senor Gomez, i życzę dobrej nocy.

Gomez przekręcił kluczyk w stacyjce.

- I ja dziękuję, poruczniku. Za wierną służbę narodowi kubańskiemu.

Beth stanęła obok Christiana na balkonie jego mieszkania przy Fifth Avenue, z którego roztaczał się widok na Central Park.

- Jakie piękne - mruknęła, spoglądając na rozgwieżdżone niebo. - Nawet nie sądziłam, że w centrum Nowego Jorku widać jeszcze gwiazdy na niebie. Wydawało mi się, że uliczne światła skutecznie je tłumią.

- Dzisiaj rzeczywiście niebo jest ładne - przyznał.

Przytuliła się do niego.

- Wypij ze mną kieliszek szampana. Proszę, Chris - rzekła błagalnym tonem. - Przecież jeden kieliszek ci nie zaszkodzi.

- Dokończ swojego szampana, wtedy zobaczymy. - Nie chciał jej powiedzieć wprost, że pod żadnym pozorem nie spełni jej prośby. Przywiózł ją do siebie tylko po to, żeby szczerze wyjaśnić sytuację, gdyż nie potrafił się do tego zmusić przy obiedzie, ale i tutaj było mu trudno. Zwłaszcza że spoglądała na niego takim wzrokiem...

Uniosła szybko kieliszek i opróżniła go w trzech łykach.

- Proszę bardzo. Skończyłam.

- No więc...

Z głębi pokoju doleciał głośny sygnał jej telefonu komórkowego.

- Przepraszam, ale martwię się o mamę - powiedziała, wchodząc z powrotem do mieszkania. - Zaraz wrócę.

- Nie spiesz się - rzucił za nią, łamiąc sobie głowę, jak jej powiedzieć prawdę.

Sanchez prawie bezgłośnie podkrał się do drzwi po wyłożonym terakotą korytarzu, głęboko wciągając w nozdrza powietrze przesycone ostrą wonią formaldehydu. Jemu ten zapach kojarzył się ze śmiercią, ale nie miał nic przeciwko niej. Ostatecznie to śmierć była przyczyną, dla której się tu

znalazł, i to ona stała się podstawą jego kariery.

Sprawdził po numerze, czy to na pewno te drzwi, rozejrzał się jeszcze po korytarzu, po czym szybko wśliznął do środka. Zastygł na chwilę, gdy zamykane drzwi cicho skrzypnęły, ale nie było się czym niepokoić. O tak późnej porze na korytarzu nikogo nie było, a leżąca tu kobieta spała. Zgodnie z odebranymi informacjami, była bliska śmierci i nie chciała na nią dłużej czekać. Ból dawał jej się bardzo we znaki. Victoria Graham szczegółowo wyjaśniła mu to w Miami.

Podszedł do łóżka i upewnił się, że chora nie jest podłączona do żadnej aparatury, która mogłaby zaalarmować dyżurną pielęgniarkę o ustaniu funkcji życiowych. Postawił małą torbę na stoliku przy łóżku, na ułożonej do połowy dziecięcej układance, otworzył ją i wyjął dwa przygotowane wcześniej kawałki sznura. Zachowując ostrożność, przywiązał ręce kobiety do żelaznej ramy łóżka w taki sposób, że nawet się nie poruszyła. Przyszło mu na myśl, że może już umarła, co by mu oszczędziło kłopotu. Przytknął dwa palce do jej nadgarstka, ale wyczuł puls, silny i miarowy.

Wyjął z torby zwiniętą szmatkę oraz jednorazową strzykawkę wypełnioną płynem. Bez wahania błyskawicznie rozwarł usta kobiety i wetknął jej głęboko do gardła knebel, po czym lewą ręką zakrył usta. Gwałtownie otworzyła oczy i natychmiast zaczęła krzyczeć, ale knebel skutecznie stłumił jej dzikie wrzaski. Zaczęła się też szamotać, napinać sznury krępujące ręce i tak energicznie wierzgać nogami, że aż go tym zdziwiła. Jeśli naprawdę świadomie chciała umrzeć, to teraz do głosu musiał dojść silny instynkt samozachowawczy, sprzeciwiający się temu, co zrodziło się

w umyśle w chwili konfrontacji z rzeczywistością. Bo w takiej chwili do głosu dochodziły przede wszystkim odruchy wykształcone w ciągu milionów lat rozwoju człowieka.

Sanchez błyskawicznie docisnął mocniej więzy na prawym nadgarstku, unieruchamiając jej rękę w pozycji wyciągniętej, wewnętrzną stroną ku górze. Teraz prawie w ogóle nie mogła nią poruszyć. Sięgnął po strzykawkę i posługując się tylko prawą ręką, gdyż lewą wciąż zakrywał kobiecie usta, pewnym ruchem wbił igłę w jej żyłę i tłoczkiem wypchnął płyn ze strzykawki. Szarpała się jeszcze z pół minuty, potem zaczęła szybko słabnąć, oczy uciekły jej w głąb czaszki, aż w końcu znieruchomiła.

Wyciągnął igłę strzykawki z jej ręki, odwiązał sznury, wrzucił wszystkie rzeczy do torby i ruszył do wyjścia. Pomyślał, że gdy pielęgniarki będą robiły nocny obchód i znajdą zwłoki, z pewnością orzekną, że pacjentka zmarła na

atak serca. Nikt nie będzie podejrzewał zabójstwa.

Mógł teraz wracać do Mari, czekającą na niego w Miami. Prześlizgując się z korytarza na klatkę schodową, którą przed kilkoma minutami dostał się niepostrzeżenie na piętro, postanowił w myślach, że spędzi z nią jeszcze jedną namiętną noc, po czym i jej się pozbędzie. Bo wtedy już przyjdzie pora na Christiana Gillette'a.

Allison wróciła do biura, żeby wydrukować zdjęcia Christiana i jego młodej przyjaciółki, jakie zrobiła podczas ich obiadu w restauracji. Było już późno, dochodziła jedenasta, ale nie mogła się doczekać, żeby je obejrzeć.

Robiła zdjęcia przez całą szerokość Ninth Avenue. Na szczęście nie została przy tym zauważona przez ochroniarzy Quentina, którzy również zajęli miejsca przy stoliku w środku. Miała wyrzuty sumienia, że w ten sposób szpieguje Christiana, ale tłumaczyła sobie, że robi to dla jego dobra, gdyż trzeba go zacząć chronić przed nim samym. W gruncie rzeczy wykonywała jednak tylko pole-

cenia panny Graham, niezależnie od tego, co próbowała sobie wmówić.

Podniosła do oczu pierwszą wydrukowaną fotografię. Jak na zdjęcie zrobione przez szybę restauracji bez zastosowania teleobiektywu wyszło całkiem niezłe. W powiększeniu było lekko ziarniste, niemniej bez trudu dało się rozpoznać twarze ludzi. Aż pokręciła głową. Zdobycze najnowszej techniki okazywały się naprawdę zdumiewające, aż strach pomyśleć, co przyniesie jutro.

Przez kilka sekund przyglądała się dziewczynie uchwyconej na zdjęciu. Tamta pochylała się przez stół w kierunku Christiana, trzymając rękę na jego dłoni. Była śliczna, należało to przyznać bezstronnie. Z mowy jej ciała wynikało jednoznacznie, że jest w nim zwyczajnie zadurzona. To też zgadzało się dokładnie z tym, co usłyszała od Victorii Graham, chociaż na tym etapie dla Allison każdy szczegół był podejrzany. Nie chodziło nawet o to, że Gillette mógł nawiązać romans z tak młodą dziewczyną, bo co do tego nie miała już żadnych wątpliwości. Uderzyło ją jednak, że stało się to właśnie teraz. W taki zbieg okoliczności po prostu nie była w stanie uwierzyć.

Na chwilę zacisnęła powieki, ale zaraz odłożyła zdjęcie i przysunęła sobie teczkę leżącą przy prawym brzegu biurka. Tego popołudnia, krótko przed wyjściem z biura tuż za Christianem, wyciągnęła ją z „Sali Umów Niedoszłych do Skutku”. Był to podręczny magazynek z regałami pełnymi dokumentów zaniechanych transakcji, zawierający materiały nawet sprzed piętnastu lat. W teczkach, uszeregowanych według gałęzi przemysłu,

znajdowały się głównie analizy finansowe inwestycji, które z takich czy innych powodów nie doszły do skutku. Christian trzymał je na wypadek, gdyby w przyszłości ktoś z zarządu Everestu chciał wrócić do którejsz z tych spraw, bo można było w ten sposób zaoszczędzić sporo czasu na robieniu ponownego rozpoznania, jak również szybko zapoznać się z przyczynami, dla których zrezygnowano z danej inwestycji. Pod

każdym względem myśli tylko o skuteczności działania, uznała w duchu Allison z lekkim uśmiechem. Dopiero w takich momentach uświadamiała sobie, jak bardzo go kocha. Nawet jeśli on był zakochany w innej.

Papiery w teczce dotyczyły towarzystwa ubezpieczeniowego z Ohio. Allison przeczytała uważnie znajdujące się na wierzchu streszczenie, które wcześniej ledwie zdążyła przebiec wzrokiem, nim Debbie powiadomiła ją o wyjściu Chrisa. Wszystko wskazywało na to, że przed kilkoma laty Victoria Graham próbowała go namówić, by z funduszy Everestu wykupił owo towarzystwo. On jednak odmówił. Z dokumentów nie wynikało wprost, co się stało przyczyną tej odmowy, ale znając dobrze styl zapisków Christiana, wyczytała pomiędzy wierszami, że w propozycji Graham odnalazł jakiś ukryty haczyk. Był nazbyt ostrożny, by dołączać do papierów notatki, które po latach mogły zostać wykorzystane przez jego następców przeciwko ewentualnym konkurentom, Allison nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że o jego decyzji przesądziły nie całkiem czy- ste intencje pomysłodawczyni. Dziennie odbierała średnio koło dziesięciu mejli od Christiana, toteż szybko zdążyła przywyknąć do jego stylu i charakterystycznych sformułowań. Dlatego czytając poszczególne słowa, w mig łapała ukryte w nich znaczenie. Stąd też bez trudu wywnioskowała z dołączonej do akt jego notatki, że w tym zakresie nabrał poważnych zastrzeżeń.

Opuściła głowę i oparła czoło o blat biurka. O co w tym wszystkim naprawdę chodziło, do pioruna?

Już blisko, jeszcze tylko parę kilometrów i będę w domu, rozmyślał z radością Alanzo Gomez, wystarczy pokonać to ostatnie wzgórze, u jego podnóża skręcić w prawo, potem w lewo, jeszcze raz w prawo i zaraz potem w alejkę dojazdową. Bez przerwy roztrząsał w myślach, jak wejdzie po cichu do domu, wśliźnie się do ciepłego łóżka i przy-

cenia panny Graham, niezależnie od tego, co próbowała sobie wmówić.

Podniosła do oczu pierwszą wydrukowaną fotografię. Jak na zdjęcie zrobione przez szybę restauracji bez zastosowania teleobiektywu wyszło całkiem nieźle. W powiększeniu było lekko ziarniste, niemniej bez trudu dało

się rozpoznać twarze ludzi. Aż pokręciła głową. Zdobywcze najnowszej techniki okazywały się naprawdę zdumiewające, aż strach pomyśleć, co przyniesie jutro.

Przez kilka sekund przyglądała się dziewczynie uchwyconej na zdjęciu. Tamta pochylała się przez stół w kierunku Christiana, trzymając rękę na jego dłoni. Była śliczna, należało to przyznać bezstronnie. Z mowy jej ciała wynikało jednoznacznie, że jest w nim zwyczajnie zadurzona. To też zgadzało się dokładnie z tym, co usłyszała od Victorii Graham, chociaż na tym etapie dla Allison każdy szczegół był podejrzany. Nie chodziło nawet o to, że Gillette mógł nawiązać romans z tak młodą dziewczyną, bo co do tego nie miała już żadnych wątpliwości. Uderzyło ją jednak, że stało się to właśnie teraz. W taki zbieg okoliczności po prostu nie była w stanie uwierzyć.

Na chwilę zacisnęła powieki, ale zaraz odłożyła zdjęcie i przysunęła sobie teczkę leżącą przy prawym brzegu biurka. Tego popołudnia, krótko przed wyjściem z biura tuż za Christianem, wyciągnęła ją z „Sali Umów Niedoszłych do Skutku”. Był to podręczny magazynek z regałami pełnymi dokumentów zaniechanych transakcji, zawierający materiały nawet sprzed piętnastu lat. W teczkach, uszeregowanych według gałęzi przemysłu, znajdowały się głównie analizy finansowe inwestycji, które z takich czy innych powodów nie doszły do skutku. Christian trzymał je na wypadek, gdyby w przyszłości ktoś z zarządu Everestu chciał wrócić do którejś z tych spraw, bo można było w ten sposób zaoszczędzić sporo czasu na robieniu ponownego rozpoznania, jak również szybko zapoznać się z przyczynami, dla których zrezygnowano z danej inwestycji. Pod

każdym względem myśli tylko o skuteczności działania, uznała w duchu Allison z lekkim uśmiechem. Dopiero w takich momentach uświadamiała sobie, jak bardzo go kocha. Nawet jeśli on był zakochany w innej.

Papiery w teczce dotyczyły towarzystwa ubezpieczeniowego z Ohio. Allison przeczytała uważnie znajdujące się na wierzchu streszczenie, które wcześniej ledwie zdążyła przebiec wzrokiem, nim Debbie powiadomiła ją o wyjściu Chrisa. Wszystko wskazywało na to, że przed kilkoma laty Victoria Graham próbowała go namówić, by z funduszy Everestu wykupił owo towarzystwo. On jednak odmówił. Z dokumentów nie wynikało wprost, co się stało przyczyną tej odmowy, ale znając dobrze styl zapisków Christiana, wyczytała pomiędzy wierszami, że w propozycji Graham odnalazł jakiś ukryty haczyk. Był nazbyt ostrożny, by dołączać do papierów notatki, które po latach mogły zostać wykorzystane przez jego następców przeciwko

ewentualnym konkurentom, Allison nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że o jego decyzji przesądziły nie całkiem czyste intencje pomysłodawczyni. Dziennie odbierała średnio koło dziesięciu mejli od Christiana, toteż szybko zdążyła przywyknąć do jego stylu i charakterystycznych sformułowań. Dlatego czytając poszczególne słowa, w mig łapała ukryte w nich znaczenie. Stąd też bez trudu wywnioskowała z dołączonej do akt jego notatki, że w tym zakresie nabrał poważnych zastrzeżeń.

Opuściła głowę i oparła czoło o blat biurka. O co w tym wszystkim naprawdę chodziło, do pioruna?

Już blisko, jeszcze tylko parę kilometrów i będę w domu, rozmyślał z radością Alanzo Gomez, wystarczy pokonać to ostatnie wzgórze, u jego podnóża skręcić w prawo, potem w lewo, jeszcze raz w prawo i zaraz potem w alejkę dojazdową. Bez przerwy roztrząsał w myślach, jak wejdzie po cichu do domu, wśliznie się do ciepłego łóżka i przy

tuli do małej pulchnej żony, a następnego ranka, po przyjeździe do biura, podejmie akcję ratowania Kuby. Wojskowa blokada na szosie tylko utwierdziła go w przekonaniu, że nie może postąpić inaczej. Bierne oczekiwanie wiązało się z ogromnym ryzykiem, gdyż cała wyspa zdawała się mieć uszy i oczy. Dalsza wywrotowa działalność oznaczała więzienie i śmierć. Tylko jej ujawnienie mogło uczynić z niego bohatera.

Oczywiście wyobraźni już widział się w fotelu prezesa Banku Centralnego po tym, jak jutro z rana ujawni istnienie spisku. Nie wątpił, że jego przełożony spróbuje przypisać wszystkie zasługi sobie, co było w końcu powszechną praktyką w administracji kubańskiej, ale i na to miał przygotowany plan. Zamierzał powiedzieć prezesowi tylko tyle, żeby narobić mu apetytu, lecz ani słowa więcej, a więc za mało na to, żeby wkroczyć dumnie do komitetu Partii po drugiej stronie ulicy i zrobić z siebie bohatera. Zamierzał jedynie dać mu posmakować rozkoszy sukcesu, by zyskać jego wstawiennictwo na czas przesłuchań w komitecie.

Zdjął nogę z gazu, dotarłszy na szczyt wzniesienia. Miał przed sobą dosyć stromy i długi zjazd, ciągnący się przez pół kilometra. U podstawy wzgórza zaczynało się już jego ukochane osiedle, w którym zamierzał pozostać aż do śmierci - o ile nie przeważy sława bohatera i Partia nie skłoni go do przeprowadzki, bo człowiek jego pokroju zasługuje na jeszcze większy i ładniej urządzonej dom. Miał zamiar robić wszystko, co mu każą. A przede wszystkim do końca służyć wiernie Matce Kubie, pomyślał, mimowolnie zaciskając prawą dłoń w pięść.

Kiedy samochód zaczął nabierać prędkości, ostrożnie nacisnął pedał hamulca i studebaker nieco zwolnił, lecz reakcja pojazdu wydała mu się zdecydowanie za słaba, nie. taka, jak zazwyczaj. Wdepnął więc mocniej pedał i ten niespodziewanie aż stuknął o podłogę, po czym nie wrócił do normalnej pozycji.

- O Jezu!... - Gomez rzucił okiem na szybkościomierz.

Jechał już z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i szybko przyspieszał na najbardziej stromej części stoku. Minęła ledwie sekunda, nim wskazówka dotarła do setki. - Mój Boże... - jęknął piskliwym głosem, lawirując zygzakiem po dwupasmowej jezdni w nadziei, że w ten sposób choć trochę zwolni. Opony zaczynały piszczeć na zakrętach. Gęsty szpaler drzew po obu stronach zlał się przed oczami w rozmazane smugi, kątem oka spostrzegł, że przekroczył sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. - Ratunku! Niech mi ktoś pomoże! - wrzasnął, odruchowo depcząc bezradnie pedał hamulca i próbując go czubkiem buta odciągnąć od podłogi. W przypływie rozpaczy szarpnął do góry dźwignię ręcznego hamulca, ale i to nie przyniosło żadnego rezultatu. - Stój! Stój! Stój! - zawołał, waląc pięścią w kierownicę. Przyszło mu do głowy, że powinien skręcić z szosy między drzewa, gdy tylko zdał sobie sprawę z awarii hamulca. Tuż pod szczytem wzgórze miał jeszcze szansę na wyjście z opresji tylko z lekkimi obrażeniami. Teraz jednak było za późno, wskazówka szybkościomierza pokazywała sto trzydzieści kilometrów na godzinę, a betonowy mur ogrodzenia za zakrętem szosy zdawał się pędzić mu na spotkanie. - Och, Boże!...

W ostatniej chwili Gomez szarpnął kierownicą w lewo, mając nadzieję, że jakimś cudem uda mu się wprowadzić auto w wąską boczną drogę odchodzącą na zakręcie, ale samochód rozpędzony do stu czterdziestu kilometrów na godzinę gwałtownie dwa razy przeokoziłkował i z impetem roztrzaskał się na murze.

Dwa łaziki zatrzymały się na zakręcie, w pobliżu miejsca wypadku, i z pierwszego wyskoczył ten sam porucznik, który sprawdzał dowód Gomeza na blokadzie drogi. Zwrócił na siebie całą uwagę prowadzącego, żeby jeden z jego podwładnych mógł swobodnie wśliznąć się pod samochód i nadciąć linkę hamulcową tak, by wiceprezes

banku bez podejrzeń pokonał jeszcze parę kilometrów, lecz przy pierwszej próbie gwałtowniejszego hamowania sam zerwał linkę.

Porucznik schylił się i zajrzał do wnętrza rozbitego studebaker. Widok

zakrwawionych szczątków za kierownicą nie zostawiał złudzeń, że kierowca nie żyje. Nie musieli wobec tego podejmować żadnych dalszych działań. Wyprostował się i zawrócił, ruchem głowy dając znak kierowcy łazika. Zza wzgórza wylaniały się światła drugiego najeżdżającego auta, musieli więc jak najszybciej stąd zniknąć.

Było już po północy, gdy Christian ruszył do swego gabinetu, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną. Beth spała na kanapie w saloniku. Usnęła obok niego jak małe dziecko, z kolanami podciągniętymi pod brodę, znudzona filmem Mistrzowski rzut. O coś zapytała, zaczął więc szczegółowo wyjaśniać jej zawiłości przepisów koszykówki, a gdy skończył, usłyszał już tylko miarowy oddech. Oczy miała zamknięte.

Wszystko wskazywało na to, że ten film nie stanie się jej ulubionym, pomyślał i zachichotał, logując się na swojej poczcie. Cóż, trudno się było spodziewać, że dwudziestodwuletnia dziewczyna zainteresuje się niuansami koszykarskiego turnieju drużyn szkół średnich z lat pięćdziesiątych.

Kliknął przycisk skrzynki odbiorczej swojego konta, wracając myślami do samobójstwa Jima Marshalla. Ta sprawa nie dawała mu spokoju. Zaraz jednak popatrzył ze zdumieniem na spis najświeższych mejli. Miał nową wiadomość od J.R. Cooka. Wyświetlił ją i pospiesznie przebiegł wzrokiem krótki tekst na ekranie. Do spotkania miało dojść już jutro. A więc zaczynała się wreszcie jego tajna misja. Sięgnął po słuchawkę, żeby powiadomić Quentina.

- Chris?...

Odwrócił się gwałtownie na krześle i wypuścił słuchawkę w dłoń, całkowicie zaskoczony głosem, który rozległ się za jego plecami. Beth stała w otwartych drzwiach pokoju, nawet w półmroku było widać, że jest zapłakana. Łzy spływały jej po policzkach, tuż do rzęs rozmazał się pod oczami. Wstał szybko i podszedł do niej, ukradkiem chowając kartę z szyfrem do kieszeni.

- Co się stało? - zapytał, obejmując ją.

Przytuliła się do niego.

- Właśnie dostałam wiadomość ze szpitala w Baltimore. Moja mama zmarła dziś wieczorem. - Zniosła się od szloch. - A mnie nie było przy niej w ostatnich chwilach...

Christian w obstawie trzech ochroniarzy pojawił się w wyjściu budynku przy Fifth Avenue, w którym mieszkał, ledwie Quentin zdążył ustawić swojego srebrzystego bolidu przy krawężniku. Była dopiero szósta rano i na ulicach nie zdążyły się jeszcze potworzyć korki, toteż bez trudu spostrzegli samochód Stilesa z odległości kilkudziesięciu metrów.

Idąc chodnikiem w kierunku sportowego bmw, Christian próbował wypatrzeć na twarzy przyjaciela grymas złości, ale nic nie zauważył. Nic nie wskazywało na to, by go zirytował czy tylko zaskoczył widok towarzyszącej mu Beth. Christian otworzył jej tylne drzwi dużego auta, podczas gdy Quentin obszedł maskę i ruchem głowy wskazał mu fronton najbliższego budynku. Kiedy dziewczyna wsiadła i Gillette zatrzasnął za nią drzwi, ruszył za Stilesem w stronę wejścia do gmachu.

- Co się dzieje? - zapytał spokojnie Quentin, spojrzawszy na swój wóz. Odgryzł wielki kęs jakiegoś batonika z całymi ziarnami zbóż.

Christian rozłożył szeroko ręce, obserwując, jak ochroniarze pakują jego torby podróżne do bagażnika.

- A coś się dzieje? Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Chris, nie mamy czasu na takie...

- W porządku. - Od czasu do czasu Christian podejmował daremne próby wyprowadzenia Stilesa z równowagi, usiłując skruszyć mur jego śmiertelnej powagi. W ciągu minionych lat udało mu się to zaledwie kilka razy, ale zawsze przy tym doskonale się bawił. A teraz bardzo potrze

bował czegoś, co by go uwolniło od nieznośnego napięcia psychicznego.

- Nie gniewaj się, że nie zadzwoniłem. Jej matka zmarła wczoraj wieczorem. Zamieniła się w kłębek nerwów.

Quentin popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- I co z tego wynika?

W głębi duszy, pod tą nieprzeniknioną powłoką, Quentin był człowiekiem pełnym współczucia. Gillette świetnie wiedział, jak bardzo żał mu Beth, tyle że w pierwszym odruchu zawsze koncentrował się na sprawach najważniejszych.

- Chodzi o to, że nie chciałbym jej teraz zostawiać samej. Nie wiem, jak by to zniosła. A przecież nie ma tu nikogo bliskiego poza mną.

- Chyba nie mówisz poważnie. Zaplanowałem naszą podróż do ostatniego drobiazgu, niemalże co do minuty. Nie ma najmniejszych szans, żebym teraz uwzględnił jeszcze jeden czynnik, który w dodatku stawiasz na pierwszym miejscu. Chyba że wolisz, bym zrezygnował z tych planów i zaczął nagle

improvizować. Bo ja nie podejmuję się tego, jeśli zamierzasz wrócić żywy.

- Mam wrażenie, że odrobinę przesadzasz - odparł Christian, unosząc do twarzy dwa palce rozwarłe na milimetr. - Bo moim zdaniem nie ma się co za bardzo martwić tym etapem podróży. Kiedy będziemy już mieli wyruszyć na Kubę, wtedy obaj zaczniemy się tak samo przejmować.

Zwrócił uwagę, że Quentin spogląda ponad jego ramieniem w głąb Fifth Avenue.

- Mam nadzieję, że zamierzasz ją odstawić tylko do Waszyngtonu. - Stiles odgryzł drugi kęs batonika.

Christian pokręcił głową.

- Chcesz ją zabrać ze sobą na Florydę? Mam to uznać za ostateczną decyzję? - warknął Stilem.

- Tak. - Dopiero teraz, po raz pierwszy od dłuższego czasu, Gillette dostrzegł grymas złości na twarzy przyjaciela.

- Nie dasz się namówić na rezygnację z tego pomysłu?

- Nie.

- Zdajesz sobie sprawę, że nadał prawie nic o niej nie wiemy, poza tym, skąd pochodzi i gdzie chodziła do college'u.

- Ja ją znam - orzekł stanowczo Christian. - Wiem, że to dobra dziewczyna. I wiem też, że przysparzam ci kłopotów. Ale nie chcę już w życiu zawieść nikogo więcej.

- Nikogo więcej?

Gillette zapatrzył się na niedopałek wdeptany w ciasną szparę między płytami chodnika.

- Zgadza się.

- Masz na myśli Jima Marshalla? - Quentin położył Christianowi dłoń na ramieniu. - Nie możesz siebie obwiniać za to, że się zabił. Mój Boże, przecież chciałeś z własnej kieszeni pokryć koszty jego pobytu w zamkniętym ośrodku odwykowym.

- To prawda, ale w końcu zostawiłem go samemu sobie. - Christian aż zazgrzytał zębami. - Byłem zbyt zajęty obmyślaniami sposobów okazania mu swojej niełaski. Dlatego jej nie będę niczego okazywał.

Stiles popatrzył na Beth siedzącą obok jednego z ochroniarzy na tylnym siedzeniu bmw.

- Dla ścisłości, uważam, że to bardzo kiepski pomysł.

- Wiem. - Gillette rozpromienił się szybko. - I wiem też, że pomożesz mi z tego gładko wybrnąć.

Quentin wetknął do ust ostatni kawałek batonika.

- Skoro już o tym mowa, jeśli idąc w stronę samochodu, zerkniesz ostrożnie w głąb Fifth Avenue, zauważysz granatowego sedana stojącego przy krawężniku jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Ten wóz trzymał się za mną od chwili mojego wyjazdu z garażu aż tutaj.

Sherry Demille usiadła przed komputerem w gabinecie Christiana i zaczęła uważnie wpisywać kolejne możliwe

hasła dostępu, których całą listę dostała poprzedniego wieczoru mejlem od dwóch starszych panów z Marylandu wraz z poleceniem ich wypróbowania oraz dokładnym rozejrzeniem się za czymś ważnym w jego biurku i na regale z książkami. Ale żadne z haseł nie otwierało wejścia do systemu, czuła się więc coraz bardziej sfrustrowana. Coś jej podpowiadało, że szykuje się kolejne z długiego ciągu niepowodzeń. Najpierw zdecydowanie za dużo pozwoliła Jimowi Marshallowi w pokoju hotelowym, licząc na to, że owinie go sobie wokół palca. Potem uzmysłowiła sobie, że został wyrzucony z pracy, ponieważ tamtym dwóm z Marylandu przestał już być potrzebny. Nie miała żadnych wątpliwości, że jego skok z balkonu własnego mieszkania nie był aktem samobójczym, i tylko dlatego zgodziła się dziś z samego rana zgodnie z poleceniem włamać do gabinetu Gillette'a, nie chciała bowiem skończyć tak samo. Wciąż miała przed oczyma niekształtną zakrwawioną miazgę leżącą na chodniku. A wczoraj wieczorem w rozmowie telefonicznej obaj zleceńodawcy gadali jeden przez drugiego, najwyraźniej śmiertelnie przerażeni.

- Co ty tu robisz?

Sherry błyskawicznie podniosła wzrok znad klawiatury. W drzwiach stała Allison i mierzyła ją piorunującym wzrokiem.

Sherry wstała powoli z fotela, okrążyła biurko i przeszła przez pokój, ani na chwilę nie spuszczać oczu ze swojej przełożonej, po czym błyskawicznie przemknęła obok niej i wypadła na korytarz.

Quentin powoli wprowadził swoje auto do hali magazynowej na skraju Newark, w stanie New Jersey. Ledwie znaleźli się w środku, wielkie masywne wrota zamknęły się z hukiem. Stiles skręcił na prawo i zatrzymał wóz tuż za bliźniaczym srebrzystym bmw, tyle że z przyciemnionymi szybami.

- Wszyscy wysiadać - rozkazał, gramoląc się zza kierownicy przez uchylone drzwi. Bał się otworzyć szerzej, żeby nie stuknąć nimi o karoserię stojącej tuż obok z lewej strony brązowej furgonetki.

Christian, Beth i ochroniarz wysiedli tylnymi drzwiami.

Nie minął nawet kwadrans, a samochód Quentina nie tylko zyskał nowe tablice rejestracyjne, ale w dodatku jego szyby także zostały oklejone folią przyciemniającą, przez którą nie dało się zobaczyć z zewnątrz, kto jest w środku. Stał się więc bliźniaczo podobny do auta stojącego przed nim.

Allison obrzuciła podejrzliwym wzrokiem szeregi akwariów i klatek pod ścianami, wchodząc energicznym krokiem do gabinetu Victorii Graham. Ucieszyło ją, że przynajmniej wielkiego aligatora nie było za szkłem.

- Co się stało, moja droga? - zapytała zdumiona gospodyni. - Dlaczego tak nagle musiałaś się ze mną zobaczyć?

Allison podeszła do biurka i rzuciła na nie zdjęcia zrobione poprzedniego wieczoru.

- Prosiła pani, żebym panią powiadomiła natychmiast, jeśli wydarzy się coś dziwnego.

Graham przysunęła sobie wydrukowane fotografie.

- Christian w restauracji ze śliczną młodą dziewczyną. - Podniosła wzrok. - I cóż w tym takiego dziwnego?

- Ta dziewczyna mogłaby być jego córką.

Graham odsunęła od siebie zdjęcia.

- Mężczyźni po czterdziestce bardzo często szukają towarzystwa tak młodych dziewcząt. Może to smutne, ale prawdziwe. Robią to nawet tacy mężczyźni jak Christian.

- Pojawiła się nagle i nie wiadomo skąd - wycedziła Allison, siadając na krześle przed biurkiem. - Nie sądzi pani, że to jest właśnie dziwne?

Kobieta uniosła wysoko brwi i uśmiechnęła się zagadkowo.

- Może to i faktycznie dziwne, ale nie z tego powodu, że wydarzyło się akurat teraz.

- To z jakiego?

- Szybko o niej zapomni, moja droga - odparła wymijająco Graham. - Ja ci to obiecuję.

Allison domyśliła się, o co jej chodzi. Graham sądziła, że kieruje nią wyłącznie zazdrość. Ale tak nie było. Naprawdę niepokoiła się o Christiana.

- Nie dalej jak godzinę temu, przyłapałam niejaką Sherry Demille na próbach uzyskania dostępu do komputera Christiana w biurze Everestu. - Zauważyła, że ta wiadomość zrobiła na gospodyni piorunujące wrażenie. Przynajmniej ten jeden raz jej reakcja nie była wyważona i skalkulowana. - Sherry jest asystentką w naszej firmie. Włamała się do jego gabinetu. -

Właściwie nie było to włamanie, skoro Sherry skorzystała z zapasowego klucza leżącego na gzymsie nad drzwiami. Zasadniczą rolę odegrał „błąd nadmiernego zaufania do ludzi”, jak zwykł był mawiać Gillette.

Graham pochyliła się w jej stronę.

- Jak się wytłumaczyła?

- Nie miałam nawet szansy jej o to zapytać. Uciekła. Zbiegłam za nią schodami ewakuacyjnymi do głównego holu, ale straciłam ją z oczu. Wcześniej zadzwoniłam do ochrony w holu i kazałam ją zatrzymać, ale strażnicy mówili później, że nawet jej nie widzieli. Podejrzewam, że wymknęła się na ulicę drzwiami dla obsługi technicznej budynku.

- Udało jej się włamać do komputera?

Allison pokręciła głową. Odniosła wrażenie, że Victoria Graham przyjęła to podejrzenie spokojnie.

- Nie. Sprawdziłam zaraz po tym, jak zawiadomiłam ochronę. Komputer wciąż się domagał wpisania hasła dostępu.

Zwróciła uwagę, że gospodyni nagle jak gdyby lekko się przygarbiła.

- To dobrze.

- Co się dzieje, panno Graham? Myśli pani, że Sherry miała coś wspólnego z tym, czym i my się zajmujemy?

Kobieta w zamyśleniu pokręciła głową.

- Nie wiem. Trudno powiedzieć.

Allison wstała, wyciągnęła z torby kartonową teczkę i położyła ją na brzegu biurka. Były to dokumenty wyciągnięte przez nią z „Sali Umów Niedoszłych do Skutku”, dotyczące towarzystwa ubezpieczeniowego z Ohio, którego Christian nie chciał kupić z funduszy Everestu.

- A czy to ma coś wspólnego z tą sprawą? - zapytała, stukając palcem w teczkę.

Antonio Barrado ledwie zdążył przeskoczyć z pomostu na pokład kutra wielorybniczego, gdy usłyszał, jak któryś z jego ludzi panicznie wzywa pomocy gdzieś z tyłu baraku na prawym skraju obozu. W histerycznych wrzaskach człowieka zabrzmiała nuta, od której zjeżyły mu się włosy na karku i dreszcz przeszedł po plecach. Wdrapał się z powrotem na chwiejną konstrukcję z poczerniałych desek, zwracając uwagę, że pozostali jego ludzie nadbiegają z lewej, przez teren ogołocony z zarośli, na którym złożyli przywiezione przez niego wczoraj drewno. Dzisiaj wybierał się po drugi identyczny transport drewna.

Jako pierwszy dotarł na miejsce wypadku i aż rozdziawił usta ze

zdumienia. Słyszał plotki, że są ludzie, którzy wypuszczają kupione zwierzęta na wolność właśnie tutaj, na Everglades, nie wierzył jednak, aby było w nich dużo prawdy. Szybko jednak wyciągnął z kabury swoje magnum, gdy inni zaczęli dopiero wypadać z zarośli na odkryty teren. Przytknął lufę rewolweru do łba olbrzymiego węża, żeby nie zranić człowieka, i pociągnął za spust. Kula oderwała łeb od reszty ciała owiniętego ciasnymi zwojami

wokół mężczyzny, przy którym pozostała jedynie dolna szczeka gada z dziesiątkami wygiętych ku tyłowi i ostrych jak brzytwa zębów wbitych głęboko w udo człowieka.

Ale zamiast zwiotczeć i osunąć się na ziemię, ciało węża jeszcze silniej zacisnęło się na ofierze, po czym zaczęło silnie dygotać. Minęło kilka minut, nim wspólnymi siłami zdołali uwolnić mężczyznę ze śmierniczych splotów wielkiego gada. Dopiero gdy odzyskał swobodę ruchów, zmierzili ciało pytona. Miało sześć metrów i siedemdziesiąt centymetrów, bez łba.

Barrado zapatrzył się na cyfry wybite na taśmie mierniczej, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dzięki Bogu, że ta część operacji dobiega już końca, pomyślał.

Brązowa furgonetka wyjechała na pas startowy niewielkiego sportowego lotniska w New Jersey, kierując się ku czekającemu nań gulfstreamowi. Zahamowała gwałtownie i zatrzymała się przed opuszczonymi schodkami maszyny. Christian, Quentin, Beth oraz trzech ochroniarzy z firmy Stilesa wbiegli na pokład odrzutowca. Mieli stąd lecieć bezpośrednio do Naples na Florydzie leżącego dokładnie na drugim końcu stanu w stosunku do Miami, o dwie godziny drogi od Nowego Jorku.

Victoria Graham zapatrzyła się na zdjęcia zrobione przez Allison. Aż nie mogła uwierzyć, że jej podopieczna robi dokładnie to, co jej się powie. To, że zwracała baczność na rzeczy niezwykle nie było niczym niezwykłym. Wręcz przemawiało na jej korzyść. Nie chodziło nawet o te zdjęcia, lecz o informację o poczynaniach Sherry Demille. Rozpoczęły się już oficjalne poszukiwania niedosłej włamywaczki, zdawała sobie jednak sprawę, że będą bardzo trudne. Nie dało się wykluczyć, że Sherry już była martwa. A jeśli nie, to w panice uciekała przed niechybną śmiercią.

Graham usadowiła się wygodnie w fotelu za biurkiem i zamknęła oczy. Christian powinien być już w drodze do Miami. Jeśli nawet chciał zorganizować spotkanie gdzie indziej, powinna się o tym wkrótce dowiedzieć. To był jedyny powód, dla którego Beth Garrison, czyli Melissa

Hart, towarzyszyła mu w tej podróży.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 18

- Christianie, nie pozwól jej dzisiaj jechać z nami, proszę.

Mijali właśnie Tampę, kierując się do Naples. Do lądowania pozostało tylko dwadzieścia minut, toteż Beth poszła do łazienki na tyłach samolotu, żeby się odświeżyć. Quentin postanowił więc wykorzystać nadarżającą się okazję, gdyż nie mógł porozmawiać z Christianem na osobności od chwili startu z New Jersey. Ledwie zaczęli kołować na początek pasa startowego, gdy Beth zwinęła się w kłębek na sofie obok Gillette'a, z głową na jego kolanach, i nie ruszyła się z miejsca przez dwie i pół godziny. Christian także nie był w stanie niczym się zająć, przez całą drogę tylko głaskał ją po głowie i pocieszał półgłosem. Quentin nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek dotąd widział, żeby jego mocodawca wytrzymał tak długo bez przeglądania dokumentów, bez odpalania laptopa czy choćby zajęcia się swoimi ulubionymi krzyżówkami. Wprost nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Rozmyślał więc, że może Christian naprawdę zadurzył się w tej smarkuli, tylko on sam nie potrafił dotąd tego zrozumieć. Może to zwykła zazdrość przesłaniała mu trzeźwe spojrzenie na te sprawy, a może nie podobało mu się tylko roztargnienie szefa, które musiało się odbić na sprawach Everestu. Był świadomy, że zazdrość to zły doradca, a jego troska o przyszłość firmy jest co najmniej naciągana. Christian przez lata po prostu nie miał czasu, żeby nawiązać bliższą znajomość z kobietą, a Quentin doskonale wiedział, że jego szef pod żadnym pozorem nie dopuści, by cokol-

wiek wpłynęło na zakres jego odpowiedzialności wobec inwestorów Everestu. Niemniej teraz mieli bardzo ważną sprawę do załatwienia, toteż Quentin świetnie wiedział, że ma rację, niepokojąc się o bezpieczeństwo Christiana.

- Pilot to mój stary znajomy - dodał. - Wysadzi nas, zatankuje maszynę i zabierze Beth, dokądkolwiek sobie zażyczy. Już z nim rozmawiałem w tej sprawie.

- Nie zgodzę się na to - odparł stanowczo Christian. - Miałaś okazję jej się przyjrzeć w trakcie lotu. Jest załamana. Płakała cały czas od wejścia na pokład, a właściwie od wczorajszego wieczoru, kiedy odebrała telefoniczną wiadomość. Od tamtej pory płacze bez przerwy.

- Ale ja muszę mieć możliwość chronienia ciebie - odparł delikatnie Stiles. - Jej obecność bardzo utrudnia mi zadanie.

- Naprawdę nie mogę jej zawieść, przyjacielu. Nie mogę się teraz odwrócić do niej plecami i odesłać do domu. Zresztą czy naprawdę podejrzewasz, że mogłaby dla kogoś pracować?

Samolot zaczął wyraźnie schodzić ku ziemi. Byli już blisko, nie zostało im zbyt wiele czasu.

- W takiej sytuacji wszystko jest możliwe - odparł Quentin, zaczerpnąwszy głęboko powietrza, żeby łatwiej ukryć podenerwowanie. - A co powiesz na to, żebym odesłał ją pod ochroną jednego z moich ludzi? Mógłbyś jej obiecać, że się spotkacie, jak tylko zakończysz tę misję, to znaczy zapewne jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Albo równie dobrze za tydzień - odrzekł z naciskiem Christian. - Nie mogę jej tego zrobić. Ile razy mam ci to powtarzać?

- Jej obecność źle wróży, Chris.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Intuicja mi to podpowiada.

- Bzdury.

- Dlaczego aż tak bardzo jej bronisz?

- A dlaczego ty aż tak bardzo jej nie lubisz?

- Mylisz się - mruknął Quentin. Ja jej nie cierpię, pomyślał, zerkając na drzwi w tylnej części kabiny. Ochroniarz z jego firmy siedzący w połowie drogi do toalety z dziwną miną zerkał w tym kierunku znad krawędzi czasopisma. Gdy ich spojrzenia się zetknęły, ochroniarz pospiesznie spuścił wzrok, udając powrót do przerwanej lektury. Ich sprzeczka robiła złe wrażenie na ludziach. Quentin nie mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy po raz ostatni dzielili ich tak wyraźna różnica zdań. Chyba jeszcze nigdy aż tak się nie pokłócili. - Chodzi tylko o to, że...

- Zrozum, wcale nie twierdzę, że ona musi być obecna przy naszym spotkaniu - przerwał mu Christian. - Zostanie w pokoju hotelowym na czas

rozmów.

Kątem oka Stiles zauważył Beth wychodzącą z toalety.

- Moi zaufani ludzie wciąż poszukują informacji. O niej. Jeśli trafią na coś podejrzanego...

- Wtedy natychmiast ją odeślę. Obiecuję. Natychmiast. Ale ci sami zaufani ludzie pracują już od jakiegoś czasu i jak dotąd niczego jakoś nie znaleźli - przypomniał mu Gillette.

- To prawda - przyznał Quentin posępnym głosem. - Czy zgodzisz się chociaż na to, żebym odebrał jej telefon komórkowy na czas pobytu na Florydzie?

Christian uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, chociaż nie sądzę, aby to...

- W porządku - rzucił szybko Stiles, gdy Beth weszła między nich i zajęła z powrotem swoje miejsce na sofie obok Christiana. - Muszę jednak mieć poczucie, że przynajmniej się starałem.

Na południowym krańcu Florydy autostrada między- stanowa I-75 prowadzi wprost ku słońcu albo też od niego, zależnie od pory dnia. To jedno z niewielu miejsc w Stanach Zjednoczonych, gdzie autostrada o numerze nieparzystym biegnie na dłuższym odcinku ze wschodu

na zachód. Łączy Naples leżące na Zachodnim Wybrzeżu z Fort Lauderdale na Wschodnim. Na odcinku stu trzydziestu kilometrów biegnie głównie przez odludne tereny, północną część Everglades oraz park narodowy Big Cypress National Preserve. Na całym tym odcinku są tylko dwa miejsca, gdzie można zjechać za wysokie ogrodzenie z drucianej siatki, uniemożliwiającej dzikim mieszkańcom bagnisk wtargnięcie na autostradę. Nawet jadąc z prędkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę, maksymalną dozwoloną na tym obszarze, bez trudu można dostrzec aligatory wygrzewające się na słońcu o świcie i zmierzchu w płytkich kanałach po obu stronach szosy. Zapewne z tego powodu odcinek ten nazywaną jest „Aleją Aligatorów”.

Antonio Barrado zatrzymał się na wiadukcie szosy stanowej numer 29, jedynym wiadukcie nad autostradą na odcinku tychże stu trzydziestu kilometrów. Jak okiem sięgnąć, dookoła nie było niczego poza tymi krzyżującymi się szosami, pojedynczymi autami, cyprysami oraz bagnami. A na bagnach niczego poza aligatorami, węzami, panterami, sarnami i dzikami. Było to jedno z tych miejsc, z których człowiek miał ochotę się jak najszybciej oddalić. Tego ranka przyjechał szosą SR29 z południa, z Ever-

glades City, ostatniego przyczółka cywilizacji przed ciągnącymi się dalej na południe dzikimi bagnami Everglades oraz łańcuchem wysp Florida Keys, gdzie znajdował się jego obóz. Mógł stamtąd jeszcze wybrać drogę stanową SR41 do Miami, a więc biegnącą równoległe do autostrady, tylko jakieś czterdzieści kilometrów dalej na południe, a więc bliżej obozu, ale ostatniej jesieni huragan William dokonał na niej dużych spustoszeń i wiele jej odcinków wciąż było zamkniętych dla ruchu.

Barrado zatrzymał wóz na wiadukcie, ponieważ tutaj miał najlepszy zasięg sieci komórkowej, widział nawet w oddali na wschodzie czubek wieży przekaźnikowej. Był już gotów do działania, do wyruszenia do Miami w celu wypełnienia misji, chciał jednak uzyskać ostatecznie potwierdzenie co do miejsca spotkania. Już przed kilkoma dniami jego informator zaczął podawać w wątpliwość te informacje, co nad wyraz go wkurzyło. Oprócz niego w wozie terenowych siedziało dwóch jego ludzi, tak samo gotowych do natychmiastowego wykonania zadań. W obozie został tylko człowiek zaatakowany przez pytona, który miał jęczącą się ranę na udzie. Otrzymał zadanie natychmiastowej likwidacji każdego, kto by się zbliżył do obozu. Poza tym wszystko przebiegało zgodnie z planem, ludzie aż rwali się do działania.

Tyle że w ostatniej chwili wyłonił się potencjalny problem.

Kiedy zadzwonił jego aparat komórkowy, Barrado odebrał już po pierwszym sygnale.

- Słucham - warknął ze złością. - Co?... Jak mam rozumieć, że nadal nie jesteś pewien? Więc co mam robić? - zapytał ostro, spoglądając na zwartą masę burzowych chmur gromadzących się wysoko na wschodnim niebie, za wieżą przekaźnikową sieci telefonicznej. Dokładnie stamtąd ze zdumiewającą regularnością nadciągały codzienne letnie burze. - Tak, dobrze. - Miał się ukryć i czekać. Nie znosił tego. - Łajdaki - syknął, po czym wyłączył telefon i cisnął nim na deskę rozdzielczą, a następnie uruchomił klimatyzator samochodu.

- Co się stało, szefie? - zapytał człowiek siedzący na prawy przednim fotelu, spostrzegłszy złość i obrzydzenie, z jakim Barrado rzucił aparat w zagłębienie deski rozdzielczej.

- Nic takiego - odparł przez zaciśnięte zęby. - Takie nic, jak jasna cholera!

- Dokąd się wybierasz?

Beth przystanęła i obejrzała się na Quentina. Znajdowali się w hali

przyłotów lotniska w Naples tuż za bramkami kontroli.

- Do łazienki. Masz coś przeciwko temu? Lecieliśmy dosyć długo.

- Przecież niedawno byłaś w toalecie - rzekł, zerkając przez ramię na Christiana oddalającego się także do toalety. - W samolocie, tuż przed lądowaniem...

- Powinam zawczasu przygotować harmonogram wizyt w toalecie? Są jakieś szczególne godziny...

- W porządku, możesz iść. Tylko oddaj mi swój telefon komórkowy.

- Żartujesz?

- Ani trochę.

Podeszła bliżej i zatrzymała się tuż przed nim.

- Masz do mnie jakieś zastrzeżenia?

- Nie. To zwykłe środki ostrożności.

Beth sięgnęła do torebki i wyjęła mały aparat.

- Proszę - syknęła ze złością, wkładając mu go w dłoń. - Weź go sobie. Czy teraz mogę już iść do łazienki, tatusiu?

Była bardzo daleka od płaczu. Jak tylko Christian się oddalił, łzy natychmiast wyschły na jej policzkach.

- Aha. - Stiles miał straszną ochotę dokładnie przeszukać jej torebkę, wiedział jednak, że byłoby to niemal równoznaczne z rozpętaniem trzeciej wojny światowej. Christian stanowczo zabronił mu takich działań. Poza tym dziewczyna mogła skorzystać z automatu, jeśli rzeczywiście pragnęła się z kimś skontaktować. - Tylko się pośpiesz - rzucił za nią głośniej. - Nie będziemy na ciebie czekać.

Po wyjściu z hali międzynarodowego lotniska w Miami Padilla wsiadł do taksówki, pomarańczowego minivana z dużym napisem na boku: LOTNISKOWE USŁUGI TRANSPORTOWE RICKA. Poniżej znajdował się miejscowy numer telefonu, a taksówka była oznaczona numerem bocznym 3742.

Dostał ten numer na kartce od Delgado podczas bardzo późnego spotkania poprzedniego wieczora, już drugiego

od chwili śmiertelnego samochodowego wypadku Alanzo Gomeza, który z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę roztrzaskał swojego studebakera na betonowym murze ogrodzenia u podnóża zbocza. Podczas pierwszego wieczornego spotkania generał ani jednym słowem nie wspomniał o sfigowanym wypadku. Jak zwykle mówił o wszystkim z godnym podziwu spokojem.

Nowiny zasmuciły Padillę, który niemalże z szokiem przyjął informację, że to Gomez chciał ich zdradzić, a nie podejrzany prawnik. Delgado zapewnił go jednak, że zyskali niezbite dowody planowanej na następny ranek rozmowy Gomeza z jego bezpośrednim przełożonym. W dzienniku zawierającym wszelkie szczegóły każdego spotkania Sekretnej Szóstki znajdował się także wpis dotyczący zamierzeń wiceprezesa banku, to znaczy szczerej rozmowy z prezesem.

- Dokąd? - zapytał taksówkarz.

- Hotel Renaissance. Czwarte piętro. - Ten szyfr także przekazał mu Delgado. W końcu nie było potrzeby informować kierowcy, na którym piętrze ma zarezerwowany pokój w hotelu.

- Może pan na mnie liczyć - odparł taksówkarz, włączając się do ruchu na zatłoczonej ulicy przed halą lotniska. - Dobrze pan trafił.

Dokładnie to miał powiedzieć według ustaleń.

Gdy tylko wyjechali spod lotniska na autostradę I-95, kierowca zajął miejsce na prawym pasie za wielkim ciężarowym ciągnikiem, drugi taki sam znalazł się na pasie środkowym, uniemożliwiając postronnym obserwatorom zajrzenie do wnętrza taksówki.

- Teraz - rzucił głośno szofer.

Padilla natychmiast się pochylił i wyciągnął płasko na podłodze auta, podczas gdy na jego miejsce na tylnej kanapie auta prześlizgnął się inny człowiek, precyzyjnie się z prawego przedniego siedzenia minivana. Doktor przekręcił się na bok, popatrzył w górę i aż rozdziawił usta

ze zdumienia. Mężczyzna, który zajął jego dotychczasowe miejsce, był do niego podobny jak dwie krople wody. Można było odnieść wrażenie, że organizatorzy spotkania odnaleźli jego zaginionego przed laty brata bliźniaka.

W toalecie Beth szybkim krokiem skierowała się do kabiny, zamknęła za sobą drzwi i pchnęła zasuwkę. Ta nie chciała wejść w otwór we framudze, toteż musiała raz i drugi szarpnąć drzwiami, wkładając w to całą siłę. Kiedy wreszcie się udało, aż głośno westchnęła z ulgą. Serce waliło jej jak młotem, kołnierzyk bluzki był wilgotny od potu i nieprzyjemnie lepiał się do skóry w zimnym klimatyzowanym powietrzu. Była niemal pewna, że gdyby Quentin przeszukał jej torebkę, natychmiast znalazłby dowody zdrady.

Usiadła na klozecie, ustawiła torebkę na kolanach i wyciągnęła niewielkie cylindryczne urządzenie przypominające szminkę, tyle że mniejsze, średnicy dziewięćmilimetrowego naboju rewolwerowego. Był to transponder,

który po włączeniu powinien naprowadzić ludzi na jej pozycję. Od początku podejrzewano, że Stiles może jej zabrać telefon komórkowy, zresztą i tak nie powinna z niego korzystać, gdyż później łatwo byłoby zidentyfikować rozmówcę na podstawie numeru odbiorcy wydrukowanego na listingu. W ogóle nikt nie powinien wiedzieć, że dokądkolwiek dzwoniła zaraz po wylądowaniu.

Uniosła transponder do oczu, ściągnęła pokrywkę i przestawiła niebieski przełącznik w drugie położenie, jak jej kazano. Teraz mininadajnik powinien zacząć wysyłać silny sygnał radiowy pozwalający szybko określić jego pozycję zaraz po namierzeniu. Musiała tylko bez przerwy mieć ów transponder przy sobie.

Jeszcze raz ciężko westchnęła, zakryła z powrotem metalowy cylinder i schowała urządzenie do torebki. Klamka zapadła, przemknęło jej przez myśl.

Dorsey cisnął słuchawkę na widełki. Dwaj starsi mężczyźni przez kilka minut krzyczeli na niego jeden przez drugiego, pomstując na ciągły brak dokładnych informacji. Był jednym z najstarszych senatorów w Waszyngtonie i po prostu nie przywykł, żeby ktoś tak na niego pokrzykiwał. Tamci jednak przecierali mu drogę do najwyższego stanowiska w państwie, toteż musiał wobec nich trzymać swój temperament na wodzy.

Victoria wciąż nie dzwoniła, chociaż prosił o to zarówno wczoraj wieczorem, jak i dzisiaj rano, zupełnie jakby go ignorowała. Tymczasem ludzie z Marylandu byli pewni, że Christian Gillette rozpoczął swoją misję. Z samego rana śledzili go do Newark w New Jersey, tam jednak stracili ślad. Opisałi mu ze szczegółami dwa identyczne srebrne samochody, które po dwudziestu minutach wyjechały z tej samej hali, w której zniknął Gillette. Oba pojawiły się równocześnie w dwóch przeciwległych bramach. Byli przygotowani na taki manewr i zawczasu wysłali helikopter, mogli więc śledzić oba pojazdy naraz, gdyż za jednym z nich ruszył wóz z ekipą przybyłą z Waszyngtonu. Ale po kilku godzinach stało się jasne, iż Gillette'a nie ma w żadnych z tych aut. Śledzona grupa wymknęła się obserwatorom.

Najbardziej niepokoiło ich to, że według wszelkich znaków na niebie i ziemi Quentin Stiles coś podejrzewał. Bo z jakiego innego powodu miałyby przedsięwziąć tak daleko posunięte środki ostrożności? Czemu zmieniałyby samochody w tamtym garażu? A skoro coś podejrzewał, musiał mieć ku temu solidne podstawy. To zaś oznaczało potwierdzenie ich obaw. Jeszcze ktoś inny obserwował Gillette'a.

Dorsey znowu podniósł słuchawkę i po raz kolejny wybrał numer

Victorii. Zasłuchał się w sygnał wywołania, dopóki nie usłyszał komunikatu powitalnego poczty głosowej.

Sanchez popędził Aleją Aligatorów z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę w kierunku Naples. Przed godziną odebrali sygnał radiowy z transpondera, toteż musiał błyskawicznie ruszyć w tamtą stronę, żeby przejąć obserwację obiektu.

Nadal nie mógł się powstrzymać od śmiechu na wspomnienie tego, jak kobieta udzielająca mu szczegółowych instrukcji w Miami tłumaczyła, że nikt więcej nie może zginąć w czasie tej akcji. Teraz aż zaśmiał się w głos. Była taka naiwna. Jeśli się nie mylił, pracowała na jakimś eksponowanym stanowisku w świecie finansjery, stąd też mało wiedziała o brutalnej codzienności. Na pewno nie należała do tej samej ligi, co on. Nawet nie wzięłby tego zlecenia, gdyby od samego początku zdawał sobie sprawę ze wszystkich obostrzeń i ograniczeń. Teraz jednak miał powody do radości, gdyż znalazł najlepszy sposób załatwienia sprawy. Kobieta miała mu zapłacić milion dolarów, a więc sumę nie do pogardzenia. Ale przecież nie obiecywał jej, że na pewno nikt nie zginie. Nie obiecywał też, że ograniczy się do tego miliona.

Wyhamował gwałtownie do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, gdy wykrywacz fal radarowych zaczął alarmująco popiskiwać. Nie chciał zostać zatrzymany przez patrol florydzkiej drogówki, zwłaszcza że w bagażniku wciąż miał zwłoki Mari. Producentowi filmowemu z pewnością bardzo by się spodobała, pomyślał, bo była bardzo ładna, znacznie ładniejsza od tamtej dziewczyny, którą mu wcześniej podesłał, a do tego odznaczała się niezwykle łagodnym charakterem. Naprawdę miała szansę na zrobienie kariery w filmie lub telewizji. On jednak nie mógł ryzykować i pozwolić jej dłużej żyć. Za dużo o nim wiedziała. Dlatego zabił ją z samego rana. Ciało postanowił się pozbyć później, w drodze powrotnej do Miami.

Uprzejmie skinął głową, dostrzegłszy nadjeżdżający z naprzeciwka wóz patrolowy, i choć siedzący w środku gliniarze pewnie go nawet nie zauważyli, uznał, że należy

oddać cześć przeciwnikowi, zanim stanie się z nim do walki. Niespełna dwa kilometry dalej znów rozpędził samochód do stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Wychodzę - oznajmi! Christian, podchodząc do Beth, żeby ją uściskać. - Na pewno dasz sobie radę?

Pociągnęła nosem.

- Oczywiście... - wymamrotała, wtulając mu twarz w pierś.

Boże, jakie to musi być dla niej straszne, pomyślał. Nadal nie mogła się otrząsnąć po śmierci matki. I nie wierzył, że zdoła się otrząsnąć do czasu skromnego pogrzebu, jaki został zaplanowany na przyszły tydzień. Postanowił odwołać wszelkie spotkania do tego czasu, żeby skoncentrować się na niesieniu jej pociechy.

- To nie potrwa długo. Jeśli mam ufać Quentinowi, najdalej za kilka godzin powinienem być z powrotem. Najlepiej idź na basen i wystaw się na słońce, spróbuj się trochę rozluźnić. - Zatrzymali się w hotelu Ritz Carlton położonym tuż przy plaży zaledwie kilka kilometrów na północ od Fifth Avenue South, głównej arterii Naples. Zamieszkali w oddzielnych pokojach, chociaż z samego rana dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli zamieszkają razem. On jednak uprzejmie odmówił. Dostała pokój na tym samym piętrze w głębi korytarza. - Dzień jest taki piękny - rzekł, ruchem ręki wskazując okno. - Jeśli zapomniałaś o stroju kąpielowym, możesz sobie kupić nowy w sklepiku w holu. Poproś o wystawienie rachunku na numer mojego pokoju.

- Dzięki - mruknęła, odsuwając się od niego, i otarła łzę z powieki.

Cmoknął ją po ojcowsku w czoło.

- Zobaczymy się niedługo.

- Zaraz, zaczekaj - rzuciła pośpiesznie i podbiegła do miejsca w przedsiionku, gdzie boy hotelowy zostawił jego

bagaż. - Mam coś dla ciebie - powiedziała, unosząc na wysokość oczu białą kopertę. - Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie robisz. - Odwróciła się do niego tyłem, zasłaniając na pewien czas walizki. - Włożyła kopertę do jednej z kieszeni stojącej na wierzchu torby podróźnej, równocześnie do drugiej wrzucając transponder. - Tylko otwórz tę kopertę na osobności - przykazała, zasuważąc obie kieszenie równocześnie. Dźwignęła walizkę i odwróciła się do niego.

- Czemu?

Uśmiechnęła się wstydliwie.

- Bo jest tam moje zdjęcie, które powinieneś zobaczyć w odosobnieniu. - Uśmiechnęła się szerzej. - Mam nadzieję, że wiesz, o co mi chodzi.

Christian wstał, kiedy tamten mężczyzna wkroczył do pokoju. Był dość niski, miał najwyżej sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, i ważył nie więcej niż siedemdziesiąt kilogramów. Nosił małe koliste okulary w drucianej oprawie, a do tego miał drobniutkie wąsy, kręcone czarne włosy i

odznaczał się bystrym, przenikliwym spojrzeniem. Christian od pierwszej chwili zwrócił uwagę na charakterystyczne zacieranie dłoni przez Kubańczyka, zupełnie jakby je mył nad zlewem. Przyszło mu do głowy, że chirurdzy tak często muszą myć ręce przed zabiegami, że pewne ruchy po prostu wchodzą im w krew.

- Doktor Padilla?

Tamten uśmiechnął się i wyciągnął rękę na powitanie.

- Tak - odparł, ciekawie zaglądając Christianowi w oczy. - Pan Christian Gillette, prawda? Bo jeśli nie, to pewnie znalazłem się w poważnych tarapatach.

- Owszem, nazywam się Christian Gillette - odparł ze śmiechem. Wskazał Kubańczykowi krzesło stojące obok tego, w którym sam wcześniej siedział. - Proszę się rozgościć. Ma pan ochotę się czegoś napić, doktorze?

- Nie, dziękuję. - Gość postukał palcem w swój zegarek. - Zgodnie z planem podróży powinienem o piątej zasiąść na widowni sali operacyjnej w Miami. Chodzi o nową metodę zabiegów na otwartym sercu, której nie stosujemy jeszcze na Kubie. Musimy zatem się streszczać, żeby się nie spóźnił na pokaz. Bo przecież... obaj nie chcielibyśmy, żeby obserwujący mnie agenci nabrali jakichś podejrzeń.

Padilla dosyć płynnie mówił po angielsku, z wyraźnym latynoskim akcentem, lecz z pewnością o wiele mniej chropowato niż Christian po hiszpańsku.

- Podróż przebiegła bez zakłóceń?

Chirurg zachichotał.

- Oczywiście. Wziąwszy pod uwagę sobowtóra, którego mi zapewniliście... Wygląda nawet lepiej ode mnie. Gdyby moja matka jeszcze żyła, nie potrafiłaby nas pewnie odróżnić. Miał takie same blizny i brodawki jak ja. Do tej pory nie mogę wyjść z podziwu.

Christian skinął głową Quentinowi stojącemu w rogu pokoju. Wszelkie pochwały należały się jemu. To on wyszukał sobowtóra tylko na podstawie rozmazanego i ziarnistego zdjęcia, jakie znalazło się w dokumentach przekazanych im przez Kelly'ego w Camp David.

- Bardzo się cieszę - odparł, mając wrażenie, że z chirurgiem łączy go wieloletnia przyjaźń. Ale też prześlęczał sporo czasu nad papierami dotyczącymi Sekretnej Szóstki, jakie dostał od Deksa Kelly'ego. - Muszę przyznać, że jestem pod wielkim wrażeniem waszych osiągnięć. Zorganizowanie takiej grupy wymagało wiele odwagi. Prezydent Wood gorąco

w was wierzy. Z niecierpliwością oczekuję spotkania z resztą grupy.

- Dziękuję za uznanie.

Christian odniósł wrażenie, że przez twarz jego rozmówcy przemknął wyraźny cień, który jednak szybko zniknął.

- No cóż, mam mnóstwo pytań, przejdźmy więc od razu do rzeczy, aby nie spóźnił się pan na pokazowy zabieg.

- Bardzo proszę - odparł Padilla, rozkładając szeroko ręce. - Z chęcią odpowiem na każde pytanie.

Przez następną godzinę Christian wcielał się w rolę prowadzącego teleturniej. Czasami przeżywał drobne frustracje, gdy Padilla nie był w stanie wyjaśnić czegoś dostatecznie szczegółowo, zwłaszcza w zakresie tajników działania poszczególnych kubańskich ministerstw czy też reguł rządzących czarnym rynkiem, chociaż pozostali członkowie Sekretnej Szóstki zdawali się to doskonale rozumieć. Niemniej czegoś takiego się właśnie spodziewał. W końcu jego rozmówca był tylko chirurgiem, człowiekiem ratującym życie pacjentom trafiającym na jego oddział. Nie był specjalistą od gospodarki wolnorynkowej, bilansowania popytu i podaży czy też wysokości rezerw walutowych.

Pod koniec owej godzinnej przepytówki Christian pochylił się, poklepał Padillę po kolanie i rzekł:

- Bardzo dziękuję, przyjacielu. To była nadzwyczaj owocna rozmowa. - Najważniejszą rzeczą, jakiej dowiedział się w ciągu owej godziny, było to, że jest w stanie całkowicie i bez zastrzeżeń zaufać doktorowi. Wiedział, że nigdy nie zdobędzie stuprocentowej pewności, lecz Padilla robił na nim wrażenie człowieka bezgranicznie oddanego idei wprowadzenia demokracji na Kubie, co oznaczało zarazem konieczność przewrotu w celu wyzwolenia wyspy spod władzy komunistycznego reżimu. To fakt, że był - czemu zresztą trudno się dziwić - zdenerwowany, może nawet przestraszony, a czasami wręcz przerażony, ilekroć uświadamiał sobie, że nie może dostarczyć Christianowi żądanych informacji. Niemniej Dex Kelly był absolutnie pewien tego człowieka i po godzinnej rozmowie Gillette doskonale rozumiał dlaczego.

- Pomożemy wam - zapewnił swojego gościa. Pozostał jeszcze jeden newralgiczny element planu, to znaczy jego sekretna wyprawa na Kubę w celu poznania reszty członków Sekretnej Szóstki oraz generała. Christian był jednak

pewien, że wszystko pójdzie po ich myśli i będzie mógł polecić tych ludzi

prezydentowi Woodowi jako godnych zaufania. - Z niecierpliwością czekam na spotkanie ze wszystkimi pańskimi towarzyszami.

Padilla uśmiechnął się szeroko, odsłaniając równe lśniące białe zęby.

- Dziękuję, panie Gillette - odparł z wdzięcznością, sięgając do kieszeni marynarki. - Proszę to wziąć. - Podał Christianowi blaszkę z wybitym numerem identyfikacyjnym zabitej krowy, którą dostał od Delgado. - Proszę to zabrać ze sobą na Kubę. Kiedy przekaże pan to generałowi na początku spotkania, będzie to znak, że wszystko jest w porządku. Musi pan oddać ten znaczek generałowi. On jest bardzo podejrzliwy.

Do spotkania z Padillą doszło w klubie golfowym przy hotelu Naples Beach. Podobnie jak w Ritzu, tamtejszy klub jest położony tuż nad oceanem, ale znacznie bliżej miasta. W skład kompleksu wchodzi hotel stojący przy samej plaży, stary, drewniany, mający zaledwie dwa piętra, duży basen kąpielowy oraz bar przy piaszczystej białej plaży omywanej ciepłymi falami Zatoki Meksykańskiej. Po sąsiedzku, po wschodniej stronie ulicy, znajduje się drugi podobny hotel, także z polem golfowym oraz kilkoma kortami tenisowymi.

Christian i Quentin ruszyli w dół po zewnętrznych schodach hotelu przy plaży. Jeden ochroniarz z firmy Sti-lesa szedł przodem, dwóch pozostałych z tyłu. Kiedy znaleźli się na patio, mając po lewej basen kąpielowy i bar, przed nimi rozpostarł się rozległy wypielegnowany ogród, w którym zarząd klubu golfowego organizował przyjęcia i wesela. Otaczające ten teren strzeliste palmy chwiały się lekko w delikatnej bryzie, zapewniając miły cień w alejce biegnącej skrajem ogrodu.

Christian zadarł głowę, popatrzył na błękitne niebo wi

doczne między liśćmi palm i zaczerpnął głęboko rześkiego nadmorskiego powietrza.

- Bardzo tu ładnie, Quentinie - rzekł i spojrzał na przyjaciela, który odsłuchiwał wiadomości nagrane na swojej poczcie głosowej. - Powinniśmy przenieść tu nasze biuro - zażartował. - Co o tym sądzisz?

Stiles szybko uciszył go, unosząc w górę dłoń.

- Chwilę... - Przystanął i lewą ręką zasłonił sobie drugie ucho, żeby lepiej słyszeć.

Christian także się zatrzymał, patrząc w napięciu na przyjaciela. Zaniepokoiła go śmiertelnie poważna mina tamtego. Po chwili Quentin opuścił telefon i schował go do kieszeni.

- Pamiętasz tamten dzień, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy Beth w

Marylandzie?

- Oczywiście. Co się stało?
- Powiedziałeś, że wtedy nad rzeką pojawił się policyjny śmigłowiec.
- Zgadza się. Przeleciał tuż nad nami. Ten facet, który nas ścigał i już trzymał nas na muszce, nagle przestraszył się śmiertelnie, zawrócił i zniknął w leśnym gąszczu.

- Zadzwoiłeś wtedy na policję, kiedy jeszcze biegliście przez las w stronę rzeki, prawda?

- Tak. Ty zresztą też dzwoniłeś na policję z parkingu.

I co z tego?

Quentin poklepał się po kieszeni, do której przed chwilą schował telefon komórkowy.

- Dostałem wiadomość od starego kumpla z Secret Service. Jego znajomy służy w policji stanowej Marylandu, na komendzie we Frederick. To miasteczko położone najbliżej miejsca tamtych wydarzeń. Otóż ten gliniarz na moją prośbę zajrzał do raportów i odkrył, że śmigłowiec wystartował wcale nie z powodu twojego czy mojego zawiadomienia. W tej samej sprawie dzwonił jeszcze ktoś inny, kilka minut wcześniej.

Christian z trudem przełknął ślinę.

- Kto taki?

- Tego nie udało się ustalić. Rozmówca przedstawił się fałszywym nazwiskiem i dzwonił z aparatu z zastrzeżonym numerem. - Stiles zawahał się na chwilę. - To jeszcze nie wszystko.

Gillette'a opadły złe przeczucia. Zrobiło mu się głupio, że nie chciał słuchać dobrych rad przyjaciela.

- Aż boję się zapytać, co takiego.

- Mój znajomy zapytał też kolegę z Marylandu, czy tamtego dnia zważyło się na drogę jakieś drzewo w okolicach Grayson's Market. Pamiętasz? Zawróciliśmy do sklepu, żeby się czegoś napić, gdyż policjant poinformował nas wtedy, że usuwanie zwałonego drzewa blokującego drogę potrwa kilka minut.

- Tak, pamiętam.

- Otóż w raportach nie ma o tym żadnej wzmianki, a przecież właśnie policja zostałaby powiadomiona jako pierwsza, gdyby rzeczywiście zwałone drzewo zablokowało drogę, prawda? To ona zajęłaby się ściąganiem służb technicznych i koordynowaniem akcji. W raportach musiałby zostać

wymieniony oficer tamtejszej komendy, który zabezpieczał miejsce zdarzenia i zawracał kierowców.

Christian popatrzył na niego spod przymrużonych powiek.

- I co z tego wynika? - zapytał, chociaż odpowiedź nasuwała się sama.

Quentin zerknął na boki, po czym złapał Gillette'a pod ramię i pociągnął w kierunku parkingu po drugiej stronie ulicy, sąsiadującego z drugim hotelem.

- To oznacza, że Beth Garrison została podstawiona - wyjaśnił głośno, ruszając truchtem. - Zakładając, że faktycznie tak się nazywa. Oznacza to również, że cała ta heca pod sklepem została zaaranżowana tylko po to, abyś ją poznał w sytuacji, która wryje ci się głęboko w pamięć, w stresujących okolicznościach służących waszemu zbliżeniu. To dość stereotypowy schemat działania. - Nagle

strzelił palcami w powietrzu i zatrzymał się gwałtownie, szarpnąwszy Christiana za rękę. - Czy Beth dała ci coś dzisiaj rano przed naszym wyjazdem z Ritza?

Gillette się zawahał.

- Tak, kopertę.

- Gdzie ona jest? Została w hotelu?

Christian pokręcił głową, zdejmując z ramienia pasek swojej aktówki.

- Nie, mam ją tutaj.

- Pokaż.

Ostrzegła go, żeby nikomu nie pokazywał, co jest w kopercie.

- Obawiam się, że nie mogę...

- Pokaż mi tę kopertę! - ryknął rozwścieczony Stiles.

Christian otworzył aktówkę i grzebał w niej przez chwilę.

- Proszę - rzekł w końcu, wyciągając kopertę.

Quentin chwycił ją, otworzył gwałtownie i wyjął ze środka prowokacyjne zdjęcie dziewczyny. Na odwrocie był wypisany krótki tekst mówiący o tym, jak bardzo go kocha.

- Do diabła... - syknął, wręczając mu z powrotem kopertę. - Przepraszam.

- Oparł pięści na biodrach i zacisnął wargi, sfrustrowany. - Pokaż mi całą aktówkę - rozkazał po chwili.

- Proszę. - Christian wyciągnął teczkę w jego stronę, rozmyślając, że jeszcze nigdy nie widział przyjaciela w takim stanie.

Quentin chwycił aktówkę i przyklęknął. Od razu wyciągnął z jej dna coś, co przypominało szminkę.

- Czyżbyś coś przede mną ukrywał?

- A to co...?

Quentin wstał, podniósł cylindryczny przedmiot do oczu i przyjrzał mu się badawczo.

- To przeklęty lokalizator.

Pospiesznie ściągnął górną część obudowy i przestawił miniaturowy włącznik.

Christian wyrwał mu urządzenie z ręki i zapatrzył się na nie z niedowierzaniem. Beth cały czas udawała, a on wierzył jej bez zastrzeżeń. Teraz nie chciało mu się to pomieścić w głowie.

- Chodź! - krzyknął Stiles i pociągnął go dalej. - Wynośmy się stąd do diabła.

W pięciu ruszyli ponownie truchtem w kierunku parkingu i pozostawionego na nim samochodu z wypożyczalni, którym przyjechali tu spod hotelu Ritza. Christian bez ociągania wskoczył na tylne siedzenie i przesunął się na środek, robiąc po bokach miejsce dla dwóch ochroniarzy. Quentin z ostatnim swoim agentem usiedli z przodu.

Ostatnią rzeczą, jaką Christian zapamiętał, był głośny trzask jakiegoś urządzenia i odrażający smród gazu wypełniającego wnętrze auta. Chwilę później pociemniało mu przed oczyma i pogrążył się w nieświadomości.

Rozdział 19

Victoria Graham siedziała w swoim gabinecie i obserwowała, jak młody boa szykuje się do ataku na szarą mysz, którą dziś rano kupiła w sklepie zoologicznym w drodze na Manhattan. Jak zawsze fascynował ją przebieg walki na śmierć i życie, bo takie same zmagania toczyły się w każdej sekundzie w jakimś zakątku świata. Przetrwanie dla jednego oznaczało śmierć drugiego. I choć przyznawała się do tego ze wstydem, lubiła mieć swój udział w końcowym rezultacie takiej walki, bądź to skazując szarą mysz na śmierć, bądź ratując życie Christianowi.

Steven Sanchez był odrażającym typkiem, ale dla Gillette'a było znacznie lepiej znaleźć się w jego rękach niż lecieć na Kubę, gdzie miał zostać zamordowany. Bo nie wątpiła, że ludzie stojący za Dorseyem zabiją Christiana, jeśli uda mu się bezpiecznie dotrzeć na wyspę. Wyczytała to w spojrzeniu senatora, kiedy zapytała go wprost, jaki los czeka Gillette'a. W gruncie

rzeczy nabrała podejrzeń w tej sprawie o wiele wcześniej, gdy znalazła tę teczkę z papierami w szufladzie biurka Dorsey'a w jego domu w Georgetown, jeszcze jesienią ubiegłego roku, kiedy szukała jakichkolwiek dowodów na to, że senator rzeczywiście zamierza się rozwieść. Nie znalazła ich, natknęła się za to na tę kartonową teczkę z plikiem odręcznie pisanych notatek kierowanych do Dorsey'a.

Ci ludzie do głębi nienawidzili Christiana za to, że przeszkodził im w nielegalnej sprzedaży tajemnic nanotechniki oraz zdemaskował ich spisek zmierzający do skompromitowania Jesse'a Wooda przed ostatnią turą wyborów.

W rezultacie tych działań zginęło parę osób, w tym zaprzyjaźniony z nimi Samuel Hewitt oraz Stewart Massey. To dlatego zdecydowali się teraz wykorzystać Gillette'a, a później go zabić. Chcieli upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, zemścić się w sposób najlepszy z możliwych.

Jesse Wood został prezydentem Stanów Zjednoczonych, ale nie oznaczało to jeszcze, że przejął kontrolę nad wszystkim, co organizowali ludzie z CIA czy Pentagonu. W gruncie rzeczy było nawet odwrotnie, to stara wojskowa gwardia przejęła kontrolę nad Woodem. Sprytnie zdołała go wmanewrować w podpisanie rozkazu zabicia przedstawicieli komunistycznego reżimu kubańskiego, gdyż on desperacko potrzebował jej wsparcia. Podstawieni ludzie wmówili Woodowi i jego doradcom, że muszą dysponować pisemnym rozkazem prezydenta eliminacji najważniejszych osób, bo bez tego nie da się zorganizować pomocy dla rebeliantów. I urzędnicy Wooda dali się na to nabrać. W całej tej aferze Christian był tylko pionkiem, i to z góry skazanym na straty.

Dlatego też przez zaufanego człowieka Graham wynajęła Stevena Sancheza, żeby porwał Gillette'a i zażądał gigantycznego okupu w wysokości dwudziestu pięciu milionów dolarów. Rzecz jasna, te pieniądze nigdy nie miały być wypłacone. Sanchez odebrał już połowę swojego honorarium, pięćset tysięcy. Drugą część miał dostać za kilka tygodni. Niemniej informacja o fikcyjnym żądaniu okupu powinna dziś wieczorem przedostać się do wiadomości publicznej. Porwanie żadnym sposobem nie mogło być kojarzone z Kubą, toteż w komunikacie powinna się pojawić wzmianka, że sprawcy są powiązani z irackimi ugrupowaniami terrorystycznymi. Chodziło o to, by ludzie z Białego Domu uznali to za pechowy zbieg okoliczności, kolejny akt agresji na terenie Stanów Zjednoczonych, który najlepiej zachować w tajemnicy. Najważniejsze było to, żeby nikt nie podejrzewał

jakiegokolwiek związku między porwaniem a szykującym się przewrotem na Kubie.

Negocjacje z Sanchezem mogły potrwać wiele tygodni, stąd też prezydent powinien zostać zmuszony do opóźnienia działań, gdyż na tym etapie bez udziału Christiana niemożliwe już było nawiązanie kontaktu z cywilnym ugrupowaniem szykującym się do przejęcia władzy w Hawanie. Tak więc Biały Dom musiał sobie znaleźć innego emisariusza, a gdyby wreszcie do tego doszło, Christian byłby bezpieczny. Kilka dni później Sanchez mógłby mu zwrócić wolność, odebrać drugą część zapłaty i zniknąć bez śladu. A przedstawiciele establishmentu i tak zyskaliby haka na Wooda.

Christian ocalił jej karierę, a może nawet i życie, odrzucając propozycję kupna towarzystwa ubezpieczeniowego z Ohio. I mężnie wytrwał u jej boku w najczarniejszej godzinie. Niestety, niezależnie od Christiana także dwóch członków rady nadzorczej MuPenn odkryło jej plany, ale była pewna, że to nie on ich poinformował. Wiceprezes tegoż towarzystwa z Ohio jakimś cudem dowiedział się, że ona szuka sposobu obejścia przepisów stanowych, po czym zawiadomił o tym odkryciu znanych mu bliżej członków jej rady nadzorczej. Na ich żądanie doszło do spotkania z Gillette'em - oczywiście bez jej wiedzy - ten zaś zdołał ich przekonać, że działała w dobrej wierze, natomiast wiceprezes konkurencyjnego towarzystwa zbyt pochopnie zinterpretował pewne fakty i ukuł na ich podstawie błędną teorię, ponieważ się obawiał, że gdy ona przejmie zarządzanie jego firmą, on straci stanowisko. W ten sposób Christian ocalił jej reputację, a ona poprzysięgła sobie, że nigdy mu tego nie zapomni.

Początkowo była na niego bezgranicznie wściekła, gdyż podejrzewała, że to on ją zdradził. Kiedy jednak poznała prawdę, postanowiła, że już nigdy go nie zawiedzie. Przez ostatnie miesiące dawała się prowadzić na postronku Dor-seyowi, bo uważała, że nie ma innego wyjścia. Gdyby się dowiedział, z którą stroną czuje się naprawdę związana, w jednej chwili zerwałby z nią wszelkie kontakty. To

zresztą także nie wyszłoby Christianowi na dobre, nawet mogłoby tylko przyspieszyć jego śmierć.

Kiedy odkryła, co przedstawiciele establishmentu szykują dla Gillette'a, przyszło jej do głowy, żeby mu o wszystkim powiedzieć. Problem polegał jednak na tym, że wciąż kochała Lloyda Dorsey'a, niezależnie od tego, jaki los pomagał zgotować Christianowi. Kochała go i pragnęła z nim być, tym bardziej że powtarzał jej, iż gotów jest zostawić żonę i syna, pokazał jej

nawet list, który zamierzał wysłać do Dallas, a w którym prosił żonę o oficjalną separację. Nie chciała więc zaprzepaścić swojej spóźnionej szansy na szczęście. Stąd też nie mogła zarówno informować Lloyda o poczynaniach Christiana, jak też wyjawić temu drugiemu, co się dzieje, gdyż bała się, że Dorsey odkryje jej sekretne powiązania z Gillette'em. W takim wypadku na zawsze utraciłaby szansę na zwiążanie się z Lloydem.

Przede wszystkim więc musiała znaleźć informatora blisko związanego z Christianem, a Melissa wydała jej się idealną kandydatką. Była młodą, bardzo ładną aktoreczką, zdobywczynią Oscara, do tego desperacko potrzebującą pieniędzy. Któż by się lepiej nadawał do tej roli?

Wiele starań włożyła w to, żeby od postaw stworzyć Melissie wiarygodny fikcyjny życiorys. To ona wymyśliła Beth Garrison, której przeszłości nawet Quentin Stiles nie był w stanie poznać. Sporo ją to kosztowało, ale przez pracę w towarzystwie ubezpieczeniowym poznała zarówno ludzi z tego małego miasteczka w Missouri, jak też z uniwersytetu stanowego w Nebrasce, ci zaś pomogli jej w stworzeniu pozorów. Zatrzaszczyła się nawet o to, żeby kobieta odgrywająca rolę chorej matki Beth zapamiętała te same informacje o swojej fikcyjnej córce. Jeśli wierzyć Melissie, podczas ich wizyty w szpitalu Christian w pewnym momencie zaczął tamtej zadawać pytania, ona jednak wprawnie uniknęła zdemaskowania, udając, że zanosła się kaszlem. Tak więc nie zdołał się od niej niczego dowiedzieć.

A wcześniejsze „przypadkowe” spotkanie Christiana z Melissą w lesie niedaleko Camp David przebiegło wprost idealnie. Najęci przez nią ludzie ścigali ich oboje aż nad brzeg Potomacu, gdzie w samą porę pojawił się policyjny śmigłowiec, który ich spłoszył. Była pewna, że traumatyczne przeżycia zainicjują ich burzliwy romans. Christian był niczym rycerz w lśniącej zbroi, a Melissa wcieliła się w rolę pięknej księżniczki w opałach. On natychmiast się w niej zadurzył, a ona wykazała się wielkim talentem aktorskim. Graham aż pokręciła głową. W końcu to Melissa podsunęła jej pomysł z matką umierającą w szpitalu, chociaż nie tak dawno sama przeżyła śmierć swojej prawdziwej matki w podobnych okolicznościach. To było niesamowite. Ale stało się dla niej kolejnym dowodem, że ludzie z Hollywood mają trochę nie po kolei we łbie.

Jak dotąd, wszystko szło zgodnie z planem i teraz przyszła pora na zakończenie całej tej rozgrywki. Graham zaledwie przed pięcioma minutami odebrała wiadomość, że Sanchez załadował Gillette'a do bagażnika swojego samochodu i jest w drodze powrotnej z Naples do Miami.

Kiedy Christian zaczął odzyskiwać przytomność, odniósł wrażenie, że jest w piecu. Otaczały go nieprzeniknione ciemności, a powietrze miało temperaturę co najmniej sześćdziesięciu stopni. Do tego panował nieznośny hałas i śmierdziało rozgrzaną gumą. Leżał na czymś miękkim, jakby na innym człowieku. Przyszło mu do głowy, że to musi być Quentin.

Odzyskawszy jasność myśli, uświadomił sobie, że jest zamknięty w bagażniku samochodu, i to samochodu jadącego bardzo szybko, sądząc po głośnym, dobiegającym z dołu świcie toczących się asfalcie kół. Przy pierwszej próbie poruszenia aż jęknął na głos. Pod czaszką mu boleśnie pulsowało, zapewne od tego gazu obezwładniającego, którego sporą dawkę wszyscy łyknęli zaraz po zatrzaśnię

ciu drzwi wynajętego auta. Czuł też nieprzyjemne ciarki w zdrętwiałej ręce, na której widocznie leżał od dłuższego czasu po zamknięciu w bagażniku. Próbował przywrócić w niej krążenie, pocierając nosem o ramię, gdyż ręce miał ciasno związane za plecami.

- Quentin - syknął. - Quentin!

Nie było odpowiedzi. Chciał już powtórzyć głośniejsze wezwanie, gdy nagle przypomniał sobie o transponderze.

Powoli przesunął związane ręce na prawo i ku górze, aż zdołał wsunąć dwa palce do kieszeni spodni. Obrócił się nieco, żeby zyskać odrobinę więcej swobody, chociaż w wykręconym lewym ramieniu odczuwał się nieznośny ból. Udało mu się jednak wsunąć palce głębiej do kieszeni. Wciąż jednak nie mógł namacać małego urządzenia radiowego. Przyszło mu na myśl, że ten, kto go porwał, musiał się go pozbyć. Może wiedział, czego szukać, gdyż ów miniaturowy nadajnik był jego własnością. W takim razie musiał współpracować z Beth, skoro umieścił go w aktówce.

- Szlag by ją... - wyrwało mu się mimo woli tuż przed ostatnią próbą sięgnięcia aż do dna kieszeni. Wymacał jednak nadajnik. Zaczął go ostrożnie przesuwając palcem środkowym, potem wskazującym, aż przepchnął w pobliże brzegu kieszeni. Uzmysłował sobie, że nie może dopuścić, aby transponder wypadł na podłogę bagażnika, bo w tej sytuacji na pewno go nie znajdzie.

Wyczuł nagle, że samochód zwalnia. Zacisnął dwa palce na górnej pokrywie urządzenia i zaczął nią szarpać, żeby uzyskać dostęp do włącznika, ale nie był w stanie otworzyć cylindra dwoma palcami. Doprowadzało go to do szału. Samochód zahamował tak gwałtownie, że Christian potoczył się do przodu i uderzył głową o coś twardego, prawdopodobnie zawias klapy

bagażnika. Ledwie zdołał stłumić okrzyk bólu. Wyczuwał, że jest już bliski otwarcia transpondera, pokrywka trzymała się na samej krawędzi obudowy. Boże, dopomóż, pomyślał. Samo

chód ostatecznie zatrzymał się tak gwałtownie, że po raz drugi huknął głową o żelazne ramię zawiasu. Aż potrzęsnał nią, żeby odzyskać jasność myśli. Jeszcze trochę. Tylko odrobinę...

Usłyszał, że otwierają się drzwi auta.

Sanchez wyskoczył zza kierownicy, bardzo z siebie zadowolony. Bez większego wysiłku przechytrył ochronę osobistą Gillette'a, włamując się do wynajętego auta. Pojemniki z chloroformem doskonale spełniły swoje zadanie. Wystarczyło parę sekund po odpaleniu małych ładunków wybuchowych, żeby cała piątka legła bez czucia. Wyciągnął Gillette'a z tylnego siedzenia nad bezwładnym ciałem tkwiącego przy drzwiach ochroniarza, wcisnął go do bagażnika swojego samochodu obok zwłok Mari, po czym związał mu ręce za plecami. Jak gdyby nigdy nic, wyjechał z Naples i ruszył z powrotem „Aleją Aligatorów”, ale w końcu uznał, że nadeszła pora na pozbycie się zwłok zabitej dziewczyny.

Skręcił z szosy na pusty, zaśmiecony leśny parking pozbawiony jakichkolwiek udogodnień. Jemu na nich nie zależało, gdyż skrawek ubitej ziemi miał tę zaletę, że na jego tyłach otwierał się dostęp do otwartych wód kanału.

Rozejrzał się dokoła, by się upewnić, że nie nadjeżdża żaden samochód, po czym otworzył bagażnik. Z radością spostrzegł, że Gillette jest nadal nieprzytomny. Wyciągnął ze środka wielki pustak przewiązany już kawałkiem sznura i zaniósł go na brzeg kanału. Szybkim krokiem wrócił do auta, wyciągnął zwłoki dziewczyny i ułożył je tuż obok pustaka, po czym drugi koniec liny obwiązał jej w pasie i bez namysłu zepchnął trupa razem z pustakiem do wody. Już po paru sekundach ciało zniknęło pod powierzchnią kanału. Pozbył się kłopotu, gdyż doskonale wiedział, że dzięki obecnym tu aligatorom w ciągu paru dni po zabitej dziewczynie nie pozostanie ani jedna kosteczka.

Przyszła więc pora na wysłanie Victorii Graham wiadomości, która doprowadzi staruchę do szału.

Melissa Hart energicznym krokiem przemierzyła imponujące lobby hotelu Naples Ritz Carlton, minęła wielkie stoisko z kwiatami i wyszła głównymi drzwiami na skąpaną w słońcu ulicę. Teraz chciała już tylko wynieść się stąd jak najszybciej. Zostawiła w pokoju nawet swoją torbę

podróżną. Nie potrzebowała już znajdujących się w niej rzeczy. W dodatku nie chciała zatrzymywać niczego, co by się jej kojarzyło z rolą Beth Garrison.

Atrakcyjny młodzieniec w granatowych szortach, cienkim beżowym golfie i sportowych butach powitał ją szerokim uśmiechem.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał. - Ma pani samochód na naszym parkingu?

Pokręciła głową.

- Potrzebna mi taksówka.

- Dokąd się pani wybiera?

- Na lotnisko w Fort Myers. - Oddalony o pięćdziesiąt kilometrów na północ, był to najbliższy port dostępny dla lokalnych linii, gdyż lotnisko w Naples przyjmowało jedynie maszyny prywatne i sportowe. Nawet nie zdecydowała jeszcze, dokąd chce lecieć, ale na pewno nie mogła tu dłużej siedzieć. - Tylko szybko, proszę.

- Już się robi.

Chłopak wybiegł spod markizy ocieniającej wejście do hotelu, przeskoczył uliczkę dojazdową i energicznie pomachał ręką w stronę pobliskiego dużego parkingu znajdującego się u podnóża łagodnego wzniesienia. Minutę później zatrzymała się przed nią taksówka.

- Bardzo dziękuję - rzuciła, wciskając chłopakowi w dłoń dwa banknoty jednodolarowe. Nie miała złudzeń, że chłopak przyjmie z pogardą tak mały napiwek, uznała jednak, że i tak powinien się cieszyć, iż cokolwiek dostał,

bo przecież mieli się więcej nie zobaczyć. - Na lotnisko w Fort Myers poproszę - odezwała się do kierowcy.

- Bardzo proszę.

U podnóża wzniesienia, na którym stał hotel, kierowca skręcił w prawo.

Melissa zajrzała do torebki, żeby sprawdzić, ile ma jeszcze gotówki, mimo że rozpierała ją radość z tego powodu, że zdołała się wymknąć z hotelu bez wiedzy Christiana i Quentina. Kalkulowała, że zgodnie z planem obaj wraz z trzema ochroniarzami powinni być teraz nieprzytomni. Ale nie dawała jej spokoju myśl, że coś mogło pójść nie po ich myśli. Quentin od dawna ją podejrzewał, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nie znała go za dobrze, lecz tyle mogła powiedzieć od razu.

- Przepraszam - odezwała się, podniósłszy głowę znad portmonetki. - Nie pomylił pan drogi?

- Ja miałbym pomylić drogę? - zdziwił się taksówkarz. -
o co pani chodzi?

- Kiedy rano jechaliśmy do hotelu, przybyliśmy stamtąd - odparła, wskazując przez ramię do tyłu. - Od strony Vanderbilta. - Zwróciła uwagę, że kierowca zwalnia

i zjeżdża na prawo, jakby chciał się zatrzymać za czarnym sedanem stojącym przy krawężniku. - Hej! Co pan robi?!

Uświadomiła sobie nagle, że znalazła się w kłopotach, ponieważ kierowca nie zamierza jej wcale zawieźć na lotnisko. Rzuciła się do drzwi, mimo że samochód wciąż był w ruchu. Wypadła na trawnik, przetoczyła się raz i drugi, po czym zerwała na równe nogi, lecz ujrzała tuż przed sobą rosnącego Afroamerykanina.

- Puszczaj! - wrzasnęła, gdy złapał ją za rękę, i zaczęła okładać go po twarzy. - Puszczaj!

Ten jednak z wprawą unieruchomił jej ręce w nadgarstkach, wykręcił do tyłu i błyskawicznie skuł kajdankami. Zanim się spostrzegła, siedziała już z tyłu czarnego sedana, który ruszył od krawężnika i zaczął szybko nabierać prędkości. Uzmysłowała sobie, że usunięcie jej z hotelu bez

wzbudzenia podejrzeń obsługi zostało zaplanowane ze szczegółami, gdyż z własnej woli dała się schwytać w pułapkę, nie mając jeszcze pojęcia, kto ją schwytał.

Sanchez kilka miesięcy wcześniej, spodziewając się sowitego wynagrodzenia, wynajął cały domek jednorodzinny, nieco podniszczony, z trzema sypialniami na piętrze, stojący w nie najciekawszej dzielnicy Miami. Z jednej strony sąsiedował z narkotykową meliną, z drugiej mieszkała samotna matka z ósemką dzieci, a naprzeciwko znajdowało się pogorzelnisko z wypalonym szkieletem domu. Było to osiedle zagraconych podwórek, ulicznych gangów i dzieciaków w łachmanach bawiących się na jezdni. Po prostu wymarzone do jego potrzeb.

Musiał załatwić parę spraw, choćby wysłać mejla do Victoria Graham, toteż zamknął Gillette'a w szafie ubraniowej w jednej z nieużywanych sypialni, dokładnie skrępowanego. Nie było szans na to, żeby sam się uwolnił. Sanchez do tej pory wiązał ręce i nogi wielu osobom i jak dotąd nikt nie zdołał się sam wyswobodzić. Ponadto Gillette wciąż jeszcze odczuwał skutki działania chloroformu, co było mu bardzo na rękę. Miał nadzieję, że ten łobuz nie dojdzie do siebie jeszcze przez kilka dni.

Skręcił na parking przy „Cyber Cafe”. Natknął się na ten lokal zaledwie osiem kilometrów od zapuszczonego domu, w którym zostawił związanego Gillette'a, ale ta okolica prezentowała się już znacznie lepiej. Przede

wszystkim robiło wrażenie rozległe centrum handlowe pełne drogich i modnych sklepów. To zdumiewające, jak blisko siebie są bogactwo i skrajna bieda w Miami, pomyślał.

Zamknął starego cadillaca, przekręcając kluczyk w zamku drzwi, po czym lekkim krokiem wszedł do kawiarenki, zamówił cafe latte oraz półgodzinną sesję w internecie i zajął miejsce przy stoliku w rogu sali. Było późne popołudnie

i w kawiarenka nie cieszyła się specjalnym powodzeniem. Usiadł przed terminalem, pociągnął duży łyk kawy, zalogował się na swoim najnowszym, niewykrywalnym koncie poczty elektronicznej i zaczął mozolnie wystukiwać wiadomość. Ograniczył ją do trzech linijek, krótkiego i zwięzłego komunikatu. Zażądał w nim pięćdziesięciu milionów. I wcale nie był to sfigowany list porywacza, którego treść wcześniej ustalili. Zawierał autentyczne żądania, o czym jego zleceniodawczyni miała się wkrótce aż za dobrze przekonać.

Zachichotał, klikając przycisk wysyłania wiadomości. Już kilka minut po przyjęciu nietypowego zlecenia uzmysłowił sobie, że otwiera się przed nim niepowtarzalna okazja zarobienia naprawdę dużych pieniędzy. Pojął, że ma oto szansę na zawsze wycofać się z czynnej działalności. Trudno było sobie wymarzyć lepszy układ. A najbardziej go cieszyło, że Victoria Graham nawet przez chwilę się nie spodziewała takiego obrotu rzeczy.

Pozostałe dwadzieścia siedem minut wykupionego czasu sieciowego spędził na przeglądaniu stron pornograficznych. Zaskoczyło go, że terminal nie ma założonej blokady na tego typu połączenia, ale w końcu znajdował się w Miami.

Victoria Graham ukryła twarz w dłoniach, po raz trzeci przeczytawszy mejlową wiadomość od Sancheza. W poczcie posługiwał się imieniem Emilio, niemniej od razu zidentyfikowała autora piszącego o „nepalskiej przesyłce”, co odnosiło się do nazwy spółki Everest Capital oraz Christiana. Zażądał natychmiastowego przelewu w wysokości pięćdziesięciu milionów dolarów. I nie było to wcale fikcyjne żądanie porywacza, którego treść wcześniej z nim ustaliła. Naprawdę domagał się tych pieniędzy. Bardzo się pomyliła w ocenie, zarówno tej sytuacji, jak i samego San-

cheza. Boże, jak mogłam być aż tak naiwna? - pytała się teraz w myślach.

Sięgnęła po słuchawkę telefonu. Musiała porozmawiać z Lloydem. Nie знаła nikogo innego, kto mógłby jej teraz pomóc. Musiała więc wyłuszczyć mu wszystko i prosić

o wybaczenie. Tylko ci, którzy za nim stali, mogli jeszcze uratować Christiana. A przecież chciała go uratować, na tym etapie nawet musiała go ratować. Rozmyślała, że na kogo, jak na kogo, ale na ludzi z silną motywacją na pewno można liczyć. A oni mieli bardzo silną motywację. No i byli dobrzy w takich akcjach.

Opuściła nisko głowę i oparło czoło na biurku. Niepotrzebnie próbowała wszystkiego naraz, chciała równocześnie ratować Christinowi życie, utrzymać swój związek z Lloydem oraz pokrzyżować plany prezydenta Wooda w sprawie nowych regulacji dotyczących ubezpieczeń zdrowotnych. Z chciwości posunęła się za daleko. I teraz mogła zaprzepaścić wszystkie te trzy sprawy. Zacisnęła powieki. Powinna się była tego spodziewać.

- Co się stało?! - warknął Quentin prosto w twarz Beth.

Próbowała odwrócić głowę, ale trzymał ją mocno za brodę, a dwaj ochroniarze, których przysłał tu dwa dni wcześniej w celu zapoznania się z terenem, unieruchamiali jej ręce przy ciele. Nie miała szans się uwolnić.

- Gadaj! - syknął.

Stali w kępie drzew na skraju pola uprawnego, dokoła nie było żywej duszy. Beth zanosila się szlochem, śmiertelnie przerażona. I o to dokładnie im chodziło.

- Gadaj! - ryknął na cały głos.

Barrado wraz z dwoma ludźmi gnał ulicami Miami wozem terenowym, kierując się w stronę zapuszczonej dziel

nicy biedoty. Ludzie z Marylandu powiadomili go, gdzie powinien szukać Gillette'a. Transponder, który dziewczyna podrzuciła mu w Naples, wciąż wysyłał sygnał radiowy, już słaby, pozwalający jednak określić dom, gdzie się znajdował. O wyjątkowej sytuacji zaalarmował ich senator Dorsey. Nie umieli określić, czy sygnał transpondera rzeczywiście doprowadzi ich do porwanego biznesmena, ale na pewno trzeba było to sprawdzić. Zresztą był to jedyny trop.

- Allison? - rzucił Stiles do słuchawki. - To ja. - W myślach dziękował Bogu, że zdołał się z nią skontaktować tak szybko przez telefon komórkowy.

- Christian został porwany.

Dziękował też Bogu, że Beth Garrison - a raczej Melissa Hart, o czym właśnie się dowiedział - złamała się tak szybko i powiedziała im wszystko na temat planu Victorii Graham, która obiecała jej sowitą zapłatę za nawiązanie bliższej znajomości z Gillette'em. Wyjaśniła, że to właśnie Graham wszystko

uknuła, a ona zgodnie z jej poleceniem podrzuciła Christianowi do aktówki transponder, zanim wyjechał na spotkanie z Padillą.

- Musisz natychmiast odszukać Victorię Graham! - polecił ostro, przerywając nerwowe mamrotanie Allison na drugim końcu linii. Zaczął szybko wyjaśniać, o co chodzi. - Tylko ona jest teraz kluczem do odnalezienia go, Ally!

Sanchez uklęknął obok związanego wciąż Christiana, chwycił go za włosy i poderwał głowę do góry. Już wcześniej zdjął mu opaskę z oczu, ale zostawił knebel w ustach.

- Dzięki tobie zarobię kupę forsy, ty bogaty kutasie! - zaśmiał się gardłowo, aż po pustym pokoju rozeszło się gromkie echo. - Mogłem zażądać nawet więcej niż pięćdziesiąt milionów dolarów. Stać by cię na to było, jeśli prawdą jest, co napisali o tobie w „Forbes”. Ale, jak widzisz, nie jestem zachłanną świnią. Chcę tylko swojej uczciwej działki.

Puścił głowę Christiana, aż z hukiem opadła na podłogę z desek, i wstał. Kiedy się odwrócił do wyjścia, niespodziewanie ujrzał tuż przed sobą ciemne wyloty trzech identycznych dubeltówek o długich lśniących lufach. I uzmysłowił sobie nagle, że tym razem nie udało mu się zejść poniżej pułapu działania radarów. Nie zdołał się nawet zbliżyć do tej granicy.

Pojedyncza kula wystrzelona przez Barrado niemal doszczętnie pozbawiła Sancheza serca, a jego ciało gwałtownie zderzyło się ze ścianą pokoju.

W końcu zadzwonił telefon komórkowy Stilesa. Razem ze swoimi ludźmi stał przed hotelem Ritza, niecierpliwie czekając na tę odpowiedź.

- Słucham.

- Wyciągnęłam z Victorii Graham wszystko - zaczęła pospiesznie Allison. - To ona wszystko uknuła. Podstawiła Christianowi tę dziewczynę, zorganizowała porwanie. Powinnam była się tego domyślić, do cholery. Zachowałam się jak idiotka...

- Uspokój się, Ally - przerwał jej. Trajkotała jak nakręcona, a w dodatku, sądząc po brzmieniu jej głosu, była na skraju płaczu. - Co chcesz powiedzieć przez to, że powinnaś się była domyślić prawdy?

- Kilka tygodni temu Graham powiedziała mi, że Christian wybiera się w podróż, ponieważ uczestniczy w ściśle tajnej misji związanej z bezpieczeństwem narodowym, i przez jakiś czas go nie będzie. Nie wiem, skąd się o tym dowiedziała, bo na pewno nie od Christiana, dodała przy tym, że bardzo się o niego martwi. Wtedy nie miałam pojęcia, o co chodzi.

Próbowałam ją podpytywać, ale bez efektu. Dopiero teraz wszystko rozumiem. To dlatego on

awansował mnie na wiceprezesa zarządu, Quentin, z powodu swojego wyjazdu. A ona uprzedzała, że przez jakiś czas go nie będzie, ponieważ sama zaplanowała to porwanie. Usiłowała mu pomóc, ratować mu życie, ale nie wzięła pod uwagę takiego obrotu spraw. Tak przynajmniej mówiła. Najwyraźniej człowiek, którego najęła do porwania Gillette'a, zwrócił się przeciwko niej. Prosiła, żebym miała oko na Christiana, kiedy wspominała o planowanej przez niego podróży, ale jemu miałam o niczym nie mówić. Nie powiedziałam więc, bo całkowicie jej ufałam. Ale powinnam była uprzedzić Christiana. Albo ciebie. Więc to wszystko przeze mnie. Gdybym tylko w porę uprzedziła...

- To nie twoja wina - odparł z naciskiem Quentin. - Nie wiesz, skąd Graham dowiedziała się o planowanej przez Christiana podróży?

- Od senatora Dorsey'a. Zdaje się, że łączy ich romans. Już na jesieni dowiedziała się o planowanej interwencji na Kubie... - Allison urwała na chwilę. - Ty wiesz, o co tu chodzi?

- Wiem.

- Ale na pewno nie wiesz, że organizatorzy akcji planują zabić Christiana w czasie jego pobytu na Kubie.

Stiles aż zamknął na moment oczy.

- Chcą go zabić?

- Tak. Oczywiście już po tym, jak zakończy wszystkie spotkania z ludźmi współpracującymi z wojskiem w celu obalenia komu...

- Dlaczego mieliby zabijać Christiana? Jaki mają w tym interes?

- Tego nie wiem. Graham nie powiedziała. Żałuj, że jej nie widziałeś. Jest doszczętnie załamana. Cały czas ryczy i bełkocze coś bez sensu. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. W każdym razie powiedziała wyraźnie, że chcą zabić Christiana podczas jego pobytu na Kubie, ale nie zdradziła dlaczego. Coś mi się zdaje, że to dlatego, że nie chciałyby się sama narażać.

To bardzo prawdopodobne, pomyślał Quentin.

- Dlaczego Graham po prostu nie powiedziała o tym wszystkim Christianowi, kiedy odkryła spisek na jego życie?

- Nie chciała, by Dorsey się dowiedział, że uprzedziła Christiana. Ale jak tylko ten zbir zażądał od niej pieniędzy, natychmiast zadzwoniła do senatora. Właśnie skończyła z nim rozmawiać, gdy weszłam do jej gabinetu.

Jego zdaniem to nie miało najmniejszego sensu.

- Skoro ona wie, że ludzie kierujący akcją na Kubie zamierzają zabić Christiana, a Dorsey jest z nimi powiązany, to dlaczego, do jasnej cholery, miałyby teraz zawiadamiać właśnie jego?

- Wymyśliła sobie, że tylko ci ludzie mogą jeszcze uratować Christiana z rąk faceta, który go porwał - odparła Allison. - Powiedziała, że nic innego nie przyszło jej do głowy.

- Więc gdzie jest Christian?

- W Miami. Wygląda na to, że on ma przy sobie jakiś nadajnik radiowy, którego sygnał udało im się odebrać.

Quentin z uznaniem pokręcił głową. Christian był nie w ciemną bity, skoro uruchomił transponder.

- Ile czasu minęło od chwili, gdy Graham powiadomiła Dorsey? - zapytał, aż bojąc się usłyszeć odpowiedź.

- Kilka godzin.

Stiles ruchem ręki dał znak swoim ludziom, że wszystko w porządku. Do tej pory Christian powinien być już w rękach tych z wywiadu, jeśli jeszcze żył. Nie było sensu gnać teraz do Miami. I tak by nie zdążyli.

- Podejrzewam zatem, że już jest w drodze na Kubę - rzekł, chcąc zaszczepić Allison przynajmniej odrobinę optymizmu. Sam zresztą wierzył, że jeśli Gillette został odbity przez ludzi wywiadu, powinien dalej kontynuować swą misję zgodnie z planem. - Ja też chętnie spróbowałbym się tam dostać. Mógłbym obdzwonić moich dawnych przyjaciół z oddziału Rangersów i sprawdzić, czy któryś

z nich nie szykuje teraz grupy spadochroniarzy. Problem polega jednak na tym, że nawet gdybym dotarł na wyspę, nie wiedziałbym, gdzie go szukać.

- Pomyślał, że musi to wiedzieć doktor Padilla, ten jednak był w trakcie przyglądania się pokazowej operacji, a więc z pewnością mieli go na oku agenci kubańscy. Raczej nie dałoby się z nim teraz skontaktować, nie wzbudzając podejrzeń wysłanników reżimu hawańskiego. - Ally? - W słuchawce panowała jednak cisza. Zaniepokojony powtórzył głośniejszym głosem: - Ally?!

- A gdybym ci powiedziała, gdzie go szukać? - odezwała się w końcu.

- Jak chcesz się tego dowiedzieć?

- Nie ruszaj się stamtąd - rzuciła w podnieceniu. - Zadzwoń do ciebie najszybciej, jak to będzie możliwe.

Idąc w ślady Barrada, Christian przeskoczył na lekko rozchwiany pomost przystani. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie ucieszył go tak bardzo widok

innego człowieka. Po zabiciu porywacza trzech mężczyźni szybko go rozwiązali i wyjaśnili, kim są. Powiedzieli, że zabierają go do prowizorycznej bazy w głębi bagien Everglades, skąd odleci helikopterem na pokład okrętu wojennego czekającego już na wodach Zatoki Meksykańskiej. Z samego rana, po krótkiej podróży statkiem, polecą na Kubę innym śmigłowcem w eskorcie oddziału Rangersów. Trzeba było się spieszyć, oznajmili, nakazując mu wsiąść do wojskowego wozu terenowego. Przekazali, że powinien jak najszybciej się spotkać z członkami Sekretnej Szóstki, żeby dać znak prezydentowi Woodowi, czy mają się angażować w pomoc kubańskim rebeliantom. Gdyby ten zaakceptował plan przewrotu, mogłoby do niego dojść już teraz. Istniała więc szansa, że jutro o tej samej porze kubański reżim nie będzie już rządził Kubą.

Stąd też Christian był pewien, że ci ludzie są tymi, za kogo się podają. Znali za dużo szczegółów misji. Poza

tym, gdy tylko odzyskał swobodę ruchów, Barrado poprosił go o transporter i obcasem buta roztrzaskał urządzenie na podłodze obok trupa porywacza. Miał wtedy wielką ochotę uściskać swoich wybawicieli, ledwie się od tego powstrzymał.

Chciał też zawiadomić Quentina, ale mu na to nie pozwolili. Barrado odrzekł, iż lepiej nie ryzykować, by ktoś przechwycił rozmowę telefoniczną. Byli wtedy jeszcze w śródmieściu Miami i nic nie wskazywało na to, że tu zostaną, zresztą on nie zamierzał mówić przez telefon niczego, co mogłoby zdradzić jego pozycję. Wiedział, że łatwo jest namierzyć rozmówcę poprzez lokalizację przekaźnika telefonii komórkowej, ale znajdowali się przecież w szybko jadącym samochodzie. Zanim ktokolwiek zdołałby stwierdzić, z której anteny pochodził sygnał jego aparatu, ich już dawno by nie było w tamtym rejonie. Niemniej zachował to wszystko dla siebie, gdyż nie chciał się spierać.

- Pozwól ze mną, Christianie - rzekł Barrado, przywołując go ruchem ręki. - Chcę ci pokazać węża, którego zabiliśmy dziś rano. Ręczę, że jego widok cię zaskoczy.

- Cześć, Ally - rzucił zniecierpliwiony Quentin, gdyż od ich rozmowy minęły ponad dwie godziny. - Zaczynałem się już martwić.

- Nie tak łatwo było mi po raz drugi skontaktować się z panną Graham.

- Dowiedziałaś się czegoś?

- Nasi chłopcy odbili Christiana. Graham dzwoniła do Dorsey'a i senator potwierdził, że Christian jest bezpieczny.

- Dzięki Bogu.

- Przynajmniej na razie. Bo Dorsey, rzecz jasna, nie chciał powiedzieć nic więcej.

- To oczywiste. Szczerze mówiąc, i tak jestem zdumiony, że powiedział ci o odbiciu Christiana. - Quentin zapa

trzył się na ocean. Siedzieli na plaży, nie mając nic innego do roboty. - Nie sądziłem też, że senator zdradzi Victorii Graham, gdzie Christian ma się spotkać na Kubie z tamtymi ludźmi - dodał w zamyśleniu. Zakładał cały czas, że tego właśnie Allison będzie próbowała się dowiedzieć. - Od początku podejrzewałem, że przeceniasz swoje możliwości, Ally.

- O to wcale nie musiałam ich pytać, skoro wiedziałam wcześniej. Chciałam się tylko upewnić, że Christianowi nic się nie stało i na pewno poleci na Kubę.

Stiles gwałtownie wyprostował się na plażowym krzeselku.

- Co takiego? Skąd wcześniej wiedziałaś, gdzie odbędzie się to spotkanie?

- Kiedy Graham poprosiła mnie, żebym uważnie obserwowała Christiana, zabrałam się poważnie do tego zadania. Pewnego wieczoru zakradłam się do jego gabinetu i znalazłam w szufladzie teczkę z dokumentami - wyjaśniła triumfalnym tonem.

Quentin uzmysłowił sobie, że musiała to być ta sama teczka, którą Gillette dostał w Camp David od Deksa Kelly'ego.

- Omal mnie wtedy nie przyłapał na gorącym uczynku - ciągnęła. - Ledwie zdążyłam skopiować papiery i chowałam teczkę do jego biurka, kiedy się zjawił. Ukryłam się w szafie i czekałam, aż wyjdzie. A w domu przeczytałam te dokumenty. Od razu nabrałam podejrzeń, że dotyczą właśnie tej misji i podróży zagranicznej, o której wspominała Graham. No i nabrałam przekonania, że ona świetnie wie, co się szykuje. Ale nie pokazałam jej tych papierów, nawet nie wspomniałam, że udało mi się je skopiować.

Dobra dziewczyna, pomyślał Quentin.

- I jest tam podane miejsce spotkania, tak? Wiesz, gdzie Christian będzie rozmawiał z członkami Sekretnej Szóstki?

- Tak, wiem... - Allison zamilkła na chwilę, po czym

zapytała niepewnie: - Naprawdę sądzisz, że uda ci się dostać na Kubę?

Christian klęknął w wysokiej trawie przetykanej strzelistymi pałkami wodnymi, czekając, aż śmigłowiec opuści się niżej nad oświetlone prowizoryczne lądowisko, które zostało przygotowane w pobliżu obozu na

bagnach. Maszyna nie mogła wylądować, gdyż istniało niebezpieczeństwo, że pogrąży się w grząskim i podmokłym gruncie torfowiska, musiała zawisnąć kilka centymetrów nad obszarem oczyszczonym z trawy, trzciny i zarośli.

- Idziemy! - zawołał Barrado, przekrzykując ogłuszający łoskot rotora i wycie silnika, chwytając Christiana pod rękę.

Podnieśli się z ziemi i ruszyli truchtem w stronę źródła istnego huraganu miotającego kawałkami liści i błotem. Gillette biegł nisko przygięty ku ziemi przez Barrado, który trzymał mu rękę na ramieniu. Kiedy podbiegł do śmigłowca, czyjeś ręce błyskawicznie uniosły go z ziemi i wciągnęły do środka. Chwilę później byli już w powietrzu. Helikopter zawrócił i pomknął przez mrok nocy w kierunku okrętu zakotwiczonego w zatoce.

Rozdział 20

Wojskowy śmigłowiec transportowy zszedł tuż nad powierzchnię gładkiego niemal jak stół oceanu i nabierając prędkości, pomknął pod rozgwieżdżonym czystym niebem. Była druga nad ranem, znajdowali się blisko celu. Christian dostrzegł w oddali na wschodzie gromadkę niewyraźnych światełek oznaczających pierwsze zabudowania Hawany. Wokół niego w głównym przedziale maszyny siedziało ośmiu ludzi, ośmiu doświadczonych Rangersów w pełnym wyposażeniu bojowym, włącznie z zielonymi, czarnymi i brązowymi smugami farby maskującej na twarzach. Oczywiście uzbrojeni po zęby. Spoglądając na nich, rozmyślał, że chyba po raz pierwszy w życiu jest aż tak podekscytowany.

Jeden z nich, porucznik dowodzący oddziałem, poklepał Christiana po ramieniu, po czym bezceremonialnie wetknął mu w brzuch żelazny hełm.

- Proszę to włożyć!

Gillette przytaknął ruchem głowy. Tamten siedział nie dalej niż pół metra od niego, a mimo to ledwie go było słychać poprzez ogłuszający łoskot helikoptera. Jeszcze na pokładzie okrętu dobrali mu mundur połowy i wojskowe buty, tłumacząc, że garnitur i miękkie pantofle, w których przybył do Naples na spotkanie z Padillą, w najmniejszym stopniu nie nadają się do przedzierania się przez dżunglę.

- Trzy minuty! - krzyknął porucznik, gdy śmigłowiec poderwał się raptownie, wzlatując nad poziom drzew. Pod nimi wyłoniły się betonowe

falochrony i piaszczysta plaża. - Schodzimy nad ziemię najwyżej na pięć sekund!

Proszę wyskakiwać bez ociągania, gdy tylko dam panu rozkaz!

Christian znowu pokiwał głową.

- Gdyby doszło do strzelaniny, proszę się trzymać blisko mnie!

Gillette musnął palcami kolbę dziewięciomilimetrowej beretty, którą dostał zaraz po zajęciu miejsca w helikopterze, kiedy jeszcze stali na pokładzie okrętu. Polecili mu zapiąć pas z kaburą.

- Nie ma obaw, nie zgubię się.

Uprzytomnił sobie nagle, że to głupio odpowiadać w ten sposób żołnierzowi z oddziałów specjalnych. Pomyślał jednak, że gdyby rzeczywiście znaleźli się pod ostrzałem nieprzyjaciela, spróbuje się zamienić w syjamskiego brata porucznika.

Poczuł, że śmigłowiec zwalnia, a chwilę później zaczęli osiadać na jakiejś polanie. Ledwie zauważył przez otwarte drzwi odległą o kilkadziesiąt centymetrów trawę, gdy porucznik wrzasnął mu prosto w twarz:

- Teraz! Biegiem!

Nawet się nie spostrzegł, kiedy znalazł się na ziemi i nisko pochylony, pobiegł w stronę linii drzew. Miał wrażenie, że łoskot śmigłowca w jednej chwili rozpląnął się w powietrzu, gdy zapadła niespodziewanie ciszę wypełnił donośny rechot żab.

- Odliczanie - syknął głośno porucznik, gdy znaleźli się pod osłoną leśnego gąszczu.

Szybko jeden po drugim padły z ciemności kolejne numery. Ruszyli dalej biegiem przez gęste zarośla. Ucieszyło go, że nie musi mieć na sobie takiego samego wyposażenia, jak Rangersi, gdyż przed startem złowił uwagę, że waży w sumie prawie trzydzieści kilogramów. On nawet bez takiego obciążenia ledwie mógł dotrzymać żołnierzom kroku w drodze przez dżunglę. Byli naprawdę niesamowici. Tym bardziej że znajdowali się na terytorium wroga. A mimo to czuł się w obecności komandosów cał

kiem bezpieczny, jak gdyby był pewien, że ta garstka jest w stanie stawić opór całej kubańskiej brygadzie.

Pokonali biegiem chyba z pięćset metrów, zanim porucznik dał znak, żeby się zatrzymać. Na ostatnim odcinku wspinali się na łagodne zbocze niewielkiego wzgórza i gdy teraz się obejrzał, w blasku księżyca od razu zauważył polanę, na której wylądowali. Dwaj żołnierze skierowali w tamtą stronę lornetki noktowizyjne, pospiesznie ustawiając ostrość. Christian

popatrzył na nich z zaciekawieniem.

- Musimy się przekonać, czy nasze lądowanie zostało zauważone i czy nie podjęto jakiegoś działania - wyjaśnił półgłosem porucznik. - Zaczekamy tutaj godzinę. Chyba że wcześniej rozpocznie się wroga akcja - dokończył ponurym tonem.

Quentin wskoczył do głównego przedziału śmigłowca i od razu skierował się w prawo, żeby przywitać się ze starym kumplem Jackiem Haleyem, który był teraz pułkownikiem formacji Rangersów.

- Na ciebie zawsze można liczyć, Jack! - zawołał, przekrzykując łoskot wirnika. Wiedział już, że Christian odleciał pierwszą maszyną z pokładu tego samego okrętu nie dalej jak godzinę temu. - Wielkie dzięki!

- Nie ma sprawy, przyjacielu. Bóg z tobą!

Maszyna poderwała się w powietrze i Stiles machnął mu ręką na pożegnanie. Okręt pod nimi zaczął gwałtownie maleć w miarę, jak nabierali wysokości. Poza nimi dwoma na pokładzie był jeszcze tylko jeden człowiek, nie licząc pilota. Od lądowania na tej samej polance, na której osiadł śmigłowiec z Christianem na pokładzie, dzieliły ich czterdzieści dwie minuty lotu. Okazało się w efekcie, że wcale nie były mu potrzebne informacje przekazane przez Allison. Dowódca Rangersów z prawdziwą radością zgodził się dostarczyć go na wyspę śladem Gillette'a, roz

poznawszy w nim swojego wychowanka. Jak to miło jest mieć starych przyjaciół, pomyślał więc Quentin, obracając się tyłem do drzwi.

- Przepraszam pana!

Podniósł głowę i popatrzył w oczy żołnierzowi, którego dowódca wyznaczył mu do eskorty.

- Tak? O co...

Nagle poczuł nieopisany ból, gdy pocisk wbił mu się w pierś. Niemal w tej samej chwili żołnierz pchnął go silnie i Quentin uzmysłowił sobie nagle, że spada poprzez ciemność nocy. Gwałtownie zderzył się z powierzchnią wody. Dostrzegł jeszcze światła pozycyjne oddalającego się helikoptera, zanim morska toń zamknęła się nad nim.

Po godzinnym oczekiwaniu na szczycie wzniesienia, podczas którego nikt się nie pojawił w okolicy, ruszyli dalej przez las, żeby po wędrownie zajmującej kolejną godzinę dotrzeć w poblize miejsca spotkania, czyli na skraj gospodarstwa hodowli bydła. Zatrzymali się na brzegu dżungli i podjęli obserwację zabudowań gospodarczych. Była czwarta nad ranem i wszystko wskazywało na to, że mieszkańcy jeszcze śpią. W każdym razie dom tonął w

ciemnościach, nie paliły się żadne światła. Można było nawet odnieść wrażenie, że jest niezamieszany.

Po pewnym czasie porucznik bez słowa wyznaczył dwóch żołnierzy i wskazał im dużą stodołę stojącą jakieś pięćdziesiąt metrów od domu mieszkalnego, po lewej stronie podwórza. Tamci pokiwali głowami, zrzucili ciężkie plecaki i pognali przez odkryty teren skąpany w blasku księżyca, by już po paru sekundach zniknąć za rogiem stodoły. Wrócili prawie po czterech minutach i szeptem zaczęli składać dowódcy meldunek. Ten chwilę później zbliżył się do Christiana.

- Wszystko przygotowane. Odstawią pana na miejsce. - Porucznik wskazał tych samych dwóch komandosów,

którzy dopiero co wrócili z rekonesansu. - Jest tylko jeden drobny problem - dodał gardłowo. - Jakby nigdy nie mogło się obejść bez żadnych kłopotów.

- O co chodzi? - zapytał Christian.

- W kantorku w stodole jest tylko pięciu mężczyzn, a miało ich być sześciu, zgadza się?

Przytaknął ruchem głowy.

- W każdym razie Kubańczycy nie chcieli wyjaśnić moim ludziom, co się stało - odrzekł porucznik. - Nie wiemy, dlaczego nie zjawił się ten szósty. Powiedzieli, że tylko panu to wyjaśnią. Mnie się to wydaje podejrzanym. - Urwał na krótko. - Czy mimo wszystko chce pan iść? Mogę pana bezpiecznie odstawić na miejsce, jeśli tak pan zdecyduje. Ale z drugiej strony na tym etapie możemy w ciągu paru minut wezwać tu któryś z naszych śmigłowców czekających stale w powietrzu.

Przebyli kawał drogi. Nie było sensu się teraz wycofywać.

- Czy wśród tych pięciu jest doktor Padilla?

Porucznik ruchem ręki przywołał obu zwiadowców,

którzy byli w stodole. Bez polecenia zajęli pozycje tuż za Gillette'em.

- Proszę ich zapytać - odrzekł dowódca.

- Czy jest wśród tych ludzi znany nam chirurg?

- Doktor Padilla? Tak, jest. Czeka na pana.

Christian obrócił się w stronę porucznika.

- W takim razie idziemy.

- Jasne. - Dowódca odwrócił się do pozostałych. - Zapewnijcie im osłonę, chłopcy - rozkazał.

Chwilę później pobiegli we trzech truchtem przez pole w kierunku

stodoły. Zaledwie wyłonili się z za jej rogu na podwórze, Christiana uderzył w nozdrza silny smród gnojówki. Wśliznęli się do środka i skręcili w usłany słomą wąski korytarz między szeregami stanowisk, w których stały łaciate, biało-czarne krowy.

- To tam, proszę pana - odezwał się jeden z komandosów, wskazując mu lufą pistoletu maszynowego drzwi kantorku. Christian podszedł do nich i dwa razy głośno zapukał pięścią.

- Proszę wejść.

Od razu rozpoznał głos Padilli, więc ochoczo wkroczył do środka. Pięciu mężczyzn siedziało przy skleconym naprędce prowizorycznym stole. Kantor rozświetlał tylko płomyk samotnej świecy, a małe okienko pod dachem było szczelnie zasłonięte kocem. Christian nie umiał nawet powiedzieć dlaczego, zapewne instynktownie, w każdym razie podszedł szybko do Padilli, jedynego człowieka stojącego przy stole, i uściskał go serdecznie. Tamten odpowiedział równie serdecznym męskim uściskiem, robiącym spore wrażenie, wzięwszy pod uwagę jego drobną posturę.

- Witaj, przyjacielu - powiedział cicho lekarz, odsuwając się na wyciągnięcie rąk. - Cieszę się, że przybyłeś, aby uwolnić mój kraj.

Christian dostrzegł łzy kręcące się w jego oczach. Fala przemożnej ulgi, jaka go ogarnęła, miała chyba siłę tsunami. Jak gdyby do tej pory wcale nie był pewien, czy Gillette faktycznie pojawi się na wyspie, nawet gdy już zobaczył dwóch amerykańskich komandosów, którzy gwałtownie wpadli do kantorku przed kilkanaście minutami. Jakby jedynym elementem świadczącym o realności tego spotkania był właśnie widok stojącego przed nim biznesmena.

- Przecież mówiłem, że przyjadę.

- Słowa to jedna rzecz, a konkretne działania to całkiem co innego - odparł chirurg. - Teraz jednak widzę, że jesteś człowiekiem czynu.

- Wszystko będzie dobrze, doktorze - zapewnił go łagodnym tonem Christian. - Obiecuję. - Rozejrzał się dokoła. Pozostali czterej mężczyźni spoglądali na niego z wyraźną nadzieją w oczach. - Pomożemy wam - oznajmił stanowczo. - Ale nie tak, jak w roku sześćdziesiątym

pierwszym. - Kiedy zgodnie pokiwali głowami, jakby chcąc okazać zrozumienie dla ryzyka, które podejmuje, zauważył: - Nie widzę wśród was wiceprezesa banku. - Dokładnie zapoznał się z dokumentami, toteż od razu spostrzegł, kogo brakuje w tym gronie. - Co się stało?

- Okazał się wtyczką - wyjaśnił Padilla. - Nie miał jednak okazji, by

zdradzić nas swoim przełożonym.

Christian obejrzał się na komandosów.

- Zabezpieczcie odwrót. Wyjdę do was za parę minut.

Kiedy się wycofali, zaczął zasypywać obecnych pytaniami. Poruszał wszelkie sprawy, które zostawiały wątpliwości. Dopiero po godzinie uzmysłowił sobie, że są znacznie bardziej kompetentni, niż podejrzewał. Miał wrażenie, że godzina to za mało, żeby podjąć decyzję w sprawie losów całego kraju, ale doszedł do wniosku, że często kluczowe decyzje trzeba podejmować pod wpływem chwili. A w tej sprawie miał jak najlepsze przeczucia.

- Dziękuję, że zechcieliście poświęcić mi czas - rzekł w końcu uprzejmie.

- Dziękuję też, że zgodziliście się podjąć tak wielkie ryzyko.

- Jaki jest werdykt? - zapytał szybko adwokat.

Christianowi się to spodobało, lubił ludzi stanowczych, nastawionych na konkrety, a nie na mydlenie oczu.

- Zamierzam powiedzieć prezydentowi Woodowi, że powinien was poprzeć. Obiecał, że będzie polegał na moim zdaniu.

- Mimo zdrady wiceprezesa banku?

Uśmiechnął się.

- To zadanie i tak byłoby w mojej gestii.

Padilla podszedł do niego, wyciągając rękę.

- Bardzo dziękuję, przyjacielu - rzekł, serdecznie ściskając mu dłoń. - Pozostało jeszcze tylko jedno spotkanie, które cię czeka.

Christian pojął, że chodzi o generała, czyli Zapatę. Pożegnał się kolejno z każdym członkiem organizacji i ruszył z powrotem korytarzem między szeregami boksów.

Tuż przed głównymi wrotami stodoły Padilla niespodziewanie skręcił w lewo i wszedł do drugiego niewielkiego pomieszczenia. Christian poczuł zapach dymu cygarowego, jeszcze zanim zobaczył generała. Chirurg pospiesznie zamknął za nim drzwi i dopiero wtedy Gillette spostrzegł w mroku sylwetkę człowieka wychodzącego mu naprzeciw spomiędzy rzędów bel zrolowanego siana. W pomieszczeniu było ciemno, rozświetlał je tylko ognek palącego się cygara. Ale ta odrobina światła była wystarczająca.

- Señor Gillette - odezwał się general, ściskając mu dłoń. - Nazywam się Jorge Delgado.

Christian pomyślał, że jeszcze nikt tak silnie nie ścisnął mu palców na powitanie.

- Señor Delgado, jestem zaszczycony. - Gdy tylko udało mu się uwolnić dłoń ze stalowego uścisku Kubańczy- ka, sięgnął do karku, zdjął z szyi łańcuszek i wyciągnął go w kierunku generała. - Jeśli się nie mylę, chciał pan otrzymać to z powrotem.

Delgado uniósł do oczu wiszącą na łańcuszku blaszkę z wybitym numerem zabitej krowy i zachichotał gardłowo. W blasku ognika cygara odczytał numer i rzekł:

- Jest pan uczciwym człowiekiem, Christianie Gillette. Nad podziw honorowym. - Zaciśnął palce na blaszce i spojrzał Amerykaninowi w oczy. - Możemy wreszcie przystąpić do działania.

- Tylko proszę się pospieszyć - rzucił porucznik, wyciągając ku Christianowi słuchawkę telefonu satelitarnego.

- Oczywiście, rozumiem. - Gillette uniósł słuchawkę do ucha. - Panie prezydencie?

- Słucham, Christianie - odezwał się Wood niezwykle poważnym, wręcz grobowym głosem. - Jaki jest twój werdykt?

- Popieram tych ludzi i ich sprawę - odparł Christian, rozpoznawszy głos przyjaciela na drugim końcu linii.

- Na pewno?

- Bez najmniejszego wahania.

Melissa Hart podbiegła do pierwszego stanowiska bankomatu, jakie ujrzała w hali przylotów lotniska w Los Angeles. Pieniądze powinny już wpłynąć na jej konto. Wypełniła swoją część umowy. Victoria Graham powinna więc dotrzymać danego jej słowa.

Pospiesznie wsunęła kartę magnetyczną do szczeliny czytnika i wystukała na klawiaturze kod dostępu. Aż wstrzymała oddech, czekając na reakcję urządzenia. Kiedy na ekranie wyświetliła się lista opcji, wstrzymując wciąż oddech, wybrała kontrolę stanu konta. Kiedy jednak na ekranie ukazał się rezultat, ręce jej opadły. Miała na koncie czternaście dolarów i dwanaście centów. A zatem została oszukana, mimo olbrzymiego ryzyka, jakie musiała podjąć. Poczowała łzy cisnące się do oczu. W tej sytuacji nie zostało jej nic innego, jak skontaktować się z ojcem i błagać go o wybaczenie.

Idąc przez halę w kierunku wyjścia na miasto, zerknęła na ekran telewizora. Przewijały się na nim zdjęcia chaosu panującego w jakimś mieście, którego nie zdołała od razu rozpoznać. Zmrużyła powieki, żeby odczytać tekst przewijający się na pasku u dołu ekranu. Były to zdjęcia z Hawany. Na Kubie doszło do przewrotu.

Ze szczytu wzgórza Christian przyglądał się uważnie rozwojowi wydarzeń pierwszego etapu Ingerencji. Mimo wczesnej pory, w kilku punktach miasta już strzelały w niebo kolumny czarnego dymu, od czasu do czasu słyhać było odgłosy wystrzałów.

- Dotychczasowe doniesienia są obiecujące - rzekł porucznik, odwieszając na widełki słuchawkę wojskowej krótkofalówki. Prawie cała Hawana znalazła się pod

kontrolą Delgado. Jest kilka punktów oporu, ale dziewięćdziesiąt procent oddziałów opowiedziało się po jego stronie. Na wschodnim końcu wyspy rozgorzała prawdziwa bitwa, niemniej oficerowie Delgado sądzą, że do wieczora zlikwidują tam wszelkie ogniska oporu.

- Doskonale - odparł Christian, który nawet nie spojrzał na porucznika, odbierając meldunek, gdyż przez cały czas spoglądał na miasto, jakby chciał na zawsze utrwalić w pamięci rozgrywające się przed nim historyczne wydarzenia. Rzeczywiście, przewrót na Kubie robił niesamowite wrażenie, w porównaniu z nim wszelkie jego dotychczasowe dokonania po prostu blakły. A przecież gdyby nie przekazał swoich rekomendacji prezydentowi Woodowi, w ogóle by do niego nie doszło. Poparł jednak rebeliantów. Nagle zdał sobie sprawę, że na szczycie wzgórza został sam na sam z porucznikiem. Pozostali komandosi wycofali się nagle, w każdym razie nigdzie nie było ich widać. - I co teraz? - zapytał. - Kiedy będziemy mogli tam wkroczyć? Chciałbym jak najszybciej przystąpić do wykonywania swojego zadania.

- Przykro mi, ale nie mogę dopuścić, aby wjechał pan do miasta.

Christian obejrzał się na dowódcę Rangersów.

- O co...?

Umilkł nagle, spostrzegłszy, że porucznik odpina kaburę.

- Naprawdę mi przykro, ale pan nawet nie ma prawa wrócić do domu.

Prezes Banku Centralnego Kuby wybiegł do swego samochodu. Postanowił nie czekać nawet na żonę i dzieci, które wciąż spały w swoich łóżkach. Tylko przysporzyłyby mu kłopotów. Musiał się spieszyć, toteż wolał pozostawić troskę o ich przyszłość tym, którzy wszczęli rebelię. Nie wątpił, że jedynie on był ich celem. Aż zaklął pod no

sem, otwierając drzwi auta. Powinien był się domyślić, że coś się święci, kiedy Alanzo Gomez nie pojawił się z rana w pracy.

Ledwie zdążył zająć miejsce za kierownicą, gdy przed maską auta jak spod ziemi wyrosło trzech amerykańskich komandosów. Wymierzili pistolety maszynowe w niego i otworzyli ogień. Pociski w jednej chwili

roztrzaskały zarówno przednią, jak i tylną szybę samochodu. Zginął na miejscu, z głową niemal odciętą kulami od reszty ciała.

Całą tę scenę zarejestrowało kamerą wideo dwóch mężczyzn siedzących w furgonetce zaparkowanej kilkadziesiąt metrów dalej przy krawężniku.

Christian głośno przełknął ślinę, spoglądając w wylot lufy wymierzonego w siebie pistoletu. Stał jakieś trzy metry od porucznika. Nie miał najmniejszych szans, żeby uniknąć przeznaczonej dla niego kuli.

I nagle wydarzyło się coś niezwykłego. Zza drzewa za plecami porucznika wyłonił się doktor Padilla, który bez namysłu rzucił się na niego. Chirurg pozostawał u boku Christiana przez cały ranek, potem jednak został u podstawy wzgórza razem z resztą Rangersów. Jak tylko dowódca oddziału wyjął pistolet z kabury, doktor rzucił się na niego od tyłu i powalił na ziemię, nie zdołał jednak wytrącić broni z ręki komandosa.

Christian skoczył w stronę obu mężczyzn leżących na ziemi i złapał porucznika za rękę, chcąc go rozbroić. Wybuchła zacięta walka wręcz, w której Amerykanin zdążył oddać dwa strzały, zanim ostatecznie Gillette trafił go szerokim sierpem w szczękę i pozbawił przytomności. Wyprostował się na kłęczkach, z trudem łapiąc powietrze, wreszcie spojrzał na Kubańczyka, który leżał na wznak, a na jego koszuli na piersi szybko powiększała się krwawa plama. Rozlewała się w mgnieniu oka i po chwili objęła cały front koszuli.

- Och, nie... - jęknął Gillette. Chwycił pistolet komandosa i błyskawicznie odwrócił się do wyciągniętego na ziemi Kubańczyka. - Zaraz zorganizuję dla pana jakąś pomoc.

Chirurg leniwie pokręcił głową.

- Dla mnie już nie ma ratunku - wycedził, przytykając dłoń do piersi. - Niech pan ratuje siebie. Proszę uciekać do mojego domu w Hawanie. Adres znajdzie pan na wizytówce w moim portfelu. - Skrzywił się z bólu. - Moja żona pomoże się panu wydostać z Kuby i odszukać generała Delgado. Jemu może pan zaufać.

Christian złowił odgłosy wracającego na szczyt wzgórza oddziału Rangersów, którzy z pewnością zaalarmował huk wystrzałów.

- Muszę przede wszystkim ratować...

- Niech pan ucieka - syknął przez zaciśnięte zęby Padilla. - Natychmiast.

Christian odwrócił się z ociąganiem i ruszył biegiem w stronę miasta, spełniając ostatnie życzenie umierającego człowieka.

EPILOG

Grudzień

Christian przyglądał się zza uchylonych drzwi, jak Allison swoim magicznym sposobem zjednuje ludzi stłoczonych w sali balowej, i pomyślał, że nie mógł wybrać nikogo lepszego na wiceprezesa firmy.

Minęło siedem miesięcy od chwili, gdy jakimś cudem udało mu się dotrzeć do domu Nelsona Padilli na przedmieściu Hawany i znaleźć tam schronienie. Ponad dwadzieścia godzin zajęła mu droga przez wzgórza i dymiące osady, nim w końcu odszukał adres, jaki podał mu konający chirurg. Musiał unikać płonących zabudowań, uważnie nasłuchiwać serii z broni maszynowej, żeby nie dostać się w środek strzelaniny, i kilkakrotnie szukać w panice kryjówki. Nieraz był już pewien, że zostanie aresztowany przez amerykańskich żołnierzy przejeżdżających w dziupach, co wydało mu się losem jeszcze gorszym od schwytania przez bojówki wierne upadającemu reżimowi, kryjące się w dżungli i okolicznych wioskach.

Potem jeszcze przez kilka minut musiał przekonywać żonę Padilli, że jest tym, za kogo się podaje. Na szczęście znała angielski, a doktor przed śmiercią zapoznał go z pewnymi szczegółami, które uwiarygodniły jego opowieść. Wreszcie musiał opowiedzieć kobiecie, co spotkało jej męża. Czuł się okropnie, zwłaszcza że po zakończeniu musiał przez długi czas tulić do siebie i uspokajać zrozpaczoną Kubankę.

Nie udało mu się tylko dotrzeć wtedy do sedna sprawy, to znaczy odkryć, z jakiego powodu Rangersi zwrócili się przeciwko niemu i Padilli na tamtym wzgórzu pod Hawaną. Zrozumiał wszystko dopiero wtedy, gdy przeczytał w „The New York Times” o wszczęciu senackiego dochodzenia przeciwko prezydentowi Woodowi w sprawie ujawnionego pisemnego rozkazu likwidacji wybranych przedstawicieli cywilnych władz kubańskich. Wcześniej na każdym kroku napotykał mur milczenia, tak samo jak w trakcie starań o wyjaśnienie tego, co spotkało Quentina Stilesa.

Dopiero po wszczęciu dochodzenia elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Uświadomił sobie, że to chłopcy z establishmentu - ci sami, którzy przed kilku laty byli zamieszani w aferę z próbą nielegalnej sprzedaży nanotechniki - sprzymierzyli się przeciwko prezydentowi Woodowi i niemu. Wykorzystanie pisemnego rozkazu do wszczęcia procedury impeachmentu

Wooda oraz pozbycie się Christiana na Kubie było dla nich jak dwie pieczenie przyrządzone na jednym ogniu. Mogli jednocześnie usunąć czarnoskórego prezydenta z Białego Domu i raz na zawsze pozbyć się Gillette'a. Chcieli w ten sposób powetować sobie utratę krociowych zysków oraz zemścić się za śmierć przyjaciela, Sama Hewitta, za którą go obwiniali.

Na jakiś czas uległ przemożnej rozpaczy. Stracił najlepszego przyjaciela. Wiedział, że Quentin zginął w drodze na Kubę, oddał życie, próbując ratować Christiana z opresji. A te łobuzy nawet nie uznały za stosowne zorganizować mu przyzwoitego pochówku. Babcia Stilesa wciąż nie mogła się z tym pogodzić.

Ponadto doprowadzili do śmierci szlachetnego człowieka Nelsona Padilli, szanowanego chirurga, męża i ojca, kubańskiego bohatera narodowego. Na szczęście generał Delgado zatroszczył się o to, by wkład Padilli w organizację przewrotu nigdy nie poszedł w niepamięć, i w centrum Hawany już stanął pomnik lekarza.

Ponownie wyjrzał na salę i uśmiechnął się, słuchając przemowy Allison do zgromadzonych inwestorów Everest Capital. Osobiście zaprosił wszystkich stu współników Everestu wraz z małżonkami do hotelu Ritz Carlton w Naples na Florydzie na doroczne walne zgromadzenie udziałowców połączone z wypoczynkiem w długi weekend, za co płacił wyłącznie z własnego konta. Zazwyczaj organizował takie zebrania w Nowym Jorku, ale tego roku grudzień na północy był wyjątkowo mroźny, a poza tym z oczywistych przyczyn hotel Ritz w Naples wydał mu się bardziej stosowny na tę okazję.

Zgromadzeni goście ledwie zdążyli skończyć deser, gdy Allison zaczęła im przedstawiać szczegóły tegorocznych doskonałych wyników finansowych Everestu, ilustrując swoje wystąpienie slajdami wyświetlanymi na wielkim ekranie za podium. Taką prezentację do tej pory również prowadził on, ale kilka godzin wcześniej zadzwonił do niej z wiadomością, że jego samolot z Nowego Jorku jest opóźniony i będzie musiała go tym razem zastąpić. Samolot wcale się nie spóźnił, a on dzwonił pod numer telefonu komórkowego Allison ze swojego pokoju na piętrze, tyle że bardzo mu zależało, by to ona poprowadziła zebranie. Dlatego też uśmiechał się szeroko, obserwując ją ukradkiem. Zgodnie z przypuszczeniami, radziła sobie doskonale.

Kiedy już kończyła, otworzył szeroko drzwi i wyszedł na salę. Spostrzegła go dopiero, gdy wkraczał na podium. Ujrzawszy zaskoczenie malujące się na jej twarzy, uśmiechnął się jeszcze szerzej. Zapewne osłupiała

na widok jego ubrania, gdyż miał na sobie rozpiętą pod szyją lnianą koszulę, jasne bawełniane spodnie i zamszowe mokasyny. Wszyscy obecni na sali pracownicy biura Everestu byli w eleganckich strojach, garniturach bądź garsonkach.

- Witaj - odezwał się półgłosem, żeby mikrofon nie wyłapał jego słów. - Miło znów cię widzieć.

Odpowiedziała uśmiechem.

- Jak się masz, luzaku. Ciebie także miło widzieć.

- Pozwól, że powiem parę zdań, dobrze?

- Oczywiście. Przecież to i tak twoje przedstawienie.

Odsunęła się na krok, a on zajął miejsce na mównicy i podniósł rękę, żeby uciszyć gromki aplauz. Zgromadzeni tego dnia w sali balowej byli doskonale świadomi tego, ile pieniędzy w ciągu minionych lat zarobili dzięki Christianowi.

Kiedy po chwili zapadła cisza, rzekł do mikrofonu:

- Bardzo dziękuję i serdecznie witam szanownych państwa. Jestem wdzięczny, że zechcieli mi państwo poświęcić ten weekend. Mam nadzieję, że będą się państwo wspólnie bawili. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Po pierwsze, całkowity koszt tego zebrania obciążę mój rachunek, liczę więc na to, że nie zapomną państwo o korzystaniu z aparatów komórkowych, gdyż koszty połączeń naziemnych z tej sali tylko powiększą mój rachunek. - Zaczekał, aż ucichną gromkie śmiechy, po czym ciągnął dalej: - Mówiąc poważnie, chciałbym gorąco podziękować naszej wiceprezes Allison Wallace. Byłem świadkiem kilku ostatnich minut jej wystąpienia i wiem, że świetnie sobie poradziła. Nigdy nie wątpiłem w jej wielki talent. - Wskazał stojącą obok sukcesorkę i sala po raz kolejny wypełniła się gromkimi brawami. - Moim zdaniem jest absolutnie niezwykła - dodał, gdy oklaski przycichły. - Chciałbym, żebyście i wy ją tak postrzegali.

Urwał na chwilę i powiódł spojrzeniem po sali, skinieniem głowy witając znanych sobie ludzi siedzących przy stolikach w pierwszym rzędzie.

- Pewnie zastanawiacie się teraz, dlaczego mam na sobie sportowe ubranie. Powodem wcale nie jest to, że się spóźniłem i nie miałem czasu, aby się przebrać. - Zawiesił głos, w pełni świadom napiętej ciszy, jaka zapadła wśród zgromadzonych, jak gdyby ludzie z uwagą patrzący na niego domyślali się już, że za chwilę usłyszą coś bardzo ważnego. - Otóż ustępuję ze stanowiska. - Po sali przeszła

fala głośnych pomruków. - Mam dość - powiedział, podnosząc nieco

głos. - Jest mnóstwo rzeczy, które chciałbym w życiu zrobić, dopóki jestem jeszcze młody, a których zrobić nie mam szans, pozostając prezesem Everest Capital. Po prostu nie ma na nie czasu. Ale wasza firma pozostanie w bardzo dobrych rękach Allison Wallace. - Obejrzał się na nią. Stała z rozdziawionymi ustami, wyraźnie poruszona. - To wszystko - dodał z uśmiechem, czując się wreszcie człowiekiem całkowicie wolnym. Skłonił się w stronę Allison, wskazał jej ręką mównicę i rzekł: - Oddaję głos, pani prezes.

Odwrócił się, energicznym krokiem zszedł z podium i ruszył w stronę bocznych drzwi, którymi niedawno wszedł na salę. Nawet nie dał ludziom czasu na oklaski czy jakiegokolwiek gesty sympatii. Nie znośił pożegnań.

Opuścił hotel tylnymi drzwiami, przemierzył pusty dziedziniec, zbiegł po schodkach i wkroczył na drewniany deptak prowadzący przez wydmy na plażę. Słońce zachodziło właśnie nad Zatoką Meksykańską, olbrzymia pomarańczowa kula żaru wisiała zaledwie parę centymetrów nad lustrzaną taflą wody.

- Czyż to nie jest piękne? - mruknął sam do siebie, po czym zeskoczył na plażę, zrzucił buty i skierował się ku morzu.

-Hej!

Odwrócił się gwałtownie. Na skraju pomostu stała Allison. Powoli zdjął ciemne okulary.

- Czego chcesz? - zapytał ostro, uśmiechając się od ucha do ucha. - Nie musisz się przypadkiem zająć teraz prowadzeniem wielkiej firmy inwestycyjnej?

- O co ci naprawdę chodzi?

Ruszył z powrotem przez piach, podczas gdy ona zeszła po schodach i zatrzymała się na ostatnim stopniu. Stanął tuż przed nią.

- Dokładnie o to, o czym powiedziałem na sali - odparł miękko. - Naprawdę mam dość, Ally. Jestem zmęczony.

Osiągnąłem już wszystko, co chciałem osiągnąć. Teraz pragnę zrealizować inne swoje plany, póki ich realizacja jest jeszcze możliwa.

- A co ze mną? - zapytała wyraźnie spiętym głosem.

- Dasz sobie radę. Śledziłem uważnie twoje poczynania przez ostatnie siedem miesięcy. Jesteś gotowa, żeby samodzielnie poprowadzić firmę.

-I to wszystko? Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie potrzebujesz żadnych dalszych wyjaśnień. Jesteś teraz jedną z najbardziej wpływowych osób w świecie wielkiej finansjery. Myślę, że to

całkiem niezła pozycja.

- Nie chodzi mi o Everest ani o moją pozycję w świecie finansjery - zawołała, kiedy się odwrócił i ruszył z powrotem w stronę morza. - Miałam na myśli ciebie i...

- Nawiasem mówiąc - przerwał jej głośno, odwracając się do niej - właśnie coś sobie uświadomiłem.

Z niepewną miną popatrzyła prosto w jego roziskrzone oczy.

-Co?

- Nie pracujemy już razem.

Zmarszczyła brwi i zagryzła wargi, jak gdyby nadąsa- na, ale zaraz zrozumiała, co ma na myśli, i uśmiechnęła się szeroko.

- No właśnie. Już nie pracujemy razem.

Uświadomił sobie, że stęsknił się za jej uśmiechem, właśnie takim, szczerym, odzwierciedlającym uczucia, których nie można udawać.

- Zadzwoń do mnie dziś wieczorem, jak uporasz się ze wszystkimi służbowymi obowiązkami.

- Gdzie będziesz?

Uśmiechnął się szerzej i wskazał gładką taflę oceanu.

- Tutaj, kochanie. Właśnie tutaj.